

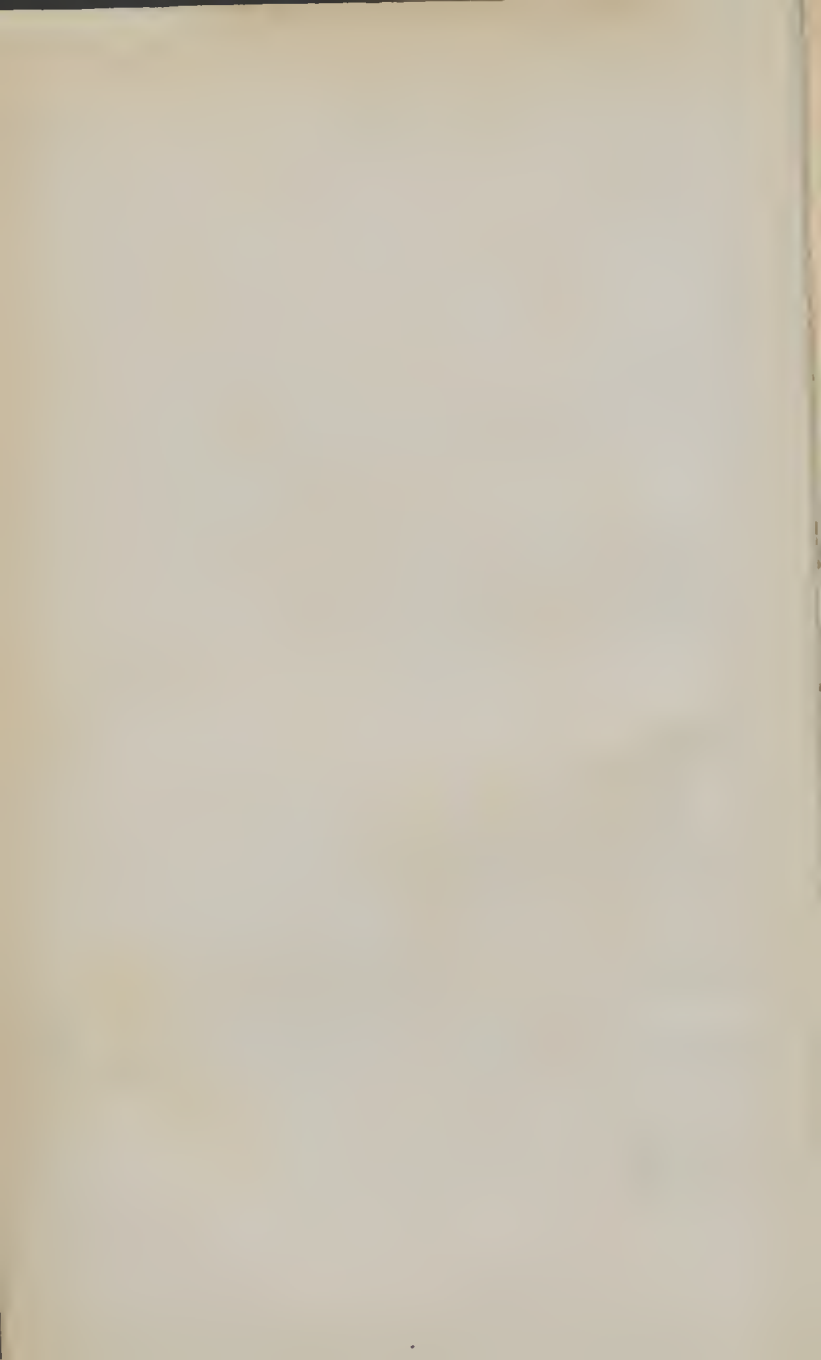
J. I. Kraszewski.
POWIEŚCI
HISTORYCZNE.
III

BRACIA
ZMARTWYCH-
WSTANEY.

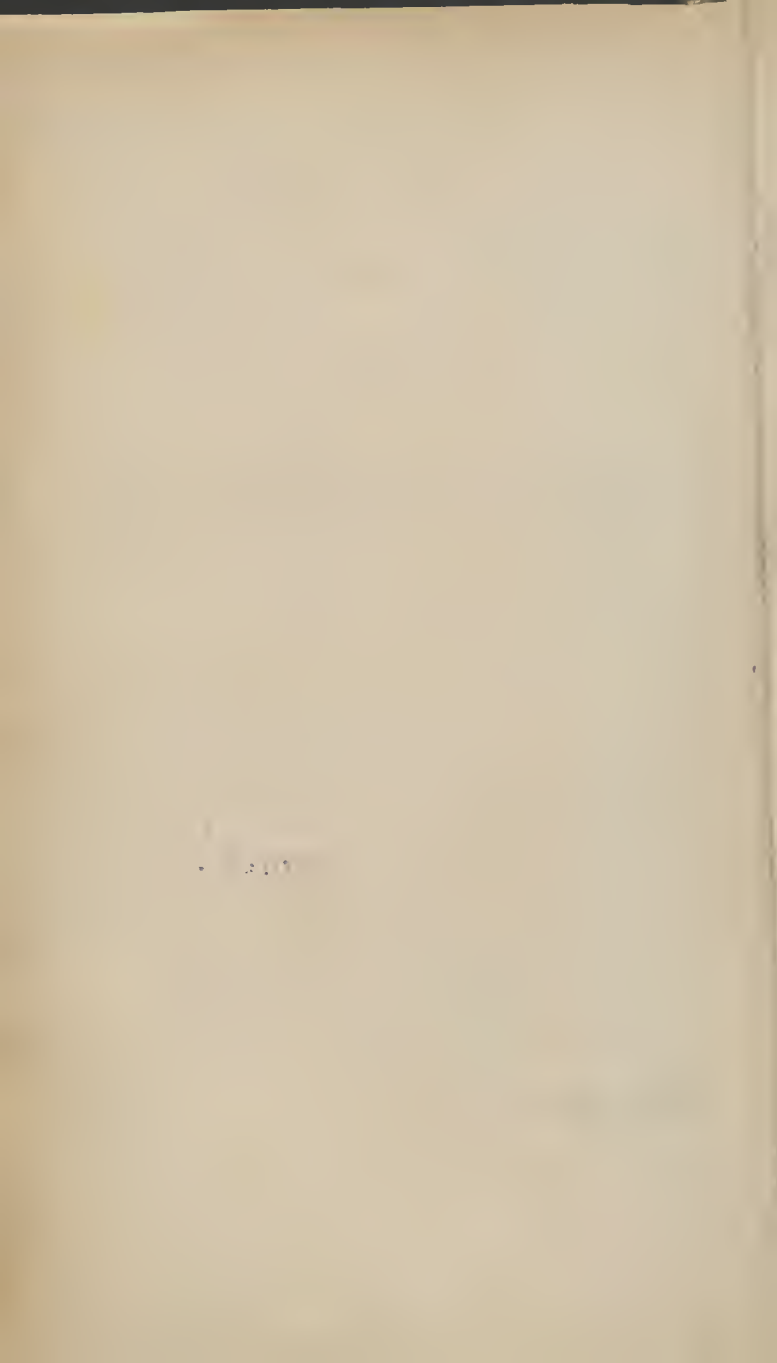
Tom I-III.







BRACIA
ZMARTWYCHWSTAŃCY.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

III.

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

Powieść z czasów Chrobrego.

Tom I.

WYDAWANIE CZŁONKOWE.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

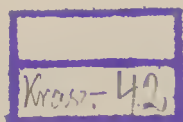
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1876.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki

1092 5 25

I.

Starym był ród Jaksów u polan nad Odrą i Wartą, a szerokiemi tu władał posiadłościami. Mówiono o nich, prawili oni sami o sobie, że niegdy z między serbów wyszedłszy, gdzie kucziami byli, osiedli tu od rodzinnych chroniąc się waśni; drudzy ich do Leszków i Pepelków krwi liczyli. To pewna, że do najmożniejszych należeli władyków, a choć się rozrodzili, ziemi stało dla wszystkich i skarba, ubogim żaden nie był. Z dostojniejszymi też rody wielu węzłami połączeni byli, żon sobie wysoko zawsze szukając, czasem i w krajach sąsiednich. Ludzie byli wszysej rycerskiego rzemiosła, a u siebie doma tak panowali własną wolą, jak kucziowie polańscy w Poznaniu i Gnieźnie, tylko że im poczty na obronę kraju stawieć musieli.

Gdy Mieszko chrzest przyjmował święty, Jaksowie też, nie ociągając się, wiarą nową się odrodzili; a mówiono nawet, że niżej została ogłoszona polanom, oni ją już w niektórych domach swych potajemnie wyznawali, acz nie wszyscy.

W Gnieźnie do chrztu Mieczysławowego dwu braci stawało, Chroberz i Zbilut, a ci imiona nowe Janka i Andruszki przyjęli.

Oba starzy już wojacy byli, acz krzepko swe lata nosili na barkach niezgiętych; oba też po dwu synów następców mieli, którzy w ich ślady chodzić obiecywali. Młodzież to była gorąca i bujna, do wojny i wycieczek stworzona, tęskniąca za wyprawami, nierada spoczywać w domu. Od dzieci ich do tego noszono.

Stary Jaksa, którego Andruszką na chrzcie nazwano, chłopców miał dorosłych, wiekiem od siebie o rok się tylko różniących; ci już z królem Bolesławem Wielkim i do Czech i na Ruś chodzili z pocztami, a sprawiali się jak nie można lepić. Przy ojen siedzieli rzadko, ten zaś zaniemógłszy ciężko, sam już królowi służyć nie miał siły, kochali się z sobą jak bracia, trzymali razem nieodstępnie, tak że ich pojedynczo niemal spotkać było trudno. Starszy z nich po ojen imię Andruszki wziął, drugi się zwał Jurgą. Posiadłość mając niedaleko granic, kędy częste bywały napasći, musieli się Jaksowie trzymać czujno a obrownie.

Właśnie Bolesław był na Rusi z niemi, gdy stary ojciec, który się już i o kijn ruszyć nie mógł, życie zakończył.

Pamiętał on jeszcze Ziemomysła czasy, napół i potroszę poganin był, choć późniiej się już nawróciwszy, wedle nowėj wiary i obyczajn żyć się starał. Opowiadano potajemnie, że na łożu śmierci słuźbie swėj polecił, aby po chrześciańskim pogrzebie, nocą z ziemi ciało dobywszy, starym obyczajem na stosie je spalili. I tak się téż podobno stało, a duchowicistwo dowiedziawszy się, choć sarkało, przez palce patrzeć na to było zmuszone.

Gdy synowie potém oba z owego sławnego grodn Kijowa powrócili, w którym się pono wszyscy, nie wyjmując pana, nad miarę zabawiali wesóło, znaleźli dworzec pusty, słuźbę tylko wierną stojącą na straży dobra pańskiego, a w skarben ogromne stosy dostatków, niemal królewskich. Ojcowskiego oka i powagi zabrakło, młoda krew w nich wojacza zawrzała i wkrótce bardzo jakoś, że Bolesław na nową wojnę nie wzywał, poczęli życia swobodnie zażywać, nie żałując sobie niczego.

Starszy Andruszka, pomiędzy innemi z Rusi łupami, greczynek niewolnicę z sobą przywiózł, niewiaścę dziwnėj urody, lecz na podziw téż płochą i niepomiarkowaną, która zbyt wesole życie lubila. Stary więc dworzec, niegdy spokojny,

gędbą się rozlegał i śpiewami, sprawiano uczty ciągłe i gości się nie przebierało.

Oba bracia ludzie byli samopas żyć lubiący, rozpuszczeni jak wojacy, nawykli życie stawieć bez wahania, ale też używać go bez miary.

Duchowni bliżej mieszkający npominali ich wprawdzie o to, ale słowa ich niewiele skutkowały, Jurga i Andruszka ujmowali ich sobie, zapisując łąki i lasy kościołom, aby im pokój dano; bo ziemi więcej mieli, niż im było potrzeba.

Król Bolesław Wielki, choć mu może donoszono o młodych Jaksach, dla swojego rycerstwa dosyć był pobłażającym, sam też podczas wiodąc takie życie wojacze, przebaczał sobie i drugim wiele, byle na zawołanie poczet stał cały, a dobrze zbrojny.

Jurga i Andruszka jeździli niekiedy na dwór pański z pokłonem, król ich po ojcowsku przyjmował, poił, karmił, o wyprawach mawiał z nimi, zawsze obdarzonych odsyłał, a o rozwiązłym życiu strofować zaniechał.

Jurga w Poznaniu bywając najrzał u boku królowej będącej, piękną Teodorę, córkę Sieciecha ochmistrza królewskiego, i myślał ślać jej družby. Oboje się sobie podobali i jakby stworzeni byli dla siebie. Nie wiedzieć czemu to odkładał z dnia na dzień, aż twarde przyszły czasy.

Na starym grodzie, gdzie oba bracia dzielić się nie chcąc ojcowizną, siedzieli, dziwy się dzieć

miały, swawola straszna. Niebardzo się chciało Jurdze żonę tu wprowadzać, Andruszka też nie rad się był od brata odłączyć.

I szło dalej postaremu. Łowy sprawiano ogromne, uczyły książęce, ubogich obdarzano bez miary, nie czyniąc w nich wyboru, z sąsiadami naprzemiennie to się wichrzono, to godzono i zapijano...

Przyszło do tego wreszcie, że na owo życie szalone poczęło braknąć, ze skarbu powynoszono i rozdrapano co było, posiadłości dużo rozdano i rozprzedano. Bieda była za pasem, a upamiętanie przyjsć nie chciało. Obaj nasi rycerze rachowali pono na nową jakąś wojnę i łupy, któreby ich zasiliły i majątności pozakładane wykupić dopomogły.

Wszystkiego pono złego przyczyną był szwab, przybłęda, co się tam na dwór weisnąwszy, nowe wprowadzał zwyczaje, jakie, według niego, na zachodzie Europy rycerstwo i panów odznaczać miały.

Sam on korzystał z braci, drugim ich łupić dozwalał, pochlebiał, płaszczył się, a na wsze ich bezprawia wyciągał. Szwabowi imię było Gwidon. Niegdy za Ottonów dużo się pono po świecie włóczył, plótł o swych bojach z Saraccenami we Włoszech, o podróży do Bizancjum i o różnych niestworzonych przygodach na cesarskim dworze. A że Jakson wmaływał, iż równych im dzielnością

rycerzy na całym nie spotkał świeccie, dobrze mu się działo.

A no z nimi było źle. Choć niby sługa pokorny, on z greczynką Antonią trzęśli dworem i panami swoimi, wiedąc ich do zguby. Ani się opatrzyli Jaksowie, jak ona nadeszła.

W skarbcu nie było już nie, jeno pólki próżne i skrzynie otwarte. Ludzie dawać nie chcieli, z ubogich osadników drzeć nie było łatwo.

Śpiewano jeszcze i spijano we dworze, ale i pieśni nie były tak głośne jak niegdyś, i napojem się trzeba było obchodzić domowym. Stare miody wyschły do kropli, nowych nie stało z czego sycić, a i piwo warzono coraz gorsze. W starym dworze znikły wspaniałości dawne, rozehwytali je potrosze mniemani przyjaciele, a teraz ich już widzieć nie było.

Żył jeszcze stryj Janko; choć nieco opodał mieszkając, słyszał co się u bratanków działo; raz czy dwa strofował mocno i groził, potem synom u stryjecznych bywać zakazał, potem już jakby się cale nie znali, zerwało się wszystko.

Człek to był stary, ociężały, więcęj nad to począć nie mógł, a do króla skarżyć się nie chciał. Serce mu się ścisnęło, że ojcowizna szła tak maronie, że ziemię nawet rozszarpywano, krwi mu swój żal było, a sił do powstrzymania nie miał.

Gdy wreszcie ciężkie bardzo nadeszły czasy, pomyśleli o tém Jaksowie, by u stryja pomocy

szukać i zasilku, a ten, rozgniewany, że go dawniej nie słuchano, ani przyjąć, ani mówić, ani wspomódz, ni znać nie chciał i drzwi im swe zamknął.

Tymczasem spodziewanej wyprawy, na którą się wszelkie opierały nadzieje, jakoś wcale słychać nie było. Król Bolesław, szeroko zawładnąwszy ziemiami słowiańskimi, od Dnaja do Bałtyku panując, nowych wojen ani potrzebował, ani żądał. Henryk II, cesarz, w pokoju z nim wrzekomym był, drudzy też obawiali się wypróbowanej Szczerbeca siły.

Na dworze w Jaksowym borze coraz pusićj być zaczynało, ludzie uciekali od podnypadłych.

Właśnie zima się była w końcu listopada na dobre ustaliła, śniegi nawet upadły i trzymały się już, najlepszy czas do łowów nadchodził. W nich dwaj bracia jedyny ratunek znajdowali i pociechę. Dniami i tygodniami siedzieli w puszczach i lasach, a no kiedyś przecież i do domu zajrzeć trzeba było, aby w cieplej izbie odpocząć.

Dnia tego, gdy się nasze rozpoczyna opowiadanie, Jurga i Andruszka z nieodstępnym szwabem i ludźmi do łowów właśnie się na dworzec przywlekli, oba chmurni, bo myśliwstwo się też nie wiodło, spocząć jakiś czas doma zamierzali. Rozpalono więc ogień w wielkiej izbie i służba się krzątała. Gwidon był do koni zszedł, nikogo w izbie, oprócz dwóch braci.

Niegdyś oni wesółymi być umieli, wszystko w nich dobrą myśl obudzało, przygody co najtrudniejsze do przebycia witali ochoczo. Teraz, oba milczeli posepnie, patrząc na ognisko, to z ukosa na siebie.

Nie odzywał się żaden, bo powiedzieć dobrego nie nie mógł, złego nie chciał.

Trwało to dosyć długo, gdy się młodszy Jurga odezwał zeicha.

— Co tobie, Andruszku?

— Chciałem spytać, co tobie Jurga? — odparł drugi. — Jeszcze cię ja takim nie widział.

— Ani ja ciebie, bracie.

— Bieda u nas...

— Bieda...

— Wojnyby nam trzeba...

— Król ociechał, już mu się na nią nie chce i nie zbiera... Lepiej mu w Poznaniu siedzieć, rycerzy przyjmować i zastawiać stoły...

— Bieda...

Westchnęli oba.

Szwab, który przed chwilą do izby powróciwszy, u progu stał i słuchał, odezwał się, gdy zamilkli Jaksowie.

— Na biedę sobie u nas ludzie radzić umieją, gdy głupi pokój trwa nadto długo...

Spojrzano na niego.

— Trudno rycerstwu dać mieczom w pochwach

rdzawieć. Nie ma nieprzyjaciela, trzeba polować na podróżnych...

Andruszka głową potrząsał silnie.

— U nas tego zwyczaju nie ma — rzekł żywo — gość u nas wszelki bywał zawsze bezpieczny.

— Swoj... to pewnie — mówił szwab niezmięszany — a obcy, po co się mają po gościńcach włóczyć ze skarby wielkimi. Co mają za prawo w cudzej ziemi handlować?.. U nas, jeśli po dobrej woli podróżny okupu nie da, idzie do lochu, albo i głowę nałożyć musi. Na czyjej ziemi kupiec zdechł, do tego skóra jego należy...

Bracia posępnie milezeli, niemiec mówił dalej zwolna, pocichu, oczyma na nich rzucając kosemi, jak gdyby badał, co z nich te słowa uczynią.

— Tu by się nieraz dobrze obłowić można na tych, co do Poznania, do Gniezna, z Grecyi i Rusi przeciągają. Spotykałem wozy i konie juczne, na które aż ochota brała. No... ludzie to niby orężni... i żelazaby się dobyło przecie, co dawno świata nie widziało i krwi innej nad wilezą nie kosztowało...

— U nas bo tego zwyczaju nie bywało! — powtórzył Jurga kwaśno.

— No... a ja m słyszał — ciągnął niemiec uparty — że greekim kupcom nie jeden raz Domaradowie w lasach swoich drogę zastępowali... Obłowili się mało wiele, przecie im za to nikt marnego nie powiedział słowa... co wzięli to wzięli...

Andruszka niechętnie coś zamruczał.

— Ludzie też proszą, co mieczów nie mają, ledwie palki nasiekiwane, a i ci, zastąpiwszy gościniec, nieraz z tych włóczęgów ściągali daninę... Takie to polowanie jak inne, tylko skórka lepsza...

Jurga się rozśmiał, oczy mu błysły.

— Lepsze to łowy niż na jelenie — rzekł żartując — bo te złotych rogów nie mają, a kupcy trzosi wożą nabite...

— Ho! ho!.. — wtrącił coraz się ośmielając szwab — nie jeden z nich przy sobie więcej ma srebra i złota, niżeli król posłał prusakom na wykup ciała świętego Adalberta... Wożą go w sztabach, w brylach, w pieniądzach i różnych kosztownościach... Jest się u nich czém pożywić.

Andruszka słuchał w ogień ciągle patrząc, namarszczony i niecrazy.

— Milezałbyś! — zawołał w końcu — na co ludziom darmo robić oskome... Mielśmy i my złota i srebra dosyć, powróciwszy z wojny, a teraz go i pruszyńcy nie znajdźcie, chyba na rękojęści u mieczyka...

— Hej! hej! — westchnął Jurga — gdzie się to wszystko podziało...

— Żli ludzie rozchwyтали, a dobrzy rozdawali — rzekł szwab. — I od tych, co po pijanurwali, siłą mocą odebrać nie byłoby grzechu... Zresztą, od biedy, kościolowiby się też z tego coś dało...

Jurga wstał i wzdychając ciężko, chodząc zaczął po izbie. Piękna Ściechówna przyszła mu na myśl, nie było jej teraz gdzie przyprowadzić i czém obdarzyć...

— Mnie już tak dokuczyło to głupie ubóstwo i ta pustka nasza, że gdyby mi się jaki grek nawinął, nie ręczyłbym za siebie... Andrszka, jako dobry brat, widząc mnie przy robocie, takżeby samego nie zostawił... he?

— Pługawa rzecz... lepiej wojny czekać... — rzekł starszy.

— Choćby się i nie chciało, tać musimy — dodał Jurga — grecy jak zwierzyna po lasach się nie włoczą... Łacniej tura niż greka dostać...

Szwab się śmiać począł z kąta.

— Właśniebym ja — odezwał się — mówił panom o czémś podobném, gdybym już co napytanego i napatrzonego nie miał...

Oba Jaksowie zerwali się nagle i przyskoczyli doń. Myśliwska i wojacza żyłka w nich zagrała, podrażniona głupią mową. Może im nie tyle o zdobywcz szło, co o samo polowanie.

— Mówże — krzyknął Jurga, rękę mu kładnąc na ramieniu — wiesz co? gadaj!..

Szwab, który był krepy, niepozorny, wyglądał zdala jak prosty parobek i zwykle twarz miał jakąś bezmyślną; gdy się czémś rozpalił, zmienił nagle oblicze. Małe oczki mu się iskrzyły jak u kota, usta śmiały, a włos, nawpół siwy,

wpół rudy, najeżony jak szczecina, zdawał się podnosić, gdyby sierć na stworzeniu podrażnionem.

Potał brodę rozczochraną i zębami, jak miał zwyczaj, klapnął.

— Wiem to napewno — odezwał się — że przez nasze lasy kupey hędą ciągnęli z Kijowa przed Bożem Narodzeniem. To ich zwyczaj, spódlizewają się już nasi. Jechał przodem na zwiady posłany wypatrywać gościniec i po nich pono powrócił. Kupey mają być znaczni, koni jucznych kilkanaście, a skarby wiozą wielkie...

— Toć pewnie z nimi bez pocztu i straży nie jają... — rzekł Andruszka.

— Niby to my nie znamy, co to ich straż i najemne pacholki, na cudzych śmieciach. Zbierane lichy, kulawe i chrome, byle plecy do liku stały. Tyle tylko że na okaz, od pospolitego motłochu, dają im siaką taką dzidkę... albo mieczyk zardzawiały. Na nich jakby prawdziwy rycerz chuchnął a dmuchnął, na ziemię polecą jak żółędzie, żaden palcem nie kiwnie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Gwido zmilezał trochę, oczyma rzucając po braciach, dawał truciźnie się rozgościć.

— Eh! — szepnął w końcu — gdyby mi jeno ludzi dano, jabym sobie i sam z nimi dał radę...

— Zła to sprawa — wtrącił Jurga — daj pokój.

— Czém zła? co złego? — podchwycił szwab

— niechby miłościwi panowie pojechali dalej do

nas, w niemiecką ziemię, zobaczyliby, że i największego rodu duki i komesy w to się wolnego czasu zabawiają. Ci obcy, co się włóczą, lada-jaki gmin, wyzwoleney, niewolnicy, mieszczuchy, lada-jaka drnżyna. Na wilka czy na nich polować wszystko jedno. Nie wiadomo, w jakiego to Boga wierzy. At... i nikt się za to nie ujmie... Przepadło ta, przepadło!.

Oba bracia wysłuchawszy, nie odpowiedzieli ni słowa, szwab zmiarkował, że nasienie zcjdzie później i trochę przycichł, jakby mu to było obojętne.

Podano wieszercę niewykwiśniętą, bo i adwent się już był rozpoczął, a mięsa niewolno było używać. Kasza i ryba go zastępowały, nad piwo mdle innego napoju nie stało. Skosztowawszy go Jurga otarł wąsy i splunął.

— Liche pomyje — rzekł — ani to w żołądku zagrzeje, ani w głowie nie zaszumi, lepszy miód stary i wino. A zkąd je, u licha, brać?..

Andruszka też, co lepszy napój lubił, usta wykrzywił. Szwab siedział w końcu stołu.

— He! he! — ozwał się — byłoby za co wina sprowadzić i miodu nasycić, żeby się dobre polowanie udało. Za złoto wszystkiego dostać...

Bracia pospuszczawszy głowy siedzieli, jakby nie słysząc.

Pod koniec wieszery Andruszka wstając spytał, jakby od niechcenia.

— A kiedyż to ta złota zwierzyna wasza ma ciągnąć?

Szwabowi aż się oczy zaśmiały, już swojego prawie pewien był.

Chciało mu się bowiem obłowić raz jeszcze i z tej pnstki nieiekać, ale nie z gołemi rękami.

— Łada dzień — zawołał — łada godzina... Na niaby już trzeba być na przesmyku, dobre sobie miejsce wybrawszy...

Jurga dodał.

— Zaczepić czy nie... alebym rad widzieć, jak to wygląda... i jak się to wlecze?.. Zresztą... okup ściągnąć na własnej ziemi... nie tak to straszna rzecz... biorą miasta i król też opłatę z nich.

Gwido spiesźnie mówić począł.

— Staniemy u mostu, miłościwy panie... u mostu na ruczaju, co się Gnilym nazywa... Most pański... albo to dla nich mosty stawiano?.. czy to nie kosztuje?..

— Może ma słuszność — cicho mruknął Andruszka — na swoim moście przydybawszy, upomnieć się o opłatę nie grzech... Toć ziemia nasza...

— Dla jakiegoś tam lichego okupu na mrozie siedzieć nie warto — odczuwał się Jurga po namyśle — kto ich wie, kiedy nadjadą, a potem nas zbędą jaką lisią skórka albo kma...

— Jeżeli zechcą zbyć psim śwędem — zawołał prędko szwab — toć na to przecie sposób jest...

Zamiast dalszej rozmowy poczęła się już drobnych słów wymiana, nrywana i niesworna, ale szwab widocznie zyskiwał coraz więcej na braciach; już mu się tak bardzo jak wprzód nie bronili.

Na niczem jednak skończyło się tego wieczora, bracia smutniejsi tylko niż zwykle spać poszli. Jurga myślał, jakby Andruszec życie osłodzić, Andruszka jakby bratu do wesela dopomódz.

Nazajutrz długo zależeli na ranek, nie było się czego spieszyć, ni do czego wstawać.

Przyszeli szwab, nie mówiąc nic, tylko oczyma rzucił, wiedział, że go zaczepią sami. Jakoż z przelajni zaczęli o kupców rozpytywać i niemal przez dzień cały o niczem innem mowy nie było, tylko o nich.

Sprzeczano się, wahano, późnym wieczorem stanęło pojechać i zobaczyć, ot tak, co tam może być... Andruszka i Jurga nie chcieli brać ludzi, aby nikt o tem nie wiedział, tylko szwaba za przewodnika. Mieli się uzbroić w kaftany podwójne, w helmy skórzane twarde, dobry oręż i mioty, ale to tylko na wypadek. We dwu na dziesięcin pacholków lichu uzbrojonych śmiało się rzucić mogli. Szwab jednak radził pewnych dobrawszy kilkun parobczaków, dla powagi, z większą siłą wyciągnąć na zasadzkę.

Sprzeczano się długo i ograniczono na sześciu. Dwaj bracia nfali w swą siłę i męstwo. Nieraz

konną, całą trzodę piechoty gnali i w niewolę imali.

Trzeciego tedy dnia, od stóp do głów uzbrojeni, wyruszyli w las, jakby na łowy. Gościniec, którym kupcy ciągnąć musieli, był o dwie mile ode dworu.

W puszczy przechodził on parów, którego głębię przepływał ruczaj, a na nim, dla grzęzawicy i topieliska most wystawiono, gdy raz wojsko tamtędy ciągnąć miało. Miejsce u mostu było dogodne, bo z jednej strony świerki mogły ukryć ludzi w zasadce, dopóki się cała gromada w dół nie spuściła.

Ucieczka pod górą była ztąd niepodobieństwem, bo mroź ściał ją i śliską uczynił. Za świerkami łączki kawał nad ruczajem, dość wygodnie obóz dozwalał rozłożyć. Gościńca tego kupcy zimową zwłaszcza porą wyminąć nie mogli, był jedyńy do Poznania wiodący, odwieczny.

U mostu więc, w rozdole pod noc przyciągnawszy Jaksowie, rozłożyli się poza świerkami.

Nie jeden raz im w wyprawach rycerskich w daleko większem niebezpieczeństwie i niewygodzie przychodziło koczować, z małą też garstką, na liczniejszego ezatnając nieprzyjaciela; nigdy jednak tak smutnie, a nawet bojaźliwie się do dzieła nie brali.

Nie rycerskie też to było dzieło. Szwab tylko w swoim żywiole się zdał, śmiał się ciągle i bie-

gał, z pod nawistych gałęzi ku gościńcowi wyzierając.

Podług jego rachuby, kupey o innéj dnia porze, jak kn wieczorowi, przejeżdżać tędy nie mogli, gdyż nicopodał było kilka chat osady, którą zwano Kołodziejce, gdzie każda taka podróżnych gromadka, przy szopach na noc stawać była nawykła. Pierwszego jednak dnia nadzieja zawiodła, nie było nikogo na gościńcu, drugiego też czekano na próżno, i Jaksowie już poczynali z pogańska przeklinać swą ciekawość, a szwaba namowy. Mróz dojnował i wiatr smagał.

Gwido dał się im wygniewać i nałajać — zapowiedzieli mu, że trzeciego dnia, choćby po nocy, do domu powrócą.

Aliści właśnie zmierzchać poczynало, gdy na gościńcu nakazali się jeździć i juczne konie, stępujące powoli. W mgnieniu oka wszystko było przygotowi, ludzie się z barłogów pozrywali, a Andruszka zapaliwszy się, jakby istotnie zobaczył nieprzyjaciela, sam wnet począł rozporządzać i ustawiać.

Niczego się niedomyślając i nieobawiając, orszak ów z wolna i ostrożnie ku mostowi przybliżać się zaczął. Czekano aż się cały z góry spuści.

Gdy pierwsze konie juczne z przewodnikiem na czele, już na most miały wstępować, Jurga z Andruszką nagle, z za krzaków wypadłszy, dro-

gę im zastąpili — kupiecka gromadka miała może piętnaście koni, ze sześciu przy nich ludzi zbrojnych na pozór, licho — na czele jej jechał wąsaty, czarny mężczyzna w koźneju dostatnim, z nożami dwoma u pasa, żelaznym młotem u siodła i mieczem u nogi. Spostrzegłszy naprzeciw siebie zbrojnych, stanął — inni też ludzie, jakby do obrony, ścisnąwszy się, sposobie zaczęli.

Przewodnik pieszy, popatrzywszy tylko, może poznawszy z kim miał do czynienia — w bok się zaraz rzucił i zniknął. Szwab pierwszy do rozmowy wystąpił — wołając głośno, że przejazd bez okupu nie jest wolny.

Wąsacz odpowiedział mu też krzykiem, mało zrozumiałym, bo choć to niby ze słowiańska brzmiało, znać w wymowie było cudzoziemca. Na poparcie wyrazów, począł też garścią szukać mieczyka.

Na widok żelaza, które dobywał, w Jaksach krew zakipiała, już ich powstrzymać nie było w ludzkiej mocy. Uciekać kupiec nie mógł i myśleć, bo z obładowanemi i zużożonemi końmi, ani się śmiał na to porywać. Ludzie jego, stanąwszy po bokach, dobyli też co kto miał, ndając, że się będą bronić zacięcie.

Od okrutnego łajania zaczęto z obu stron... Wtém Jurga i Andruszka skoczyli wprost na wąsacza, i jeden go zaraz przez łeb chłasnął, czapkę przeciąwszy na dwoje... Grek oddał po ramieniu.

Wszczęła się tedy utarczka ogólna, a że u Jakśów i panowie i ludzie, silniejsi byli — skutek łatwo można było przewidzieć. Dwóch pachol-ków zaraz z koni skoczywszy, w las pierzechnęło, inni popadali od razów, broniący się kupiec także z konia się zwałił, porąbany okrutnie i ducha wyzionął.

Konie ich zrazu rwały się przestraszone, ale z nich para się na ślizgawicy wywróciła, resztę pochwytali ludzie... Nie upłynęło i pół godziny a cała zdobycz, o którą się pokuszono, została w ręku napastników, rozgrzanych bojem i weale już nierozważających co popelnili.

Odartego trupa rzucono na gościńcu, a Jakso-wie, z koniami jucznymi i ładunkiem, puscili się żywo do dworu swojego.

Znając wszystkie ścieżyny, choć ich noc napadła, potrafilি przebrać się lasami do domu. Już nawet nie zważali na to, by się ukryć z popełnionym rozbojem, gorączka ich jakaś opanowała.

Ledwie na podwórzec przybywszy, kazali ludziom przyjść z pochodniami, zdjęte z koni juki poznoszono do wielkiej izby na dole, gdzie się czeladź i mnóstwo ciekawych dworskich zebralo...

Na samym dowódcy karawany dwa trzasy złota zabrano, w jukach zaś były bogactwa różnego rodzaju. Najwięcej między niemi złotych i srebrnych lam, jakich naówczas panie do okry-

cia futer i na suknie używały — byzańskich purpurowych szat, jedwabów tkanych we wzory, wreście złotych naszyjników, kółców, naszyń, i różnych wyrobów nasadzanych kamieniami drogiemi, malowanych emalią kolorową. Lupa o wiele przechodził najśmielsze obu braci i szwaba nadzicje. Był tak wspaniały i obfity, iż Jaksowie zapomniawszy o tém, w jaki go sposób zdobyli, odzyskali wesolosc, ciesząc się hucznie i głośno.

Szwabowi też część udzielono piękną, która mu się słuszuie należała, bo i naprowadził i karaku nastawiał.

Niemal całą noc trwała uciecha i rozmowa o wypadku, podsycana baryłką wina, która się między ludźmi znalazła. Sami przed sobą umiłowiali się bracia, iż grek pierwszy porwał się do miecza, a oni w prawie swém byli wymagając okupu na moście. Cudzoziemiec więc sam swęj śmierci był przyczyną. Co jeszcze w oczach ich niemalęj siły dodawało dowodzeniom, to, że jeden z nich, acz lekko, ranny był w ramię. Pomsta wydawała się im słuszną, a grabież ledwie za krew płaciła.

Szwab śmiejąc się upewniał i zaklinał się, że o podróżnego i pieszego nie zapomni. Któżby zresztą mógł i chciał, a wiedział gdzie winnego szukać? Trupa, mówił — jak się to po gościńcach zwykle zdarzało, albo pobożna ręka pogrzebie, lub nocą wiley rozszarpia i nie pozostanie śladu.

Ostatnie przypuszczenie było najprawdopodobniejszém. Zwierza się głodnego włóczyło dużo.

Dopóki rozgorączkowanie trwało, póki szacowano łupy, rozmawiano o potyczce i wzajem sobie pomagano uniewinniać się — bracia zdawali się jakby z powrotem po wojennej wyprawie — weseli i rażni. Poszli spać dobrze podochociwszy.

Nazajutrz dopiero, przyszły jakieś obawy... Andruszka pierwszy padł na tę myśl, wnosząc z rzeczy wiezionych, czy kupiec nie był na dwór króla powołany do Poznania, i czy go tam nie oczekiwano.

Jeżeli go tam król albo królowa wyglądała? jeżeli się go spodziewano? już miał pozwolenie i porękę pańską? Co naówczas?

Kawał zapisanej skórki z pieczęcią znalazł się u kupca za nadrą, ale w domu nikt czytać nie umiał, i kartę zaraz szwab do ognia rzucił, aby śladu nie było.

Jurga posępnie milczał. I on też przebudzwszy się zrana, począł jakoś na sprawę zapatrywać się inaczej. Łup zdobyty wydawał mu się już nie bardzo prawnie przywłaszczonym. Przez zęby eieho klął szwaba i jego namowy.

Oba Jaksowie chodzili niespokojni.

Ludziom co się na wyprawie znajdowali z niem, nakazano najsurowiej milczenie. Jeden z nich potajemnie zaraz wysłany został opatrzyć co się z trupem działo. Kazano mu, jeżeliby ciało je-

szeze na gościńcu leżało, zwlec je z drogi i w krzakach gałęzmi przyrzucić.

Długim wydał się czas nim posłany wrócił i doniósł — dotarwszy do Kołodziejów, że ludzie od dworu królewskiego powracający do Poznania, ciało z gościńca zabrali i prawdopodobnie musieli je powiesić z sobą. Dopytywali oni u bliżej mieszkających, czy kogo nie widzieli w okolicy; wypadkiem trafili tu na przewodnika zbiegłego, a ten z niedalekiego sąsiedztwa będąc rodem, miał wręcz powiedzieć iż poznał ludzi Jakśów, a że się to na ich gruncie stało, nikt nie mógł być sprawcą tylko oni.

Królewscy komornicy ujeli zaraz tego przewodnika i związawszy go, poprowadzili z sobą.

Ten, który przywiózł tak niepomysłne wiadomości, sam szczęśliwie potrafił uniknąć, iż go nie zabrano, udając podróżnego i nie dając się poznać zkaąd był.

Poploch tedy tém większy padł na winowajców, którzy jeden na drugiego nie mając serca zrzucić winy, na szwaba ją walili całą, bo on to pierwszy podał tę myśl nieszcześliwą... której pokusie ulegli.

Andrnszka, przewidując oskarżenie, miał już w myśli sam jechać do króla, aby przed nim opowiedzieć rzecz całą jak należało. Jurga się temu opierał, booby to było niemal przyznaniem się do winy; szwab też zakrzyczał w niebogłosy,

i postanowiono w milczeniu czekać, co z tego wyniknie — na najgorsze się gotując.

Tymczasem wszyscy trzej, zwoławszy Indzi, sposobili się, na wypadek wszelki, jak się tłumaczyć będą mieli.

Pierwszy ów kupiec grecki dobył oręża przeciwko rycerzom, i srogim lajaniem ich wyzywał. Coż więc dziwnego, iż obelg i napascei wytrzymać nie mogli? Reszta sama za tem poszła. Upominanie się o zapłatę mostową nie było bezprawiem.

Tak się pocieszano, dodając sobie męstwa, chociaż bracia znając dobrze króla, gwałtowność jego i surowość nieubłaganą, nie kryli się z tem przed sobą, iż, gdyby przyszło stawać na sąd jego, sprawcy swą przegrali. Królowi szło o to wielce, aby kupcy obcy bezpiecznemi byli wśród krajów jego, bezprawia i gwałty rycerstwa, zarówno jak knieci i osadników, karał bezlitośnie. Dał tego dowód, gdy nie dawno osiadłych, na puszczy około Kaźmierza pustelników reguły św. Romualda, łotry, chcąc im złoto przez króla dane wydrzeć, pomordowali. Natychmiast ścigać ich, łapać nakazano, obsaczono, ujęto i na śmierć wydano.

Jaksowie mieli u króla zasługi i laski, przyjaćiół na dworze, rodzinę możną, wszystko to mogło ich bronić w potrzebie — ale w oczach króla nie miałyby wagi, gdy raz co postanowił.

Niepokój zwiększył się jeszcze, gdy wkrótce po powrocie posłańca, który dotarłszy do Kołodziejów, przywiózł wiadomość o tem, iż królowi musiano już dać znać o zabitym kupcu — nader przewidujący szwab, nocą zabrawszy część łupu, i gwałtem porwawszy grecką niewolnicę, z kilką ludźmi namówionemi, uszedł tak spiesźnie i zręcznie w lasy, iż go pogoń wysłana nazajutrz doścignąć nie mogła.

Nie bardzo im było żal sługi i kosztowności, ale Andruszka bolał nad stratą pięknej niewiasty, a ucieczka dawała do myślenia, że i on się obawiał pomsty i prześladowania, i od nich uchodził...

Dwa dni z sobą samemi spory wiodąc, godząc się, pocieszając, bolejąc, bracia przetrwali w niepokoju.

Nareszcie, gdy nie słychać nie było, sądząc poczęli, że burza ta może w inną przeciągnęła stronę, gdy — nagle nocą królewski posłaniec we czterdzieści koni nadbiegł, dwór osaczył do koła i przywiózł rozkaz Jaksom, aby się z nim natychmiast przed sąd królewski stawili, jako obwinieni o napad gwałtowny, zabójstwo i złupienie kupca, który dla króla z Kijowa prowadził zamówione towary.

Ani się temu rozkazowi opierać siłą, ani uciekać nie było sposobu — a sąd króla — śmierć była pewna.

Stary komornik i dowódzca poczty pancerników królewskich Drogosz, dobrze obu braciom z wojen znany, wszedłszy do izby, gdy mu przyszło o tém oznajmywać, z bólu rękę załamał. Słyszał on przykaz z ust samego króla i wiedział co o nim trzymać. Jak on tak i wszyscy co z Jaksami pospolni bywali na wojnach — lubili ich i przywiązani byli do braci.

Jurę i Andruszkę znano jako ludzi serdecznych, którzy na miłość sobie zarabiać umieli, choć nieraz po żołnierską płochością i porywcznością zgrzeszyli.

Drogosz wszedłszy do izby, długo stał niemy nim się zebrał oznajnić z czem był posłany, zdjął potem z głowy hełm, cisnął nim o stół, i padł na ławę.

Jaksowie w posępném milczeniu wysłuchali oznajmienia, spojrzeli po sobie — żaden się z nich nie ruszył nawet. Miał dawno szal, który ich do wybryku pobudził, wytrzeźwili się już byli — widzieli co ich czekało. W duszy Andruszka pragnął tylko ocalić Jurę, a Jurga myślał jakby brata oswobodził.

— Na pioruna! — odezwał się stary pancernik — na pioruna! cóżecie to za piwa nawarzyli? Wy? najmajętniejsi ze starych władyków, wy, coście złoto garściami rzucali wiedznom kijowskim — żebyście się połakomili na kupea i jak

proste łotrzyki, dla mizernego skarbu na życie podróżnego godzili!!

Żaden się na razie nie odzywał.

— Król zły... zaprzysiągł się, że tego nie przebaczy — dodał Drogosz wzdychając.

Widać było z jego mowy, że, choć tak mówił, radby był znaleźć jakiś sposób ocalenia ludzi walczących i dobrych towarzyszków...

— Słuchaj Drogosz — odezwał się po namyśle Andruszka — nie pytaj jak do tego przyszło. Bies nas skusił w niemieckiej skórce. Co się stało, na to nie ma rady. Powiem ci jedno — dodał wskazując na brata, ten nie winien nic — jam starszy, jam mu iść kazał — co się stało, ze mnie poszło nie z niego.

Wtém Jurga przerwał.

— Nie słuchaj go... Bóg świadek, jam się pierwszy niemcowi dał zwiesić i skusić. Trzeba dać głowę, dam ją nie targując się, byle Andruszce się nie stało... On poszedł za mną, nie ja za nim... Kłanie i przechwała się.

Jeżeli król nas nie poszczędzi... to — Bóg się zmiłuje.

Chcieli mówić i sprzeczać się, gdy Drogosz ręką zamachnął tylko.

— Jam tu nie sędzia — mnie was obu przystawić kazano... powiecie królowi jak się rzecz miała...

Pospuszczeni głowy Jaksowie, a Drogosz zadumany przyrzucił.

— Póki jeszcze czas ślijcie do stryja — niechaj on przybywa prosić za wami — Dajcie znać przyjaciółom, niech jadą i proszą, jeżeli nie króla, bo do niego w gniewie przystąpić trudno — to do królowej. Wiele ona może... A no Bolesławowskie słowo straszna rzecz jak grom, król się zaklął.. Nie wiele na tém nadziei.

— Albo i żadnej — dokończył Andruszka — kto się dziś wstawi za nami? Stryj dawno zag niewany, znać nas nie chce, przyjaciele dopóty trzymali z nami, póki szczęście było — nikt nie powie słowa, aby się z łask pańskich nie wyznł. Niech się dzieje wola Bozka... może jedną głowę dając ocalim drugą... ja moją położę.

— Chyba ja — mrknął Jurga — albo nie — to oba.

Żadnemu z Jaksów na myśl nie przyszło uczynku się zapierać — po żołniersku co popełnili, do tego się znali, a trzeba było ginąć, żaden się z nich śmierci nie lękał. Patrzeli jej nie raz w oczy na pobojuwiskach.

Drogosz widząc, że o niezém nie myślą, sam dworskim szepnąć musiał, aby starego Jakse i innych plemiennych objechali, zaklinając o pomoc dla nieszczęśliwych.

Wedle rozkazu królewskiego, zabrano towary, jakie się znalazły, konie kupca i wszystko co doń

należało. Z południa potem, oba bracia na konie siedli, dwór swój stary żegnając oczyma i rozplakane sługi, co się w podworec zwlekły zawo-
dząc a jęcząc... Otoczyli ich w koło ludzie kró-
lewscy, i puscili się, jak pogrzebowy pochód mil-
czący, do Poznania.

Wiedzieli, że na swój gród stary nie wrócą...

II.

Chociaż w owych czasach osady po krajach zdala od siebie rozsypane były i wielkie je dzieliły przestrzenie — głośny wypadek z Jaksami, z ust do ust podawany rozszedł się zaraz daleko, na wsze strony.

Być może iż przyjaźny obwinionym, stary Drogosz, który ich pragnął ocalić, nmyślnie powoli z niemi ciągnął, po drodze rozgłaszając co się stało — aby tym sposobem rodzinę obudzić i w pomoc ją powołać.

Byli też, jakśmy mówili, młodzi Jaksowie, mimo buty swój i szaleństw lubionemi powszechnie — znano ich wady, a ceniono przymioty, któremi je okupywali. Głowy były zapalone, serca dobre, nierozwaga wielka, płochość bez miary, żal też i skrucha serdeczne.

Na dworze pańskim i w wojsku Bolesława, mało było rycerstwa tak powszechnie umiłowanego, jak Jurga i Andruszka. Nikt ich nie wyprzedził, gdzie karku trzeba było nastawić, w niebezpieczeństwo się rzucić, za przyjaciela njąć, majątkiem lub krwią płacić.

Ilu towarzyszków wykupili z niewoli, ran odnieśli broniąc ich i zastawiając się za nich — niktby nie zliczył. Część znaczniejsza mienia poszła tak nieopatrznie dla miłości ludzi.

Nie odjechał nikt od ich progów daremnie, jeśli to, czego żądał, spełnić mogli.

Oba społecn, we dwu nie mieli lat pięćdziesięciu, młodzi, silni, zdrowi, piękni — nie dawno jeszcze wiele obiecywali po sobie — król na nich rachował — teraz, wszystko to, jedna chwila szalona w niwecz obróciła.

Żal też był powszechny; przeklinano kupca nieszczęsnego, który miał dwu tak dzielnych rycerzom życie kosztować. Wszysecy ich niemal miewinniali, przypisując napasć tę młodzieńczemu szaleństwu, a śmierć przypadkowi. Inni, wiedząc o przewrotnym szwabie, który wisiał przy nich, wiuę całą składali na niego i w tém się nie mylili, że jego poduszczeniu sprawę przypisywali. Nikt jednak, postyszawszy jak się rzecz miała, dowiedziawszy się o królewskim gniewie, nie wątpił, iż Bolesław karę domierzy okrutną. Im wyżej w łaskach jego stali dwaj rycerze, tém się

nawet sroższej sprawiedliwości spodziewać było można.

Po drodze zbiegano się przypatrywać dwóm jadącym w tém otoczeniu Jaksom, jakby winowajcom wiedzionym na stracenie — czując już, że ich śmierć nie minie.

Drogosz wszystko czynił co mógł, aby podróż jak najdlużej trwała.

Tym czasem stało się też, czego nikt się nie spodział, że uchodzącego z zapłakaną i lamentującą greczynką Gwidona, który za granicę przekraść się spieszył z łupem swoim, pojmali ludzie królewscy przypadkiem i do Poznania go odstawili...

Temu, niżeli Jakrowie przybyli, król po krótkim badaniu, zaraz łeb ściąć kazał, niewolnicę oddawszy do dworu królowej. Szwab badany broniąc siebie, winę składał na Jaksov, i w ten sposób jeszcze ich więcej obciążył, a króla rozsierdził.

Na drodze już, od przejezdnych komorników pańskich, dowiedział się Drogosz, iż Gwidon życiem przypłacił.

Z Jaksovych borów zaufany sługa stary, w chwili, gdy Jurę i Andruszkę brano, oklep na konia skoczywszy, poleciał o mil kilkanaście do stryja, który mieszkał na gródku swoim w Niemierzyszczach. Człek to był lat już bardzo podszły, za którego teraz dwu synów na wojnę

stawiało, bo on już dawno pocztu prowadzić nie mógł.

Swojego czasu zawołany dowódzca, bił się, gdzie tylko zabrzęczały miecze — bywał nie jeden raz na Czechach i w Pradze, chodził na lutyków i pomorców, na prusaków, na ruś, na węgrów i niemców.

Kilka razy pokluty i porażany, na pobojuwisku został za umarłego — bywał w niewoli u słowian, znał i niemiecką.

Zawsze mu jakoś szczęście służyło iż, cierpiawszy, wyrwał się na swobodę i życie. Teraz rany się stare otwierały, o kiju chodzić musiał, włosy i brodę zapuścił długie, a całą pociechą jego było, choć chrześcianinem został, starych słuchać pieśni. Te mu niewiasty i dziadowie wędrowni, których ugaszczał i bronił — musieli niemal po całych dniach i wieczorach nucić.

Ustawiało to tylko, gdy duchowny jaki do dworu przybywał. Na starego Jurka nieraz donoszono kapłanom, że w nim ta miłość dawniej pogańszczyzny została, a że naówczas tępienie wszelkich pamiątek, do których coś ze stariej wiary przylgnąć mogło — było kapłanów obowiązkiem — zjeżdżali oni często do Niemierzyszcz, aby Jaksę w wierze umacniać... a przez odganiać zwyczaje, które zachował po kryjomu, tak jak nieboszczyk brat jego, ojciec dwu braci.

Naówczas stary przyjmował duchownych ze czcią wielką, jaka im należała, milkły na czas pieśni, wynosili się do lasów dziadowie. Janko stawiał się z księżmi pobożnym, chociaż, byle oni za wrota, wszystko znów do starego porządku wracało. Nic było na to sposobu.

W przekonaniu Jaksy to co było, mogło się jakoś pogodzić z tem, co nastawało, rad był przynajmniej oboje połączyć, bo mu przyszłości dusznie żał było. Poblązał też pociechą tym, co z nią trzymali, przez szpary patrzył, gdy po lasach, na uroczyskach ciała palono i tryzny odprawiano, gdy na Kupalę gromady ognie rozkładały i „stadem“ chodziły szalejąc.

Dziady i gęślarze byli i jego najmiłszymi gośćmi, a że o tem wiedzieli, z całego świata się tu wlekli i siadywali długo, bo pod jego dachem byli bezpieczni. Nieraz, gdy mu pieśni dawne nucił, Jaksę się splakał, lzy otarł pociechą i westchnął i kłął piormem, ale tego nie słyszał nikt, jeno jego dziadowie. Mimo to nowęj wiary obowiązki spełniał ściśle, posty zachowywał, do kościoła jeździł póki mógł, a synów do pobożności nakłaniał.

Dla dzieci postaremu był surowym. Matki już one dawno nie miały. Czeszka Drahomira, jedyna żona Janka, zmarła mu jakoś wprzód, po przyjęciu na świat synów, a potem się już nie żenił. Synowie Janka stryjecznych prawie rówieśnikami

byli, i jak oni ludzie rycersey a wojenni. Starszy Miklasz i o trzy lata za nim będący Oleksa chodzili z pocztami na wyprawy, a czasu pokoju u ojca pierwszymi tylko sługami być musieli. Kochał ich, ale im nie folgował.

Albo ludzi do wojny sposobić, lub konie młode objeżdżać, albo osadników i wioski nowe opatrywać codziennie ich posyłał stary, spoczywać nie dając.

Obu im już od roku żon szukał, aby, póki pokój trwał, mogli sobie gniazda założyć i nową rozpocząć rodzinę, lecz nielatwym był w wyborze. Naprzód nie dowierzał niewiastom, wiele wymagał od nich, potem rad szukał krwi i plemienia dobrego. Sam bowiem kneziem się mieniać, bo z podania to wiedzieli, że niegdyś Jaksowie u serbów panowali, ładajakićj niewiastki do domu wprowadzać nie chciał. A że mu z żoną czeszką dosyć dobrze było na świecie, dla synów też się za dziewczkami ztamtąd oglądał, niemniejszeni wszakże jak Sławniki i Wrszowice. Dumnym był wielce i mało komu kroku ustąpił.

Dlatego też może, gdy się różni nowi naprzód powysuwali rycerze, na dworze, w łaskach i dostojenistwach zaczynając przodować, on się powoli od dworu uchylać jął i w końcu został w ukryciu, wiekiem się składając. Na gródku swym tak panował samowładnie, jak król w Poznaniu.

Gródek ten w Niemierzyszczach, u ścieku dwóch

rzeczulek na pagórku wystawiony, stary był, nie wyglądał pokaźnie, lecz obronić się mógł i nie jednemu już oparł się napadowi. Zajmował przestrzeń dosyć obszerną, objętą wysoko wysypianemi wałami i ostrokolami, bo w razie najścia cała ludność z podzamecza mieścić się w nim musiała. Dwór też był liczny, ludzi orężnych, szczególnież konnych, pancerników, zawsze około dwóchset, stało pogotowiu. Oprócz dworca starego, jeszcze wedle dawnego obyczaju z drzewa wystawionego, umogie szopy, obory, stajnie, szpiczlerze, czeladnie dokoła były ustawione.

Stary Jaksa w wielkiej izbie swój, lateu i zimą przy ogniu siadywał; nie wygasal on nigdy prawie w ogromnym kominie.

Tu to na ławach, często po kilku na raz, u drzwi zabierali miejsca dziady, ślepce i gęslarze. Małenkie okna niewiele światła wpuszczały. Janko albo przed ogniem u stołku siadywał, lub też się układał na skórach, które w kącie leżały.

Gromada psów zawsze go otaczała, bo jak dawniej myśliwym był wielkim, tak teraz choć patrzeć na nie lubił, że mu lowy przypominały.

Niegdyś on, nawet u wojnę idąc, po parze psów bierał z sobą i mówiono, że mu jeden z nich życie uratował, gdy u niemca, który już Jakse z konia obalonego dusił, padlszy tak go gryźć począł, iż panu się dał dzwignąć i obronić.

Gdy z Jaksowych borów przypadł tu ów sługa stary z wiadomością o losie Jurgi i Andruszki, na podwórku znalazł Miklasza, i zaraz mu tu, jak stał, ręce zalamując, wszystko wypiewał.

Miedzy dwoma Jaksów dworami nie było już zdawna żadnego stosunku, z rozkazania Janka, który synowców znać nie chciał i mówić sobie o nich nie dawał.

Chociaż zakaz ten trwał zawsze, Miklasz się wszakże nie wahał, posłanicowi poleciwszy stać i czekać na podsieniu, sam zaraz iść do ojca.

W izbie na ten raz żadnego dziada nie było, stary sam jeden ręce zwiesiwszy n ognia siedział a dumał.

Ledwie stąpiwszy na próg, syn zaraz odezwał się, jak to było w obyczaju, że ze złą wieścią przybywa.

— Nie trzymajże mi jej jako nieczu nad karkiem, a mów... — zawołał stary.

Dusza to była hartowna, co się lada czego nie nękla.

— Z Jaksowych borów sługa przybiegł — rzekł Miklasz — tam się nieszczęście stało. Jurga z Andruszką napadli na gościnnu kupca greka, który dla króla z Kijowa wioził kupią... poważnili się z nim, zabili i odarli. Król po nich przysłał i kazał ich na sąd swój stawić w Poznaniu.

Janko wysłuchawszy syna, głową tylko potrząsł, długo mu słowa brakło.

— Jeśli tak jest — odparł w końcu cicho — jeśli prawda, a król się nie zmiłuje nad nimi, dać będą musieli szyję. Na Jaksów cały ród pa-dnie hańba i sromota niezmazana...

Załamał dłonie stary.

— Co czynić... — mruzczał — co czynić?... o miłosierdzie prosić dla łotrów, czy za cudzą winę hańbę ponosić?... A zdaż się u Bolesława błaganie? a pomogą u niego łzy i prośby?..

Zamyślony długo w ziemię patrzył, potem skinął, aby mu sługę starego przywołano.

Ten gdy wszedł i rzuciwszy się na ziemię czołem bił, bo człek był niewolny, z płaczem potem szeroko jął opowiadać, jak się to stało.

Tym lepiej mógł opisać wszystko, bo choć niemłody, ale krzepki i sprawny, należał do tych co z Jaksami u mostu byli, kryć się z uiczym nie widział teraz potrzeby.

Dowiedział się więc Jaks, jak się to nie-szczęście stało, kto był jego pierwszą przyczyną. Puścili mu się łzy milezące, odprawę dał człowiekowi ręką i siedział w myślach zatopiony jak martwy.

Syn stał czekając na rozkazy, ale ojciec ani się zwracał ku niemu, jakby zapomniiał o nim. Potem, do siebie sam niby, począł mówić z bólu się zachodząc.

— Niechaj giną łotrowie... niech przepadają marnie!.. niech kąkol idzie na ogień, aby czyste

ziarno zostało. Mamyż się my czyści za pomazanych ujmować?.. E! Andruszko! bracie mój miły, nie ich mi żal, ale ciebie, jeżeli ty z tamtego świata patrzysz na niegodne ciebie potomstwo...

Miklasz, choć się nigdy nie śmiał ojcu w niczem przeciwieć, radby był za stryjeczniemi przemówić słowo... a no... westelmał tylko. Zwrócił się Janko z brwią nawisłą ku niemu, jakby pytał a chciał słuchać.

— Rodzica dawno stracili, w złe ręce popadli... — począł cicho Miklasz.

— A krew to Jaksów bujna, co niełatwo ostyga... — przyrzucił Janko głowę skłaniając. Uderzył w dłonie i zalał je.

— Król, jeśli nie im, to nam i rodzinie się uniłować powinien... — rzekł. — Nie im życie, ale nam weźmie sławę poczeiwą.

I wstał nagle z siedzenia, choć się pod nim nogi trzęsły, chwyciwszy się za stółek, aby się na nich utrzymać. Z pod siwych brwi nawisłych oczy mu połyskiwały.

— Jeżeli jeszcze czas... jeżeli czas miłosierdzia prosić — zawolał — nie dla nich, ale dla was, dla mnie, dla tych co pomarli i co żyć będą po nas... Jam stary i nie duży, ale mi trzeba... ale muszę!.. Miklasz, ty pojedziesz ze mną... konia siodłać każ...

Stary już od lat kilku z ciężkością chodził

o kiju, konia nie dosiadał dawno, rozkaz synowi zdał się tak dziwnym, iż się nłakł.

— Ojeze miłościwy — rzekł z pokorą — ale jakże wam i pomyśleć o koniu... jak o podróży? Mroźny czas, a wyście słabi...

— Na saniach leżeć nie mogę — począł Jaksą stolkiem bijąc o ziemię — nie nawykłem... to babska i chłopska rzecz... jaun żołnierz... Starego mi mojego osiodłać. Koźuch wezmę, jechać muszę.

Naprawdę się syn ofiarował z bratem jechać do króla; nparł się stary Janko i słuchać nie chciał.

Nie było z nim co rozprawiać, gdy raz wydał rozkaz a rzekł swoje. Więc na całym dworze poruszyło się wszystko na tę niesłychaną nowinę, że pan jedzie do króla. Przestrach ogarnął ludzi, bo jakże to coś groźnego być musiało, gdy tego stareca, złamanego niemocą, dźwignęło w taką porę na nogi?

W milezeniu posepuém wnet się zaczęto przysposabiać do drogi. Stary nie mówiąc już nic, dawał znaki. Naostatek gdy o koniu oznajmiono, że stał pogotowin, dwu ludzi go doń prowadziło. Trzeba było starego podnieść na ramionach, aby go posadzić na grzbiet wierzchowca, lecz gdy się raz znalazł na nim, już się nie zachwiał.

Przeprowadzony przez cały dwór, z garścią ludzi i synem wyruszył Jaksą do króla.

— Padnę mu do nóg — rzekł do syna — pro-

się go będę... a nie ublagam, wyniosę się z tej ziemi, nie chcę jej znać... aby nam sromu nie wytykano. Do serbów pójdziem albo do czechów.

Jakby gorączka jakaś owładnęła starym Jaksą, bo choć go podtrzymywać było potrzeba i widocznie słabł ze zmęczenia, ledwie koniom dając wypoczynku, pośpieszał nie tracąc chwili.

Znał on porywczosć króla, który co raz postanowił, nigdy z wykonaniem nie zwlekał. Słowo u niego czynem było. Więc, choć czasu się zdawało dosyć, nimby sprawa rozsądzoną została, niecierpliwy spieszył a pędził. Czuł też może, ażali mu życia stanie na dokonanie co postanowił.

Drugiego dnia już mu temu braknąć zaczynało, bo i wiatr był ostry a zimnem smagający, i drogi ciężkie, pozawiewane, a koń stary często na nogi szwankował.

Na noc, nie dając się powstrzymać dla spoczynku, gdy konie zjadły, sadzić się kazał na wierzchowca i ciągnął dalej, lecz nad ranem siły coraz wątlejące, nie starczyły już. Musiano go przy pierwszej chacie nad drogą znieść z siodła na rękę i w izbie położyć, aby się pokrzepił. Stary płakał niemal, że dalej jechać nie mógł, lecz padał z konia, choć go syn i ludzie trzymali.

Chalupa nędzna była i uboga, więc go, w środku dłań usławszy łożę, przy ognisku położono.

Tu załedwie ległszy, poczuł sam zaraz, że mu ostatnia nadeszła godzina. Chciał się orzeźwić ja-

kimś napojem, dano mn wodę i wino, które syn zabral z sobą, ale już to nie pomogło.

Życie, którego niewiele w nim było, nagle się wyczerpało, gasnął w oczach... powieki mu zapadały jak do snu. Syn przy nim przykląkł płacząc, starając się uspokoić, dopraszając, aby spokojnie usnął i snem się pokrzepił.

Jemu chwilami niepokojem i boleścią pałały oczy, czuł już a wiedział, że na drodze, na rozdrożu, nie dościnąwszy celu, marnie zemrzeć przyjdzie.

— Miklasz — ozwał się głosem osłabłym — Miklasz, zaklinam cię na wszystko co święte, co najdroższe, na krzyż pański, na miłość jakąście mieli dla mnie, uczyńcie proszę, co każę, czego żądam...

Syn na znak posłuszeństwa rękę przyłożył do piersi.

— Mnie tu umierać przyszło — mówił głosem gasnącym stary — od doli i przeznaczenia nie uwolni się nikt. Jak skoro umrę, Miklasz, wsadźcie mnie na mojego konia, przywiążcie do niego, trzymać będziecie, bym nie padł... i pojedźcie ze mną, z trupem do Poznania, przed króla... Powiećcie mu, jako nie mogąc żywy przybywam umarły prosić za rodem moim... Nie zlitowałby się żywemu może, nieboszczykowi się unihuje... Rozumiesz to?..

Miklasz zmilezał przerażony.

— Rozumiesz — powtórzył stary — tak ma być! tak ja chcę! Niechaj umie Bolesław zobaczyć... Służyłem mu wiernie, krew lałem dla niego. Jeśli litości nie będzie miał, niech nas Bóg sędzi...

Zabrakło staremu tchu i siły, głowę zwiesiwszy na piersi, konać zaczął. Oddech się stał zrazu przyspieszony, potem wolniał coraz, synowi rękę wyciągnął i trzymał go przy sobie, a dłoń mu stygła i twardniała.

Nie upłynęło ćwierć godziny, a stary Jaksą, szepnąwszy jeszcze po cieku: Dziadów z domu nie pędźcie... — skonał i skostniał.

Miklasz klęczał przy nim osłupiały z żalu, wśród ludzi, którzy zbiegłszy się do swojego starego pana, zawadzili żale. Nierychło wspomniał na swą przysięgę, nie pozostawiało mu nic, tylko spełnić co rychlej przykazanie rodzica.

Dziwne to było i straszne widowisko, tego umarłego starca, zbladłego, ze zwisłą głową, podtrzymywanego przez dwu obok jadących ludzi; oglądać po śmierci jeszcze zdążającego na spełnienie obowiązku. Stawali ludzie po drodze, przypatrując się dziwowi temu, nie umiejąc go sobie wytłumaczyć.

Podróż mimo nakazanego pospieszku szybką być nie mogła. Opóźniał ją ów trup chwytający się i opadający, przy którym ludzie się ciągle mieniać musieli.

Tak w końcu zbliżyli się już do królewskiego

grodu, gdy na gościńcu ten sam Drogosz, którego król po Jaksów posyłał, wyprawiony gdzieś znów przez niego, spotkał się z żalobnym pochodem. Był on też Miklaszowi z wyprawy raskiej dobrze znanym i przyjaznym. Zrazu osłupiał na widok jadącego nieboszczyka, ale wnet mu Jaksę wytłumaczył, jakie od ojca otrzymał przykazanie.

A że właśnie w tém miejscu, gdzie się spotkali, znużonym koniom popaść było potrzeba, i szopa się z gospodą trafiła, w której mogli ognia rozpalić i ogrzać się nieco, weszli do niej razem. Pierwszém było słowem Miklasza spytać, co się działo ze stryjecznymi.

Drogosz ciężko westchnąwszy, zmilezał, znać było, że dobrego nie do powiedzenia nie miał.

— Gdybyście nie wiem jak spieszyli — rzekł w końcu — nie wiem i nie ręcę, ażali na czas dla ocalenia ich traficie. Gdyż ich obu na gród przywiózł, król na oczy ich widzieć nawet nie chcąc, natychmiast do ciemnicy wrzucić kazał.

Dowiedziała się królowa, pani miłościwa a pobożna — mówił dalej — królowa, której każda kropla krwi przelanéj drugie tyle kosztuje... święta i dobra pani nasza... pospieszyła więc do króla... Myśmy ją wszysej o to prosili, boć żal srogi takich dwu rycerzy postradać, za jednego tam jakiegoś zadławionego greka. Prosiła królowa na kolanach... błagali inni... pono nadaremnie... Tymczasem mnie król wysłał precz... nie wiem,

co się stało. Gdy na koń siadał, kapelana król swojego wyprawił do nich, aby spowiedź uczynili... katowi się kazano sposobić do więzienia... Król, jak mówiono, sfołgował pono o tyle, iż nie publicznie miał ich dać ściąć, ale w lochu.

Przecież!.. Bóg wielki... nie wiem!.. królowej czy wiele mogą... end się mógł stać... Jedźcie, prosicie... niechaj nieboszczyk stanie przed nim w imię służb swych go błagając... Jeżeli czas... jeżeli jeszcze czas!.. — westchnął Drogosz stary.

Miklasz więc spieszyć postanowił, ale koniom, zmęczonym tak że się zaledwie włokły, dać trzeba było chwilę odpoczynku. Drogosz też swoim wydychać dawał.

— Straszny gniew naszego pana... — mówił stary pancernik. — Widziałem ja go nieraz na wojnie, gdy nieprzyjaciół rozjątrzył, bez opamiętania lecącego na tłumy... ale straszniejszy jeszcze we dworze, pod dachem, wśród pokoju, gdy mu niesforność jaka, albo gwałt krew poburzy...

Królowa dobrocią swą wiele może, pohamuje czasem i wymodli... przecie teraz nie wiem, czy i ona i wy z nieboszczykiem potraficie go złagodzić. Rozżarł się okrutnie... może nie o kupca tego, więcej o to, iż rycerstwu całemu zakaleć zrobili. A i kupiec też człek był znaczny. Gdy wieść pójdzie o śmierci jego, odstręczy i odpędzi od nas innych obcych ludzi...

Gdym z Jaksami waszemi przybył — mówił ciągle Drogosz — a szedłem się miłościwemu oznajmić, spostrzegłszy mnie, jak jest ciężki, z siedzenia wnet porwał się biegnąc prawie.

— Są te łotry? zawołał. — Przywiózłem ich — odczwałem się. — Rzucić wnet spętanych do lochu! — krzyknął — na jawną zbrodnię sądu nie ma, jeno stryżek i miecz... — Ośmieliłem się do kolan mu pokłonić. — Miłościwy panie — rzekłem — młodzi są, krewcy, namowa zła... — Milez — zawołał — milez... przykładu trzeba, lub nikt się do nas jechać nie waży... Rodu są znacznego, więc im się śni, że wszystko dlatego wolno. Za się!... Jak dwu im głowy z karków spadną, stu się ulęknie i strzyma... Idź... ani słowa... do eiemnicy...

Nie wiem, co królowej rzekł... Mieli wstawiać się duchowni, mieli prosić za nimi powinowaci, Lisowie i Pobogi i inni... a no, wola króla żelazna... Nie zna on pohamowania w gniewie, a gniewem pałał straszny...

Znał sam Miklasz króla, widział go nieraz na polu bitwy, gdy pamięć tracił tak, że go nie pohamować nie mogło, niewielką też i on miał nadzieję. Musiał jednak dopełnić przykazania rodzicielskiego. Rozstali się więc ze starym Drogoszem i pochód z nieboszczykiem rozpoczął się nanowo.

Zbliżając się do Poznania i grodu, gdzie coraz więcej ludu uwijało się w pobliżu, ledwie się mo-

gli przebieć przez gromady ciekawych, których to straszne zwabiało widowisko, zmarłego starca wziętego na konia, którego na rękach niemal ludzie dźwigali... za nim jadącego syna z głową odkrytą i całej tej drużyny wlokącej się, jakby ze wstydem, upokorzeniem i trwogą.

Kupy ludu poczynają się cisnąć okolo nich coraz tłumniej, tak, że gdy do wrót zamku przybyli, rozpędzać je musiano.

Miklasz tu naprzód wystąpił, ciało wyprzedzając.

Za nim wieszono ojca, którego zbladły i posiniały trup ledwie kilku ludzi w mierze utrzymać mogło. Pieszy chłopak konia w rękę powoli prowadził.

Poznań już w ostatnich latach Mieszkowych rządów, potem za syna jego urosł był na znaczne miasto. Sam też zamek, który niegdy cesarz Otto III, jako sprzymierzeniec króla i druż jego, odwiedził, z kąd pieszo, po suknie wysłanej drodze, boso szedł do Gniezna, do grobu męczennika Wojciecha, zamek od czasów Mieszkowych wzmoógł się i rozrósł, a królewsko wyglądał. Obok dawnych dworów drewnianych kazał w nim Bolesław murowane palatium wystawić dla siebie, takie niemal, jakie cesarze mieli w Dziewinie i Merseburgu.

Tuż, na gruzach dawniej pogańskiej kontyny,

kościół katedralny, pierwsza w Polsce z gnieźnieńską stolicą biskupią, wznosiła się z kamienia ciosowego zbudowana.

W pośrodku niej, naprzeciw wielkiego ołtarza, spoczęły już zwłoki ojca Bolesławowego Mieszka; i on też sam zawczasu tu dla siebie grób sposobić kazał, chcąc leżeć obok rodzica. Dnbrauka, matka Bolesławowa, w katedrze gnieźnieńskiej, którą wzniosła, spoczywać chciała.

Zmieniło się tu wiele od skromnych owych pierwszych czasów, gdy rzemieślników brakło i staremi się domowymi sprzętami obchodzono. Owe sta pancerników Mieszka urosły teraz na tysiące, skromna gromadka dworzan pańskich, w rój ogromny wspaniałego dworu się rozmożła. Każdy poczet wojsk królewskich, zbroją teraz osobliwą, orężem i barwą sukni szczególną się odznaczał. Ani cesarskiej straży zbrojnej bolesławowska nie następowała.

Wojennego pana, który większą część żywota spędził w polu i na koniu, od Moraw do Bałtyku, odzyskując i zawojowując ziemie, aby ze słowiańskich plemion wielk jedno wielkie stworzyć państwo (czego ojciec pragnąc, dokonać nie mógł), wojennego pana dwór też cały był rycerski, zamek żołnierzem się roił, roił duchowieństwem, posłami ze wszech krajów i nieustannym gości napływem. Z Rusi, Moraw, Czech, Chrobacy, Węgiei, od pogańskich jeszcze plemion słowiańskich,

nienastannie szli tu, jedni prosić, drudzy przeproszać, kłaniać się, dary nieść, łaski jednać.

Gromadnie, ludno, gwarnie było na zamku wielkiego króla, a ci, co dawniejsze pamiętali czasy, poznać go teraz nie mogli.

W tej izbie wielkiej, w której niegdy władcy ków polni Mieszko przyjmował, dziśby swych gości codziennych król Bolesław nie posadził i polowy. Dla nienastannego ich natłoku, musiano obok zamku wzniesć gmach osobny, rozległy, którego izby, na słupach pośrodku sparte, czterdzieści stolów gościnnych, powszednich dni zastawianych, pomieścić mogły.

Gromada też podkomorznych, komorników, stolników, cześników, podczaszych i wszelkich urzędników dworskich czuwała nienastannie, aby królewscy goście po królewsku byli przyjmowani.

Większa część dworu pańskiego, gdy na przyjęcie cesarza Ottona III gwoździ obyczajowi zachodniemu, na sposób włoski i frankoński przebrana została, później też, dla endzoziemców i okazałości większej, w stroju tym chodzić musiała. Czeladź więc i pacholeta, ówczesną modą strój miała przepolowiony na dwoje, tak, że jedna jego strona czerwona barwą, druga żółtą była, i kaftan rękawy miał różne, a przez plecy rozcięty był napół. Nie ujrzałeś już tam teraz dawnego obuwia sznurowanego, tylko buty i trzewiki, których końce skówkami lśniącemi były nasadzane, a boki szyte

kwiecisto. Co dostojniejsi ze dworu łańcuchami na szyjach się odznacжали, a płaszcze wszystkie złotem lamowane, srebrem naszywane być musiały.

Przepych widać było wszędzie, bo go król lubił i rad na swym dworze oglądał, aby od innych pośledniejszym nie został. Uzbrojenie też dawniej proste, wykwintniejszém było u Bolesława i jednostajnem. Jednego żołnierza w jeździe nie miał król, któryby cały od stóp do głów pancerzem skórzanym, luską żelazną naszywanym nie był okryty. U starszyny, przy takichże hełmach, okutych żelazem, purpurowe i białe powiewały kity.

I tarcze też pieszaków świeciły gwoździ i błyszczały blachami, a po znakach ich każdy poczet i ziemię odgadnąć było można.

Zostały dzidy i młoty, a mieczów żelaznych przybyło, leżały ich całe komory, aby ludzi każdego czasu tysiące można uzbroić.

Nie jeden też na grodzie mieścił się dwór królewski, miała swój oddzielny królowa Emmilda, owa święta pani, córka Dobromira, którą już trzecią król zaślubił, a nad wszystkie swe szanował i kochał. Często też Mieszko syn Bolesławów i młodszy Dobromir a starszy od nich Bezprym, z królowej węgierki narodzony, i córki pańskie tu przebywały, a żona Mieszkowa, siostrzenica cesarska Ryksa i wielu książąt sprzymierzonych i pokrewnych, tak że coraz obszerniejsze gmachy zamkowe czasem ich ledwie mogły pomieścić, nie-

kiedy nie mieścili. W podwórcach, jak na targu w uroczyste dnie, w dzień i nocą przebieć się było trudno przez tłumy.

Musiano też część dziedzińca szuurami odgrądzać, aby codziennym turniejom i zabawom rycerskim, jakie pod okiem pańskim dla rozrywki się jego odbywały, plac zostawić swobodny.

W chwili gdy Miklasz Jaksa, za sobą prowadząc ciało ojca, wjeżdżał w bramę zamkową i oczy wszystkich się nań zwracały, komornicy królewscy postrzegłszy wziętego trupa, z którymi w podwórzec wprost jechali, ulękli się wielce. Nie śmieli powstrzymać, ale wnet oznajmiono starszemu nad dworem, którym był Siciech, aby króla uprzedził, lub rozporządził co należało.

Wybiegł więc zaraz Siciech ów, pan poważny, w czarnej sukni dostatniej, z łańcuchem na szyi, w kołpaku sobolim, z laską kutą w rękę, aby się sam dowiedział, coby to oznaczać miało, i pochód już ku drzwiom murowanego gmachu dążący zatrzymał.

Musił mu się Miklasz tłumaczyć, w jakim od umarłego jechał poselstwie. Przykazawszy mu stanąć, Siciech pospieszył do króla, który z ulubionym sobie opatem tynieckim Aronem na osobności się zabawił.

Przeszedłszy komnat kilka, Siciech u drzwi pańskich oznajmił się kaszlem i lekkim laski o ziemię uderzeniem.

Król w sypialni swój odpoczywał. Ogromny ogień palał w kominie z kapturem, przed nim Bolesław w krzesło poduszką nakrytém siedział.

Był już naówczas wielki ów podbójca i wojak niezmordowany, nieco wiekiem ocieźzałym. Ciemny, bujny włos kędzierzawy, okrywający mu głowę, siwizna gdzieś gdzieś srebrzyła, odkryło się wspaniałe czoło, które troski porwały. Twarz pełną, ogorzałą, rumianą, dwoje oczów ciemnych zdawało się niemal całą wypełniać, tak wzrok ich gasił i ścierał, co się na niej innemi wyrażało rysy. Ust niewiele widać było pod wąsami i brodą, wybujałą szeroko. Pierś wydatna, rozłożyste ramiona, przygarbione nieco, całe ciało bujno i silnie rozrosłe, uczyniłyby zeń olbrzymą, gdyby wzrost odpowiadał ich rozmiarom. Otyłość przyszyła z wiekiem i ciężarem swym nużyła staro bohatera.

Kożuch soboli jedwabiem pokryty stanowił ubiór cały. Z pod niego widać tylko było bieliznę cienką i miękkie na nogach buty futrem bramowane.

Obok krzesła królewskiego stał mężczyzna w czarnej sukni długiej, wzrostu słusznego, chudy, twarzy bladziej, poważniejszej a myślącej. Włos krótko obcięty, wygolona korona, krzyż złoty na piersiach oznaczały duchownego. W rysach jego czytać było trudno, choć jak zagadka nęciły tajemniczym swym wyrazem. Bystry tylko rozum zdradza-

dział wzrok biegający żywo. Król znać go słuchał, gdy Sieciech, uchyliwszy drzwi, z niskim pokłonem do sypialni się wsunął.

Na obliczu pańskiem dostrzedz było można nieco zniecierpliwienia, ale stary Sieciech, który pana swojego znał dobrze, a wiedział, jak sobie z nim poczynać, bynajmniej się tem nie poruszył, choć brwi groźnie się ściągające i oczy w siebie wlepione zobaczył.

Pogładził ręką brodę, nie spiesząc z uową, król ciągle zwrócony doń, czekał, jakby pytając wzrokiem: Cóż mi powiesz? — Lecz milczał ustami. Na twarzy widać było jakby drgania myśli, która po głowie się sunęła.

Opat Aron pilno się téż wpatrywał w przybyłego, zawiesiwszy przerwaue opowiadanie.

Sieciech w końcu krok uaprzód postąpił powoli, jakby rozmyślał, od czego zacząć.

— Przebacz, miłościwy królu — odczwał się rękę spuszczając ku ziemi — musiałem wczas miłości twój przerwać wchodząc... w podwóren nieboszezyk domaga się twój łaski i posłuchania...

Król i opat zdziwieni tą mową, głowy podnieśli, spojrzeli po sobie.

— Tak jest, miłościwy panie — kończył Sieciech spokojnie i powolnie. — Stary sługa królewski Janko Jaksa z Niemierzyszcz jechał prosić łaski i zmiłowania pańskiego, a w drodze umierając trupa swojego synowi tu przywiczć kazał,

aby on u miłości pańskiej o przebaczenie błagał dla synów... Syn z ojca zwłokami stoi przede drzwiami... ludzi gromady się kupią...

Na twarzy króla, który słuchając brwi strasznie ściągnął, odmalował się gniew okrutny; oczy poczęły ciskać pioruny, rękę ścisnął i uderzył nią w poręcz siedzenia, lecz słowa zrazu nie rzekł, poglądając na opata.

Opat Aron stał niemy, nie okazując po sobie ani co czuł, ni co myślał.

Sieciech z głową spuszczoną na odpowiedź czekał.

— Syna mi tu prowadź! — zawołał Bolesław nie wstając.

Sieciech pokłonił się na znak posłuszeństwa i natychmiast odszedł.

Król i opat patrzali na siebie. Bolesław zdawał się wyzywać zdania duchownego, ksiądz czekać na to, co król powie. Trwało długo milczenie, w ognisku tylko płomień syczało i iskry z niego przyskały.

Tymczasem kroki idących słyszeć się dały. Błady Mikłasz Jaksa stał w progu chwilę, a potem się na kolana rzucił przed królem.

— Miłościwy panie!.. — począł.

— Wiem wszystko — przerwał, rękę ciągle ściśniętą podnosząc, król — wiem wszystko... Stary Janko z grobu przychodzi prosić za krwią swoją... ale ja... przysiągłem, że nie przebaczę. Każę po-



czestny pogrzeb sprawić sławnemu rycerzowi, a ich głowy jutro rano spaść muszą... i spadną!..

Usłyszawszy ten wyrok, Miklasz wstał powoli. Zdało się, że dumna starego Jaksów rodu już mu do dalszego błagania nsta zamknęła. Nie rzekł nic, nie prosił więcej.

Król głowę opuszczył na piersi i ręką dał znak. Miklasz, nie uchyliwszy nawet czoła, wolnym krokiem wyszedł z sypialni.

Za nim wzrok królewski pociągnął i gdy zasłona zapadła, długo się na niej zatrzymał. Słychać było ciche, niepewne odchodzącego kroki, które coraz się oddalały... W kominie płomień sycało i iskry z niego przyskaly.

Z założonemi na piersi rękami opat stał, oczy w ziemię wlepiwszy.

I trwało milczenie grobowe. przykre, którego ani król, ani duchowny przerwać nie śmiał, chwilę jak wiek długą. Z podwórców niby koni tentent glnchy i gwar jakiś stłumiony dochodził, a potem cisza zaległa gród... i ognisko tylko mówiło coś samo, niezrozumiałym językiem...

III.

Chociaż na dworze zmierchało, niezwykajny widok, około siedzącego na koniu trupa starca coraz liczniejsze gromadził tłumy.

Przed wszystkimi drzwiami dworców, po przedsieniach stały niewiasty załamując dłonie, pokrzykując ze strachu i podziwu. Pacholćkowie i rycerstwo się cisnęło, aby starego Janka zobaczyć raz jeszcze.

We wszystkich sercach litość się budziła. Niecierpliwie oczekiwano królewskiego słowa, a choć znano nieugiętą jego wolę, choć już prośby królowej były nadaremne, spodziewano się jeszcze, że ten jęk z za grobu do serca pańskiego przemówi i zmiękczy je...

Gdy z głową na piersi zwieszoną wyszedł wreszcie Miklasz i ukazał się w przedsieni, po-

grążony w smutku, z rozpaczą na twarzy, domyślili się wszysey, iż i trup nie mógł nie.

Szmer jakiś smętny, bolesny przebiegł z ust do ust, niewiasty sobie oczy pokrywały, mężczyźni, ucie śmiejąc ucie rzec, z pośępnemi twarzami oddalać się zaczęli.

Miklasz namyslać się zdawał, wreszcie, choć go wielu towarzyszków, stojąc mu na drodze, zaczępiąło słowy i oczyma, milczący poszedł do konia, siadł nań i ludziom znak dał, aby za nim nazad jechali.

Już siedząc nawracał, gdy z dworca królewskiego wyszedł opat Aron, przed którym co żyło nsnwać się, kłaniać nisko poczęło. Niektórzy biegli, cisnęli się i przyklękając w rękę go całowali. Widać było, jak bardzo szanowano królewskiego ulubieńca.

Żywym krokiem podszedł opat ku Miklaszowi

— Stój — rzekł — miłościwy pan a król nasz dla winnych tylko jest snrowym... laskiście jego nie ntracili. Pogrzeb ojca waszego kazano na zamkowym odbyć kościele... Jedźcie wprost do tumu...

Miklasz słuchał milczący.

— Ojciec mój — rzekł — to uczynię ze zwłokami rodzica mojego i pana, co by on z sobą żyw uczynił, gdyby mu król dla rodu jego miłosierdzia odmówił. Powiozę je ztąd... powiozę do pierwszego ementarza i złożę w pierwszym ko-

ściele, jaki na drodze znajdę. Zhańbiona rodzina nasza, co łaski pańskiej nie była godną, ni zmarła ni żywa progu już zamku tego nie przestąpi... Taka była zmarłego wola...

Surowym wzrokiem zmierzył opat mówiącego i długo się weń wpatrywał. Nie sprzeciwił mu się, aby bólu nie jątrzyć.

— Miklaszu Jakso — rzekł pocichu — czyńcie jako chcecie... ale rozważcie dobrze co czynicie... komu wydajecie wojnę...

A głos zniżając dodał. — Ja z wami dziś jeszcze widzieć się potrzebuję, dla dobra waszego...

Młodzieniec skłonił tylko głowę i pochód żałobny, na dany przezeń znak, ruszył z grodu powoli, a opat, oglądając się, krokiem ociężałym odszedł ku tinnowi.

W podwórzu zostały tylko cicho gwarzące kupki ludzi, oczyma wiodące za Jaksami, poczynając się zwolna rozpraszać i rozchodzić w różne strony, jakby przybite żalem i trwogą.

Od przywiezienia na gród dwu braci poruszenie tu było wielkie. Mieli oni mnogich przyjaciół, a nie jeden z dawnych towarzyszków w wyprawach, który miał może na sumieniu daleko więcej niż to, za co oni głowami płacili, czuł się niespokojnym. Dawno już króla Bolesława nie widziano tak gniewnym, tak zapaleczwym, tak strasznym. Takim tylko bywał niegdy, na placu boju, gdy dwa wojska stojąc po dwóch rzeki

brzegach, wzajem się łając wyzywały do walki, dopóki gniewu krwią nie ngasił.

Królowa Emuilda zawsze biorąca nieszczęśliwych stronę, i tym razem chodzila paść do nóg męża, aby życie skazanych uprosić, Bolesław słuchać nie chciał jej nawet, z groźbą i fukiem odprawił.

Dano zaledwie czas osądzonym do następnego ranka, aby się na śmierć przygotowali przykladnie; zdawało się już, że żadnej nie było nadziei i nie ich uratować nie może.

Na dworze królowej smutek ztąd i żal był wielki. Emuilda siedziała z rękami na kolanach złożonych, zamysłona, zapłakana. Pani to była nie pierwszją już młodości, lecz jeszcze postawy i lica, które dawniejszego szlachetnego wdzięku zachowało ślady wyraźne. Rysy regularne i czyste nie zmieniły się, głębiej tylko zapadły oczy, kilka zmarszczek je otaczało, a dokoła nst uśmiechy i płacze wydeptały drogi, któremi naprzemian chodziły. Wiek na ślicznej jej twarzy rozlał pokój chrześcijański, rezygnacją pobożną i smutek łagodny, jaki przystał człowiekowi na tym płaczu padole. Były one nowym wdziękiem i nrokiem, który młodość zastępował.

Pobożna pani sama siedziała u gasnącego ognia, krosna jej i robota porzucone w nieładzie, świadczyły, że niedawno od nich odeszła.

Dwie służebne przez drzwi zasłonięne z drugiej

komnaty zaglądały po cichu, nie dając znać o sobie najmniejszym szelestem i nie przerywając spoczynku. Izba królowej, której ściany całe zawieszane były obiciami, przez nią szytymi, pełną stała oznak i godeł pobożnych. Krzyże na wszystkich stołach u ścian widać było, kropielnica bronzowa wisiała u drzwi. Królowa ocierając łzy, długoby tak w myślach zatopiona pozostała, na siedzeniu, w nieruchomym odrętwieniu, gdyby w tej chwili z za zasłony stłumiony płacz nie dał się słyszeć.

Głos ten poruszył ją i przestraszył, tak, że nagle się zerwawszy, pobiegła do drugiej izby, w której już znowu cicho było. Odsłoniwszy oporną ciekawemi oczyma poczęła się po niej rozglądać.

Druga komnata, przytykająca do tej, w której królowa Emmilda przy pracy dnie spędzała, nieścisła zwykle gotową na rozkazy służbę jej niewieścią.

I teraz też nie było tu nikogo, krom trzech młodych dziewcząt, z których dwie cuciły trzecią, napół omdlałą na ławie u ściany. Ujrawszy królową wchodzącą, zaplakana z trudnością podnieść się usiłowała, dwie jej towarzyszki stały pomniejszając i milcząc. Królowa zdawała się nie pojmować, co tu pod jej bokiem stać się mogło. Szła ku osłablój, gdy ta nagle, składając ręce i podnosząc je do góry, padła przed nią na kolana.

Błagająca ta, rozłzawiona dziewczę, była młodą i bardzo piękną. Szafirowe jej oczy, ciemne włosy, śnieżna pleć, smukła i gibka postawa, czyniły ją zarazem poważną i wdzięczną. Ubrana ciemno, z długimi warkoczami, spadającemi na ramiona, piękniej i kosztowniej przystrojona była niż jej towarzyszki i zdawała się też wyższego nad nie pochodzenia. Złote sprzążki, łańcuchy, iglice, naszyjniki odbijały świetnie od ciemnego stroju i włosów.

Była to jedynaczka, córka ochmistrza królewskiego, Sieciecha, Teodora, wychowana od dziecka na pańskim dworze, a Emmildzie jak własna córka ulubiona. Królowa też przyczyny tych łez i rozpaczę pojąć nie mogła, bo pieszczone dziewczę nigdy się skarżyć na nikogo nie miała powodu. Kochali je wszyscy. Teodora zachodząc się od płaczu, padła na ziemię i poczęła obejmować stopy królowej.

— Ocal go, miłościwa pani! ocal go... albo i mnie niech razem z nim stracą... — zawołała lękając.

Zarumieniona Emmilda usłyszawszy to, skinęła na towarzyszki Teodory, aby wyszły i zwołała podnosząc ją z ziemi spytała łagodnie.

— O kim mówisz, dziecko moje... ja cię nie rozumiem...

Lzy nierychło się jej wytłumaczyć dały, żal też i srom utrudniał wyznanie.

Z rozmowy i słów urywanych dorozumiała się królowa, że od dwóch już lat pomiędzy piękną córką Sieciecha a Jurgą Jaksą, w czasie świąt obchodzonych na grodzie, związał się miłosny stosunek.

Jurga był tak pięknym młodzieńcem, jak Teodora śliczną dziewczką, charaktery obojga podobne, wesołe myśli, serca gorące, zbliżyły ich ku sobie. Jurga ile razy bywał w Poznaniu, acz się na dworze nie pokazywał, zawsze znalazł sposób zbliżenia się i widzenia Sieciechówny choć zdaleka. Poeciemu zapowiedział jej już swaty. Później nieopatrzność młodzieńcza, nieszczęsna ruina i zubożenie wstrzymały je; na dworze już o wszystkim wiedziano. Dziewcze gotowe było iść choć za ubogiego, lecz byłżeby ją dał ojciec? Jurga więc czekał wojny, łupów, poprawy w domu, lepszego czasu... i Teodora czekała... Nagle dowiedziała się, gdy sobie śniąc o przyszłości obiecywała szczęście, że Jurga został na śmierć skazany. Rozpacz ją ogarnęła. Zabyła wstydu niewieściego i do królowej pobięła, jak do matki.

— Dziecko moje — odczuwała się wysłuchawszy Emmilda — nim wiedziałam o tém, że Jurga bohaterem był twoim, chodziłam upaść do nóg króla, płacząc prosiłam go za nim, ale nie pomogło nic...

— Miłościwa pani, matko moja! — krzyknęła Teodora ręce zalamując nad głową — jeżeli on zginie, ślijcie mnie do Dziewina, do Merseburga,

gdzie chcecie, pozwólcie zamknąć się w klasztorze. Już ja świata znać nie chcę i żyć nie mogę, jeśli go nie ocaleę...

— Bóg tylko jeden ocalić go może! — odparła Emmilda i łzy popłynęły z jej oczów. — Uspokój się dziecko moje — dodała — uczynimy jeszcze, co jest w ludzkiej mocy...

Dziewczęta służebne, którym odejść kazano, musiały pewnie przestraszone rozpaczą Siciechównę, pobiedz dać znać jej ojcu, i w chwili, gdy królowa wychodzić miała, Siciech stary zjawił się w progu nychylając oponę. Ujrawszy córkę zapłakaną, dziecko jedyne, z rękami podniesionemi rzucił się ku niej przestraszony; klęczała jeszcze na ziemi.

Teodora, której niebezpieczeństwo dodawało odwagi przed ojcem, ujrawszy go, na twarz upadła.

— Ojciec mój rodzony! — zawołała, nie tłumacząc mu się jaśniej — ty masz łaskę u króla, starym jesteś jego sługą... ty wyproś, ty wybaw go od śmierci!..

Zdumiony ojciec, dla którego dotąd wszystko było tajemnicą, obrócił się do królowej.

Z jej ust dopiero usłyszał, o kogo Teodora prosiła, spuścił głowę siwą i stanął jak skamieniały.

— U króla!.. u króla wyprosić łaskę, gdy poprzysiągł... — szepnął głosem złamanym — tego

pani nawet nasza, ani opat Arou, ani święty nasz męczennik Wojciech, gdyby z grobu wstał, nie potrafiłby pewnie... cóż ja?

Gdy spadną ich głowy, a gniew się pański uśmierzy, gdy król ochłonie — a! zaprawdę — posłyszemy może, jak to już nieraz bywało, żal i ból po czasie. Alłści one nie wskrzeszą.

Teodora ciągle na ziemi leżąc, twarz sobie zakrywszy rękami, zanosiła się od lez i lkania — jęki jęj stokroć wymowniejsze były niż słowa.

Zadumał się Siccicch — królowa tulić i pocieszać ją zaczęła, lecz wszyscy z nią razem płakali...

Trwało to dość długo, gdy dziewczę, które się zdało bezmyślne i z bólu zdrętwiałe, zerwało się nagle, oczy jęj zaczerwienione, ale oschle z lez błyszczały ogniem jakimś i męztwem wielkiem — chwyciła za rękę królowę i namiętnie całować ją zaczęła.

— Pani moja miłościwa! słyszeliście co mówił ojciec, on króla zna... król sam straconych będzie żalować. Odważ się pani! ocalmy ich, mimo wiedzy króla... dla niego samego — ocalmy ich!...

Rzuciła się znouu na kolana.

— Wiem, słyszałam — mówiła — że ich w więzieniu tracić mają.

Nikt wiedzieć nie będzie... Ty rozkazać możesz, niech kat rękę powstrzyma, niechaj zo-

staną w ukryciu, w więzieniu, aż się gniew pański uśmierzy. Nikt ciebie pani nie zdradzi, bo cię miłują wszyscy... król nie spyta.

Gdy śmiało dziewczę gorączkowo wymawiało te słowa, Siciech i królowa zamilkli strwożeni na samą myśl nieposłuszeństwa, temu, który cień jego nieznosił; którego gniew był jak piorun, bijący choćby w kościoły.

Emnilda milezała długo.

— Dziecię szalone — rzekła powoli — wiesz że ty czego śmiesz żądać odemnie? Przy starym Siciechu wszystko powiedzieć mogę.

Dałam dwóch synów królowi, nie sprzeciwiałam się nigdy żadnej woli jego, jak niewolnica byłam mu posłuszną — ale i dla mnie z latami serce jego ostygło — nie jestem już dla niego ukochaną i jedyną. Szanuje mnie, ale powabniejszych twarzy szuka... Gdybym stała mu się nieposłuszną, radby się może był mnie pozbyć, jak się zbył matki Bezpryma i córki Rygdaga — co ją poprzedziła...

Na siebiebym wyrok wydała — i na sumienie jego...

Spuszczając oczy, smutnie wyrazów tych dokończyła królowa i stali wszyscy niemi. Siciech dumał, boleść córki kazała mu szukać ratunku, gdzie już żadnego nie było.

— Miłościwa pani — odczuwała się — próżne są obawy wasze — krewkim jest pan nasz, ale

serce ma dla was zawsze i poszanowanie... któż wie, ażaliby wdzięcznym nie był, żebyś go od własnego gniewu uratowała??

Zamyśliła się trwożliwie królowa.

— Któż wie? kto wie? — powtórzyła cicho — życie dwóch ludzi, którzy za grzechy swe odpokutować czas będą mieli, czy nie więcej warto niż mojego szczęścia ostatek?

Mieszko i Dobromir już matki nie potrzebują. U dworu młoda Ryksa mnie zastąpi... synowa.

Znowu lzy z oczów się potoczyły.

Ta iskierka jakiejś nadziei w szal wprawiła Teodorę, przyczłgała się do nóg królowej i ścisnąć a całować je poczęła. Sieciech stał niemy nieśmiając ani namawiać już, ani rzec słowa za niemi.

Emilda zbliżyła się doń i szepnęła:

— Proście do mnie ojcza Arona, a ty — zwróciła się do córki Sieciechowej — odejdz ztąd, uklęknij i módl się... Wszystko jest w bożej mocy — ale bożej woli nigdy się sprzeciwiać nie godzi. Idź — dziecko moje, w pokój...

To mówiąc wróciła królowa do pierwszej komnaty i wprost do klęcznika swego doszedłszy, padła na kolana, poczynając się modlić gorąco.

Długi dość czas upłynął, nim powołany Opat oznajmił przyjście swoje — wpuszczono go natychmiast do królowej.

— Ojcze mój! — rzekła przystępując doń drżąca — rady twojej proszę. Radźcie nie jako kró-

lowej, ale jak ubożuchłej chrześcijańskiej niewieście...

Godzi się dla ocenienia żywota ludzkiego kłamstwo popełnić??

Zdumiony Opat stał chwilę milezący — zdawał się chcieć odgadnąć myśl i zastosowanie, jakie odpowiedzi jego nadaniem być miało.

— Miłościwa pani — rzekł po namyśle — Ojcowie kościoła nawet, są w tym względzie różnego zdania. Sumieniowi spowiednika, rozumowi kapłana zostawia kościół ocenienie czynu... Bóg waży tajemne myśli człowiecze, ludzie sądzą postęпки.

Emmilda wpatrzyła się w Opata, który stał nieruchomy.

— Wyznam ci jak na spowiedzi — rzekła — kuszona jestem, abym dla ocalenia żywota, dwóch porwywco przez króla skazanych młodzieńców, kłamstwo popełniła i ludzi do popełnienia go skłoniła. Wy wiecie, ojcze o kogo chodzi! Są to dzieci znacznej rodziny, która króla odstąpi i gniewną nań pozostanie, albo się z całym mieniem z kraju wyniesie, srom mnosząc z sobą.

Król sam później pożalować może, iż na śmierć ich skazał. Mamli ja ważyć niełaskę mojego pana! wziąć grzech na sumienie, ażeby spełnić miłosierny uczynek?

Zimne i nieporuszone oblicze opata, przebiegło jakby drgnienie jakieś niedostrzeżone; widocznie

tknięty był tak wielką królowej ofiarą, tak serdeczną i piękną.

Patrzal na nią ze zdumieniem, poszanowaniem i z niedowierzaniem razem.

— Wiem ja co czynię — dodała Emmilda — wiem, że moja zwiędła twarz naprzykrzyła się już może panu mojemu, że nieposłuszną może mnie wygnać z przed oczów swoich. Jedyne szczęście moje, dzieci i jego postradać mogę — ale nie nakazałże Chrystus Pan nasz i Zbawiciel, ofiary czynić z siebie, tak jak on sam za nas się stał ofiarą??

Opat słuchał zdumiony — powoli głowę pochylił uchylić przed królową... ręce na piersiach założył, cofnął się krok...

— Nie grzech popchnisz, miłościwa pani — rzekł — ale zasługę mieć będziesz u Boga. Sumienie twe mocą kapłańską rozwiąznę.

Lecz... choć królowej naszej, choć pani — choć żonie wielkiego Bolesława, znajdzieź się człowiek tak śmiały a tak pobożny, coby chciał być posłusznym?

Ważysz, miłość wasza — wiele, a no ten co cię posłucha, wbrew rozkazowi pańskiemu, więcej jeszcze ważyć musi — głowę i życie.

Nim domówił tych słów opat, na twarzy królowej radość zabłysła.

— Ojcie — zawołała — to sprawa moja — ja sama odpowiem za wszystkich, ja jedna będę winną.

To mówiąc zdjęła z palca pierścień kosztowny.

— Na pamiątkę dnia tego — rzekła — przyjmijcie maly ten dar odemnie. Daliście mi męstwo, przynieśliście nspokojenie — Bóg niech wam zapłaci.

Zawahał się opat dar przyjmując, lecz zmusiła go Emmilda, aby nie odmawiał.

— O tajemnicę was nie proszę — dodała w końcu — od niej ich życie zależy i — moje! Czas upływa...

Opat odechodził zamyślony, gdy królowa Emmilda znikła już z komnaty, szelest tylko jej sukni obróciwszy się usłyszał i drżącą zobaczył we drzwiach opone.

Noc była nadeszła. Na zamku cisza panowała...

Więzienie, do którego rzuceno dwóch Jaksów, opodał od dworców znajdowało się do wałów przyparte. Były to ciemnice, na pół w samym nasypie ziemnym skryte, z ogromnych balów sosnowych wybudowane. Ciężkie wrota okute, a w nich mniejsza furta, zaryglowana silnie, wiodły do izb dla więźniów przeznaczonych. Wzdłuż od strony wnętrza zamku ciągnęła się długa, wązka szyja, poprzecinana gdzieniegdzie małemi okienkami, w które zaledwie ręka by przecisnąć się mogła. Z tej szyi, kilkanaście drzwi, dragami pozasuwanymi, prowadziły do ciemnych izb wilgotnych, w których zamknięci byli więźniowie na śmierć

lub dożywotnią skazani niewolę... na długie lata powolnego konania.

Srogi obyczaj owych czasów, potrzeba surowości dla ludzi na pól dzikich, okrucieństwo, które po sobie wojny i pogaństwo zostawiło — zmuszały do takiego niełitośnego obchodzenia się z winowajcami.

W jednej to z tych izb, niegdyś, przed laty — z rozkazu Bolesława oślepieno Odyłona i Prybuwoja — tu czas jakiś, oślepiouy także męczył się Bolesław Rudy, niegdyś królik czeski... tu, wiehi innych, których imiona zapomniane zostały, dokonali żywota, ale bo po długiej męczarni, wypuszczeni na swobodę, kryli się gdzieś daleko. W większych izbach po kilku skazanych siedziało, w mniejszych po jednym. Gdy wyrok padł na którego z zamkniętych, kat pod drzwi jego toczył pieniek krwawy, który zawsze w szyi ciemnicy, stał pogotowin; pacholćowie wnosili pochodnie i ciężki topór, jednym cięciem głowę od kadłuba dzielił. Wór piasku wysypywano na toczącą się krew, wynoszono trupa po cichu, drzwi kaźni zostawiano otworem, aby woń krwi miała czas ulecieć, nim nowego wtrącono do więzienia.

Tak się działo naówczas, gdy miłosierdzie królewskie sromu chciało oszczędzić rodzinie, lub sobie przykrego widoku. Niekiedy ofiarę wyprowadzano na plac i w oczach tysiąca ludzi, czyuiono z niej przykład dla drugich.

W jednej z tych izb właśnie, u trzecich drzwi od wnijscia, na garści słomy, w ciemnościach leżeli teraz Jurga i Andruszka. Znosili oni mężnie niedolę swoją, już się nie spodziewając ocalenia.

Dwa razy kapelau królewski przychodził spowiadać ich i do skruchy nakłaniać. Niepotrzebowali oni namowy jego, dawno wytrzeźwieni z chwilowego szalu, biedni młodzieńcy, patrzali mężnie na to co ich czekało. W tej ostatniej godzinie serca się im otworzyły i oczy. Oba się winnymi czuli, a poczeiwa miłość braterska wzmagala się jeszcze. Jurga siebie obwinił, Andruszka, jako starszy winę kładł na się, każdy gotów był na śmierć z rozkoszą, gdyby nią mógł brata ocalić.

Leżąc na słomie obok siebie trzymali się za ręce i liczyli chwile pozostałe. Za każdym szelestem w podziemiu zdawało się, że oto krwawy pieniek o drzwi uderzy i oznajmi: na śmierć isć pora.

W więzieniu ciemność panowała bezdema; żaden najslabszy promyk do niego nie wdzierał. Cicho też było jak w grobie, najmniejszego szelestu. Straż stała na zewnątrz, w szyi ciągle prawie było pusto.

— Gdyby król nas był dopuścił do siebie — Andruszka — gdyby mi przed sobą mówić pozwolił, pewien jestem, że łaskębym był dla ciebie wyprosił. Tyś młodszy, przy mnie władza była,

starszeństwo — jam za dwn sam odpowiadać powinien.

— Andruszko, bracie, — zawolał Jurga — jakże ty pomyśleć możesz, że ja bym żyć chciał, kupiwszy bezkarność krwią twoją. Miłe mi życie, miłe to pewna.

Kocham Siciechównę... śmiał mi się w niej świat — a jednak i jej i jego niechciałbym bez ciebie.

— Wspomniałeś córkę Siciecha — możnego ona ma ojea — rzekł starszy — gdyby ci sprzyjała, onaby przez niego dla ciebie coś potrafiła uczynić.

— Nie — odparł Jurga — czyż króla nie znasz? alboś go to nie widział w boju i pod lipą, gdy sądził? — i gdy go wróg rozsierzdził? Naówczas on litości nie zna i opamiętania nie ma.

A nie rychło ochłonie!

— Cicho — nie mów na niego nie — wtrącił starszy.

— Jużci się go teraz więcej bać nie mam potrzeby — porywco odparł Jurga — chybaby mnie końmi rozszarpać kazał... a głowę muszę dać, czy tak czy tak!

— Nie dla strachu to mówię — westchnął Andruszka — a no, dla tego, że choć on mi życie bierze, ja go nie winię. Sędzia i król — kto wie? w jego miejsen jabym też może kazał ściać Andruszkę, a Jurgę tylko z żywotem puścił.

Uciszyli się z rozmową, bo koło drzwi coś się skrobać poczęło.

Przez szpary zabłysło światelko słabe, odpadł drag, stróż więzienny, którego niewiadomo dla czego zwano Rybą, wsmał się do lochu, z pękiem łuczywa w ręku.

Człek był takiego wzrostu, że musiał nieco przygięty stać w izbie podziemnej, której dyle nisko leżały... Głowę miał krągłą, kudłatą, z oczyma białemi siedzącemi na wierzchu jak u żaby.

Na gołe ciało okryty kozuchem, z nogami skórami poobwiązanemi do kolan, straszny był jak kat, którego też obowiązki nie jeden raz musiał sprawować.

Gdy kogo udusić przykazano, zwykle Ryba się podejmował, w szerokie żyłaste dłonie ująwszy gardło, niewiele czasu potrzebował, by ofiara bez tchu u nóg mu padła. Naówczas patrzył i śmiał się uradowany, że mu to przyszło tak łatwo.

Zwykle chodził jakby senny, powoli, milcząc, oczyma żabiemi ofiary swe mordując powoli, nim je ręką tknął jeszcze.

Gdy Ryba wszedł, bracia mimowolnie przycisnęli się do siebie, dłonie ich mocniej się ujęły, serca uderzyły — sądzili, że już po nich przychodzi. Stróż za siebie wziął przy otwieraniu zostawiony za drzwiami dzbanek i kawał czarnego chleba, którym był pokryty... Nie mówiąc nic

przysunął go do barłogu i ręką czarną wskazał.
Andruszka nań popatrzał.

— A co nam po tém — zamruczał — wszak dziś?..

Ryba zmierzył go oczyma i dwa szeregi zębów ogromnych błysnęły z za warg wypakłych, ramionami ruszył, głową strząsnął, nie odpowiedział nic, odwrócił się tyłem i powłókł do drzwi, które, zatrzasnąwszy już, miał drakiem zawalić, gdy szept u wnijscia jakiś dał się słyszeć, wruczenie, niby krótka jakaś sprzeczka. Drąg opadł znown, światło wróciło i opat tyniecki w czarnym długim płaszczu, wszedł wolnym do więzienia krokiem. Ryba podniósłszy lucywo do góry, przyświecał w progu, z miejsca się nie poruszając.

Oba bracia na widok duchownego powstali. Znali go dawniej na dworze króla, bo któż nie znał opata Arona, który u Bolesława był, jak on sam mawiał, pierwszém okiem w głowie.

Wchodząc odezwał się opat, że im pociechę chrześcijańską przynosi, i spytał, ażaliby co rodzinie do przekazania nie mieli, lub prośby jakiej przedśmiertnej, której by zadość mógł uczynić.— Mówiąc to, znacząco spoglądał dziwnie na stróża.

Niezrozumiale to były zaprawdę odwiedziny, gdyż Jaksowie już przez kapelana królewskiego na śmierć przygotowani i wypowiedani byli, a jemu też wszystkie swe zlecenia przekazali.

— Mój ojciec — rzekł Andruszka smutnie — nie pozostało nam o nic prosić, chyba o modlitwy za dusze nasze.

— To obowiązek kapłański — odezwał się opat. — Wprawdzie — dodał — nadziei mieć trudno, tam gdzie żadne prośby ani żywych ni umarłych, nie pomogły nie — przecież człowiek do ostatniego tchnienia w miłosierdziu bożem i cudach opatrzości powinien mieć nadzieję.

Słowa ostatnie wymówił opat z naciskiem jakimś i znacząco, a więczej jeszcze nad nie, wzrok jego mówić się zdawał. Andruszkę tylko uderzyło to, że opat wspominał prośby umarłych!

— A któż umarły mógł wstawiać się za nami? zapytał ze smutnym nśmiechem. Ludzie z grobów nie wstają.

— Tak było — zaczął mówić opat — i słuszną jest rzeczą, byście dla pociechy waszej o tém wiedzieli. Stryj wasz Janko, starzec dogorywający, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które rodzinę dotknąć miało, mimo wieku i choroby, na koń kazał się wsadzić, i jechał do króla prosić za wami. Jechał dniem i nocą do Poznania, a zmarł w drodze i umierając synowi polecił, by go trupem zawiózł przed króla, i trup jego mówił za wami.

Bracia zdumieni spojrzeli po sobie.

— Któżby się tego po tak zagniewanym stryju mógł spodziewać? — szepnął Jurga.

— Cóż król na to? — spytał Andruszka. Opat

zmilezał, domysleć się łatwo było, spłócili oczy dwaj bracia.

— Ojcie mój — odezwał się Andruszka — nie płaczę ja po życiu, ani pańskiemu wyrokowi złorzeczę, karząc mnie król by zadość uczynił sprawiedliwości. Jam był głową domu, na mnie jednego spaść była powinna pomsta i gniew pański. Jurga powinien był zostać i ocaleć, abyśmy całym rodem nie ginęli.

— A! niechby los ten padł na mnie — przerwał Jurga — jam więcęć winien, bom się dał szwabowi pierwszy poeiągnąć.

W tej chwili, jakby korzystając ze światła, które im w oczy sobie spojrzeć dozwalało, dwaj Jaksowie wejrzeni na się, ręce sobie nagle zarzucili na ramiona, głowy ich sparły się na sobie, i w uścisku tym, słychać było jakby nieryeerski jęk boleści.

Opat stał poruszony, milcząc. Ryba nawet, wielkimi oczyma swemi wpatrywał się ciekawie w braci, których przywiązania widok, zdawał się dlań rzeczą niepojętą. Widział on wielekroć dwóch współników zbrodni, którzy winę i karę wzajem na się zrzucać usiłowali, ale nie zdarzyło mu się nigdy spotkać ludzi, coby na śmierć idąc, wyręczać się i jeden za drugiego ginąć chcieli.

Potrząsał głową, jakby nierozumiał czy nie wierzył.

— Miecie nadzieję w miłosierdziu Bożem, ci-

cho wyszepnął opat i podniósł ręce do błogosławieństwa. Bracia poklekli na słomie, zniżyli głowy, skupione razem, a kapłan, po cichu szepeząc modlitwę, krzyż zakreslił nad nimi.

Oba przyczółgali się, ahy rękę jego ucałować, a gdy się zbliżyli doń, mógł raz jeszcze powtórzyć im dobitnie po cichu.

— Módlcie się — i — miejcie nadzieję! miejcie nadzieję!

Zatém żywo się zawróciwszy wyszedł zaraz i Ryba drzwi za nim zatrzasnąwszy, drogę zalażył. Zostali znówu w ciemnościach, słahy tylko promyczek jakiejś nieokreślonej téj nadziei im przyświecał. Czuli, że nie hylhy może przyszedł do nich, gdyhy nie miał im z sobą przynieść jakiejś otuchy.

— A! jeden z nas ocaleje może? — zawolał Jurga...

Andruszka milczał.

— Biedny stryj Janko — rzekł po chwili — i jemuśmy mimo woli i wiedzy, śmierć przyspieszyli, a król, i jemu nawet nblagać się nie dał... I jakże tu mieć nadzieję?

— Tak — to prawda — potwierdził Jurga. — Książdz przyszedł, ahy nas pocieszyć dobrém słowem, pewnie dla tego, że konieć i opawca blizki. Dziej się wola hoża.

— To najpewnićj — mówił Andruszka.

I milczeli.

W więzieniu tём dnia od noey rozróżnić było niepodobna, czyba po ruchu jaki w szyi czasem słyszeć się dawał.

Zmęczeni Jaksowie, mimo woli po długiej rozmowie, zdrzemnęli się, leżąc na słomie obok siebie. Sen był przerywany co chwila, niespokojny, najmniejszy szelest zdawał się oznajmować kata.

Noc wydała się im bez miary długą — a choć się spodziewali śmierci, głód dokęczać zaczynał. Wyszukali dzban i chleb, rozłamali się nim, napili wody — nikt nie przychodził.

Po nieskończeniu przeciągniętém mileżenin — na ostatku szelest i stapanie posłyszeli w szyi. — Kroki jakichś ludzi zbliżały się ku ich drzwiom, mruczenie i szepty im towarzyszyły. Zaczęto odwalać drąg — zabłyśło światło.

Jurga i Andruszka widząc nadchodzący zgon, raz jeszcze rzucili się sobie na szyję i uściskali. Gdy oczy podnieśli, izbę ujrzeli pełną ludzi. Pacholcowie to byli jacyś zakapturzeni, milczący, i wskazujący im rękami tylko, by natychmiast wstawali i szli z niemi.

Ryba stał u drzwi i ciekawie się przypatrywał, przecierając zaspane oczy.

Kata widać nie było. Pomimo to obaj bracia wstali w tём przekonaniu, że ich wiedą na stracenie. Ujęli się za ręce, i wyszli razem. Do koła wnet objęli ich pacholcowie, a że ludzie byli do rodni, chłop w chłopa, nie mogli nawet dojrzeć

za ich czapkami, ani zmiarkować, dokąd ich prowadzą.

Zdała czas jakiś przyświecał Ryba łuczywem, po tém światło to zagasło i znaleźli się wśród nocnych ciemności. Czuli owiewające ich powietrze mroźne. Jurga podniósłszy głowę, postrzegł nad sobą niebo i gwiazdy.

Jakiś czas postępowali w milczeniu. pod nogami czując to ziemię umarzlą, to lodu skorupę, to trochę śniegu, którym ziemia była okrytą. — W tém ścisnęli się pacholcowie i bracia z podziwieniem, ujrzeni się w jakiśś budowli ciemnej. Prowadzono ich, popychając, przejściami wązkimi, skrzypnęły jakieś wrzeciądze, wtrącono ich znowu do izby ciemnej. Wnet cofnęli się ci, co im towarzyszyli, i bracia znaleźli się sami, omackiem, w jakimś więzieniu nowém, nie mogąc tej zmiany wytłumaczyć sobie.

Chwilę postawszy w miejscu, Jurga ruszył się pierwszy szukać ściany. Pod dłońmi uczył mur zimny. Podłoga była z dylów ułożona. Gdy oczy oswoiły się z ciemnością, u góry ujrzeli przez szpary okiennicy zamkniętej weiskające się blade brzasku jakiegoś światelko.

Do koła panowała cisza głucha. Kiedy niekiedy tylko przerywana szmerem, jakby ludzkiego głosu stłumionego, który brzmiał jak oddalony śpiew powolny.

Nikt nie przychodził.

IV.

Nazajutrz raniiej niż zwykle w sypialni królewskiej ruch slychać było. Stróż śpiący u drzwi natychmiast przyszedł ogień rozniecić, a gdy w otworze okiennicy światelko błysnęło, ruszyli się i dworsey i starsi komornicy pańscy, aby stać pogotowiu na zawołanie.

Pierwszy, co wszedł z ogniem stary pałac i stróż progu, znał tak z dawien dawna króla, że dość mu było jednego wejrzenia na jego oblicze, aby zmiarkować, jaki dzień się zwiastuje. Burza czy pogoda malowały się zawsze tak wyraziście na tém czole szerokiém, zwłaszcza gdy w domu, osłaniać się nie miały potrzeby, że starego stróża pytano, gdy wychodził z pańskiej komory — jak tam napisano na czole? jasno czy chmurno?

Tego dnia jakoś nie się dobrego nie świeciło, król, gdy stróż wszedł, siedział już na łożu, sparty rękami obciema, włos miał rozrzucony, brwi jeżyły się gęste, zadumany był i ze snu wyniósł gniewy. Obyczajem wojaka i gospodarza, zamruczał naprzód pytanie. Co na dworze?

Stróż klęczący u komina, odpowiedział, że chłód i wiatr urosły w nocy i Bolesław więcęj nie spytał. Zdawał się nawet nie słuchać odpowiedzi na pytanie z nawyknięcia zadane. Dmuchał.

W synu Mieszkowym było ojcowskiego wiele, ale i z matki przeszła weń gorąca krew Bolesława Lutego, którego imię uosił. Mieszko milczący był i zamknięty i Bolesław nim być umiał, ale zmuszać mu się było potrzeba, do kłamania twarzą i zaparcia ust.

Na twarzy i w mowie widać było męża potężnego, co siłę swą czuje i żadnej się walki nie lęka. Pod czołem wypukłym i szerokim, drgały widocznie niemal bujając myśli nie tajone. Postawa małowala dumę, nie małego człowieczka, który ją nosi jak ranę, nieustannie obawiającą się dotknięcia — ale dumę bohatera co wie, iż ma prawo stanąć wysoko z woli Bożej.

Od śmierci Mieszka, który z pokorą niemal stawiał się nieraz u progu cesarskiego pałacu w Quedlinburgu i Dziewinie — do tej chwili gdy Bolesław stanął prawie na równi z cesarzem Niemiec, zawojowawszy szerokie ziemie słowiańskie,

marząc o podziale z nim świata na dwoje, upłynęły nie lat dziesiątki dla Polan, ale jakby całe wieki...

Jedna myśl od pierwszej chwili do ostatniej zajmowała Bolesława, stworzenie państwa Słowian tak potężnego, ażeby murem mogło stanąć przeciwko niemieckiej nawale, cisnącej się ku wschodowi i wypierającej słowian coraz głębiej ze środka Europy, z siedzib starych i drogich.

Cel ten stał mu na myśli ciągłe. Do tej budowy leżał budulec na okół, bezpański prawie, rozrzucony w nieładzie, rozbity, gotowy do użycia temu kto chciał i mógł nim zawładnąć. Małe kraiki nie trzymające się z sobą, stały otworem silnej dłoni, co je zagarnąć zapragnęła. Bolesław zabierał je jak swoje, do tego państwa, którego marzenie wielkie ojciec mu przekazał. Odepchnięty na chwilę, król wracał nazad, umiał czekać lata. Wiazał się ślubami, przymierzem, przyciągał laską i postrachem, usuwał przeszkody mieczem i siłą, a szedł dalej coraz i dalej.

Myśl tę Bolesław wziął w spadku po Mieszku, rodziem swym — w którym ona cichszą, bojaźliwszą się wyklina — jasną i głośnie stać się miała w synu dopiero. Od zachodu światła pożywić, stanąć z nim na równi wszystkiemu, co dawało siłę, obronić się zarazem najazdowi jego i zaborom, tego chciał i dopiął Bolesław. Imię jego groźnem już było, strasznem i znienawidzo-

ném u niemców. Zwano go wężem zdrażliwym, lwem ryczącym, miotano nań obelgi, które stały za największą chwałę, Bolesław panował w Łużycach odzyskanych, a Pomorza, Prusaków, Wendów do ujścia Łaby nie spuszczał z oczów.

Posłańcy jego i sługi skryte były wszędzie, na cesarskim dworze, we wszystkich stolicach, u plemion najdalszych, wiedział, gdzie się co ruszyło, drgnęło, zabolalo, gdzie na ratunek mógł spieszyć i ze słabości korzystać.

Włos mu się posrebrzył w tych myślach i trudzie, państwo stało już jak budowla, której słupy ręka cieśli wbiła w ziemię, a no dachu i ścian brakło jeszcze, nie było wałów i ogrodzenia, co by ten gmach bezpiecznym czyniły.

Młody Mieszko, syn królewski, chodził po granicach, uprawiając się do ich obrony; dłoń miał po ojcu rycerską i silną, ale czy myśl z nią na równi potężnie urosła, sam ojciec pewien nie był.

Dla tego w chwilach ciszy i rozmyślań samotnych, zawsze mu prawie czoło zachodziło chmurami i wielki król patrzył na dziedzica swego jakby z przeczuciem smutném.

Aby to państwo, stworzone przeczeń utrzymać, pieczy trzeba było niestannój, zachodów i tego oka, co z góry patrząc, widziało na raz co się działo, co się dziać miało od brzegów Dunaju, do wybrzeżów Bałtyku. Na ten łup wojen kilkudziesięcioletnich, zewsząd czyhali nieprzyjaciecie.

W Czechach pokrewni, powinowaci na Węgrzech, zbraceni na Rusi kneziowie, złagodzeni na pozór i połączeni węzłami krwi niemey, w istocie byli wrogami tajnemi, nieprzejednanemi.

Każdemu z tych powinowatych Bolesław oderwał część jakąś; Czechom zajął Ruś, Morawy i Szlązk, Węgrom zabrał Słowaków, Rusi szerokie kraje za Styrem, niemcom wydarł Łużyce i mnogie plemiona sąsiednie. Najmniejsza oznaka słabości której upatrywano tylko, mogła być hasłem rzucenia się wszystkich przyezajonych wrogów na zdobywcę. W zbroi spać było potrzeba i jedno oko trzymać wciąż niezawarte.

Bolesław nawykł do tego, syna wprowadzał do życia na koniu i straży, a jednak w przyszłość patrząc, smucił się i niepokoil. Mężny rycerz, Mieszko, może aż nadto był ojen posłusznym, szedł na rozkazanie, ale sam rozkazu dać nie spieszył. Spokojniejszy duch mieszkiał w synu, a jemu spokoju milować nie było wolno.

I tego dnia, jak często, wielki król wstawał z łoża posejnym, ciasno mu było w sypialni, duszno w zamknięciu, za cicho na dworcu, ściany go ścisnęły jak więzienie...

Przez okiennice zawarte dzień się przeciskał szarawy, na kominię ogień płonął i trząskał wesolo.

Pierwszy po stróżu wszedł do sypialni stary Sieciech, gładząc hrodę i uchylając głowę. Przybywał po rozkazy.

Król długo nań popatrzał, nim się odezwał, a pierwsze jego słowo było.

— Jaksów stracono?..

Rozkaz królewski, wczoraj wydany, brzmiał, że dnia doczekać nie mieli, a dzień biały cisnął się już przez okiennice.

Sieciech milcząc skłonił tylko głowę, król spojrzał nań i zamilkł,

Twarz znowu surowszą się stała i posepniejszą jeszcze.

— Miklasza Jakse, który tu ojca przywiózł — odezwał się król — przywolać do mnie.

Sieciech głową potrząsł, dziwnie jakoś zafrasowany stanął i podniósł oczy.

— Miklasz, miłościwy panie, wedle przykazania ojca na śmiercielnym łożu, nie nie zyskawszy, musiał wczoraj zaraz z ciałem ztąd jechać precz. Wola ojca dla dziecka święta... Nie nrzą go tu więcej oczy nasze. Zaklęli się Jaksowie wszyscy i powinowaci ich, że progn zamkowego nie przestąpią więcej... Wszyscy, ile ich jest! — westchnął Sieciech.

Zamruciała się jakby krwią oblana twarz króla, spojrzał groźno, pogardliwie, ale... nie wybuchnął.

— Dziś do dnia — kończył Sieciech — Jaksów powinowaci, dwu najdzielniejszych dowódców naszych, Sreniawa i Pohóg, pojechali też precz ze dworu z drużyną.

Zaczerwienione oblicze pańskie zapłonęło mocniej jeszcze, drgnął, coś niewyraźnego, jak przekleństwo, z ust mu się wyrwało. Sieciech stał z spuszczoną głową siwą.

— Pozwijcie opata Arona do mnie — rzekł król.

— W tej chwili odprawia ofiarę świętą...

Na to nie odpowiedział Bolesław i dał po chwili wyjść Sieciechowi.

Ledwie za nim opadła zasłona, gdy się wsunęło pacholę. Zdawało wyglądać na wyrostka, zbliżka mu się przypatrzwszy, poznać w nim było można karla i niemłodego już człowieka. Darował go był niegdy królowi Gumcelin, przyrodni brat jego, a raczej powinowaty, syn wygnanej Ody z drugiego łoża. Niemczyk, jak wierny pies niemal, przywiązawszy się do pana, był poufałym stworzeniem na dworze. W części przez litość nad słabą istotą, trochę dla zjadłej złości i dowiecipu, któremi zabawiał, Zyg był królowi upodobanym. Jeśli sobie nadto pozwolił, król nogą wyrzucał go za drzwi, częściej jednak słuchał, tak, jak się cierpliwie słucha brzęczenia owadów w lecie. Wolno mu było wiele, musiał przecie patrzeć na marszczące się brwi pana, ażeby nie przebrać miary.

Zyg miał właściwy sobie mówienia sposób, rad czy nie, z obowiązku powinien był pana zabawiać. Dziś na wchodzącego gdy król spojrzał, karzeł pozostał bojaźliwie w dali. Poznał, że zbli-

zać się nie było bezpiecznie. Uchwycił drewna kawał leżący przed kominem i mileząc przyrzucił go na ognisko. Stał potem przy nim, ręce założył na piersiach i patrząc w oczy pannę, głową pokręcał.

— Psy całą noc wyły... — począł nieśmiało — wiley nabrali takiego zuchwalstwa, że pod sam gród podchodzą... Musieli tu zwietrzyć trupy... Kolo ciemnie tej nocy się coś bardzo ruchano...

Pokiwał głową. Bolesław spojrział nań, karzeł zamilkł.

— Przybył tam kto nowy na zamek? — spytał Bolesław cicho.

— Pehno, miłościwy panie, pehno... Objedzą nas do pruszyńki... Z Czech któryś ze Sławników znowu, koni pewnie czterdzieści, z Rusi Turowski kneź, koni z pół sotka, z Niemiec bawar jakiś, zbroi z pół kopy... od Wendów starszyzna, chyba też z sorok głów... Za to Sreniawy i Pobogi pogniwiali się na miłość waszą i wypowiedziawszy wojnę, pojechali się na nią sposobić... To dopiero będzie wojna!.. Słysząc, że dwa tysiące komarów i trzy tysiące much w pomoc sobie przybrali... i już to wojsko ciągnie... Z bocianami do nas na wiosnę przylecą, to dopiero krwi utoczą! aż strach!..

Zyg miał zwyczaj sam się śmiać uaprzód z żartów swoich, aby drgich ryhotaniem do śmiechu pobudzić — i teraz uczynił to, aby pannę do

dać ochoty, ale popatrzywszy nagle śmiech mu się w połowie urwał.

Zamilkł i za komin się ukrywszy, do ściany przytulony, przypłaszczyl. Nie miał już myśli próbować rozweselić raz drugi i nową sposobie zaczepkę.

Wśród milczenia przewlókł się potém po sy-pialni, trzymając ścian, raz i drugi, jakby się chciał królowi przypomnieć. Widząc, że i to nie poskutkowało, bo król oczy odwracał, przesunął się ku drzwiom. Podniósłszy zasłonę, sklonił się do samej ziemi z przesadzoną pokorą i rzekł.

— Czołem panu...

I zniknął.

Po wyjściu jego król w dłonie klasnął, weszło dwu dworzan komorników, a tym rozkazem nie było potrzeba, aby wiedzieli co robić. Odzież nieśli i obuwie i poczęli do wstania służyć. Król kożuch tylko włożył i siadł przed ogniem, który paląc się jasno, całą komnatę ciepłem wypełniał.

W chwilę potém opat Aron ukazał się we drzwiach. Na widok jego twarz pańska widocznie się wyjaśniła.

— Chciałem już widzieć was, ojcze — odezwiał się poufnym tonem — całą noc sny miłe dziwne dręczyły. Zmora mi piersi dusiła. Zdawało się jakby całe wojsko cesarza Henryka na mnie legło i zgnieść mnie chciało... Z niemi, choćby

się poprzysięgła zgoda i przyjaźń, pokoju nie będzie nigdy...

Uśmiechnął się opat łagodnie.

— Nie teraz nie grozi nam — rzekł — cesarz gdzieindziej ma dosyć do czynienia, a król Bolesław dość mocen jest, aby się nie obawiał nikogo, nawet cesarza.

— Mocen! mocen!.. — powtórzył król — ojciec mój, moc ta moja jest jako sznur naprężony... twardy on jak żelazo... prawda... aliści co chwila grozi pęknięciem... Trwogę muszę sięć, abym sam jej nie miał...

Zamilkł patrząc w ognisko i dodał jakby pytając.

— Jaksów stracono?

Czuć było, że ich miał na myśli, że oni to, nie wojsko cesarskie, byli dlań tą nocną zmorą.

— Ja nie wiem... — rzekł opat krótko.

— Tak! zginęli... — dodał Bolesław — zginęli! Szkoda mi ich... ale nieublaganym być musiałem. Rycerstwo żelazną dlonią trzymać potrzeba, lub jak stado wilków się rozwydrzy. Straciłem nie tych dwu Jaksów, ale cały ród ich... poszli precz oni, idą ich powinowaci... Ubędzie mi rąk i serc dzielnych, przyrośnie gniewu i niechęci...

— Miłościwy panie — przerwał opat — co się stało, rozważać już zapóźno...

— Mój ojciec — mówił nie dając sobie przerwać Bolesław — królewska wola, gdy ją raz

objawił, rzecz niepowrotna. On sam jest jój niewolnikiem. Niewiasty tylko słabe idą i powracają; mężowie gdy raz poszli, wiedzą iż wracać srom... Nie podalem tyłu nigdy, ani w bitwie, ani w sądzie... Gniewnym byłem, gdy ich skazywałem, ale słowo rzekł...

— Gniew zły doradzca zawsze — przemówił opat. — Słyszę, że krom Sreniawów i Pobogów, dwu Starzów krewnych im, i Lis jadą też precz ze dworu...

Gniewnie król ręką rzucił.

— Niech idą! niech jadą!..

Lecz widocznie go to bolało.

— Niech idą — dodał — byle poczty, gdy wicie rozeszłę, stawili... bo i im głowy pospadać mogą... służbę pełnić muszą, a dworaków znajdę łatwo...

— Sądzę, że ze służby wyłamywać się nie myślą — odparł opat spokojnie — a trudno, żeby sromu nie czuli, bólu i żalu nie mieli. Zasług nie mało było na szali...

— Gniewnym był!.. — powtórzył król. — Stało się!

I jakby umyślnie zwracając rozmowę, rzekł zmienionym głosem do opata.

— Czyście myśleli, o czém wam mówiłem wezora?

— Nicustannie — odparł Aron — myślałem i modliłem się, miłościwy panie...

— Zrozumiałeś mnie — ciągnął król ożywiając

się. — Patrz... starym być poczynam, włos mi codzień więcej siwieje... ociężałem. Koń jeden przez dzień do wieczora mnie nie dźwignie... ja też sobie sam jak koniowi ciężę. Ciało do grobu ciągnie... niech Bóg będzie miłościw grzesznej duszy... O zbawieniu myślę, a za przyczyną świętego mojego opiekuna Wojciecha i patrona Maurycego i Wacława, Bóg mnie za przewinienia karać nie będzie... Trzeba myśleć, aby pot i krew moja, co w tę ziemię wsiąkła, nie poszły marnie. Noc i dzień słucham, ażali nad granicami krzyk się nie ozwie... Grozą tylko mogę strzynać napastników...

Tą grozą dla mnie, dla syna, będzie korona na skroni... królewska korona...

Dlaczegoż jój nie mam otrzymać?.. Co ojciec nasz Benedykt stracił, gdy mi ją da, jak innym, którzy ani tyla ziemi, ani takiej nie mieli potęgi?

Synowi jak zbroi potrzeba korony pobłogosławionej w Rzymie... Otto III, niech mu Bóg świeci nad duszą, własną swą cesarską mi włożył na skronie... za berło dał mi włócznie św. Maurycego... a jednak przeczą mi tytułu króla i korony... Ja ją muszę mieć!

Ognistemi oczyma popatrzał na opata Arona, który wzrok trzymał utopiony w ziemię i myślał milczący.

— Coż ty mówisz, ojcze? — począł król ożywiając się coraz więcej — tyś najlepszym do-

radzcą moim... tobie ufam jednemu, ty widzisz jasno, radzisz rozumnie, a ważyć umiesz wszystko.

— Miłościwy panie — odparł opat po długim namyśle, jakby z ciężkością zdobywał się na słowo — nie przeczę ja, że blask korony doda świetności twój skroni, a siły Mieszkowi, ani, ucho-
waj mnie Boże, sądzę, by kto nad ciebie panie, był jćj godniejszym, lecz...

— Cóż więc? co? — zapytał król porywczo — mów mi wszystko, całą prawdę, jak ojeiec duchowny...

— Królu a panie — ciągnął Aron — korona nie tyle zwiększy twą potęgę, co złości i zawisici obndzi... Nieprzyjaciół uskromionych drażnić niebezpiecznie... Sam cesarz Henryk w Rzymie stanie na przeszkodzie, nie tylko u papieża, ale gdziekolwiek będzie mógł, stawiając przeszkody.

— A ojeiec święty Benedykt maż mu poddanym być?.. Nie jestże on Chrystusa następcą, i panem a rozdawcą wszystkich koron świata?.

Opat stał znowu zadumany i król, nie doczekawszy się odpowiedzi, z coraz większą poczał mówić gorącością.

— Otto III dał mi koronę... przyrzekł mi ją pobłogosławioną. Śmierć nie dozwoliła mu wykonać tego co ślubował. Nigdy ja nie opłacę dosyć tego druha a pana, z którym ręka w rękę byłbym doszedł do wszystkiego, czego pragną-

łem... Z jego zgonem zachwiało, popsuło się wszystko!..

Mówią, że Bóg go ukarał za otwarcie tego grobowca Karłomana, z którego złote siedzenie przysłał mi w darze...

Jam Karłomanem powinien być być na wschodzie...

Wolalby był nie tykać grobu tego... Henryk. Henryk mi go nie zastąpił! nikt zastąpić nie może.

— Święty to pan i pobożny! — wtrącił opat.

— A niebyłże nim Otto mój! — zawołał Bolesław — ręce podnosząc.

Z jego zgonem połowa siły mojej odpadła; odtąd iść trzeba było przebojem i we krwi brodzić...

— Możesz, miłościwy panie, uskarżać się na niepowodzenie? — szepnął Aron.

— O! Pragi! Pragi straconej, nigdy nie zapomnę — odezwał się Bolesław — i tego poranku na Wyszehradzie, gdy się róg pastuszy odezwał na moście!

Róg mi ten stratę państwa zwiastował — a miałem je w dłoni!..

Aron westchnął.

— Panie — rzekł cicho — a nie byłże to palec Boży za oślepionego Bolesława?

— Miałem tego wściekłego okrutnika oszczędzać? — wybuchnął król gwałtownie podnosząc

się z siedzenia. — Łaskawym mu byłem zostawiając życie, bo na stokrotną śmierć ten dziki przechera zasłużył...

Opat zmilezał.

— Ale z Czechami, z Czechami rzecz nieskończona! — ciągnął Bolesław jakby sam do siebie — Dwojga państw jednego języka obok siebie być nie może. Dwa wilki głodne nie pasą się obok siebie; jeden drugiego rozszarpać i zadławić musi.

Ale czy Mieszko temu podola?

— Wszystko jest w mocy Bożej — ozwał się opat chłodno — małeńki Dawid zwyciężył olbrzymia Goliata.

— Niech mi moc dla dziecka da boży zastępca na ziemi — począł Bolesław, pilno wpatrując się w twarz opata, z której myśli nie mógł wyczytać — wy wiecie ojcze, że to jedyne moje pragnienie dzisiaj — cel mój wielki... korony mi trzeba — należy mi korona, i — nieć ją muszę!!

To mówiąc uderzył Bolesław ręką o poręcz krzesła...

Aron nie zaraz na odpowiedź się zebrał.

— Jest to sprawa zbyt wielkiej wagi — rzekł powoli i chłodno — nie spoglądając na króla, oczy trzymając w ziemię wlepione — sprawa zbyt niebezpieczna i ślizka, aby ją można podjąć na lekko.

Rozważyć potrzeba wiele. Wy, miłośnicy panie, jesteście, dzięki Bogu w pełni życia i sile pocóż się z tem spieszyć? ażali nie lepiej iść do tego celu z rozwagą i powoli??

— A niedoścześnie już zwlekali, rozważali, rachowali? — ozwał się król — któż wie, kto po Henryku i Benedykie nastąpi?

Opat znowu pomilezawszy, sklonił głowę i kończył...

— Przebacz mi, miłośnicy panie — nie dosyć jeszcze ważyliśmy i rozmawiali. Wyciągnąć rękę, uczynić pokuszenie, nie dokonać tego, co się zamierzyło, takiemu jak wy nieprzystало panu. Na pewno działać potrzeba, więc baczyc pilno...

Bolesław nieznacznie zżył ramionami, i zakończył powstając.

— Więc na was składam obmyślenie środków i wykonania, ojcze mój.

Nadam opactwo wasze ziemiami szerokimi, rozmnożę zakon wasz, uczynię was możnemi i niezależnemi jak kneziowie — uczynię co każecie dla powiększenia chwały bożej — a wy mi pomóżcie.

Znacie drogi do Rzymu i w Rzymie. Nie siedzi na stolicy, dzięki Bogu, taki czarownik jak Sylwester; Ojciec Benedykt skłoni serce swoje do dziecięcia...

Dla czegoż Olat i Kanut lepsi nademnie być mają, a nawet Ugry niedawno ochrzczone?

Dzień już był wielki — król ruszył się z przed ognia, czekano nań bowiem na dworze. Opat Aron, nie odpowiedziawszy nic, poklonił się i wyszedł krokiem powolnym do izb gościnnych, na których już wszysej obcy i dwór był zgromadzony.

Seisk wszędzie zastał ogromny.

Nadchodziła posłuchania i obiadu, naówczas rannego bardzo, godzina.

Wielki gmach, w którym stoly zastawiono dla mnogich gości, izby boczne — pełne były ludzi — widocznie przybyłych z rozmaitych stron i krajów. Poznać to było po stroju.

Większa część starszyny miała na sobie kożuchy kosztowne, rozmaicie pokrywane i wyszywane; rycerstwo stawilo się w kaftanach grubych, luskami żelaznemi naszywanych, służba pańska kręciła się w szatach jaskrawych i bramowanych złotem. Wśród tych najwspanialszych strojów i wykwintnej odzieży zachodniej, widać było i nader proste odzienie wladyków i żupanów z głębi kraju, od krańców jego, z zapadłych gródków przybyłych... Na tych wieki przeszle widać jeszcze było. Ci szli w kożuchach czarnych, w pasach wełnianych i skórzanych, z ładajakim i niepozornym starym orężem u boku, weale się nie zdając o to troszczyć jak wyglądali.

Rozstępowano się im jednak z poszanowaniem...

Kilkunastu Ugrów stało w dziwnych strojach jaskrawych z boku, niemców też łatwo było rozpoznać można, po kroju sukien cienkich i frankijskich opończach, a strojach, których wiele, za Ottonów jeszcze, z Włoch poprzywożono.

Pomiędzy gośćmi gospodarzyli komornicy królewscy, stolnicy i podkomorzowie, wszyscy odznaczając się jednakiemi, ciężkiemi łańcuchami na szyjach, i laskami w ręku.

Całkiem osobno, w pierwszej izbie stała królewska drużyna.

Tę składali mężowie w wojnach i żyć im wyprobowani, a bywało ich zwykle dwunastu, którzy nad krajami dwunastą podległemi Bolesławowi zwierzchnictwo mieli czasu wojny i dozór czasu pokoju. Ale król sam władał, rządził i sądził — a nikt pod nim własnej nie miał woli — dzielił się niemi władzą, a używał do rady. Oni mieli nieco pańskie, zafanie jego, wiedzieli tajemnice drugim zakryte — oni i opat tyniecki, doradzca sumienia królewskiego, najbliżej stali tronu.

Gdy u czterdziestu stołów codziennie zasiadali goście, których mieniał każdy ranek, a nigdy ich tu nie zabrakowało — w osobnej izbie u pańskiego stołu, ci tylko dwunastu zasiadać mieli prawo; gdy Bolesław zawczwał ich do siebie.

Byli to najmożniejsi władzey, najdzielniejsi żołnierze, najrozumniejsi ze starców w bitwach ogorzałych. Gdy z nich jeden padł na wojnie, albo zmarł wiekiem złamany — długo puste stało po nim siedzenie, aż król w miejscu jego następcę miaował.

Teraz właśnie zmarł był niedawno, stary Jakub Lis, po którym stało opróżnione miejsce w radzie i u pańskiego stołu, król zwlekał dotąd posadzenie na niem spadkobiercy — a kto nim miał być, ani się nawet domyślano.

Chociaż Zyg uaprzód, Sieciech i opat tywiecki oznajmili byli królowi, iż wszyscy krewni Jaksów zażaleni od dworu się oddalili — stary Pobóg stał jeszcze, sam z nich wszystkich, u progu wielkiej izby wraz z dworem króla i dotąd się nie oddalił.

Konie jego i ludzie tylko, w podworec już gotowi do podróży czekali.

Sparty na kiju kntym z rękojeścią młotem opatrzoną, stary wódz z twarzą bólem jakimś pomarszczoną i pofaklowaną — czekać się zdawał niecierpliwie na coś u proga.

Oglądał się i poruszał, oczyma wodził, a ci co go znali, ani go pytać, ani zagadnąć nie śmieli, tak chmurnem wejrzeniem i brwią nasepioną ich odstręczał. Z siwą i wylysiałą głową, przygarbiony, wśród tego ożywionego tłumu, sam jeden

zdawał się obojętnym na to, co się w koło niego działo.

Sieciech się doń przybliżył.

— Gdzie król? — spytał Pobóg — dla czego nie przybywa?

— Będzie za chwilę — odrzekł Sieciech. — Panie mój — szepnął na ucho, pochylając się ku niemu — jestli to prawda co słyszę, że chcecie dwór opuścić? Drużyna wasza stoi przed drzwiami!

— Tak jest — niezawodnie — krótko odrzekł Pobóg — jadę.

— Dla czego?

— Wy to wiecie...

— Król dziś — bardzo posępny — nie pora. Ramionami ruszył Pobóg.

— Nie ulękę się — zamruczał — głowę mi może wziąć!

— Sreniawy i Lisy, pojechali w mileczeniu nie żegnając pana — zamruczał Sieciech — tak lepić...

— Co komu lepić — odparł Pobóg.

Wtém stał się ruch wielki, gwary mnilkły... w nieładzie rozproszeni zaczęli się ustawiać gromadkami, zdawało się slychać było stąpanie ciężkie, powolne, i szelest jakiś, jakby szat jedwabnych.

W oddaleniu ukazał się król, okryty sobolą szubą podpasaną, z kołpakiem na głowie. Pod tém zwierzchniem okryciem miał drugą suknię wełnianą, bramowaną złotem, a u pasa mały ów

miecz z rękojeścią z kości, pochwą złoconą, miecz, który go nie opuszczał nigdy. Był to Szczerbiec.

Laskę trzymał w rękę.

Szedł zwolna, poglądając w prawo i lewo po twarzach, niekiedy głową skinął nie zatrzymując się, i oczyma dał znak jakiś.

Pachole strojne niosło za królem miecz jego wielki; dalej szło sześciu komorników i cały dwór służebny.

Bystrém okiem obejrzał król wszystkich — zdało się, że żadna twarz, w zakątku nawet stojąca, nie uszła jego wejrzenia, a nie potrzeba mu było stawiać i mianować nieznajomych, bo wiedząc o nich, zgadywał kogo miał przed sobą. Nizkimi poklonami, rękami zwieszonemi do ziemi, witali przytomni nadechodzącego pana.

Doszedł tak wolnym krokiem aż do drzwi wielkiej izby stołów czterdziestu, gdzie stał Pobóg. Rękę zwolna położył starcowi na ramieniu, i lice spojrzawszy nań, rozechnurzyło mu się nieco.

Był to bliski Jaksów pokrewny, rodził się z niewiasty ich imienia i plemienia.

— Pobóg — rzekł król — czeka na cię opróżnione dwunaste siedzenie po Lisie — tobie je przeznaczam, tyś jeden godny.

Oczy otaczających króla biegać zaczęły po sobie, nie spodziewano się znać tego. Stary nieporuszony, nie dziękując stał posępny.

Wnet czoło pańskie marszczyć się zaczęło, i rękę mu z ramienia zdjął król.

— Nie, miłościwy panie — odparł chłodno i śmiało starzec — nie. Ja nie jestem godzien siedzieć u stołu twojego. Krew Jaksów płynie we mnie. Przybyłem ci miłościwy panie, podziękować za laski twoje — i pożegnać. Za starym Jankiem szwagrem pojedę — tam miejsce moje — gdzie wszyscy nasi. Ani się mej krwi zaprę w niedoli. Miejsce moje nie u stołu i rady pańskiej, ale na wygnaniu lub w grobie.

Śmiałej tej mowy słuchając, przytomni pobledli z przerażenia.

Bolesławowskie brwi zeszyły się nad oczyma i zwinęły w jeden wał czarny — ręka mimowolnie padła na mieczyk i drżąca leżała na nim... Drugą njął się w bok król, i długo patrzył na wyzywającego śmialka.

— Stary jesteś — rzekł w końcu — bileś się mężnie ze mną nad Bugiem i Woltawą — głowy ci nie zdejmę.

Idź! idź! z Bogiem!

I ręką gniewnie wskazał po za siebie, a dokończywszy słów, gdy jeszcze brwi trzęsły mu się gniewnie, ustami uśmiechać się począł dziko i strasznie. Rząd białych zębów jak lwia paszczyka, ukazał się z pod warg wyblądłych.

Kilka razy powtórzył coraz głośniej — coraz silniej — Idź! Idź!

Stary Pobóg, do którego się to stosowało, jakby umyślnie poruszał się zwolna i nie śpiesząc wcale.

Przechodząc pozdrowił króla w milczeniu, i pominawszy go, wśród rozstępujących mu się szybko dworzan i rycerzy, nie patrząc na nikogo, ku drzwiom powłókł się prosto, nieokazując wcale trwogi ani pomieszania.

Wśród milczenia w izbie panującego, każdy krok jego słyhać było — król tymczasem, którego uśmiech przymuszony wnet z ust zniknął, prosto się ku węgrowi obrócił.

Miejsce to opuściwszy, gdzie go stary wojak obraził mową zuchwałą, zdawał się razem zapominać o tém, co zaszło przed chwilą — wypogodził twarz, stał się znówu sobą, takim, jakim był dni powszednich w gronie oddanych mu powierników.

Wedle obyczaju zachodniego, na dworze królewskim, niewiasty też do stołu zasiadały. Wiodła je zwykle z sobą królowa, a Bolesław rad był, aby mu one, jak kwiaty, stół ubierały.

Właśnie król z węgrami rozmawiać poczynął, gdy we drzwiach głównych cały szereg niewiast się ukazał.

Przodem szła królowa Ennilda, tak skromnie ubrana jak wczoraj, w sukui ciemnej, w czepcu białym, na którym lekki łańcuszek złoty był opleciony. Nieco klejnotów nakazywała jej włożyć do strojności — były one niejako zewnętrzną ozua-

ką godności królewskiej, lecz obok innych niewiast swojego dworu, królowa niemal zakonną odznaczała się prostotą.

Tuż przy niej szła, w purpurowej długiej sukni, uaszywaną kwiatami złotymi, jaśniejąca klejnotami i od nich piękniejsza, Ryksa, żona syna królewskiego Mieszka, cesarskiej krwi pani, córka Ezzona palatyna Renu, z siostry cesarza Ottona zrodzona, w której rysach widać było, iż o swém pochodzeniu pamiętała. Czarne jej oczy z góry i dumnie poglądały do kola, a usta zdawały się nie umieć czy niechęcie uśmiechać.

Mimo młodości i wdzięku, surowością wyrazu twarzy i postawą pańską, obudzała raczej obawę niż cześć dla siebie. Rozum i wola mężka błyszczały w jej wejrzeniu śmiałem i dumnem.

Nie było żadnej z córek królewskich rozproszonych po świecie, oprócz Matyldy, która szła też za królową w wianku dziewczyni na głowie i płaszczu niebieskim.

Tak ona jak i inne po niej następujące panie szeregiem długim — z niezmiernym przepychem były postrojone. Ohyczajem owych czasów, niewiasty występując publicznie, kładły na się takie mnóstwo klejnotów ciężkich, płaszców z grubych tkanin złocistych, podszytych futrami, łańcuchów kowanych grubo, kamieni drogich, iż niektóre z nich służeńne podtrzymywać musiały, aby pod tém brzemieniem nie upadły.

Starsze niewiasty, żony żupanów i władków, miały na piersiach po dwa i trzy łańcuchy, ogromne kołce na rękach, pasy kamieniami sadzone, na głowie rodzaj wieńców złotych, plecionych jakby ze sznurów, u nszów zausznice ciężkie, schodzące aż na ramiona.

Największa różnaitość jaskrawych barw orszak ten odznaczała.

Panowały wśród nich purpura i fiołety u starszych, żółty i niebieski kolor u młodszego pokolenia.

Wszystko to bramowane, naszywane, sadzone perlami, dawało miarę bogactw, jakie wojny w kraju i handel nagromadziły.

Srebro było tak pospolite, iż je zalewie na najprościejsze naczynia codziennego użytku obracano; konwie i beczki kute były z blach srebrnych, król jadał na złocie. Nie wyczerpał się skarbiec jego tćm, co przyjmując Ottona III. po każdej uczcie cesarskiemu śludze oddawać kazał.

W kościołach ołtarze całe blachami i tablicami złotymi okryte były...

Wyroby owego czasu nie wszystkie się wytwornym kunsztem odznaczały, wiele z nich grubo i dosyć nieforemnie wyciosanych było, na niektórych tylko różnobarwna emalia grecka i wschodnia, żywością barw z kamieniami drogiemi szła o lepszą.

Przy pięknych twarzach dobranych do królowej orszaku, złote płaszcze, purpura, lazurowe sukienki, przepych klejnotów i kolorów, odbijały jak bogata oprawa tego żywego twarzy wieńca.

Wśród nich widać też było Teodorę córkę Sieciecha, wzrostem i postawą gorującą nad towarzyszkami swojemi, z twarzą bladą i oczyma już od lez oschłemi, ale jeszcze gorzącemi wewnętrzną boleścią. Szła widocznie jakby zmuszona, jak ofiara, usiłując napróżno na twarz powołać uśmiech nieprawdziwy, skłamaný, trwożliwy, męczeski. Na innych też, nie wyjmując oblicza królowej, głęboki smutek był rozlany. Emmilda nieśmiało, bojaźliwie niemal spoglądała na oddających jej cześć i pokłony.

Gdy szelest sukni niewieścich dał się słyszeć, król ku wchodzącym się odwrócił, jakby rad, że może przerwać witania i rozmowy.

Tego dnia na słowo zebrać mu się ciężko było, czoło miał dumne i usta leniwe.

Tuż za niewiastami wchodziły pacholeta niosące misy nad głowami, dzbany w rękach, nalewki, miednice i ręczniki. Bolesław skinąwszy głową gościom, zwolna na miejsce swe przy królowej Emmildzie podążył.

U pańskiego stołu zasiadały tylko niewiasty królewskiego i powinowatego im rodu; tu też miejsce było jednój z dziewcząt orszaku królowej, przybranój do jej boku, znacznego rodu, córki

Ekarda markgraфа Ody. Przebywała ona z woli ojca na dworze i w gošcinie królowej, choć Emmilda chłodno i z pewną nienfnošcią się z nią od niejakiego czasu obchodziła.

Po Ryksie żonie Mieszkowej, była to najpiękniejsza pewnie z niewiaŝt na dworze, chociaż tñ na urodziwych i gładkich nie zbywało twarzach. Wysokiej postawy, siłna, wyrosła bujno, z war-koczami złotemi, które się ledwie pod wieńcem pomiešcić mogły, wyraz miała na obliczu śliczném niemily, kwitnęła krasą młodzięcą, a wesela dziewiczego jej brakło; patrzała niby szydersko i niechętnie dokoła, wzrokiem zuchwalszym niż inne. Niebieskie jej oczy duże śmiało spoglądały nie tylko na królowę i młode towarzyszki, ale na samego króla, którego wyzywać się zdawały. Stojem też córka markgraфа Ekarda odznaczała się wśród swych rówiešnic, tak była cała klejnotami kosztownemi obwieszona i przybrana, tak starannie i załotnie występowała, oczy wszystkich kusząc i zwracając ku sobie. Królowa raz spojrzawszy na nią, widocznie unikała jej, wzrok trzymając spuszezony, a twarz ciągle smutkiem obleczoną. Dwór jej jakby się stosując do humoru pani, tak samo wyglądał zafrasowanym i smutnym, jedna tylko piękna Oda śmiechała się jakby na przekorę wszystkim, a gdy król usiadłszy rzucił na nią okiem, wejrzeniem i śmiechem wyrazistszym jeszcze odpowiedziała mu,

wcale się nie troszcząc o świadki. Bolesław długo trzymał w nią oczy wlepione, ale nie rzekł do niej słowa.

W tej chwili ukazał się opat tywiecki i wszyscy, króla nie wyjmując, wstali. Miejsce dlań było przy królewskim stole zostawione. Lecz nim je zasiadł, surowym obyczajem tamtych wieków, opat rozpoczął głośno modlitwę i błogosławieństwo.

Im młodszą była wiara chrześcijańska w tych krajach, tem duchowieństwo i król sam ściślej pilnowali, aby wszystkie obrzędy przez kościół zalecane zachowywane były. Pierwszy Bolesław duchownych na równi z książętami postawił i poważać kazał, nadał im nazwanie księdzów czyli książąt, i to im na przyszłość zostało, choć dla odróżnienia książęta inaczej zwać potém poczęto. Długo jednak wszyscy duchowni stali na tem wysokiem stanowisku społecznem, nadając im w oczach tłumów powagę i dostojność.

Chociaż Zyg, ubrany na pół żółto pół niebiesko, zjawił się przy stole, obok krzesła królewskiego, czekając ażali go Bolesław nie zagadnie i nie da mu się popisać z dowcipem; chmura, którą z sobą przyniósł pan przychodząc do stołu, nie zeszła mu z czola i Zyg niemym pozostał.

Przyczynę wszyscy łatwo odgadywali. Nie było prawie dnia, w którymby król, jedyny naówczas w całym państwie szafarz sprawiedliwości, nie był zmuszonym sądzić kogoś i ka-

rać, rzadko się jednak trafiało, by z kola celniejszych rycerskich rodów, co go otaczały, padały ofiary. Oszczędzano je, względ miano na zasługi, wyróżnienie dla krewkości i obyczajów, zaledwie chrztem obmytych ludzi, w których wiele jeszcze dzikiego z przeszłości pozostało. Śmierć dwu Jaksów wiele kosztowała temu, co na nią skazać ich musiał, i tym co o niej zasłyszeli, podziwem była. Groza i strach przejmowały wszystkich, aby starzejący król nie nabrał smaku w okrucieństwie, jakim się oślepiouy przezeń Bolesław Ryży odznaczył.

Ze wszystkich stron sali spoglądano na króla ukradkiem, jakby chciało czytać z jego oblicza, jaki ślad w duszy zostawił wyrok ten krwawy. Chmura nie schodziła z czoła pańskiego, wszyscy siedzieli milczący. Nie uszło i to oka i ucha ludzi, jak stary Pobóg, najwyższego naówczas dostojenstwa odmówiwszy, na zawsze dwór pański opuścił.

Kilka razy Bolesław podniósł wzrok na królowę, ale jej oczów nie spotkał, nastroczały mu się za to owe niebieskie, zuchwałe choć straszne oczy Ody, która szukać się zdawa króla i na przekór wszystkim okazywać spokój i wesele. Tak samo pono, gdy imi weseli bywali, ona smutną i gniewliwą być się starała, aby nie godzić się ze dworem, a iść wolą swoją.

Ulubione psy królewskie otaczały stół i chci-

wie rzuciły się na kości, które zwyczajem było ciskać na podłogę. Zyg kilka razy próbował drażnić je zabawić pauą, ale stworzenia te zuchwale, nie szanując jego dostojęństwa ni stroju, zębami wyszczerzonemi klapiąc i bureząc nań, odstraszyły karła, który musiał ustąpić.

Cały niemal obiad przeszedł bez rozmowy, w milczeniu, tylko głosami z izby czterdziestu stołów dochodzącemi, przerywany. Niewiasty szeptały do siebie, parę słów król zamienił z opatami, królowa go kilka razy o bliskie święta kościelne spytała.

Proste i niewykwintne jadlo, które roznoszono obficie, nasyciło gości wprędce, wypróżniały się misy, kubki z miodem i winem gościć krążyć zaczęły... król też spełniał je chętnie i dopiero pod koniec uczt, z weselszą nieco twarzą, ku współbiesiadnikom się obrócił.

V.

Po uczcie w podwórzu zamkowym próbowano koni, łuków i oszczepów, wyprawiano rodzaj małych turniejów, których zwyczaj już na dworze cesarskim naówczas się ustalać zaczynał.

Niewiasty ustąpiły zaraz do komnat swoich, idąc szyc w krosnach, praść lub zabawiać się śpiewem i grami. Król wyszedł nieco na przed-sienie, aby się przypatrzeć igrzyskom młodzieży. Opat znikł udając się na modlitwę. Całe życie zamkowe skupiło się w dziedzińcach, gdzie się popisywali królewscy komornicy, służba rycerska i niektórzy z gości podochoconych. Każdy z nich miał albo oręż nieco inny, lub sposób władania nim odmienny, więc próbowano i chadzano o lepsze, a kto górę wziął, temu okrzykami prym dawano... i drudzy zaraz imali się téjże szcer-

mierki. Śeigano stę koimmi, wyzywano na bary, a gawieź zdala się przypatrywała.

Gdy się to działo w podwórceach, w małej izdebce przy dworcu, na rogu zabudowań, siedziało dwóch ludzi, w których z ubioru poznać było można duchownych.

Jeden z nich wychudłym był i przygarbionym, twarz miał żółtą, zaszępiłą i napiętnowaną jakąś zgryźliwością kwaśną i gniewną. Ścisnięte usta jego wyrażały kryte szyderstwo i nieublaganą złośliwość. Skulony siedział u stołu, na którym widać było rodzaj pulpitu i obok niego leżące narzędzia, jakich naówczas do pisania używano; natarte farby w miseczkach, pióra i piórze, noże i zrzynki pargaminu, sznury jedwabne i kawały wosku.

Ogromne, wyschłe, posmolone ręce z długimi palcami, trzymał ścisnięte pod brodą, podpierając niemi głowę, której siwe, błyszczące oczy zwrócone były na siedzącego naprzeciw człowieka.

Ten zdawał się świeżo przybywać z długiej podróży. U drzwi stał kij krzywy, futrzana leżała czapka i płaszcz czarny lisami podhity.

Był to mężczyzna w sile wieku, duchowną suknią okryty, ale do kapłana skromnego niepodobny twarzą, baczysty, postawy rycerskiej, zuchwałego wejścia, twarzy okrągłej i jakby nalanęj. Czarna suknia i wygolona głowa same tylko w nim duchownego wskazywały.

Trzymał się, jakby do szat, w które był odziany, nie nawykł, jakby ciągle miecza szukał, braknącego mu u boku.

Wyjawszy zakonników, nie było też naówczas rzadkością, wyższych dostojników kościoła widywać we zbroi, przy mieczu, na koniu i lowach. Wielu biskupów, jako panów świeckich obszer-nych państw ponadawanych kościołowi i im podległych, chadzali nawet na czele swych wojsk na ich obronę.

Mężczyzna, który stółek zajął naprzeciw zgarbionego księżyny, siedzącego u pulpitu, zdawał się jednak być raczej zakonnikiem niż świeckim kapłanem. Krój jego sukni przypominał mnichów reguły świętego Benedykta. Odzież na uim, długą podróżą zapewne, zszarzana była i powalana.

W izbie, w której ci dwaj zasiadali, na kominię płonął ogień, już zaniedbany i resztki głowien dojadający, mrok w niej panował. Ubogą była jak cela mnisza i w wygodniejszy sprzęt nie obfitowała. Na stole w prostój misce glinianej widać było szczątki niedojedzonej ryby i okruszyny porzuconego chleba.

Dwaj rozmawiający pochyleni ku sobie siedzieli cicho, mierząc się wzrokiem i mieniając skąpe słowa.

— Mówicie mój ojeze — szeptał skniony księżyna, który tu był gospodarzem — że was tu czei najgodniejszy mój dobroczyńca biskup merse-

burgski przysła. Chcę temu wierzyć... chcę wierzyć... nie wątpię... lecz najdosłowniejszy ten zwierzchnik zwykł zawsze czémś dla wiarogodności posłów swoich opatrywać...

Posłyszawszy te słowa naprzeciw siedzący mnich, rzucił się niemal obrażony niemi, ciemne oczy jego zaogniły się, spojrzał na mówiącego dumnie, z góry, i nie nie odpowiadając, ręką sięgnął za suknię, dobył z niej zrzynek mały paraganin i ukazał go pytającemu.

Był to paseczek wązki, na którym żadnego słowa napisanego widać nie było, na wosku tylko stała wyciśnięta pieczętka jakaś, którą pochwycawszy ksiądz, do samych prawie oczów ją podniósł, aby się jej lepiej przypatrzeć i rozeznąć na niej znaki.

Po chwili dopiero głowę skłonił nie nie mówiąc i zrzynek oddał siedzącemu mnichowi, który mu się przypatrywał niemal gniewny. Zwycięzki uśmieszek przebiegł po jego ustach i pieczęć natychmiast zawinawszy włożył do bocznej kieszeni, przysunął się bliżej do siedzącego księdza i rękę mu kładąc na kolanie, odczwał się żywo.

— Widzicie więc, że ze mną możecie mówić otwarcie i szczerze. Nie jest mi nie tajno, wiem, że służycie temu... królowi (wyraz mu ciężko przeszedł przez usta), abyście skuteczniej przez to kościołowi i cesarzowi służyć mogli, wiem, że tu jesteście dlatego, aby zbliżka patrzeć co się snuje

i zamierza. Wiem, że ten zjadliwy wróg imperyi, choć sługą jego jesteście, panem waszym nie był i nie jest... Wszystko wiem... Mówmy więc jak przystało ludziom, co do jednego pocztu należą i po jednej stronie walczą...

Uderzył się ręką w piersi i dodał.

— Na mnie się wy nie zawiedziecie... Nie! Ja też krwią i sercem cesarski sługa jestem wierny, sługa kościoła, ja też tego pół-poganina (zniżył nieco głos) nienawidzę, brzydzę się nim, chytrąścią jego, przewrotnością, drapieżstwem, chciwością. Wilk to niesyty, i póki on żyje, cesarstwo spokoju mieć nie będzie nigdy... Przychodzę do was, ażebym zbliżka rozpoznał co się dzieje i odniósł to tam, gdzie myślą i pracją nad odzyskaniem zagrabionych przez niego krajów...

Bóg sprawiedliwy — dodał — cierpi on długo, wynosi nawet przestępce nieraz, ale na to, aby go z większej strącił wyżyny w przepaście...

Mówiąc tak, mnich się zapalił i pięścią silną, grubą o stół uderzył. Siedzący naprzeciw niego drgnął cały, jak gdyby w tym ruchu znalazł przypomnienie czyjegoś obyczaju...

Nastąpiło milczenie. Kościstemi palcami powiodł po czole i twarzy ksiądz, westchnął i odezwał się bojaźliwie, pocichu.

— Źle jest u nas... źle! Chytry ten wąż poczytna sobie zbyt rozumnie, chytrzejszy nadeń doradzca opat tyński Aron... prowadzi tego żnbra

za rogi. Bez opata onby się dawno rozbił gdzieś o mur głową. Napróžno się tu staramy, zabiegamy, aby nieufność obudzić, aby zrodzić w nim podejrzenie... by go usunąć... a wkraść się w łaski. Opat jest lisem przebiegłym. Ten radzi, ten prowadzi, ten czyni wszystko... a ja... cóż ja mogę?... patrzę tylko i zżymam się...

I... nie można rzecz inaczej... rozum w tém jest, a wielki...

Wierniejszych szug kościoła nie znajdziecie na oko nad nich nigdzie, ale oniby swój kościół osobny chcieli mieć u siebie! Z Magdeburga, gdzie cesarz zwierzchność postanowił, oni rozkazów odbierać nie radzi... Swoje biskupstwa i arcybiskupie katedry stanowią samowolnie, pod pozorem, że Otto III na to pozwolił. Już i tę nitkę, co ich z cesarstwem wiązała, zerwali. Jawna rzecz, że Bolesław cesarstwu niczém nie chce być dłużnym, w niczém zależnym od niego. On! on śmie się sam zwać cesarzem na wschodzie, jak gdyby już i tak dwóch ich nie było, w Rzymie i Byzancyum.

Duma jego i samowola daleko sięga, dalej niż oręż...

— A wszystko to — przerwał wybuchając — wszystko to na krwi, na mordach, na łupieztwie ugruntowane...

Wicieście przecie jak poczynął? Gdy mąż zaczął, stary Mieszko umierał, nie był Bolesław panem całego kraju... musiał go, wedle woli ojca osta-

tniej, dzielić z trzema braćmi z Ody zrodzonymi. Winni mu oni byli tylko, jako najstarszemu, cześć i posłuszeństwo, przymierze i pokój... ale każdy z nich na swojej ziemi był panem. Trzy lata trwał nie pokój, ale ciągła walka i męka, dopóki pobieżnej królowej Ody nie wygnał precz i synów jej z nią nie wypędził razem, aby ich dzielnie sobie przywłaszczył... A któż Odyłona i Prybuwoja oślepił, aby im też wydrzeć ich ziemie?

I synów Ody ten sam losby spotkał pewnie, albo gorszy, gdyby się zawczasu nie ratowali, z matką uchodząc razem.

— Czyż we trzech nie mogli stawieć czoła jednemu? — zapytał ksiądz.

— Oni?.. otoczeni byli zdrajcami... — ciągnął mniem dalej, coraz się bardziej mrosząc — gdzie nie sięgnął orężem, tam złotem, obietnicami ujmował... Dwór królowej Ody, jej synów, wojsko, urzędnicy, wszystko zawczasu przekupione było i zjednane. Jedna tylko zostawała ucieczka. Oda schroniła się do Rzymu, do ojca św. papieża, a nie mogąc odzyskać już tego, co do niej i synów należało, wszystkie te ziemie, jej i dzieciom wydarte, złożyła w ofierze apostolskiej stolicy. To przywłaszczyciel, który siedzi na papieżkiej ziemi...

Ksiądz słuchający westelmał.

— Tyle lat upłynęło od tych czasów — odezwał się — już na to nie ma ratunku.

— Dlaczego? — podchwycił mnich — ofiara uczyniona była apostolskiej stolicy, aby te ziemie z jej rąk, jako jej należne, otrzymali napowrót synowie Ody... Oda żyje przecież do dziś dnia w klasztorze w Quedlinburgu, a jej dzieci...

— Cóż się stało z jej synami? — zapytał słuchający — pomarli?

— Nie, żyją. Mieszko najstarszy jest przy cesarzu, chociaż i tam, z obawy trucizny i zdrady, bo Bolesław i na dworze cesarza ma swych ludzi... i tam imię swe i dostojność ukrywać musi.

— Bolesław swoich ludzi ma wszędzie — rzekł ksiądz cicho — oko jego sięga daleko i ręce ma długie...

— Drugi — kończył mnich — włożył suknię duchowną, trzeci się tuła po Niemczech, czekając pory pogodnej... A lata upływają, upływają i nie przynoszą z sobą...

To mówiąc westchnął i załamał dłonie. Żywe przejęcie się tém co mówił przybyłego posła merseburgskiego biskupa obudziło znać ciekawość słuchacza, coraz pilniej począł się w milczeniu w gościa wpatrywać. Ten tak był uniesiony zgrozą i niechęcią, iż nie zważał nawet na zwrócone ku sobie oczy i wnet znówu począł mówić dalej.

— Przecież mu się zawsze tak szczęścić nie może!.. raz mu się noga pośliznąć musi, jak mu się pośliznęła w Czechach i na Rusi. Pragę utracił bezpowrotnie...

— Dzień i noc myśli o jej odzyskaniu... — zawołał ksiądz eicho, potrząsając głową. — A nie maż on tam całego zastępu Sławników, z których tu jeden wisi przy dworze? Ma on swoich i w Kijowie i wszędzie...

Zżymnąwszy się wstał ze stolka gość i rzucił rękami, jakby milezącem przekleństwem.

— Więc nie ma nań rady? — zawołał. — A nie można jawnie, nie godziż się przeciw temu zdrajcy i okrutnikowi stawić sidel jak na zjadliwe i krwi cheiwe zwierzę?

Ksiądz nierychło odpowiedział.

— Sam on sobie dół może wykopie...

Wyrazy te obudziły w mnichu zajęcie i ciekawość gorącą, usiadł znówu na stolku i przybliżył się do księdza.

— Sądzę — szeptał ten dalej — że ehyba pobożność królowej i jej enoty dotychczas ratowały go od zguby. Ale tej czcigodnej pani, córce Dobromira, pouo się gotuje los córki Rygdaga i matki Bezpryma... dni jej tu policzone. Niedosć temu bykowi niewolnic i nałożnic, zwiędła królowa już mu się codzieln więcej przykrzy. Gdy jej na grodzie nie stanie, piorun z niebios nderzy w to guiazdo nieprawości...

— O! może być... może... — uśmiechając się złośliwie dokończył szeptem ledwie dosłyszany, z widoczną radością ksiądz — tak! może to być! Piękna córka markgrafa Ekarda niedarmo bawi

na naszym dworze. Chce się jej bardzo zostać królową, wyzywa króla oczyma, kusi go słowy, pociąga młodością i wdziękiem szatańskim...

To mówiąc splunął stary i przecęgnął się.

— Są wiadoma, że król ku niej powziął namiętność wielką...

— Czyż dlatego miałby aż jej ślubować? — odparł imich — on, co sobie pozwala więcej niż cesarz i inni królowie, sądząc, że dlań kościół będzie mieć prawa osobne...

— O! onby się pewnie oszedł bez kościoła i błogosławieństwa — dokończył ksiądz — ale Oda chce korony i imienia żony, a nie da mu się do siebie zbliżyć inaczej. Codzień go sobie więcej jedna, codzień go kusi potężniej... Szatanby w niej siedział, a nie byłaby niebezpieczniejszą...

— A opat Aron cóż na to?.. świątobliwy ten człeczek?.. — szydersko imich się odezwał.

— Patrzy i milczy, bo mu się jeszcze król z tem nie zwierzył. Sroma się go... Opat surowym dlań jest... Ja wiem najlepiej, jak stoi sprawa. Aron dla mnie nie ma tajemnic... ja przez niego zaglądam jak przez okno w królewską duszę.

Mówiąc uśmiechnął się chytrze, dziwnie i noczykiem ostrym nie myśląc rzezał stół, jakby nim co innego chciał krajać.

— Kogo nie zgubi głupota, bo to mąż rozumu i woli wielkiej — ciągnął dalej — tego obali na-

miętność, zwycięży krew, zje ryczące zwierzę, które w nim samym siedzi... Czekajmy trochę, a będziemy widzieli świętą królowę biorącą zakonną zaslone i młodą panię wodzącą starego lwa... Naówczas Pan dopiero rękę swą spuści na endzołożnika i zgniecie olbrzyma...

A tymczasem — mówił, naprzemiany głos zniżając to podnosząc mimowoli — tymczasem on sam sobie czyni nieprzyjaciół nowych, jak gdyby ich już nie miał dosyć...

Shlachcz ciekawie chylił się ku mówiącemu, chwytając każde jego słowo z upragnieniem.

— Wszystko się powoli składa na zgubę jego — ciągnął opowiadający ze zjadliwym wyrazem nściwej niechęci. — Los chciał, by się jedna można rodzina rzuciła na swawolę, Jaksowie, którzy się czasu wojen nanczyli być gwałtownikami, napadli i zamordowali kupca tam jakiegoś... Król ich porwać kazal i dał poćcinać...

Z Jaksami spokrewnione są rody możne... wszystko to, gniewne teraz, pierzechnęło od króla i dworn... precz... wszystko to wrogiem mu się stanie...

Strata niemala! groźna!.. Prosiła za Jaksami królowa, klęczeli i prosili inni... nie pomogło nic... litości tam w tém sercu nie szukać...

To mówiąc westchnął ksiądz i jakby się opamiętał, że zadużo powiedział, zamilkł nagle.

— Jedna tylko rzecz wątpliwa — dodał na-

myśliwszy się i pocichu — kazał ich ścigać... ale czy ich ścięto?.. Badałem dobrze, niewiadomo, gdzie i kto spełnił wyrok królewski... Nuż się ich odważono ukryć i ocalić? króla okłamać?.. Któżby się to ośmielił uczynić, chyba jedna ta miłosierna i pobożna królowa... A jeśli ona to uczyniła... żal mi jój... tajemnica się nie utrzyma, król jój nie przebaczy... wystąpi naówczas namiętność dla Ody... potępi Emmildę, i dopełni miary i kropla ostatnia kielich gniewu pańskiego domierzy...

Zatarł ręce. — Padną gromy!..

— Ale mogłaby się na to ważyć królowa? — zapytał mnich zdziwiony. — Oua go zna przecie.

— Tak, ale córka Dobromira jest pobożną niewiastą, gotowa siebie zaofiarować dla ocalenia dwu żywotów.

— Wicie pewno, że się tak stało? — spytał mnich.

— Nie wiem... nie... proste to są domysły tylko — rzekł ksiądz żywo — ale po nici do kłębka się idzie, a zdaje mi się, że albo nitkę mam w ręku, lub ją rychło pochwyć. Jeżeli się to stało, opat Aron musi wiedzieć o tém, a jeśli on wie, ja wiedzieć będę... ja dobędę z niego! Gdy ja się dowiem — dokończył mruczając — naówczas uczynię, co mi mściwa boża prawica wskazuje... Naówczas Oda rychlój może tronu dostąpi, król

kochanki, a Bóg wyrze zemstę swoją, bo nie będzie komu od niej modlitwą zasłaniać!..

Milcząc, z uwagą wielką słuchał mnich, nieco zadumany, zdziwiony trochę; wyzywał dalsze zwierzenia, strzegąc się je nawet natrętnemi przerywać pytaniami.

Z kolei opowiadający ksiądz, nie będąc już panem siebie, coraz gorętszemu uczuciu dawał się unosić, jak wprzód mnich, gdy na Bolesława narzekał.

— Jeżeli się tak stało — dodał jeszcze — jeżeli się stało jak się domyślam, tajemnica długo się utrzymać nie może, nie zachowa. Gdzież ich podzięją? gdzie ukryją? jak im i dokąd ułatwić ucieczkę?.. Nie mogą się obejść bez ludzi... ktoś podpatrzy i królowi szepnie słowo...

— Sądzicie, że się tak stało z tymi Jaksami? — powtórzył mnich.

— Domyślam się... domyślam tylko, ale rzadko się myślę — rzekł ksiądz — królowa mogła się na to odważyć, serce jej miłosierdzia pełne, każdą krew obmywa łzami; naostatek jest przy niej córka Sieciecha, z którą jeden ze skazanych na stracenie miał się żenić... ojca i królowę mogła skłonić... Zamieszają się ich wiele...

Zataił ręce ze złośliwą radością

— Jakież mogą być skutki? — szepnął mnich.

— Odrzucenie królowej za przeniwierstwo — mówił ksiądz — a potem panowanie młodej nie-

wiasty, która nam jest oddaną, cesarską wierną poddanką... Jej młodość będzie dla niego zgubą, zniewieści go i siłę mu odbierze.

— Lecz Jaksowie, na których nienawisć rachowaliście, zostaną przejeżdżani? — wtrącił mniich.

— Wdzięczność zachowają chyba dla królów, co ich ocaliła, jeżeli w istocie potrafiła to uczynić, ale dla kata tём większą nienawisć...

Tak rozpoczęta rozmowa, gdy się oba z sobą coraz więcej porozumiewali, stawała się tём poufniejszą co chwila. Skulony księżyna, którego na dworze znano pod imieniem księdza pronotaryusza Petrka, był jedynym na dworze królewskim (z wyjątkiem duchownych na nim przebywających), co pisać i czytać umiał. Był on tu niewidomym szpiegiem niemieckim. Posel merseburgskiego biskupa dobył z niego, co miał w duszy. Nie zataił przed nim, jakimi naczuciami dla króla był ożywiony. Żmija to była odgrzana na miłościwém łonie łask pańskich, zazdrosna wpływn opata Arona, knująca jego zgubę, spiskująca z wrogami, gotowa na wszystko dla dogodzenia zemście i uzyskania wyższego stanowiska. Proto-notaryusz Petrek umiał się jednak tak zręcznie i chytrze obracać, a kryć z tём co w duszy nosił, że nikt, nawet (jak mu się zdawało) opat Aron, nie śmiał go posądzać o przecherstwo.

Po długich szeptaach, gdy się pytań i odpowiedzi przebrało, ksiądz Petrek, zupełnie ubez-

pieczony ukazaną mu pieczęcią, wylawszy się przed posłem ze wszystkiem co czuł i myślał, zapytał go wreszcie, jakby opamiętawszy się, że nie wiedział jeszcze z kim miał do czynienia.

— Mój ojcze, a wyż zkąd przybywacie? z jakiego jesteście klasztoru? z jakiego narodu?.. Co was tu do nas przywiodło? czy sam rozkaz biskupa? czy ciekawość widzenia tój smoczěj jamy? czy inny jeszcze cel jaki?

Mnich usłyszawszy to pytanie, stanął w postawie dumnej, rozprostował się, podniósł głowę, spojrział z góry na pytającego, jakby się namyślał, co mu ma odpowiedzieć.

Oczy księdza Petrka potwierdzały pytanie — Któż wy jesteście?

Bolesny uśmiech przeleciał po ustach mnicha, zbliżył się do księdza, pochylił mu się do samego ucha i rzucił w nie — jedno słowo.

Musiąło ono mieć wielkie znaczenie, gdyż usłyszawszy je, zerwał się nagle protonotaryusz, zalał ręce drżące i z trwogą popatrzał na uśmiechającego się gościa.

Na twarzy bladej ks. Petrka, niedowierzanie, zdumienie, strach malowały się na przemiany, patrzył strwożony to na drzwi, to na gościa, to po pustej izdebce swojej.

— Na rany pańskie! — zawolał wreszcie głos tłumiąc — lecz, jeśli tak jest, o czém uie wątpię

(skłonił głowę), jeśli tak jest, jak mogliście stopą przekroczyć tego zamku branie?..

— We krwi mamy zuchwalstwo! — odezwał się mnich uśmiechając. — Pomnijcie, ile to lat nikt tu mojej nie widział twarzy... któżby zresztą mógł co podobnego przypuścić? Twarz ta z młodzienczej na wygnaniu miała się czas odmienić w zestarzałe, pomarszczone oblicze, na którym przeszłość się zatarła do szczytnu. Mogłbym się oko w oko spotkać z nieprzyjacielem matki rodu mojego i nie zadrżałbym, bo nawet jego wejrzenie jaszczurcze w tym brudnym mnichu nie poznałoby człowieka, który się w nim ukrywa...

— Nie mówcie tego! nie mówcie! — przerwał ks. Petrek. — Mylicie się... Ten człowiek wzrokiem przebija nawskroś jak włócznią, widzi czarownik pod ziemią, zgaduje to czego nie wie... Szatana ma na posługi co mu szepce... a dosęby było domysłu, podejrzenia tylko, aby was skazał jak Jaksów...

— Nawet suknia taby mnie nie obroniła? — rzekł mnich podnosząc czarną połę habitu.

— Suknia? wątpię... — odparł ksiądz — żyćcieby może darował, ale oczówbyście nie uratowali... Oślepił trzech własnego rodu, a miałby czwartego oszczędzić?

Mnich mimo grózb tych nie zdawał się bynajmniej strwożony.

— Przyszedłem tu — rzekł — własnymi oczy-

ma widzieć co się dzieje, czy możemy na przyszłość rachować?.. Nastęrczać mu się nie mam potrzeby...

— A nie będziecie mieli sposobu go uniknąć, jeżeli tu zostaniecie, choćby do jutra — rzekł ks. Petrek. — Chce on uchodzić za najwierniejszego syna kościoła, czei i szanuje duchownych, tak że i najuboższego kapłana nie pominie, nie ucałowawszy ręki jego. Jeżeli się dowie, że mnich wędrowny przybył do Poznania, zawczasie was do stołu swego, zmusi przyjąć dar jakiś... Zechcecie unikać go, podejrzenie się obudzi...

Mnich namyślać się począł, czoło zmarszczył, zdając się wazyć, co ma uczynić. Mileżał długo.

— Któż mu tam ma donieść o mnie? — rzekł w końcu. — Dwór ludzi pelen, duchownych jest mnóstwo, wątpię, by mnie postrzeżono...

— A ja pewnym jestem tego — odezwał się ksiądz żywo. — Nie sądźcie, aby tu co uszło baczości ludzi, którzy nie do roboty nie mają, nad śledzenie cudzych czynności. Bolesław wie nie tylko co robimy, ale nawet co myślimy... — Rozśmiał się dziko. — Oprócz mnie!.. ale ja twarz przed nim padam, a kraj szaty opata całuję i prochy ścieram przed nimi! Ja donoszę, jestem gorliwy... czernię... klamię... Bóg wszechmogący mi odpuści, bo dla jego służby to czynię... A cóż ja tu znaczę?.. każą mi pisać co opat Aron podyktuje, jestem posłusznym; piszę, nawet na

dwie ręce, bo posyłam i tam, gdzie o tém wiedzieć potrzebują... Zresztą maluczki służka boży, stworzenie biedne i drobne, ocalam się tém, że mnie nie widać nawet... Nieraz — mówił dalej ze śmiechem — nieraz szukano tego zdrajcy, co wydał tajemnicę, śledzono na wsze strony... i ja pilno téż szukałem razem z niemi... nikomu ani na myśl nie przyszło mnie posądzać!

— A gdyby?.. — zapytał mnich.

— Gdyby? mówicie?.. — dodał ksiądz Petrek spokojnie. — Nie jestem ja kościoła mojego sługą, obowiązany zań dać życie? Wiem, że za duszę moją odprawionoby dziesięć razy tyle mszy, ile mam lat... o duszy zbawienie trwogi nie mam. Miałbym dbać o mizerne ciało? Jestem jak żołnierz postawiony na straży, który wodzowi winien życie... i da je z ochotą...

Pokazał suknię swą. — Wziąłem tę zbroję... i walczyć muszę do końca.

To mówiąc przeżegnał się, ręce złożył i zdał się modlić w duchu.

Twarz jego, która w czasie rozmowy często odrażała szyderstwem i złością tłumioną, wypogodziła się, stała spokojną a bezbarwną.

Chytre to człeczko było w istocie żołnierzem, wpadającym chwilowo w zapal bojowy, lecz rychło odzyskującym krew zimną, aby nie utracić siły.

I znowu pocichu rozpoczęła się rozmowa,

a trwała długo, gdy nagle do drzwi zapukano, otwarły się one i najstraszniejsze zjawisko, jakiego się oba mogli lękać, stanęło w progu; wszedł wolnym krokiem, rozglądając się, opat Aron.

Ujrzawszy tu nieznanego mnicha, zdumiał się zrazu mocno, ks. Petrek pobladł nieco, obcy zakonnik stał prawie nieporuszony, usiłując pokorną przybrać postawę, o co mu niełatwo było. Nim opat miał czas zapytać o niego, podszedł ku Aronowi, ukląkł przed nim, obyczajem mnichów skłonił głowę i prosił o błogosławieństwo.

Opat niezmiernie zdziwiony tem zjawiskiem, zrazu... zmilezał i pytanie zamarło mu na ustach.

Pobłogosławiwszy klęczącego i dawszy znak, aby powstał, ks. Aron zapytał go po łacinie.

— Zkąd to jesteście? co was tu przywiodło?

— Z Korbei jestem — odpowiedział mnich — imię moje Benedykt, mam od przełożonego pozwolenie wędrowania i nawracania. Ciekawość i pobożność prowadziła mnie do Trzemeszna naprzód, a teraz tu, najprzewielebniejszy ojcze...

Aron długo się weń wpatrywał.

— Gdyście tu przybyli, bracie mój — rzekł — jużbyście pozostać powinni. Duchownych zawsze jeszcze mamy mało na nasze potrzeby, kraj na pół pogański, nawracających, apostołów dobrej woli nam braknie... Świątobliwy król nasz obsypuje ich złotem, rad każdemu co przybywa. Dla-

czegożbyście nie mieli pozostać z nami, jeżeli gorliwość was tu przywiodła? Pole szerokie...

— Dlatego, ojeze najprzewielebniejszy — odezwał się mnich — iż uczynilem ślub powrotu i przełożony nasz rachuje na mnie. Pokłonię się w Gnieźnie u grobu św. męczennika i powracać muszę...

Opat ciągle się z wielką ciekawością wpatrywał w mówiącego. Głos, postawa, rysy twarzy, widocznie w nim jakieś myśli obudzały, które się w oczach i na czole malowały.

— Jeżeli pozostać nie zechcecie — odezwał się po przestanku — przynajmniej gościem bądźcie u króla, który was szczerze obdarzy, u królowej, pobożnej pani, która świadczy wiele duchowieństwu i kościołom.

— Przebaczenie — rzekł mnich żywo — ja wedle ślubu mego dziś dalej w drogę iść muszę... Ślubu łamać się nie godzi... — I w rękę pocałował opata, kłaniając mu się nisko.

— Pójdę nieszporne pacierze odmówić do kościoła... a potem... w drogę.

Sklonił się i nie czekając już, w obawie aby go nie zatrzymywano, poszedł po swój kij, płaszcz i czapkę, chwycił je prędko i za drzwi się wysnął. Pośpiech ten był nderzający. Opat i ks. Petrek poprowadzili za nim oczyma.

— Zaprawdę! — odezwał się po wyjściu jego opat Aron — zaprawdę, coś jest dziwnego w tym

mnichu... A wy, księżę Pietrze, nie uważaliście tego?

— Ja?.. — z pokorą wielką i zdumieniem ozwał się ks. protonotaryusz. — Ja? Oprócz wielkiej świątobliwości nie mnie w nim nie uderzyło.

— Osobliwsze w nim podobieństwo, nie tylko twarzy, ale głosu i ruchów do naszego króla Bolesława! Gdy przemówił, nłakłem się... zdało mi się jakby snem dziwnym to widzenie, nszom moim wierzyć nie chciałem. Rodzeni bracia podobniejsi być nie mogą!

Ks. Petrek ramionami rnszył.

— Nie śniem przeczyć — rzekł — ale ja tego wcale nie postrzegłem, choć dosyć z nim mówiłem długo...

— Dziwne! dziwne!.. — powtórzył opat. — Zkądże... i jak dawno się on tu zjawił?

— Przed godziną może — rzekł zimno protonotaryusz. — Prosił mnie, aby się mógł nieco w izbie ogrzać i odpocząć.

— Trzeba go było nakarmić i dać znać o nim do dworu... Król nierad będzie, gdy się dowie, że zakonnik minął dwór jego nieobdarzony.

— Chciałem to uczynić, ale mi wzbronil — odparł ks. Petrek z wielką ciągle pokorą i przesadnemi pokłonami.. Wypytywałem go pilnie o cel podróży, zdaje się, że innego nie ma nad pobożną modlitwę u grobu świętego apostoła naszego.

Mnich świątobliwy i skromny, o świecie niewiedzący wiele lub nie prawie.

— Przyniosłże jakie nowiny z Niemiec? — pytał opat.

— Żadnych. Widać, że ich nie szukał i pogardzał światowemi wieściami. Nie obchodzą go one. Od grobu św. Maurycego przywędrował tu prosto.

— Mówił co o Magdeburgu?

— Nie pytałem go o nie — zbyt krótko ks. Petrek.

Opat się zadumał głęboko.

— Któż wie! — rzekł jakby sam do siebie. — Rozmaite postacie zwykły przybierać podstęp i zdrada. Nie ręczyłbym za to, że pod tą suknią mnicha ukrywać się może jeden z synów Ody, czyhających na spuściznę Bolesława.

Usłyszawszy to ks. Petrek, podniósł do góry ręce i wykrzyknął jakby z podziwu.

— Syn Ody! Miałaby który z nich odwagę cisnąć się sam w szpony zwyciężkiego orła naszego?.. Lwn w paszczkę?..

— Któż wie? kto wie? — powtarzał opat zamysłony i niespokojny. — Podobieństwo do króla nadzwyczajne, głos ten sam. Trzeba posłać po mnicha, aby mu się bliżej przypatrzeć.

Położył rękę opat na ramieniu protonotaryusza i w oczy mu patrząc szepnął cicho.

— Idźcie, znajdziecie go w kościele na wie-

czornęj modlitwie... Proszę was, zawezwijcie go do dworu, lub, jeśliby się wahał, zaproszcie do siebie... Bliżej zbadać go potrzeba... Jeden z synów Ody wdział, jak wiemy, suknię zakonną... Coś mi to apostołstwo mnicha samotnego dziwnie wygląda... Idźcie! idźcie!..

Posłuszny ksiądz Petrek zakrzął się natychmiast spełniając rozkaz przełożonego swojego. Ks. Aron wyszedł krokiem powolnym.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, z rękami złożonemi stał długo ks. Petrek.

— Nie jestże to cud siły jakiegś nieczystej, że ten człowiek wszystko na wskrós przenika!.. Odgadł go! odgadł!..

Powtarzając ten wyraz pospieszył zaraz protonotaryusz, kierując się ku tumowi, który cały dzień do późnej nocy stał otworem.

Kościół był pusty, jedna lampa gorejąca wiecznie płonęła przed ołtarzem. W pośrodku, na czterech grubych słupkach kamiennych oparty, stał nieforemnie wyciosany grobowiec, naksztalt skrzyni ogromnej, zawierający zwłoki króla Mieszka. Tu także dwie lampki paliły się rzucając mdłe światelko. Przy tumbie tej znalazł wchodzący ks. Petrek klęczącego, z głową o kamień opartą, mnicha. Gdy na szelest kroków jego podniósł się nieznajomy, blada twarz jego okryta była łzami, ręce mu drżały.

Szybko żegnając się wstał od grobowca, ujrzawszy księdza, i uspokojony podszedł ku niemu.

— Na Boga litościwego! — zawołał doń ks. Petrek — uchodźcie co najprędzej... ks. opat podejrzenie ma, a raczej... chytry wzrok bazyliuszka poznał was... znalazł w rysach waszych i głosie podobieństwo do króla... powiedział mi: To jeden z synów Ody... Kazano mi was ściągnąć do zamku albo do mnie... dla badania... Uchodźcie niezwłocznie... spieszcie... Ja powiem, że was nie znalazł, nie widział... Na podzamczu znajdziecie schronienie...

I do ucha mu się nachylając szeptać coś zaczął. Mnich ręką skinął obojętnie.

— A! mam ja tu wiernych naszych sług dosyć — rzekł uśmiechając się — bądźcie spokojni o mnie... Bywajcie zdrowi... Bóg z wami.

Ks. Petrek stał jeszcze we drzwiach tunu, gdy mnich szybkim krokiem wyszedłszy z kościoła, z widoczną miejsca świadomością, ciasnymi przejściami, udał się w głąb zamku i z oczów mu zniknął.

Odetchnął protonotaryusz lżej i powolnym krokiem do swojej celi powrócił.

Niedługo potem pacholę przyszło od ks. opata z wezwaniem ks. Petrka do niego.

— Cóżście uczynili? gdzie mnich? — zapytał Aron.

Ruchem rąk rozpaczliwym odpowiedział posłany.

— Nigdzie ani śladu!.. I ja i służba kościelna, w tłumie, około niego napróżnośmy mnicha szukali... ani na grodzie, ani na drodze, ani w okolicy śladu ni wieści nie dopytaliśmy. Znikł... nie wiem jak...

— Znikł! — szepnął Aron. Popatrzał pilno na ks. Petrkę i z dziwnym twarzy wyrazem dodał.

— Nie ma więc potrzeby nikomu o nim wspominać... rozumiecie; témbardziej, iż trochę winy na was spada, żeście o duchownym obcym natychmiast znać mi nie dali...

Ks. Petrek chciał się tłumaczyć, lecz opat dał znak ręką, by zamilkł.

— Bóg z wami... idźcie w pokój!

VI.

Ks. Petrek, oprócz swych obowiązków pisarza, z któremi wiele do czynienia nie miał, bo w wolnych chwilach nawet przepisywanie kanonów bardzo szło opieszale — spełniał też inne duchowne na zamku posługi, nie tak może z gorliwością wielkiej, jak raczej, aby się weisnąć wszędzie i dowiedzieć o wszystkim co go obchodziło. Najmniejsze drobnostki nie były mu obojętne.

Obchodzić był zwykł więzienia, niosąc pociechę duchowną winowajcom i skazanym, nawracał po trosze, rozpuszczonych wojaków, apostołował między czeladzią pogańskimi jeszcze przesiałką przesądami.

Służba zamkowa, męzka i niewieścia, wszelkich stopni, była mu poufale znajomą. Mimo pozorów wcale nie ujmującego, przebiegły czelczyzna

umiał sobie jednać ludzi rozmaitemi przysługami, dobrém słowem, datkami — i dla niego chętnie się wszystkie usta otwierały.

Znano też jego stosunek z opatem Aronem, u Bolesława wszechwładnym, przyczyniało się to do nadania mu powagi.

Nie było więc dziwućm ukazanie się ks. Petrika w żadnym zakątku zamkowym — prawo wniknięcia swobodnego, które suknia sama dawała, służyło mu wszędzie. Domyślano się tam często rozkazów z góry, gdzie ich wcale nie było. Ksiądz śmiało korzystał z przywilejów swego stanu i położenia — pewien, że mu tego uikt za złe nie weźmie.

Nie zadziwiło też nikogo, gdy ks. Pisarz — jak go pospolicie na dworze nazywano, tegoż dnia wieczorem, błądząc po podwórzach, znalazł się u wniknięcia do ciemnic.

W szyi otwartój siedział w kożuchu stróż więzienny, a u przeciw niego oprawca... Pierwszy z nich jadł coś z garnka, który starannie knił między kolanami, drugi mu się przypatrywał. Byli z sobą w dobrej zdawna przyjaźni.

Zobaczywszy księdza przed sobą, oba natychmiast powstali, Ryba u bok usunął garbuszek, przyszli przyklękując pocałować go w rękę i odebrać błogosławieństwo.

Ksiądz się zwrócił do kata.

— Gdzie Jaksowie siedzą? — zapytał — jakby omyłką.

Ryba i kat popatrzeni na siebie.

— Ano ich dodnia jeszcze wyprowadzono na stracenie! — ozwał się Ryba.

— Stracono ich? spytał ks. Petrek.

Ryba ramionami poruszał, a kat się odezwał.

— Jam ich nie ścinał ani wieszał... co ja wiem!

— A któż? — mówił przybyły.

Ryba i jego towarzysz pomyśleli nim się na odpowiedź zdobyli.

— Któż to tam wiedzieć może! szepnął Ryba.

— Gdzież ich poprowadzono? za okopy? — badał ciekawy ksiądz.

— Ciemno było jeszcze — niewiem — rzekł Ryba powoli. Dla czego ich poprowadzili? gdzie? któż to wie? Co nam do tego..

— Jeszcze tego nie bywało nawet — odezwał się oprawca, żeby gdzieindziej tracono panów jak tu!

Wskazał na głąb więzienia.

— Wieszają i wbijają tu za okopami!

Zmilkł pytający, zagadnął potem dla niepoznaki o kilku innych uwięzionych — po krótkiej chwili skinął głową dwom drabom i uszedł na stronę.

Ryba i jego przyjaciel usiedli na pieńkach — stróż powiódł za odchodzącym oczyma, śmiejąc

się jakby sam do siebie... Potém z towarzyszem patrzali sobie w oczy długo, i głowami potrzásali prychając.

— Co ja mam gadać to, czego niepowinienem wiedzieć? — zamruczał kat — a mnie co do tego? Mnie tylko żał odzieży ich coby mi była należała... a była coś warta! Nie — i ta przepadła! albo — albo — dodał śmiejąc się i głos zniżając. Wąchał ja dobrze cały dzień gdzie ich tracono, gdzie pochowano! Nie prawda! nie stracono i nie pochowano! Nieprawda! Licho wie co się z niemi stało! jakby ich ścinać mieli, to ktoby to lepiej zrobił nademnie? albo to nie wiedzą ludzie, że ja wołowi za jednym zamachem łeb utnę... Mieliby innego szukać co dwa i trzy razy tnie, nim duszę z ciała wypędzi! Che — che!

Sam król, jasny pan, nieraz się dziwował i lubował, jak ja tnę.

A kto potrafi lepiej? kto lepiej?

Ten Zyrkacz... co mu się ręka trzęsie. Nie-doczekanie... albo Charłak co jak ścinał jednego zbójcę, ledwie go czwartego razu dobił... a i tak jeszcze głowa na skórze wisiała... Nieprawda! nie ścinali ich... nie.

Tu pochyliwszy się do stróża jął mówić pofuśnie i cicho.

— Jak się ztąd wyprowadzili — ja wstałem z barlogu, poszedłem za niemi. Nie wślad — nie głupim. Opodał... na śniegu stopy było znać, bo

świeczko popruszyło. Królowej dwornia prowadziła i zawiedli ich do księzego domu, do izby na tumie. Tam ich posadzili.

Począł się śmiać, rad własnemu rozumowi.

Stróż się nłął.

— Tst — ty głupi! — zawołał — nie plótk-
byś. A tobie co do tego? Toć pewnie stało się
z rozkazu króla i pana. Milez i gębę stul.

Kat głową potrząsł, a oczy zmrużone śmiały
mu się szydersko.

— Tys głupi sam — rzekł — co ty wiesz!
co ty znasz! Dragiem drzwi zawalić, wody przy-
nieść — i tyle. Z tobą o tem i gadać nie ma co.

Ryba wcale się tem nieobrażając, zajadał zno-
wu z garnka, z uznaniem wyższości swojego to-
warzysza, spoglądając na niego, gdy ten, jakby
od niechcenia mruczał dalej powoli.

— Król! królewskie przykazanie!! ale! To
nie królewska rzecz, to księdzowska... Księdze
tu i od króla mocniejsi, robią co chcą. Komu
chcą życie odbiorą, komu chcą je dadzą, komu
chcą je powrócą. Prawi czarodzieje. Dla tego—
położył palec na ustach — i ja mówię — mil-
czcie! A co nam tam!

Głową potrząsł i zęby mu się śmiały w ustach
otwartych.

— E! kiedy księdzowska rzecz, to ją księdzu
można było powiedzieć — odezwał się Ryba.

— Taki bo ty głupi na wieki! — zawołał kat — czy to on o tém nie wie o co pyta? oni o wszystkim wiedzą! a pytał żeby próbować.

Stróż zagłębił się w garnuszkę, widać było, iż sam uczył, że do odgadrywania tajemnic stworzonym nie był. Westchnął i kończył kaszę wystygłą.

Kat z tryumfem podniósł czoło — i szeptać zaczęli pocichu.

W czasie rozmowy tej poufniej, ks. Petrek szedł ku dworcowi królowej.

Otworzył sobie furtę wiodącą w podwórko, obejrzał się do koła, i namyśliwszy nieco, dokąd się ma pokierować, nieznacznie kolując podsieniami, udał się w głąb dziedzińca.

Chód jego tak był ostrożny i cichy, ruchy tak mało widoczne, iż gdyby kto nawet znajdował się na podwórku, mógł go nie usłyszeć i nie dostrzedz.

Jedne drzwi stały pół otwarte — a za nimi sieni widać było ciemną. Książdz pisarz wcisnął się do niej z tą samą ostrożnością, tym samym chodem cichym, i zapukawszy leciuchno, natychmiast bliskie drzwi do komnaty, w której licznych głosów szmer słyhać było — otworzył.

Była ona dosyć obszerna, z jednej strony okienkami opatrzona, pod któremi rzędem krośna do szycia stały. Pod przeciwną ścianą ławę szeroką zajmowały prządki jednako ubrane, które tu jeszcze z kądzielami w rękach siedziały. Na ko-

minie szerokim, na przeciw, ogień się palił wielki. W środku u stołu ciężkiego, na nogach krzyżowych, zarzuconego różnym przyborem niewieścim, widać było kilkanaście różnego wieku dziewcząt, które znać tylko co od krosien powstawały.

Były to królowej służebne.

Pomiędzy niemi licem i pięknością odznaczała się młoda jeszcze niewiasta niewielkiego wzrostu, z kruczemi włosami czarnemi, pleci smagłej nieco, ubrana z cudzoziemska, pstro i świecąco, którą inne, o jasnych licach i włosach otaczały. Dziewczyna oczy miała zapłakane, twarz jakby bólem obłąkaną. W chwili gdy ksiądz wchodził, rozmowa między nią a resztą służebnych, żywą być bardzo musiała, ale na widok przybyłego, nagle wszystko ucichło.

Dziewczęta zaczęły się ustawiać płochliwie i spoglądać po sobie.

Te, które siedziały u kądzieli powstawały, wszystkie z kolei poczęły się cisnąć z pokłonami, do ucałowania rąk jego. Na ostatku podeszła nie śmiało czarnowłosa.

Po odbyciu tej ceremonii, ksiądz stanął, ręce złożył, przeżegnał się i na głos zaczął odmawiać modlitwy. Wszystkie służebne poklekały i zwrócone ku wschodowi, modliły się niby za kapłanem.

Niby — gdyż w istocie wiele z nich słuchało ciekawie, wiele mu się przypatrywało z trwogą, a mało zdawało się rozumieć co mówił.

Pomiędzy dziewczętami były jeszcze mnogie na pół poganki, które ledwie znak krzyża kłaść się na sobie nauczyły. Ks. Petrek z polecenia królowej, raz lub dwa w ciągu dnia przychodził tu nauczać religii i odmawiać razem z nimi modlitwy. Były one bardzo proste. Ojcze nasz, Wierzę, Pozdrowienie anielskie, dziesięcioro, krótkie modlitewki tłumaczone z łacińskich.

Gdy się modlitwy skończyły, dziewczęta z ziemi powstawały, ksiądz do kilku przemówił poważną, a na ostatku zwróciwszy się do czarownic, zagadnął ją w obcym języku.

Dziewczyna spojrzała nań śmieliej niż inne, patrzyła mu w oczy długo i odpowiedziała nie trwając się z żywością wielką.

— Żalujeszże ty niebożnego życia twojego — odezwał się ksiądz do niej. — Powinnaś łzami pana Boga przebłagać, aby ci przebaczył.

Z twojej to naprawy, z twojego złego życia, przyszła kara na tych, co byli jego spółnikami. Przez cię zginął Gwido, przez cię straceni zostali Jaksowie.

Dziewczyna słuchając, nagle się zalała łzami. Była to niewolnica greczyńska Antonia. Ukryła twarz w dłonie i puściła wodze żalowi swemu, a towarzyszki zdawały się na nią patrzeć z wielkim współczuciem.

— Cóżem ja winna? com winna? mój ojciec dobry — zaszłochala — ja niewolnicą byłam, nie

miałam swęj woli! Wszystko złe poszło z tego łotra Gwidona, który na śmierć zasłużył. Gwałtem rozbójnik porwał mnie z sobą... choć się bro- niłam... Związali mi ręce, zamknęli usta... Biedny mój pan, biedny dobry pan, padł jego ofiarą. On nie był winien... oni oba niewinni byli, to były złote serca... to byli ludzie jakich nie ma w świecie!.. O! ja nieszczęśliwa! Potracono ich... za- bito! — wybuchnęła oczy zakrywając.

— Czas do pokuty!.. isęby ci się oczyścić do klasztoru... — rzekł duchowny — włosienicę wdziać na grzeszne ciało!

— Nie... nie!.. — krzyknęła gwałtownie dziewczyna — nie... ja do klasztoru nie chcę... nie pójdę. Ja przy królowej pani zostanę... wierną sługą... ja...

Nie wdając się już z nią w dłuższą rozmowę, ksiądz pisarz odwrócił się od płaczącej i poszedł dalej ku drugim komnatom niewieścim.

W trzeciej znalazł siedzącą Teodorę Sieciechównę, zapłakaną, zadumaną, tak że nie po- słyszawszy gdy wchodził, ulękła się i krzyknęła, zobaczywszy go przed sobą. Wstała, by go w rękę pocałować.

Tu ks. Petrek nierównie łagodniejszym się stawił, twarz też okazywał więcej wypogodzoną.

— Dziś wszędzie lzy na drodze spotykam — odezwał się. — Cóż to za przyczyna?

Sieciechówna zarumieniła się mocno.

— Nie... ach! nie, mój ojciec!.. Kto tam czasem wie, czego płacze? — rzekła pocichu oczy spuszczaając.

— Choćby on nie wiedział, to się drudzy domyślą — odezwał się ks. Petrek.

Dziewczę zarumieniło się mocniej jeszcze, ale nie mając widać ochoty do zwierzania się z bólów swoich, zamilkło trwożne.

Po chwile ksiądz się pokłonił, przesunął cicho i szedł dalej, zawsze ostrożnie i nie czyniąc najmniejszego szmeru, stąpając z umysłu tak, by go słyhać nie było.

Obyczaj miał taki skromny...

Sieć i izba niewielka dzieliły tę komnatę od mieszkania Ody, córki markgraфа Ekarda.

Przed komnatą siedziały postrojone nienki, jej służebne, z posępnemi twarzami n kądziółek. Ks. Petrek przemówił do nich w ich języku i lica się im rozjaśniły, a usta nśmieczać zaczęły.

Na zapytanie o panią wskazały mu drzwi, prowadząc ku nim uprzejmie.

W komnacie, do której wszedł, siedziała w istocie Oda.

Izba była niewielka, ale z przepychem przystrojona. Koberce leżały na podłodze, oponami obwieszane były ściany. Stół w pośrodku zaslany jedwabnym szytym obrusem, zastawiony był i zarznięcony naczyniami i fraszkami niewieściami, połyskującemi złotem. Oda siedziała sparta na ręku,

smutna, w postawie dumnej, nad krosnami. Widać było na nich naciągniętą tkaninę purpurową, którą szyła złotem i jedwabiami. W tój chwili jednak robota była przzerwana, a piękna pani patrzyła na nią obojętnemi oczyma, gdy ksiądz wszedł do izby.

Na widok jego lice się trochę rozjaśniło, przywitała go poufałym półuśmiechem, wskazując niedaleko siedzenie. Sama jednak nie poruszyła się.

Ks. Petrek, codzienny znać gość u markgrafówny, usiadł rozpoczynając cichą rozmowę po niemiecku. Mówił tym językiem, jak gdyby się z nim w ustach urodził.

— Cóż wy mi tam przynosicie, mój ojcze? — zapytała Oda.

— Ja z mojej celi, coż mogę wam przynieść, oprócz modlitwy za pomyślność waszą?

— Dziękuję za nią... ja także już wieczorne odmówiłam modlitwy... Ale... nie wiecie co nowego o królu?.. o królu? — spytała.

— Dziś nawet miłościwego pana nie widziałem w oczy — rzekł pisarz.

— Smutny jest ciągle... Uważaliście to?.. wydaje się nieszczęśliwym... — poczęła bawiąc się niemi z krosien wziętemi piękna Oda.

— A na cóżby potężny pan nasz mógł się skarżyć? — udając dobrodusznego prostaczka, odczywał się ks. Petrek.

Oda ramionami ruszyła, chciała coś powie-

dzieć i umilkła. Obejrzała się po komnacie, pochyliła nieco i poczęła wreszcie z niejakiem wahanem.

— Nieprawdaż mój ojczy, że niewiasta, która męża swojego a pana oszukuje i kłamie przed nim... przez małżonka odrzuconą być może i wydaloną? z taką się ma prawo rozstać?

— Ksiądz głową potrząsał zamysłony.

— Niewiasta, któraby mu się stała niewierną?

— W jakikolwiek sposób — żywo dodała Oda — niewiasta, któraby spiskowała przeciw mężowi z nieprzyjaciół jego?

Popatrzała nań, czekając odpowiedzi, ale ks. Petrek nie spieszył z nią.

— Nie tak to łatwo, miłościwa pani — odezwał się po chwili — nie tak to łatwo osądzić stopień winy. Kościół, matka nasza, zostawuje sobie prawo wyrokowania.

Po krótkim milczeniu Oda dodała z trochę niecierpliwości.

— A wy... wy jesteście kościołem? wy duchowni? nieprawdaż?

Ruchem głowy potwierdził to ksiądz Petrek. Przez jakiś czas znown powaleczywszy z sobą, markgrafówna wybuchnęła nagle, jakby się nie mogła ntrzymać dłużej. Charakter i wychowanie czyniły ją odważną, czuła się ze swą młodością, pięknnością i rodem, panią i królową.

— Wy wiecie dobrze, o kim ja myślę i mó-

wię... Króla Bolesława tu zwodzą, jego okłamują... Miłościwa pani, którą wy wszyscy świętą nazywacie, nie waha się potajemnie spiskować z wrogami małżonka i króla...

Ksiądz przez ostrożność całą twarzą wyraził zdziwienie wielkie, a Oda żywiej jeszcze, szydersko dodała.

— O! tak jest, mój ojcze... i wyście nie ślepi! a ja patrzę i wiem wszystko, lituję się nad losem króla, który wart jest lepszego. Chciał słusznie, sprawiedliwie ukarać tych łotrów... cóż? myślicie że spełniono jego rozkazy?

Ksiądz ciągle jeszcze zdumionego udawał.

— Nieprawda!.. oszukaną go, okłamano..! Ich wykradziono, oni żyją, aby się mścili... a kto to uczynił? Wasza święta królowa, którą wy tak pod niebiosa wynosicie... Tak... ona... Cóż wy na to?

— Ja? ja?.. — przerwał ks. Petrek — ja się zdumiewam, przerażam i milczę... To nie może być, miłościwa pani... któżby śmiał...

— Tak jest! tak jest! — z gorączką bijąc ręką o krosna ciągnęła dalej Oda — ja wam przysięgnę, że tak jest... wszyscy są ślepi... ale ja mam oczy... bo czczę i szanuję wielkiego króla... Oszukują go...

To mówiąc ze wzruszenia zarumieniała się piękna Oda i oczyma błyszczącymi spojrzała na Petrka.

— Nie mówcie o tém nikomu — szepnęła widząc go jakby przełękłym — dojdę ja tój tajemnicy, jestem na śladzie.

Z wielką radością i wzburzeniem dokończywszy tych słów, markgrafówna porwała się z siedzenia.

Książdz też podniósł się milezący.

— Bądźcie ostrożni, miłościwa pani — szepnął ciszej — tyle tylko powiedzieć wam mogę... Bądźcie bardzo ostrożni. Będąc z czeią dla was i dla ojea waszego, proszę o to... Dwór pełen sidel i zasadzek. Wasza piękność obudza zazdrość i niepokoje, robi wam nieprzyjaciół.

Z ufnością w siebie rozśmiała się pogardliwie wspaniała dziewczica i ręką rzuciwszy znak dała, jak się mało lęka. Ks. Petrek poszeptał coś cicho... wysłuchiwała go, głową skinęła i pokorny księżyna szedł dalej.

Teraz z kolei zbliżał się do pomieszkania królowej Enmildy. Twarz jego, już dwakroć zmieniona, po raz trzeci jeszcze się przeobraziła, wybierając wyraz łagodności i łudzącej pokory. Postawa nawet zastosowała się do nićj. Gdy podniósłszy zasłonę, stanął w progu komnaty, prawie miał pozór ubogiego, nieśmiało przychodzącego po jałmużnę.

Wspaniale przybraną była ta wielka izba żony Bolesława, a najpierwój nderzał w nićj ołtarzyk domowy z klęcznikiem, cały złotem obity bla-

chami, z ciężkim krzyżem na góry i dwoma złotemi także świecznikami.

Naczynia mnogie na stołach świeciły w mroku. Od stropu zwieszony był świecznik z rogów jelenich misternie spleciony i ujęty złotemi obręczami.

Królowa stała w pośrodku komnaty jakby na modlitwie, z rękami złożonemi, w czepcu swym białym na głowie i skromnej szacie obeislęj.

Na zwiędłej jej twarzy, obok smutku, który prawie zawsze mieszkał na niej, malował się spokój i słodycz wielka. Oczy patrzyły miłosierdziem i dobrocią.

Witając królowę ksiądz się niemal do samych nóg ziemi, a gdy oczy podniósł, przybrały i one wyraz łudzącej dobroduszości i pokory.

Ludziom wybranym na ziemi dostają się dary, jakich drudzy nigdy zdobyć nie mogą. Przycho-dzą one im same, rosnąc z natury tych istot, która jest rolą urodzajniejszą nad inne. Tak królowa Emmilda, pobożna i święta pani, miała szczęśliwy instynkt poznawania, a raczej przeczuwania ludzi. Ufała jednym, wstręt czuła do drugich, wyrzucając sobie jak grzech nieufność swoją, a nie mogąc jej obronić.

Przez pobożność szanowała ona wszystkich duchownych i w nich kapłanów bożych, głosicieli słowa żywota; przecież ten tak uniżony, cichy, posłuszny na skinienie ks. Petrek, obudzał w niej

jakąś nieufność i obawę. Nie lubiła go królowa Emmilda.

Dlaczego? tego sama sobie wytłumaczyć nie umiała, nie dał jej do tego żadnego powodu.

Obawiając się często nad miarę surowego opata Arona, dla niego miała poważanie i miłość, ks. Petrek, choć padał przed nią, budził jakiś wstręt i instyktową trwogę. Usiłowała to uczucie naproźnie zwyciężyć królowa.

I teraz, gdy go ujrzała zbliżającego się tym cichym krokiem, z laszczącą postawą, niemal cofnąć się i niecie miała ochotę. Musiała się zwyciężyć.

Ks. pisarz powtarzając ukłony zbliżył się do królowej, ręce złożył na piersiach, westchnął głęboko i rzekł zeicha.

— Co serce miłościwój naszój, świętój pani, pod te czasy wycierpieć musiało! ja to czułem najlepiej!.. Ciężkie to zaprawdę były chwile... Przecież, Bogu dzięki, skończone wszystko...

Badający wzrok posłał ku królowej, która zdala stała mileząca.

— Miły księżu — rzekła po długim przestanku — powinniście byli wspierać mnie modlitwami waszemi. Tak jest, cierpiałam wiele, pragnęłam królowi a państwu miłemu oszczędzić żalu i strapienia... lecz, woli Bożej trzeba się poddać we wszystkiem.

Westchnęła i nie rzekła więcej.

— Miłościwa pani — odezwał się ks. Petrek —
któż to wie, azali ich ocalić nie było można?..

Ciszey dodał — w jakikolwiek sposób.

Usta zadrżały królowej, jakby coś powiedzieć
chciała, ale się powstrzymała. Westchnęła znówu,
ksiądz oczyma przenikającemi ścigał ją ciągle,
najmniejszy ruch śledząc pilnie.

— Można ich było ocalić... przechować, a w do-
brą godzinę potem, gdy już wszelki gniew osty-
gnie, znaleźć przystęp do króla... Któż skuteczniej
nad was, miłościwa pani, mógłby im wyjednać
miłosierdzie i tym, co rozkazom dobroczynnym
stałiby się posłuszni?..

Królowa Emuilda drgnęła nieznacznie i dodała
pocichu.

— Mylisz się ojeze mój, przypisując mi wła-
dzę i moc jakąś nad panem a królem moim.
Uboga jego służebniczka, był może czas, gdy
nad wielkiem sercem jego miała małą przewagę,
ale wystygła owa miłość, zwiędła twarz moja,
naprzykrzyła się sama nległość. Dziś ja tu jestem
jemu tylko może ciężarem, a drugim zawadą...

Ks. Petrek obruszył się bardzo widocznie.

— A! miłościwa pani! — zawolał — czyż się
to godzi i pomyśleć!..

— Nie skarzę się — rzekła z łagodnością i re-
zygnacją królowa — wierzajcie mi! byłabym wy-
stępna, gdyby skarga skaziła usta moje. Byłam
i jestem sześeliwą. Więcej niżeli mnie należy

szezęścia panni mojemu, bo na jego barkach spoczywa ciężar straszny... Dla niego też gotowam zawsze wszystko moje poświęcić...

— Miłościwy i sprawiedliwy też król nasz — dodał ksiądz — czeząc cnoty świętej swęj małżonki, najszezęśliwszym się czuje w jej posiadaniu...

Królowa Emmilda uśmiechnęła się żałośnie.

— Niech mi na wszystkiem Bóg błogosławi — rzekła.

— Dziś miłościwy pan — mówił ksiądz — chnućniejszy pono niż zwykle... Już samo wykonanie wyroku na Jaksach smutkiem jego też serce napelnić musiało... cóż dopiero zuchwale, nierozsądne postępowanie rodziny, która się cała odsunęła od dworu i pana.

— Mój ojeze, sądzicież, że ich kara to za sobą pociągnie?.. — niespokojnie spytała królowa. — Byćże może?.. Lękacie się jakich skutków?

— Któż to obrachuje — cicho i skromnie rzekł pisarz. — Rodzina można, liczna, spowinowacona z najpierwszemi w kraju. Widzieliśmy nieraz zuchwałych bantów przykłady, z mniejszych niż te- raźniejsza obraz wynikłe... Słudzy wierni i poddani królewscy muszą być niespokojni.

— A! i ja... i ja też płacząc i niepokoję się... ojeze mój — odczuwała się Emmilda — ale modłę się i mam w miłosierdziu Bożem nadzieję... Wszec- moeniy pan enda czyri!..

Księdzu błysnęły oczy, bo ostatniemi wyrazy

niamal się zdradziła królowa. Przewrotne człecze w dźwięku ich poczuło nadzieję, domyśliło się niemal ukrywaną tajemnicę, po której dośledzenie właśnie tu przybywał.

Dla niego rozmowa była skończoną, wynosił z niej wewnętrzne przeświadczenie, że Jaksowie za sprawą i wiedzą królowej ocaleni być musieli. Więcej tu zdobyć i dowiedzieć się od Emmildy, na teraz przynajmniej się nie spodziewał. Pobożni więc wyrazi zamknąwszy rozmowę, skłonił się z tą samą pokorą przesadną, z jaką witał i posunął się napowrót ku drzwiom komnaty.

Wieczorna jego przechadzka po zamku jeszcze nie była skończona. Ks. Petrek nawykł był zaglądać w każdy kątek, gdy mógł, podsłuchać szeptów, rzucić okiem w najciemniejsze głębie, po drodze chwytając co się uawinęło, aby coś wyssać z każdej ozuaki. Pobożna gorliwość o duszne zbawienie za pokrywkę dobrą służyła.

Ze dworca królowej wszedł pisarz w dziedzińce królewskie, gdzie pełno różnej gawiedzi obcej i gościnnej zawsze bywało. Znajdować mu się tu nawet czasem trafiało posłów pruskich, wendyjskich, pomorskich, pogan niechrzczonych jeszcze, którzy na widok księdza cofali się ze wstrętem i obawą, wszystkich ich mając za czar-noksiężników.

Przeszedłszy zgromadzone tu kupki, rozstępujące mu się z uszanowaniem, ks. Petrek dostał

się do wrót na małe podwórko wiodących. Tu stał karzeł Zyg, w krótkim kożuszk, ogromnej wysokości czapie, z rękami w rękawy pozakładanemi.

Karzeł należał do tych, co z pisarzem nie byli w najlepszym porozumieniu, warczał na niego zawsze, nawet gdy go widział przechodzącym zdaleka, ale kasać nie śmiał. Duchowni byli na dworze pierwszymi po królu.

Na widok nadchodzącego Zyg żywo ustąpił na bok, ndając, że niby go nawet nie zobaczył. Petrek jednak mmyślnie wprost natarł na niego.

Dla karła miał już twarz wesoło nśmiechniętą i żartobliwy ton pogotowin.

— Czegóż to, niepoczeiwy, tak niekasz ode mnie? — rzekł ksiądz łagodnie.

— Ja? niekam?.. a tożbyście mnie nie zjedli! — rzekł Zyg — przytém że i post. Choć tłusty nie jestem, zawsze mięsa kawalek...

— No... i nadto jesteś potrzebny miłościwemu — rzekł wesoło Petrek — nikt cię nie ruszy...

— E! e! miłościwy już się bezemnie obchodzi nauczył — mruknął Zyg. — By najtńściejsza kasza, jak ją codzień jeść dają, naprzykrzy się...

Księżyna go poklepał po ramieniu.

— Rozum masz większy niż wzrost — ozwał się pochlebnie — szkoda że statku jeszcze od statury mniej...

— Ono to prawda — rozśmiał się Zyg — a je-

szeze i takim głupi, że co zrobię to głośno, gdy drudzy jak pocichu i pociemku co spłodzą, nikt przynajmniej nie wie o tem...

Ksiądz trochę kwaśno się uśmiechnął.

— Czemużes to pod ten czas nie w izbie n króla? — spytał — przydałbyś się ku rozrywce... a tu lada gawiedź śmieszysz...

— Nogą dziś dostałem, to się leczę na chłodnym powietrzu — odparł karzeł — pan mój chmurny i pioruny z niego biją jak z obłoków, a ja tego nie lubię, gdy we mnie lecą

— Na ciebie one nie padną...

Karzeł głową potrząsał z powątpiewaniem.

— Pójdźcie no popróbujcie.

— Gdybyś co i oberwał — śmiejąc się i gładząc karla, który starał się tych pieszczót uniknąć, dodał ks. Petrek — tobie się każdy guz oplaca...

— Odstąpię je wam za tę samą cenę bez zarobku — mruknął Zyg, i wnet usta sobie zatulił rękami, wspominawszy, że z duchownym miał do czynienia.

Ksiądz się jednak nie obraził wcale, owszem śmiać się zaczął nawet.

— Jeżeli ci tu tak źle — mruknął pospiesznie — było ci z Jaksami dziś rano wyjechać do lasów...

Próbował tak każdego ks. Petrek, napomykając o nich ciągle, ażali się kto z czceni przed nim nie wygada.

— Do lasu? — spytał Zyg. — A którzyż to do lasów pojechali? Jedni podobno poszli paść robaki, a drudzy...

Nie dokończył i żwawo dorzucił.

— Co nam tam do nich?..

— Byłeś pewnie, gdy ich tracili, boś to ty ciekawy wszystkiego — mówił dalej ks. Petrek, uważnie się w karła wpatrując.

— Zaspalemi — rzekł Zyg — szkoda... Gdy mnie pies liżąc po twarzy obudził, już było, słyszę, po wszystkiem...

— Gdzie się to odbyło? nie wiesz?..

— A, nie wiem... Jam nie ciekawy, gdzie umierają... ksiądz tam był potrzebniejszy odemnie...

To rzekłszy Zyg wymknął się z pod ręki leżącej mu na ramieniu i pobiegł ku królewskiemu dworcowi, nie oglądając się już za siebie.

Ksiądz też powoli do swéj celi się posunął. Po drodze nikt mu już bliżej znany i potrzebny się nie nastręczył. Dopiero u drzwi swoich zastał czekającego nań, niepoczesnego średnich lat człowieka, którego ubiór oznaczał komornika pańskiego.

Zafrasowany i wylękłéj twarzy, wejrzenia kosego, ruchów niecierpliwych razem i pokornych, oczekujący w progu, zobaczywszy nadchodzącego księdza, ruszył się żywo do pocałowania jego ręki. Ks. Petrek drzwi otworzywszy, wszedł pierwszy i wprowadził go za sobą do celi.

Tu ciemno już było zupełnie, ogień wygasł

na koninie, ks. Petrek uderzył w ścianę i chłopak nadbiegł z łuczywem, spiesząc rozniecić drzewo przygotowane. Kląkł na ziemi i dmuchał z całej siły, aż sucha olszyna płonieniem się nie zajęła. Dopóki był tą robotą zajęty, przybyły milczał, naglądał nań, pokazywał mu co miał robić, a ku księdzu spozierał.

Dopiero gdy się drzwi za chłopcem zamknęły, pisarz przystąpił bliżej do komornika i rozmowa głosem cichym się zaczęła.

— Coż tam z tobą się dzieje Harno?

Zagadnięty począł ciężko wzdychać i kilka razy się w piersi uderzył.

— A! zawsze jeszcze źle! — rzekł — w sumieniu i na duszy niepokój ten sam... Trup ten za mną chodzi. Nie odstępuję mnie dniem ni nocą. Wy wiecie ojeze, spowiadałem się, pokutuję, na kościoły daję, za grzechy żałuję... a kamieniem mnie przywala... nieboszczyk.

— Pokuta długa być musi — odczywał się pisarz — ale bądź spokojny... ja czuwam nad duszą twoją i wyrwę ją ze szponów szatana.

Harno pocałował księdza w rękę.

Petrek przysunął się do niego bliżej jeszcze i rzekł cicho.

— Co mówił król ngrom? nie wiesz?

— Groził! — odczywał się równie cicho Harno — groził nie im tylko jednym, ale wszystkim. Zły

był dziś, bardzo zły, aż trwoga ogarniała... Drżeli wszyscy.

— Pytał kogo o Jaksów?

— Nie wiem.

— Gdzie ich stracono?

— Mówią że za okopami — odezwał się komornik. — Sawasz i Dndzice widzieli w tém miejscu ogromną krwi kaźnię...

Zdziwiony ks. Petrek aż się cofnął, brwi namarszczywszy.

— Możeż to być?

— Ale pewnie! — dokończył Harno, bijąc się swym obyczajem w piersi.

— A któż ich tracił? bo nie wiezienny oprawca.

— Pewnie uprosili sobie kogo z rycerzy, aby nie ginąć z ręki kata... i tę łaskę im wyświadczone — mówił komornik — że ich ścinał kto ze swoich... Ten, co się tego przez miłosierdzie podjął, chwalić się z tém nie będzie...

Zamyślił się ks. Petrek mocno, rzecz mu się zdawała bardzo prawdopodobną.

Pisarz mówił zamyślony.

— Sami widzieli krwi kaźnię, powiadasz?.. Sawasz i Dndzice? A byłże kto przy traceniu?..

— Nie wiem — mówił Harno — umyślnie pewnie dodnia to sprawiono, aby ludzkich oczów uniknąć... ale... nie wiem...

— E! ty bo nie nie wiesz! — z wyrzutem zawołał ksiądz niemal gniewnie. — A ciała? co zro-

biono z niemi? powinni być pogrzebione na święconej ziemi...

— Pewnie rodzina wzięła je do siebie — odezwał się zatrasowany Harno. — Ojciec mój, trudno bo mnie wiedzieć wszystko... Na dworze nikt o tém wiedzieć nie chce... Jaksowie mieli krewnych dużo i drułów, swojego czasu rozdawali wiele... a teraz żal po nich u ludzi, nikt i gęby nie otworzy...

— Mileżą?

— Abo się skomleć boją — odezwał się Harno. — Jak psy piszcza, to je psiarze ćwieżą...

Ksiądz przysnął się prawie do ucha swojego wiernego sługi.

— Wiesz — rzekł — na dworze tu różnie głośzą... rozumiesz. Gadania są rozmaite... Są i tacy, co upewniają, że Jaksów nie stracono, że ich tylko gdzieś przechowano, albo ułatwiono ucieczkę.

Zagadnięty, który o niczem podobnem nie słyszał, oburzył się mocno tém przypuszczeniem.

— A kałuża krwi! — zawołał — to nie może być... król kazał...

— Dójdźże mi ty tego, kto to takie sieje baśnie — zamruczał ksiądz — dójść mi i dotrzeć... Za pokutę ci to naznaczam... Harno... Jesteś, nie przeczę, posłuszny, pobożny, pokorny... ale nie umiesz nic wyszperać, nie mi powiedzieć...

— Księżę dobrodzieju — całując go w ręką

placzliwie począł Harno — i wół nad siłę nie po-
ciągnie... ja ciągnę z całej siły...

W piersi się uderzył znowu i mówił dalej.

— Kto to może powiedzieć, że ich nie tra-
cono? kto by ich żywił, samby śmierć karmił
swoją... królby tego nie darował... spadłaby mu
głowa, choćby na wysokim karku siedziała...
A! przeciw woli królewskiej!..

I ręce załamał Harno.

— Śmieją to ludzie mówić... któż wie — do-
łożył cicho ks. Petrek — mógł się też ktoś ośmie-
lić to uczynić. Możnaż wiedzieć, jak daleko sięga
zuchwalstwo ludzkie?.. Śledź, dowiaduj się, słu-
chaj, podpatruj... Daję ci to za pokutę, rozu-
miesz?..

Harno dobył garszteczkę drobnych pieniążków
srebrnych, cienkich jak blaszki, które naówczas
we Wrocławiu bito i z węzelka je wytrząsłszy,
księdzu na dłoń zsypał, całując ją.

— Ojcie dobrodzieju, kilka mszy na intencję
biednego grzesznika! żeby ten trup nie chodził
za nim!.. Po nocach go słyszę stąpającego do-
koła i stękającego strasznie... Budzi mnie ze snu
zimną dłonią... pokoju mi nie daje... Jęczy i wyje
pod oknami. Kiedyż ja od niego będę wolnym?
ojcie!

— Modlić się trzeba, pokutować, a kościołowi
służyć z oczyma zamkniętymi — odpowiedział ks.
Petrek surowo. — Zdejmiemy z ciebie ten cię-

zar, gdy przyjdzie godzina... A no, krew, krew braterska niełatwo się zmywa!.. Módl się!

Harno zakrył sobie oczy dłońmi obiema, a głowę potrząsał milcząc.

— Jutro — zwracając mowę dokończył ks. Petrek — jutro żebyście mi koniecznie świadków traceniał znaleźli, aby zamknąć gęby plotkarzom, żebyście mi wiadomość o tém przynieśli... Jeżeli nikt nie widział, nikt nie był? któż wie, co się stało? Rodzina można i zuchwała!

— Ale któżby śmiał ich wykraść? — krzyknął Harno — kto?

Nie odbierając długo żadnej odpowiedzi, komornik popatrzał na księdza milczącego z poszanowaniem i pokorą, powstał, powzdychał i widząc, że rozmowa skończona, pocałował go w rękę i wyszedł.

VII.

Zima ostra była i śnieżna, nie przeszkadzało to jednak do łowów po lasach. Owszem zwierzę się zdradzał, zostawując po sobie ślady, niektóre z nich za żerem szły w miejsca przez łowców przewidywane, inne opuszczały gęstwiny leśne i wybiegały na polanki lub do niezmarzłych strumieni.

Król, choć wiekiem ociężały, jak ojciec był do myśliwstwa nawykłym, czasu pokoju zastępowało ono wycieczki wojenne, nie dawało gnuśnieć komornikom, dworowi, licznym tłumom młodzieży, które Bolesława otaczały.

Lasy też ówczesne, do dzisiejszych nie były podobne, nie splądrowane, dziewicze, obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, które dziś z nich znikło na wieki.

Żył w nich jeszcze pan puszczy, dziki tur, chodzili żubry stadami wielkimi, łosie i jelenie. W głębokie zastępy lasów rzadko się dostawał człowiek, lub na krótko przerywał uroczystą ich ciszę. Puszcze, jakby jednem pasmem, połączone z sobą, okrywały całe obszary ziem polańskich, gdzieś gdzie tylko zrzadka przetrzebione na pola powypalane na łąki i wypasy, bliżej ludzkiej sadyby.

Stały one jeszcze tak, jak je po oschnięciu tych nizin stworzyła natura — całą swą siłą na nie szafując, wyrosłe bujno, gęste, ściśnięte, tak, że obalony starzec, któremu ciało zbutwiało, gdy miał ledz, nie padł na ziemię, ale się opierał na pniach sąsiednich, dopóki w proch się rozsypując nie znikł po latach wielu, nowe sobą karmiąc pokolenie.

Na każdym z tych słupów potężnych zielonej świątyni, wypisane były wickowe jej wzrostu dzieje — a wieki te spływały im niepostrzeżone, niepolicone, prześnione — jak nam przechodzą lata. Tam gdzie olbrzymie rosły drzewa, dla młodzieży już miejsca nie było, nie się pod cieniem ich wyżywić nie mogło i przebić w górę do słońca. Ledwie mchy i borówki skromne, co drobnymi światła kropelkami się karmią, u stóp starców pelzały.

Lasy latem jak zimą, miały swe życie odrębne, którego tajemnice znali tylko ci, co do leśnego

należeli świata, a w nim zamknięci składali z nim całość jedną. Człowiek wdzierał się tu jak najeźdźca, jak podbójca, niszcząc i psując, rozpędzając i pustosząc. Przed hukiem siekier jego uchodząc, dawni mieszkańcy opuszczali legowiska swe i gniazda odwieczne, idąc coraz głębiej szukać ciszy, pokoji i swobody.

Tu zimą, pod kłodami i gałęziami, na łożu z suchych liści zasypiał niedźwiedź, nie budząc się aż z wiosną, bartnik gospodarz, o którym prawiono że był dzikim człowiekiem, niechęcącym się przyznać do ludzkiej mowy, aby się uwolnić od pracy. Niedźwiedź był bohaterem wielu powieści. Prawiono o niedźwiedzicach co przywłaszczały sobie dzieci i jak własne je karmiły, o niedźwiedzicach co chwyтали dziewczęta. Straszne bywało spotkanie z dzikim a rozjuszonym meszką, gdy spiąwszy się na łapy wyzywał myśliwca, aby się z nim wziąć za bary. Silniejszy od niego tur, nie tak obrotny, ciężki, pożądanym był także dla myśliwców łupem, dla mięsa, skóry i cudownych własności wichru, który mu ciemię okrywał. Żubry zastawano często na zielonych łąkach w pośród lasu, ale biada była myśliwemu, gdy on go na drzewo zmusił uchodzić, bo je potem rozjuszony nieprzyjaciół tłuł głową i rogami, dopóki go nie obalił i nie zgniótł napastnika. Łatwiejsze były za łosiem pogonie, za pierzchliwym jeleniem i kozami. Nie lękano się też wilka, jeżeli nie był prze-

mienionym człowiekiem, wilkolakiem, którego strzala nie brała, który miał rozum ludzki, a drapieżność wściekłego zwierzęcia.

Na wszystkich tych mieszkańców puszczy, czyli mnodzy nieprzyjaciele, nie licząc zwierząt drapieżnych, wzajem na siebie wyprawujących łowy krwawe. Kneziowie, panowie, osadnicy, parobczaki szli z oszczepami, z lukami i procami, zastawiali sidła, kopali doly.

Dzieci zaprawiały się na drobném ptastwie, a wyrostki tęskniły za siłą, aby co rychlej pójść w zapasy ze straszniejszém zwierzem, które podpatrzeć, podkraść się do śpiącego, chwycić przebiegłością, najmilszém było zwycięstwem.

Pomiędzy lasem, zwierzem a człowiekiem, węzły były jeszcze silniejsze, znano się nawzajem lepiej. Puszcza była spiżarnią dla ludzi. Tropicznik powiadał nie tylko o rodzaju zwierza, ale o jego rozmiarach, sile i charakterze. Dzieci znając nory, pacholeta instynktem domyślały się legowisk.

Wiedział każdy o której porze ptacy do snu idą i wstają, kiedy ze zwierza nieopatrności można skorzystać, a kiedy się jego srogości najbardziej obawiać potrzeba. Daleki głos, ledwie pochwycony uchem, był naówczas dla ludu zrozumiałą mową, znać godzinę, przepowiadał pogodę, myśliwy tłumaczył sobie co wył wilk głodny na polu i co ptaki w powietrzu śpiewały.

Zimą, gdy większa część wesołego ptastwa

odleciała, a pozostałe musiało niespokojnie na skąpy żer pracować w lesie, bez tych głosów i pobudek, martwo było i smutno. Śnieg zalegał doły, wieszał się na gałęziach, utrudniał pochody i zdradzał. Bojaźliwsze stworzenia, jak przy opadaniu liścia tak w śnieżnicy, uchodziły z lasów, wygodniście grzebali sobie doły, aby im w nich cieplej było. Wszysey tęsknie z pod tego całuna wyglądali wiosny.

A dla człowieka to była pora łowów łatwych i obfitych, zwłaszcza gdy śniegi okryły się lodową skorupą, która ucieczkę zwierza czywała trudną i niebezpieczną.

Ówczesne łowy były istotnie jeszcze wyścigami o lepsze, zręczności, przebiegłości, siły. — Często trzeba było życie stawieć, myślą pracować, podstępny knować, ślady zacierać, postać zmieniać, aby nie być poznanym i łup swój pochwycić. — Zdala sięgająca strzala niewielką była pomocą, drażniła raczej niż zabijała. Dzida i oszczep, a pocisk ostry właściwy oręż stanowił.

Dzielnego oka i dzielniej potrzeba było dłoni, aby tura, żubra lub losia obalić i niedźwiedziowi wydrzeć życie. W zdartą skórę stroił się myśliwy z dumą, bo ją często własną krwią okupić musiał.

Myśliwemi byli naówczas wszyscy — co wojakami byli, a uajpiękniejsza część narodu garnęła się do rycerstwa. Rzadki dzień upłynął bez

łowów i rzadko one tylko dzień jeden trwały... Najczęściej tygodnie w puszczech spędzano, legając pod szalasami nocą, aby z brzaskiem być gotowym.

Zapędzano się tak bez wieści, często na nieprzyjacielskie ziemie i lowiec sam stawał się zwierzyną zmuszoną do walki, lub uchodzenia przed przeważną siłą.

Posepnych dni kilka w bezczynności spędzwszy u ogniska, król Bolesław ruszył nagle, naza-jutrz oznajmując lowy. Śnieg był przypruszył właśnie, niebo obiecywało się pogodne, powietrze łagodne.

Szukał widocznie w tej rozrywce zapomnienia frasunku i rozpędzenia złych myśli. Stanęli mu do boku jego ulubieńcy, zwykle towarzyszący w tych wycieczkach, Sagan łowczy pański, który miał zwierchni dozór nad myśliwską czeladzią i psiarnią i Radzisz, co nie miał sobie równego w rzucaniu oszczepem a tropieniu zwierza.

Oprócz nich kilkadziesiąt głów dobranej młodzieży towarzyszyli panni. Sagan zwierchnietwo miał nad wszystkimi.

Tuż niemal za miastem rozpoczynały się puszcze, rozgałęziając na wsze strony, tak że raz w nie się zapuściwszy, całą niemal ziemię przejechać było można nie wymierzając się z lasów. Wszystkie one wiązały się z sobą.

O brzasku dnia ruszono z nad Cybiny, gdy w tunie pierwsze światła na jutrznię zapalano.

Król wydał rozkazy, aby lasami kierowano się ku Gnieznu. Domysłano się, że zarazem łowami rozerwać się pragnął i u grobu świętego Prus apostoła pomodlić. Często on tam, w chwilach ciężkich, przybywał niosąc troski swoje i duszną szukając pociechy. Zwykłą drogą, którą umyślnie wytrzebiono i rozkopano, gdy Otto III. pieszo ją miał przebywać — mil tylko sześć dzieliło Gniezno od Poznania, lasami i łowieckimi manowcami liczyć było można prawie tyle dwoje.

Sagan przy wyjściu z dworca, gdy król dosiadał bułanego, postrzegł od razu, iż łowy nie będą wesołe, pan był chmurnego oblicza.

Orszak też jadący za nim, trzymał się milcząco, ledwie śmiejąc szeptać między sobą. Przodem nieco wysłano czeladź i łowców ze psy, aby zwierza osaczywszy, na dany znak trąbką, napędzała na myśliwych.

Stępią król wyjechał za okopy. Tuż w prawo było miejsce gdzie zwykle winowajców tracono. Bolesław cugle puścił bułanemu, a koń niepostrzeżenie zwrócił się ku prawej stronie. Tu śnieg szerokim płatem zamarzl czerwono, była to ścięta krwi kałuża. Koń królewski chrapnął i rzucił się w bok gwałtownie, a oko Bolesława padłszy na drogę, ujrzało na niej plamę krwawą, pobladał

król, konia uderzył i jechał dalej. Dwór szeptał między sobą spoglądając z ukosa.

— Jaksów krew! — mówili po cichu. — Jeszcze poseępniejszą, gniewliwszą stała się twarz królewska.

W puszczy już dzień się zrobił jasny, niebo, jakby nie zimowe, czystym się oblokło lazurem, świeciło słońce niby wiosenne, mróz zelżał. Wjechawszy między drzewa wielką otaczając polaną stanęli wszyscy.

Sagan się tu zwierza spodziewał. Jakoż nie czekano długo i na łękę losiów kilka wypadło, które zaledwie pszystanawszy na chwilę, natychmiast nazad pierzchliwie się w puszcę cofnęły.

Jeden jak strzała, nie zatrzymując się, przesadził przez polaną i zniknął, kilka kóz przemknęło bliżej, tak, że poriskami dosięgnąć je mogła młodzież podbieżawszy i położyła ich dwoje. Król z konia się nie ruszywszy, stał, patrzył i ręka mu nie drgnęła.

Początek ten łowów nie był bardzo szczęśliwy, co grubszy zwierz wszystek ujęć zdołał. Wkrótce też Sagan, już się tu nie więcej nie spodziewając, dalej poprowadził. Orszak królewski podzielił się na kilka oddziałów, rozstąpił szerzej, objął przestrzeń znaczniejszą.

Król Bolesław pozostał w jego środku, przy boku mając Radzisa, który nie zwykł go był odstępować.

Pod jakąś niefortunną wróżbą rozpoczęte łowy i dalej się nie wiodły. Zwierz znajdował zawsze przesmyki, któremi pierzchał bezkarnie. Łowcy źle obejmowali knieje. Trafiano tylko na drobną zwierzynę, która nikomu nie robiła nieciechy. Król co się czasem był zwykł zapalać, teraz obojętny jechał i zimny.

Pięć godzin może po lesie tulając się, szczęścia próbowano na próżno. Sagan kłął okrutnie, lajał wszystkich straszliwie, ale to szczęścia nie poprawiało. Choć próżnych wiader nikt przy wyjeździe nie widział, zaczynało się jakichś złośliwych domysłać czarów.

Czarom naówczas wiele przypisywano i siła nieczysta przeszkody stawiała często. Znużenie czuć się dawało silnie, głód i pragnienie dokuczaly. Drużyna pańska, chcąc poprawić łowy, rozbila się na wszystkie strony, rozpierzehła i pozbierać nie mogła. Król Bolesław został z Radziszem jednym i dwoma pacholętami, tak chmurny jak wyjechał z zamku, ale mocno zmęczony. Zdawał mu się to z twarzy czytać Radzisz i rozpoznawszy się w lesie, bo tu w całej okolicy każdą znał ścieżynę i niemal każde drzewo stare — nadbiegł do króla z wiadomością, że o kilkoro staję jest dworzec, w którym by spocząć i posilić się można.

Król głowę odwrócił, posłuchał go i dał znak przyzwolenia.

Wzięto się zaraz we wskazanym przez Radziszę kierunku, i po krótkiej przejażdżce, zdala nakażął się stary dwór w wałach, opasany ostrokołem. Grodzisko to było w głębi pnszcz, mało komu znane i dostępne. Zwano je Komorą.

Czy przewodnik Bolesławowski wiedział do kogo należało, trudno odgadnąć, król, choć dobrze każde niemal obronniejsze miejsce miał w pamięci wrazone, o właścicielu Komory, mógł zapomnieć.

Siedział tu jeden ze starych Jaksów, który za Mieczysława okaleczawszy na nogi w wojnie z niemcami, z domu się dawno nigdzie nie ruszał i słychno o nim nie było. Co zresztą króla obchodzić mogło kto na gródku był panem, gdy on nad każdym z nich był panem i władzą?

Wprost od lasu pnszczono się ku wrotom. — Z za wysokiego okopu i tynów dworu tak jak nie widać było. Dwa słupy dymu wznosiły się tylko z ich środka. Gdy Bolesław podjechał bliżej, Radzisz i pacholkiwie skoczyli przodem otwierać, a towarzysz pański wrotom wnet oznajmił iż król w gościnę przybywa.

Rzucili się od wrót ludzie do dworu, jak popłoszeni. — Król jechał bardzo powoli, tak, że nim się przybliżył i wjechał do środka, już miała czas wieść o nim gródek obiedz cały. Ogromny ruch widać było około dworu, lecz gdy w przedsieniu stanął król Bolesław, nikt na jego powitanie nie wyszedł — wedle obyczaju... chleba

i soli niepodano. Stała służba tylko — gospodarza i rodziny jego widzieć nie było.

Król jakby nie zważając na to, wszedłszy skierował się ku świetlicy. — I tę zastał pustą.

Pałący się ogień świadczył, iż nie dawno byli tu ludzie, ale znikli. — Radzisz musiał sam pannę gospodarzyć.

Wyszedł razy parę, a król poznać mógł z jego zasepionej twarzy, iż nie wszystko tu było w takim porządku, w jakim się znaleźć spodziewano, coś niespodzianego, nie milego męciło przyjęcie w tym domu.

Bolesław jednak o nic nie spytał, zapatrzył się w ogień, zadumał. Dopiero, gdy po długiej oczekiwania chwili, służba poczęła na stół jadło przynosić i dzbany, król popatrzał uważniej. — Uderzyła go niebytność gospodarza.

Słusznego wzrostu młody mężczyzna, postawy pięknej, oczu jasnych, ale ubrany ubogo stał z boku. Zdawał się tylko czekać na pytanie i męźnie do odpowiedzi gotować. Twarz mu płonęła, to bladła.

— Kto tu gospodarzem? — zapytał król.

— Pan mój, stary Tomko Jaksa — rzekł podniesionym głosem sługa.

— Niema go doma? — odparł król — któremu się brwi ściągnęły.

Na odpowiedź dłużej teraz zbierał się zapytany...

— Był tu miłościwy panie, ale się do lasu wynieść kazał, zostawując dwór i sługi dla miłości waszej — a kazał mi rzec, gdybym pytany był, że należy do tego rodu, który krwi swęj płacze, przeto się gościowi radować nie może.

Wszyscy pobledli słuchając tych słów, mężnie i dobitnie wypowiedzianych przez śmiałego sługę, król zaś nań spojrział nawet — ani mu odpowiedział...

Lice jego zmieniło się nieco, pobladło, dłoń, w której kubek trzymał, zadrżała — czoło się po-faldowało — ale usta słowo wstrzymały.

Nie wstał jednak od tego stołu nieprzyjacielskiego, czując się i tu i wszędzie jedynym panem i gospodarzem. Wzgardził doznana obelgą.

Umyślnie może jadł powoli i długo, pil wiele, psom rzucał reszty, usiłując się okazać bezpiecznym i obojętnym. Lecz Radzisz widział na wskrós, że w nim wrzało i gotował się gniew srogi — burzyło się kryjomo wszystko.

Nie nadszedł jeszcze wieczór, lecz już do niego było blisko. Tu się właściwie nocleg należał zmordowanym, których za królem coraz więcej się pościagało i obozowało we dworze a podwórzach, ale, wktótce król dał znak do pochodu, i sam ruszył z ławy ku przedsieniu, gdzie mu już przemienionego konia, bo jeden przez cały dzień dźwigać go nie mógł — siodłano.

Na skinienie pana rzucili się wszyscy do swoich koni. Sagan, który się tu znalazł także, zapowiedział, że jelenia, rogacza, miano nie opodal na oku, niemal osaczonego — na króla z nim czekając tylko.

Tak wyruszyli z komór. Nikt tu nie witał, nikt nie żegnał, służba nawet cofnęła się i znikła. Król też dobrego słowa nie rzekłszy za goścień, wyruszył nazad tak milczący a pośpiechniejszy, niż przybył.

Jechali znów ku lasom, Sagan prowadził.

Stał bór sosnowy przed niemi jak ściana czarna, wygodnie przezeń jechać było, bo nie miał podszycia... Ogromne sosny zgłuszyły pod sobą co żyło. Ale tuż za nim zaraz rozpoczynały się inne drzewa, zaroślami objęte, gąszczami poprzerzynane. Sosny coraz były rzadsze, aż znikły zupełnie.

Kawał tego lasu przebywszy, gdy na dany znak uciszyli się wszyscy, i czas jakiś w milczeniu jechali, na kraju polany porwał się jeleni przeciw króla tak blisko, że Bolesław cisnąć mógł oszczepem... Jakoż cisnął nim — ale kuty pocisk trafiając zwierza, ośliznął mu się tylko po grzbiecie bezsilny. Jeleni pomknął rąco, a król, pomimo tuszyswój, czując świeżego konia pod sobą, rzucił się pogonią za lekko ranionem zwierzem.

Pnścili się też towarzysze królewscy, kto jak mógł, zdołał i umiał.

Zachrzęszczały gałęzie, zatętniał bór, kilka krzyków słyszeć się dało; pod jednym z komorników koń się zaraz zwinął i padł z nim razem, ale na to nie zważano.

Król ścigał zwierza konia pedząc bez miary, jakby na zwierzęciu i na wierzechowcu chciał inne spędzić gniewy i wylać je z siebie. Z okiem zapalonem, przygięty, miotając co miał pod ręką, Bolesław ubiegł znaczny kawał drogi lasem, ciągle zmuszony kołować i wymijać drzewa, gdy jeleni, który się coraz bardziej odsadzał... znikł mu z oczów nareście.

Jakiś czas król biegł jeszcze, aż konia zapanego i spienionego, buchającego parą — zatrzymał.

Otaczał go las głuchy, nikogo za sobą, nikogo nie postrzegł przy sobie — nigdzie szelestu i tętnienia słyhać nie było... tylko złowrogo... wrony krakały nad starych dębów konarami... Zdawały się szydzić i grozić głosy dziwnemi, przekornemi.

Miał król na piersiach, przywiezioną z Kijowa, misternie rzeźbioną trąbkę z kości słoniowej, złotem sadzoną. Mógł ją do ust przyłożyć tylko, by dwór powołać do siebie, lecz czy że sam być wolał, czy o niej zapomniał, zwolnwszy koniowi kroku, począł stępią jechać dalej, noga za nogą, cngle purpurowe z rąk puścił, i obojętnie rozglądał się do koła.

Puszcza była dzika, gąszczami zarosła, niedostępna, poprzerrywana strumieniami, w części zamrzłomi, częściej oparzelistemi, w których mimo zimy, jakby wieczną zieleniało wiosną... Kłody i powały przerzynały ją w różnych kierunkach. Na niektórych leżały nawały śniegu zbite, i sterczały jak pagórki. Mnogie ślady zwierza widać było wszędzie, nigdzie oznak konia i człowieka.

Ta pustynia o mroku, bo noc nadechodziła szybko, wcale znać króla, nawykłego do wypraw nie trwożyła. Koniem przestał kierować, i dał mu się obracać, jak sam chciał. Stworzenie to było nawykłe do paszy i swobody, do wędrówek po łąkach i puszczach. Jak tylko neznło się swobodnóm, głowę podniosło do góry, okiem bystrém rzuciło do koła się rozpatrując, prychnęło i zarażało...

Zdawało się, że koni zrozumiał zbłąkanie się i osamotnienie pawa, i na pomoc mu ludzi przyzywał. Stał, słuchał strzyżąc uszami, lecz nie mu wzajem nie odpowiedziało. Słychać było głucho milczenie! eichym szumem gałęzi, jak tajemniczyny szeptem przerywane.

Zostawiony sam sobie wierzechowiec królewski, poczał potém iść zwolna, nozdrzami zaczerpnął powietrza — aby ono mu coś powiedziało, gdy nikt się nie odzywał. Jeszcze raz do koła bystreni potoczywszy oczyma, śmiałym krokiem

skierował się w stronę, gdzie się zapewne spoczynek znaleźć spodziewał.

Król sądził może, iż ślady jego konia, pogoń za nim sprowadzić muszą — jechał więc spokojny, lecz mrok padał gęstszy coraz, w lesie był on weześniejszym jeszcze, noc nadchodziła czarna.

Nicco przyspieszywszy kroku, koń, jakby znał jakąś drogę niewidoczną, prowadził nią coraz śnieliej.

Bolesław cale na to nie zdawał się zwracać uwagi, dokąd jedzie.

W istocie inszej też rady nie było, tylko albo się w trąbkę ozwać do orszaku, a ta wśród ciszy wieczorniej, rozległaby się była daleko — lub zdać na konia roztropność.

Stary kasztan królewski, który bułanego zastąpił szedł wyszukując sobie drogę, mijając zawały, przeskakując oparzeliska, ciągle w jednym kierunku. Czasami stawał chwilę i nozdrzami znowu badał powietrze — potem szedł dalej krokiem pewnym, a coraz, w miarę nadchodzącej nocy, przyspieszonym. Mrok wieczorny zastąpiła już noc posepna... Śnieg tylko przyświecał nicco, i wskazywał drogę... Parę razy coś pierzchnęło na uboczach, coś zamruczało jak zwierz spłoszony, lecz kasztan nie uląkł się weale. Z płaszczyzny na wzgórze zaczął wstępować koń, choć mu z ciężarem, jaki dźwigał, iść było trudno. Król przypadkiem oko na dół

spuściwszy, na śniegu dostrzegł ślady stóp ludzkich świeże.

Puszcza ciągle gęsta, ku wierchołkowi wzgórze cokolwiek jednak przerzedzoną była. Z pomiędzy pni grubych, zdziwiony król dostrzegł słabe światélko.

Koń zarżał w tój chwili, jakby je pozdrawiał. Wprędce też podbiegłszy kilka kroków, stanął rozpatrując się do koła. Bolesław dostrzegł małą ubogą lepiankę. Przez szpary okiennicy przerzynano się trochę blasku, ponad daszkiem dymu obłoczek lekki się unosił. Koń rżał ciągle, jakby nawoływał.

Jakoż, nim król miał czas z konia zleść — szmer dał się słyszeć u drzwi, uchyliły się one i głos drżący, odczwał się z nich pierwszy.

— Niech będzie pochwalony!..

To powitanie chrześcijańskie, równie jak krzyż było znamięm wiernych, wśród mnóstwa jeszcze skrytych i ukrywających się bałwochwalców. Ale wśród puszczy najmniej się go mógł król spodziewać, bo właśnie lasy były pogan schronieniem, w nich oni bezkarnie sprawowali swe obrzędy. Uroczyska zastępowały kontyny.

Usłyszawszy pozdrowienie to, król prędko i donośnym głosem odpowiedział nań, zlął z konia, zostawując go swobodnym, i zbliżył się ku drzwiom lepianki.

Tu dopiero mógł dostrzedz że, witający go, starem był przygarbionym z długą brodą siwą. Czarna czapeczka okrywała mu głowę wypelzlą; ciemna długa suknia, sznurem grubym ujęta w pasie, służyła za odzież całą.

Stary gospodarz uędznój chatki, wśród ciemności mógł tylko rozeznać, że miał przed sobą podróżnego i jego konia — ale poznać go, ani się domyśleć kim był, nie było mu podobna.

— Podróżny jestem — rzekł zbliżając się król — zabłąkałem się w lesie — dajcie mi [się ogrzać i spocząć u siebie...

Coś niewyraźnego odpowiedział staruszek, ale drzwi nehylił wąziuchne i niskie, a król, choć zgiawszy się, weisnął do małej sionki. Ztąd drugie drzwi podobne, z prostych desek zbite, wprowadziły go do wnętrza chaty.

Była to, raczej nora jakiegoś biednego stworzenia, niżeli mieszkanie człowieka. Niezgrabnie i krzywo wzniesione ściany niskie, polepione gliną, malutką bardzo przestrzeń obejmowały. Za podłogę służyła uklepana na tok ziemia, kamieniami otoczony kilką polnemi, słaby ogieniek tlił się w kątku.

Małeńki stolik przy drugiej ścianie spoczywał na dwu ledwie z kory obdartych pieńkach. Przy nim chwiejąca się ławeczka stała oparta na kołkach w ziemię wbitych, a w rogu z liści suchych nie pokryte niczem, widać było postanie lichie jak

barłóg, wyleżane i wązkie. Na jednej z ścian uderzał oczy krzyż wielki czarny, którego niższa część, widac pocałunkami wytarta, zbielala. Drugi krzyż mniejszy cynowy stal na stoliku, a przy nim leżało co miała najdroższego lepianka ta, co naówczas na równi ze złotem i drogiemi kamieniami lub wyżej nad nie ceniono — mała książeczka z kart pergaminowych złożona, w ciężkich okładzinach drewnianych, z zawiaskami srebrnemi.

Widac było, że w chwili, gdy się koń królewski odezwał, modlono się na nią — leżała bowiem otwarta, a na kartach przezierały malowane purpurą wielkie jej głoski.

Za królem wsunął się sturuszek powoli, ciekawemi miczając go oczyma. Na piersiach jego wiszący krzyżyk, suknia na której teraz król mógł dostrzedz szkaplerz zakonny, dały mu w gospodarzu poznać duchownego. Zbliżył się więc głowę obnażywszy, do pocałowania ręki jego.

— Pobłogosławcie podróżnemu, ojcze mój — odezwał się Bolesław zdziwiony — pobłogosławcie naprzód, a potem powiedzcie mi — jakieście się tu na tę puszcę — i kiedy dostali?

Sturuszek wpatrując się bacznie w gościa milczał długo — westchnął potem...

— Pustelnikiem jestem — rzekł — życie zakonne, świata się nie opowiada, przed ludźmi kryje. Tak samo przybyłem tu, jak ci, którzy za wiedzą króla Bolesława, niegdyś się osiedlili —

jak błogosławieni męczennicy, a bracia moi w regule św. Romualda: Benedykt, Mateusz, Jan, Izak, Krystyn i ten co ich przeżył — Barnaba.

Czemuż mi się dziwujesz synu mój?

Ażaliż my prosić potrzebujemy o to, ażeby się nam modlić dozwolono i Boga za grzechy ludzkie błagać i swoje? Jestli to winą, że uikt, oprócz Barnaby i braci w Trzemesznie, o mnie nie wiedział??

Król ogłądał się ze zdumieniem i poszanowaniem razem.

— W takiej nędzy — rzekł — na takim bezludziu, wśród dzikiego zwierza, może wśród dzikszych jeszcze pogan, których lasy są pełne, jakże wyżyć mogliście?

— Jak wszystko stworzenie co żyje, łaską bożą — odparł starzec spokojnie. — Czyż wiele potrzeba, ażeby żywot nędzny utrzymać? Czyż ta łaska co zwierza odgania, trwogą, jak kołem czarodziejskiem, od pogan nie odgradza tej lepianki? lepić uż murem i rowami?

Ciągle ze zdumienia wynijść nie mogąc, król spoglądał oczom prawie niewierząc. Oprócz opisanego sprzętu, wiaderko z wodą, dwa małe garnuszki, gliniana miska czarna, łyżka drewniana grubo wyciosana, składały całe gospodarstwo pustelnika.

— Ale wy tu ani kościoła, ani ołtarza nie macie? — zawołał król.

— Mylisz się, dziecko moje — odparł uśmiechając się pustelnik. — Na wielkie święta chodzę do braci św. Augustyna do Trzemeszna, na dni powszednie — ja sam sobie zbudowałem kapliczkę małą.

— Gdzież? — spytał król oglądając się do koła, i coraz większe okazując zdziwienie — Gdzie? przy chatce nie widać innej budowy?

— Chcecie ją widzieć? — spytał uradowany starszek.

— Proszę was...

Pustelnik ruszył się ku ognisku, tu stała lampka gliniana, napelniona jakąś tłustością, z zanurzoną w niej knotem. Zapaliwszy ją u ognia, pustelnik poszedł w ciemny kąt izdebki, poprzeczając króla. Tu na ziemi leżąc podniósł drzwi z opólków zbite. W głębi pod niemi widać było wschodków kilka wyżłobionych nieforennie w glinie. Kaplica pustelnika była kryptą razem i katakumbą. Własnymi rękami, powoli wykopał ją, ziemię na starych wynosząc plecach — brat Antoni...

Z trwogą pobożną i zdumieniem, król zaczął się za staruszką spuszczać powoli do krypty ciasnej.

Nie szło mu to łatwo.

Podziemie było daleko obszerniejsze od izdebki na górze, z czystymi, równymi ścianami, i rozdzielonym sklepieniem, które na dwóch ciężkich po-

zostawionych słupach gliny się spierało. Pomiędzy nimi, z ziemi także i kamieni, po części drzewem rzeźbioném okryty, wznosił się prosty ołtarzyk, z krzyżem w pośrodku i dwoma lichtarzami drewnianymi. Na nim stał cynowy kielich maluczki, takąż przykryty patyną. Na słupach wisiały ubogie odzienia kapłańskie do mszy niezbędne: humeral, alba, pas, stula (orarium) wręście ornat (paenula), nie świecące złotem, ani jedwabiem i perłami, ale czyste i świeże... jak wszystko co ojca Antoniego — otaczało.

Ksiądz poszedł naprzód na chwilę przed swym ołtarzem uklęknąć.

Król stał też poruszając ustami, jakby się modlił.

— A tu — dodał gospodarz powstając, z uśmiechem prawie wesolym — a tu, dziecko moje (wskazał za ołtarz) — stoi przygotowane ostatnie łóżko moje, w którem ja i teraz sypiam często.

Była to z prostych desek grubych zbita trumienka, wewnątrz liśmi wysłana, o którą sparte leżało wieko z wyciosanym na niem krzyżem.

Widząc pobożne króla zdumienie ożywił się staruszek, poczynszy w nim duszę pobożną.

— Mam prawo się trochę pochwalić — dodał — boć to wszystko co tylko tu widzicie do koła, dziełem jest ręki mojej. Sam wykopałem powoli kryptę, sam ją sobie przystroilem, napilem chatynę, wyciosałem sprzęty, a Bóg mi dał

siłę, skończyć tak jakom pragnął, i cieszyć się tym trudem, na chwałę Jego... Boć i tu w tej głuchej puszczy, brzmi teraz cześć Zbawiciela!

Wracali już z krypty do izdebki. O. Antoni drzwi zaunknął za sobą — i lampkę zagasił.

— Siądźcie na ławie jako możecie — rzekł do króla — albo lepiiej legnijcie na liściach, które są suche.

Twarde to łoże, ale rycerzem jesteście, jak widzę i do niewygód nawykłym. Ognia wam naniec.

Niestety — oprócz posłania i ogrzania, Bóg widzi, nie wiem czembym was mógł przyjąć i posilić!

— A czemże się wy sami karmicie? — zapytał Bolesław, coraz większą czeią dla wesołego anachorety przejęty, którego usta tajemniczo się i łagodnie uśmiechały.

— Ja? — rzekł pustelnik — oto, naprzód modlitwą i łaską bożą, bo te żywią i zasilają najlepiej — a potem, potem już lada czem... jakąś pruszyną. Trochę krup ugotowanych w wodzie, trochę korzonków wykopanych z ziemi, czasem rybka w strumieniu złapana. Mięsa nie jem od lat trzydziestu, chleb rzadko. Nawykłem do tego życia, za lepszym nie tęsknię. Widzicie, trzymamnie Bóg łaską swoją.

Nie nie odpowiadając król go w rękę pocałował. Stary postrzegłszy, że ogień wygasa, wiąz-

kę chrustu z sionki przyniósł i przyłożył. Ustuchawszy rady, Bolesław zbliżył się do posłania i rzucił na nie, czując zmęczonym.

Na głód i niewygodę mógłże się poskarżyć, widząc to dobrowolne zaparcie się starca, tak surowego dla siebie?

Gdy król padł na ubogie posłanie, O. Antoni usiadł z bokn na ławie przy stoliku.

— A wy zkąd jesteście, dziecko moje? — zapytał.

— Ja, od dworu króla jestem — rzekł Bolesław — wyjechaliśmy z nim dziś na łowy i obłąkałem się w lesie, pędząc za zwierzem.

— Zaprawdę, nie małoście się zabłąkali — odparł pustelnik — jest to, można rzec, samo jądro téj pnszczy, do koła moczarami i naturalnemi otoczone zasiekami, do którego się nawet dostać trudno. Zwierz tu czasem zagląda tylko, człowiek nigdy prawie. Dziady i czarownice stare boją się umie, za większego od siebie mając czarownika, i nie napastują, choć nieopodal mają swe uroczyska, na których śpiewy, a podczas i płasy odprawiają.

Zamyślił się starsuszek i widocznie zafrasował, spoglądając na leżącego.

— Jakże mi to żal, że was strudzonego, zgłodniałego, niczém pokrzepić nie mam. Ale — zaprawdę!!

To mówiąc wstał z ławy, uradowany.

— Zaprawdę! ojcowie z Trzenieszna dali mi do mszy świętej aż dwie flaszki wina! Starczy mi go na długo bom oszczędny — a, dla siebie, krom mszy świętej nie używam. Wina wam zagrzeję? nieprawdaż?

— Dobrze, mój ojcze! wina mi zagrzejecie... a za każdą jego kroplę, oddam wam dzbanek! — zawołał Bolesław uradowany — w istocie osłabłym się czuję, bo tak jak wy, ciała martwić nie zwykłem...

— O! nie bądźcie tak rozrznitni! — uśmiechając się podchwycił stary — cóżbym ja począł z takim zapasem? nie miałbym go nawet gdzie pomieścić. I nużby mi to bogactwo, tak mi się nie poszczęściło, jak ów dar króla Bolesława dla mojej biednej braci, co zgięli za jego złota bryłę!!

— A! krzyknął — zapomniawszy się na chwilę król i bijąc w piersi — a! ta nieszczęsna bryła złota — do końca życia na piersi ciężzyć mi będzie...

Zaledwie tych wyrazów domówiwszy, Bolesław postrzegł, że się sam zdradził, ale miał nadzieję, że go może pustelnik nie zrozumiał.

O. Antoni stał patrząc nań spokojny, nie okazując wcale zdumienia, z uśmiechem swym łagodnym na ustach.

— Jesteś więc królem Bolesławem!! — zawo-

łał lekko skłaniając głowę. — Cześć ci królu po-
bożny! Rad jestem, że cię moje oczy oglądają.
Synem jesteś tego, co światło wiary na ziemię tę
sprowadził, opiekunem jej i krzewicielem... Bóg
niech ci błogosławi.

Ręką zakreślił krzyż w powietrzu — król był
w usposobieniu smutném, i przerwał O. Anto-
niemu.

— Grzesznikiem tylko jestem, większym niż
inni! a nadzieja moja w zasługach świętego mę-
czennika Alberta, iż mi on przebaczenie wyjedna.

— Wszyscy się modlimy za ciebie — panie —
odparł O. Antoni — bo gdyby silna dłoń twoja
nie trzymała pogan, których tu nad chrześcian
więcej jest jeszcze — padlibyśmy wszyscy ofiarą,
jak od dzikich zwierząt pożarci.

To rzekłszy stary pustelnik poszedł do kąta
izdebki szukać wina, wypłukał garnuszek, przy-
łożył do ognia gałęzi i zajął się pilno zagrzaniem
napoju dla króla.

Nad ten czarny garnek innego nie było, i Bo-
lesław śmiejąc się, do ust go przyłożył, a orze-
żwiający napój wychyliwszy, podziękował sta-
ruszkowi.

— Teraz — odezwał się — spokojnie mogę
czekać ranka. Biedny mój koń tylko o głodzie
i chłodzie noc przebędzie.

W istocie dla kasztana miejsca tu nigdzie nie

było, ani paszy. Ukrywszy się od wiatru za ścianę, stał smutny ze lbem spuszczonego.

Wkrótce jednak instynkt się obudził, począł grzebać nogami, szukając pod śniegiem zeschłej trawy...

VIII.

Sen nie brał króla.

Przybył tu z myślami czarnemi, podrażniony w drodze nowym dowodem niechęci całego Jaksów rodu, gniewny i smutny — dopiero widok tego dobrowolnego, ubogiego wygnańca, męczennika, spokojnego i niemal wesołego — kazał mu nieco o sobie zapomnieć.

Przyjęcie we dworze n Jaksów, mogło daleko straszliwić króla rozjrzeć, gdyby przytomność umysłu Sagana, nie zapobiegła najokropniejszej obrazie, jaką zagniewany stary Tomko zgotował.

Szcześciem w porę podsłuchawszy wydawane rozkazy, Sagan zagrażając śmiercią shgom, wstrzymał ich wykonanie.

Tomko uchodząc ze dworu przed królem, z którym pod jednym dachem być nie chciał —

nakazał słudze, aby utoczywszy misę krwi z jagnięcia, podał ją przed króla, mówiąc, iż mu ją stary Jaksa przysła, jako najmilszą Bolesławowi potrawę.

Kto wie co by się było stało, gdyby sługa ośmielił się spełnić, co mu surowo i pod groźbą przykazano.

Gniew Mieszkowego syna, gdy raz wybuchł, straszny był i bezpamiętny. Dalby był głowę sługa, możeby nawet dwór poszedł w popiół... i stary Tomko nie uniknął pomsty.

Samo nawet oddalenie się wzgardliwe starego Jaksy, bolało już króla srodze — lecz ból ten tłumił w sobie. W lepiance O. Antoniego ustąpił gniew i uczucie obrazy, czei dla pobożnego staruszka.

Nie tylko króla, wszystkich niedawno nawróconych i pogan, to dobrowolne męczeństwo ciała, ubóstwo wesołe, chętne życia ofiary — przejmowały zduwieniem, czeią i trwogą. Wićcój niż apostołstwo samo nawracał żywot świętych zakonników, mężue na śmierć narażanie się apostołów jak Wojciech święty, który rzuciwszy dostojęństwo biskupie, dwór cesarski i królewski — poszedł szukać męczeństwa jak korony.

Tacy mężowie jak on, nawracali w istocie tysiące, a trzymali przy wierze świeżo jěj przy-swojonych, na pół jeszcze dzikich ludzi.

Św. Wojciech po zgonie nawet, był ojcem duchownym i Bolesława wielkiego i Ottona III.

k którzy go opłakać nie mogli. U grobu apostoła, ci co znali żywot jego niezmordowanego trudu i walki a poświęceń, czuli się nim pokrzepieni i utwierdzeni w wierze.

To samo wrażenie czynił na królu Bolesławie skroniny mnich, na nieznanj pustyni, żyjący w krypcie, własnemi wygrzebanj rękami, śpiący w trumnie, żywiący się korzonkami, oderwany od świata całego, oddany Bogu i modlitwie.

Człowiek ten zdał się już nie żyć na świecie, po którym stapał jeszcze, ale już należeć do drugiego... Ciałem był na nim tylko, duszą w niebiesiech, za któremi tęsknił, przebywał. Godzina śmierci była dlań w istocie wybawieniem z ciężkiej ciała niewoli, powrotem do ojczyzny. Dlatego ziemską owa wielkość i potęgę króla a mocarza, którego miał przed sobą starzec, nie czyniła na nim wrażenia. Nawykł był codziennie obcować duchem z panem zastępów, z królem królów, a biedny ziemski pan wydawał mu się prostym śmiertelnikiem, dźwigającym ciężar wielkiego posłannictwa na ramionach. I przyjmował go tak, jakby był ugościł w lepiance zziębłego żebraka, głodnego zbłąkanego przechodnia.

Bolesław nawykły był do czci i hołdów, które mu jego duchowieństwo składało, a choć on sam mu wielkie wszędzie okazywał poszanowanie, uderzonym być musiał tą prostotą i spokojem ducha

świętego człowieka, co się majestatu jego nie lękał.

Z wyższością tych, co się wszystkiego wyrzekli na ziemi, o. Antoni przyjmował króla swojego, szanując w nim władzę, ale balwochwalezo nie upadając przed nim.

Ta duszna wyższość ubogiego człowieka, niepożądającego nic, uśmiechającego się własnej nędzy, w podziw króla wprowadzała. Każdy ruch, każde słowo starca się w nim odbijało. Leżał i spoglądał na krzątającego się, jak na jakieś nadziemskie zjawisko.

Po rozmowie z Bolesławem, pustelnik czas jakiś pomileczawszy, wziął ze stołu otwartą księgę swoją.

— Miłościwy panie — rzekł — tyś królem ziemskim, ale dla ciebie służby Pana niebieskiego zaniedbywać się nie godzi. Mamy nasze modlitwy godziny... pójdeń odprawić je i powrócę.

Staruszek, zapaliwszy lampkę, pośpiesznie wszedł do krypty. Król pozostał sam w myślach zatopiony. Któż wie? porównywał może spokojne życie tego nędzarza ze swoim; jego ukojenie wewnętrzne, z tą walką, którą całe życie w piersi nosił. Świeże i dawne wypadki napychały go trwogą w sumieniu. Mógłże znaleźć lepszego doradcę i powiernika nad tego świątobliwego człowieka, który w sądzie swym o ludziach i czynach nie mógł się żadnym powodować względem

i stronością dla nikogo, a patrzył tylko wiecznej sprawiedliwości.

Z podziemnej krypty słyszeć było szept modlitwy i westchnienia. Dokola szumiał las pośpie. Niekiedy żywiej wiatr puszczał zamiatał i wdzierał się otworem dymnika do izdebki. Na kamieniach ogień dogorywał. Król leżał zadumany, niemal rad będąc, że go opuściła druzyna, że na chwilę pozostał sam z sobą i pustynią.

Cichym krokiem nareszcie wrócił o. Antoni, zasłaniając światło rękami, bo sądził, że król usypiał, ale Bolesław zobaczywszy go, odczuwał się żywo.

— Chodźcie, ojcze mój, nie bierze mnie sen, rad jeszcze chwilę spędzę z wami. Na sumieniu mi ciężko, na duszy mi smutno... Znać wy życie moje?

— Ja? — zapytał ojciec Antoni — a z kądzibym ja miał je znać?. Tyle tylko wiem, iż synem jesteście wielkiego Mieszka i że dzieło jego nawrócenia i chrztu ziemi waszój przedłużacie na chwałę Bożą; że wznosicie kościoły, że złocicie świątynie pańskie i opiekujecie się sługami Chrystusa... Cóż mnie może obchodzi więcej? Modlimy się za was!..

— Mój ojcze — zaczął podnosząc się z posłania Bolesław — dobrze czynicie modląc się za mnie, albowiem potrzebuję pomocy z niebios od Boga... Ciężkie jest brzemię moje...

Westchnął Bolesław.

— Ciężki jest i był cały żywot mój — mówił — choć w nim jasne miałem godziny.

— Grzechy moje i niepokój mój chcę wyznać przed wami ojcze... i myśli moje tajemne... Wy mi powiecie najlepiej, jak ciężkie są winy i czy nie grzeszne mam pragnienia. Chcecie mi dać ncha, tak, jakbym spowiedź ze skrnehą składał przed wami?

— Miłościwy panie — czyście jako sumieniowi waszemu lepić, jako duszy lżyć. Wszakci za cud niemal uważać muszę, że was tu noc i obłęd przywiodły do mnie. Nie jestli to dziełem Opatrzności, która słabego i grzesznego chce uczynić lekarzem?

— I jam też myślał, ojcze mój — odrzekł król poruszony — niedarmo się tu znalazłem, nie wiedząc o was, ani szukać mogąc... Niech się więc wyspowiadam przed wami, ciężar mi może spaść z piersi...

Tu zamilkł król na chwilę, jakby myśli chciał zebrać i cichym głosem począł opowiadanie.

— Słyszałeś o ojcen moim, o macierzy mej. Doszły do ciebie ich imiona, ale znać ich nie mogłeś, ojcze. Wziąłem ciało męzne po rodzien moim, a ducha gorącego po matce. Mieszko się urodził poganinem, a przeczną światło i zapragnał go... Matka moja wyszła z domn krwi... Stryja miała męczemikiem, ojca katem i pokutnikiem Rycer

ski duch i w niej mieszkał, a śmiało biło serce. Szła za poganina, na pośmiewisko ludzkie, żyjąc z nim, aby go oświecić. Jej sprawą stały kościoły i lud przywdział szaty białe. Niewiasta była pogardzająca światem, bo w duchu swym silna.

Dzieckiem uczono mnie rycerstwa i razem przebiegłości. Otoczeni byliśmy wrogami... kraj nam kawałami odszarpywano, polowano na nas jak na zwierzęta dzikie. Na granicy zatknął rodzic mój krzyż, jak tarczę przeciw niemieckiej napaści.

Poszedł się pokłonić cesarzowi, aby go przedjednawszy, miał czas się umacniać i zbroić.

Ja białem się dzieckiem... Gdy dorosłem, ojciec mi mówił: — Ziemie jednej mowy do jednej powinny należeć dłoni, albo Czesi lub my niemi zająć musimy. Od morza do Dunaju, jak szeroko brzmi słowo nasze, to musi być królestwo twoje... a mieczem i krwią je zdobywać trzeba. Cesarz niech sobie Zachód dźrzy w przymierzu z uami, my z pomocą jego i kościoła wschodnie ziemie zagarnąć musimy... Trzeba wydrzeć co zarwane, przywłaszczone, oddarte, zjednoczyć i podbić. To dzieło twoje... ja granice myślą oborzę, ty je masz orężem żelaznym, jak słupami obwarować. Zamki niech staną na rubieżach i strzegą ich...

Słuchałem dzieckiem tej mowy i do serca ją

brałem, rosło to ze mną i pójdzie ze mną do grobu. Nie wypocząłem i godziny, spełniając przykazanie ojcowskie.

Ale i rodzic mój Mieszko i ja ludźmi byliśmy, ojcze mój. Zmarła światobliwa macierz moja, gdy ja lat miałem dziesiątek. Niemcom potrzeba było na miejscu czeskiej niewiasty swoją mieć u tronu. Pokazali staremu urodziwą zakonnice w Kalwe, Odę, córkę markgraфа Dytmara, która wdziała już była suknię i złożyła śluby. Skusili go do nowego małżeństwa. Duchowieństwo nie rzekło nic...

Dali mu ją, aby przez nią owdadnęli ojcem moim. Przybyła na zamek dumna macocha, gdy ja już miałem lat trzynaste, ale mi serca ojca nie odebrała...

Wprędce potem chodziłem już na wojnę. W domu mi było duszno.

Przybywało rodzeństwo nowe. Siostrę rodzoną miałem jedną, Sygrydę, którą za duńskiego wydano Swenona. Teraz z Ody przyszli pokolei Świętopelk, Władywój, Lambert, synowie mniszki. Słyszałem już jak mówiono, że państwo podzielić się miało.

Ojciec, bijąc mnie po głowie, powtarzał: — to będą wojewody twoje, a ty nad nimi panem i królem.

Ale z oczów dzieci mniszki patrzyło, że mnie one słuchać nie zechcą. Starzał Mieszek, posyłał mnie w świat wojować, sam żonie posłuszny, spo-

koju pragnął, niemcom się kłaniał... Wracalem z wojny... szeptano coraz częściej, że się państwo na braci musi podzielić. Znaczyło to rozbić je i pokrajać na sztuki jak mięso, aby wrogom łatwiej kawaly polykać było. Niemce co nam dali Ode, aby za nią oknpem tysiąc niewolnika swojego odebrać, czyhali na przyrodną bracię, aby ich też z niemkami poswatać, niemki przy nich posadzać. I mnie zawczasu markgrafa Rygdaga córkę przywieziono, którego nie chciałem, a żyć z nią musiałem. Ojciec panem był, woli jego słuchać była synowska rzecz.

Co matka moja posiała, chwast począł ogarniać. Krzewiono wiarę, ale państwo, wcześniej niż dorosło, już się padało. Cierpiałem posłuszny. Szedłem bić się na rubicze, a króla opasywano, aby czynił po ich woli.

Miał ojciec brata Sydbora, a po nim dwu bratanków, Odyłoua i Prybuwoja. Ci muszee się zawczasu kłaniali.. ja im się biłem a mnie tam moją ojcowiznę zawczasu na kawaly darto... Ojciec milezał...

Naznaczono państwo jedno dla Świętopełka, dla Władywoja drugie, a dla Lamberta trzecie. Dwu synom Sydbora dano ziemie szerokie, aby też sobie w nich panowali. Gdyś słuchając o tém milezał, bom ci słowa rzec nie mógł, ojciec czasem poklepał po ramieniu i do ucha mi szeptał: Przy tobie będzie stolica, władza i zwierzchnictwo.

A dzieci mniszki patrzyły na mnie koso urągając i mnie i stolicy... Mileżałem.

Wiedział Bóg pewnie co czynił, że mi dwór ojcowski obmierzył, bom od niego uciekał w bory i szukał nieprzyjaciela, wojować musiał i do wojny, którą cały żywot prowadzę, zaprawiałem się.

Zmarł Mieszko, gdy mnie doma nie było. Wróciwszy zastałem go na marach, macochę znowu w sukni zakonnej, młodszych moich gospodarzących z nią i niemeami w moim domu. Jam był starszym i pierworodnym przecie... i głową rodu mojego.

Działy stały wolą ojca. Każdemu z synów kraj osobny. Świętopelkowi Gniezno, dwie szerokie ziemie Odylonowi i Prybuwojowi. Macocha za młodszych na dwóch działach rządzić miała.

Ledwie że mi Poznań oddano.

Jęknął Bolesław mówiąc to i dłonią w posłanie uderzył.

— Miałemże ja dać rozpaść się temu, co ojciec własnem, krwawem zlepił rękami? Byłem starszym i wodzem, nikt mnie słuchać nie chciał; ja jeden za wszystkich stawać musiałem w obrobie. Wróg targał jak zapragnał. Lud do pogaństwa powracał, rozprzegało się wszystko... Rycerstwo tylko, z którym ja chodziłem na wojny, było ze mną.

Cierpiałem trzy lata, mój ojeze, patrząc jak

się w grzyzy waliło Mieszkowe budowanie, a serce się krwawiło.

Słałem nie jeden raz do macochy — ludzi mi dawajcie na obronę... odprawiano posły moje, niemal z urągowskiem. Odyłon i Prybuwoj nie ze mną, ale z tautami trzymali. Byłem sam przeciw pięciu i macosze.

Nadeszła godzina, gdy się cierpienia przebrało. Nocą naszedłem na zamek Ody, jej i dzieciom iść kazałem precz z mej ziemi. gdzie chcieli... do klasztoru, do swoich, do Niemców...

Musiałem raz być panem w domu, lub dachby mi się zwałił na głowę.

Szli precz ze złością i zemsty pragnieniem. Odyłon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem. Pokonałem ich obu, dostali się w ręce moje. Nieposłusznych mogłem dać poćcinać... miałem litość, oślepić ich kazałem, aby szkodliwymi być nie mogli. Życiem im darowałem, choć wziąć je miałem prawo...

Mnich słuchając westchnął, król w piersi się uderzył.

— Mów ojczu, winienemli? byłemli okrutnym?

O. Antoni milczał długo.

— Mów dalej — odezwał się po przestanku — mów dalej.

— Sam zostałem panem tego kraju całego, sam z myślą ojcowską... Chrobackie ziemie trzeba było wydrzeć Czechom, stałem z Czechami do

wojny, z Bołkiem Pobożnym, ze krwią własną, ale kraj mi stał bliżej krwi. Od Rusi trzeba było odebrać zawojowane kraje, wołali mnie na Ruś. Węgry trzymały Słowaków, musiałem się bić z Węgrami. W Niemczech przyszły niepokoje, Serbów trzeba było od nich odbić do swoich. Nie było spoczynku. Mieczu ani otrzść, ni do pochew schować. Prusy podbijać słowem świętym poszedł apostoł Wojciech i zginął. Stał on najbliżej serca mojego, cenił go cesarz Otton III i ja... i każdy, kto się zbliżył do niego, bo on istnie świętym był mężem...

— Wyście go znali! — zawołał pustelnik ręce składając — a! toście byli szczęśliwi!

— Prawdęście rzekli — dodał król — Chrystus Pan żywym obrazem swoim uczynił go na ziemi i dlatego chciał, aby męczenniką śmiercią umierał.

Po śmierci jeszcze dobroczyńcą był moim — mówił Bolesław z uczuciem. — Przeprowadziłem święte zwłoki jego do Trzemeszna, a wkrótce potem do Gniezna. Rozpromieniała od nich świątynia nasza i rzuciła promienie na świat cały. Duch świętego apostoła przywiódł mi tu Ottona i uczynił go druhem moim. U grobu Wojciecha podaliśmy sobie dłonie, koronę swoją włożył na skroń moją i rzekł mi naówczas: Pannj u siebie tak, jak ja w mojem władam cesarstwie, a bądź kościolowi wiernym i mnie sprzymierzeńcem wiecznym.

Ottonowa bytność na mojej ziemi uświęciła ją, oswobodziła. On mnie znał bratem i druhem swoim i cesarstwa swojego. Ale zawiścią zawrzały wszystkie markgrafy niemieckie i co żyło wrogię mnie i mojej ziemi. Czulem się silnym przeciw nim wszystkim, lecz nie byłem na chwilę bezpiecznym. Wstawało com przytłumił, podnosiło się co zawojowałem, szarpano mnie zewsząd i nekano. Byłem już Czech i Morawy panem! Ojcowska myśl spełniła się przezemnie, widziałem ją już oczyma mojemu... a teraz znówu niknie, gdy ciało słabnie, gdy duch gaśnie we mnie, a mroki zwątpienia opasują...

Mieszko syn mój dzielny jest, ale dłoń ma silniejszą od woli... i rozkazywać nie umie. Com ja krwią polepił moją, wytrzyma czy rozpadnie się i pójdzie marnie, jak trup od robactwa zjedzony?

Ojcie mój, powiedz mi, co czynić, aby dzieło utrwalić? Widzisz ty przyszłość?

— Synu mój — odparł mnich z pokorą — o przeszłości mów, o teraźniejszości... nie tykaj tej zaslony, którą tylko dłoń boża podnieść może z przed oczów chrześcianina... Przyszłość jest w ręku Boga...

— Mnie konieć blizki — odezwał się król — co będzie po mnie?..

Nim on nadejdzie nawet, zdołanli ja utrzymać co zdobyłem? Maż się mój gmach rozsypać

w gruzy i proch?.. Nieprzyjaciele mileżą a rosną... Czekają pory, a gromadzą złość swoją, aby większa była... patrzą bym osłabł..

Zamilkł Bolesław, a wkrótce dodał znowu.

— I teraz... mamli ja na sumieniu krew tych ludzi, winnych zabójstwa? Dwaj rycerze znacznego rodu zamordowali na drodze wiozącego kupię bogatego człowieka niewinnego. Skazałem ich na śmierć. Ród ich i powinowaci zwracają się przeciw mnie. Snrowym byłem, ubłagać się nie dałem, przykładu na możliwych zuchwalców potrzeba było, aby nie rzeczono, że rycerzom moim czasu pokoju łupić i zabijać wolno bezkarnie... A nie mówisz zakon nasz — oko za oko, ząb za ząb?!

— Tak — odezwał się pustelnik — mówił to zakon stary, dopóki nie przyszedł Pan Światłości, Słowo wcielone i nie rzekł natomiast: Przebaczaj nieprzyjaciółom, jako pragniesz, abym ja ci twe winy przebaczył.

— Nie byli to nieprzyjaciele moi — odparł król — kochałem ich, druhami byli mi i towarzyszymi... Lecz cóżem czynić miał sędzią będąc, przeciwko zakonowi ludzkiemu, który śmiercią za śmierć karze? Miałem szczerdzić tych, co się nie litowali niewinnemu, dla chciwości bogactw jego?..

Pustelnik ze spuszczonemi oczym mruczał coś, jak gdyby odmawiał modlitwę.

— Nie jesteś winnym — rzekł po namyśle —

niech spadnie brzemień z serca twojego, a jeśli powstaną na cię nieprzyjaciele twoi, śmiało podnieś się przeciwko nim, bo zakon ludzki tarczą twoją. Nie ty sądziłeś i karałeś, ale zakon sędzią był i katem...

Królu mój — dodał pustelnik — jako sędzia najwyższy czystym jesteś. Jako chrześcianin i ojciec ludu twojego, mogłeśli uczynić miłosierdzie, niech ci to powie serce twoje...

Długo milczał Bolesław, spuścił głowę i podpierał ją na dłoni, patrząc na wygasające ognisko i nie mówiąc słowa. Potem, jakby odceniony nagle, zawołał.

— Miłosierdzie uczynić mogłem... ojciec mój... winienem może, iż krew zburzyła się we mnie, a nie powstrzymałem jej! Żałuję uczynku mojego, żał mi ludzi tych...

Pustelnik usłyszawszy te wyrazy podniósł ręce obie i cicho zamruczał, jakby rozgrzeszenia słowo.

— Niech ci Bóg wszechmogący odpuści winy twoje...

Tak skończyła się hołściwa spowiedź królewska, ale nie przerwała rozmowa, nie rozjaśniło się lice Bolesława, ciężar jakiś piersi mu tłoczył.

— Kończy się żywot mój — rzekł — i dobiega do kresu swojego... a nie mam pociechy tej, ahym utrwalonem widział co ręce ojca i moje podniosły...

Stoi państwo szerokie, jak lup na pastwę dzi-

kiego zwierza czyhającego dokoła. Truje to dni moich ostatek... Zaledwie zwłoki moje obok ojcowskich położy, podniosą się ci, co nauczili się mnie trwożyć...

Widzę ich zastępy dokoła...

Ruś, Czechy, Ugry, Niemcy, Prusacy i Pomorze... Synowie Ody mogą się obudzić... wrogów jest dosyć, a naprzeciw nich jeden Mieszek... wojak ale nie wódz, rycerz, a nie wiem czy król?.. W snach i na jawie widzę losy państwa po zgonie i boleje dusza moja, jak Chrystus w Ogrojen... Maż paść i rozszarpanym być kraj mój, dzieło moje... wielkość i potęgą?! — złożył król ręce.

— Świątobliwy człowiecze — zawołał — westchij do Boga, aby spuścił na cię światło i powiedz mi przyszłość...

— Nie żądamie odemnie tego, czego ja wam dać nie mogę — odparł starszek — a gdyby ono było w mocy mojej, nie dalbym dla dobra waszego... Nie chce Bóg, abyśmy wiedzieli losy przyszłe, albowiem kto je przeczuwa, ten krwawym zlewa się potem i słabnie dusza jego...

Wiesz królu z pisma świętego, które ci czytają kapłani twoi, jakie były państw wielkich i potęg ziemskich losy... Jestli co trwałego na ziemi? ostoż się co na niej przeciw wyrokowi niezmiennemu?.. Mężowi przystało czynić co mu Bóg przykazał i w sprawiedliwość jego wierzyć, a poddać się woli pańskiej.

To mówiąc powstał mnich, jakby zmęczony chciał uniknąć pytań i odpowiedzi.

— Usnij, goście mój — dodał — ja pójdę do mojej trumny i spocznę także... Potrzebujesz spoczynku i ukojenia, niech Bóg ci je zesle...

Posłuszny król Bolesław skłonił głowę i zabierał się wyciągnąć na posłanin, a że u boku miał miecz poświęcony, który go nie opuszczał nigdy, jął pasa zwałniać, aby go mógł przy sobie złożyć.

Oko pustelnika padło na rękojeść, którą król całował i ciekawie się na nią zatrzymało.

Wyrażone na niej były misternie znaki czterech ewangelistów, ów Tetramorfon mistyczny, który zawieszano naówczas po wszystkich kościołach, malowano we wszystkich księgach i szanowano jako symbol czworakiego zgodnego świadectwa prawdy.

Widząc iż o. Antoni spogląda na miecz, który trzymał w rękę, Bolesław podniósł go tak, iż od lampki, którą mnich dla wyjścia do krypty zapalił, światło padło na rzeźby od rękojeści.

I przeczytać mógł mnich imiona Boże, tajemnicze, stojące wypisane na niej i wyrazy, które im towarzyszyły.

„Quicumque habet nomina Dei secum tulerit, nullum periculum ei omnino nocebit. Amen“

(Ktokolwiek imiona te Boże nosić będzie przy

sobie, żadne niebezpieczeństwo mu nie uszkodzi. Amen.)

Z poszanowaniem przypatrywał się ojciec Antoni królewskiemu mieczowi, którego cudowna siła zdala się w istocie spoczywać w Bożych imionach, a nie w rozmiarach żelaza; głównia bowiem jasna i ostra, na której jednej stronie znaczne szczyrby widać było, niewielką była. I nie nadaremnie miecz małym został uczyniony, lecz aby potwierdzał, co stało na nim wypisane, że nie żelazo siłę daje, ale Bóg i słowo jego.

Gdy opatrzywszy o. Antoni do rąk króla wrócił mieczyk jego, odezwał się Bolesław patrząc nań z poszanowaniem.

— Nie skłamał ten napis, ojcze mój... a jeśli mnie widziecie żywym, pewniem to winien błogosławieństwu temu, jakie ten dar cudowny przyniósł mi z sobą...

Nie opuszczał on mnie nigdy, w żadnej przygodzie i po tysiąckroć wypróbowaną została moc jego niepożyta...

— Jestli to dar Ottona?.. — spytał mnich nieśmiało.

— Zaprawdę świątobliwym mężem był cesarz Otto III — rzekł Bolesław — lecz sądzę, że ten, z czyich go rąk otrzymałem, czystszy nad niego i nad wszystkich był ludzi śmiertelnych!..

Pustelnik spojrział zdziwiony wielce.

— Stare to mojego życia dzieje — odezwał

się król, wpatrując w pobożne wizerunki rękojeści. — Mieczą tego rodowód cudowny... a jakom go dostał, nie wiem nawet... i to tylko powiem wam, ojcze mój, co sam wiem...

Jest temu lat wiele — ciągnął dalej król — żył jeszcze ojciec mój... uprawiałem się naówczas wyrostkiem będąc do wojny, ale mi na nią jeszcze chodzić nie dawano. Prosiłem się napróżno i wyrzywałem... W podwórzu z koniem, oszczepem i mieczem musiałem wojować z pachotkami, których stawiono jak cieniaki, aby mi wroga udawali. Nie jednemu z nich naówczas w gorące młodzięczą krwawo się dostało... nie jeden kaleką na całe życie wyrwał mi się z rąk, lub długo leczyć musiał... Dochodziłem lat osiemnastu, gdy naostatek, gorącym prośbom moim dał się ojciec nłagać... Dziwna rzecz, pomagała mi w tem macocha Oda, namawiając ojca, aby w pole mnie puścił, gdy druga młodzież już w tym wieku na wojny chodziła... Starego wojewodę dał mi król za opiekuna... szliśmy na granicę przeciwko Pomorcom, z którymi nigdy stałego nie było pokoju.

Padłem do nóg Mieszkowi dziękując, dosiadłem konia i z całym oddziałem ruszyliśmy nad wieczór z nad Cybiny ku granicom. Mając pierwszy raz w życiu prawdziwój wojny i boju zakosztować, niecierpliw byłem nad miarę i nagliłem starego, pod którego rozkazy mnie oddano... Noc i dzień byłbym do granicy biegł, gdyby mi

dozwolono, ale baczny wódz, posyłając naprzód szpiegi, szedł zwolna i ostrożnie. Na noc rozbijano namioty i musieliśmy spoczywać...

Pierwszy nocleg i obozowisko po wyjściu naszym z Poznania, żeśmy się dla niepoznaki lasami przerynali, przypadło też na polanie wśród pnuszczy. A była wiosna piękna i noc najkrótsza, tak że na sen się kłaść nawet nie zdawało godziwém. Przecież stary mnie zmusił leżąc, prosząc i zaręczając, że po krótkim spoczynku sam mnie zbudzi... Myślałem kładąc się, iż pewnie oka nie zmrużę, aliści zaledwie głowę pochyliłem, ogarnął mnie sen twardy, głęboki, dziwny tén, że mi się zdało, iż wszystko widzę i słyszę, co się działo dokoła, a ruszyć się ani nst otworzyć nie mogłem... Widziałem w mroku namiot i leżącego nieopodal wojewodę, i chodzącą przed namiotem straż, słyszałem rżące konie i szmer ludzi... i naszczekiwanie psów obozowych, i śpiewy ranne ptastwa w sąsiednim lesie... Spałem mocno, jakby z otwartemi oczyma i zaostrzonym słuchem; a w duszy miałem jedno tylko, to, żeby mi Bóg dał z pierwszej walki wyniść z chlubą i zwycięstwem. Frasował się duch mój na samą myśl, iż sromotnie możemy być zmuszeni uchodzić, albo... przeważną siłą zgniecenia... Modliłem się o to zwycięstwo, gdy wśród modlitwy, ujrzałem przed uchyloném płótnem namiotu jakby jasność dnia... Zdało mi się żeśmy zaspali i że

weszło słońce zawstydzić nas, chciałem się zerwać z posłania, lecz byłem jakby skrupowany i przykuty do skóry, na której leżałem. Ruszyć się nie mogłem. Jasność i wnijsiecia namiotu wnet w sam środek jego się weisnęła i oświeciła go... Przez zamknięte powieki widziałem najdrobniejszy sprzęt i w kątach nawet złożony oręż nasz, błyskał od tej jasności... Oczy moje zdziwione, dopiero oswoiwszy się z nią, dojrzały białego młodzieńca, z włosami złotemi, promienistego, piękności nadzwyczajnej. Czując w nim jakieś zjawisko endowne, zerwać się chciałem i upaść przed nim, aby mu cześć oddać, lecz ciało było jak kamienne, nie władałem nim...

Widziałem jak wolnym krokiem szedł ów młodzian promienisty wprost ku miejscu, w którym leżałem i stanął nademną... w rękach białych trzymał on oto ten miecz i patrzył na mnie z uśmiechem.

Naówczas stanęło wyraźnie w myśli mej, iż powinienem był prosić o miecz ten, mający mi zapewnić zwycięstwo i otrzymać go...

I zacząłem wołać z błaganie wielkiem domagając się miecza, na który cheiwie patrzyłem, a młodzieńiec promienisty patrzył na mnie z uśmiechem dobrośliwym, ale go z rąk nie puszczał... I trwała ta moja modlitwa tak długo, iż z wysiłku cały oblałem się potem... a gdy mi i słów brakło już, młodzieńiec pochylił się nad łóżko moje

i miecz u boku mojego położył, mówiąc: Na wiary i sprawiedliwości obronę...

Czułem jakby oddech jego wonny nad sobą, duszę moją ogarnęła radość niewysłowiona i z krzykiem obudziłem się.

Młodzieńca nie było przy mnie, namiot stał w ciemnościach, słaby brzask zaledwie poczynającego się dnia wpadał przez uchylone nieco płótna...

Spostrzegłem dopiero, że wszystko to snem było. Krzyk tylko mój przez sen zbudził starca śpiącego nieopodal, który napamiętywać mnie i do uspokojenia zachęcać począł.

Żał mi się stał wielki ze snem razem straconego miecza, gdy ręce wyciągnawszy pociemku, rękojeść jego uczułem właśnie w tém miejscu, gdzieś snił że został złożony... Z podziwem zacząłem wołać o światło i domagać się go natychmiast. Straż, która około namiotu czuwała, pobięła do pogaszonych w obozie ognisk i przyniesiono zapalone luczywo.

Miecz cudowny! ten sam, który we śnie widziałem, miałem w ręku... Zkąd i jakim sposobem zjawił się on przy mnie, nikt nie umiał wytłumaczyć. Pocałowałem go i przypasałem natychmiast, a staremu towarzyszowi opowiedziałem widzenie moje... Nie dowierzano mi... Pytano straż, która stała u namiotu, azali nie widziała kogo wchodzącego... Pacholek wyznał, że wpraw-

dzie nie postrzegł nikogo, lecz w namiocie świeciło coś, jakby w nim zapalało pochodnie i głos mój słyszał wyrażenie.

Od tej chwili, ojcze mój — dokończył król — miecz ten nie opuszczał mnie nigdy... Błogosławieństwem z nim przyniesionemu mi winienem moje szczęście w bojach, zwycięstwa i szeroko rozlegające się dziś państwa granice...

Nie nie odpowiadając pustelnik sklonił głowę i już miał odchodzić do swjej krypty, gdy daleki szum puszczy zdał się nagle jakby rosnać, wzmacniać i zmieniać nagle w głosy dziwne. O. Antoni przysłuchując się temu, zatrzymał w miejscu.

Koń królewski stojący pod ścianą, gwałtownie rżec zaczął.

Bolesław podniósł się z posłania.

Łomot jakiś i wrzawę wyraźniej coraz słyszać było w lesie. Stadoli zwierza bieгло gnane jakimś popłochem, czy burza łamała w puszczy gałęzie?

— Ludzkie głosy słyszę!.. — zawołał pustelnik zwracając się do króla.

— Jeżeli macie obawę jaką — rzekł Bolesław — znajdźcie do kaplicy waszej... ja się nie lękam niczego...

— Ani ja o siebie — odparł pustelnik — raczej o was, miłościwy panie...

Zamilkli przysłuchując się baczniej, aż królowi rozjaśniło się lice. Wstał z posłania, przybliżył się ku oknu, odsunął okiennicę, którą było

przywarte, i dobywszy róg eo na piersi wisiak... zatrąbił. Przez otwór blask bił z podwórza i okrz. k wesoly odpowiedział głosowi trąbki. Chatę otaczał orszak króla, który go szukając długo po lesie, śladami konia nareszcie dobił się na górę.

Radłość między dworem była niezmierzona; nie mniejsza też musiała być i obawa, aby król gniewnym nie był, iż go tak nieopatrznie opuścili wszyscy.

Wnet też do drzwi lepianki począł się dobijać Sagan i Radzisz, i weszli uznajeni.

Saganowi zdało się, iż najlepiej uczyni, gdy nie czekając wymówek i wyrzutów, sam z żalem wystąpi, i pokłoniwszy się do ziemi, jał wołać.

— Miłościwy panie! litościście nie mieli uad sługami swojemi! nie chcieliście odezwać się do nas i dać nam znak! Jak poszaleli błędziliśmy po puszczy. A że każdy niemał pojedynczo się wyrwał w inną stronę, zamiast śladów waszych, miłościwy panie, własnymi uganiał...

Westchnął Sagan, król się uśmiechał.

— Nie się złego nie stało! — rzekł — wskazując na starszka, dodał. Świętego męża eo mi dał schronienie powitajcie!

Poszli tedy ręce jego ucałować urzędnicy królewscy.

O. Antoni, który się tu czuł więcej zawadą niż pomocą, wysunął się do podziemia. Służba pańska zakrzętnęła się zaraz około posłania, ognia

i co królowi potrzebném w sakwach się znalazło. W malćj lepiance ledwie dwu ze starszyny pozostać mogło, reszta położyła się do koła obozem dla spoczynku, dopóki by nie rozedniało.

Wkrótce nieiszyło się dokola... i król twardym snem zmurzony usnął.

Otworem stało wnijsie do podziemia, i ledwie na brzask, nakazało się w niém światelko, gdyż O. Antoni jutrznię i modlitwy odmawiał po ciehu. Król podniósł się dopiero gdy rozedniało, i spniściwszy się do kapliczki, wraz z Saganem i Radziszem, mszy świętćj O. Antoniego wysłuchał.

Czas było sposobić się do dalszćj drogi, i Bolesław tćż, gdy mu dano znać, iż konie były gotowe, zbliżył się do ucalowania rćki pustelnika.

— Ojciec mój — rzekł — nie może to być, ażebym z tąd odjechał nie zostawiwszy po sobie pamiątki ni śladu — powiedz mi, proszę cię, co chcesz abym dla ciebie, lub tutaj na chwałę pańską uczynił? Zbuduję kościół... choć zaprawdę takiego jak wy, gdybym nie wiem wiele złota dał — nie potrafię wznieść.

— Uczynicie jedno dla mnie — odparł pustelnik — abyście mi dali dożyć dni moich nie odmieniając tu nic, nie przysparzając mi niczego... Przypomniacie sobie, panie miłościwy, los braci moich, którzyście obdarzyć pragnęli!! Wprawdzie daliście jćj największe dobro, bo możność przelania krwi za wiarę świętą...

Król ręce złożył nie dając mu dokończyć.

— Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi — dodał O. Antoni — niech błogosławi na każdym kroku... niech pociesza i ukaja.

To mówiąc schylił króla głowę pobłogosławił pustelnik i idąc za nim przeprowadził za próg lepianki.

Z kolei cały dwór królewski przyszedł po błogosławieństwo starszka, i orszak ruszył już o dniu jasnym w dalszą ku Gnieznu drogę, z której się w bok zbito.

Dnia tego już tylko młodzież za zwierzem się paszczała, Bolesław do łowów nie miał ochoty, ani do rozmowy.

Z południa natrafiono na osadę Rybniki zwaną, na jeziorkiem położoną, w której ubodzy tylko osadnicy mieszkali. Ci, na widok pańskiego orszaku, strwożeni, jak tylko się zdala ukazał, rozpierzchnęli się na wszystkie strony, i gdzie kto mógł, pochowali — co króla zagniewało.

Widział bowiem w tém dowód, że drużyny pańskie po kraju wędrujące, musiały biednemu ludowi ciężać, gdy taką przed nimi miał obawę. Chaty stały otworem, gdy przybył Bolesław, ale żywej duszy nigdzie nie znaleziono.

Do najprzestronniejszej z nich wprowadzono króla, który surowo przykazał, ażeby czeladź nie ruszyła nie i nie czyniła szkody najmniejszej.

W istocie trudno też było plądrować wśród tej nędzy, jaka tu panowała.

Lepianki osadników nie wiele były lepsze i przestrzenniejsze od tej, którą sobie sklecił O. Antoni i dostatek w nich nie był większy. Najprostszy sprzęt drewniany, trochę sieci i przyrządu rybackiego, gdzieśniedzie kawał chleba czarnego się znalazł.

Ludzie żyli tu w większej części i z ryb i rybami, które w jeziorze się polawiały.

Z rozkazania pańskiego w każdej z ubogich chat, które zajmował dwór złożono na stole jakiś mały datek za gościnę, i, gdy konie wytchnęły, król puścił się już prostą drogą do Gniezna, gdzie się ku wieczorowi stanąć spodziewał, u grobu matki i świętego apostoła.

Śnieżna zamieć, która się zerwała, gdy z Rybników wyruszono, opóźniła wprawdzie podróż, ale czasu zostało dosyć zawsze, aby celu przed nocą dościsnąć.

Już zmierzchało, gdy w dali ukazał się krzyż kościoła i wały zamkowe... Król, który dla grobu św. Wojciecha miał cześć nadzwyczajną, zobaczywszy dach katedry i zamię nad nim, z konia siadł, pieszo, wedle zwyczaju, robiąc resztę drogi.

Cały też dwór idąc za przykładem pańskim, szedł jakby pobożnym pochodem pątników ku kościołowi w milezeniu.

Niektórzy po ciehu odmawiali modlitwy.

Już się zbliżano do wałów zamek i katedrę otaczających, gdy mimo zawiei śnieżnej, ujrzano we wrotach stojącego człowieka z chłopięciem, który zdawał się go prowadzić.

Poznał widać Bolesław zdala tego ślepea, i na twarzy jego wyraziło się niewysłowione uczucie jakimś, wywołane wspomnieniem.

Stojący ów we wrotach mężczyzna, z oczyma krwawemi, w których źrenic nie było, z długimi włosami siwemi, które mu na ramiona spadały, z rozwianą brodą wpół białą, na pół żółką, w tulub barani odziany, z kijem w rękę, spierał się na ramieniu chłopaka i zdawał stać przeciw burzy i wiatru, jakby mu one miłe były i pożądane...

Z głową podniesioną do góry napawał się tą zawieją i chłodem, wciągając usta szeroko otwartemi powietrze.

Wyrostek, który ślepego prowadził, zoczywszy orszak królewski zdala i poznawszy go, musiał chcieć nazad na gród odciągnąć, i z drogi sprowadzić. Widać było upartą walkę między chłopcem, który go ciągnął za polę, i starcem co się opierał, chcąc w miejscu pozostać. Spostrzegłszy to Sagan, chciał się puścić przodem, ażeby panu niemiłego oszczędzić widoku, wejrzenie króla go wstrzymało. Napróżno przewodnik usiłował ślepego nakłonić do ujścia — ten, chwycił się

wrót, u których stał, i nderzywszy wyrostka — uparcie jak wkty w nich pozostal.

Był to stary Odylon ów, oślepiouy niegdys z Bolesława rozkazu, który dni resztę na zamku gnieźnieńskim dożywał. Ilekroć tylko mógł jak żywy wyrzut i przypomnienie stanąć przed Bolesławem, Odylon zawsze mu się nastroczał. Miał jakieś przeczucia, gdy król przybywał do Gniezna, czuł zbliżanie się jego, i czasem dni parę stawał we wrotach, dopóki się go nie doczekał i nie zatrął mu życia godziny. Nie obawiał on się już cięższego losu nad ten jakiego doznał, nie lękał gniewu ani śmierci... czuł rozkosz jakąś, gdy się mógł Bolesławowi ze swą nędzą pokazać, i szyderskim głosem go przywitać. Przez litość nie zamykano go, i nie czyniono mu nic, aby króla od tego widoku uwolnić, Bolesław srogi dla innych, dla tego nieszczęśliwego miał politowanie, osobliwie od śmierci Prybmwoja, który, zmarwszy przed kilką laty... zostawił go na świecie samego z jego ciemnością i szaleń.

Wiedział już dwór królewski co tu czekało Bolesława, i ludzie się, niechcąc być świadkami spotkania, bocznemi firtami udali do zamku — król sam wolnym krokiem, niechcąc okazać obawy, poszedł wprost na ślepego. Odylon choć usłyszeć nie mógł nadechodzącego, po przerażeniu chłopca, na którym się opierał, domyślił się zbliżającego i krzyknął...

— Witaj... miłościwy panie! witaj! — Skłonił głowę szydersko.

— W progu grodu zawsze stoi sługa wasz wierny z pozdrowieniem. Dawnoście nie oglądali go, a on was... jeszcze dawniej, bo od téj godziny, gdy mn oczy ze lba wyjęto.

Dobrzeście uczynili, miłościwy panie, żeście mn wzrok odjęli, nie było na co patrzeć, a o wielkości waszej dosyć słuchać, aby się jej dziwować!!

Śmiał się ślepiec... Bolesław nie odezwawszy się słowa, pominął go... Szelest jego kroków usłyszawszy przy sobie, Odylon obie ręce wyciągnął, jakby go chciał pochwycić — lecz król już minął starca, i szedł wprost do kościoła, który był otwarty, a że dano znać natychmiast duchowieństwu, już ono też we drzwiach na przybywającego oczekiwało, z krzyżem i wodą święconą.

Za Bolesławem, mimo oporu chlopea, który prowadzić go nie chciał, rzucił się natychmiast ślepy, ku kościolowi, aby i tam u grobu apostoła stanąć na oczach królowi.

Mrok panował w katedrze, oświeconej tylko na przódce rozpaloném światłem, gdy Bolesław wchodził do niej. Za filarem kruchty, w sukni czarnej mniszkiej, przytulony w cieniu, ukryty stał mnich, któregośmy widzieli w celi ks. Petrka... Stał i oczyma rozognionemi spoglądał na wcho-

dzącego, a wejrzenie to zdawało się plonąć ogniem i ciskać pioruny.

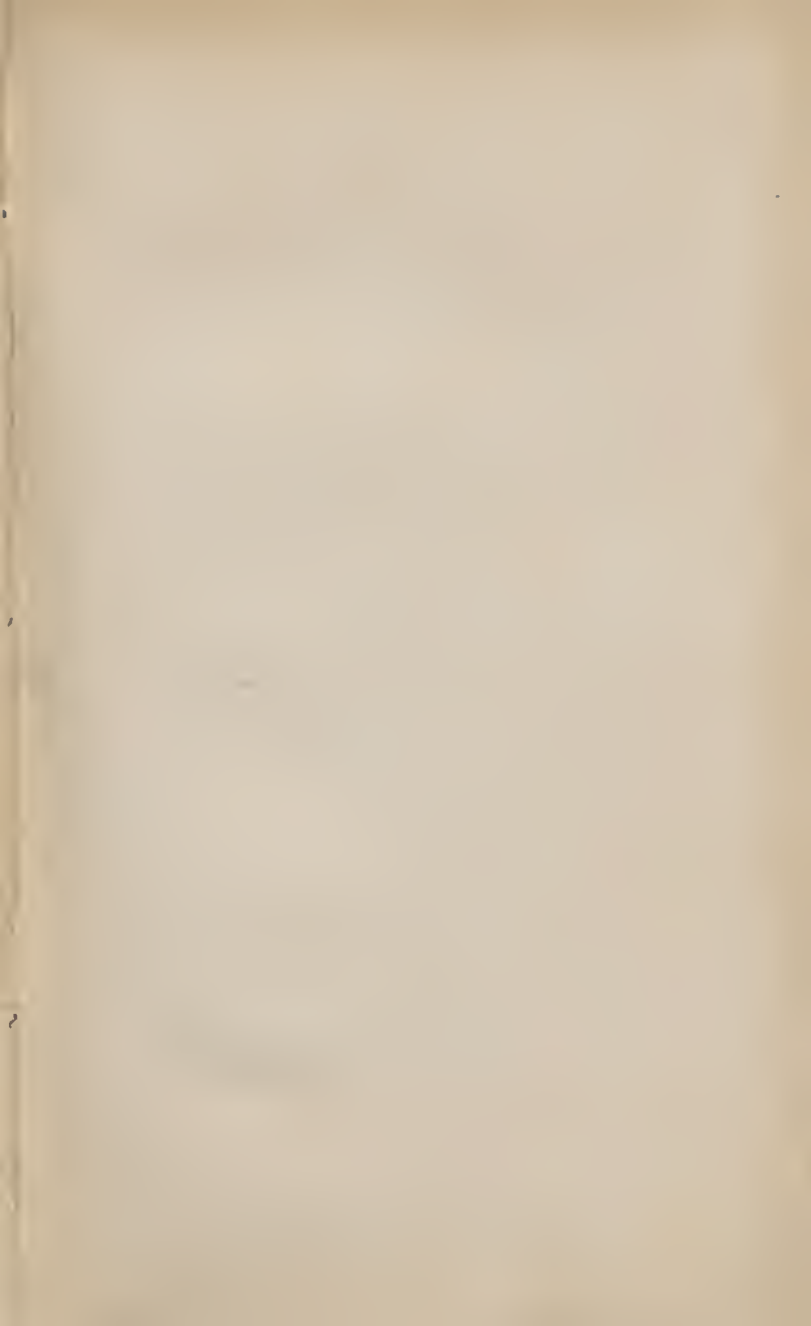
Gdy król Bolesław wprost ode drzwi skierował się do grobu świętego apostoła, aby przy nim uklęknąć, z jednej strony stanął uniech mierząc go nienawistnym wzrokiem, z drugiej za słupem przyparty, nie dając się od niego oderwać, zatrzymał się, gwałtem do kościoła wdarlszy, Odylon.

Obu ich jednak nie mógł widzieć król, który z głową pochyloną pobożnie, słuchał nuconego powolnie przez duchowieństwo śpiewu, na cześć apostoła.

Koniec tomu Igo.







BRACIA
ZMARTWYCHWSTAŃCY.

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

III.

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

Powieść z czasów Chrobrego.

Tom II.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

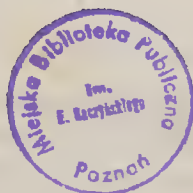
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1876.



W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

I.

Obyczajem było Bolesława Wielkiego, gdy do grobu męczennika, do Gniezna przybywał, czas jakiś trwać przy nim na cichėj modlitwie. Znało duchowieństwo tę pobożność pańską, i gdy się uroczyste śpiewanie skończyło, ustąpili wszyscy w milczeniu ku wielkiemu ołtarzowi i zakrystyi, króla zostawując samego przy dwu drogich grobowcach, kryjących zwłoki matki, którą kochał gorąco, a którėj ducha czuł w sobie, i apostoła, dla którego cześć miał jak dla niebios zesłańca.

Dwór téż królewski wysunął się z katedry, przed wielkimi drzwiami jēj oczekując na wyjście pańskie.

Bolesław pozostał u trumny św. Wojciecha, oświeconėj kilką lampami, palącemi się zawsze u zwłok apostoła. Doznawał tu dziwnego uczucia,

jak gdyby go z duchem tego patroua i pośrednika związek jakiś tajemniczy łączył, jakby od zwłok tych pływała pociecha, otucha i natchnienie. Korzył się tu i spowiadał w myśli i nieraz czuł jakby głos wewnętrzny na jego wyznania odpowiadał. Składał tu troski i odchodził mężniejszym. Na podestanie wczelowie przykleknawszy, z głową spuszczoną, ów zwycięzca w tylu krwawych zapasach pokoruył się zdawał pokutuikiem.

W kościele nie było nikogo, panowała cisza... niepostrzeżony tylko, z za słupa wpatrywał się w klęczącego mnich ów, który pozostał, gdy duchowieństwo odchodziło i oczyma nienawistnemi zdawał się napawać widokiem pogrążenia i smutku, który się w postawie króla malował. Nieuchrony stal tak zdala ściskając pięści, hamując się, jakby razem pragnął i lękał się wybuchnąć; kilkakroć krok już uczynił naprzód i cofnął.

Z piersi króla wyrwało się głębokie westchnienie. Bolesław podniósł głowę i wpatrzył się bezmyślnie w ciemną głębi kościoła.

Oczy jego oswojone już z ciemnością, patrzyły bystro i postać owa czarua uderzyła Bolesława, choć rysów jej dostrzedz nie mógł. Z sukni tylko poznawszy duchownego, król zdał się uderzony jego przytomnością niezwykłą, domysłając się w nim obcego. W tych ciężkich myślach, jakie go obarczały, szukał ulgi, i, tak samo jak się spo-

wiadał przed pustelnikiem, rad był dziwnie zesłanego kapłana tego wezwać na pomoc i radę.

Skinął więc ręką ku temu cieniowi mnicha, aby bliżej przystąpił. Postrzegł to stojący naprzeciw, zadrżał, zawahał się, lecz wprędce czarny kaptur zarzuciwszy na głowę, tak by twarz zakrywał, wolnym krokiem ku trumnie przystąpił. Trumna ta tylko dzieliła ich od siebie.

— Obcy tu jesteście? — zapytał król cichym głosem.

— Pielgrzymem jestem... — odparł głos cichy i drżący dziwnie.

— Znacie mnie?

— Wiem, żeście panem i władzcą tego kraju...

— Jeśli pielgrzymem jesteście, rozkażę wam dać zasilek na drogę, a proszę o modlitwę...

Mnich stał niemy.

— Zasilku żadnego nie potrzebuję... przysięgłem na ubóstwo — odczywał się głosem stłumionym — a modlitwy moje królewskiej duszy twój ulgi nie przyniosą, jeśli z niej sam nie zrzucisz brzemienia, co na niej ciąży...

Tylko od kapłana mógł Bolesław cierpliwie znieść mowę taką, ale z ust duchownego nie zdała mu się dziwną... westchnął tylko.

Mnich zamilkł chwilę, jakby z sobą walczył, i przerwał dobrowolnie milczenie.

— Choć królem jesteś, kajać ci się trzeba... bo tam, gdzie nas sądzą wszystkich, żadna ko-

rona nie idzie na szalę... a purpura płam nie osłoni... Bóg mi dał, pielgrzymując po świecie, spotykać ofiary twojego gniewu... Modlą się one nie za ciebie, lecz by zemstę niebios sięgnęły...

Głos mnicha drżący coraz się podnosił, król oczy weń wlepiwszy, zdumiony, przelękły niemal, słuchał go w niemém podziwieniu.

— Mnich jestem — dodał — suknia, którą noszę, prawdę mi rzec każe... Kajać ci się trzeba i krzywdy nagrodzić... bez tego nie znajdziesz spokoju duszy, ani u tego grobu, ani w świątyni pańskiej, ani w życiu, ani przy zgonie...

To mówiąc podniósł mnich rękę do góry... z pod kaptura błysło oczów dwoje lśniących i szybkim oddalił się krokiem w głąb, nim Bolesław czas miał powstać i zawołać.

Gdy się wreszcie ruszył z klęcznika król i obejrzał wkoło, nie widząc nikogo, z zakrystyi wyglądający kapłan postrzegł to i na skinienie pospieszył. Bolesław stał blady, gniewny i poruszony.

— Kto był ten mnich, który mi śmiał przerywać modlitwę? — zapytał.

Kapłan zrazu nie wiedział, co odpowiedzieć, trwoga go ogarnęła. Król, jakby mu duszno było w kościele, spiesźnie począł ku drzwiom wielkim kroczyć, gdzie stał cały dwór jego i gnieźnieńska czekała nań grodowa starszyczna, której ulubieniec króla, stary Stoigniew przewodniczył.

Kapłan w ślad dążył za królem.

— Kto i z kąd jest ten mnich obcy, który pozostał w kościele i przerwał mi modlitwę? — powtórzył Bolesław na progu katedry stanąwszy.

— Nie wiem — odparł zlekniiony ksiądz. — Przybywa tu duchownych pielgrzymujących niemało. Był dziś mnich jeden, który się opowiadał, jakoby z klasztoru w Korbei...

— Szukajcie go i na gród mi prowadźcie. Chcę mówić z nim — dodał Bolesław, już się hamując i nie chcąc gniewu dać poznać po sobie.

Ksiądz zwrócił się spiesznie nazad do kościoła, skłoniwszy przed królem, a tuż dwór go otoczył i z siwą głową odkrytą, do kolan mu się zniżał Stoigniew. Król z czułością drucha ręce obie położył na ramionach jego i ozwał się głosem złagodzonem.

— Witaj mi Stoigniewie! Ja do ciebie przybyłem w gościnę... Nie spodziewaliście się mnie, nieprawda? radzi mi może nie będziecie bardzo.

— Miłościwy królu a ojczu — żywo począł Stoigniew, kłaniając się i prostując natychmiast — wyście tu gospodarzem nie ja... Stoigniew słągą.

— I druhem moim... — dodał wesolo król. — Na zamek nas prowadź.

Niedaleko od katedry były dworce pańskie, Piastowskich jeszcze czasów pamiętne. Na grodzie jako namiestnik króla siedział Stoigniew razem z opatem Aronem, prawa ręka pańska.

Maż to był swego czasu w kraju tyle zna-

czący, iż mu nikt nie dorównywał powagą i roznem a nauką. Bolesław często go używał tam, gdzie przebiegłości i spokoju, zimnej krwi i męstwa było potrzeba, nie do walki, choć rycerzem był niepoślednim, ale do zbierania owoców jej.

Gdy złamawszy nieprzyjaciela pokój zawierać, warunki stawieć, przy swoich prawach obstać, wyjednać ustępstwa było potrzeba, nikt nad opata Arona i Stoigniewa nie był do tego zdolniejszym.

Król znał samego siebie. Burzyło się w nim łatwo i częściej po miecz sięgał, niż cierpliwości zażywał. Usta jego wypowiadały zrazu co w myśli zapisane stało... otwartą był księgą król i wójakiem nawet czasu pokoju. Stoigniew miał wytrawność męża, co wiele przebywszy, ludzi znał i zażywać ich umiał. Nie uląkł się on ani oblicza cesarskiego, ani żadnego władzcy, niczem w świecie ująć go nie było można, ani zastraszyć.

Spojrząwszy też na tę dostojną postać, uszanowanie dla niej czuł każdy. Stoigniewa nie wzburzyć, nie krwi jego biegu przyspieszyć nie zdolalo, na pozór zimny jak Aron, słuchał i patrzył, a gdy ci, co z nim się układali, myśleli już, iż go pokonali, ze spokojem odpowiadał im do swojego powracając, dopóki woli swój nie przewiodł. Drogi też to był człowiek dla króla.

Stoigniew nie starszym był nad niego, ale mu trudy siwiznę przyspieszyły. Obok włosów obfi-

tych srebrzystych twarz zachował młodzieńczą, świeżą, rumianą i zmarszczkami nawet nie poraną. Dziwnie sprzeczały się na niej krasne barwy, żywy blask oczów, śmiejące się usta, z tą siwizną przedwczesną.

Na czele mężów dwunastu, co otaczali Boleślawą, Stoigniew stał pierwszym, przodował on im i dla niego pan nie miał żadnych tajemnic. W sprawach króla wiele musiał pokryjomu podróżować po świecie, to też języki obce miał dobrze, a co na owe czasy, oprócz dnehownych, mało kto znał, Stoigniew pismo czytał i w łacinie był biegłym.

Liczną otoczony rodziną, trzeci raz już żonaty, powiernik pański miał żyjących synów sześciu, córek pięć, z których trzy już poślubione. Zwykle przebywał on na zamku w Gnieźnie jako namiestnik pański, lecz i własnych ziem, ze szczodrości króla miał podstatkiem.

Dwór też go otaczał niemal książęcy, a życie mógł prowadzić jak król chciał, by mu wstydu nie czynił. I tu stoły musiały gotowe stać dla przybywających ze skargami, radami i prośbami. Skarb pański na to dostarczał.

Miał oprócz tego pieczę namiestnik nad biednymi więźniami, których trzymano na zamku w Gnieźnie. Tu miotając się bezsilnie i złorzeczając losowi swemu skończył życie Bolko oślepiony, tu zmarł Prybuwoj, tu żył jeszcze z nędzą

swą Odylon i mnodzy inni winowajcy; których dla spokoju w zamknięciu trzymać było potrzeba.

Po wspaniałem „palatium“ króla w Poznaniu, starodawny dworzec gnieźnieński ubogo wyglądał, ale szanownym był pamiątkami, które do ścian jego przyległy. Iżb też w nim znajdowało się mnogo i najliczniejsze poczty mieściły się w otaczających go zabudowaniach.

Gniezno należało do tych grodów za Bolesława Wielkiego, w których wojsk jego zawsze gotowe do wyjścia w pole zastępy się gromadziły. W Poznaniu miał król przy sobie trzystaście sotni pancerników konnych, a cztery tysiące piechoty z tarczami. Gniezno żywiło piętnaście setek pierwszych, a pięć tysięcy tarczowników; zatem więcej jeszcze niż Bolesław przy sobie ich chował. Inne też miasta, jak Włocławek i Gdycz, załogami podobnemi opatrzone były czasu pokoju. Gdy na wojnę występować było potrzeba, słano do nich jak do spiżarni i ruszał się lud orężny, gdzie mu wskazano.

Na Gnieźnie też namiestnika musiał stanowić król takiego, któryby najliczniejszą osadę, okaz niej nie spuszczał, zgłuszyć jej nie dając, czując zawsze i gotową utrzymywał.

W progu zamkowym czekała na Bolesława drużyna wielka, starszyzna wojskowa, żupanowie i władzyki, którzy się tu znaleźli, duchowni przełożeni i rodzina Stoigniewa.

Nim do progu tego doszedł król, czas miał ochłonąć z wrażenia, jakie na nim mnich uczynił, wypogodził twarz, a stosując się do Stoigniewa, który zawsze spokojnym był i przy powadze wesołym, Bolesław też chciał się okazać dobrą myślą. Więc na powitanie gromady odpowiedział pozdrowieniem wdzięcznym i szybko wszedł na dworzec.

Tu czas miano się przysposobić na przyjęcie pana i jego towarzyszków. Stoły już były ponakrywane, pacholki z pochodniami stali po kątach.

Najstarszy z duchownych wiedząc, iż król znużony był i zgłodniały, natychmiast modlitwą pobłogosławił wieczerzę i misy znosić zaczęto. Sam Stoigniew królowi nalewkę i misę przyniósł, a urodziwa żona jego trzymała szyty ręcznik. Twarze otaczających radę z widzenia pana, śmiały się weselem.

W istocie bowiem, czystym będąc w sumieniu, każdy się mógł cieszyć ze spotkania z panem. Rzadko się obeszło, ażeby król nie obdarzył swoich wiernych, nadaniem jakim, końmi, szatami i orężem. Było to zwyczajem naówczas po wszystkich dworach, a Bolesław szczodroblivy z natury i wspaniały, hojnie szafował skarbami, jakich mu wojny dostarczały. Nie było naówczas właściwie państwa stolicy, wszędzie gdzie chwilowo król przebywał, a z nim wojsko i dwór, z nim naj-

wyższy sąd i urzędnicy, gród się chwilowo stawał stołecznym. Zjeżdżali do niego pokrzywdzeni z żałobą, biedni z prośbami. Letniego czasu, król pod dębem lub lipą zasiadał rozsądzać sprawy; zimową porą działo się to w wielkiej izbie, a miał Bolesław sposób mądry godzenia z sobą zwaśnionych, który rzadko się nie powiodł. Gdy na sąd królewski przybyły strony, przyjmowano je na dworze obie, dni częstokroć dwa i trzy gośceni byli u stołu i boku pańskiego. Nie dopuszczając do mówienia o sprawie, zmuszał ich Bolesław do wspólnej rozmowy, którą miał uczynić spokojną. Tak się powoli umysły podrażnione uspokajały, a gdy namiętność ostygła, naówczas sprawa szła już złagodzoną przed sąd, który zbliżonych przejednywał i zbranych do domów odsyłał.

A gdziekolwiek też król się znajdował, choć roków żadnych nie wyznaczano, często w obozie, czasem w polu i na łowach, pełno było zawsze biegnących pod sąd jego ojeowski.

Znano go też, że przemocą możnych nie folgował, ani krzywdzić biednych bezkarnie nie dopuszczał i dobra ludzi małczkich pilnował może sumienniejsz się o nie troszcząc, niż skarbów największych. Napływ doń był zawsze mnogi, niekiedy dzień i dwa pod oknami stać musiały gromady, nim kolej na nich przyszła.

Tym razem nikt się króla nie spodziewał

w Gnieźnie, więc tylko ci się znaleźli, których tu traf zgromadził.

Siedli już wszyscy za stoły i król miał rozpocząć wieczerzę, gdy jakby sobie coś przypomniawszy, skinął na siedzącego niedaleko duchownego. Szło mu o owego mnicha, który w kościele doń z napomnieniem wystąpił, chciał go tu mieć i poznać bliżej.

Posłano natychmiast komornika królewskiego po kapłana, który miał zlecenie wyszukać pielgrzyma. Nadszedł i on sam, ale widocznie zafrasowany, zbliżył się do ucha króla.

— Miłościwy panie — odezwał się — mnicha tego szukaliśmy na próżno... i około kościoła, i po całym zamku, i na grodzie, i na podzamczu... Stróż we wrotach widział go uchodzącym spiesznie...

Zasepiło się nieco czoło króla, ale wnet Stoi-gniew, któremu Bolesław o mnichu powiedział, wyprawił ludzi swych kilku, aby miasteczko strzeżono całe. Nie było wątpliwości, że w noc zimową i śnieżną pielgrzym nigdzie dalej nad podzamcze ujsć nie mógł, obiecywano więc sobie lub tegoż dnia, albo do jutra go wyszukać koniecznie.

Słowa które powiedział, utkwiły w pamięci króla silnie, pozbyć się z niej ich nie mógł, pragnął więc nieodmiennie, aby mu tego człowieka przyprowadzono. Głos mu się zdawał znanym, choć przypomnieć nie mógł, gdzie i kiedy go

słyszał. Zakapturzona umyślnie twarz, budziła dziwne podejrzenia.

Stoigniew który sam pannę u stołu chciał posługiwać, choć mu przy nim usiąść nakazano, wesołością swą i swobodą próżno starał się czarne myśli rozpędzić. Bolesław chwila mi dawał się rozweselić, ale wnet wracały chmury.

Tak przesiadział król wieczrę, po której mu spoczynek należał, i choć dwór pozostał jeszcze przy pełnych dzbanach, Stoigniew zaraz pana do jego sypialni zaprowadził. Tu już ogień płonął, ciepłe szaty czekały i służba stała pogotowiu.

Zaledwie wszedłszy, Bolesław znowu spytał o mnicha, i chciał się dowiedzieć, czy go kto dnia tego nie widział w kościele lub nie mówił z nim. Posłano do księży, przybył wybrany kleryk z opowiadaniem, jako mnich ten, zdając się z mowy i obejścia wcale nie obcym i owszem dobrze obczanym z miejscowością, różnych ludzi o różne badał sprawy i rzeczy, wydał się wielu podejrzanym, obcować z nikim ponalęj niechciał, strawy nawet pielgrzymiej nie skosztowawszy, gdzieś się skrył, iż go nigdzie odszukać i śladu znaleźć nie było podobna.

Wysłuchawszy opowiadania król, kleryka nagrodzonego odprawił ze Stoigniewem pozostając sam.

— Miłościwy panie — odezwał się namiestnik, cóż ten biedny jakiś mnich, pątnik pana mego

ma tak niepokoić? Czy się odezwał zuchwale? może niewiedząc do kogo mówi.

— Wiedział on co i do kogo rzekł — odparł król. — Duchownemu by to było przebaczeniem, owszem za dobre poczytaniem, gdybym pewnym był, iż w istocie mnich to jest, a nie skryty wysłaniec czyjś, co chciał podpatrzeć czymości moje i złość mi uczynić? Dla czegoż zasłonił twarz; czemu uszedł tak skoro?

I Stoigniewowi podejrzanem się to wydało, ale zmilczał, a król, jak dlań tajemnic nie miał, wyłał się zaraz z całym żalem swoim.

— Stoigniewie mój — odezwał się — zaprawdę, gdy na spoczynek zasłużył, Bóg mi właśnie największe zsyła niepokoje. Wicie o Jaksów sprawie, co było ich krwi i rodu, pierchnęło odemnie. Codzień ktoś uchodzi... niemey siedzą cicho, lecz czekają pory, na rusi nie lepiej, nieprzyjaciele zdają się patrzeć tylko bym osłabł... aby na państwo uderzyć i rozszarpać! co czynić aby umocnić gmach! co czynić!

Stoigniew niepodzielał widać obawy króla i do kolan mu się pokłonił...

— Próżne te trwogi — rzekł — odpędzić je trzeba. Sumiennie — panie miłościwy, wołałbym i ja ażebyście Jaksom miłosierdzie okazali, lecz gdy rzecz niepowrotna — co czynić? czas żale ukoi. Łacniej się król Bolesław bez nich, niż oni obejść potrafią bez niego.

— Synowie Janka już się z kraju słyszę wynoszą...

— Ziemi z sobą nie zabiorą — odparł Stoigniew.

— Ale ręce i serca dzielne! — dodał wzdychając król — żal! żal!

— Miłościwy panie — żałować już nie pora. Ciesze się raczej walecznym synem waszym, który gdziekolwiek pójdzie, jak wy pokonywa i zwycięża.

— Cieszę się nim i trwożę — szepnął król — wojakiem jest mężnym i szczęśliwym, lecz na wojnę ja go posyłać muszę. Nie rwie się on sam, ani jęć pragnie, woli przy Ryksie spoczywać.

Stoigniew jeszcze raz króla za kolana ścisnął.

— Panie! panie! Bóg trzeba dziękować, a nie naprzód widzieć zło, które nie przyszło i nie przyjdzie. — W chmurne dni wszystko się wydaje czarnem!

— Mieszkowi — mówił Bolesław — jakby nie zważając na Stoigniewa, przeznaczałem panowanie po sobie, w nim położyłem nadzieję. Mieszko...

Król niedokończył, bo Stoigniew poruszony całym, ręce błagalnie złożywszy stał przed nim, wzrokiem zdając się przeciwie i opierać panu swojemu.

— Miłościwy panie! nie godzi się, przebacz mi!

— Daj Bóg, byście wy jaśniej widzieli niż moje ojcowskie oczy. Przed tobą mogę duszę

otworzyć — wiesz, Bezprym, Bezprym co milczy i chodzi zasepiony, który mnie unika, żal mając do mnie, Bezprym, którego ja odsądził, silniejszym jest.

Uląkł się niemal Stoigniew posłyszawszy te słowa, król bowiem, uawet przed nim, nie zwykł był nigdy wspominać o Bezprymie, synu swym pierworodnym, którego dla Mieczysława, niemal był odepchnął od siebie. Było to dziecie żony, której pamięć królowi została ciężką i przykrą, dziecie dla którego serec nie miał Bolesław, wychowane między sługi, zgorzkle od niedoli, zniechęcone i nienawidzące.

Nieustannie miany na oku, trzymany bez działu, bez zatrudnienia, zawsze w Poznaniu, rzadko dopuszczany do ojea, Bezprym w istocie tym boleśm rozdrażniony, silniejszym był od ulubieńca Mieszka, był strasznym. Stał się on raną i groźbą dla króla, co rad był o nim zapomnieć.

Wzmianka o Bezprymie świadczyła Stoigniewowi jak król rozżalonym być musiał, gdy się to imie, którego chciał zabić, na ustach jego znalazło. Stoigniew też, mówić nieśmiejąc o tem, przeczuwał w odrzntku przyszłego wichrzyciela. W istocie dość było nań spojrzeć, by z nim chwilę, aby się go ulęknąć. Król pozbyć się pragnąc tego syna, chciał go zrazu do stanu duchownego sposobić. Dary więc był księżom na naukę, z której chciwie korzystał, lecz gdy przyszło składać śluby, okazał

do nich wstręt taki, a sami duchowni uznali w nim naturę tak gwałtowną, niepohamowaną i namiętą, iż śluby odłożyć przynajmniej doradzali.

Stało się więc, że Bezprym pozostał tak, życie wiedząc bez celu i napawając się myślami gorzkiemi, które zazdrość w nim rozbudzała. Pomiędzy nim a Mieszkciem nie było żadnego, ani braterskiego, ni nawet dalszego stosunku.

Otoczony małym dworem, złożonym z nadzorców, Bezprym krył się po kątach, milczał, udawał pokorę, ale z oczów i czoła mu patrzyło zemstą straszliwą. Zamknięty w sobie nigdy się z żadną nie odkrył myślą, lecz król wiedział przez oddanych sobie ludzi, że gwałtowniejszego i namiętniejszego nad niego nie było w rodzinie charakteru. Gdy go Bolesław strofował i do posłuszeństwa nakłaniał, milczał z głową spuszczoną, słowa nie rzekł, a król czuł w nim coś swojej natury żelaznej i niezłamanej, tylko jakby przemocą wepchniętą do środka, gdzie zamknięta kipiała.

Nieśmiał na wspomnienie o Bezprimie nie rzec Stoigniew, a król odezwał się, patrząc nań.

— Co z tym uczynić! Mieszkowi to niebezpieczny wróg rośnie. Jak radzisz mi? Krew to moja! znam ją. Buchnie prędzej później.

— Miłościwy królu — a dla czegoż, dopóki wybuch nie jest niebezpiecznym, wykipieć jęć nie dacie? Czemu go trzymać w bezczynności i zamknięciu, aby w nim gorycz rosła i mnożyła się?

— Cugle mu puścić — odparł król — ani ja go wstrzymać potrafię. Własnej krwi obawiać się muszę. Po matce ma krewnych, znajdzie łatwo sprzymierzeńców między Niemcami. Ażali przeciw cesarzowi Ottonowi własny syn nie powstawał?

Spoępniał Stoigniew, spuścił głowę.

— Gdzie człowiek nie może nie — rzekł. — Bogu trzeba sprawę zlecić i jego prosić.

Westchnęli oba, a Bolesław wpatrując się w ogień, szeptał jakby sam do siebie.

— Stary mój! policz wrogów, zrachuj co grozi, a nie dziwuj się czołu poępnemu i temu, co mi z duszy bucha. Na jednego Mieszka, Bezprym, trzech synów Ody, czechy, Niemcy, Ruś, dalecy i bliżcy, a Mieszek jeden... jeden... i wojak dzielny, ale wódz?

— Wodzem się wojak staje — przerwał Stoigniew.

Zamilkli znowu, a stary namiestnik już był rad przerwać niemiłą rozmowę i do snu naklonić.

— Noc późna — rzekł — spocząć by należało.

Gdy na to nie było odpowiedzi, sklonił się do kolana, zwołał komorników, aby łoże przygotowali i na straży pozostali. Tak dzień ten się zakończył długi i ciężki dla króla, który z myślą o mniechu układał się do spoczynku.

Nazajutrz rano, gdy Stoigniew zjawił się znowu u króla, znalazł już u niego Sagana, który przyszedł był z oznajmieniem, iż mimo poszuki-

wał na podzamczu i po gościeńcach, mnicha nigdzie nie znaleziono, ani też wieści o nim żadnej nie było.

Wybuchnął król gniewem wielkim.

— Zdrajcami więc tu nawet otoczonym być muszę! zawołał, kiedy mi jeden ślały jakiś, nieznaną człiek śmie się w oczy mągać i z pod ręki się mojej wyslizga. — Jeśli ujść nie mógł to go przechowano. Któż on jest! Suknia go broni, więc się zemsty mojej obawiać nie może. Dla czego uchodzi?

Szło o to wielce Stoigniewowi, a jeszcze bardziej duchownym przy katedrze, ażeby tajemniczego tego mnicha odkryto i zdjęto z nich posądzenie, że go przechowywać mogli. Dnia więc tego, nie było zakątka w Gnieźnie, kędyby pacholankowie z grodn i klerycy nie śledzili zbiega, na gościńcu zatrzymywano wozy i jadących, rozosłano na drogi różne, wszystko bezskutecznie. Popłoch tylko wielki sprawiło to pomiędzy ludnością całą, a król jak przybył chmurnym, nawet pogodą Stoigniewową rozweselić się nie dał.

Jedyną rozrywką było i pociechą dlań, gdy mu tego dnia sotnie pancerników jego i pułki piechoty wyprowadzono na okaz, bo temi się mógł pochlubić. Ani niemieckie lepićj uzbrojone i wdrożone do wojny nie były. Żołnierz był z najlepszego ludu wybrany, zahartowany wyprawami, za domem już nie tęskniący, bo w obozie o nim zapominał.

Stoigniew i starszyzna rozradowała się, ujrzawszy, jak Bolesław spoglądając na swój lud ożywiał się — otrząsał z gniewów i frasunków, i swoje wyprawy przypominając, wołał, że z niemi jeszcze pójść w pole. Czuł się sam lżejszym i młodszym patrząc na nich...

Do stołu też siadłszy, gdy zagaili starzy dowódcy o dawnych wojnach, poszła mowa wesola, śmiechy i przypominania. Król się żołnierzem stał i pokrzepił tém lepiej niż najpiękniejszém słowem otuchy.

Dzień też szedł lepiej, a Bolesław z powrotem do Poznania nie spieszył, cel mając w tej podróży. Zaraz pierwszego wieczora, nakazał wysłać Stoigniewowi do dwunastu radnych — wezwanie, aby się do Gniezna ściągali. Tu, na uboczn i bez rozgłosu, chciał jeszcze omówić sprawę królestwa i korony i środki obmyślić, ku spełnieniu myśli swojej.

Korona z namaszczeniem rzymskiem, z błogosławieństwem duchowném, potrzebna mu była nie dla siebie, ale dla syna, któremu ją chciał jak tarczę od napaści zostawić.

Gdy tu król na zjazd powołanych ze starszyzny czekał, tym czasem nimich, który był znikł z Gniezna bez śladu — zjawił się trzeciego dnia w Poznaniu. Niebytność króla, mającego się zatrzymać w Gnieźnie, ośmieliła go snuć do tego

kroku i ks. Petrek, weale się go już widzieć nie spodziewający, uląkł się, gdy go znowu na swym progu zobaczył, uląkł tak, iż ręce załamał.

— Bóg z wami — zawołał mnich dumnie i szydersko razem — obawiać się nie macie czego! Wraeam ja z gorszego niebezpieczeństwa!

W Gniesznie oko w oko spotkałem się z Bolesławem, gonią mnie tam i śledzą! Gnieszno całe strzesiono, po drogach ścigano i łapano.

Uśmiechnął się dumnie.

— Na Boga, dla czegoż nie uchodziecie co prędzej, jeżeli wam życie mile? — zawołał ks. Petrek...

— Któż wam powiedział, że ono mi jest mile? — odparł mnich — za tę chwilę, którąm miał u grobu apostoła, królowi rzucając jad w duszę... nie szkoda by i życia!!

Ks. Petrek blady stał i drżący — widoczném było, żeby się rad pozbył co najrychlej gościa tego niebezpiecznego.

Szczęściem opata Arona nie było w Poznaniu i przyjsia jego się nie lękał, obawiał się, aby inni szpiegowie, których dwór miał dosyć, nie postrzegli przybysza. Mnich znać te obawy z twarzy księżyny wyczytał, pogardliwie nań spojrzął i odezwał się:

— Nie trwożcie się mój ojczy, ani siebie ani was nie chcę podawać na zemstę króla... idę ztąd precz, a jestem bezpieczny bo matce mój

i mnie zostali jeszcze, mimo lat wielu, przyjaciele wierni. Mów mi co mam zanieść tam, z kąd przybyłem? Bolesław trawiony jest niepokojem o swe państwo... to jawna. Czuje, że to co skleił łupieżami, z pod ręki mu się rozleci.

Ks. Petrek może dla laenniejszego pozbycia się mnicha, zbliżył się doń i począł mówić szybko.

— Ani się łudzić ani spać nie godzi — mąż to silny i doradców ma rozumnymych. Życia ma jeszcze dosyć przed sobą, by żelaznemi klamrami związał te kraje.

I — dodał — wiem od opata o jednej sprawie, która może mu dać siłę wielką — Otto włożył mu na skroń koronę... pamięta on o tém i królem się zowie, ale mu trzeba z Rzymu od ojea świętego korony namaszczonej, o tę koronę starać się będzie — pójda po nią posły! Rozumiecie! To groźba dla cesarza. Cesarz posłów do Rzymu nie powinien dopuścić, cesarz w Rzymie musi zapobiedz, aby mu nie dano namaszczenia. Na wszystkich drogach posłańców jego pilnować trzeba!

Pójda przebrani, przedziani za obcych... manowcami, krążąc do koła.

Mówił szybko a eicho, mnich słuchał napawając się tą mową.

— Dajcie znać do Arcybiskupa, gdy posły wyjdą, kto, którędy, kiedy. Noga ich nie pozostanie, zginią w lochach lub szyję dadzą.

— Tak — rzekł smutnie ksiądz — dam znać jeżeli co wiedzieć będę. Nie z wszystkiego mi się zwierza opat Aron, nie każdą rzecz on powie. Umie mileczeń chytry doradzca — nawet przedemną co mu jak pies służę.

Więcej się domyslać i zgadywać będzie potrzeba, niż — można dowiedzieć.

Ręką potarł po czole.

— Opat Aron! — dodał — do wszystkiego jest zdolny, wiedźcie o tém. Może wyprawi posły jawne, aby skrytych niemi osłonił, może nie jedno ale trzy i cztery wysłać poselstwa... może.

Potrząsł głową. — Nie znacie ich — kończył coraz się rozgrzewając. Bolesław zły, zawzięty, gniewny, lecz chytrym i skrytym jak ojciec być umie, gdy mu Stoigniew i opat Aron nakazą chytróść i mileczenie. Szpiegi nasze po wszystkich dworach, ma ich Bolesław w Magdeburgu, w Kolnie, w Akwisgranie, w Rzymie... albo ja wiem gdzie jeszcze! Ma na dworze cesarza, ma u markgrafów i książąt. Złota na to nie żałuje. Ma swoich płatnych w Rzymie i w Rawennie — wszędzie!!

— Lecz papież mu korony dać nie może — odczwał się mnich — cesarz zaprzeczy. Jemu korona! Lecz myśmy z matką gnieźnieńskie i poznańskie kraje złożyli w darze apostolskiej stolicy, która nam je, a nie komu innemu nadać przyrzekła. To nie może być.

— W Rzymie! nie może być? — ruszając ramionami szepnął ks. Petrek niedowierzająco — wy to mówicie? Zmienia się panujący, zmieniają widoki.

Pochmurno wejrzał Mnich...

— Bezpieczniej mn korony nie dopuścić, gdy zostanie wysłana, niż jej zaprzeczać w Rzymie — mówił ks. Petrek — a więc... niech cesarz baczność ma, niech pilnować każe. Znaue są gościńce...

— Do Rzymu one wszystkie prowadzą! — odparł Mnich — waszym obowiązkiem wyszperać kto i któredy pojedzie, dać znać, wysłać natychmiast.

Sparty na stole ks. pisarz zadumany był smutnie...

— Myślicie, że mi to łatwo? — zawołał śmiejąc się ponuro i szydersko — pisać nie mogę... pismo jest najstraszniejszym zdrajcą. Wysłać nie mam kogo, komu zaufać? Oba milezeli długą chwilę.

— Mamże ja na to czekać, abym się tu o czémś więcej dowiedział? — spytał mnich — gotowym.

Rękami podniesionemi ks. Petrek zaprotestował.

— Pociążecie królowi w oczy wpadli? nacoście na siebie ściąguceli podejrzenie? Wam nie pozostaje nic, tylko jak najspieszniej, suknię zrzu-

ciwszy uelodzić. Kto wie — po gościńcach już mogą być dane rozkazy seigania mnicha z Korbei.

Nie zdawała się groźba ta ustraszać bynajmniej przybyleca.

— Będę wiedział co poczynąć — rzekł elmurno — ale wy — wy — mówcie co macie czynić?

— Powiedziałem wam to co mogłem, dość — byście się na baczności mieli, reszta nie do mnie należy. Cesarz silnym jest dość by środki obmyśleć, o co chodzi wy wiecie. Koronę ma na myśli, do niej wzdycha, chce ją zostawić synowi Emmildy choć ma starszego syna węgierskiej Judyty, który marnieje zanknięty.

— Pamięta o nim cesarz i my! — mruknął mnich.

Rozmowa poczęta trwała długo jeszcze, a gdy na ostatek mnich, nie mówiąc dokąd i jak ma się oddalić, pożegnał ks. Petrka, pisarz bojaźliwie wyszedł obejrzeć się do koła, aby upewnić, że nikt nie postrzeże wymykającego się z jego mieszkania.

Jakoż nie było nikogo w tej stronie podwórza, bo gdy król wyjeżdżał, przerzedzały się tłumy dworskie — i folgowała sobie czeladź pańska, siedząc po komorach.

Bystrą okiem obejrzawszy wszystkie kąty, ks. Petrek powrócił przekonany, iż mnich bezpiecznie ujsć może — ale nie dopatrzył ukrytego za węglem Zyga, który może przypadkiem się tam

znajdował. Zobaczywszy wychodzącego duchownego, nieznanego sobie, Zyg natychmiast się wyrwał ze swęj kryjówki i zabiegł mu drogę, domagając się pocałowania ręki i błogosławieństwa...

Nie strwożyło to mnicha, który zadość uczynił prośbie karła, chcąc się go pozbyć coprędzej. Nie przyszło to łatwo, Zyg był natrętny, a nie miał co robić, był nadzwyczaj ciekawy i gadatliwy, zwłaszcza z ludźmi nowemi.

— Jaka to szkoda, mój ojczy! — zawołał skacząc przed nim — że króla pana nie ma doma! Przyjętoby was na dworze, napojono, nakarmiono, i naładowano kieszenie... ale możebyście poszli do królowej?

— Jestem pielgrzymem, zwiedzam kościoły, do dworów nie zachodzę — odparł mnich spiesząc krokn.

— To źle czynicie... źle... — mówił Zyg — groszby się przydał! Suknię macie wytartą!

Widzę żeście po jahnźnie byli u ks. Petrka, ale on nikomu nie da nic. Wziąć weźmie od każdego — ale obdarzyć! E! e! mądry to człeczyna. U nas tu mędrszego nie ma. Mówią, że opat Aron rozumny, ale ks. Petrek i tego za nos wodzi, ani się spostrzeże.

Próżno zaskakującego mu drogę karła, chciał wyminąć mnich, prowadził go tak wesołek królewski aż do bramy w okopach — usiłując na-

mówić do zamku lub do katedry i księży. Wre-
ście u mostu karzeł przyzostał, stanął, pożegna-
wszy przychodnia i tu na nową jakąś czatował
zabawkę.

Ks. Petrek widział Zyga idącego za mnichem
i ręce załamał.

II.

W oddalonej części dworca starego nad Cybiną, znajdowało się opuszczone dosyć i zaniedbane teraz mieszkanie, które niegdyś część wieśkiego dworu Mieszka pierwszego zajmowała... Osobny dziedzińczyk z furta, na drąg nocą zamykaną, poprzedzał je. W podwórku tём niechlujno było i nie baczono widać, aby oku miło spocząć było na niém. Psy wylegiwały się tu na rozrzuconej słomie. Pod daszkiem z jednej strony, siedziało na grzędach kilka krogulców, jastrzębi i białozorów zasępionych, z najeżonymi piórami.

Kiedy niekiedy przemykał się jakiś pachol niezdarny z głową ostrzyżoną, w odzieniu lichém, w skórzniach starych, w koźnelu podartym, i jakby zmęczony, zwłókszy pod dach znikał.

Wszedłszy przez sień do wnętrza, kilka izb napełnionych służbą niepoczesną przejść było trzeba, nim się do głównej świetlicy dostało. Choć zamek był i dworzec pański, nigdzie tu przepychu Bolesławowskiego znać nie było.

Dostatek wprawdzie znać było wszędzie, lecz ładu i ochędóstwa brakło. Czeladź jakby uspioła, jak wpół drzeмиąca nadziła się przy ogniskach wraz z psami, które powyciągane były na ziemi...

Wśród niej ogromnego wzrostu człek stary, z samych kości zbudowany, obciążniętych skórą grubą, pomarszczoną i czarną, zdawał się pierwsze miejsce zajmować. Odziany w krótki kożuszek, niegdyś suknem niebieskiem, teraz spłowiałem pokryty, w obcisłych spodniach i skórzniach sznurowanych, z brodą posiwiałą krótko postrzyżoną, siedział stary wpatrzony w ogień, obie ręce sparsłszy na kolanach, a głowę na rękach...

Opieszale i cicho mruczająca gawiedź co go otaczała, nie zdawała go się wcale obchodzić. Nie słuchał jej żartów, śmiechów, przedrzwiewań i ziewania. Myślami widocznie był gdzieindziej.

Wieczór nadechodził, i w izbach zaczynało być ciemno. Stary siedział na pieńku, grzał się, ale choć nieruchomy, nie usypiał, czarne oczy z pod brwi nawisłych mu błyskały, ogniem młodzieńczym niemal. Wśród czeladzi, którą był otoczony,

olbrzymi ten starzec wychndły, na pierwszy rzut oka, obcym się wydawał. Twarz miał jakby ogorzałą, czarniejsze gałki oczów wypukłych, budowa ciała twardsza była, potężniejsza, imna. Choć włos mu siwiał, gdy otworzył usta, zęby mu błyszczwały białe jak u zwierzęcia dzikiego, ostre, do kłusania stworzone. Wejrzenia też, któremi rzucił na swych towarzyszów łagodnemi nie były... malowała się w nich złość i pogarda razem.

Czeladź leżąca na ziemi i po ławach, czasem ku starcom spoglądała, z pewną trwogą, a zarazem nienawiścią. Nie okazywali mu poszanowania pacholćkowie, lecz bać się musieli jego siły. On też na nich nie zważał i jakby wstręt miał od obcowania z nimi... sam z sobą coś dumał, czy przypominał, i o to co go otaczało nie zdawał się troszczyć.

Gdy wręście z pieńka, na którym siedział powstał — nie obrócił się też do zalegających izbę pacholćków, dwu z nich na ziemi leżących przestąpił ogromnemi nogami, kilkun rozepchnął i skierował się niedbale włokąc ku drzwiom wiodącym do świetlicy.

Wstawszy olbrzym ten wydawał się ogromniejszym jeszcze... lecz z pod odzieży kości mu sterczały...

Chndy był straszliwie. Policzki też miał wpadłe, a na szyi skóra marszczyła się i fałdowała w najdziwniejsze zwoje.

Drzwi do świetlicy wiodące, prowadziły do wąskiej sionki, która izbę czeladzi od niej dzieliła.

Drugie dopiero otworzywszy starzec się znalazł w obszerniej komnacie. Tu nieład prawie taki jak na podworeń panował. Psów kilka leżących na ziemi, gdy wchodzącego posłyszały, podniosły głowy, i poznawszy go legły znowu spokojne... W kącie na berle siedział ptak zasepiony... widać ulubieniec pana. Chowane wilecze szczecenie wystawiło łeb z pod lawy i znikło.

U okna na pokrytej skórą ławicy szerokiej, pół siedział, pół leżał, młodzian wysokiego wzrostu, który spojrzał też na wchodzącego, zwróciwszy doń twarz, i pozostał tak wpatrując się w gościa. Starzec widocznie tu był domowy, szedł powoli rozglądając się... Tu i owdzie porozrzucone szaty zmięte zbierał i składał, kubki na stole stojące ustawił inaczéj, do próżnego dzbanka zajrzał i postawił go w miejscu gdzie znalazł.

Czynił to jakby z beczymności, aby czéms zająć ręce.

Młody człek patrzył na to milezący. Odziany w suknię zszarzaną, która niegdy była piękną i kosztowną, z pierściami na pół obnażonemi, niedbale podpasany, znać nie ruszał się dnia tego z pod dachu. Twarz jego śniada, nie bez wdzięku, wybladła była i zmęczoną. Oczy miał jakby nalogiem ukrywania wzroku, wpadłe

pod brwi i skryte, usta zacięte, wyraz cały ponury i srogi razem.

Na wchodzącego spoglądając łagodniał widocznie...

Był to Bezprym starszy syn królewski z Judyty węgierki — odepchnięty przez ojca na korzyść Mieszka, niegdy do duchownego przeznaczony stamm, dziś nie pewien jakie go czekały losy...

— Co ty tu tak błądzisz Gheza? — zapytał głosem głuchym królewicz — czego szukasz...?

Stary, ręce złożywszy spuszczone, stanął na przeciw Bezpryma, głowę przechylił i wpatrzył się w niego milezący.

— A kogoż i czegożbym ja szukał? — odezwał się Gheza po węgiersku — bo Bezprym go w tym języku matki zagadnął — kogo? czego? szukam ciebie — królewiczu mój! Co ty? co tobie? jak?

— Jak? mnie? dziesięć razy na dzień pytasz o to, poezciwy Ghezo, jakże mi ma być? jako tym, co w ciemnicy siedząc, czekają wyroku śmierci...

— Rzućcie to — rzućcie! — zawołał Gheza — Myśli tych mieć nie trzeba, a siły zbierać i czekać. Hej! hej! przyjdzie i nasza godzina — przyjdzie! Znajdziemy i my przyjaciół, będziemy i my panowali.

Bezprym słuchać się zdał z przyjemnością, powolnego marzenia swego sługi, a oczyma jakby doń wówił — prawno dalej — co więcéj?

Gheza téż ciągnął głosem cichym i niespieszącym...

— Albo to królewicz mój, nie jest prawym, pierworodnym synem królewskim? albo to jemu nie należy państwo? Ma kto iść do klasztoru i w mnichy, toć chyba Mieszko... a piękną Ryksę po nim dostanie mój pan! I królestwo, i skarby i koronę!

Stary klasnął w ręce.

Podparty na dłoni słuchał Bezprym.

— Praw, praw stary — szepnął — tyle mojego, że w tej niewoli mam ciebie, co mi jak piastunka dziecku bajki prawisz! Tyle mojego. Tyś mi został jeden... Mam ojca, który mnie na oczy nie dopuszcza, mam brata, co mnie znać nie chce, no — i więzienie, trochę tylko jaśniejsze i przestronniejsze od tego, w którym trzymają skazanych...

— Gołębiu ty mój, sokole mój biały! orle złotopióry! — począł stary Gheza — nie narzekaj, a karm się abyś silny był, gdy ci z klatki przyjdzie wylecieć; przyjdzie ta godzina, przyjdzie! ja ją widzę oczyma mojemu... hej! hej Eljen! słyszę jak cię króleni witają...

Zbliżył się kroków parę i rzekł ciszej.

— Pytałem starćj wieszczki! Te baby czarownice, one wszystko wiedzą. Kazałem jęj wróżyć przyszłość. Lała воск... wylała z niego koronę! Królem będziesz.

— Pleć stary! — śmiał się Bezprym — a no czarownice co ze złym duchem mają do czynienia nie pytaj...

Splunął Gheza i ręką w powietrzu zamachnął nad głową.

— To moja sprawa...

— Co dziś we dworze? — pytał Bezprym.

— Co? co zawsze... Królowa Enmilda się modli i płacze... Król kędyś na łowach... Młoda pani Ryksa zasepiona w krośnach szyje na małżonka czekając. Mieszka król kędyś na pomorców wyprawił. Spocząć mu nie daje... wojować musi choćby nie chciał.

— A maż on w sercu wojnę? — spytał Bezprym.

Gheza głową potrząsał.

— Woli n spodnicy siedzieć, w jedwab się ubrać, i słuchać pieśni — rzekł powoli. — Juści w polu, gdy człek zobaczy nieprzyjaciela, żeby w nim kropli krwi nie było, ruszy się... i bić będzie! Mieszek się bije a prowadzą go tak, aby ochoty do tego nabrał, ale to pieszczony syn Dobromirowej córki, a nie krew mojego królewicza.

Bezprym się zerwał z ławy... z zapalem ja-

kimś dzikim, dłonią się zdawał szukać miecza i poczał szybko do Ghezy.

— Oni myślą, prawda? oni myślą, że ja do nieczego niezdolny? że ja zgnił i zwiądl i zapłakał się i zanieczył!! Gheza? prawda? że ja dobrze udaję przed niemi...

Patrz... ot jakim...

To mówiąc ręce na piersiach złożył, głowę spuścił, wzrok utopił w ziemi... zmalął i skulił się pokornie.

— Ale gdy na swobodę wylecę — Ghezo... gdy mi wolno będzie o moje się upomnieć — prawda, dopiero poznają kim ja jestem!

Odprostował się, czoło wzniosł do góry, długie odrzucając włosy, usta mu się dumnie uśmiechnęły, ujął się ręką w bok jedną, a drugą dzwignął w powietrze.

Stary sluga uradowany przypadł mu do kolan i poczał w nogi całować.

— Tak! tak! królewiczu mój! orle mój złoty! takim ci trzeba być, takim cię jeszcze stare moje oczy zobaczą... Przed niemi milczmy, ja i ty... o! usta zszyte mieć, mieć trzeba. Pytają mnie często chytry ludzie — co Bezprym? Ja tylko ruszam ramionami. Ginie marnie, tęsknota go zżera! mówię — a no, niech uchowa Bóg, aby to prawda była.

— A jednak ot tak żyć — Ghezo — tak czekać, tak nasłuchiwać — zawołał Bezprym — cięż-

ko! Są godziny... chce się iść wydusić wszystkich i choćby zgiąć samemu...

— Niech Bóg uchwala... tsyt! nie mówcie nawet tego — odczwał się stary w rękę go całując — nie mówcie. Trzeba żyć... trzeba żyć, aby piękną królowę mieć i koronę złotą... i...

Machnął znów ręką po swojemu.

Na wspomnienie królowej dziki wzrok Bezpryma rozplomieniał. Grała w nim gorąca krew matki i namiętna dziada i ojca, w marzeniach swych sennych i dziennych widział białe królowe i czarne oczy wlepione w siebie.

Z dzieciną jakąś lekkomyślnością chwytając za rękę Ghezę, rzekł mu śmiejąc się.

— Wezmę Ryksę Mieszkowi... piękna jest! piękna!.. Widziałem ją małą, gdy cesarz Otto przysłał na nasz dwór, żeby się chowała na żonę dla tego... (wyraz dodał plugawy). Naówczas już była piękna, ale czy ty widziałeś Gheza, jaka ona dziś... jak ona wybniała, rozkwitła... jaka z niej królowa?.. Zakradałem się w kościele, ażeby się tych niewiast pięknych do syta napatrzeć...

Gheza ręką uderzył po czole.

— A ksiądz na to co mówi?

Bezprym nie odpowiadając ciągnął dalej.

— O! piękne króla niewiasty... i niewolnice, i dwór, i żony żupanów, gdy się postroją do pana... ale piękniejszej nad Ryksę nie ma żadnej... Gheza, ja mu ją wezmę! he.

Stary głową kiwnął.

— On mi moje prawo pierworodztwa chce wydrzeć!.. Mogę go zabić, a ją... zabrać.

— Bratowę? — niedowierzająco spytał węgier.

— W Rzymie rozgrzeszą... ja wiem... Gorzej niż bratową, Oda druga żona Mieszkowa była Chrystusową oblubienicą, a wziął ją i nie było mu nic...

Mówił z taką gorączką, że Gheza przerywać nie śmiał, a zresztą wierzył wszystkiemu i pochwalał wszystko, co ukochany pan powiedział.

— Po świeccie jeszcze piękniejszych nad Ryksę i młodszych dużo... — szepnął.

Tu chwilę pomilezawszy Gheza dla zabawy znać biednego więźnia do ucha mu szeptać począł.

— No... a wówczas w kościele, jakżeście to babom się przypatrywali, nie widzieliście markgrafianki Ody, he? To dopiero kobieta...

— Widziałem — żywo zawołał Bezprym — piękna jest... Już ci bym ją wziął, ale nie na żonę... Na królowę się nie zdała, bo oczyma bardzo strzela po ludziach...

— O! strzela... strzela... — śmiejąc się dodał Gheza — i już sobie tura upolowała... he! he!..

Bezprym uderzył go po ramieniu.

— Kogo?.. myślę, że nie jednego? — zapytał.

— Ma ich dostatkem co za nią chodzą i śmieją się do niej, a co jeden ten... za wszystkich stanie.

— Kto? kto? mów...

— Czyż nie wiecie? Mnie bo wam mówić trudno...

Zawahawszy się nieco, dodał zaraz.

— A... króla! króla!.. wysoko patrzy młoda markgrafówna... wysoko sięga... śmiała dziewczka, bo myśli, że starą królowę jeszcze wysadzi i nam zapanuje.

Zadumał się Bezprym, a w końcu głową potrząsł.

— Ojciec może ją sobie wziąć, boć nie żałuje, gdy mu co po myśli. Miał ich i ma dosyć,.. a no... do korony jej daleko.

— Ludzie mówią, że blisko — szepnął Gheza — a co ja wiem...

— Dosyć nas już jest — zawołał Bezprym — Mieszko, ja, Dobromir... taby nam jeszcze braci naprowadziła!..

Potrząsł głową.

Gheza pomileczawszy, począł znowu zeicha.

— E... na dworze napatrzeć się i nasłuchać jest, czego. Na mnie oni niebardzo zważają, nie strzegą się, dziwy czasem plotą. Wszyscy Odzie panowanie przepowiadają... ma ona tu swoich... królowaby się jej rada ze dworu pozbyć, a nie śmie... Nie spojrzy nawet na nią... przecie ona nie nie zważa na to... A gdy króla ma przed sobą, to go tak oczyma łapie, że gdyby i starszy jeszcze był i nie tak gorący jak jest, nie obroniłby się...

Różne prawią też rzeczy — ciągnął dalej Gheza. — Słyszał pan mój o Jaksach, co ich tracić mieli... Mówią, że królowa ich gdzieś schowała... ludzie prorokują, że się to wyda i król skorzysta, by w gniewie starą porzucić a wziąć młodą...

Bezprym się wstrząsł.

— Co mi tam! — zawołał — mnie z tego nie! mojego losu to nie poprawi!

— Kto wie! — szepnął Gheza.

Gdy tak rozmawiali, a w izbie ciemniało, przez okna, które ku okopom wychodziły na gościniec, dosłyszeli szum i wrzawy. Bezprym spójrział.

Orszak wojenny zbliżał się powoli. Na czele jechał na koniu siwym, wykwiłtnie rycersko ubrany młodzieniec, pięknej i wesołej twarzy. Na głowie miał szyszak z piórem czerwonym, lśniący od złotej blachy, którą był w części okryty, na piersiach pancierz luskowy, na nim płaszcz z futrem. Pas nasadzany kamieniami, trzymał miecz w złoto okuty u boku. Twarz jeźdźcy z dumą zwracała się ku zamkowi, do którego jechał. Za nim dwu starych wojewodów konno i świetny orszak postępował, pancernicy wszyscy ludzie dorodni i doborni. Przez okno wysoko umieszczone, tylko głowy koni i ludzi mógł dojrzeć Bezprym. Zobaczywszy na czele jadącego Mieszka pobladł i pięści zacisnął. Zerwał się z ławy, aby uniknąć tego widoku, nie nie mówiąc, ale cały drżący. Gheza, który dojrzał przy-

czyny tego wzruszenia, starą głową potrząsał w milczeniu.

Dopiero gdy cały ten orszak powracających z wyprawy przesunął się przed oknem, Bezprym gwałtownie okiennicę zasunął i krokiem żywym po izbie się zaczął przechadzać. Zafrasowany piastun podłożył ognia, zakreślił się po komnacie i do kolan mu się pokłoniwszy, szepnął:

— Niechaj! niechaj!.. będziemy i my tak jeździli! będziemy i my tak powracali... albo jeszcze lepiej... Orle ty mój złoty, będziemy...

Nie nie odpowiadając na tę zwrotkę codzienną, z którą obył się do syta, Bezprym dał rozkaz Ghezie, aby się dowiedział, żąd Mieszko i z czém powracał. Bolało go to, iż czuł w nim zwycięzcę.

— Znowu pobit!.. znów cały i zdrów wraca!
— mruczał.

— Przyjdzie nań godzina... jak w Czechach! jak w Czechach! — szepnął odchodząc Gheza i ze drzwi ruchem głowy przepowiednię tę potwierdził.

W podwórcu wyszedłszy stary Gheza, znalazł tu wszystko w ruchu. Istotnie Mieszko jak zwykle wracał z łupem i niewolnikiem. Wycieczka ta zimowa była jakby rodzajem polowania na upatrzonego. Mszcząc jakiśś napaści nadgranicznej, Bolesław posłał syna spalić kilka siół i nabrać jeńców, aby rozbójniczych sąsiadów pogan nastraszyć. Wysłani przodem szpiegowie opatrzili

miejsca, czas oznaczyli i Mieszko jak burza spadł na pomorców, którym stada całe, mienie i mnogo jeńców nabrano.

Jak tylko oznajmiono o przybyciu jego, stara królowa pierwsza wyszła na spotkanie, pierwsza go uściśnęła płacząc z radości.

Mieszko wiedział już, że ojca na zamku nie było, a nim żona pospieszyła przeciw niemu, on sam już był w jej komnacie. Matka mu towarzyszyła.

Z małym Kazimierzem na ręku, Ryksą w progu męża witała.

W istocie siostrzenica cesarska była niewiastą uderzającą pięknosci, ale twarz jej młoda i wdzięczna miała na sobie wyraz powagi jakiegoś niemal surowej i chłodnej. Coś zakonnego w ubiorze, w obejściu się, coś wyniosłego i zdającego się w dali świat trzymać od siebie, miała piękna Ryksa.

Między młodzieńczym Mieszkiem wesołej twarzy, niemówiącej wiele, a żoną jego, której każde poruszenie i słowo obrachowane się być zdawało, trudno było zrozumieć wczel, co łączył dwa tak różne charaktery.

Królewicz wyglądał na lekkomyślnego żołnierza, nawykłego do obozowego życia, Ryksa miała oblicze i wyraz świątobliwych niewiast, karmiących się tylko modlitwą.

Wszystko co otaczało w jej mieszkaniu młodą

panią, było wytworne, świetne, lecz zarazem poważne jak ona. Stała przed mężem w sukni czarnej, w czepcu mężatek, sama krzyż mając na piersi i dziecię trzymając nśmiechnięte, na którego białej szyi także krzyżyk złoty był zawieszony.

Mieszko ku obu wyciągnął ręce na powitanie.

Ryksa wedle zwyczaju schyliła się do ręki swojego pana, on usta zlekka przyłożył do jej czoła, dzieciaka pocałował i wnet królowna oddała go stojącej za sobą niewieście.

Emnilda nie chcąc w tej pierwszej chwili synowi być i synowej natrętną, do wnuka poszła i z nim razem znikła w bocznej izbie. Na twarzy Mieszka nie tyle znać było radości co znużenia.

— Zwlec się muszę z tych żelaznych pęt! — zawołał do żony — głodny jestem... spragniony... Idę zbroję złożyć i powrócę...

Ryksa chciała o coś go spytać; ręką dał znak, jakby słuchać nie chciał i wyszedł.

Gdy ję z oczów znikł, jakiś czas stała z wzrokiem w ziemię wlepionym, potem zwróciła się ku stronie, w którą wyniesiono dziecię i spokojna, chłodna wyszła za starą królową.

W izbie, w której się królewicz rozbierał, gwar-
no było. Komnata sypialna cała na zbrojownię
wyglądała; obwieszona tarczami, siekierami bo-
jowymi, włóczniami, pancerzami wytwornemi.
Ogień, który się na kominie palił, błyskał na że-

laznych i złotych blachach, które ściany okrywały.

Rzeźwa młodzieź otoczyła królewicza, spiesząc porozwiązywać rzemyki, porozpinać sprzążki, uwolnić z tych pęt, które go długo więziły. Ówczesne wojenne uzbrojenie już niepospolitą wymagało siły i wprawy do dźwigania. Pod pancerzem z łuski żelaznej, który całe ciało okrywał, noszono jeden lub dwa skórzane kaftany. Pancierze były grubo kute, aby mieczom i dzidom przeciwników opór silny stawić mogły. Broń też, którą dźwigać zmuszony był rycerz, tarcza, włócznia, miecze, młoty, łuk, oszczep, przyczyniały brzemienia.

Czeladź pańska znać ulubioną Mieszkowi i spoufaloną z nim, śmiejąc się i żartując rozdziewała młodego wojaka, który nśmiecchem jej odpowiadał. Widać było w Mieszku żołnierza dzielnego, lecz nie zbyt rozmyślanego w swém rzemiośle i nie wiedzionego do boju jak ojciec myślą wielką. Walka była dlań rozrywką rycerską, bo brzemień panowania jeszcze na innych spoczywało barkach i synowi nie było pilno je odziedziczyć.

Gdy pancerz z niego ściągnięto, odetchnął królewicz i rzucił się na posłanie z wyrazem widocznego zadowolenia.

— Hej, Michno! — zawołał do jednego z czeladzi — idź mi zobacz, czy łaźnia napalona... Nie pocznę nie, dopóki się w niej nie wyparzę... i zimną nie obleję wodą. Dopiero siły mi powrócą!

Łaźnia była naówczas, niemal tak jak chleb, nieodzowną potrzebą, należała do nawyków życia, iż się nikt bez niej, jak bez jedla nie obchodził. Po całych dniach na królewskim zamku łaźnie dla dworu i dla panów musiały stać przygotowane.

Urządzano je zprosta, rozpalając ogromne głązy utrzymywanym ciągle ogniem pod niemi i lejąc na nie wodę. Drewniane ławy, sięgające niemal do stropu, na których stawano, siadano lub legano wedle upodobania i od których poszło przysłowie: „im kto wyżej siedzi, tem mocniej się poci“, kubły z wodą zimną, winniki brzozone... cały przyrząd łaźiebny, wielce niewykwintny składały. Nie miał i król Bolesław wytworniej urządzonej łaźni, a chadzał do niej, jak wiadomo, chętnie i chętnie z sobą drugich prowadził.

Mieszko też nie wątpił, iż łaźnię napaloną i gotową znaleźć, pilno mu było do niej, aby pozbyć ostatnich zmęczenia.

W tem nadbiegł wysłany Michna, lecz z twarzą, na której widać było, że się nie tak sprawił jak się spodziewał.

— Łaźnia?... — zapytał Mieszek.

Michno się po głowie tarł ręką.

— Łaźnia? — powtórzył królewicz — daliż jęj stróżę zastygnać? to nie może być!..

— A! nie... nie!.. — pospieszył chłopak.

— Więc do łaźni!.. — zawołał królewicz zrywając się z posłania.

— Ale... łaźnia, miłościwy panie... łaźnia... zajęta — wyszepnął chłopiec.

— Przecież niewiasty swoją mają? — rozśmiał się królewicz — a któż śmiał królewską zajmować?

Michnie wyrazy na ustach zastygły.

— Mówże! — krzyknął zniecierpliwiony pan — kto śmiał...

Michno spuściwszy głowę zaniemiał.

— Wygnać precz!.. — wołał Mieszko i popatrzywszy na chłopca, ręką go chwycił za ramię, trzęsąc nim.

— Będziesz ty mi mówił! kto wlaźł do mojej łaźni?

Oczy podniósł błagając Michno i jeszcze się nie zebrał na wyznanie.

— Królewicz Bezprym jest w łaźni! — krzyknął wreszcie czując, że go Mieszko chwycił silniiej.

— Kto? królewicz? jaki?.. Tu nie ma innego nademnie!.. — ofuknął Mieszek. — Słyszysz ty to? Bezprym! Nie mógł się pójść myć razem ze służbą? kto mu pozwolił do królewskiej łaźni?.. won go wygnać!.. Cóż to! ja na Bezpryma łaskę będę czekał?..

To mówiąc kożuch na siebie wdział królewicz i przez podwórze do sąsiedniej łaźni pospieszył. Zdala drzwi jej poznać było łatwo po buchającj

z nich parze. Mieszko kroczył wprost, służbę prowadząc za sobą.

Bracia choć w jednym żyli dworze, nigdy się prawie z sobą nie spotykali. Dawniej Mieszko się próbował zbliżyć do Bezpryma, lecz ten go pogardliwem zbywał mileczeniem, przyszła później tajemnie tlejąca braterska nieuawisć i rosła z dniem każdym. Spotykając się w dziedzińcu omijali się jakby nie widzieli.

Zmuszano Bezpryma do oddawania czci młodszemu, ale wybranemu bratu; król jeden tylko twardym rozkazem mógł to na nim wymóżyć, nikt inny. Syn Judythy miał prawo starszeństwa i pierwszeństwa wedle europejskiego zwyczaju, dziecię Emmildy słowiańskim obyczajem młodszych cniło się powołane do spadku władzy po ojcu. Do nieuawisłości obu przyczyniło się może, iż w Bezprymie czuł Mieszek wolę niezłomną i rozum bystrzejszy, że się go obawiał. Nieraz może przyszło mu na myśl co słyszał o kneziach rńskich, na co patrzył w domu, że się współzawodnika krwawo przyjdzie pozbywać. W barbarzyńskich tych wiekach chęć panowania, przykład drugich, usprawiedliwiała te krwawe zapasy nawet w rodzinach.

Z gniewem w piersi wszedł królewicz do łaźni, u której drzwi dwóch ludzi smolne trzymało pochodnie. Pomimo ich światła, we wnętrzu, pełnem pary gęstej, nie widać nie było. Bezprym, któremu oznajmiono o Mieszk, nie myślał się

ruszać z górnej ławy. Stanąwszy w progu gniewny pan, zawahał się wszakże co miał czynić. Brat mu nstąpić nie chciał, gwałtem go wyrzucić i rozjątrzyć, a niepotrzebną we dworze czynić wrzawę, nieżyczył sobie królewicz.

Z za obłoków pary w téj chwili ujrzał nagiego Bezpryma na górnej ławie, z rękami pod głowę podłożonemi, z nogami podniesionemi do góry, zdającego się czekać i wyzywać gwałt.

To zuchwalstwo rozgniewało Mieszka.

— Precz! do łaźni czeladnej! słyszysz!.. — krzyknął rękę podnosząc.

— Każ mnie wyrzucić! — odparł chłodno Bezprym — jeżeli się ważysz na to, ale twojej czeladzi lby porozbijam, jeżeli się mnie tknąć waży...

— Mamli ja czekać na ciebie? — począł rzucając się Mieszko.

— Wołno ci się parzyć... ja nie bronię... — szydersko mruknął Bezprym.

Nie mogąc wytrzymać dłużej, idącym za sobą wskazał królewicz nie nie mówiąc na brata.

Słudzy zawahali się. Stali spoglądając jedni na drugich. Bezprym był silny i odważny, mógł dotrzymać co obiecywał. Pacholkom niebardzo się chciało głów nastawiać. Po za nimi jednak stało dwóch z czeladzi łaźiebnej, na pół nagich drabów ogromnych i silnych, niewoźników wojennych, stworzeń na pół dzikich, dla których

walka była niemal pożądaną. Na dany znak ruszyli się oni ku ławie.

Bezprym ujrzawszy to chwycił za ławę i zdarł z niej lekko przybity kawał drzewa, który ujął w dłoń silną, siadł i gotował się do obrony. Dwaj niemi łaziebnicy trochę się wstrzymali, popatrzyli na się, ruszyli nagle ku rusztowaniu i zręcznie podźwignawszy je na barkach, obalili na ziemię. Razem z ławicą, na której siedział, uczepiwszy się jej oburącz, spadł i Bezprym, a nim miał czas, potluczony, dobyć się z pod desek, naskoczyli łaziebni pacholćkowie i chwyciwszy go na ręce, choć im włosy darł z głowy, pędem lecąc wynieśli i rzucili na podwórzec nagiego.

We drzwiach stojąca gawiedź poczęła się śmiać z nieszczęśliwego Bezpryma, który leżał w śniegu. Drzwi od łaźni natychmiast zawalono drągiem i nim się do pomsty zebrać mógł pokrzywdzony, nie miał już przed sobą nikogo. Klęczał tylko u nóg jego stary Gheza i obejmował go rękami, trzęsąc się z gniewu cały, ciągnąc swojego pana, na którego własną opończę narzucił, na jego podwórze. Bezprym powstał, obejrzał się oblakany wzrokiem ku łaźni i podtrzymywany przez sługę wiernego, znikł w furcie wiodącej do jego dworca. W podwórzu cicho było i pusto, dopiero po oddaleniu się Bezpryma wyjrzała czeladź Mieszkowa z łaźni, rozglądając się bojaźliwie.

Królewicz zwyciężył wprawdzie, lecz sam nie

rad był swojemu zwycięztwu. Czuł to dobrze, że do mnogich uraz dodał jeszcze jedną nieprzebaczoną. Pozostało w nim niepokojące trwogi jakiegoś niezucie.

Ze sromem i spuszczoną głową, milezący jak kamień, Bezprym się przywłókł do izby swojej.

Tu Gheza przyklękawszy, począł go ocierać, rozgrzewać, pieścić jak dziecię, przemawiać doń wyrazy pełnemi słodyczy. Syn Indythy siedział głuchy, niemy jak posąg. Łza mu nie pociekła z oka, wyraz z ust się nie dobył, pięści miał zaciśnione, zdawał się skamieniały z bólu, zabity...

Głowa opadła na piersi wisiąca bezwładnie.

Jak dziecię dał się oblec, jak nieprzytomny położyć. Piastun mu przyniósł kubek jakiegoś napoju ciepłego i wlał w usta, prawie siłą. Próbował on napróżno rozmaitemi pytaniami wywołać z niego choć wyraz, choć westchnienie, Bezprym usta miał zaciśnięte i nie otworzył ich nawet dla poczeiwego sługi. Ręką tylko zimną - pogłaskał go po głowie za odpowiedź całą. Gheza mówił za dwu:

— Sokole mój, orle mój złoty! zobaczysz, doczekamy, wybiję zemsty godzina! Odplaci nam za to Mieszek, weźmiemy mu królestwo, zabierzemy żonę... wyżeniam go z téj ziemi, tak jak on śmiał...

I Gheza nogi wychowanka swojego obejmując rękami, tulił, osłaniał, aż póki znużenie i ból

zdrętwienia okrutnego nie zmieniły w sen gorączkowy.

Gdy Mieszko po łaźni przyodziawszy się powrócił do żony i matki, Ryksa łatwo poznać mogła po twarzy jego, która nigdy nie ukryć nie miała, że nim jeszcze jakiś niedogorzały gniew miotał, ale pytać go nie śmiała. Posepny był królewicz i milczącym, a zwierzać się nie chciał z tego co uczynił.

Nie mogło to pozostać w ukryciu, tajemnicą dla nikogo. Z okien owego podwórka wielu na to patrzyło ludzi, czeladź królewicza była świadkiem wypadku, natychmiast wieść się rozbiegła po dworze, doszła do królowej, która ją przyjęła z przerażeniem, do Ryksy, wcale niemyślącej nymować się za Bezpryma, naostatek do Ody, która się tém uradowała.

Tegoż wieczora, późno już do celi ks. Petrka, który jeszcze odprawiał modlitwy, zapukał zdyszany Harno. Z twarzy zaraz poznał ksiądz, że mu wieść jakąś ciekawą przynosił, i posunął się naprzeciw niemu.

— Królewicz powrócił! — ozwał się przybyły.

— Nie miałeś z czém przychodzić, bo to dla mnie nie nowina — przerwał kwaśno ks. Petrek.

— To nie — dodał komornik — to nie... ale zaraz przybywszy zachciało mu się do łaźni. Tam parzył się Bezprym i ustąpić mu nie chciał...

Kazał go precz na dwór, na śnieg wyrzucić... i łaziebnicy ledwie mu dali radę...

Ks. Petrek słuchał z widoczną radością, której w pierwszej chwili zapomniał nawet ukryć. Harno też, jak człowiek prosty, co się z każdej psoty śmieje, niemal się cieszył z tej przygody.

— I Bezprym to zniósł?.. tak?.. — zapytał księżyna — i nie?..

— A co miał czynić? Zamknęto drzwi łaźni wewnątrz dragiem... Gheza go wziął, otulił i niemal zaniósł do izby, bo ledwie mógł iść potłuczony...

Uśmiechu błogiego jakiegoś uszczęśliwienia, który się po ustach ks. Petrka prześliznął, niepodobna opisać. Rad był widocznie tej katastrofie, lecz przed Harnem nie chciał się zdradzić, wrędcę więc twarz zasępiał i rzekł pociechu.

— Wielkie to nieszczęście, gdy się ludzie blizy tak nienawidzą... i takich dopuszczają gwałtów na sobie... A byli świadkowie?

— Łaziebnicy, czeladź, pełno ludzi... srom widzieli wszyscy.

Ksiądz Petrek głową litościwie potrząsał. Harno ucałowawszy rękę jego, rad że pierwszy mu przyniósł wiadomość tę tak ważną, pokłonił się i z izby wysunął.

Tegoż wieczora wiedziano o tém na podzamczu, mówiono w całym grodzie. Ludzie jedni brali stronę królewicza, mniejsza liczba litowała

się nad Bezprymem. W tych wiekach panowania siły, uczucie chrześcijańskie nie było jeszcze tak wyrobioném, ażeby po stronie słabszego stanąć miało. Cieszą się, że spadkobierca Bolesława takie meztwo okazał.

III.

Gdy się Jaksowie znaleźli w nowém więzieniu, do którego dalekie jakieś dochodziły mruczenia i głosy — nie byli jeszcze pewni ocalenia. Zdało się im, że śmierć mogła być tylko odroczoneą. Wśród ciemności poczęli szukać, na czem by się zeprzeć lub położyć mogli — lecz izba była pustą. Legli więc przy ścianie na ziemi z obojętnością ludzi, co nie do stracenia nie mając, nie troszczą się jak ostatnie chwile przeciągniętego życia przepędzą.

Upłynął czas długi, a nie ciszy i mroku nie przerwało.

Na ostatek usłyszeli klncz chodzący w zamku drzwi, nie tych którei ich wprowadzono, lecz w innój umieszczonych ścianie. Ukazało się w nich światelko i wszedł małeńki, przygarbiony człowiek

nie młody z lampką w rękę, którą osłaniał. — Okryty był suknią czarną, kroju jakim ją duchowni nosili, z sukna grubego. Na głowie miał czapkę z futrem która mu uszy i część bladych okrywała policzków.

Wszedłszy jakby z obawą i wahaniem, wzrokiem niepewnym, strwożonym, popatrzał na dwu braci, pilno się im przyglądając. Być może, iż inaczéj wcale wyobrażał sobie zbójców na śmierć skazanych. Gdy zobaczył łagodne a smętne twarze Jaksów, którzy za ręce się trzymając powstali z ziemi, moeno zdziwionym się zdawał. Palec położył na ustach. Zawrócił się szybko ku drzwiom któremi wszedł i z za nich wydobyl kosz zostawiony. Było w nim jedzenie, jakiego dawno już dwaj skazani nie kosztowali, był dzbanek z napojem.

W mileczeniu starowiua koszyk postawił przed nimi, ruchem ręki zachęcając ich do jedzenia, lampkę postawił na przymurku. Sam ręcełożywszy, stał niemy i zaciekawiony ciągle w nich wpatrując.

Andruszka pierwszy się odezwał po eichu.

— Mój ojeze, kiedy nas tracić mają?

Uslyszawszy głos, jakby się go uląkl przybyły, znowu rękę na ustach położył.

— Nic — nic — niewiem nic.

— Leez.

— To wam powie kto inny, nie moja rzecz. I ręką na kosz pokazał.

Chociaż nie pewni przyszłego losu swojego Jaksowie, tak byli zgłodniali, że Jurga wyciągnął rękę do kosza. Zobaczywszy ich jedzących, stary postął chwilę, zostawił lampkę, mało co dającą światełka i wyszedł drzwi zamykając za sobą.

W dzbanie był miód, jadło z mięsiwa i chleba złożone, wydało się ono zgłodniałym dziwnie dobrem. Zapomnieli, że może wkrótce przyjdzie nmieścić. Srogi głód miał swe prawa, które zmuszały zapomnieć nawet o niebezpieczeństwie. Przygotowani na śmierć z rycerską obojętnością, czekali godziny wyroku. Jakaś siłą nową wlał w nich napój i jadło. Andruszka się uśmiechnął.

— Po co nas karmią na śmierć? — zawołał.

— Kto wie? — rzekł Jurga — coś się stać musiało. Wyrok królewski śmierć przededniem zapowiadał, a to już dzień, biały dzień.

Jurga wskazał okno w górze wysoko, przez którego okiennicy szczeliny widać było przedzierający się blask dnia jasnego.

— Tak! dzień! — potwierdził Andruszka.

— Może się na jednym wreście zlitują — dodał młodszy. Jeżeli ważą jeszcze którego mają tracić — jam gotowy.

Starszy go po rękę uderzył i głowę potrząsł, w tęjże chwili klucz się w zamku obrócił. Otworzyły się one, i schylając się wszedł inny du-

chowny, nieznany obu braciom, mąż poważny, z krzyżem na piersiach, na ciężkim złotym zwieszonym łańcuchu. Za nim widać było staruszkę, co przyniósł kosz, ale ten wpuściwszy go, sam nie wchodząc, zewnątrz pozostał.

Bracia powstali na widok księdza, którego rękę poszli nalcować wedle zwyczaju.

Piękna twarz duchownego, choć surowa nie zdawała się im nic złego zwiastować. Szedł jakby pociechę niosąc z sobą, a nim mówić począł, zmierzył też wejrzeniem baczniem Jaksów.

Ci stali przed nim milczący.

— Przyszedłem wam, dzieci moje, zwiastować jeżeli nie ocalenie, to nadzieję jego. Nie mogę, bo prawa nie mam, powiedzieć wam, ani komu to winni jesteście, ani co wam przeznaczono. — Uczyniono wszakże tyle, iż z pod gniewnej ręki króla, miłościwa opieka was wyrwała. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ułagodzi pana i możecie być ocaleni. Lecz, w bożej to woli, w bożej łasce. Módlcie się o nią.

Tu zamilknawszy nieco duchowny mówił dalej.

— Na swobodę wyniść, choćbyście rycerskim słowem byli związani, nie możecie. Ktoś nieopatrzny zobaczyłby was, wydałaby się przed czasem tajemnica. Są dobrzy, ale i złych ludzi jest wielu. Musicie więc pozostać w zamknięciu, tu — lub może gdzieindziej. Dla świata umarli jesteście nikt wiedzieć nie powinien że żyjecie.

Macie czas na pokutę i żal za grzechy.

Sluchając téj mowy, choć otchła w serea ich wstąpiła, dwaj Jaksowie, mniej daleko radości okazali, niż spodziewać się było można.

Lndziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody, do ruchu, do niustannego zajęcia — niewola wśród czterech murów, wydawała się niemal śmierci równą. Siedzieć tak w téj ciszy, niewidząc nikogo — nie wiedząc co się w koło działo, nie mogąc rozknużyć, chwycić powietrza, pocieszyć światłem, karą było okrutną.

Pocieszało ich to może jedno, że rozdzielone-mi być nie mieli. — Tak się przynajmniej spodziewali.

Andruszka rzekł z westchnieniem.

— Ojcie przewielebny — zostawicie nas przynajmniej razem. Srogaby rzecz była.

— Będziecie z sobą — odparł duchowny — nie zbędzie wam na niczém, oprócz niestety — swobody i ludzi.

Ażebyście zaś o Bogu nie zapomnieli, parę razy w tydzień, możecie z za kraty, do której was zawiedzie stróż, wysłuchać rannéj mszy świętój. Powtarzać wam nie trzeba, iż gdybyście na nieszczęście poznani i napatrzeni przez kogo byli, życiem to przyplacić możecie. Więc idąc na mszę i w kościele twarże zakrywać musicie, i do nikogo nie mówić słowa.

Ksiądz dodał: Bóg z wami!! skinął głową i z powagą, krokiem wolnym wyszedł z izby. — Drzwi zaryglowano za nim. Bracia padli sobie w objęcia i ścisnąć się zaczęli radośnie.

Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały ten dzień szeptali z sobą, gubiąc się w domysłach, kto ich mógł od zguby uratować, czyjś odwadze winni byli to przechowanie. Znali oni dobrze Bolesława i wiedzieli na jakie narażał się niebezpieczeństwo ten, co się śmiał woli jego przeciwieć. Jurga wpadał na myśl, iż ojcu Teodory mógł być winien tę łaskę, a łzom jego córki. Andruszka posądzał raczej opata Tynieckiego, którego przybycie do ciemnicy, było jakby obietnicą lepszego losu. Żaden nie sięgnął nawet myślą do królowej, której pośrednictwa w sprawie swój nie przypuszczali.

Tegoż dnia, stary kleryk przyniósł im słomę na posłanie i dzban wody. Zdawał się przeznaczonym na ich usługi, lecz gdy się z nim rozgadać próbowali, kładł palec na ustach i przestraszony, zaklinał się, iż o niczem nie wie.

W niedzielę, która w parę dni po tém nastąpiła, ten sam staruszek przyniósł im dwie czarne z kapturami opończe i kazawszy się w nie odziać, korytarzami poprowadził z sobą, zakazując rozmowy. Ciemnymi przejściami dostali się do izdebki pustej nad zakrystją, z małym oknem kraciastym na kościół wychodzącym.

U wielkiego ołtarza kapłan wychodził właśnie z prymarją, odprawianą o dnia brzasku.

Kościół był mało oświecony i prawie pusty. Poznali łatwo, że byli w tunie poznańskim, w którym tylekroć z orszakami króla nabożeństwu uroczystemu byli przytomni. Kilku duchownych tylko widać było w chórze i kilka jakichś pobożnych osób świeckich w głębi.

Jak tylko nabożeństwo się skończyło, stary ich stróż otworzył izbę, i nazad przeprowadził do więzienia. Srogo się ono już dwom Jaksom czuć dawało. Cisza, milczenie, próżnowanie, niewiadomość jak długo potrwać może ta niewola, czyniły ją nad wyraz srogą i ciężką. Jurga, którego już i sen nawet nie brał, rzucił się zrazu jak dziki zwierzę, potem zboląły opadł na siłach, zatkanął, zachorzał.

Nie wstawał z posłania, milczał, zdawał się śmierci wyglądać. Wytrwalszy brat czuwał nad nim, i widząc go tak w oczach ginącym, zaklął stróża, aby o tém starszego duchownego uwiadomił.

Tegoż dnia nadszedł on do więzienia. Jurga ledwie, zobaczywszy mógł podnieść głowę, która zaraz na posłanie opadła bezsilna, Audruszka zwałował się do księdza.

— Moj ojciec — rzekł — winniśmy ocalenie nas od śmierci gwałtownej, dobroczynności, łasce, nie wiemy czyj. Lecz zginiemy tu z tęsknicy,

natura nasza nie znosi zamknięcia i więzienia. Jurga mi w oczach ginie. Umrze on — umrę i ja po nim. Tyle tylko, że się pomęczymy dłużej.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć co z nimi począć. Zbliżył się do Jurgi i przekonał sam, iż go choroba trawiła. Nie mówiąc nic, uczyniwszy tylko nadzieję powrotu, odszedł. Drugiego dopiero dnia powrócił, nie sam. Znany braciom opat tyniecki Aron mu towarzyszył, któremu tamten wielkie okazywał uszanowanie.

Opat począł od rozpatrzenia się i wybadania Jurgi — i przekonał, że mu istotnie groziło niebezpieczeństwo... zdawał się jednak i on niewiedzieć co począć, jak radzić.

— Idzie o życie wasze — rzekł — ktokolwiek was na swobodzie zobaczy, wyda... naówczas nie tylko wy zginiecie, ale zgubicie osoby, które ocalić was chciały.

Nie widzę ja nie innego... tylko przeprowadzenie was do szerszego więzienia, do mojego klasztoru w Tyńcu, gdzie w celach zakonnych, przynajmniej na słonce patrzeć, z braćmi eo was nie wydadzą, obcować będziecie mogli.

Lecz jakże się wam niepostrzeżonym, niepoznanym dostać do Tyńca??

Andruszka podchwycił żywo, poręczając, że gotowi będą nocami, manowcami przedzierać się na miejsce, ludzi unikając, nie mówiąc do niko-

go, bodaj twarzę osłoniwszy. Jurga nawet zasłyszawszy o tём, podniósł głowę i słabym głosem poręczył, że raczej umrzeć gotowi, niż dobroczyńców swych zdradzić.

Poczęła się tedy narada długa i wielka, jak podróż tę, na owe czasy niemając, przyprowadzić do skutku. Ułatwiało ją to jedno, że obn braciom nawykłym do wycieczek i wypraw wojennych, kraj cały dohrze był znany, że mieli i w obcych stronach dawać sobie radę, a ówczesne lasy i puszcze połowę znacznieiszą ziemi zalegające, i pora nawet zimowa podróż tajemną, możliwą czyniły.

Opat Aron, nie przyrzekając nic, brał to do namysłu, a gdy towarzyszący mu duchowny wyszedł, dodał z pewnem wahaniem...

— Znajdziecie w Tyńcu, bracia moją z różnych stron i języków świata tam zebraną. Moglibyście z tego korzystać. Do stanu duchownego nie myślę was namawiać, bo wiem, że to nie dla takich rycerzy jak wy, powołanie. Moglibyście wszakże rozpytawszy się i objaśniewszy, u ojców, przygotować do podróży większej daleko, któraby wam ocalenie zapewniła.

Tu spojrzawszy na ciekawie go słuchających, ciągnął opat dalej.

— Król a pan nasz miłościwy potrzebę mieć będzie wielką, wysłać ludzi zręcznych i pewnych, w sprawie ważnej... daleko... kto wie? do Rzy-

mu może? do samego ojca świętego. Zręczności do niej, i męstwa wielkiego potrzeba — niebezpieczeństw do przebycia znajdzie się dosyć. Moglibyście mieć w pomoc dodanego braciszka włocha.

Na samą wzmiankę o wyprawie podobnej, Andruszka rzucił się ręce opata ucałować, a Jurga podniósł jakby mu sił przybyło. .

Lecz dnia tego na kilkunastu słowach skończyło. Natychmiast prawie odżył młodszy. Uradowany Andruszka ujrzał go tego wieczora znaczenie orzeźwionym, noc przespał spokojnie — obudził się silniejszy, smak mu do jada powrócił i, gdy trzeciego dnia opat Aron przybył do nich — znalazł go już trzymającego się o swój siłę.

Stało się tedy na tem, iż przygotowania do podróży uczynione być miały, ale że się to wszystko tajemnie odbywało, czasu więc trochę zabrakło. Jurga i Andruszka raz nocą wydobywszy się za bramy zamkowe, co opat nłatwie obiecywał, nie potrzebowali już przewodnika. Nadechodziły pod pełnię noc księżycowe, mieli więc jechać lasami i nocami, odpoczywając w szałasach, w gąszczach przez dzień i nigdzie nie zajeżdżając. Na to Jaksowie uroczyste dać musieli słowo rycerskie, a co rzekli, na to się spuścić było można... Ofiarowali się zresztą choćby uroczystą stwierdzić swe przyrzeczenia przysięgą.

— Tem ważniejsza to rzecz — dodał opat — iż, nie wiem w jaki sposób i z jakiego powodu — obudziły się w ludziach podejrzenia, iż nie zostaliście straceni. Nieprzyjaciele tych... którym winniście ocalenie, (opat wymienił nie chciał nikogo) mogliby z najmniejszej korzystać poszlaki, by przed królem ich oskarżyć. Ostrożności więc potrzeba nadzwyczajnej.

Choć opat Aron, chciał czekać na to, aby Jurga, który przychodził do siebie, sił więcej nabrał. Zaręczyli mu oboje, że podolają i najcięższej podróży, gdy się na swobodę, powietrze i światło wydobędą.

Dnia jednak nie wyznaczono do wyjazdu. Oba bracia z gorączką niecierpliwą go wyczekiwali.

Jednego wieczora, gdy każdy szelest ich poruszał tak, że się natychmiast zrywali, sądząc, iż już nadeszła godzina — w istocie, później niż zwykle we drzwiach klucz się dał słyszeć. Otworzył go kleryk stary, ale za nim widać było w progu stojące i jakby wahające się, czy wniknąć mają, dwie jeszcze osoby.

Potwierdziły się domysły Jurgi, gdy zdala we drzwiach poznał naprzód starego Siccircha — ale za nim szła, z zasłoną na twarz zapuszczoną — niewiasta... Serce powiedziało więźniowi, choć się tego nie mógł nigdy spodziewać, że to była Teodora.

I ona to była w istocie. Pieszczona ojea jedynaczka, wyblagała u niego tę nadzwyczajną łaskę, by Jurę, którego za narzeczonego swego i męża przyszłego uważała, mogła widzieć nimby na niepewne puścił się losy.

Długo opierał się stary, nie chcąc dozwolić na to, ubłagała go córka, doprosiła królowa, ażeby z ust jej Jurga posłyszał wyrazy do poprawy życia pobudzające. Piękna Siciechówna, która tyle męztwa okazała napraszając się, by jej narzeczonego widzieć dozwolono, gdy się znalazła w progu tej izby strasznej i ciemnej, gdy zobaczyła Jurę tak chorobą i niewolą zmienionym, w nędznej odzieży — rozplakała się i osłabła.

Ukląkł przed nią po rycersku Jaksa... ale wnet też chwilowa owa słabość minęła i odważne dziewecę odzyskało przytomność.

Słów tam wyrzeczono mało.

Siciech po ojcowsku napominać zaczął, Teodora prosiła obu, aby się nie narażali na to, by zdradzonemi być mogli. Przyniosła ona od siebie poświęcony krzyżyk narzeczonemu — który go miał bronić od niebezpieczeństwa.

Jurga stał się wesółym niemal.

— A! wiedziałem ja! — zawolał — komu ocalenie nasze mieliśmy zawdzięczać.

— Jeżeli myślicie, iż mnie lub ojeu mojemu je winniście — odpowiedziała Teodora — mylicie się. Prosiłam ja i on za wami, lecz!.. lecz ocalił

was kto inny, czyjego imienia wyrzec mi się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie— lecz i teraz jeszcze królowa im na myśl nie przyszła. Wiedzieli, że prosiła i ona za niemi, ale prośba odrzuconą została.

Dopytywać nie śmieli.

Po krótkiem pożegnaniu, z którego dowiedzieli się, iż téjże nocy wyruszyć mają, Siccieleh z córką opuścił więzienie, a bracia żywo poczęli się gotować do drogi, do której już odzież i oręż mieli przez opata dostarczony. Stary kleryk im pomagał.

Późna już była noc, gdy wszedł opat Aron... Z nim razem opuścili celę w Tumie, i zeszli w podwórze, gdzie na nich dwa konie czekały. Kazał im je aż do wrót, w których straż stała prowadzić w ręku. Niedaleko od tumu furta wiodła na pole. U téj jak u innych, choć czasu pokoju było to zbyteczném, straż stała.

Lecz Bolesław wszelakićj zdrady, podejścia i napaści się obawiał.

Opat Aron pierwszy, dając się poznać straży wyszedł ztąd na pole i opowiadając swoich dwu posłańców, braci za sobą wyprowadził.

Ucałowawszy rękę jego, dosiedli koni, z niewysłowioném tém uczuciem, jakiego doznaje człowiek długo zamknięty, gdy nagle wydobędzie się na swobodę... Nie mówiąc do siebie słowa, poparli konie co żywiej oddalając się od grodu,

którego okolice szczególnie były niebezpieczne. Lecz zimową nocą, spotkania czyjegokolwiek mało się mogli obawiać, a po zmarzłej ziemi i wodach, na wprost skierowali się ku najbliższym lasom.

Obni okolica doskonale była znana, bo nieskończoną liczbę razy w niej z królem polowali. Zbłąkania się więc obawy nie mieli.

Jeszcze opat stał w furcie, aby się naocznie upewnić o ich oddaleniu, gdy puściwszy konie Andruszka i Jurga znikli mu już w zaroślach.

Śledzący pilnie sprawę Jaksów, ksiądz pisarz Petrek nabierał przekonania silniejszego coraz, iż coś w tém było ciemnego. Doszedł on z pomocą Ilarna, że stracenie Jaksów było niepodobieństwem. Daleko trudniej mógł się dowiedzieć, co z niemi uczyniono, i kto był główną téj sprawy sprężyną. Opat Aron, którego zaufanie posiadał, (jak mu się zdawało) — z różnych stron zrécznie badany, nie dał z siebie ani słówka wydobyć. Sądził więc ks. Petrek, iż nie wiedział chyba o niczem. Posądził starego ojca Teodory, ale ten, okazując mu wielkie uszanowanie, jakie się każdemu należało duchownemu, trzymał się od niego zdala.

W Tumie księży byli w dobrych z ks. Petriem stosunkach, który ich sobie jednał przepisując im na kawałkach pergaminu, rozmaite hymny i sekwencye kościelne.

I ci jednak, przyjmując ks. Protonotarjusza gościnnie, bliższych z nim nie zawierali stosunków. Umiął on zręcznie i tu i gdzieindziej rozmowę naprowadzać na smutną tragedję Jaksów, rzucał dwuznaczne wyrazy, pragnąc dać do zrozumienia, że coś wiedział, i że był do tajemnicy przypuszczonego — to mu jednak do wydobycia jej nie pomogło,

Z rozmaitych poszlak zdawało się ks. pisarzowi, iż Jaksowie gdzieindziej schronienia znaleźć nie mogli, tylko u tych księży. Tu więc skierował swe kroki, już nie do starszyny się zwracając, ale do kleryków i posługaczy kościelnych.

Milczący staruszek, który miał klęcz od więzienia Jaksów, i w ogóle od wszystkich izb na tumie, dla gości obcych i dla winowajców przeznaczonych — zdał mu się najpewniej rzeczy świadomym. Był to milczący starowina, pobożny słuźka kościoła, który nad jedno święcenie więcej nie miał i mieć nie pragnął, przy katedrze gorliwie chodził, szanował starszych, rozkazy ich spełniał i daleko nie widział. Zwano go bratem Ruprechtem. Przy pierwszej swęj bytności około tumu, ks. Petrek rozmowę z nim przyjaźną związał. Brat Ruprecht, któremu pochlebiało to, że kapłan tak wysoko u dworu położony, poufale się z nim obchodził — chętnie się wdał w gawędę, nie sądząc, ażeby dla ks. Petrka mogły być jakie tajemnice.

Sam on nie wiedział dobrze co to byli za winowajcy, których mu strzedz kazano, miał ich za grzeszników srogą kościelną odbywających pokutę. Ciekawość wiek już w nim przytępił.

— Dużo masz i roboty i zachodu, mój bracie — mówił doń pisarz — na twoje stare lata, ciężko ci już być mnsi.

— Nie — soli Deo gloria! — rzekł braciszek, bo zwykł był ten pobożny wykrzyk często powtarzać. Już się człowiek wdrożył i drepcze, nie czując zmęczenia.

— Macie bo pewnie i więźniów w kunie do pilnowania...

— A zawsze ich tam coś jest — rzekł stary — ludzie nie anioły — toć to jeszcze pół — poganów dużo.

— Tak — tak — potwierdził ks. Petrek — a z temi więźniami ciężka sprawa, bo to butne i zuchwale...

— Nie wszysej — kaja się wielu.

— Teraz ich tam dużo u was? — zapytał nawiasowo ks. Petrek.

— Było więcej, dwu mi wczoraj ubyło.

— Wczoraj! na raz dwu! ulga wielka — cóż to za ludzie byli?

— Pono wojenni jacyś... na rycerzy wyglądali — a no dziwnie łagodni i cisi byli.

— Młodzi — starzy?

— Młodzi jeszcze oba. Jeden mi tu chorzał z tęsknoty, czy zamknięcia, a no odszedł.

— Coż to za jedni mogli być? boć ja tu o wszystkich wiem, a takich dwu, przypomniać sobie nie mogę.

— Jam też nazwisk i imion nie był ciekawy. Zdało mi się, że braćmi chyba być musieli, gdyż się z sobą kochali bardzo.

— Na wolność ich puszczone? — zapytał ks. Petrek — który był już pewien, że za nie chwycił, i chciał dotrzeć do kłębka.

— Pewnie — pewnie — ja tam nie wiem — nie moja to rzecz — nie moja — rzekł stary — nocą ich wyprowadzono odenmie.

— Wczoraj?

— Tak jest — rzekł dobroduszny Ruprecht.

To mówiąc, ponieważ go już kędyś powoływano, pożegnał pokornie ks. protonotaryusza i pospieszył z powrotem. Jeden z komorników znać widział go na rozmowie z ks. Petrkiem, i uląkł się, aby go nie badał. Zaledwie stary podszedł ku niemu, zapytał czy pisarz nie wyciągał go na rozmowę o więźniach. Zdziwiony nieczuliwie nie przyznał się winowajca do tego, co mówił z ks. Petrkiem, któremu niedowierzano i lękano się go powszechnie. Już Pisarz, rad z podechwyconej wiadomości, miał powracać do swój celi, gdy go zaproszono, aby wstąpił i spoczął. Trzeba było

naprawić, co pocziwy popsuł starowina, i zbieć z tropu ks. Petrka.

Dosyć zręcznie się do tego wzięto, niby z wypadku rozmowę zwróciwszy na dwu braci, zmyślonego nazwiska, którzy za życie rozwiązle świeżo więzieniem i postem byli karani, a wczoraj wypuszczeni... po odbyciu pokuty.

Opowiadanie miało wszelkiego prawdopodobieństwa cechy, zachwiało nieco ks. protonotarjusza, lecz po rozmyśle uznał on to czem było... podejściem tylko. Stał przy swoim.

Jakiś czas przebywszy na obojętnj rozmowie w tunie, powrócił ks. Petrek do swj celi. Tu począł dopiero rozmyślać jak miał postąpić, aby trudów swych nagrodę osiągnąć.

Wszystko co mogło królowi Bolesławowi przyczynić trosk, gniewu, niepokoju, pożądanem było dla skrytego slugi arcybiskupa mogunckiego i cesarza. Zasiać we dworze waśni, podejrzenie — pobożną królowę usunąć, którą za opiekunkę i orędowniczkę uważano... celem było dla ks. Petrka.

Opat Aron nazajutrz wyjechał był do jednego z podległych mu pomniejszych klasztorów, które naówczas zakładali możni. Spodziewano się powrotu króla. W czasie niebytności powieruika duchownego — ks. Petrek miał dobrą zręczność docisnąć się do niego — i — gdyby się udało — rzucić jakie ziarnko, coby kiełkowało w przyszłości.

Czekał więc niecierpliwie, ażeby król z Gniezna powrócił — a modlił się o to, aby opata z sobą nie przywiózł, lub by go ten nie uprzedził do Poznania — prośby te zostały wysłuchane, następnego wieczora król w licznym orszaku, weselszy niż wyjechał, rad, że syna ulubionego zobaczy — stawil się na gród nad Cybiną.

Ciche dworce natychmiast nowem życiem zakipiały. Co żyło ruszyło przeciw panu i na jego posługi.

Rozjaśniły się lica — Bolesław powracał do brój myśli...

Ks. Petrek już przez swoich wiedział, że w Gnieźnie narada była pańskiej drużyny, że godzili się na to wszyscy, iż król nroczyście koronowanym być powinien, że wszelkiemi sposoby o koronę, choćby ofiarą największą, starać się było potrzeba.

Wieczora tego, król był tak otoczony i domownikami, i rodziną i posłami, którzy tu uń czekali — iż się doń docisnąć było prawie niepodobieństwem.

Gdy król do dworea się zbliżał, złożyło się jakoś tak dziwnie, iż nim o przyjeździe dowiedziało się, i wyjść mogła na spotkanie królowa Emmilda, już Oda miała wiadomość o powrocie króla, i pierwsza w przedsieniu powitać go wybiegła.

Król się rozśmiał do niej, rzucając na nią oguistém wejrzeniem, bo uamietności swych, niestety — nigdy nie nawykł był hamować.

Wybiegnięcie to uaprzeciw Bolesława, wkra-
czało niejako w prawa królowej i mogło gniew
jój, choć cichy i milczący wywołać, markgrafów-
na więc Oda, nie czekając aż się pani ukaże,
skiuęła tylko królowi, dała mu znak jakiś i skryła
się uatychmiast. We dworze to postrzeżono je-
dnakże, i głowami potrząsano.

Król, gdy się ukazała Emuilda, uiemniój ją
z wielką czulością i poszanowaniem powitał. Oda,
kusiła go po szatańsku, a swawolnego i nawykłego
chuciom puszczać cugle człowieka, łatwo było
jój pociągnąć — nie zmniejszało to jednak czi
Bolesława dla niewiasty, którą i on i duchowień-
stwo i wszysey za świętą uiemal uważali. Ko-
rzył się przed nią i sromął król, a im czuł się
winniejszym, tém powolniejszym okazywał się dla
niej. Duchowieństwo, szczególnież Opat Aron, nie-
raz z tém sumieniem szukającém wybiegów ró-
żnych, aby się oczyściło — niemałe trudności
mieli. Każdy grzech jawniejszy sowitemi dary
opłacał król dla kościołów — lub pokutą jakąś,
a nazajutrz znowu weń wpadał. Chrześcianaństwo
z duchem swém całém, ze znaczeniem głębszém,
uie tylko jemu, lecz większej części europejskich
władzców i uajprzedniejszego rycerstwa — obcém

było. Formy jego zewnętrzne ledwie im dostępnymi być mogły. Oświata w ogóle w X i XI wieku, z wyjątkiem duchowieństwa i klasztorów stała bardzo nisko. Zwolna usiłowano krzewić wiarę, wiele przebacząc zrazu tym co ją przyjmowali i przykładem swym lud wiedli.

Ks. Petrek, czyhający na króla, dnia tego nie mógł doń dostąpić — nie było powodu, a prócz tego, nadziei aby z nim sam na sam mówić miał zręczność.

Nazajutrz, rosła obawa, ażeby opat Aron nie nadjechał — bo wówczas ks. Petrek nie miałby nawet pozoru do następczania się pami.

Harno przyszedł wedle zwyczaju, donieść księdzu, że król wrócił weselszy, że u wieczerzy wesółych nawet do zbytku, przy niewiastach żartów sobie pozwalał, tak że, oprócz Ody, co się ich nie lękała i przyjmowała je uśmiechem, inne oczy sobie zakrywać musiały.

Różnych tego rodzaju plotek dosyć przyniosłszy swemu duchownemu opiekunowi, Harno także oznajmił, że król nazajutrz na przedsieni dworca przypatrywać się ma, jak niemiec pewien z młodym Sądkiem, sławnym siłaczem, o lepsze, się potykać w podwórzu będą.

Gonitwy takie i rodzaje turniejów, odbywały się za każdym przybyciem cesarzów do Quedlinburga. Dziewina, Merseburga, Akwisgranu.

Występowali w nich najdzicniej, król sam nawet, gdy młodszym był, nieraz w nich uczestniczył i u siebie je też mieć lubił, a zwycięzców sam nagradzał.

Gdy się podobne trafiało widowisko, dwór cały, mężki i niewieści, pacholkiwie i czeladź zalegali podworec... ciekawi byli wszyscy. Duchowieństwem też wzbronionem nie było przypatrywać się popisom dzielności rycerskiej, na której stał świat ówczesny.

Ks. Petrek zamierzył więc sobie ustawić się tak, gdzieś blisko Bolesława, aby mu wpaść w oczy i korzystając z chwili, wciągnąć go w rozmowę.

Król w istocie siadł patrzeć na dwu zapaśników, eo się byli w obecności jego wyzwali. Protonotaryusz, z właściwą zręcznością, na oczy mu się nasunął — a gdy go pan postrzegł, powitał go pokłonem do ziemi.

Zaczem już miał powód przybliżyć się, zagadnąć i próbować ażali król, stęskniony za opatem, zawsze rady duchownych chętny — nie zażąda się z nim rozmówić.

Stało się nad spodziewanie dla księżyny szczęśliwie. Surowym był bez miary opat Aron dla króla, zaledwie w ten sposób mogąc cokolwiek naniętności jego polamować wybuchy. Petrek Bolesław nie lubił, ale knuszt czytania i pisanja w oczach króla wysoko go podnosił.

Za uzonego miał go i w kanonach biegłego. Przyszło więc na myśl pani, gdy się walka skończyła tём, że oba zapaśnicy z niej wyszli nie cali, a zwycięstwo wątpliwém zostało. Skinął na X. Petrka i poprowadził go za sobą do sypialni.

Z bijącym sercem, skulony, szczęśliwy szedł kroki cichemi za panem ks. pisarz. Gdy się w izbie sami znaleźli, bo komornikom król za progiem kazał pozostać — począł od tęsknicy za opatem Bolesław.

— Gdyby, miłości wasza mi co do rozkazania miała — odczuwał się ks. Petrek — choć tak wielkiego męża nie potrafię nigdy zastąpić, i nie go-dzien jestem rozwiązać rzemyka jego... starałbym się.

— Słuchaj no, mój ojcze — rzekł król — opat mnie straszy wielce grzechami mojami... sąż w istocie przepisy życia tak srogie, aby za najmniejsze przestępstwo piekło zaraz otworem stało?

Ks. Petrek głowę w ramiona wmużył, ręce rozłożył, milczał długo.

— Miłościwy panie — rzekł — kościół zna słabości ludzkie i folgnje szczególnym osobom, gdy ich położenie, krewkość, stosunki, popełnione wykroczenia tłómaczą. Tym, na których ramiona włożone jest brzemień wielkie — więcćj też odpuszcza prawo.

Czezę i padam na twarz przed wielką świa-

nością i świątobliwością mojego dobroczyńcy przewielebnego Arona — ale snrowym on jest nad miarę, jak dla siebie, tak dla drngich.

— Tak mi się zda — rzekł król.

Ks. Petrek drżąc czekał, ażeby Bolesław szczerogólny jakiś wypadek wymienił i z czemś mu się zwierzył — lecz do tego nie przyszło.

Spytał tylko król niewyraźnie i niejasno, o różnicę jakiegoś grzechu śmiertelnego od powszedniego, i wysłuchał odpowiedzi umiętniej bardzo, ks. pisarza, który wprawdzie nie skłamał, bo mu na to nie dozwalało sumienie — lecz śmiertelnego grzechu rozgrzeszenie wskazał jako możliwe i naturalne.

Innych parę pytań zadawszy, zamyślił się król i zamilkł.

Ks. Petrek tymczasem miał naprowadzić rozmowę, na sprawę dworu. Wiedział, że król rad powieści słuchał o tém, co się u niego w domu działo. Począł ubolewać nad złościwością ludzką, nad dziwnymi często baśniami, jakie sobie ludzie roili — i — dodał — (szło mu najwięcej o to).

— Nie obeszło się i teraz, gdyś miłość wasza, tak sprawiedliwie skareił zuchwałych i niewdzięcznych Jaksów... bez różnego o tej sprawie gadania.

Król chmurno spojrział, lecz poczętj rzeczy

wstrzymać już wcale nie podobna było... Mówił więc pisarz, ciągle króla oczyma badając.

— Po dworze chodzą najniedorzeczniejsze pogłoski, jakoby mimo rozkazu i wyroku pańskiego, Jaksów czyjaś opieka ocalić miała... Wiadomo to wszystkim, iż młodszy z córką Siciechową był zaswatany, więc jego, a nawet świętą, miłościwą panią naszą... posądzają o nieposłuszeństwo i bunt przeciw woli twój — panie.

Bolesław słuchając podniósł zdziwione oczy i wlepił je bacznie w mówiącego.

— Co ty mówisz? — zapytał. — Gorzki, dziwny jakiś uśmiech przebiegł mu usta. Co mówisz?

— Wiem, miłościwy panie, żeć tak nie jest i nie może być — bo któżby śmiał stanąć przeciwko twój woli wszechwładnej, lecz o to czém jest złość ludzka!!

Rzucając królowi tę wiadomość do serca, sądził ks. Petrek, iż zasieje nią nienfność, podejrzenie i gniew może, lecz z twarzy króla rozpoznać nawet nie miał co myślał i czuł.

Bolesław nie rzekł słowa — zwrócił mowę na opata i klasnąwszy na komorników, wprędce pisarza odprawił.

Wyszedł on drżący. Wiodło mu się aż do ostatniej chwili szczęśliwie — lękał się aby teraz nie pośliznęła się uoga.

Skutek wiadomości zdał mu się chybiony — król ją lekceważył, i nawet nie wziął do serca. Ks. pisarz odszedł wielce niespokojny, pocieszając się tém, że ziarno później może zacząć kiełkować.

IV.

Tyniec, którego opactwo pierwszy król Bolesław z Judythą węgierką, matką Bezpryma, założył i wposażył, starą był osadą i gródkiem. Podanie powiadało, iż nie jeden ale trzy warowne zameczki stały tam niegdyś u brzegu Wisły. Okolice leśną była i choć o półtoręj tylko mili od chrobackiej stolicy Krakowa odległą, spokojną tak jak zakonne wymagało życie.

Jak w całej Europie naówczas, i w Polsce zakonnicy św. Benedykta przynosili z sobą światło. Od tych ognisk klasztornych, przy których pierwsze szkoły powstawały, miało się ono zwolna po na pół pogańskim jeszcze rozchodzić kraju.

Nie starczyły rzadko rozsiane katedry i biskupstwa, ani duchowicistwo świeckie, wielkiemu dziełu nawracania i cywilizacyi. Wszędzie za-

konnicy, tunisi, najdzieńniejszą im, niezbędną byli pomocą. To też za Mieszka, a więcej jeszcze za Bolesława Wielkiego, wznosiły się z kolei pustelnie, klasztory, kościoły w Sieciechowie, na Łysiej Górze, w Tyńcu... Potrzeba było przysposobić duchowieństwo krajowe, któreby językiem rozumiałym do ludu mogło przemawiać. Zadaniem było mnichów ściągniętych z Klunijaku, z Monte Cassino, z innych już kwitujących i rozwiniętych monasterów Zachodu, stać się kolonistami chrześcijańskimi, na dziewiczej jak nasza ziemia. Tu wszystko było do zrobienia. Benedyktyni uieśli z sobą szkoły, rękopisma, rzemiosła, sztuki.

Reguła św. Benedykta zrodzona z potrzeby oświecania i nawracania, oprócz ascetycznych swych prawideł, endownie praktycznie obmyślana była. Mieścił się w niej zarówno obowiązek pracy, jak obowiązek modlitwy, posłuszeństwo i swoboda, pobożność i zadośćuczynienie obowiązkom życia powszedniego. Pracowali wszyscy wedle sił, nienastanie i każdy klasztor był małym światkiem, który sam musiał starczyć sobie. Szkółkę dla nowicyuszów wewnątrz, szkółkę dla ludu po za obrećem cichej klauzury miał każdy.

Kapłaństwo i święcenie nie było weale warunkiem klasztornego życia, znaczniejsza część członków miała tylko jedno święcenie i nie żądała iść wyżej, przykładem św. Benedykta, który też kapłanem nie był, choć był patriarchą zgro-

madzenia. Własnymi po większej części rękami benedyktyni zagospodarowywali się na nowych siedzibach. Zakon miał budowniczych, rzeźbiarzy, cieślów, mularzy, złotników, rzemieślników i artystów, a gdy tego wymagała potrzeba, illuminator od rękopismu, który złocił i malował, szedł do lasu drzewa rąbać, rzeźbiarz rzucał dłuto i posługiwał we młynie. Żaden rodzaj pracy nie był im wstrętny.

Gdy Bolesław zakładał opactwo w Tyńcu, stał tam już nad brzegiem rzeki, z drugiej strony lasem okolony zamczek, spalony, zniszczony i zaledwie lichy na przyjęcie tych gości polepiony, kościoła nie było. Lecz na ziemi nadanej mieli przybywający wszystko, co do budowy mogło być potrzebnem, mieli i ludzi a służbę dodaną im dla wyręczenia się w pierwszej chwili. Szybko więc naprzód wzniósł się kościółek klasztorny na starém grodzisku, a tuż przy niemu i zabudowania wszelkie. Nie wyglądało to naówczas tak wspaniale jak później, gdy opactwo „centum villarum“ (stu wsi) rozrosnąć się miało, klęsk doznawszy wprzód.

Nie było tu wspaniałych murów, nierychło potem, wzniesionych, ani wieżycy zdała widnej przy kościele, ani gnuachów rozległych. Tyny poczęści stare, w części nowsze obejmowały znaczną przestrzeń na klasztor, ogrody i różne budowle zajęta. Większość ich była jeszcze z drze-

wa, a nawet chrustu. Lecz pod temi dachami z dranie i słomy synowie św. Benedykta, św. Odona i Abbona przepisywali już kanony, pisma Boëcjusza i Rabana Maura, wczytywali się w uzone rozprawy Gerberta... Chwymano już tu ubogą działalność na naukę i przysposabiano przyszłych kapłanów.

Z Francji i Zachodu przywiezione latorośle zieleniały w pierwszych ogrodach i winnicach; sposobili się kamieniarze, aby dawnych cieśli słowiańskich zastąpić.

Nie będziemy opisywali podróży Jaksów do Tyńca, która trwała dość długo, już d'at-go, że mniejse wiele wymijać musieli i od oczów się chronić.

Szczęściem udało się im uniknąć spotkania z ludźmi, coby poznać ich mogli. W lasach często słyszeli łowców, psy i uganiań się za zwierzem, ale bacznie się od nich chronili. Wieśniaków, których wyminąć nie było podobna, obawiać się nie mieli powodu. Podróż była męcząca, mroz i zawieje czyniły ją przykrą. Rozpalali wprawdzie ognie i klecili szałas dla ogrzania się i spoczynku, lecz sukni z siebie nigdy zwlec nie mogli. Jeden z nich zawsze cznwać musiał, aby zaskoczonymi nie byli. Nie obeszło się też bez oblędu, który czasu dosyć kosztował, nim się znowu znaleźli, gdzie było potrzeba. Gościńców naówczas mało miał kraj jeszcze; latem stały za nie rzeki

i one najlepiej drogę wskazywały, Zimową porą, instynktem, rozpytywaniem ba i gwiazdami nawet kierować się niekiedy musieli.

Żaden jednak wypadek groźniejszy przez cały przeciąg podróży się nie trafil. Jurga i Andruszka, oba myśliwi namiętni, kilka razy na widok zwierzrza nie wytrzymawszy puścili się za nim, służył on im za strawę, ho jej kupować po osadach nie chcieli. Chleba trochę mieli w sakwach, a konie musieli karmić u cudzych stogów, gdy się u osadników nie dało owsa dostać. Rumaki zarówno jak jeźdźcy wytrzymałe, niewiele ucierpiały w podróży, lecz i one i ich panowie tęsknili już ostatniego dnia za ogniskiem, ciepłym pokarmem i wypoczynkiem i upatrywali, rychło się ten przyobiecany Tyniec okaże...

Opat Aron dał im własną ręką zapisany zrzutek pargaminowy, pod pieczętką swą, do zastępującego go ojca przeora. Wiele na nim jednak pisać nie mógł i nie chciał, zlecił więc Andruszce, by resztę ustnie opowiedział.

Chociaż mieli nadzieję dnia tego dobieć się do klasztoru, noc ich raz jeszcze w lesie zaskoczyła... gdyż Kraków chcąc pominąć, gdzie się widzielnymi być obawiali, nadto się daleko w gąszcze puścili. A że przybycie po nocy do nieznanego miejsca zdało się im nieprzystojnem, musieli szłaś stawić i do dnia w nim czekać.

Mroz nocą wziął ostry, lecz niebo się wyja-

śniło na podziw pięknie, i gdy zrana się do koni zerwali, nowy w nich duch wstąpił. Zaledwie wyruszyli z noclegu, z wielkiem podziwieniem swoim, o staj kilkanaście z lasu się wydostawszy, na urwistém wzgórzu nad rzeką zamarzłą teraz, ujrzeni w ogrodzeniu budowlę, a nad niemi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował. Zdała słyhać było odgłos klasztornego dzwonka. Słupy dymu podnosiły się nad dachami. Z niewymowną pociechą w duszy, czując się ocalonymi, popędzili konie, by się co rychlój dostać pod dach gościnny.

Nie było trudności z przebyciem łodzi, a dobra droga, wyjeżdżona, którą widać drzewo z lasu wożono, poprowadziła ich do bramy.

Była ona dosyć warowną wprawdzie, nie bez myśli o jakimś nieprzyjacielu, opatrzoną często-kolami i ostrem zaborolem, lecz nie wyglądała pokaźnie. Na mur czasu jeszcze nie stało. Przez te wrota na zewnętrzne dojechali podwórze, z którego furta druga prowadziła do właściwego klasztoru. Pozsiadali tu z koni i prowadząc je w rękach, podstąpili ku zapartym wrotkom. Te się jednak natychmiast otworzyły i stróż w odzieży ciemnej ciekawemi mierzył ich oczyma. Był to braciszek, który już trochę języka rozumiał, i gdy mu Andruszka opowiedział, że są od opata posłani, a z przeorem mówić potrzebują, wnet od

niek konie pobrano, a ich samych do foresterium wpuszczono.

Gospoda ta dla oheych pustą była, ale gotową na ich przyjęcie. Ogień się palił na kominie i z wielkiej tej izby widać było drzwi kilkoro, do osobnych cel prowadzących.

Ogromny stół, na którym parę knflów cynowych zaponmiano, na ścianie wizerunek Chrystusa, ławy i parę stołów, podłoga matami wysłana... oto wszystko, co w gospodzie znaleźli. Zaledwie do niej weszli, gdy czarno ubrany, z wesołą twarzą, oczyma ciemnymi pełnymi ognia, rumiany, z wyrazem jakiegoś spokoju i szczęścia, którego Jaksowie dawno już nie spotykali na ludzkich obliczach, nakazał się na progu młody nowicysz.

Widocznie obowiązkiem jego być musiało gości tu witać i przyjmować. Franenz rodem, nauczył się był jako tako języka i sam dobrodusnie śmiał się z własnej mowy. Przywitawszy Jaksów, spytał czyby głodni nie byli i zarazem oznajmił, że o. przeor jest w chórze, a za chwilę, gdy się skończą modlitwy, przyjdzie do nich. Zajął się zaraz bardzo pilnie przybyłymi i z wielką troskliwością o drogę, o której niebardzo mówić mogli, rozpytywać począł.

Obowiązki gościnności zarazem i ciekawość poznania tego kraju, którego jeden tylko widział zakątek, pobudzały młodego kleryka do rozmowy,

trudnej dla niego, bo choć już wiele języka miejscowego się poduczył, brakło mu samemu wyrazów, a mowę Jaksów nie zawsze mógł zrozumieć. Lecz ze skromnością i pokorą dziwną, z łagodnością dziecięcą patrzył w oczy młodym gościom i usiłował odgadywać co mówili. Oba Jaksowie jak na dziwne zjawisko patrzyli na tę postać zupełnie dla nich nową, w której młodość łączyła się z takim pomiarkowaniem i rozumem. W rycerskim stanie szumiał ten wiek właśnie najgorętszą butą. Dziwiła ich także wesołość i wyraz spokoju w kleryku, którego stan wyobrażali sobie pełnym ostrych prób i nieustannych umartwień.

Kleryk Odou zabawiał ich jak mógł i umiał, dopóki wreszcie nie zbliżył się czas wychodzenia z chóru. Z uśmiechem wymknął się żywo, oznajmując im, że idzie o przybycie ich opowiedzieć przeorowi.

Niedługo też razem z klerykiem ukazał się ks. przeor w czarnej sukni i płaszczu, jakiego benedyktyni w chórze używali. Był to nienłody już ale czerstwy mężczyzna, pięknej postaci, w którego rysach to samo uspokojenie błogie malowało się, jakie ich na twarzy młodego chłopaka zdziwiło. Było ono jakby charakterem tej rodziny zakonnej, o czym się później przekonali. Ostre życie okrywał ten wyraz wewnętrznego ducha spokojności i wesela.

Andruszka pozdrowiłszy pocałowaniem ręki

o. Benedykta, oddał mu pargaminowy zwitek opata. Poszedł z nim do okna przeor i chwilę poczytawszy, klerykowi dał znak, ażeby się oddalił. Z pisma wiedział, że się na osobności z przybyłymi rozmówić było potrzeba. O. Benedykt, acz od lat już kilku żył w Tyńcu i z językiem się obył, równie trudno jak kleryk mógł nim mówić. Nie poszło więc łatwo porozumienie, chociaż bystry umysł wielu się okoliczności domyślić potrafił.

Zrozumiał przeor, że miał tu ukryć przysłanych, nie narażając ich na spotkanie z rycerstwem i osobami do dworu króla nakłającemi; w kartce stało, iż dobrze było, jeżeli nie on to zdolniejszego z nich próbować jakiegoś nauczyć języka, z którymby w podróż do Włoch wybrać się było można. Jaksowie prosili, w obawie nie tak o siebie jak o tych, co ich ocalili, by się jak najmniej pokazywać mogli i pozostać w ukryciu.

— Żadne wam tu niebezpieczeństwo nie zagraża — odczytał się przeor. — Zimą zwłaszcza do klasztoru mało kto uczęszcza z osób rycerskiego stanu... Dla niepoznaki moglibyście włożyć suknie nowicuszów, ale i to nie jest potrzebnem. Gdyby ktoś do klasztoru przybył, zawsze się ukryć możecie i w celi waszej, którą wam wyznaczę, pozostać...

Natychmiast więc dał o. Benedykt młodemu klerykowi, powołanemu z sieni, rozkaz, ażeby się

zajął umieszczeniem dwu braci. A że z życiem zakonném obeznać się i zastosować doń musieli, kazał im pokazać klasztor i objaśnić, jak dzień tu był rozłożony.

Z wielką uprzejmością młody kleryk jął się zaraz spełnić rozkazy, zabierając z sobą Jaksów, naprzód do wyznaczonego im mieszkania.

Nie postawiono ich jednak w celach zakonników, szczupłych i tylko na godziny pracy i modlitwy cichiej przeznaczonych, lecz w jednej z izb gościnnych, w której osobne posłanie mieć mogli.

Zakonnicy krótkie i przerywane sum godziny spędzali we wspólnej sypialni. Reguła ich zmuszała wstawać do chóru i nocą. Dla Jaksów znalazła się komnata czysta, z oknami ku Wiśle zwróconemi, w której komina nie brakło i na posłanie miejsca. Mieli też stół i ławy, a naówczas niczego już więcej nie potrzebowano. Zniesiono tu ich jak podróżne i po długiej jeździe, w ciągu której ni raz się przebrać nie mogli, pierwszy raz przeodzielili się i z ciężkich kaftanów wyzwolili. Kleryk im we wszystkiém wesoło, po bratersku posługiwał, usiłując rozchmurzyć czoła i natelmać dobrą myślą.

Kilka razy wchodził i wychodził, nim w pogotowiu byli, posiłwszy się tem, co im tu przyniósł do zjedzenia, a co się im dziwnie smaczném wydało, tak byli wygłodnieli; naostatek zabrał ich

z sobą, ażeby wedle rozkazu przeora całą tę osadę klaszterną obejrzyć mogli.

Wszyscy którzy tu spotykali, nawet do najcięższych posług nżyci, mieli na sobie suknie zakonne, wszyscy też mieli te twarze jasne i uśmiechami ożywione, które tak Jaksów dziwiły. Mijając nie mówili nic, gdyż milczenie panowało w ogóle w klasztorze całym, zdumiewające dla przybyszów, ale wejrzenia i oblicza zdawały się witać przyjaźnie.

Kleryk Odon, jak mógł i umiał tłumaczył Jaksom to, co im okazywał. Naprzód wprowadził ich do kościółka, który choć maly był naówczas, choć skromny, dosyć jednak ozdobnie wyglądał, dzięki szczodrośliwości króla i kunsztowi samych ojców. Tu pomodliwszy się przed wielkim ołtarzem, za którym był chór zakonny, i rzuciwszy okiem na dwa boczne, misternie złoceniemi przyozdobione, wyszli naprzód do wielkiej wspólnej izby jadalnej. A trafili właśnie w chwili, gdy całe zgromadzenie w milezieniu za długim stołem siedziało. Na małym wywyższeniu młody kleryk w wieku Odona, w języku Jaksów niezrozumiałym, czytał coś z księgi.

Zakonnicy razem wszyscy zebrani byli, oprócz przeora, który miał miejsce osobne i siedzenie wywyższone, a na usługach jego stało dwu kleryków. Młodzież wdrażała się w ten sposób do karności i pokory. Na ścianie wizerunek Chry-

stusa i kilka innych mniejszych obrazów na złożonych deskach, zdobiły ciemną i niską jadalnię, widocznie tymczasowo skleconą.

Ztąd szli do podobnej jej izby sypialnej, jeszcze uboższej, bo to co się tu posłaniem zwało, ledwie na imię to zasłużyć mogło. Rzucona na deskę garść słomy, suknem grubym pokryta, stanowiła łoże mnisze... Wielki konin w pośrodku ściany starczył na ogrzanie izby zimą.

Przechodząc potém długie chodniki i podsienia, z których drzwi do celi zakonników widać było, kleryk im kilka tych mieszkań pokazał.

Niemal w każdym z nich znaleźli zdumieni jakiś przybór i narzędzia rzemieślnicze, których użytku nie mogli odgadnąć. Obok mnogich godeł religijnych widać było warstaty, dłuta, siekiery, krawieckie uożyce i t. p. Nie było i jednego z ojców, coby nie miał zajęcia.

Brat Odon tłumaczył im z uniesieniem, jakie oni tu spokojne, szczęśliwe, uczem niezamęczone życie prowadzą, czas dzieląc między modlitwą a różnemi robotami.

— Latem — dodał — to wozimy, budujemy, sadzim, siejem, żniemy i gospodarnjemy aż miło...

Pokazawszy im w głównym gmachu co było najciekawszego do widzenia, z oczyma promienniejącemi nareszcie zapytał, czyliby i najpiękniejszej a najdroższej pracowni oglądać uie chcieli? Nie zrozumieli oni tego zrazu, bo w jednej z cel już

widzianych pokazywał im Odon złotniczy warsztat, srebro i złoto, które jeden z braci misternie rzeźbił i kuł z nich najpiękniejsze naczynia, kamieniami nasadzane.

Zdało się im, że po złocie i klejnotach nie już równie szacownego widzieć nie było można. Odon mówił im o czémś, czego ani się domyślać ni zrozumieć nie umieli. Tém mocniej obudziło to ich ciekawość i zdumieni się mocno, gdy wpuszczeni do obszernej i światłej izby, nie dostrzegli w niej więcej nie nad kilka polie drewnianych zapełnionych czémś, co później okazało się — księgami, jakie oni tylko po kościołach widywali. Ogromny stół w pośrodku kilką pulpitaui opatrzoney, zarzucony był kartami białemi ze skóry wygładzonej i jasnej, na niektórych z nich widać było poczęte malowania i złoceń. Ohok stały małe skorupki różnej barwy, pęzle i przyrządy do pisania. Kilka ksiąg dużych, które przepisywano, leżało także na stole. Młody Odon z uwielbieniem spoglądał na tę pracę, której piękności rycerze wcale ocenić nie mogli. Złocene rysunki, niektóre figury świętych wprawiały ich w podziwienie, lecz zakrytém było znaczenie tych skarbów dla nieświadomych pisma wojaków.

Na ścianie biblioteki, gdyż tak się nazywała izba kopiistów, wisiał obraz ojea zakonu św. Benedykta, na złocioném tle, z księgą w ręku, wystawiającą regulę zakonną i oznaczoną wyrazami,

od których się ona poczyną (Ausculta o fili). Odon wskazał im ten obraz i starał się go wytłumaczyć, a uśmiech jego twarzy i wesołość był najlepszym komentarzem do słów, które nad nim stały u góry:

Ipsę fundator placidae quietis.

(Sam to założyciel milego spokoju.)

Wszystko to mieściło się w głównym gmachu klasztornym, lecz otaczały go liczne zabudowania, które kleryk im z pewną chlubą chciał koniecznie pokazać wszystkie.

Tuż obok była szkoła klasztorna, gdzie klerykom wykładano nauki wyższe, między którymi już i matematyczne pisma Gerberta, jego Abacus i zabawna Rithomachia miejsce znalazły. Uczono pilnie umiemy, której wówczas wyższą daleko wagę nadawano niż dzisiaj, wprawiano się w komput kościelny, bo ten niezbędnie każdemu duchownemu był potrzebnym. Izba szkolna pustą stała o tej godzinie, ławy tylko i siedzenie nauczyciela, otoczone niemi, nadawały jej odrębny charakter.

Szkółka dla ubogich dzieci i sierót przychodzących, o które naówczas nie było łatwo, znajdowała się po za tym klasztornym. Zaczekowie bowiem przynosili z sobą wewnątrz kłauzury zbyt wiele wrzawy, która nabożeństwu częstokroć zawadzała.

Opodal od głównej budowy widać było młyny, żarna, piekarnie, kuchnie, drewniane, wszystko

w porządku największym i wszędzie czarne suknie mnisze, wesole ich twarze, wszędzie uroczystą ciszę i ład dziwny.

Gdy tak, obszedłszy wszystko, nareszcie znaleźli się znown Jaksowie w swęj izbie sami z sobą, a brat Odon pożegnał ich wesolo, obiecując i nadal służyć za tłumacza i pomoenika, długo nie przemówili słowa do siebie.

Nie było na pozór nie tak bardzo dziwnego w tém, co im tu okazywano. Nieskończenie wspa-
niałszy był dwór królewski, bogactw widzieli w życiu i na wojnie stokroć więcej, a przecież to co tu oglądali, było dla nich nowém i zdumiewającém, jak gdyby świat jakiś nieznanym odkryli.

Cała ta „rodzina“ wedle wyrazów Odon, złożona z ludzi obcych narodowości, różnych krajów i języków, tak doskonale jednem prawem miłości spojona, szczęśliwa, uśmiechnięta, spokojna, pracująca tak ochotczo około robót, które się Jaksom wydawały ledwie dla niewolników przeznaczone... cisza i ład pod tym dachem, tryb cały zakonnego żywota, wprawiał ich w niezmierny podziw i osłupienie.

Odon im też wytłumaczył, że się oni zwali „rycerzami Chrystusowymi“ (Milites Christi), nowe więc całe rycerstwo, którego nie znali dotąd, mieli przed sobą. Żaden z nich, choć często spo-

tykali duchownych, nie widział dotąd klasztoru i nie znał życia jego.

Dla nich ono zdawało się karą okrutną i więzieniem nieznośnem, tu zaś spotykali ludzi, co wedle wyrazów kleryka, nie tylko szli dobrowolnie, lecz gwałtem się wpraszały do rodziny i widomie w niej i z nią szczęśliwymi byli. Dla wojaków Bolesławowskich, młodych a butnych, nawykłych do niepomiernej, dzikiej swobody, było to niepojętą zagadką. Żaden z nich drugiego nie śmiał zapytać o nią, badali się oczami.

— Ha! — odezwał się Jurga wreszeie, spozierając ku bratu — jeden Bóg wiedzieć to raczy, jak nam tu długo żyć przyjdzie... Ludzie jacyś dobrzy i przyjacielsey... a no... życie?

— Tęty! lepsze niż w ciemnościach na poznańskim tumie — odparł starszy. — Tobieby się bo chciało... Sieciechównę zabrawszy w lasy gdzie ująć z nią, i siedzieć po staremu między kuflem a polowaniem i wesołemi druhami, albo na wyprawę ruszyć... Ale — nie rychło do tego przyjdzie...

— Cóż my tu z niemi robić będziemy? — spytał Jurga. — Jeść, pić i spać?.. albo z tym młodzieniaszkiem gawędzić?.. Modlić się... i spać znowu... Za płot w las niewolno... do konia ani przystępu!..

— Przecie się nam opat jakiegoś języka uczyć kazał — przerwał Andruszka — a ja nie jestem

przeciw temu... to się i na wojnie przydać nie-
raz może...

Zadumali się oba.

— Jak ci się zda? długo to potrwać może?—
spytał Jurga.

— Zda mi się, że nie krótko — rzekł An-
druszką — gdyby to nie zbyt długo miało się
ciągnąć, w Poznaniu nas przetrzymali...

— Ale jużci w las chyba czasem na łowy
nam będzie wolno... — dodał młodszy, któremu
swoboda smakowała, i westchnął.

— Ja o to przeora nawet nie będę śmiał py-
tać... — rzekł Andruszką. — O półtoręj godziny
od Krakowa, gdzie namiestnik królewski siedzi...
a koło niego i ludzie się odedworu kręcą... nużby
nas kto poznał?..

Smutna taka rozmowa pociągnęła się do wie-
czora. Z izby swój słuchali bracia, jak dzwoniono
na modlitwy, słyszeli jak szli na nie i wracali
zakonnicy. Wieczorem przyniesiono im znów po-
silek skromny, ale dostatni, taki jakiego używali
mnisi sami, którzy mięsa czworonożnych zwie-
rząt nigdy nie jedli, dwoma daniami się ograni-
czali, lecz mieli oprócz tego chleb, miarkę wina
i owoce latem. Tu piwo i miód zastępowały ko-
sztowny napój zachodni. Pochlebiali sobie wpraw-
dzie benedyktyni, że klimat ostry zwycięży i win-
nice zaprowadzić będą mogli, lecz szło to oporem
i powoli.

Po wieczerzy Odon im życzył wypocząć za długą i nużącą podróż, i pożartowawszy z nimi wesoło, zostawił samych.

Nazajutrz tenże miły przewodnik oznajmił im mszę świętą i zaprowadził do kościółka na rauną, zrozumiawszy to, że się z obcemi spotykać nie mieli. Po nabożeństwie wezwał ich do przeora.

Miał czas o. Benedykt i w piśmie opata się rozczytać, i rozmyśleć lepiej, jak z bracią postępować.

Mieszkanie jego, do którego weszli, obszerniejsze, bo w niem dostojnych częstokroć gości musiał przyjmować, ozdobniejsze od cel innych było, tylko większą ilością godel religijnych i świętości... Stół zajmowały pargaminy i księgi, które się rozsyłały kościółom, sprzedawały biskupom i nowo fundującym klasztorom. Tak samo obrazki i naczynia wyrabiane przez braci kunsztami zatrudnionych, szły na podarki i zamiany.

Opat przyjął ich z uprzejmością, ale powagą ojcowską.

— Dzieci moje — rzekł — widzieliście już wezora, że my tu wszyscy nie tylko usły, ale i rękami Boga chwalimy, robiąc każdy co kto umie i może... Wyście stann i rzemiosła wojennego ludzie... Co wy tu poczynąć będziecie?.. W bezczynności żyć, sroga to kara, którejbym wam chciał oszczędzić...

— Ojciec przewielebny — rzekł uśmiechając

się Andruszka — my oprócz oszczepem i mieczem robić, a końmi toczyć, nie umiemy bo nie, a uczyć się i zastarzyć jesteśmy... i...

— No... i ochoty pewno, jako rycerze, nie macie... — podchwycił przeor. — Na modlitwie, choćby ona zdrową dla duszy była, nie wytrwacie po dniach całych...

Patrzył na nich ciekawie, bracia stali z oczyma spuszczoneimi.

— Języka się nam jakiegoś uczyć przykazał ks. opat, ojciec i dobroczyńca nasz — rzekł Jurga — bratu mojemu starszemu możeby to było ciężko, jam gotów, bylebym kogo miał...

— Rzymskiej mowy potrzebaby wam, gdy pono do Rzymu iść za pokutę macie... — odezwał się przeor. — Chcecie więc?

— Słuchać musimy rozkazu opata — dodał Jurga.

Nie szło o czytanie i pisanie, których laików naówczas prawie nie uczono, a rycerze nawet uważali je może za uwłaczające dla siebie, lecz o mowę samą. Do téj najlepszym nauczycielem wydał się kleryk Odon, którego już bracia na wstępie poznali i pokochali. Stało więc na tém, ażeby on w pewnych godzinach rozmową ich nauczać próbował praktycznie, co część dnia zająć mogło.

Andruszce chciało się bardzo wyjednać pozwolenie na łowy w lasach do opactwa należą-

cych, lecz tego dnia wspomnieć jeszcze nie śmiał przeorowi o gorącym żądaniu.

W istocie żał mu było brata, a Jurga potajemnie to samo żądanie i myśl miał, przy danej sposobności, rozrywkę tę wyjednać dla Andruszki. Odrazu w tak dobrych byli stosunkach z młodym klerykiem, iż oba się spodziewali z jego pomocą wyjednać zezwolenie.

Tymczasem zabawką było rozglądanie się w owém życiu klasztorném i chodzenie około koni, które tak cudownie ciężką podróż wytrzymały. Z mnogich stad, jakie niegdyś mieli, dziś zostały im tylko te dwa niepoczesne, grube koniska, wzięte gdzieś z pod prostych pancerników i do których po odbytej podróży przywiązali się dziwnie. Cóż wart był wojak bez konia? Najgorszy nawet drogin się stawał, gdy był jedynym.

Pozbawieni koni, czuliby się stokroć więcej niewolnikami. Lękali się tylko, aby w końcu ciężar, jaki niemi klasztorowi przyczynili, nie zmusił do pozbycia się ich. Andruszka nie śmiał o tém mówić Jurdze, ten też bał się zasmucić domysłem brata.

Kilka dni już upłynęło im w Tyńcu wśród ciszy i spokoju, gdy raz około południa gwar usłyszeli w podwórcach i Jurga wybiegłszy do przedsienia, najrzal przybywający orszak rycerski, całepokażny, przeciw któremu sam przeor wyszedł na powitanie. Nie mając czasu rozpatrywać się

w nim, Jurga natychmiast się cofnął przestraszony, oznajmując bratu, aby krokiem za próg nie ruszał.

W chwilę potem Odon wbiegł z oznajmieniem, iż namiestnik krakowski przyhył z rozkazania królewskiego dowiedzieć się, czyby zakonnicy eo do żądania nie mieli.

Oba Jaksowie na dworze króla nie jeden raz starego Belinę, który teraz na zamku wawelskim siedział, widywali. Ulękli się więc mocno, dopytując, jaki poczet i ludzi miał z sobą, i czyby w klasztorze długo myślał zahaczyć?

Odon o wszystkiém przyrzekł się dowiedzieć i oznajmić. Ponieważ poczet Beliny był dosyć znaczny, przyjmowano ich wszystkich razem w refektarzu, gdzie się i kleryk mógł łatwo weisnąć i eo było potrzeba dowiedzieć.

Nieruchło jednak powrócił i nie było go, aż znowu w podwórzu zatętniały konie, a cała owa drużyna namiestnicza nazad do Krakowa wybiec się poczęła. Czekali nań bracia z niecierpliwością wielką.

— Nie mogłem odejść, miłościwi panowie — rzekł wróciwszy — musiałem tam być trochę tłumaczem, bo Belina ciekawą historię opowiadał, a o. przeor zdawał się nią bardzo mocno zajęty. Pewnie ona i wam jest wiadomą... historia to dwóch nieszczęśliwych braci, dziwnie jakoś nazywających się, podobnie do greckiego bohatera Ajaksa. Ci bracia kupca na drodze złupili i za-

bili okrutnie, za co ich król na śmierć skazał... Mówią, że teraz sam wielec ich żałuje, bo byli rycerze mężni, a że rodzinę mieli możną i liczną, która się od dworu usunęła, stratę król w tén poniósł znaczną...

Gdy to mówił, Jurga i Andruszka strwożeni oczy spuściwszy siedzieli, drżąc, aby Odon się w nich nie domyślił winowajców i serea do nich nie stracił. Chociaż liczba braci i czas mogły łatwo na domysł ten prowadzić Odon, nie zdało mu się wszakże, aby ci dobrzy rycerze, do których się przywiązał, takimi mogli być zbrodniarzami.

Z szczebiotliwością młodzieńczą Odon opowiedział im usłyszaną z ust namiestnika historię, która już doszła była przez kogoś do Krakowa, o starym Tomku, co misą krwi króla miał w domu uraczyć, sam się z niego wyniosłszy i nie chcąc z nim być pod jednym dachem.

Jaksowie nie mogli się powstrzymać od gorącego wykrzykn i wzruszenia, które ich zdradzić mogło... lecz Odon znajdował to wrażenie naturalnem i wyszedł zaraz upewniwszy ich, że się już nie mają obawiać spotkania z nikim.

Po wyjściu kleryka Jurga i Andruszka poczęli się ścisnąć, pocieszeni nieco tém, iż rodzina, co ich odpychała wprzód, jednakże w ostatku do więzów krwi się poczuła i sprawę ich trzymała, choć już umarłymi sądząc.

Lecz, wdzięczni będąc Jaksom swym i powinowatym, oba doznawali nieznośności, któregooby w nich trudno się było domyślać. Żalowali króla.

Bolesław miał tę miłość u swoich wojaków, z którymi odbywał wyprawy, a nieraz u jednego legiwał ogniska, miłość niemal balwochwalczą, której nawet zbyt surowość zachwiać nie mogła. Andruszka mówił w więzieniu, iż w miejscu króla takżeby Jakse jednego na śmierć skazał. I on i Jurga nie mieli do swojego pana żalu, kochali go jak przedtem, a teraz dowiadując się, iż śmierć ich przyczyniła mu trosk i strat, gniewali się na siebie. Niewielu wodzów umie sobie tak jednać serca, a Bolesław należał właśnie do tych, co obchodząc się często surowo, zawsze sprawiedliwie, obudzali zapal w wojakach i kochać się kazali. Pamiętna była ta z Rusią potyczka u Buga, gdy ezekiel polska flaki płocząc w wodzie, na słowa się poważniła z przeciwnym obozem, gdy Bolesława lając poczał jeden od słów ostatnich i on sam rzucił się w wodę gniewny, nie pamiętny na niebezpieczeństwo. Naówczas co żyło dopadło koni, chwyciło co miało pod ręką i niespodziana walka, co się od rzucania flaków i obelg rozpoczęła, świetnem skończyła się zwycięstwem.

Jakowie litowali się w tej chwili więcej może nad królem, do którego jak do ojca byli przywiązani, niż nad własnym losem. Ledwieby byli

za złe nie mieli powinowatym, iż go odstępowali, a gdyby w tój chwili zasłyszeli o niebezpieczeństwie grożącym Bolesławowi, ważyliby się pewno, bodaj na śmierć, by go ratować.

Z temi uczuciami sprzecznemi, i wdzięczności dla rodziny i miłości dla króla, spędzili wieczór cały na rozmowie tak ożywionej, iż się nie spostrzegli, jak zadzwoniono na pierwszy śpiew w chórze. Była noc; zakonniey spieszyli chwalić Boga na zaraniu... a im sen skleił powieki.

Następnego dnia odwiedził ich przeor, z którego twarzy domyślili się tylko, iż miał dla nich życzliwe usposobienie. Być mogło, iż wczorajsze opowiadania o znaczeniu rodziny podniosły ich w oczach jego.

Jurga śmielszy, skorzystał z tego dobrotliwego usposobienia o. Benedykta i wybiegł za odchodzącym w korytarz. Tu powtórnie ucałowawszy rękę jego, odczuwał się pocichu.

— A! mój ojczc! mam do was prośbę wielką. Bóg widzi, nie dla mnie... o brata mi więcej idzie... Myśmy tak do zamknięcia między czterma ścianami nie nawykli. Andrszka mi schwie, patrząc na lasy... Gdybyście pozwolili nam na łowy wybiedz...

Prośba ta była tak naturalna naówczas ze strony wojaków, iż się jój przeor nie mógł dziwić. Widywał on sam we Francyi nie jednego

opata nawet zagorzałym myśliwym. Uśmiechnął się więc łagodnie.

— Któżby wam tego bronił! — rzekł — lecz sami zważcie, na co się wystawiacie. W Krakowie gości dużo rycerzy, co was znać i poznać mogą. Ci niemal codziennie wyjeżdżają w lasy, i zapuszczają się nieraz daleko... Jesteście pewni, że unikiecie spotkania?.. a jeżeli się zetkniecie z takimi ludźmi, co was poznają... już nie siebie, ale imych narazić możecie...

— A! ojcie przeorze! — zawołał Jurga — myć to na własnem sumieniu mamy, a i o naszą też skórę idzie... Lasy szerokie... miejsca dosyć... ucho mamy bystre, konie rączę, ani się napasę z nienacka, ani dognać nie damy...

— Cóż mam wam rzec? — odezwał się o. Benedykt — czynicie jako chcecie, a patrzcie, byście w nieszczęście nie popadli...

Jurga jeszcze raz w rękę go pocałował i z twarzą uśmiechającą się do izby powrócił. Chwilę siedział naprzeciw brata u ognia.

— Hej, Andruszka — rzekł figlarnie — co to tu za lasy dokoła! mnisi w nich nie polują!.. co tu zwierza być musi!..

— Lepiej o tém nie wspominać, kiedy uam tego kosztować nie wolno!.. — odparł starszy smutnie.

— Hm... — zawołał Jurga — dlaczego uie ma być wolno?.. Konie stoją, oszczepy i łuki mamy,

zrana się w las możemy wymknąć, ani nas kto postrzeże...

— Nie kusiłbyś mnie — odezwał się Andruszka — nie godzi się, przeorby się gniewał. Obiecaliśmy mu być posłuszni...

W tém Jurga dłużej wytrzymać nie mogąc, poskoczył doń.

— Przeor pozwolił!..

Zerwał się tak starszy, jak gdyby téjże gozdziny chciał na koń sięść.

— Kłamiesz! — krzyknął — mów prawdę!

— Prawdęm rzekł... — uderzając się w piersi ręką, odparł młodszy. — Przyznam ci się, prosiłem go. Wprawdzie dawał mi rady i przestrogi, ale drzwi nam nie zapiera...

— Jutro w las! jutro w las!.. — klaszcząc w dłonie począł wolać spragniony Andruszka. — Jabym się go prosić był nie ważył. Tyś dobry brat... ale jeżeli... jeżeli się co stanie...

— Cóż się stać może?

— Nuż spotkamy kogo?

— Alboż nas może pochwycić z nienacka? — odparł Jurga.

Andruszka wahał się niepewny, a znać było po nim, że pokusie ulegnie; oczy mu błyskały, poszedł zaraz do kąta, gdzie broń złożoną mieli.

— W lasach zwierza dostatkiem być musi! — począł jakby upojony. — Jutro dodnia... na łowy! jutro dodnia...

I przez cały wieczór cieszyli się jak dzieci...
drżały im ręce do oszczepów... — W las! w las! —
powtarzał jeden to drugi.

I po pierwszej mszy pobiegli do stajni,
a w chwilę potem już ich w klasztorze nie
było.

V.

Ks. Petrek niespokojnie trochę czekał powrotu opata, król dziwnie jakoś lekceważąc przyjął jego doniesienie, lękał się więc, by ono skutków jakich kłopotliwych nie pociągnęło za sobą.

Kość była rzucona, musiał już teraz popierać innemi środkami rozpoczętą sprawę; nie chciał sam pozostać z nią, współników mu było potrzeba. Nazajutrz więc po widzeniu się z królem, które się milczeniem skończyło i nie zbliżyło go do niego, korzystając z wieczornego obchodu niewieściego dworu, wcześniej niż zwykle wcisnął się do markgrafównej.

Znalazł ją zarumienioną mocno, niespokojną, na cichój rozmowie ze starą niewiastą, która się wciskała wszędzie, nawet do króla, i niezrozumiałem jakimś na dworze trudniła się rzemio-

słēm. Zwano ją starą Panią. Nosiła ona na piersi ogromny krzyż cynowy, na znak widomy, że była ochrzczołą, siadywała dużo w kruchej kościelnej, gniewała się gdy ją posądzano o czary, zamawiania i praktyki bałwochwalskie, jednak leczyła różnemi sobie tylko znanemi ziołami, przy których i szepty i zażęgnywania różne odprawiała. Ludzie się jej lękali. Bojąc się, aby ją nie prześladowano o czarnoksiężtwo, Panią duchownym okazywała cześć nadzwyczajną, tak że na twarz padała przed niemi i kraj sukien ich całowała. W kościele jęczała i modliła się tak, aby ludzie słyszeli ją i widzieli. Mimo to wszystko, więcej się jej lękano, niż lubiono. Weisnąć się umiała wszędzie, a czując, że obndzała pewną obawę, korzystała z tego wyłudząc od każdego co tylko mogła. Młodsze jej życie mało znane było. Z dawien dawna wisała przy dworze.

Niegdyś pewnie piękną byś musiała, dziś stara już, z włosami siwemi, ale białemi jeszcze zębami i oczyma przenikającemi, postawę miała zręczną, chód rzeźki i zdawała wydawać się mogła młodą, choć twarz jej całą marszczki porały.

Pokorna do zhytku, umiała być zuchwałą bez miary. We dworze nie było człowieka, któregoby życia tajemnie nie znała, wszystkich wad jego i słabości. Pomiedzy tunem a dworem pańskim snuła się beustannie... Niekiedy nikła na dni kilka i wracała niepostrzeżona.

Do jednój królowej Emmildy nie miała przystępu, odprawiano ją tu datkiem, ale ani jej słuchać, ani przypuszczać do siebie nie dozwalała świątobliwa pani. Żli ludzie utrzymywali, że mimo okazywanój pobożności, Panią miała z poganami po lasach stosunki i gusła z nimi odprawiała.

Inni mówili, że stara czarownica między młodzieżą pleci obojój na dworze była chętną pośredniczką. Chociaż wydawała się ubogą, chodziła odarto, byli i tacy co się przysięgali, że miała już niemal skarby uzbierany i gdzieś zakopany na rozdrożu.

Panią chadzała do ks. Petrka, lecz ten obawiał się czarów i posyłał ją o nie, wstręt miał do niej, mimo że mu się narzekała.

Gdy wszedł do komnaty markgrafówny, widocznem było, iż się żywa rozmowa przerywała. Oda stała cała zarumieniona, Panią u progu, zawinięta w płachty, ręką jeszcze coś wskazywać się zdawała, gdy ks. Petrek w progu się pokazał. Wnet stara ogarnęła się znowu, spuściła głowę i na widok księdza pospiesznie ku niemu podbiegłszy, upadła przed nim na ziemię, ręką chwyciła brzeg sukni, ucałowała, a potem obie dłonie ku niebu wzniosła. To uczyniwszy, podobnie pożegnała Odcę i oddaliła się spiesźnie.

Na twarzy ks. Petrka to spotkanie widocznie odbiło się chmurą, długo się nie odezwał słowami.

Oda miała palające oczy i twarz ożywioną, jakby jakąś nadzieją, z którą się nie spieszyła zwierzyć pisarzowi.

— Co ona tu robi ta czarownica? — szepnął ksiądz — po wszystkich kątach jej pełno...

— A! mój ojcze! to biedna, uboga żabraczka, która się wysługuje jak może dla kawałka chleba... a pobożną jest bardzo...

— A szatan od niej zdala cuchnie! — odezwał się ks. Petrek. — Wiedzą ludzie, co ona umie... Komu ona nieprzyjaciółką, temu się nie nie wiedzie... zna się ona ze — złém...

— Ale nie! nie!.. — przebaknęła Oda.

Ksiądz zamilkł.

— Dobrzeby było jednak, abyście jej unikal — dokończył pisarz.

To mówiąc przybliżył się ku pięknej markgrafównie, która niespokojnie rękami coś na stole składała.

— Ja tu do waszej miłości — rzekł zniżając głos — przychodzę w ważnej sprawie... w sprawie tak ważnej...

Oda rzuciła co miała w rękę i spojrzała nań oczyma cheiwemi wieści.

— Nie ulega wątpliwości — mówił pisarz — że, nie wiem kto, ale najpewniej królowa z Sieciechem ocaliła Jaksów, przeciwko woli króla!.. Tak! okłamano pana, sprzeciwiono mu się... wykradziono ich... Siedzieli ukryci w tunie, parę

dni temu gdzieś ich do innej kryjówki uprowadzono...

Oda słuchając ręce ścisnęła białe, a usta się jej uśmiechały złośliwie.

— Ja tego doszedłem — mówił dalej ks. Petrek — a wam to oddaję, abyście wy z tego korzystali... Król już się pono zdrady domyśla... kogo posadza? nie wiem... Trzeba abyście wy, miłościwa pani, donieśli mu o tem, gdy można będzie, potajemnie... Lecz nie wyjawiajcie, żąd to wiecie... Niech król zapyta tylko królowę, pod przysięgą... pobożna niewiasta fałszu nie powie... Naówezas...

— Naówezas... sądzicie? — spytała Oda — że na królowę gniew jego spadnie?..

Ksiądz spojrzał na nią bystro.

— Miłościwy pan nasz — rzekł — jest w sile wieku... bez niewiasty on żyć nie może. Jeżeli inną pod tę porę nimnie gorąco, będzie mu na rękę rozstać się z córką Dobromira...

Oda się zarumieniła mocno.

Nie była ona zbyt wstydliwą niewiastą, a współcześni historycy dają to poznać mocno, iż się nawet wydawać nią nie starała. Wiek też i obyczaj do otwartości większej upoważniał; w słowach nie kryto myśli, ale ją wypowiedziano jawnie. Późniejsze wieki dopiero nauceżyły się najsródotnicjsze sprawy gładkimi omawiać wyrazi.

Oda znać miała już pełną głowę i pierś święj

przyszłości, którą na namiętności Bolesława oparła. Poczęła też mówić szybko.

— Król we mnie rozmiłowany... ja to wiem! Ale mnie mieć nie będzie, tylko gdy z nim obok się na tronie prawo mi da... Inaczéj nie... nie... nie! Wiem, że dla mnie wszystkie mu zbrzydły!

Rozśmiała się.

— Królowa zna to dobrze, radaby mnie dawno do ojca odprawić! We dworze mnie czer nią, jakobym jeszcze w domu miała kochanka... co mi tam!! młoda i piękna jestem... niech mówią co chcą... król się o to nie spyta... Zechce mnie mieć, musi przed oltarz prowadzić...

Ksiądz słuchał trochę oczy spuszczaając.

— Wszystko to wiem... i wasza miłość wie rzysz też, że ja sługa wierny cesarza, życzę, aby się tak stało jak chcecie... A kto do tego dąży, trzeba by miał drogi sobie znaleźć.

— Jakie drogi? Ja go oczyma trzymam na uwiezi, byle mi się nawinał... — poczęła Oda — królowa się krzywi, Ryksa głowę odwraca... nie dbam o to... śmieję mu się przy nich... Wczoraj gdyśmy szły, zostałam ostatnia... nmyślnie... Bolesław stał z boku... pochyliliam mu się tak, że mnie pocałował. Nie widział nikt...

— To wszystko nie pomoże — szepnął ks. Petrek — póki królowa nie zostanie odprawioną do klasztoru... Jęj tam lepiej będzie...

— A mnie na jęj miejscu! — rozśmiała się Oda.

— Więc czyńcie, pomagajcie sobie, aby to miejsce otrzymać! — począł nagłać ks. Petrek. — Powiedźcie mu o Jaksach i o zdradzie królowej. Jeżeli to nie jój sprawa?.. ale któżby się ważył na nią?.. no... to się oczyści...

Ks. Petrek dodał jeszcze kilka słów i szybko się oddalił. Nadechodziła godzina wieczery. Dnia tego na dworze ludzi było wielu.

Z dwunastu panów radnych Bolesława, połowa z nim przybyła z Gniezna, byli posłowie różni; był z Danii goniec od króla i z Rusi dwu kneziów, którym rad był Bolesław, bo ich potrzebował.

We wszystkich izbach stoły były pełno obsadzone, czeladź z pochodniami stała u ścian, gwar panował wesoły we dworcu. Pomiędzy panem a gośćmi i czeladzią, związek był jakiś żywy, tak, że ilekroć król Bolesław milczącym był i pochmurzonym, odbijało się to w otoczeniu — gdy wiadano, że rubaszne swe odzyskał usposobienie, śmiało się wszystko, Zyg chodził inaczey, pacholkiwie i komornicy żywięj się obracali. Wolne słowo, które się innego czasu nikomu z ust wyrwać nie śmiało, leciało aż do pańskich uszów...

Od powrotu z Gniezna raźniejszym był Bolesław, wszysey też za nim ochocze mieli twarze i po kątach gziła się czeladź i komornicy, a w podwórcach niebardzo też było cicho. Rozlegały się

niekiedy śmiechy bujne, z dziką siłą, niemal strachem mogącą nabawić.

Mówiono, że historyi łaziebnej Mieszka z Bezprymem dowiedziawszy się król, gdy sądzono, że dla starszego syna okaże litość, a Mieszka zgromi, przeciwnie zdał się nią nradowany. Nie uwierzył jej zrazu, powtarzać ją sobie kazał różnym i mruczał.

— Mieszko miałby taką dumę i dziełność!.. Zaprawdę, nie spodziewałem się po nim tego!..

I nie tylko że nie zganił królewicza, lecz serdeczniejszym dlań być począł.

To mu przyczyniło dobrej myśli.

Zyg, który czytał w oczach, śmiało się teraz narażał z tłustemi i rubasznemi wybrykami swojemi. Nie marszczył się na nie pan weale, witał je szerokim śmiechem.

Być może, iż oczy Ody przyczyniały się też do ożywienia starego rycerza, który, jak ojciec, dla niewiast miał słabość do zgonu. Hamowała go pobożna królowa, przecie nigdy ustatkować się zupełnie nie mógł, a gorąca krew w nim grała do ostatka. Gdy opat Aron z obowiązku go czasem do pomiarkowania tych chuci naklaniał, Bolesław milkł, korzył się, a widzieć było, iż do serca tego nie brał. Każdy wybryk natychmiast sowitym darem dla kościoła opłaciwszy, zdało mu się, iż już się oczyścił z niego.

Początek wieczery poważniejszym był, sie-

działa u stołu królowa, opat Aron, dwu obcych duchownych, panowie radni, posłowie. O rycerskich sprawach, orężu i wojnie mówiono: który naród najdzielniejszy, jakie miecze najlepsze, jakie hełmy najtwardsze i jak w polu się ścinać najrozumniej. Król i jego wojewodowie mówili przypominając własne dzieje, gdzie się im i jak broń wysłużyła najskuteczniej. Duńczyk swoich chwalił uzbrojenie, inni niemieckie, tancerze włoskie, a byli tacy, co i węgierskie sławili.

Gdy tak rozprawiano, król, który rad pil i drugim nalewać kazał, wprędę się jeszcze bardziej rozochocił. Gdy duchowieństwo dla modlitwy odeszło od stołów, a królowa też ze starszemi się cofnęła, Bolesław młodszym niewiastom śpiewać i skakać kazał, dla oczów zabawy. Kubki chodziły gęste i śmiechy rozlegały się coraz głośniejsze, a białogłowy młodsze rade weselości, słuchały wyrazistych oświadczeń, których im nie szczędzono.

Gdy się już tak w izbie rozochocili wszyscy, królowa Emmilda i Ryksa też odeszła do swoich komnat.

Oda nie chciała widzieć, gdy inne szły, wzięszyła się do tańczenia i przodowała im. A miło na nią było popatrzeć, gdy ciężki płaszcz zrzucawszy, w opiętej sukni popisywała się z kształtną swą i rozkwitłą bujno postacią.

Król też z oczów jej nie spuszczał, a ona,

choć się zdawała zajętą zabawą, ani się zbyt od niego oddalała, ani się dała drugim zasłonić. Stała ciągle na widoku.

Mieszko rozmawiał z dmiezykami, radni rozprawiali z posłami. Bolesław się zabawiał. Trwało to już długo, gdy kn markgrafównie skinął; podeszła do niego w skokach.

— Radują się wam oczy! — zawołał — cóż gdy tylko oczyma się wam radować można?

Oda ustami do góry podniesionemi coś mówiła niezrozumiałego. Po chwili rzuciła z niechęcią:

— Albo to wina moja?

— A czyjaż? — spytał król.

— Oczów, co się radują same... i na tém im dosyć — odparła Oda.

Król się zadumał patrząc na nią.

— Mnie bo was żal — poczęła jakby korzystając ze zbliżenia się markgrafówna i z tego, że nikt się nie przysłuchiwał rozmowie — mnie bo was żal...

— Jeżeli żalujecie, to pomilujcie!.. — rozśmiał się Bolesław rozochocony.

— Choćbym i miłowała... cóż z tego? — poczęła Oda. — Ja wolna... wy niewolni...

Na to nie było odpowiedzi długo... popił Bolesław z kufła i wąsy otarł. Spojrzał na nią bystro i wyzywająco, odpowiedziała mu takim samym wzrokiem.

— Mnie bo was żal... — powtórzyła znowu —
was tu nikt może tak jak ja nie unieje, tak jak
ja nie żaluje... a zdradzają wszysey!..

— Wszysey?! — zapytał Bolesław śmiejąc
się — wszysey?.. Ej!

— A tak! wszysey! — mówiła Oda.

Zmarszczył się król nieco.

— Wszysey?.. — spytał jeszcze raz.

— Wszysey... — powtórzyła markgrafówna —
jam śmiała... ja klamać nie umiem... Co mi tam!
mogę jutro do ojca powrócić. Dawnoby czas...
by i o mężu pomyśleli dla mnie... Pogniewacie
się na mnie... to odesłajcie...

Z ciekawością król słuchał.

— Za coż się ja mam gniewać?.. — zapytał.

— Za to co powiem.

Tu zniżyła się do ucha królowi.

— Królowa uawet was zdradza! Tak!.. Ska-
zaliście Jaksów na śmierć... ona sprawiła, że
żyją...

Spojrzenie surowe Bolesława nie zmieszało ją.

— Ja wiem że tak jest.

Sądziła Oda, iż twarz króla, która łatwo gniewem się okrywała purpurowym, zmieni się i nasroży, gotową była do wybuchu i pytań.

Lecz Bolesław wyciągnął rękę do próżnego kubka, uderzył nim w stół, co znaczyło, by go podczaszy napełnił; twarz mu się nie zasępiała, owszem, uśmiech po niej się przesunął.

— A!... ty niemiecka dziecisko! — rzekł — szpaczku ty, co tak szczebioczesz ładnie i żwawo, kto ci to takie baśnie przynosi?.. Wy we wszystko wierzyecie?

Oda zarumieniona stała.

— Wierzę prawdzie... cały dwór o tem już prawi! — zawolala.

— A kto wam mówił o tem?

Oda zacięła usta; sama nie wiedziała, na kogo to złoży i czem się wytłumaczy.

— Mnie... a! niewiasty!.. Tylko o tem na dworze prawią... A kto to miał uczynić? wiedzą wszyscy! Pobożna królowa... Myślicie — dodała — że ja, gdybym żoną była, uczyniłabym kiedy co przeciw pana woli? ani dla rodzonego brata!!

Bolesław nie odpowiedział słowa.

Szpiegująca go oczyma markgrafówna zrozumieć już nie mogła, co myślał, ale mówić o królowej nie chciał widocznie.

Zwróciła się więc w inną stronę.

— Królowa... ja nie wiem... a drudzy Sieciecha winią... Córkę miał za Jaksę zaswataną...

Białemi zębami rozśmiał się król i rannionami ruszył.

— Co więcej?.. praw, sroczko różowa! choćbyś nie do rzeczy paplala, zawsze cię słuchać miło. Hej! młodość wionie od ciebie, jak na wiosnę od świeżych pączków brzozy, gdy się rozwina. Gdy przy mnie stoisz, zdaje mi się, że

i mnie inne lata wracają. Praw... co chcesz... a zbliż się do ucha... Wszystko ci wolno.

Urazila się nieco Oda, choć słowa były po-
chlebne.

— Nie takam ja krótko widząca jak myślicie!
miłościwy panie! — zawolala żywo.

— Krótko widząca, łatwo wierząca! — roz-
śmiał się król. Wolno ci to, bo za to warkocz
dziewiecy masz długi!

Co mi u niewiasty po rozumie, kiedy krasy
nie ma... U niej cały rozum w krasie, i póty ro-
zumu co młodości.

Oda stała nadąsana.

— Praw, praw! mówił Bolesław! a no i to
wiedz, że komu ja rzekłem, iż umrzeć ma, ten
umarły i pogrzebiony... a ktoby mi go z ręki
cheiał wydrzeć, z nim też pójdzie tam, z kąd nie
wracają... Moja wola i o tysiąc mil sięga... Ro-
zumiesz to...

— Było to niegdyś, miłościwy panie... było—
a dziś... tyś już ciężki! tyś głuchy gdy nie chcesz
słyszeć... i ślepy, gdy ci widzieć nie miło!!

Skinęła ręką i żywo odskoczyła, jakby odejść
chciała. Król rad był ją powstrzymać, pierzeł-
nęła. Zdało się jej, że na ostatku trafiła mu
w serec i strzała utkwiała...

A król siedział tak spokojny, jakby posłuchał
piosenki, i wnet się obrócił do tych, co o wojnie
prawili, zagadując ich o zbroje i młoty...

Późno w noc ruszył się wreście Bolesław, i dwór cały z nim, choć po izbach jeszcze niektórzy zostali u dzbanów, rozgadani. Sicciech i komornicy prowadzili go do sypialni.

Zyg też szedł próbując czy mu się jeszcze raz rozśmieszyć nie uda.

— Miłościwy panie — mówił — Sicciechowi starszskowi dać by lo spocząć, a zamiast ochmistrza Margrafiankę dziś było ochmistrzynią mianować...

Król go ręką po głowie klapnął bez gniewu.

— Onaby pewnie bardzo nie była markotną — dodał Zygmunt.

Widząc śmiechek na twarzy, błazen dalej ciągnął.

— Tylko z ks. Aronem bieda... bo oni o wszystkim na dworze muszą wiedzieć, a mało co im do smaku...

— Milcz — nieponia! — groźnie ofuknął król i silnie go uderzył. — Na księży nie śmieć rwać się z językiem... bo ci go oberznąć każę.

Zygmunt skulił się wpół, syknął i wysunął rękę pocierając miejsce, w które został uderzony.

Prowadzący króla z pochodniami do sypialni, doszli do jej drzwi tylko; tu postawiono straż, a dwaj komornicy i Sicciech tylko towarzyszyli Bolesławowi do łóża, na które rozebrany, legł natychmiast.

Sieciech stary odchodzić miał, gdy go król znakiem, który zrozumiał, zatrzymał. Często bardzo dawał mu na dzień następny rozkazy, czekał więc na nie sługa, ale Bolesław nie odezwał się, aż wyszli służebni.

Ręką skinął, aby się doń Sieciech przybliżył.

— Słuchaj ty — stary — rzekł — co mi tu trutnie do uszu przynoszą, na królowę i na was, o tych nieszczęsnych Jaksach. Nie dośćem się niemi namęczył póki żyli, nie dość ich śmierć odżałował, jeszcze z grobu mnie prześladowają. Kto tu zmyśla baśni, że królowa i wy, dla córki waszej, z pod moich rąk ich wyrwaliście i żywicie! Kto to mówić śmie, i powtarzać. Ja o tём dwakroć już slyszyć, a nie radbym trzeci raz těj wieści!! Ogłoście mi po dworze, kto będzie śmiał się z tём nosić i mówić o tём... nie jak psu od-szczekiwać mną każę pod ławą, ale jak psa go nę lub ubić każę.

Sieciech słuchał zbladły i osłupiały; gdyby nie mrok w izbie oświeconej tylko ogniem komina, którego blask do łoża nie sięgał, Bolesław poznalby był na twarzy sługi przerażenie i niemal znanie się do winy. Starzec drżał — potrzebował zebrać myśli, nimby się zdobył na słowo.

Król mówić już przestał — czekał na odpowiedź, Sieciech stał oniemiały...

— Słyszeliście i wy pewnie o tём? — dodał król — lub może wam w oczy nie śmiano tego

rzec, boć was winią. Winią królowę. Bezcenne języki jadowite, śmia na świętą porywać się niewiastę. Któraż już na świecie bezpieczną będzie, gdy ta nie jest poszanowaną, co nikomu nigdy nie uczyniła zła, a tyle robiła dobrego? Słyszeliście wy o tém?

Sicciech coś mruczał tak niezrozumiałego, iż król pewnie niedosłyszał słów jego, ale mu nie szło o odpowiedź.

— Nie wytrąbiać tego... bo nie warto — dodał — ale powiedzieć starszysznie, kto uii to no-sić będzie śmiał, tego ukarzę jak psa.

To rzekłszy król się koźnechem osłonił, byltóż znak odejścia, Sicciech posnął się ku drzwiom, niepewnym krokiem, pełen jeszcze niepokoju i trwogi. W pierwszej chwili wyszedłszy z komnaty, chciał natychmiast o radę biedz do opata, i z przestrogą do królowej — lecz póhnoć koguty piał, nie pora była.

Oprócz współbiesiadników króla, we dworze spalo wszystko.

Starzec, który się nigdy do żadnych kuowań nie mieszał, widział przecie jasno co się tu działo, rozumiał więc dobrze, iż królowi doniesć mogli tylko ei źli ludzie, co pobożną Emmildę zgubić pragnęli, a dla swych widoków, w jej miejscu, młodą Odę postawić. Nie śmiałby był badać króla od kogo to miał, lecz z rozmowy cichój z mark-

grafówną, na którą patrzył z uboeza, odgadywał, że ona to Bolesławowi przynieść musiała. Ona jedna.

Któż drugi? Kto był ten skryty nieprzyjaciół, tego odgadnąć nie umiał.

Ze zwieszoną na piersi głową wysunął się Sicciech do mieszkania swego, nazajutrz zamierzając o tém uprzedzić opata naprzód, potem oznajmić królowej.

Sen go też prawie do brzasku nie wziął, i gdy się dwór ruszać począł dodnia, wstał z łóża niespokojny. Opat Aron zwykle rano odprawiał w ciemności mszę świętą, tak by później być na króla zawołanie.

Tu naprzód pospieszył stary, swoje obowiązki dworskie powierzwszy zastępcy. Opat się modlił już w zakrystyi gdy do niego wszedł Sicciech, na którego twarzy pomieszanie widać było. Sama jego przytomność tu niezwykła, już opatowi dawała do myślenia. Lękał się, aby coś królowi się nie przytrafiło.

Wyszli wnet razem nie do izby, bo się ścian lękał stary, lecz w podwórze katedry. W krótkich słowach opowiedział Sicciech powód przybycia.

Opat Aron ręce załamał — lecz gdy doszedł do końca powieści, uspokoił się znacznie...

— Król dzięki Bogu — rzekł — żadnej do tego nie przykładu wiary... lecz — kto i jak od-

krył tak pilno strzeżoną tajemnicę? kto ją zdradził złośliwie?

O tём próżno myśleli oba, odgadnąć było trudno... Opat wrócił wnet do księży przy tunc, a ochmistrza nazad odprawil, aby weześnie a oględnie królowę ostrzegł. Tu nie potrzebował śledzić długo, by dojść, że biedny stary stróż dał się na słowo jakieś wyciągnąć ks. Petrкови.

W ten sposób wszystko się tłomaczyło. Ks. protonotaryusz poehlebiał sobie od dawna, iż miał się wkraść w łaski i posiadał zupełne zaufanie opata.

Nie znał jednak — opata Arona, którego kronisei niemiecicy zowią : „z sukni duchownym, z natury lisem;“ był on nierównie przebieglejszym, niżeli się wydawał. W obejściu się pełu prostoty, na pozór otwarty... ostrożnym był i baczny.

Wiedział dobrze, iż cesarscy przyjaciele, niemieckie duchowienstwo, które sobie do zwierzchnictwa nad kościołem polskim prawa rościło, mieć będą na dworze Bolesława swych ludzi i donosicieli; znał stosunki ks. Petrka z Dziwieniem, i dla tego trzymał się go, iż przezeń dowiadywał się Henryk cesarz i arcybiskup o tём tylko, co opatowi dogodnie było im dać wiedzieć. Zdrada protonotaryusza nie była dlań tajemnicą, używał jej jako narzędzia — nie dając poznać po sobie, iż świadomym jest wszystkiego.

Tak samo jak cesarz na dworze Bolesława miał swe sługi, Bolesław sownie opłacanych ludzi trzymał w Dziewinie i gdziekolwiek cesarz przebywał... Miał ich w Rzymie, a gdy ostatni raz papież Benedykt zjeżdżał do Niemiec, skorzystano z tego, by w jego otoczeniu zjednać sobie przyjaciół.

Chytry ks. Petrek wcale nie posadzał opata o grę tak mądrą...

Z tymu wprost ks. Aron poszedł do protonotaryusza. Znalazł go na modlitwie. Widzieliśmy, że było człowiek, mimo swęj zdrady, pobożny, bo nawet gorliwość religijna pobudką dlań do niej była...

— Mój ojciec — odezwał się wchodząc — gdy tamten modlitwę dokończył. Możecie mi oddać usługę wielką.

Zaniepokojono króla plotką nie do wiary o jakimś ocaleniu i wykradzeniu Jaksów, król jest w wielkim gniewie na tych co to wymyślili. Kazał Siciechowi ogłosić we dworze, że jak psa ukarze, kto będzie śmiał powtarzać tę baśń.

Nie słyszeliście wy o tém? nie wiecie kto może być jej sprawcą?

Ks. Petrek udał wybornie zadziwionego, przejętego i począł dopytywać, czy uchowaj Boże, nie zaszkodziło to „świętej pani“ lub „czcigodnemu Siciechowi?“

Uspokoił go opat odpowiedzią, że złośliwa baśń, na to była stworzoną zapewne, aby pomiędzy królem a królową zasiał nieufność i obudzić niechęć, lecz wielki rozum i serce pańskie odgadło cel, i sprawa tylko mógł uciepieć na tém.

Ks. Petrek stał widocznie pomieszany, starając się niepokój ten pokryć troskliwością o świętą panią i czeigodnego starca. Nie wiedział co począć, bo się lękał, aby król na zapytanie Arona, nie wyjawil mu, że od niego to słyszał. Przyznać się nie chciał i nie widział sposobu, którego właśnie szukał w głowie, aby z siebie winę kłamstwa i zatajenia zrzucić.

Nie pozostawalo mu nie innego, jak fałszem nowym — obalamnić opata, w którego zaufanie dla siebie miał wiarę. Po chwili milczenia i namysłu, skłonił głowę i boleściwie ręce rozkładając — odczuwał się cicho.

— Muszę się przyznać, że mnie o tém już wieści doszły, iż królowi coś podobnego doniesiono. Ogarnęła mnie trwoga wielka, a że waszćj przewielebności nie było naówczas, probowałem sam umysł króla odwrócić od podejrzeń. Mówiłem z nim o tém.

— Jakże przyjął? — zapytał chłodno opat.

— Z oburzeniem — zawołał ks. Petrek.

Milczenie krótkie przerwało rozmowę, prototypotaryuszowi brakło wyrazów, nięszał się, wi-

docznie był nie swój. Przebiegły opat zdawał się tego nie widzieć i nierozumieć.

— Jak sądzicie? — zapytał — kto mógł być sprawcą?

— Cóż ja o tém sądzić mogę! — z pokorą wielką począł pisarz — ja, który tu siedzę zamknięty, do niczego się nie mieszając, czas pędząc na modlitwie i pracy? Obey jestem temu, co się tu dzieje — przypadkiem chyba wieść mnie jaka dolecieć może... Wasza przewielebność znacie lepiej i ludzi i sprawy, które jakby siecią opasują miłościwego pana naszego!! Wszędzie złych pełno.

Podniósł oczy ku niebu i zamilkł.

Opat patrzył nań z rodzajem chłodnej ciekawości, po twarzy przebiegały jakby strumienie jakieś wstrząsające jej rysami, hamował się jednak — Petrek był mu potrzebny.

Protonotaryusz miał czas ochłonąć i uspokoić się nieco.

— Mówmy więc o czém inném — siadając w krzesło u stołu — począł opat z wolna.

Nie tajno to wam, miły bracie, że król korony od Ojca świętego pragnął, jako potwierdzenie tytułu i wieńca, który od świętego przyjaciela swojego cesarza Ottona otrzymał. Życzył sobie pan miłościwy wprost się udać do ojca świętego, aleśmy go przekonać zdołali, iż cesarza ominąć i bez jego woli nie się czynić nie da. Drogi mamy do stolicy apostolskiej zamknięte. Cesarz wszech-

władnym jest od granic naszych począwszy do Rzymu, ani posłyby nie doszły do niego, ani powrócić do nas mogły z koroną...

Petrkowi oczy poblyskiwały — głową potwierdzał w milczeniu. Nie spodziewał się takiego zwrotu i choć nie okazywał zdziwienia, w duszy wiele zdumionym. Mówił sobie słuchając.

— Zaprawdę, jeżeli pozwolenie cesarskiego czekać będziecie — poczekacie na nie długo!!

Opat z wolna ciągnął dalej.

— Cesarz właśnie na przyszłe święta wielkanocne do Niemiec ma zjechać, potrzebujemy męża rozsądnego, życzliwego, sprzyjającego królowi i jego sprawie, któryby na dwór arcybiskupi z tém zjechał, i sprawę o koronę opiece jego powierzył...

Padło oko królewskie i moje na was, mój ojcze...

Ks. Petrek spojrzał i drgnął.

Chlubno mu było zostać posłańcem króla, dogodnie mu się zdawało w ten sposób zapobiedz aby Bolesław upragnionej nie otrzymał korony; lecz zarazem niepokój go przejmował, kto tu w jego miejscu stanie na straży?

Pochylił nisko głowę z dziękczynieniem pokorném.

— Miłościwście nadto dla mizernego sługi waszego — odezwał się słowa cedząc powoli — ani

śnieniem pochlebiać sobie, bym dostojęństwa był godzien i podolał wielkiemu celowi. Słabe ramiona, wątłe siły moje!

— Król was wysłać pragnie! — dodał opat — nie możecie się woli jego opierać. Dano wam będzie na podróż co potrzeba, byście godnie przedstawiali u dworn, wielkiego króla naszego... Wezwijecie w pomoc ducha świętego, i sposobicie się do drogi.

To mówiąc i wymówek nie słuchając wstał opat, ks. Petrek mleżał rad i zafrasowany razem. Odprowadził go do drzwi, nie pewien jeszcze, czy go spotkało szczęście, czy się gotowało niebezpieczeństwo.

— Lecz — odezwał się nieśmiało, do odchodzącego już — któż mnie tu wam zastąpi, jeśliby pismo jakie sporządzać przyszło?

— O tej potrzebie wątpię — rzekł opat — w pilnym razie, ojciec Paweł wezwanym być może z Trzemeszna.

Opat szedł już dalej, gdy protonotaryusz, o drzwiach otwartych zaponniawszy, stał w nich jeszcze rozmyślając nad sobą. Zwolna potem przyniósł je wracając do izdebki. Stał u ognia zapatrzony w żar czerwony.

— Miałaby opat być tak przebiegłym, by mnie chciał zwieść i okłamać? — rzekł w duchu. — On? mnie! miałaby posądzać! chceć się pozbyć!

Uśmiech mu skrzywił usta.

— Nie — nie może to być — odrzucić nie mogę poselstwa, będzie ono i mnie służyło...

Dumał długo chytry zwolennik cesarski, lecz widział, iż musiał być posłusznym. Żał mu tylko było w chwili, jak mu się zdawało, stanoweczęj i ważnziej, dwór opuszczać; trapiło go to, iż cichą swą robotę podziemną, na czas porzucić będzie musiał...

Opat śpieszył już do króla, aby go schwycić wprzód nim wrzawa dworska otoczy.

Bolesław zobaczywszy ulubieńca swojego, pośpieszył go powitać pocałowaniem ręki... a na widok jego starszyzna, którą był przywołał dla narady, natychmiast pierzelnęła. Zostali sami.

— Miłościwy panie — szepnął opat — ks. Petrika się nam pozbyć ze dworu potrzeba, inaczej to co przedsięwzięmy dla otrzymania korony z Rzymu, nigdyby się nam nie powiodło. Ze swęj celi ma on oko i ucho wyteżone na wszystko...

Dałem mu wiedzieć, że się już wcale u papieża, omijając cesarza Henryka, starać o nią nie myślimy. To ich uspokoi. Wyprawim protonotaryusza do cesarza... choć wiemy dobrze, iż nam odmowną odpowiedź przyniesie. To nam da czas dróg innych próbować. Zbyć się go ztąd na teraz jest niemożliwem. Oznajmiłem mu już o podróżach...

Król się uśmiechnął.

— Czyście jako się wam zda najlepiej — rzekł — jam przy was, gdy o mądre chodzi sprawy — prostaczkiem, Petrek nam przydatny — ale z nim igramy jako z ogniem... który i strawę zgotować pomoże i strzechę zażegnać.

— A najlepiejby może było, napisać na dwór cesarski, do tych co nam sprzyjają — dodał opat — aby naszego posła tak gościnnie przyjmowano — by się rychło oddalić i wracać do nas nie mógł.

Opat głową potrząsł znacząco.

— Dla niepoznaki — rzekł w końcu — miłość wasza odprawi go obdarowanym i z pilnym zachęceniem do wiernej usługi, z obietnicą nagrody.

Bolesław, który oczy miał z poszanowaniem wlepione w mówiącego, był przy nim niemal pokornym i posłusznym. W tych sprawach czuł najlepiej wyższość jego.

— Uczynię jak mi powiecie — rzekł — lecz któż nam listy do Rzymu nłoży? kto powiezie?

— Z Trzemeszna i Tyńca sprowadzimy wiernych ludzi — mówił opat — a ci tajemnicy nie zdradzą. Nie jedno lecz trzy różnemi drogi wysłamy poselstwa do Rzymu, a daj Boże aby chociaż z nich jedno dostało do apostolskich progów, i do nas wróciło. Wiedzą cesarscy dobrze, iż się

o koronę staramy, nie złudzi ich to, iż się do Henryka udamy o nią! Na wszystkich gościach czatować będą, podróżnych chwycić i listów szukać, na wszystkich drogach zabiegać.

Westchnął opat Aron.

— Kogoż wysłacie? — zapytał król.

— Dobierzemy duchownych, dodamy im dzielnych rycerzy ku obronie — mówił opat.

— Stoigniew stary do jednego z poselstw zdany — przerwał Bolesław.

— Znajdziemy i innych — dodał zamyślony opat Aron. — Zostaw mi to miłościwy panie... rozmyślać i modlić się będę, ani chcę byście wiedzieli co i jak czynię — bym niepokoju nie przyniósł... Biorę to na barki moje, a Bóg miłościwy wesprze zechce sługę swojego.

Radosnym, błyszczącym okiem spojrzał Bolesław na Arona.

— Ojciec mój — zawołał — nie dla tej już siwiejącej głowy korony mi potrzeba... dopóki ona oczu nie zamknie, królem będę i bez niej — trzeba mi jej, abym nią pokrył kraj od Dunaju do Bałtyku i rozpaść mu się nie dał, trzeba mi jej, aby na skroni Mieszka przyniosła błogosławieństwo i duchem ją bożym oświeciła. Nie dla siebie jej pragnę... Ten sam ojciec nasz rzymski, co wchodzącemu do Rzymu cesarzowi złotą kulę ziemską na znak panowania dał w ręce, i błogosławił zwycięstwom nad Saracenami, niech mi ko-

ronę pobłogostawi, ażeby dzieło ojca i moje w niewecz się nie rozsypało. Nie sobie ale synowi ła-ski jego pragnę... a potem — umrę spokojny!

Opat Aron ręką krzyż zakreślił w powietrzu, i król wiodąc go wyszedł do stołów, przy których nań goście i dwór oczekiwali.

VI.

Ranek był jakby dla łowów wybrany, i pod szczęśliwą wróżbą, wyjechali za klasztorne wrota Jaksowie.

Świat im się śmiał cały! Zdawało dawne powracać życie w Jaksowych borach, za owych dobrych czasów, co się tak źle skończyły.! Twarze ich jaśniały na przemiany to radością, że znowu wolnym borów oddychali powietrzem, to smutkiem oblekały gdy przypomnieli, że dawniej mieli poezet liczny przy sobie, że im własne psy radośnie naszczekiwały, a łowiecka gromada spiewała stare pieśni myśliwskie.

Już ni tej zgrai głosu — ni tych ludzi śpiewu nigdy słyszeć nie mieli i tych domowych progów oglądać, za któremi dusznie tęsknili. Lecz

po cóż boleć za tēm co się wymodlić nie mogło? Uśmiechali się spoglądając na lasy.

Stały one w pogodnego dnia blasku: okryte szronem śnieżnym: ciche, majestatyczne, tajemnicze, wabiące ku sobie.

Ranek zimowy był cudny. Niedawno trochę śniegu przypadło — potēm mokry śnieżek w wilgotną mgłę się zamienił, która do drzew i traw przyrosła mrozem... Każda gałązka, każde zdziebelko male przystroilo się w białą, polyskującą szatę, i w niej to nawet, co dla oka, pospolitych dni niewidzialnēm było, stało się widocznēm. Las zdawał się gęstszy, gałęzie obfitsze, a na ziemi co pozostawiła jesień, odżyło w bieliźnie zimowej, jakby wskrzeszone do nowego pośmiertnego żywota.

Stały puszcze ciche, otwierając swe głębie — a nigdy może obu Jaksom nie wydały się tak cudownie pięknymi jak teraz. Konie ich teraz wypoczęte, rade swobodzie prychały i szły lekko a rażno...

Rozglądali się po okolicy dobrze, aby napowrot znaleźć drogę.

Własnymi tēż ślady mogli nazad dostać się do klasztoru...

W okolicy niepłoszonego zwierza obiecywało się dosyć — lecz na drobnego się nie myśleli porywać.

Czuć było las stary jeleniami, kozami, może niedźwiedziem i dzikiem. Andruszka i Jurga, jadąc spoglądali czy gdzie nie nie dojrzą tropu... Lecz lisie i zajęcze obojętne im były. Spieszyli głębiej się w bór zapuścić, jakby powracali do domu. Czuli się w nim swojsko, wszystko choć w okolicy nieznaną, zdało się im znajomą, przeczuwali niemal doliny, zakręty i gąszcze, które mieli spotykać.

Jechali cicho, czasem spoglądając na siebie i mówiąc oczyma.

— Jak nam tu dobrze!

— W klasztorze — odezwał się Andruszka — ludzie mili i gościna uprzejma — niech im Bóg za schronienie płaci... lecz zawsze to więzienie.

— A ludzie ci w nim po dobrej woli żyją, i Odon powiada, żeby swój cel za królewskie nie zamienił palace.

— Święci są — dodał Andruszka — a no świętych trzeba, żeby wytrzymać z nimi.

Straszne życie! każdego dnia wraca jeduakowe... zawsze też same...

Usnąć z nimi można...

— A oni weseli są i z twarzy ich widać, że szczęśliwi — rzekł Jurga.

— Imi to jaćś ludzie — odparł starszy — chyba w sobie wojaczęj krwi nie mają.

Gdy tak mówili rozpatrując się po lesie, Jurga syknął wskazując tropy świcze. Poznał w nich

pisanie dzika, który powlekał leniwemi nogami i śnieg pokreślił za sobą.

— Oni czytają z karty — rzekł Andruszka śmiejąc się — a my lepiej za to od nich po ziemi...

Jakbym dzika widział i miarębym jego dać gotów.

— Świeży ślad! — zawołał Jurga — dotrzyjmy.

Ruszyli śpieszniej, rozstępując się nieco, tak aby odyńca tropy w pośrodek wziąć między siebie...

W kilku miejscach wałęsający się wieprz próbował ryć, ale zamazanej ziemi nie naruszywszy, porzucił.

Oba Jaksowie zapomniawszy już owszystkiem, z oczyma wlepionemi w ślady zwierza, gorączkowo doganiać go zaczęli... Zdawa widać było, jak kłodę ciężką, przysiadłego ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, z bielejącemi kłami, z ryjem olbrzymim. Ten się niczyhło, zobaczywszy ich ruszył szparko, ryknąwszy krótko, i począł ucho-dzić...

Zwierz był niezmiernego wzrostu, niezgrabny, ciężki, ale straszny siłą. Wpadł na zaspcę śniegową, w której się ukrył prawie do grzbietu i wyskoczył z niej na kłodę, przy której śnieg się nagromadził. Za tą chrust był i gąszcz powikłana, a z tej mu się dobyć znowu przychodziło z tru-

dnością — gdy Andruszka dopadł go pierwszy i oszczepem żgnął po grzbiecie.

Uwiąził ci on w boku odyńca, lecz śmiertelnego nie zadał ciosu, Jurga z drugiej strony zabierał się go dokonać, gdy rozjnszone zwierze, koniowi jego nogi przednie kłami podcięło.

Koń i jeździec padli razem tuż obok wieprza, który paszczką krwawą bronił się wściekle... Przytomności swój winien Jurga, że w tej chwili miecza dobywszy, uskoczył i z boku nim tak zrzęcznie uderzył iż dzik, krwią żygnąwszy, padł dogorywając...

Drogo to było okupione zwycięstwo, bo koń miał nogi rozcięte, a jedna z nich na skórze się tylko trzymała. Biedne zwierze tarzało się pasując z bólem i śmiercią. Jaksowie stali przerażeni wypadkiem... Konia Jurdze żal było niemal jak przyjaciela, rękę zalał nad nim.

Wiedział, że go ocalić nie potrafi i oszczędzając mu boleści, gardło poderznął, przez litość — Andruszka zsiadł ze swojego, który się zachął i rwał.

Stali niemi nad swą nieszczęśliwą zwierzyną, niewiedząc sami co z nią począć i z sobą.

Wprawdzie oddalenie od klasztoru nie było tak wielkie, ażeby się do niego pieszo nie można było dostać — lecz odyńca nie mogli myśleć zabrać z sobą. Końby go nie udźwignął, a im obu zaciągnąć byłoby ciężko. W klasztorze też chyba

dla obcych mógł się na co przydać odynieć, bo tu mięsa czworonogich nie jadano.

Strata konia bolała obu okrutnie, Jurga czuł się winnym, i wyrzucał ją sobie. Zajęli się tak mocno doznana stratą i rozmyślaniem co dalej robić mają — bo do klasztoru chyba powracać trzeba było natychmiast, a dzień im przepadł cały — że ani słyszeli, ani spostrzegli, gdy tuż ku nim nadbiegł konno jeździec i stanął... Nie widzieli go jeszcze, ale dwa psy bure już się im pod nogi do zwierza rzuciły.

Z nich się dopiero domyśliwszy, iż ktoś zbliżyć się mógł i pochwycić ich tu z nienacka, podnieśli oczy strwożone... Andruszka uchronić chciał, ale brata zostawić nie mógł.

Jeździec, którego koń sapał i bokami robił, był im szczęściem nieznanym; człek już nie młody, odziany dziwnie, wyglądał dziko i stanu jego odgadnąć było trudno.

Konia miał pod sobą mierzyna grubego, okrytego zimową siercią grubą i najeżoną. Ponad nim widać było zgarbioną nieco silną budowę człowieka, okrytego kożuchem niedźwiedzim włosom na wierzch włożonym. Na głowie czapka ze łba meszki, z białymi kłaniami, nadawała mu strasznie oblicze, z pod niej długie pasma włosów na pół siwych i brodą na dwoje rozdzieloną, rozczochraną, policzki żółte i oczy czarne widać było... Uzbrojenie miał staroświeckie, ciężki topór, mie-

czyk mały, dzidę w rękę. Zgarbiony trzymał się na mierzynie i młęcząc spoglądał na dwu braci i leżącego konia i dzika. Z pod wąsów młucha się było domyśleć uśmiechu szyderskiego, z mową weale nie śpieszył. Stał jakby był w domu i jakby czekał by go ci obcy pierwsi zagadnęli. Oni tej najmniejszej do tego nie mieli o loty.

Wreście, nie pozdrowiwszy ich po chrześcijańsku, co ich uderzyło obu, stary zawołał.

— Droga zwierzyna! Zkąd wy?

Andruszce się nie bardzo odpowiadać chciało, ale był rad zbyć go.

— Byliśmy w gościnie u ojców na Tyńcu — pozwolili nam zapolować, a no lowy nie samowite...

Zmierzył oczyma nieznajomy obu — wspomnienie o ojcach i Tyńcu nie zdawało mu się do smaku...

— Pewnie królewsey jesteście, odedworu? — zapytał.

— Jesteśmy wojaey — nie dworacy — odparł Jurga.

Stary głową pokręcił.

— Co myślicie poczynać? — spytał.

— Wraeać, jeden pieszo, drugi z koniem — rzekł Jurga.

— A dzik?

— Możecie go sobie wziąć, jeśli chcecie —

odezwał się Andruszka — nam się on na nie nie zdał?

— Naprawdę? — spytał stary — wieprz co się zowie zdrow i wypaś się bodaj u mnie, rad mu będę.

Ale ja darmo podarków nie biorę, niedaleko ztał moja dzinra... spocznicie u mnie. W klasztorze o smaku mięsa zapomnieliście, a i miodu oni sycić nie umieją, te czarowniki z za morza.

Ręką pogardliwie rzucił.

— Wracać bo nam trzeba — odezwał Andruszka niespokojnie.

— Wróćcie wezas, drogę wam pokażę — mówił stary, gościną ubogą gardzić się nie godzi.

I pomyślawszy dodał...

— Może nie macie ochoty iść, nie wiedząc do kogo? Stary jestem człek, którego ojcowie niegdy cały ten kraj do kola trzymali. Nasz on był. Dziś u nas nikt nie ma, król jeden wszystko... Nowa wiara, pany nowe, jam starych lat człowiek i żebrak...

Została mi zagroda i prawo do łowów. Resztę mnichom dano... zabiorą tu oni do kola co zechcą. Któż tu panem jeśli nie oni. Król ich pierwszy sługa.

Zdumiony Jurga wtrącił.

— Nie jesteście chyba chrześcianinem?

— Albo ja się ciebie pytam — odparł dumnie stary — z jakim ty trzymasz bogiem?

Zamilkł nieco.

— Cheecie do Starżowěj skały — rzekł po chwili — dobrze... nie... to niech dzik gnije, a wy bywajecie zdrowi... ale... po staremu... gościnną się gardzić nie godzi...

Spojrzeli po sobie bracia. Niebezpieczeństwo im u tego człowieka, co się dzieczył na króla i na nowe sprawy, nie groziło żadne... ciekawość brała. Skinęli ku sobie. Andruszka dziękując głową skłonił. Stary malego prostego różka dobył z za odzieży i dwa razy krótko się odezwał.

Stali czekając, gdy dwóch ludzi z gąszczy nadbiegło z oszczepami. Głowy mieli postrzyżone, choć odrosłe i widać w nich było albo niewolników lub porabieży. Powrozy mieli na plecach, oszczepy w ręku, odkryte włosy bez czapek. Stary im pokazał dziką ręką, a sam nie mówiąc nie ruszył. Jurga na konia brata skoczył z tyłu, siadzenie swe zabrawszy na plecy.

Nie mówiąc słowa prowadził ich z sobą stary Domosul Starża. Nie słyszeli o nim w klasztorze dotąd, ale człek był z buty, uporu i dzikości znany. Przez nie on włóści potracił, a nie chcąc się ochrzcić, zupełnie od ludzi odłączył. Mieszkowi i Bolesławowi wypowiedział posłuszeństwo, zienie sobie dał pozabierać i przez litość tylko do żywota go zostawiono na starym gródku, nie brońjąc mu łowów, i na jego sprawy patrząc przez szpary. Szanowano w nim krew starą władyków

tęj ziemi dawnych, dawano mu dożywać w tém, co on swoją dziurą nazywał.

Lasem jadąc poczęli się spinać na górę, u której wierzchu widać było okop stary i tyny mocne. Wrota z bierwion ogromnych same wyglądały jak ściana jakiegoś gmachu. Z po za nich i wału nie widać nie było. Gdy u nich stanęli, dzidą uderzył trzykroć Domoszl i szeroka furta się otworzyła, za którą wązki most na wysokich stał palach. Za nim w podwórzu tak nędzne szopy z chrustu i ladajakie kleeie widać było, iż litość brała nad tym, co w nich unieszkać musiał. W pośrodku trochę okazańszy dworek z przedsięniem na słupkach zdawał się być Domoszlowym.

Tu też on stanął, a wnet postrzyżone parobki, podobne tym, których w lesie widzieli, przybiegły konie zabrać do szopy.

Nie nie mówiąc Domoszl wszedł do dworu, pełnego niewiast ubogo w szare płótno poprzybieranych.

Była to służba pańska, gdyż rodziny nie miał. W izbie, do której wprowadził, panował taki nieład, dym, wałało się tak śmiecie po kątach, iż w niej nawet posadzić gdzie nie było gości. Przeprowadziwszy przez nią gospodarz, nie mówiąc nic, przodował dalej przez komorę nielepszą, z której poczęli iść jakimś podsieniem na słupach podpartém, a to się w przeciwną góry stronę zniżało i schodziło, gdzie? dostrzedz nie mogli.

Otwarł drzwi Domosul i spojrzawszy na Jakśów rzekł.

— Idźcie za mną, do staręj Jamy dojdziemy... zobaczycie starą jamę, kędy lwy spoczywały...

Odwrócił się i szedł wiodąc ich dalej za sobą. Z podsienia zstępowali jakby do lochu w górze wykutego, w którego ścianie z jednej strony porobione były otwory, przepuszczające światło.

Zchodzili ciągle w dół, Domosul drugie drzwi popchnął i znaleźli się w izbie na pół w skale, pół w twardej ziemi czysto i pęknie wykutej. Gdzieś wysoko rosnące drzewa korzeniami popprzechodziły aż do podziemia i sploty ich zwieszały się n sklepienia, jakby nmyślnie dla ozdoby poczepiane. Z okopceń ścian i wytarcia znać było, że nie od dziś tu ludzie mieszkali. Z izby wielkiej, w której też kilka otworów światło dawało, drzwi w ziemi wiodły do innych znać mieszkań i kryjówek podziemnych. Po nad nimi w wyżłobieniach, z niemalém zdziwieniem njrzeli, Jakśowie stojące nieforemne balwanki z drzewa, z ponasadzaniem w oczach, u pasów i na głowach kamykami.

Przy jednej ze ścian kamieniami obłożone było ognisko, na którém olbrzymie dwie suche gorzały kłody, a dym wymykał się otworem, który po nad grzbiet góry wychodził. Wszystko tu było osobliwe i dziwne, jak gospodarz tego domu. Mnóstwo skór uścielało ziemię, do ścian

poprzybijane były rogi jeleni, kozłów i łosiów, na nich wisiały odzież, futra, opony stare, broń odwieczna. Stół dębowy w pośrodku siedział na pniach wkopanych w ziemię. Zamiast ław były kute siedzenia dokoła, kozłuchami pookrywane.

Domosul wprowadziwszy ich tu, słowa nie mówiąc, zwrócony ku nim, rękami obiema powitał.

— Dziwniecie się może! — odczuwał się spoglądając na nich — a no mi się stare dworzysko spaliło, więcem wciągnął do jamy, kędy praszczury nasze siedziały. I dobrze mi tu... ciepło i eicho...

W istocie mimo mrozu na dworze w podziemiu czuć było aż do zbytku ogień, który je ogrzewał. Otwory pozatykane były błonami sosnowemi, cienkimi tak, że żółtawe światelko przez nie wchodziło. Zaraz za gospodarzem wbiegło pacholał dwoje, bosych, w kozuszkach, a tym kazano, aby wnet jedzenie było.

Siedli rozpatrując się Jaksowie, Domosul przypadł też napół na skórach. Oreż, który wisiał na ścianach, mógł ciekawość obudzić, bo podobnego już za Bolesława nie oglądano. Były tam jeszcze miedziane miecze z rękojeściami małemi i tarcze stare, porąbane w bitwach zapomnianych; kolce, wężownice i siekiery bojowe, poosadzone na potężnych dragach, a niektóre z nich złoty drut oplatał.

Domosul zrzucił z siebie ciężkie okrycie i sta-

nał przed nimi w kaftanie skórzanym, w którym zwykle doma chadzał.

Wkrótce też chłopaki i stare gospodynie zaczęły znosić misy z niewytworném jadłem, na dawny sposób z prosta przyrządzoném, kaszą, mięsem pieczoném i warzoném, z kubkami miodów i piwa domowego. Stół pokryto grubym ręcznikiem szarym.

Gospodarz zasiadł swe miejsce i gości do mis zaprosił. Jurdze się jednak jeść odechciało, tak mu straconego konia srogi żal było. Biedził się niepomierne.

A dzień to już był nieszczęśliwy jakiś, bo ledwie do stołu zasiedli, gdy zdala hałas jakiś usłyszeli. Jaksom się zdawało przyjmując zaprosiny starego Domosula, iż w tém pustkowiu spotkać się z nikim nie było niebezpieczeństwa.

Gospodarz ucha niecierpliwie nastawił, goście spojrzeli po sobie. Nie było się już co tać, iż wszelki obcy przybyły mógł dla nich być zdrajcą. Odezwał się więc Andruszka.

— Miły panie, słysząc jakąś wrzawę. Mielizbyście spodziewać się gości?..

Domosul głową potrząsł, jakby nie był pewien sam.

— Muszę wam wyznać — dodał żywo Andruszka — iż, uchwaj Boże, kto z królewskiego dworu nas zobaczy, zgubieni być możemy...

Stary zmarszczywszy brwi popatrzał na nich ciekawie.

— Z mojej jamy zdradzie wyjść nie dam — odparł — bądźcie spokojni... U mnie nie gości nigdy nikt, krom jednego synowca Jaśka z Tęczyna, któryby mnie chciał na swoją wiarę nawrócić, i wyrwać z mojego spokojnego grodziska...

— Ale Jaśko z Tęczyna zna nas! — zawołał zrywając się Jurga — jeżeli on istotnie jest, uciekać trzeba...

Domosul spojrział na nich coraz mocniej zdziwiony.

— Nie pytałem was, coście za jedni! — rzekł — gość gościem... Zbroiliście co przeciw królowi? Tém więcćj was bronić i osłaniać będę... bo go nie cierpię...

Szmer, stapanie i rozmowa się zbliżały, Domosul się zamyślił chwilę i ręką im wskazał na boczne wnijsie do drugiej izby. Andruszka i Jurga zerwawszy się od stołu, pobiegli się ukryć w nią. Domosul został w miejscu.

Otwarły się drzwi i schylając się wszedł mężczyzna słusznej urody, pięknej twarzy, odziany starannie i bogato. Weszło z progu Domosula pozdrowił, oczyma rzucając po izbie. Stary nie wstając i mięsa, które trzymał w ręku, nie porzuciwszy, odwrócił głowę nachmurzoną.

— Czołem stryjowi! — odezwał się wchodzący — czołem... No... ale cóż to? przerwałem wi-

dzę positek. Mówili mi, że macie gości. Nie widzę ich... Coż się z nimi stało?..

Domosnł kość ogryzał i wysysał spokojnie.

— Tobie co do moich gości? — spytał.

Staął głową pokręcając Jasko.

— Przeciem nie potwora jaka, aby ludzie odemnie uciekali... — rzekł. — Coż to jest?

— Co ci do moich gości? — powtórzył Domosnł — he?..

Oreż i odzież zwierzechnia, którą Jaksowie zrzucili, leżały na widoku. Jasko na nie oczyma rzucił ciekawemi i uśmiechnął się.

— Widzę, żeście mi nie radzi — rzekł wzdychając.

— Za co ja wam rad być mam? — odparł Domosnł, do stołu i jadła nawet nie prosząc. — Ja inny człek niż wy, choć krew w nas jedna... Wy ludzie nowi, jam dzik stary. Albo ja wam przeszkadzam pamm pokłony bić i nowemu Bogu? albo co od was potrzebuję?.. Dajcież staremu zdechnąć w pokoju... Moja nędza mi nie ciężka, a waszych skarbów wam nie zazdroszczę...

Przybyły Jasko przybliżył się do stołu, spartł on i widocznie oczyma szukał, gdzie mu się skryli goście, których łyżki drewniane przy misie zdradzały.

— Zaprawdę — dodał po chwili — sroga to dla mnie obraza, że się ludzie chowają lub wy ich chowacie przedemną!.. Więcbyście się wy

dla nich lub dla siebie lękali czego i myśleli, że Jaśko z Tęczyna, bratanek wasz, zdradzi?

— Hej! hej! — mrknął stary jedząc ciągle — kto nie chce się sparzyć, ten w ogień palca nie kładnie...

Rzucił się trochę gniewnie przybyły.

— Jesteście dla mnie we własnym domu nie-laskawi — rzekł — nicem ja wam nie zawinił, chybać tém, że się o was troszę, gdy wy nas i mnie znać nie chcecie...

— A no... nie chcę — rzekł Domosul krótko, ciągle bardzo spokojnie chodząc około misy.

— Krwi się swój tak odpychać i wyrzekać nie godzi! — stęknął Jaśko.

— Kiedy ta krew się własnego starego obyczaju wyparła — mrknął Domosul — i do wrogów przystała...

— Do jakich wrogów! — wybuchnął Jaśko. — Możecież króla naszego, wielkiego bohatera, wrogiem nazywać?

— Wrogiem go zwę!.. — potwierdził Domosul — nie tylko moim, ale wszystkich, którym ta ziemia miła. Co ojciec jego rozpoczął, on dokończył... oddali nas w ręce niemców...

— A któż kiedy szczęśliwiej z niemcami wojował nad Bolesława? — począł gorąco Jaśko — a komużeśmy to winni, że nas sąsiedzi szanują i drżą przed nami?..

Domosul drgnął tylko.

— Czekajcie końca — zawołał — czekajcie końca.

Jaśko wzruszony począł się przechadzać po izbie mrucząc. Parę razy przesunął się około drzwi, za któremi stali Jaksowie, wpatrując się w nie, jak gdyby czuł, że za niemi są ukryci. Stał przy nich na chwilę, a że izdebka była mała, uchem myśliwca i wojaka oddech ich może usłyszał i uśmiech mu przebiegł po ustach.

Domoszl obejrzał się trochę niespokojnie, gdzie stał bratanek jego, który ruch ten spostrzegł. Jaśko jednak nie ustąpił.

— Tanieście waszych gości zakryli przedemną? — rzekł ręką na drzwi wskazując. — Cóż to, chyba zbójce są i mordercy jacy, że się oczów czystego człowieka obawiają?..

Jaksowie słyszeli te wyrazy wymówione tuż blisko i zakipiało w obu. Jurga byłby może wyskoczył z kryjówki, gdyby go Andruszka nie wstrzymał gwałtem.

Domoszl nie odpowiedział nic.

— Nie za kogo innego mam gości waszych, jeno za ludzi bez czei i wiary, gdy się ukrywać potrzebują przed Jaśkiem z Tęczyna...

Tych wyrazów domawiał, gdy Jurga wyrwał się i stanął przed nim.

Na widok człowieka, o którego śmierci był przekonany Jaśko, bo o niej szeroko głoszone

wszędzie, cofnął się oniemiały i przestraszony, jakby widmo z grobu wstające ujrzał.

Andruszka nie został za bratem, w milezeniu wyszli oba i dumnie słowa nie mówiąc, grozu wpatrzili się w przerażonego gościa.

— Jasku z Tęczyna — odezwał się Andruszka — jeżeliśmy się skryli przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa... Winniśmy życie ludziom litościwym, co nas ocalili bez wiedzy króla... czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy... Chcieliście nas widzieć, macie... ale wiedzieć to, że jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nie wydacie nas... życie wam wziąć nunsimy...

Jaśko stał jeszcze nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia. Patrzył i oczom nie wierzył, słuchał i nie wiedział, co trzymać o tych dwu nieboszczykach. Pojąć mu było trudno, by króla oszukać ktoś śmiał dla ich ocalenia. Znał on Bolesława...

Za Andruszką Jurga powtórzył.

— Słowo nam dajcie... lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić!... — zawołał Jaśko. — Nie jestem królewskim dziesiętnikiem i pacholkiem, ale wojakiem jak wy... Biliśmy się nie jeden raz obok siebie... cieszę się, żeście ocalili, a zdradzać was, niech mnie Bóg broni wszechmogący...

Imnego słowa nie potrzebowali Jaksowie i wnet z nim ścisnąć się zaczęli. Zatem, choć Domosul

sam jedząc za stół nie prosił synowca, siedli wszyscy do mis.

Jaśkowi pilno się było dowiedzieć o cudownej braci przygodzie.

Lecz zaledwie dopytywać zaczął, gdy Andruszka przerwał.

— Nie badajcie nas... nie możemy mówić nie nad to, iż nas widzicie przy życiu... Tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie z sobą? — odezwał się Jaśko. — Uchodźcie do Ugrów, czy do Czech? do nieprzyjacielskiego kraju?

— Nie — rzekł Jurga — kryjemy się czekając szczęśliwszej godziny, a do obcych nie myślimy iść... choć dzisiejszy dzieńby nas nauczyć winien, jak się to schować od oczów ludzkich trudno i jak borsuka z jamy można słowem wykurzyć...

— Jeżeli w tej okolicy myślicie się ukrywać — dodał Jaśko — ja wam też w Tęczyńie ofiaruję chętną gospodę...

— Za serce dobre niech Bóg płaci — rzekł Andruszka — a no, nie godzi się nam włóczyć po świecie. Przed wami wyznać możemy, żeśmy gośćmi na Tyńcu. Wyprosiliśmy się na łowy... Konia Jurdze raniony dzik podciął... i tuśmy na chwilę się schronili... ale do klasztoru powracać trzeba. U was też z Krakowa rycerstwo gości często i skryćby się było niepodobna.

— Kąt juseiby się znalazł — odparł Jaśko —

ale nie chcę gwałtu wam zadawać... Tylko mi na jedno pozwolicie, abym z pod jeźdźca którego z moich najlepszego konia wziął i Jurdze dał za zabitego. Pieszego mi żal...

Nie wymawiał się od ofiary Jaksa.

— A myślicie — przerwał Domosul — że u mnie już i konia zapaśnego nie ma? Jam tu przecie pierwszy zdaje mi się. Ubogi jestem, prawda, pozabierali mi królowie wasi com miał nie od nich, ale od ojców naszych... tyle jednak zostało, że się jeszcze pieszaka na co ma wsadzić.

Wszczęła się tedy rozmowa żywsza. Jakso wie, choć niedawno przybyli, ciekawymi byli dowiedzieć się, co się na świecie święciło, co w Krakowie o nich i o królu mówiono... i czy o wojnie słyhać nie było.

Wzdychali do niej wszysecy, a choć Jaksom iść na nią nie byłoby dozwoloném, dowiedzieć się o niej pragnęli przynajmniej.

Jaśko, który był jak oni nawykły do wypraw, westchnął usłyszawszy o wojnie.

— Już nie wiem, kiedy jęj doczekamy — odezwał się — król ocieżał, obsiadły go niewiasty, otoczyli go ludzie nierycersey. Chciałby niemcom się przyezaić, aby, jak mówią, koronę od nich dostać i na głowę syna ją włożyć... Mieszko żołnierz mężny... a no... ojca nie dorósł i nie dojdzie mu nigdy do pasa...

Potrząśł głową.

— Jam prosty człek — odezwał się Domosł — jam dziki zwierz, co siedzi w swój jamie i świata nie widzi... prawda? tak wy o mnie trzymacie? Ale starym gdy wzrok słabnie, bogowie dają widzenie inne, co ściany przebija...

Wszystko to co oni zbudowali, w prach się rozsypie!.. Niemców myślą Piastawicze pożyć chytrością, przechierając się w ich odzież i przyjmując obyczaj... Zdaje się Bolkowi, że węża oszuka, że jaszczurkę podejździe!.. Ja nie wiem nic... słyszę co gadają ludzie...

Bolko chytreńko kłania się cesarzowi i popija miód, pewny że podłazszy mu pod bok, nogę podstawia... a ślepy... jak ci, których pooslepił. Nie widzi nic! Naprowadził księdzów niemieckich, którym ręce całuje, ci za to cesarzowi donoszą jego najtajniejsze myśli. Synowa niemka, niemiek pełen dwór... Nie powie słowa, nie podmna czegoś niemiec nie wiedzieli... Dadzą mu pokój... do czasu, potem sypną się i podpilowane słupy strąsają tylko, a dach na ziemię poleci...

Mówił jakhy do siebie sam Domosł.

— Ochrzcili naród cały — ciągnął dalej śmiejąc się — kłaniają się wszyscy przed krzyżem ze strachu... A no... pójźcie na Kupalę w lasy, zajrzyjcie do chat, jaki tam Bóg paucem... Tam czekają tylko, ahy do starego powrócić!

Wy i król widziecie tylko co macie przed sobą, spytajcie mnie co się u nas dzieje? Nie powiem

wani! Po co? Co musi się stać to się stanie... poleje się krew... o! poleje...

Dziwniej tej mowy, do której nie byli nawykli, słuchali w milczeniu Jaksowie i Jasko. Gościom się ze starym gospodarzem spierać i nie chciało i nie godziło, tylko synowiec rzekł, gdy on swojego dokończył.

— Bóg nas od nieszczęścia uchwata! a dzieło króla pana naszego pobłogosławi...

Śmiechem szyderskim Domosul odpowiedział, wstając z ławy, aby świeżej napić się wody.

— Co z wami gadać! — mruknął — jaja od kur mądrzejsze dziś...

Na rozinowie czasu dosyć upłynęło, wstali Jaksowie, do odjazdu się sposobiać. Wstał też Jasko, ofiarując się dla bezpieczeństwa ku Tyńcowi ich przeprowadzić. Gdy się ze starym żegnali, uparł przecie, aby konia od siebie dał pod Jurgę, i wyszedł z nimi w podwórze, gdzie już mierzynu niepozorny stał gotowy. Za uźdę go najawszy Domosul, cugle od niej oddał Jurdze w ręce, głową kiwnął i na synowca nie spojrzawszy nawet, powrócił nazad do swojego podziemia.

Tak tedy w towarzystwie Jaska ruszyli ze Skąły w las znowu, a gdy się od niej oddalili, westchnął on, zwracając ku niej głowę.

— Domosul murze jakim żył — rzekł — stara swoboda i obyczaj miłsze mu nadewszystko... Ani króla, ani duchownych znać nie chce... Zubożał

tym uporem, dał sobie zabrać i ziemię... ale się nie ugiął.

— Niewielu szczęściem takich jak on upartych przy starciu — rzekł Andruszka — nikomu on prócz siebie nie szkodzi...

— Z żupanów dawnych mało który stoi tak twardo, jak on — odczwał się Jaśko — ale nbożnego narodu, co trzyma z nim i z takimi jak on, jest dużo!.. U góry król, rycerstwo, władcy, duchowieństwo... a u dołu lud, co żyje jak żył i patrzy tylko, by wrócił do dawniej swobody... Jeżeli Mieszko ojcowskiej nie będzie miał dłoni...

— Mieszko wojownik dzielny — odparł Jurga.

— Daj mi Boże szczęście — zakończył Jaśko — bo jeśli mi sił nie stanie... i my wszyscy poginać możemy...

Wspomniął jakby z niechęcenia Bezpryma i zamilkli wszyscy.

Powrót do klasztoru łatwiejszym był z towarzyszem, który się do nich przyłączył. Jaśko znał dobrze okolicę i był najlepszym przewodnikiem. Dowiódł ich więc aż do polany, z której gród tyniecki widać już było. Tu rozstać się musieli.

— Hej! — rzekł na rozjeździe wzdychając Jaśko — jakbym ja wam rad był, gdybyście mi przybyli w gościnę... ale... Andruszka głową potrząsa... siedzieć w dziurze zamknięci i poście z mnichami... A gdy się wam zateśni, huknijcie do mnie... choć na łowy razem pójdziemy w lasy!

— Jaśku — zawołał Jurga — a milczcie!..

Położyli palce na ustach, skinęli ku sobie głosami i Jaksowie pospieszyli do klasztoru.

Wieczór już był późny, wrota były zaparte, przeor i braciszek Odon napróżno ich wyglądali niespokojni. Ludzie, którzy drwa wozili do klasztoru, zabitego konia znalazłszy w lesie, opowiedzieli o nim ojcom, ztąd domysły powstały i trwoga o Jaksów. Z widoczną więc radością wrotnik im otworzył, a młody Odon wybiegł na ich spotkanie.

— Bogu wszechmogącemu niech będą dzięki — zawołał — byliśmy o was w strasznej trwodze!.. Nie się nie stało? dlaczego wracacie tak późno? czyście się zabłąkali w lesie?..

Braciszek nie poznał zamienionego konia, a bracia odprowadziwszy do stajni wierzchowce, ci-chutko wrócili do swojej celi.

VII.

Książęcy jeśli nie królewski dwór, na pół duchowny, pół rycerski otaczał możnego arcybiskupa w Magdeburgu. Zwierzelnik duchowny nad biskupstwami otaczającymi, był zarazem arcypasterz władzę wielkich ziem i zwierzelnym panem mnogich wassalów, którzy od niego trzymając lenna, winni mu byli służbę wojenną i posłuszeństwo. Gród arcybiskupi groźno i poważnie wznosił się u rozdzielonych ramion Łaby, obejmujących silną twierdzę, nad którą panowała katedra kości świętego Maurycego wsławiona. Naprzeciw niej wznosił się, jakby duchem nad ziemią tą panując jeszcze, wizerunek Ottona I.

Miasto ściśnięte w małych rozmiarach, składające się z krętych ulic i domostw, pełne było zawsze życia i gwaru. Stolica duchowna, gród

pański, targowica u brzegów rzeki, roił się ciągle stary Dziewin przybywającymi zewsząd biskupami, cesarskimi posłami, książętami, panami i kupiectwem. Około wspaniałego na owe czasy katedralnego kościoła i pałacu arcybiskupiego, przez dzień cały snuli się pobożni pielgrzymi, pokorni słudzy, rycerstwo ze skargami... poczty wojenne książęcia kościoła, który nieraz zmuszony był niecz przypasywać do boku.

Na placu tym gwaro było do późnej nocy, a gdy mrok padł, straż jeszcze czuwać musiała, aby między ciżbą po gospodach porządek utrzymać.

Jednego wieczora mały orszak jezdnych, wśród których łatwo było poznać duchownego, ze służbą i pocztą dla bezpieczeństwa dodanym, zbliżył się do wrot starego miasta pospiesznym krokiem, opóźniwszy się w podróży. Nie spytała straż przybywającego we wrotach, z kąd ciągnie, gdyż snuknia duchowna już go opowiadała. Orszak towarzyszący nie oznajmował znacznego człowieka. Skromnym był, a ze stroju ludzi nie miała straż odgadnąć, z kąd jechali. Ksiądz skromnie też i pokornie wyglądał. Lecz kto by był się wpatrzył w twarz jego w chwili, gdy wrota mijal, ujrzałby na niej radość wygnanca, co po długich latach do własnego powraca domu. Smutne dosyć i nie-miłego wyrazu lice uśmiechnęło mu się, na widok kopuł kościelnych żegnał się pobożnie, mruczał pacierze, ale oczy świadczyły, że myślami

innemi był zajęty. W miarę jak się zbliżał do rynku, oczy jego coraz żywszego nabierały blasku, konia popędzał, a gdy u drzwi dawnego opactwa benedyktyńskiego stanął, spieszenie zsiadł nie troszcząc się o konia i ludzi swych, zostawił ich u wrót, sam żywym krokiem wpadłszy do wnętrza.

W podwórzu obszernym cichło już było i pusto. Przybyły obejrzał się dokoła i ciasnemi wschodkami dostawszy się w przejście ciemne, do pierwszych drzwi zapukał.

Poruszyło się coś we wnętrzu, gość wszedł.

W sklepionej izbie paliło się już światło, u stołu w siedzeniu poduszkami wystanem, spoczywał mężczyzna ogromnego wzrostu, a jeszcze większej tuszy, któremu otyłość podnieść się dozwalała z trudnością. Obiema rękami wsparty na poręczach miał zapewne myśl ruszyć się, ale wysiłku potrzebował na to wielkiego. Na stoliku przed nim widać było ogromny knfel cynowy z przykrywą i kilka grzanek suchych na misce. Twarz rumiana, rozlana, ogromna, z krótko strzyżonym włosiem, świeciła rozumem i czynem bystre i z ufaniem w siebie. Zmrużywszy nieco powieki siedzący usiłował poznać w mroku przybywającego, lecz niczytło dopiero, gdy się ten ruszył ku niemu, zawołał.

— Gość niespodziewany! ksiądz Petrek!.. Cóż

za gwiazda szczęśliwa ciebie tu do nas przyprowadziła w porę?!

Protonotaryusz szedł do pocałowania ręki, a otrzymał uścisk braterski.

— Najmilejszy bracie — mówił otyły duchowny — oczom nie wierzę... Tyżes to?

— Ojciec Emerardzie! ja jestem! ja... acz sam ledwie wierzę. Jakem się tu mógł znaleźć, gdy najmniej nie miał tego szczęścia nadziei...

— Z niczém złém przecie nie przybywacie?

— Z niczém dobrém téż! — rzekł ks. Petrek. Lecz... mogeż was o gościnę prosić tu... czy...

— Dla was znaleźć się izba — odparł stary — ludzi wyślijcie do gospody... Pełno u nas jak zawsze. Najdostojniejszy pan nasz arcybiskup nigdy od najazdu wolnym nie jest...

Ojciec Emerard mówiąc to w dłonie klasnął, nakazał milczenie przybyłym, powtórzył ten znak i wchodzącemu braciszкови wydał rozkazy.

— Najdostojniejszego pana naszego — rzekł odprawivszy braciszka — dziś się ani ujrzeć spodziewajcie. Brandeburskiego mamy gościa, z którym zgodę czynimy, albo raczej on z nami, ciegi wzięwszy... Cesarski posłaniec na listy czeka... Za chwilę chleb wieczorny w refektarzu dla nas podadzą, pójdzicie ze mną. Arcybiskup dziś jeszcze wiedzieć o was będzie... ale... cóż niesiecie? pokój czy wojnę?

I śniąc się dodał opasły Emerard.

— Niełacno z wami mając do czynienia rozznąć, czy wojna nie jest pokojem, czy pokój nie zmieni się na wojnę... Cóż, ten wasz chytry wąż, ta jadłowita żmija, ten wróg nasz zajadły czyni i myśli?

— Pytajcie mnie ojcze Emerardzie — odezwał się ks. Petrek — co on mówi, a nie sądźcie, bym wiedział co myśli.. To co myśli, tego nie powie, co mówi, tego nie myśli pewnie... Kto go odgadnie?..

— Któż, jeśli nie wy? — rozśmiał się otyły — lecz o tem dość będzie czasu mówić jeszcze...

— Przybywam w poselstwie od niego — począł ks. Petrek. — Zdaje się, że „Tragbier“ ocięzał, że mu próżne z cesarstwem walki dojadły, że naszarpawszy i nachwytawszy radby się przy swój pastwie ntrzymał. Więc z pokorą śle a z prośbą, aby mu czcimajgodniejszy, najdosłojniejszy arcybiskup n cesarza dopomógł do uzyskania od papieża Benedykta — korony!

Mówiący spojrzeli sobie w oczy. O. Emerard zrazu wierzyć się nie zdawał, potém wielkim śmiechem wybuchnął. I śmieli się oba, śmieli długo, jeden drugiemu przyczyniając śmiechu wesółością.

— Zaprawdę, albo sam rozum postradał — rzekł o. Emerard — lub myśli, że my go nie mamy! Koronabyśmy się mu mieli wywdzięczać za to, że nas nękać nie przestaje!..

Ruszyli ramionami.

— Z t \acute{e} m przybywam — odezwał si \acute{e} ks. Petrek — niech tak zasługi św. Maurycego d \acute{n} szy m \acute{e} j grzesznej b \acute{e} d \acute{a} pomoce.

Wchodzący braciszek oznajmił o wiecerzy w refektarzu, w którym si \acute{e} klasztor \acute{n} ym obyczajem katedralne duchowieństwo zbierało na obiady i chleb popołudniowy.

O. Emerardowi pomódz było potrzeba do powstania z siedzenia, ale gdy raz, sparszy si \acute{e} o stół i ramię braciszka na nogach stanął, wysapał si \acute{e} , dźwignął, krokiem pewnym wiódł ks. Petrka za sobą. Braciszek przyświecał im przodując korytarzami do sali na dole, w której ju \acute{z} kilkadziesiąt osób zgromadzonych było.

Długie stoły otoczone ławami przygotowane były dla gości, ale ci stali jeszcze, rozmawiając z sobą i zdając si \acute{e} na kogoś oczekiwać.

Zgromadzenie przedstawiało widok weale do refektarza zakonnego niepodobny, choć godła na ścianach i mały pulpit dla lektora na podniesieniu miejsce to cechowały, jako dla duchowieństwa przeznaczone.

Nie trzymali si \acute{e} naówczas duchowni świeccy jedn \acute{e} j formy w sukniach, jakie nosili, obowiązkami były tylko barwy skromne i ciemne, wzbronione świecidła i rycerskie przybory. Ale i w t \acute{e} m wiele swobody dawano, wiele młodych i do możnych rodzin należących księży wylamy-

wało się z praw ogólnych. Widać więc było i rozmaicie popostrzygane głowy, na których korony ledwie dostrzedz było można, i wąsy zawiesziste i brody różnie trefione, a przy nich suknie szare, brązowe, oszywane, pasami nasadzanemi bogato ujęte, i czarne sutanny, i krótkie odzieże, przy których buty jakby do konia, ostrogami opatrzone, nieczyjego nie zwracały oka. Jeden z młodszych księży, krewny areybiskupa przyszedł tu z sokolem ulubionym na rękę, którym się lubował i drugim go okazywał, nie zbywało też na psach, oczekujących na resztki wiecerzy.

Gwar w refektarzu panował wesoły. Kilku gości świeckich wnięszanych między duchowieństwo, dodawało rozmowie rubasznego ognia, który w owe czasy zdrożnym się nie wydawał nikomu.

Przytomni na kilka kupek rozdzieleni, rozprawiali jedni o cudach i pobożnych przedmiotach, drudzy o łowach, iuni o wojnie. Gdy ks. Eme-rard z protonotaryuszem ukazali się w progu, wiele oczów zwróciło się ku nim. Ks. Petrka nie wszysej tu znali... Z oddalonego kąta wystąpił zobaczywszy go w benedyktyńskiej sukni nimich i jakby oczom nie wierzył, ręce szeroko rozdział.

Był to ten sam, która ks. Petrka odwiedzał w Poznaniu, a królowi Bolesławowi uszedł w Gnieźnie...

Przystąpił on żywo do przybyłego — i popatrzywszy nań długą chwilę, rzekł.

— Jakże się stało, że ja tu was widzę? wyście to...

— Jam jest! — kłaniając się odparł ks. Petrek...

— Wgnano was?

— Nie — z czią mnie jako posła tu wyprawiono.

Skłonił się mnich z pokorą szyderską ks. Petrkowi.

— Czołem przed wami! — rzekł — nie ma na świecie przebieglejszego nad was człowieka ani droższego nam... Witajcie.

Gdy to mówili, szmer się stał i wszyscy miejsce na ławach szukając siadać poczęli. Dla o. Emmerarda było krzesło wygodne w końcu jednego stołu. Obok siebie z jednéj strony posadził przywiedzionego gościa.

Na kazalnietec ukazał się młody kleryk, któremu drugi przyświecał. Wszyscy powstali, uciśzono się, czytano błogosławieństwo stołu i modlitwę.

Lecz na tém się czytanie skończyło, bo zgromadzenie też milczenia zakonnego zachowywać nie myślało, i gdy kleryk zszedł z miejsca, rozmowy gwarne i śnieszki rozległy się po całym refektarzu. Nalewano kufle, misy ustawione dymiły na stołach, wszystkie ręce wyciągały się ku nim. Jadło było obfite, a mający je spożywać zdawali się zgłodniać, i chwytały je chciwie.

Ksiądz, który z sokołem przybył, miał swoje miejsce i tuż whitey kolek dla ptaka, zastępującego berło. Posłuszny sokół siadł na nim, dzwoniąc pętlami, które mu nogi kępowwały.

Z pod stolów tu i owdzie warczenie psów słychać było.

Ktoby rozmów podsłuchał -- zaprawdę dziwiłby się im nie mniej jak obrazowi tego wieczornika, podobniejszego do gospody niż do refektarza. Dwór też arcybiskupi był niemal gospodą dla mnóstwa podróżnych.

Nie przeciągnęło się jednak zbyt długo biesiadowanie, bo godzina była spóźniona, i gdy misy a kufle poopróżniano, ten i ów wstawać począł, nieczekając na wspólną modlitwę, odmawiał ją stojąc przy swęj ławie i odchodził.

Wypróżniał się zwolna refektarz, stoły puste na pół stały, a o. Emerard jeszcze u kufła siedział z ks. Petrkim i Benedyktynem rozmawiając. Liść jego zarumienione, oczy jaśniejsze, twarz rozpromieniona dowodziły, że i gościowi i wieczery rad był bardzo.

Nazajutrz rano ks. Petrek miał się stawić u arcybiskupa, a mnich pilno się dopominał, aby mu też towarzyszyć było wolno.

Tak się dzień skończył dla posła, który nazajutrz rano, pośpieszył się pomodlić naprzód u grobu św. Maurycego. Chciał tu zaczerpnąć sił i na-

tehnienia, aby wielkiego dzieła jak najskuteczniejszej dokonać.

Miał bowiem tu jak najdzielniej szkodzić Bolesławowi, a zarazem przyniesioną odpowiedź uczynić mu znośną i nicobndzającą podejrzenia. Ks. Petrek służył cesarstwu z przekonania i był pewien w sumieniu swém, iż spełnił św. obowiązek, zdradzając króla Bolesława. Gorącą więc uzbroił się modlitwą, i przejęty posłannictwem swoim, poszedł do pałacu, oczekiwać na posłuchanie.

Tu, mimo godziny ranniej, przedsienie i izby wszędzie przepelnione już były. Orszaki panów przypuszczonych do arcybiskupa, mnodzy suplikanci, ubogie duchowieństwo wiejskie — comesy i baronowie sascy, rycerstwo tłumnie się cisnęło. Dworska służba pałacowa, starała się jakkolwiek porządek utrzymać. Tłum był taki, że część jego przelewała się z przedsieni w dziedzińce.

Wyglądało to monarchicznie i wspaniale — rycerstwa było pełno, zbroi tyle prawie co czarnych habitów. Sala, w której arcybiskup Gero przyjmował, uderzała wielką na owe czasy wspaniałością. Dostojny pan otoczony był dworem licznym, wassalami, urzędnikami, dowódcami wojsk swoich, dukami i baronami. Rodzaj podniesienia, krzesło jego i najbliższych osoby pańskich, po nad tłum zebrany do koła wywyższało i zdala widnemi czyniło. Kanclerz arcybiskupi

opaci, notaryusze, sędziowie duchowni trybunału, na którego czele stał arcybiskup, w kosztownych futrach i jedwabiach, z łańcuchami na szyjach, z laskami w ręku, cisnęli się około Gerona. Sam on, podeszłych już lat mąż, sparty na łokciu siedział na wygodnej stolicy, okiem rozumnym i bystrym przyglądając się przybywającym. Rysy jego twarzy spokojne, curgiczne, wydawały człowieka co wiele przetrwawszy szczęśliwie stał u kresu, i pewien był swój potęgi.

Na skinienie jego chyliły się głowy, zwracały uszy, śpieszyli wszyscy posłusznie, okazując mu cześć i poszanowanie głębokie. Do spraw, które mu przedstawiano, choć ucha nakłaniał, skąpy był na słowa — dawał mówić, spoglądał ku swoim, jakby ich uwagę zwracał na to, co opowiadano, dozwalał swoim przybocznym zabierać głos, a dopiero, gdy obie strony dostatecznie roztrząsnęły kwestyę, słowem ją krótkim rozstrzygał.

Duchowieństwo w owym czasie nieskończenie większe i ważniejsze zajmowało stanowisko, niżeli w późniejszych wiekach. Cesarstwo dzieliło się z niem władzą, uposażało je obficie, nadawało mu prawa, potęgi jego nad duszami ludzkimi używając do utwierdzenia swej władzy. Cesarz rzymski i papież byli najwyższemi panami, sędziami, zwierzchnią władzą, z pod której nikt się nie mógł wylamać. Ręka w rękę szło cesarstwo z papieństwem, zakreśliwszy sobie pole dzia-

łania, którego coraz więcej jednak obejmowało duchowieństwo... We wszystkich krajach stanowiło ono jedno wojsko, jedno rycerstwo chrystusowe, mające wodza w Rzymie, nauczelników w metropoliach, pułkowników w diecezjach, tysięcy i setników po całej ziemi.

Kościół wspierał cesarza, lecz nawzajem miał w nim obrońcę i sługę. On rozstrzygał najwyższe spory i wyrokował, gdzie sam zażądał, był sędzią. Od kolebki do grobu podlegali wszyscy władzy jego. Małżeństwa pannyjących, dziedzictwa, następstwa, działy, wszystko się rozstrzygało przed trybunałami duchownymi, a kłątwa biskupa, gdy wyrzuciła ze społeczności chrześcijańskiej, bodaj najmłodszego pana, ścigała go aż za grób i odmawiała mu nawet pogrzebu na święconej ziemi.

Cesarz i władza świecka właściwie był tylko pierwszym sługą i wykonawcą rozporządzeń kościoła, dzierżył on to jabłko symboliczne, którym go obdarzył Benedykt VIII, ale musiał pomnieć, że je z rąk jego otrzymał.

Arcybiskup magdeburski, dotąd miał pod sobą kościół polski i czeski i po św. Wojciechu, gdy należało następcę wyznaczyć, zesłał tam paralityka Thietmara, z ramienia swego wyznaczając go. Nie mogło mu być miłym, że „chytry Bolesław“ z pod tej wierzchniej władzy wyrывał mu polskie diecezje, i osobną dla nich metropolię sta-

nowił, chcąc dla niej być cesarzem i pierwszym sługą.

Chociaż ten sam Gero zaprzysięgał w imieniu cesarza, ostatni spokój z Bolesławem, wymuszony jego zwycięstwami, i na pozór przyjacielem liczyć się musiał, nie miał nigdzie król polan większych nieprzyjaciół, zjadlejszych jak tutaj wrogów. Samo imię Bolesława, wprawiało w gniew i burzyło ich — bo mu nie uczynić nie mogli.

On co z mieczem szedł przed cesarzem raz w życiu — pełniąc miecznika urząd chwilowo — tym samym mieczem dobił się niezawistości.

Z umysłu posłańcowi Bolesława ostatnie wyznaczono posłuchanie. Ks. Petrek miał czas przysłuchać się, jak dumnie arcybiskup zbywał duków, jak groził baronom, jak hołdy przyjmował obojętnie.

Dopiero, gdy wszystkich niemal odprawiono, podkomorzy dworu oznajmił wysłańca Bolesławowego, a arcybiskup skinął tylko, aby przystąpił. Upadł na kolana ks. Petrek, jako przed dawnym zwierzchnikiem, prosząc o błogosławieństwo, a następnie z urzędu rzecz swą rozpoczął. Wiedział już o celu poselstwa arcybiskup, słuchał więc na na rękę wsparty, i dał mu wyłożyć sprawę, jako król przez Ottona III. cesarza daną i przyrzeczoną z Rzymu korony dopominając się, u najdostojniejszego arcybiskupa o pośrednictwo prosi do cesarza, u cesarza o opiekę do Ojca świętego.

Wysłuchawszy Gero podniósł nieco głowę, i uśmiechnął się wzgardliwie.

— Nie będę tał — rzekł — jakim sercem poselstwo to, urągające się cesarskiej władzy, przyjmuję.

Wiem to i ja, wie cesarz, iż na przyjaźń i sojusz króla waszego, cale rachować nie możemy. Złamał on wszystkie przyrzeczenia, zawiódł wszelkie nadzieje. „Wszystek ten stosunek z nami, „połączenie się ojca jego i jego małżeństwa, ścisła, „ślejsza zażyłość, więcej nam dotąd w istocie „szkody przyniosły, niż korzyści... I na przyszłość nie innego spodziewać się nie można. — „Jeśli udanym pokojem na czas jakiś przyjaźnym „się nam ukazuje, tysiącem praktyk potajemnych, „narusza u nas miłość i zgodę, a npatrzywszy „porę, czyha na zgubę naszą *).“ Dziwne to jest poselstwo zatajonego nieprzyjaciela, który z rąk naszych, oręża przeciw nam samym się dopomina...

Skończył areybiskup, gdy z otoczenia jego wstał merseburski biskup Thietmar, zdając się głosu domagać u pasterza, a gdy ten skinął nań, wybuchnął gwałtownie.

— Za szyderstwo i urągowisko tę prośbę chyba poczytać należy — rzekł — ażaliż się nie znamy, i nie wiemy co w sercach jest waszych? Ce-

*) Thietmar, dosłownie.

sarstwo nigdy w was przyjaciół mieć nie będzie, ani kościół powszechny sług powolnych.

Dał znak Gero, aby Thietmar poprzestał, i sam zakończył słowy.

— Mówimy to wam, miły bracie, jako znamemu z wierności słudze kościoła, nie żebyście to królowi odnieść mieli, i gniew jego a złość rozżarzyć, lecz byśmy sercom ulżyli, przez świadectwo dane prawdzie. Jaką zaś odpowiedź zanieść macie, o tém jeszcze radzić będziemy...

Wstał tedy Gero, a wnet i Krneyfer i dwór, kanclerz, podkomorzowie, ryerstwo, ruszyło się odprowadzać go uroczyście do komnat jego. Pokłoniwszy ks. Petrek ustąpił na stronę.

Wiedział on zawczasu co go tu spotka, o. Emerard oznajmił mu, iż tajemna narada i posłuchanie, w pobocznej izbie na dworze arcybiskupim, w porze poobiedniej ma się odbyć.

Do tej narady biskup merseburgski znany z nienawiści dla słowian, i świadomości ich języka i obyczajów, został wezwany. Kanclerz, o. Emerard i mnich benedyktyn mieli też być przytomni.

Ks. Petrek mający wiele do czynienia w Magdeburgu, wiele dawnych znajomych do widzenia, chwili nie tracił. Tu, wśród swoich, innym się widział człowiekiem, śmielszym, mowniejszym, żywszym, bo nie potrzebował ukrywać się z tém, co miał na dnie serca swojego.

Nie domyślał on się wcale, iż nawet tu, śledzić mógł ktoś za nim i każdy krok jego mieć na oku.

Izba przeznaczona dla narady, do komnaty arcybiskupiej była przyległą, panował tu kanclerz, i pisarze, a ogromne wolnina i kodeksa, zalegały pulki do kola. U wielkiego stołu niezajęte nigdy stało wzniesione na stopnin krzesło arcybiskupie, na którym on zasiadał, ilekroć sam schodził dla spraw ważniejszych. Obok siedział już surowego oblicza, oczów dzikich, niskiego czoła, wyrazu twarzy gwałtowny znanionującego charakter biskup merseburgski... Był to jeden z najgorętszych swojego czasu kapłanów i apostołów, ale jak to sam wyznaje, w środki łagodności nie wierzył, siłą chciał dokonywać wszystkiego.

Kanclerz był mężem większego pomiarkowania i przebiegłości, choć nie innych dla Polski usposobień.

O. Emerard żywił dla niej też same uczucia, którym w rozmowie zwrot tylko rubaszniejszy nadawał; naostatek mnich benedyktyn z nowéj-Korbei osobisty wróg króla... także mógł tylko oliwy do ognia dolewać, a ks. Petrek, wrzekomo przybyły dla popierania interesu, wiemy jak był usposobiony.

Czekając na przybycie arcybiskupa, biskup merseburgski, któremu długie milczenie było trudnem, i który nieustannie coś opowiadać musiał,

czegoś dowodzić, lub o coś się spierać — a był z tego znanyin dobrze, zabrał głos, nie mogąc znieść myśli tej, by Bolesławowi nawet pozorną wyświadczone powolność.

— To są groby pobielane — mówił — wszyscy słowianie, tak dobrze ci co się ponawracali pozornie, jak ci, co nie nawróciwszy się, udają, iż z nami chcą iść razem...

Nigdy ja tego nie pochwalałem, nawet cesarzowi, iż na Bolesława tego, najniegodniejszego — idąc, Lutyków pogan brał z sobą. To nam wówczas nieszczęście ściągnęło i niebłogosławieństwo boże! Lutyicy obok naszych chorągwi z krzyżami nieśli swoją z namalowaną boginią nagą... w którą wyrostek z orszaku margrabi Hermana, kamieniem cisnął. Za to się później cesarzowi skarżyli, i dwanaście grzywien dostali wynagrodzenia. A godziło się chrześcijańskiemu panni płacić??

Nie lepsi ci których jużemy święconą wodą i słowem pochrzcili... Widziałem sam, że się do żelaznej obręczy modłą, Honidlem ją zowiąc, i około trzód ją obnosząc.

Nie lepiej pewnie i koło Gniezna? zwrócił się do ks. Petka.

— Bogów ci powywracano w lasach — odparł protonotaryusz — ale ich chowają ludzie po pieczarach, a dawne swe obrzędy odprawiają pewnie. Większa część dobrze, jeżeli się przeżegnać umie.

— Tak ci jest! — potwierdził biskup merse-burski — tak jest w krajach wielu, gdzie krzyże zatknięto, eo się chrześcijańskimi zowią, a w rzeczy pogańskimi są. Mamyż się dziwować, iż Bóg nuściwy karze, iż znaki się okazują na niebie i ziemi srogie a przerażające?

— To wasza przewielebność słyszała — wtrącił o. Emerard — iż nie dawno słońce przed zejściem swém, dziwnie krwawém było i jakby na pół rozciętém widziane.

— W miesiącu sierpniu — dodał Thietmar — ukazała się nowa jakaś gwiazda obok Niedźwiedzi, która daleko rozchodzącemi się promieniami przestrasza we wszystkich obudzała.

Nigdy za naszej pamięci nie podobnego nie oglądaliśmy... „Ale który wszystko wie, zna ją i znalazł ją roztropnością swoją“ (Baruch. III 32).

W prowincyi Turynгии czyniło szkodę trzech wilków ukazujących się razem, dotąd nigdy przez mieszkańców nie widywanych... ludzi i bydło zjadła napastnjącym.

Mówił to Thietmar z przejęciem wielkiém i namaszczeniem, z wiarą głęboką, jaką wszysej nówczas dzielali, iż te niezwyčajne zjawiska, zwiastowały ludziom straszne kary i klęski.

Sam o sobie też pisał z mocném przekonaniem o prawdziwości wypadku, że go raz szatani we śnie zmnsili do zjedzenia jakiejś złośliwej trawy, uwarzonej dlań nuyślnie, której skutek ten

był, że kilka ciężkich potem dopuścił się — błędów...

Nikt też nie wtrącił słowa w to opowiadanie, ani śmiał przeczyć, dodawano raczój do niego.

Mnich benedyktyn mówił, że w jednym z miast saskich, niewiasta urodziła dziecię z dwoma głowami, a każda z nich miała w sobie po troje oczu...

Nad wykładem mocno się zadumał biskup merseburski, lecz nie podolawszy mu na razie, wniósł tylko, iż straszliwe klęski miały spaść na świat z rozdwojenia władzy, najpewniej duchownej... z nowych herezji, które oczy oznaczać bardzo mogły.

Rozpowiadano i inne budzące powieści tego rodzaju, gdy arcybiskup wszedł, poprzedzany przez pacholąt dwoje. Te drzwi otworzywszy, gdy wszyscy na powitanie powstawali — znikły natchmiast w przedsiem.

Gero sen jeszcze miał poobiedni na oczach, zwłókl się do trom swojego, zasiadł na nim, i zagaił krótkim słowem.

— Mówcie bracia mili, rad słuchać będę — a co duch święty natchnie... ogłoszę wam.

— Czeinajgodniejszy, świętobliwy, dostojny panie — odezwał się ks. Petrek — niech mi wolno będzie rzec naprzód słowo, nie z urzędu, lecz z sumienia.

Skinął Gero — a protonotaryusz ciągnął dalej.

— Tak jest z sumienia mówić będę. Przybyłem tu jako posłannik tego, który u pana naszego cesarza nie zasłużył na łaskę i wiarę. Niech mi to za złe policzonem nie będzie.

Tego się domagam dla uspokojenia duszy mojej — o to proszę, a czcigodnego o. Emerarda, oraz innych tu przytomnych wzywam, aby mi dali świadectwo.

Szmer się rozszedł po izbie.

— Spokojni bądźcie!

O. Emerard rzucił kilka słów pochwały. Skłonił się ks. Petrek i nastąpił.

— Więc tedy ów niepoczeiwy zdrajca i wróg, korony żąda? — odezwał się Thietmar... — i do nas się o nią odzywa? Zaprawdę zniechwalstwa większego wyobrazić trudno, alieci to nie jest więcej niż zniechwałością, bo uragowiskiem?

— Nie uraga się on — odparł ks. Petrek — boleje i męczy się. Potęga cesarska cnie się mu daje. Dojada mu zazdrość, bo czesi, dnieczycy i węgrowie nawet już to posiadli, o co on się dopiero dobija.

— Czesi się od kościoła powszechnego, ani z pod mojego zwierzchnictwa nie wyłamują — odezwał się areybiskup.

— Bolesław korony chce tylko na to, aby się niepodleglejszym od nas uczynić — rzekł Thietmar.

— I aby synowi — dodał benedyktyn — który siły jego mieć nie będzie, dać z nią błogosławieństwo apostolskie, błogosławieństwo, któreby uświęciło łupieżę i nieprawę nabytki pieczęcią swą zamknęło.

— Cóż mu rzeczymy? — spytał Gero.

Kancelarz zażądał głosu.

— Wasza dostojność — rzekł zwracając się do Gerona — łatwo się zbędziecie natrętnej prośby tém, iż chociażście pośredniczyli do pokoju z Bolesławem i poprzysięgali go w imieniu cesarza, właśnie przez to, że pokój ów spokoju nie przyniósł — uczestnikami żadnych traktowań być nie możecie.

Szmer pochwalny słowa te utwierdził, a Gero głową dał znak, iż znalezioną formę odpowiedzi przyjmował.

— Na tém nie dosyć — odezwał się Thietmar — na tém nie dosyć...

Jakkolwiek od łona macierzystego metropolji magdeburskiej nieprawnie oddarto polskie kościoły, nie mniej czeinajgodniejszy pan nasz a zwierzchnik, musi kraj polski uważać, jako sobie podległy.

Gero znowu głowy skłonieniem prawdę przyznał wnioskowi.

— Więc i pieczołowitości jego pasterskiej przynależy — ciągnął Thietmar dalej — cznwać nad losami tego kraju. Korony mieć on nie bę-

dzie, póki cesarz włada imperium i światem; raczej zawczasu myśleć trzeba co czynić, by oderwane kraje wróciły do prawej władzy.

— Święte słowa — potwierdził benedyktyn. — Matka moja dziedzictwo swoje i nasze ofiarowała apostołskiej stolicy.

— Czyni się na dworze bolesławowskim od lat wielu wszystko, co zwyczajstwo dać może cesarstwu z czasem — począł o. Emerard. Powolna to praca, trud ciężki i ofiarny, ale z pewnością do celu wiedzie. Dla czego Odę matkę waszą, z klasztoru dano Mieszkowi... nie dla tego tysiąca więźniów niemieckich których wyzwoliła, ale dla zbawiennego wpływu na dworze.

Dla czego przemądry pan Otto III. acz się dał gładkim Bolesława wprowadzić słowom, zaszczycił syna jego związkiem z Ryksą, własną siostrzenicą? — Wszystko się to czyniło i czyni, aby wpływ tam nasz powoli utwierdzić i zapewnić go.

— Mało tego — rzekł cicho ks. Petrek — z pewnym wstydem i wahaniem, jest jeszcze do zrobienia coś, co dokonać śpiesznie należy. Bolesława chęci są znane, niewieściea pleć go ciągnie ku sobie, może nad nim wiele niewiasta. Emmilda królowa nie naszą jest, ani ku nam serca nie ma. Tę mn odjąć, a Odę markgrafównę, na którą już okiem rzucił — winno być celem zabiegów.

Śmiała ta myśl, zrazu milezeniem przyjętą została...

— Lecz jakże to się może spełnić? — zapytał o. Emerard.

— Wielce łatwo, jeżeli się ku temu ręki przyłoży — dodał ks. Petrek.

— To rzecz wasza — rzekł Thietmar — wy też czuwać powinniście, abyście go obsadzili ludźmi nam pożytecznemi. Sprzyja nam pobożna i rozumna Ryksa, może ona ich wzywać ku sobie. — Mnożyć potrzeba tych, na których by się opierać można, a tak jak on nas, niecny, przewrotny człek, siecią swych podstępów otacza, my go winniśmy opasać wiernemi naszymi.

— Mam nadzieję w Bogu, iż to królestwo jego — mówił cicho ks. Petrek, nie ostoi się długo. Zlepek to z chrustu i gliny, purpurą na chwilę pokryty. Synowie królowej Ody, Bezprym odepchnięty od następstwa przez ojca, Mieszko; Ruś zwyciężona, Węgry pokrzywdzone, Czesi rozdrażnieni, poganie czyhający na chwilę dogodną, rozerwą, to państwo, gdy ten co je sklecił głowę w mogile złoży.

— Amen! — zawolał Thietmar z gorącością, oby się słowa wasze ziściły, albowiem nie tylko interes cesarstwa i nierozzerwanego z nim kościoła domaga się tego, nie tylko sprawiedliwość chce, ale upokorzenie nasze, czyni to koniecznym: poganin ten jadowity, zmusił nas do pokoju, ode-

brał nam kraje, śmiał powagę cesarską nadwyrężyć i wstrząsnąć nią, to pomsty woła.

Arcybiskup wszystko co mówiono oczyma i ruchem ręki potwierdzał.

— Niech Bóg nie pamięta świętemu panu Ottonowi III. — ozwał się w końcu — iż nie poznawszy się na zdrajcy umiłował go, wbił w pychę i dał mu oręż w ręce.

— Włóczyń św. Maurycego! — westchnął Thietmar, nieoszacowany ów skarb, którego cudowna siła, dała temu psu wściekłemu zwycięztwo. Bo nie inaczej jest, nią on pokonał nas, człek nieprawości pełen, wszetecznością do szpiku zjedzony.

— Przyczynia się do tego — dodał ks. Petrek — z przekonaniem głębokiem, i zasługą świętego męczennika Adalberta, którego ciało wykupiwszy, czcią otoczył. To mu jest tarczą i włócznią.

Westchnęli.

— Z samych niebios przeciw nam czerpie oręż! — zawołał Thietmar — tak przebiegłym jest poganin ów.

— Nie można mu też zarzucić, aby wiary nie krzewił — dodał ks. Petrek — mnichów z Kłm-jaku sprowadzono siłą, a ciągle nowi płyną.

— I służą mu, jak ten lis opat tyniecki, niegodny sukni którą nosi — rzekł Thietmar!

— Przewrotność go pobożnym czyni — wtrącił

benedyktyn. — Boga mieć chce przeciw cesarstwu z sobą.

— Lecz runie przy pierwszej burzy, to gniazdo nieprawości — wołał Thietmar — a im wyżej je osadzono, tém haniebniejszym będzie upadek jego.

Z kolei arcybiskup szepnął amen, a że się na siedzeniu swém, niecierpliwie trochę poruszył, poczęto myśleć o zamknięciu wyczerpanej narady.

— Spieszcie macie rozkazy do powrotu? — rzekł Gero — ażali nie byłoby lepiej zwlec z odpowiedzią, w niepewności go zostawić, aby innych ubocznych starań niedopuszczyć.

— Rada mędra! — rzekł Thietmar. — Nie żebyśmy stolicy apostolskiej, lub siedzącemu na niej mężnemu pogromcy Saracenów, Benedyktowi, wspólnemu ojcu naszemu — nwlęczał, lecz przez Tuskulan doń trafić mogą, zabiedz. Papież neha może dać doradzeom. Któż wie, ażali im nie przyśle korony, uwiedziony tém, że ją Otto III. przyobiecał, że on będzie chytrze obiecywał cesarstwu podległość.

Tak jest, czeigodniejszy pasterzu — tak jest — zwlec odpowiedź?

— Nie jabym się na to uskarżał — odezwał się ks. Petrek. Zaprawdę, nie ja, co się tu mogę modlić u grobu patrona mojego osobliwego, a napawać wonią tego, co go otacza. Słabe siły moje, lecz, ażali i te, gdy ich tam nie stanie, gdy strąży

i pilności zabraknie — nie dadzą im nowęj mocy? Kto wie co oni tam pod niebytność swoją przedsiębrać mogą? co knuć tajemnego? a kżóto o tćm doniesie gdzie należy?

— Słuszna co mówicie — odczwał się Gero — więc wszystko to rozważywszy na szali roztropności, odpowiedź wam damy w niedługim czasie.

To mówiąc pobłogosławił zgromadzenie, które powstało i ruszyli się z miejsc wszyscy. Miłczenie panowało w izbie. Thietmar idąc u boku zwierzchnika, towarzyszył mu do komnat wewnętrznych.

O. Emerard zabrał się też do wyjścia z widoczną radością, iż się narada skończyła.

Mnich benedyktyn posępny się wysunął, dając widzieć po sobie, iż choć więcej mówić nie śmiał, myślał wiele i inaczćj.

O. Emerard ujął pod rękę ks. Petrka i szepnął mu na ucho.

— Wszystko to sprawy poważne i wielkie! a największćj wagi, alści sprawa żołądka w człowieku śmiertelnym i złomnym, do posłednich się liczyć nie powinna. Z niego płyną sily, na chwałę Bożą się potrzebujące.

Tu pochylił mu się jeszcze bliżćj ucha.

— Chodź — rzekł — wino mam, ofiarowane mi z Burgundy, koronowanych ust godne, skosztujemy go, bo takiego u Bolesława pić nie bćdziesz. Ten słysząc w piwo wierzy i pogański swój miód.

— Który do pogardzenia nie jest — odpowie-

dział cicho ks. Petrek — znam takie, które z winem w zapasy iść mogą!

— A ja ich próbować nie chcę i nie myślę, zakończył wesół o. Emerard.

I mówiąc, skłoniwszy głowę wszystkim do koła z ks. Petrką razem wysunął się drzwiami bocznymi, przez korytarze ciemne kierując do celi, której wygodne siedzenie i cynowy ów kufel zdala mu się uśmiechały.

Gdy się to działo, a ks. Petrek z zamyślnym spokojem dokonywał co zamierzył, w myśli się tylko przygotowując do powieści z jaką miał wystąpić gdy powróci — malutki pisarzyna, człeczka pokorne i nieznaczące, wychowaniec kanclerza arcybiskupiego, braciszek Arnolt, gotował z wszystkiego co się tu działo, mówiło, co ks. Petrek wypowiadał, czém grozili inni — wierne sprawozdanie. Spisane na kawalku tak zwanego „pargaminu greckiego“ (papieru bawełnianego), wklejone w okładziny kodeksu przeznaczonego dla benedyktynów w Trzemesznie, miało ono przez własne ręce ks. Petrka, z nim razem jechać do opata tynieckiego. Mógłże chytry i przebiegły protonotarjusz nawet przypuszczać, iż coś podobnego z dworu arcybiskupa wynieść, a jego ręką użyć za narzędzie się ośmieli, ku przestrodze królowi Bolesławowi?

Nad kufelkiem wina siedząc ks. Petrek, choć nie wtórował, ale się uśmiechał nieącemu cichutko

o. Emerardowi, starożytną, bardzo wesołą piosnkę klasztorną:

„Bibit ille, bibit illa,
Bibit servus cum ancilla...
Bibit iste, bibit ille,
Bibunt centum, bibunt mille...”

(Pije tamten, tamta pije, pije sługa i służąca —
pije jeden, pije drugi, i stu pije i tysiące.)

VIII.

Chociaż się chwilowo pozbyto ks. Petrka, którego opat umiał wyprawić, nie ściągając królewskiego podejrzenia, obawa królowej Emmildy trwała ciągle, aby się jej pobożne klanstwo nie wydało. Dochodziły ją zewsząd zatrważające wieści, iż o ocaleniu Jaksów mówiono wiele, że na dworze panowało przekonanie, iż uszli za granicę.

Ciche te zrazu szepty z czasem się zwiększały, rozechodziły, nabierały coraz większego prawdopodobieństwa, bo je wiele nst głosiło. Wiele mówiło, że ich tam i ówdzie widziano, że o nich posłuchy miano, jakoby się na dwór węgierski schronili, inni o nich opowiadali, że w Czechach gościli, inni że na Rusi przyjaciół znaleźli, co ich przechowywali.

Dochodziło to królowę ze wszech stron i trwo-

żyła się święta pani, modląc a płacząc, gotowa raczej już przyznać do swojego przestępstwa, niż żyć w téj ciągłej trwodze i uczuciu przewinienia.

Napróżno opat i inni duchowni, którym się na spowiedzi zwierzyła, pocieszali ją i starali dowieść, że grzechu nie popełniła, że to był grzech ofiary i miłosierdzia. Święta niewiasta czuła się winną względem tego, któremu poprzysięgła wiarę i posłuszeństwo.

Był to wiek obfity w tak pobożne jak Ennilda niewiasty; wpływ duchowieństwa, wychowanie, mnogie przykłady, podnosiły je na duchu. Wprawdzie Oda, Mieczysławowa żona druga, dała się uwieść z klasztoru i rzuciła życie zakonne, lecz i ona żałując później tego postępuku, wróciła do zakonu po śmierci męża, a przebaczenia szukała w Rzymie.

Wśród ówczesnych pań, żon cesarzów, królów i książąt, przykłady świątobliwości są niezmiernie liczne. Wiele z nich buduje klasztory i zamyka się w nich, wiele prowadzi życie męczeńskie dobrowolne. Mnóstwo takich niewiast pobożnych przypominają współczesne kroniki; cesarskiej krwi pań, które nędzę, chłód i głód znosiły, aby umartwić ciało, a duszę dźwignąć ku niebiosom, i umierały jak owa Elfryda i Irmingarda przy kościele Rotunda w Magdeburgu, uważane za błogosławione. Taką nam opisuje Thietmar, ową pustelnicę w Traumbitz, nieporównanej

pobożności niewiastę, która ze czasów Ottona W. już była wyswatana w małżeństwo, a potem uszedłszy od niego, przez sześćdziesiąt cztery lata wytrwała w życiu najostrożniejszem. „Przez ten przeciąg czasu — pisze kronikarz — nigdy się w zimę najcieńszą przy ognisku nie ogrzała, a największym środkiem do rozeplecenia członków zdrętwiałych bywało, iż na ogrzanym trochę kamieniu krótko ręce i nogi potrzywała. Wewnątrz swój cel trwała na nieustannej modlitwie, ze łzy rzęsiściemi, a napływający do niej łud nauczala i pocieszała. Nie zrzucala z siebie robactwa, które ją ciągle obsiadało... nie korzystając z podarków, które łud jej znosił w ofierze, rozdawała je między ubogich...”

Na takie to przykłady zapatrywały się ówczesne królowe i starały się je naśladować. Emmilda szła w ślady innych wielu i była prawdziwą chrześcianką wśród dworu i otoczenia, które, mimo największej chęci dla wiary, ducha jej w sobie nie miały.

Życie jej, choć blask otaczał, było niemal ciągłą walką i męczeństwem. Patrzeć musiała na przekroczenia, których powstrzymać nie mogła, często milczeć i płakać, rzadko ośmielając się rzec słowo i błagać króla o naprawę złego.

Świątobliwość ją osamotniała, bo choć synowa równie się okazywała pobożną, więcej się już sprawy świeckimi zajmowała. Widywały się rzadko, wymurzały przed sobą rzadziej jeszcze.

Tylko usilna prośba opata mogła królowę powstrzymać od zawczesnego zdradzenia tajemnicy i przyznania się do winy.

Opat Aron, nie bez powodu przewidywał, iż król sam żałować będzie zbyt surowego wyroku, szczególnie z tego powodu, iż kara na Jaksów wyrzeczona odebrała mu cały zastęp sług wiernych, ród możny i spowinowaczone z nim, które się od dworu i króla usnwały.

Bolesław już razy kilka bolał nad stratą, jaką ponosił. Dotkliwą ona była w chwili, gdy właśnie przyszedł tron synowski usilował otoczyć silnemi podpory.

Wśród tej trwogi królowej Emmildy, baczna markgrafowna Oda, która i jej i Mieszkowej żenie Ryksie, i wszystkim, co jej na drodze do tronu stało, szkodzić się starała, rzuciła myślą na zapomnianego i odsłoniętego Bezpryma.

Opowiadanie o wypadku w łaźni, które się rozeszło szybko po dworze, obudziło jej ciekawość razem i poddało myśl zbliżenia się do niego. Chciała mieć w nim na przypadek sprzymierzeńca. Czula to dobrze, iż opuszczony przez wszystkich, znękanym Bezprym, wdzięcznymby był za każde słowo i wejście życzliwsze.

Nieszczęściem wiele przeszkód nie dopuszczało jej zbliżyć się do niego, ale od czegoż była Pannieha?.. Wchodziła ona i włóczyła się wszędzie, nosiła co jej kto powierzył.

Słudze więc kazala wyszukać staręj baby i zaniknęła się z nią sam na sam. Przybyła padła jej naprzód do nóg, tysiącznemi obsypując błogosławieństwami. Mówiła, gdy jej nie nie przeszkadzało, z obfitością wyrazów nadzwyczajną, choć niewielkim ich doborem.

— Kwiatku ty pański mój, królowo ty moja... bo tobie taki być królową... śliczności ty moje... czém nędzna Panieha służyć tobie może?..

Oda nie odpowiedziała rychło, a Panieha ciągnęła żywo.

— O! wiem ci ja to, wiem! co takiemu hożemu rozkwitłemu kwiatkowi dawno potrzeba... żeby sam nie wiądl na łądydze... ale do wielkiej krwi trzeba i wielkiego rodu męża! A no... poczekajcie maluczko... znajdzie się taki, co wysoko cię posadzi... Masz litość nad ubogiem, to się też Bóg Chryst miłosierny nad twoją tęsknotą ulituje dziewiczą... Ja to wiem! ja to czuję... Wielkie cię losy czekają...

Uśmiechnęła się Oda dumnie, lubiła podchlebstwo.

— Ja ani się nudzę mojem dziewiectwem, ani się troszczę o przyszłość — rzekła — pewnie że nie zmarnuje się mój wianek... O tem nie mówmy, stara... o czém imém chcę ci powiedzieć...

— Na rozkazanie twe, królowo moja, uszy i ręce i nogi... — zawołała stara.

— Tu się nie wszystko tak dzieje, jakby ono

powinno — mówiła Oda powoli niemi się zabawiając, aby na starą nie patrzeć — serce litościwe znieść tego nie może, a radeby z pociechą dla biednych...

Nie rozumiejąc jeszcze, o co to iść mogło, Panicha kręciła tylko głową potakując, mruczała cicho:

— Pewnie! pewnie!..

— Jedni mają do zbytku, drugim na chlebie niemal zbywa — mówiła dalej markgrafówna — jednych otaczają dwory, drugim i pacholka brak...

W tém wstała i podeszła do baby.

— Widziałś ty kiedy królewskiego syna Bezpryma? — spytała.

Oczy Panichy jak przestraszone biegać zaczęły dokola, twarz przybrała wyraz niepokoju.

— Tego, którego królewicz młodszy niedawno precz z łaźni wyrzucić kazał, jak — niewolnika?..

— Tego samego.

— Zdalekam go widziała — szeptać poczęła szybko baba. — Zdrow i silny, ale niepiękny... zameczyli go trzymając ze psy i ptakami w zamknięciu... Jeden stary ugr wierny mu nie odstępuje od niego.

Znać Panicha posadziła Odę o jakieś zamysły na królewicza i głową zaczęła potrząsać.

— E! jemn na tę biedę trudno radzić... król miłościwy pan sam go na nią skazał!.. Już on

z téj dziury, w którój go zamknięto, nie wyjdzie... nie wyjdzie, chyba...

Potrząsała głową nie domawiając.

— Co wam po takim biedaku? — dodała.

Oda się rozśmiała pogardliwie.

— Cóż ci się śni, ty stara? — przerwała — myślisz, że mi się podobał?..

Panicha popatrzała na nią.

— Dlaczegoż o niego pytacie, królowo ty moja?..

— Bo mi go żal... chciałabym mu pomóc, na jaw go wydobyć... ale mu trzeba dodać serca, bo je stracił.

Baba widocznie nie rozumiała dobrze, lecz okazywała postawą swą, że na wszystko była gotową.

— Chodźcie wy na ich podwórze? — zapytała Oda.

— Psy złe... ale... jnsi... a kij od czego?..

— Znaście starego Ghezę?

— Kilka razyśmy się łajali... ezemu nie... — mruczała stara. — Powiedźcie tylko, czego chcecie, a już reszta moją sprawą.

— Chcę, byście węgry starego do mnie przysłali, aby przyszedł potajemnie na rozmowę... Może się jemu i panu zdam na co?..

To mówiąc rzuciła coś w fartuch Panisie, która ręce podniosła i do ziemi dziękując przypadła.

Potém nie mówiąc nic głową znak dała, że spełni rozkaz, i wyszła spiesźnie.

Panicha wszędzie się wcisnąć umiała; ludzie, choć ją podejrzywali o różne sprawy, wyśmiewali się chętnie, szydzili z niej i to ich zabawiało. Tego samego dnia znalazła się w podwórku Bezpryma i pod ścianą usiadłszy na pieńku, udała że drzémie. Najrzeli ją pacholćkowie i zaczęli krzyczeć, łajac i przedrzwiewając; odpowiedziała im przekleństwy, żądając, by jćj spokojnie dali choć zasnąć, gdyż gdzieindziej nie miała pokoju.

Udawała tak napół nśpioną, gdy nierychło Gheza się przewlókł w brudnym kożuchu przez podwórze. Najrzawszy go posunęła się za nim do sieni. Węgier się obawiał czarownicy i krzyknął, aby się do niego nie zbliżała.

— Ja z wami mówić muszę, nie dla was, dajby was licho gniotło — zawarczała baba — a dla waszego królewicza. Jeśli go miłujecie, to mnie posłuchacie.

Gheza stanął, wszakże zdaleka się trzymając.

Zwolna, nie chcąc poduosić głosu, zbliżyła się Panicha ostrożnie.

— Staraj się, ty stary, dostać potajemnie do markgrafównćj... ona wam na biedę waszą radzić chce. Rozumiesz? A panu Bogu i starćj babie podziękujcie, że wam to przyniosła.

Gheza nie zdawał się dobrze rozumieć, po-

wtórzyła inaczéj toż samo Panicha, usiłując mu wpoić przekonanie, że wiele na tém dla Bezpryma zależeć może. Gheza stał jeszcze jakby odrzucony, gdy stara gniewna, że się nawet przybliżyć do niej nie chciał, odeszła.

Od nieszczęścia, jakie go w łaźni spotkało, Bezprym jeszcze nie przyszedł był do siebie. Wrzał zemstą, która mu niemal zmysły odejmowała. Rzadko na ławie wyleżał, psy swe nogami kopał, po izbach latając z pięściami zaciśnionemi. Gheza go nie hamował, chcąc mu się dać wyburzyć.

Z poselstwem Panichy wchodząc zastał go jakimś wypadkiem, po wysiłku takim gniewnym, uśpionego snem twardym na ławie.

Jeden z psów jego ulubionych siedział na straż przy nim, głowę na nogach jego trzymając opartą.

Gheza jak ten pies przysiadł cicho i sparty na rękę, czekał téż, aż się Bezprym obudzi.

W godzinę może zerwał się z krzykiem i nierzecliwie opamiętał, obaczywszy wiernego sługę, który mu kubek podał, aby się po śnie orzeźwił. Spalone wargi przyłożył doń Bezprym chciwie i okiem mu podziękował.

Legł zaraz znowu.

Gheza przysunął mu się do ucha.

— Słuchajcieńo dobrze, panie mój, co to ja

wam przynoszę. Słuchajcie a rozważcie... i mówcie, co ja mam poczynąć?

Noszą tu jedną starą babę zle duchy po dworze... Czarownica to pewno... jedza zła. Przyszła dziś do mnie z liściowem słowem (splunął stary) jakoby od markgrafówny Ody, abym się ja z nią starał widzieć, a ona tobie, królu ty mój a panie, coś pomódz może.

Zerwał się Bezprym i siadł.

— Naprawdę? — spytał.

— Albożbym śmiał klamać przed tobą, sokołe ty mój złoty? — z wyrzutem niemal odezwał się Gheza — ja?..

— Nie więcej nie mówiła?

— Nie. Co mam czynić?

— Co? — począł Bezprym gorąco — co? bezmózgi stary... czyż nie rozumiesz tego, że mnie gdyby szatan przyszedł pomagać, muszę go wziąć.

Gheza aż się cofnął przestraszony temi słowy, brwi mu się najeżyły.

— Nie mówcie w złą godzinę! — zawolał — nie wołajcie Liha, aby nie przyszło...

Chcecie — rzekł do chwili — toć pójde dla was, gdzie każecie.

— Trzeba ci iść, trzeba iść, słuchać pilno, odnieś mi słowo każde!.. Słyszała pewnie markgrafówna, co zrobił ten pies... żal ją wziął nademną, królewskiej krwi dzieckiem... Trzeba iść...

— Pójde — odparł Gheza acz niechętnie —

pójdę, ano się to na nic nie zda! — Ona tu nie nic znaczy, ją samą ztąd lada dzień wyżeną...

— Daj Boże! — zawołał Bezprym — toby wróciła silniejsza.

I zamysłili się milezący. Potém powtórzył jeszcze kilka razy.

— Trzeba ci iść, niech nie czeka, aby się w niej co nie zmieniło.

— A jak się do niej dostać? — mruczał stary — jak? żeby ludzie nie widzieli. Zobaczą mnie tam, to mnie pletniami wysmagają precz.

Bezprym zerwał się z ławy.

W kącie izby stała skrzynia okuta, poszedł do niej prędko i otworzył wieko. Trzymał w niej po matce resztę droższej spuścizny. Dobył ze dna złoty obręczyk i przyniósł go Ghezie.

— Nie dalbym za nic tego, co macierz moja nosiła — rzekł — a no trzeba, aby dziecko jej obronić się mogło od sromoty. Nie mam nic, co za dziw, że sprzedać chcę, abym sobie szatę dostał nową.

Powiesz, żeś do niej posłany ode mnie. Rozumiesz — ale obręcz tę dasz jej odemnie, tak — przez wdzięczność, że wspomniała o zelżonym Bezprimie.

Gheza nie nic mówiąc, wziął złote kółko i wsunął je za nadrę, z głową spuszczoną z izby wnet

wyszedłszy, spieszył się przyodziać lepij. Wstyd mu było stanąć tak przed markgrafówną.

Nieznacznie się po tém z podwórza wymknął i bładzić począł, jakby nie mając do roboty, około świetlic niewieścich. Kręcił się tu czas jakiś to zbliżając, to oddalając, to zaglądając w przedsień, gdy służebna jakaś znak mu dała. Szedł tedy za nią ostrożnie. Boczuemi drzwiczkami wprowadziła go do małej izdebki. Tu już Oda nań oczekiwała. Wpniściwszy wymknęła się sługa, a Gheza przypadł na kolana przed piękną panią, która z rozognionemi policzkami i oczyma, zbliżyła się do klęczącego.

— Powiedzie — rzekła spiesźnie — powiedzcie panu swojemu królewiczowi, że są ludzie co się nad jego losem litują i postarają się mu pomódz u ojca. Czemu on siedzi zamknięty i nawet nie mruknie, kiedy się nad nim znęcają? nawet nie jęknie, kiedy go biją? Niech ma odwagę i śmiałość, gdy mu mówić dadzą. Rozumiesz. Powiedz mu to, niech ma odwagę, niech się skarży, niech grozi, niech się uczyni strasznym, a będą się go bali... Gdy się go nie zlekna, to go zgniotą.

Gheza wysłuchał pilnie. Odzie spieszo odejść było, szła już, gdy przypomniał sobie obręczyk złoty, i położył go u nóg jej.

— Miłościwa pani — rzekł — klejnot to po nie-

bo szesze królowej, mój pan go wam przysyla jako dar dziękczynny.

Schwyciła markgrafówna z widoczną radością, wcale się nie broniąc od przyjęcia go i wnet na rękę włożywszy, kilka razy ją obróciła przeciw światłu, aby się przypatrzeć, jak pulchnej ręce było pięknie w złotój, grubiej przepasec.

Gheza pospieszył do pana, aby jednego nie zapomnieć słowa i odnieść mu co nakazano.

U wieczery Oda się gotowała do rozmowy z królem, a ilekroć chciała jej, potrafiła zawsze uczynić jak postanowiła. Zwykle gdy do śpiewów przychodziło i piasów młodzieży, wychodziła królowa Emmilda, często i Ryksa szła za nią. Naówczas panowanie pięknej niemkiny się poczynalo. Śmiało czyniła, co się jej podobalo, nie troszcząc co o tēm nazajutrz mówić będą. Nie unikała króla, narzucała mu się i kilka razy dała publicznie chwycić i pocałować. Śmiechem przyjmowała to, wcale się nie sromając. Raz spadł jej wianuszek, co było jakby niedobłą przepowiednią, zdjęła go z ziemi i włożyła na głowę, nie zarumieniwszy się wcale.

Tego wieczora król patrzył zdala na pląsy niewieście — nie było przy nim ze dworu nikogo, oprócz starego Sicciecha, który, gdzie się zabawiano więcej córki pilnował, niż króla.

Przysnęła się więc Oda do Bolesława śmiało.

Oko jego padło na jej rękę i zdawało się ze

zdamieniem wielkiem poznawać ów obręczyk złoty. Spojrzenie zrozumiała Oda i ręką potrzęsała tak zręcznie, aby król się mógł dobrze klejnotowi przypatrzeć. Nie spytał jednak z kąd go miała.

Po chwili sama się, obręcz znown nadstawiając, przysunęła do króla.

— Pamiętacie pewnie kolee te na ręku królowej Judyty? Otóż się owo mnie dostało. Syn królowej nie ma za co sprawić opończy i po matce klejnoty sprzedaje i mienia. Jak psa wyganiają go z łaźni, a ojciec umileczy?

— Kto się wyganiać daje — zawołał król — ten wart by go precz wyrzuceno.

— Dziś sam i bezsilny, przyczai się, zmileczy, a co się namota na jutro! E! jutro dla Mieszka być może straszne. Nie trzeba drażnić i zająca bo ugryzie. Wy robicie sobie, miłościwy panie z własnej krwi wrogów.

— Śmiała jesteś, że mi to mówić się ważysz!

— Dla czegobym umilezić miała? Kto dobrze życzy, ten prawdę mówi. Róbcie jak lepiej.

I pobiegła do dziewcząt, jakby ją to już nie obchodziło. Król ścigał ją oczyma długo i wkrótce wyszedł do sypialni. Siecich go jak zwykle odprowadzał, Zyg też towarzyszył panu, to miaucząc jak kot, to burecząc jak pies, to skowycząc jak jakieś zwierze dzikie. Ale król ani się obejrzał na niego, mileczący był.

Gdy domownicy odeszli na chwilę, Bolesław się ocknął.

— Sieciechu mój — odezwał się — nie słyszna wręście jest, aby ten gnuśnik Bezprym gnił zaunknięty. Nie chcę dlań uczynić wiele, ale nie mogę nic nie zrobić. Złość tylko w nim kipi — trzeba ich z Mieszkim pojednać i dać mu swobody więcej. Dzieckoć to moje.

Sklonił się stary nradowany.

— Święte słowa twe, panie! — rzekł — ale je dawno rzec należało. Przebaczenie!

— Rzekłbym że był dawno, gdyby się one przydały na co — począł król. — Jak dawniej tak teraz nie z nich nie będzie. Bezpryma znam, zły jest a bezsilny, będzie pragnał wiele, a nie otrzyma nic. — Aliści sumienie uspokoić muszę. Przywiedźcie go jutro do mnie.

Sieciech zapytał o godzinę, król ramą wyznaczył.

— Każcie mu się odziać przystojnie, i niech Mieszko tu będzie razem.

Rozkaz królewski spełniał się zawsze ściśle, wnet więc z sypialni podążył Sieciech do królewicza Mieszka, który z Ryksą i kilką Niemcami z jej dworn, na rozmowie siedział jeszcze.

Gdy wołę ojcowską mu objawił, Mieszko się zerwał zaczerwieniony i zburzony, lecz żona go natychmiast do opamiętania przywiodła kilką słowami, a ochmistrz wyszedł, spiesząc do Bezpryma.

Tu nadzwyczajne odwiedziny jego popłoch wzbudziły ogromny, a gdy nie oznajmując się, wszedł do izby Bezpryma, którego zastał w nędznej odzieży przed ogniem wyciągniętego na ziemi z psami razem, królewski syn ledwie oczom swym wierząc, długo nań patrzył nim powstał, aby posłuchać z czem przychodzi.

Sieciechowi żał było Bezpryma, jak wielu innym na dworze.

— Przychodzę do was, miłościwy panie od króla — rzekł — ze słowem dobrem.

Rozśmiał się Bezprym szydersko.

— Nie śmieciecie się — mówił stary — król chce was jutro widzieć u siebie i z Mieczkiem pojednać.

Krew uderzyła na twarz synowi Judyty, — zerwał się z ziemi cały, wstając jak oparzony, psy za nim skoczyły przelękłe, zaczynając warczeć i szczekać.

— Co król każe, spełnić się musi — spokojnie dodał Sieciech — a dla waszego dobra też tego potrzeba. — Otrzymacie więcej swobody, pewnie i inne jakie dobrodziejstwa. Serce królewskie poruszyło się dla was.

Milezał uśmiechając się drwiąco Bezprym — patrzył w ziemię, Sieciech ciągnął powoli.

— Ojcu potrzeba wiele zapomnieć. Któż wie ażali on nie próbuje i nie doświadcza?

Bądźcie dobrej myśli — a jutro go nie dra-

źnijcie słowami ostre. Wezmijcie co wam dadzą, aby po tém więcej otrzymać.

Sklonił się Sieciech i nie czekając odpowiedzi, wyszedł natychmiast, w pierwszej izbie nakazawszy Ghezie, aby nazajutrz odział Bezpryma jak przystało i nie dał mu się nędznie stawić przed królem, by gniewu jego nie budzić.

Całą niemal noc Bezprym chodził po swęj izbie wrzący. Gheza siedział i uspokajał go, szepтали z sobą. Bezprym go odpychał, ten do kolan przypadał, godzili się i swarzyli jak nianka z dzieckiem. Pospali się wreszcie nadełdnem, nie zmógłszy jeden drugiego.

Gdy nazajutrz nadeszła godzina naznaczona, Bezprym niemal gwałtem odziany w suknie najlepsze poszedł do sypialni Bolesława. Nie było tu nikogo, niespieszył do niej Mieszek. Wszedłszy długo stał w progu syn Judyty, nim się rzucił do nóg królewskich. Spełnił tę powinność, lecz z widocznym chłodem i wstrętem. Bolesław nie odezwał się też, aż go u nóg zobaczył.

— Kazałem ci przyjść — rzekł — dość tej niewoli. Bądź mi posłuszny, a będzie ci z tém dobrze — zachwiałych nie znoszę. Mieszkowi przeznaczone królestwo, wedle obyczaju słowiańskiego. Zresztą taka jest wola moja. I ty otrzymasz swą dzielnicę, krew ci moja w tobie płynie — ale poprzysiądz miśsz posłuszeństwo.

Mieszko cię skrzywdził, zgańłem mu to, przyj-

dzie ci rękę podać. Nie masz się kryć jak wilk. Przychodź na dwór, jedź na łowy, idź na wojnę, ale bądź wiernym mnie i moim postanowieniom.

Bezprym mileżał.

Król widocznie czekał odpowiedzi, po kilkakroć wyzywając do niej spojrzeniem.

— Mów — dodał.

— Nie mam co mówić — odparł Bezprym — uczyniony zostałem niewolnikiem, rab nie ma prawa ust otworzyć. Jam mówić zapomniał.

Zawrzał z gniewu król.

— Dość — zawołał — przebaczam ci to, a no mówię — dość! chceszli być cały. Dość. Nikt mnie nie ma prawa do rachunku pozywać, oprócz Boga! Milez.

Bezprym chciał odejść.

— Stój. — Mieszko przyjdzie.

Nastalo milczenie ciężkie. Niekiedy syn i ojciec mierzyli się oczyma. Mieszko nie nadchodził. Król Bolesław gniewnym już był na niego. Zawołał komorników stojących u drzwi, aby go natychmiast przywiedziono.

Na ostatek usłyszano krok spieszny i ciężki, wchodził Mieszko, przybrany z niemiecka, strojny, dumny. U drzwi stojącego brata potracił mijając i widzieć go niechcąc — szedł królowi się pokłonić. Nie odpowiadając mu Bolesław wskazał Bezpryma.

— Skrzywdziłeś brata — rzekł — źleś uczynił

chcę byćcie żyli zgodnie. Podajcie sobie ręce — i niech to będzie zapomniane. Pierwszy teraz co się porwie na drugiego — przedemną odpowie, jakby nie był synem królewskim, ale prostym buntownikiem.

Zawahał się Mieszko idąc do Bezpryma, który kroku ku niemu od drzwi nie zrobił; lecz przystąpić doń musiał. Zacięte miał dymnie usta, drżał, słychać było oddech piersi ciężki. Na krok stanawszy od brata, zatrzymał się Mieszko, groźno sobie w oczy popatrzała. Bezprym czekał błądy jak chusta, ale z płomieniami w źrenicach. Król Bolesław każdy ruch ich śledzić się zdawał z nadzwyczajnem zajęciem.

Zawołał na Mieszka.

— Rękę mu daj!

Dopiero gdy na ten rozkaz drżącą dłoń wysunął Mieszko, Bezprym wyciągnął ją także. Dotknęli się zaledwie i jakby w kłamrę żelazną — Bezprym pochwycił tę rękę wyciągniętą do wrzeczomęj zgody. Oba nawzajem co mieli sił ścisnęli dłonie, a choć Mieszkowi z bólu krew nderzyła do twarzy, nie odczuwał się, nie drgnął. Cisnął i on Bezpryma całą siłą gniewu, lecz podolać mu nie mógł. Gdy nareszcie rozerwał się nścisł braterski, Mieszko musiał schować rękę, gdyż krew ciekła mu z za paznogi.

Była to jakby zapowiedź przyszłości. Król Bolesław na ten raz nie żądał więcej. Mieszko mu

się pokłonił i spiesźnie wyszedł z sypialni. Bezprym stał.

— Idź — odezwał się król — a bywaj codziennie u boku mojego i nie kryj się po dziurach. Chcę cię widzieć.

Gdy Bezprym wyszedł, wstał król, oko jego padło przypadkiem na to miejsce, gdzie stali bracia jednając się z sobą. Na świeżo wymytej podłodze białej, pięć wielkich kropli krwi jeszcze nie zaschłej świeciło.

Wejrzenie Bolesława oderwać się od nich nie mogło. Zrozumiał on, co krew tę wycisnęło, lecz chciał odgadnąć z czyjej spłynęła ręki. Silnego potrzebował następcy, któryby nie krew z siebie dać sączyć, ale ją toczyć umiał.

Ani się dziwił król, iż gniew pałał w braciach i przemógł posłuszeństwo, chciał tylko pewności, który z nich silniejszy? A gdy w chwilę po tém król wszedł do izby zastawionych stołów, gdzie nań oczekiwał zwykły tłum swoich i obcych — i ujrzał tam Mieszka przy żonie, Bezpryma w dali osamotnionego, nie poglądał im na twarze, szukał ich rąk, aby się przekonać która z nich krwawą była...

Gdy Mieszko sięgnął do misy, zczerniałe jego paznokcie zdradziły tajemnicę.

Na dworze tego dnia wiele twarzy się rozjaśniło. Nie mówiąc nie tryumfowała Oda. Na ręku jej złoty błyszczał obrożczyk, a w oczach jakaś

radość zwycięzka, która strach obudzała. Patrzała na Bezpryma i zdawała się go pobudzać do męźnej walki. Królowa, która się dowiedziała zrana o nakazie królewskim, podziękować mu przyszła za Bezpryma przypuszczenie do łaski. Ciężko na sercu to, że dla dziecięcia jej, cierpiał ktoś i bolał. Lżej teraz oddychała.

Król był w usposobieniu wesołym i rubasznym.

Pochwały które zewsząd odbierał, bo i opat Aron zgodę niezynioną, jako wysoką mądrość pańską wynosił — czyniły mu przyjemność. Łudził się może tą nadzieją, iż z czasem dwaj bracia, ocierając się ciągle o siebie, zbliżą, poznają i przejednávają. — Wierzone naówczas w siłę krwi i węzły tajemne, któremi ona łączyła. W życiu jednak i obyczajn Bezpryma niewielka zaszła zmiana.

Zrazu ze swobodą wróconą mu nie wiedział prawie co począć, ciężyli mu ludzie wśród których on, syn królewski stał na poślednim jakimś miejscu, zawsze jakby odepchnięty i wydziedziczony. Gdy Mieszka otaczał dwór świetny i liczny i nadszkakiwania tych, co sobie na przyszłość łaski jego zaskarbić pragnęli, do Bezpryma mało kto się przybliżyć jawnie ośmielił, aby nie być posądzonym o jakąś niechęć dla wybranego przez ojca następcy. Jedna Oda pierwszego dnia zaraz śmiałym okiem i słowem jawnie zaczęła Bezpryma, jakby naumyślnie, okazując mu współczucie

na przekorę Ryksie, której widok tego, w kim nieprzyjaciela przezuwała, niemal obawę obudzał. Gdy po neście, wszyscy wyruszyli patrzeć na rycerskie zapasy, które się w podwóreach odbywały codziennie, Bezprym postawszy chwilę, wrócił do swojego dawnego mieszkania, aby rozmyśleć się, co miał poczynąć.

Znalazł tam Ghezę, który z założonemi pod siebie nogami u ognia siedział. Na widok swojego wychowanka, wstał stary radując mu się — chociaż niespokojny też był o niego. Miłość dla królewicza w Ghezie rozwijała dziwne myśli, którym sam niemal się zdumiewał. Chciał mu koniecznie je wypowiedzieć, ale naprzód z niego dobyć coś o pierwszém posłuchaniu. Lękał się wybuchu. Pocałował nagle swego sokoła, aby mu opowiedział wszystko, co u króla było, jak się obeszło pojednanie z bratem. Bezprym nawykły do zwierzania się staremu piastunowi — nie skrył nic przed nim. Gdy przyszło do podania rąk, z uśmiechem wyznał, iż Mieszkowi do krwi palce zdusił. Zrazu Ghezę uradowało to, ale wnet głową potrząsł.

— Złeście uczynili — rzekł — złe, na co im pokazywać siłę? Wasza rzecz, sokole mój złoty, utać dech, uczynić się pokornym, zrobić nawet ich sługą, aby się nie lekali, aby nie odgadli, ani co myślisz, ani co możesz.

— Tak — mówił po chwili — widząc że Bezprym słucha go z uwagą. Kogo się oni boją, temu

albo oczy wylupić każą, albo go strzała nie minie. Ty panie mój, musisz się stać pokoronym, schodzić im z drogi, a nie pokazać nawet, że ci się chce czego więcej nad to co masz.

Mieszkowi się kłaniaj, królowi ojcu dziękuj, niech sobie powiedzą — Bezpryma nie ma się czego obawiać, dopiero będzie dobrze. Słuchał sparszy się na stole Bezprym.

— A pókiż ja się tak mam dusić w sobie? — zapytał.

— Póki? aż sobie druhów nie zjednacie i dróg nie obmyślicie.

— Druhów! — rozśmiał się Bezprym — a czém? siły nie mam, łaski też i złota im nie dam.

— Alboż to Mieszko nie ma wrogów? — począł Gheza — a kto jemu wrogiem, ten będzie wam przyjacielem. Powoli sokole złoty, powoli i bacznie. Ja człowiek prosty i głupi, a no tu przemocą nie nie zrobi, chytróści trzeba.

Uścisnął jego nogi.

— Radzisz dobrze — odezwał się Bezprym — słuchać cię muszę, choć się we mnie warzy i burzy. Źle się stało, że mu rękę zdusił, a no mi klamać ciężko.

— Co kiedy trzeba, aby życie obronić? — rzekł gorąco Gheza. — Komu to miło gębę sobie walać kłamem i giąć się, gdy się chce uderzyć? Inaczej zemsty nie będzie.

Zbliżył się i stanął nad siedzącym, mówiąc coraz żywiej, jakby go coś natchnęło.

Ty jeszcze tu będziesz kiedyś królował, synu Jndyty, ty zawładniesz tą ziemię i pomścisz się niewoli swojej, tylko teraz zcierp. Ani patrz na to, co oni wyprawują, aby nie pomyśleli że im zazdrościsz. Weźmij psy i sokoły, idźmy w las. W lesie różni się ludzie spotykają i taey, co nie bardzo ich kochają, a co nas za to polubić mogą. W puszczech i na uroczyskach różna gawiedź, co się nam przydać może. Niech myślą, że my tylko na niedźwiedzie polujemy, upolujemy może i lepszego zwierza. Znajdzie się, znajdzie.

Gdy Gheza tak prawił wychowankowi rady, które mu się dlań najzbawieniejszymi wydawały. Bezprym słuchał, to się rzucając, to nśmiecchając im na przemiany. Radowało go, że Gheza tak marzył o przyszłości świetnej i widział ją możliwą. Czuł, że tą drogą może najłatwiej dojść do niej będzie, i choć nie odpowiedział mu wyraźnie, do serca wziął radę Ghezy.

Stary chciał z niego wydobyć co myśli, aby się przekonać, iż się z nim godzi, lecz Bezprym nie był łatwym do słowa, oczyma w nim czytać musiał tylko. Zostawało mu zawsze trochę niepewności, i dłużej męczył wychowanek namowy swemi, ściskając mu kolana, powtarzając ciągle jedno, aby wrazić w myśl koniecznie, co na sercu

leżało. Późno ledwie w noc skończyły się te na-
legania, gdy znużony Bezprym rzekł wreszcie:

— Nie bój się stary, zataję się i zaczaję —
zobaczysz, niepoznają się na mnie, a gdy kto
ciebie o mnie pytać będzie...

Ghezie oczy się zaśmiały.

— Dowie się tego co potrzeba! — rzekł krótko
— energicznym ruchem ręki popierając słowo.

IX.

Miało się już ku wiosnie, a choć ją w powietrzu czuć było, pora w istocie najprzykrzejsza w roku się poczyniała, walka następującej niechętnie zimy, ze słońcem i ciepłem, które się ustalić nie mogło. Śniegi leżały po lasach, zalegały parowy, rzekami płynąć kry zaczynały, ziemia miejscami rozmarzła, a w cieniu okryta była jeszcze lodu skorupa.

Jeden dzień przynosił z sobą wiosnę i cuda czynił, wskrzeszając zmarłe rośliny i odrętwiałe drzewa, drugi wracał z zimą, szronem i mrozem, sypał śniegiem i zabijał chłodem. Jak dwaj zapasnicy walczyli z sobą lód i ciepło, śmierć i życie, zwątpienie i nadzieja.

Na łąkach najwytrwalsza trawa, zaczynała zielenieć i rosnać, dobywała się z pod skorup za-

mrożonych, wytykała ze śniegu, starsze drzewa stały głuche, ledwie wążąc na pączki. Gdzieś — gdzie łozy okryły się kotkami bujno; wczesna wierzba pękała — ale na niebie więcej było obłoków szarych niż słońca.

Rzadko kto w tej porze puszczał się w drogę, chyba gwałtowna pędziła go potrzeba. Rzeki wzbierały i trudne były do przebycia, gdzie zamróz zszedł tam grzęzły konie w nieprzebytém błocie, na resztkach lodu ślizgo było i niebezpiecznie. Czekali wszyscy, aby wody kry uniosły, ziemia wilgoć wypła — i słońce wysunęło drogi. Ks. Petrek jednak, niespokojny o to co się tam bez niego działo nad Cybiną, z poleceniami różnemi, wyruszył właśnie w tej porze z powrotem. Po kilkakroć wstrzymywały go rozlane rzeki, parę razy przeprawiać się musiał z niebezpieczeństwem życia — ale gorliwość niezmienna i wiara gorąca pędziły go do celu i dodawały męstwa.

Jechał nie zważając na to, że konia już jednego utracił, i że dodany poczet odradzał pośpiech a ostrożnym być radził. Był pewien ks. Protonotaryusz, że godnym się czując osobliwej łaski niebios i opieki, mieć je będzie za sobą.

W najgorszych razach modlił się, a że miał, ofiarowane mu przez o. kanclerza relikwie świętych przywiezione z Rzymu, ufając im — nie lękał się żadnej przygody. Choć zwolna więc posuwał się ku granicy, i na ostatek przejechałszy

ją, jeszcze silniejszą uczuł gorączkę pośpiechu, aby znowu znaleźć się w swęj celi i na straży pilnej około króla, ku któremu pobyt w Magdeburgu, jeszcze większą natehnał go nienawiścią. W myśli swęj układając co i jak powie opatowi, zdając z poselstwa sprawę — minawszy rubież, na pierwszy nocleg zmuszony był stanąć na pustkowiu i skraju lasu, bo nigdzie szopy, ani osady do koła nie było.

Ludzie już nieli szalas kleić dla niego i miejsca suchego szukali tylko, gdy jeden z nich puściwszy się dalej trochę, nadbiegł dać znać, iż nie daleko było obozowisko oddziału wojska Bolesławowskiego, i że bezpieczniej było a weselój do niego się przyłączyć.

Ks. Petrek rad się czegoś dowiedzieć zawsze, zwłaszcza po dłuższej niebytności w domu, zgodził się na to chętnie.

Oddział pancerników z trochę piechoty, wyprawiony był przeciwko lutykom, którzy często dopuszczali się grabieży nad granicami. Doniesiono królowi właśnie przez szpiegów, iż zamierzali wtargnąć, a król, przybyłego na dwór Jaśka z Tęczyna, który mu się jak na łowy, na tę wyprawę prosił — wysłał, aby dać poganom naukę. Byli oni acz poganie sprzymierzeńcami cesarskimi i płatnemi jego pomocnikami, zbójceją szajką, śmiałą i okrutną a dokuczliwą.

Jaśko z Tęczyna — radował się temu wielce, iż się z męstwem i przebiegłością popisze, więc choć mu kraj był obcy, dobrał sobie ludzi, opatrzył położenie, i stał już parę dni na zasadzce. Tém oczekiwaniem zmęczeni ludzie i on, ucieszyli się bardzo, gdy nad wieczór swoich zobaczyli — powracających zdala... Jaśko szczególnież księdzu był rad, a że namiot miał już rozbity i wszystkiego podostatkiem, pisarza pokornie do siebie jął prosić, ręce jego całując.

Nie znał ks. Petrek Jaśka — choć o nim słyszał i rodzie jego, ten zaś tylko tyle wiedział o protonotarynszu z pierwszych jego słów, iż poufałym był opata Arona, i przez króla używanym do spraw ważnych. Samo poselstwo, o którym zaraz nadmienić, wysokie dało Jaśkowi wyobrażenie o człowieku, którego u siebie przyjmował.

Cześć mu więc wyrządzał największą. Zeszła się inna starszyna do namiotu, która ks. Petrka znała i widywała w Poznaniu, i wszyscy nader ciekawie wypytywać zaczęli o podróż i o to, co w niemiezech i u cesarza słychać było.

Wiedział przebiegły ks. Petrek czém mu tu być należało, co mówić i jakie okazywać usposobienie... Nie kosztowało go to, bo zawsze mówił sobie, iż czynił wszystko na chwałę bożą. Przed wojakami króla inaczej jak nieprzyjacielem cesarstwa i niemieców okazywać się nie mógł.

Słuchano go nie bez wielkiego podziwu nad

rozumem i pobożnością, jaką okazywał. Gromadka starszych jednak w krótkie się z namiotu rozeszła, bo wieczór był późny, a Jaśko własne posłanie żołnierskie ustąpiwszy księdzu, sam nieopodal siodło i skórę sobie podłożywszy, legł także do spoczynku.

Ks. Petrek modlitwy dokończywszy, widząc, że Jaśko nie śpi jeszcze, a czaty za chwilę na obchodzić, sam też do snu nie śpieszył i zagaił znowu rozmowę, pytając coby na dworze słychać było.

Jaśko nie długo tam bawił, bo zaledwie przybywszy, korzystał z wyprawy, aby się do niej przyłączyć, wiedział jednak, iż król Bezpryma do większych łask przypuścił, i że to powszechnie wpływowi pięknej Ody przypisywano, która się nad losem pogwałconego ulitowała.

Wiadomość ta mocno zajmować się zdawała ks. Petrką, dopytywać zaczął pilno o inne wieści.

Przed Jaśkiem nie inaczéj się malował, tylko jako pokorny sługa opata Arona, posiadający całe jego zaufanie.

Wybadawszy o Bezpryma wtrącił wnet ubolewanie nad tém, iż pokrewni Jaksów i cała rodzina tak się od króla usuwała...

Mówiąc to, czy z umysłu, aby wypróbować Jaśka, czy przypadkiem, ks. Petrek odezwał się dwuznacznie, iż tém gorzej czynili, gdy — jak powszechnie i nie bez przyczyny utrzymywano —

Jaksowie straceni nie zostali, a do czasu się przechowywali.

Usłyszawszy to Jaśko, a pewnym już będąc, iż ksiądz jest do tajemnicy przypuszczonym, rozśmiał się głośno i znacząco. Uderzyło to ks. Petrka.

— I wy tak sądzicie? — odczuwał się podnosząc z posłania głowę.

— A jakżebym inaczej mógł — odparł Jaśko — kiedy ja ich na własne oczy oglądał, i mówiłem z nimi.

Ks. Petrek palec położył na ustach dając mu znak milczenia.

— Juścić wiem przed kim to mówię — ozwał się Jaśko — bo bym tajemnicy ich nigdy w świecie nie zdradził.

Wam przecie nie tajno co opat czyni, a on ich wyswobodziwszy wysłał do Tyńca, gdzie do czasu, prawdziwą pokutę odsiadują, boć rycerzowi klasztor ciężka to rzecz...

Gdyby nie mrok w namiocie byłby może poznał sam nieopatrzny Jaśko, jaką radością napęłnił serce ks. Petrka, czyniąc przed nim to zwierzenie, tak dla niego pożądane. To, czego na żaden sposób nigdzie pochwycić nie mógł, mimo całej przebiegłości swojej ks. Petrek — łącno mu teraz, niespodzianie wpadło w ucho... Miał to za cud opatrności...

Nie dając znać po sobie, jął rozpytywać ostrożnie, co i jak sobie poczynali Jaksowie.

— Nudzą się srodze biedni, iż litość nad niemi bierze — odezwał się Jaśko z Tęczyna. Choć naprawdę nie powinni by się za klasztorem ukazywać, wyprosilili się u przeora, że im choć do lasu trochę dozwolił wybiedz. Tam dzik podciął nogi koniowi młodsze go i mój stryj, zapamiętały poganin, naskoczył na nich, gdy właśnie dobijali zwierza.

Wziął ich z sobą w gościnę, a tam i ja się z niemi zetknąłem, czemu zrazu nie radzi byli, bo się srodze lękają, by ich kto nie zdradził.

— I słusznie to czynią — dodał ks. Petrek — nie o ich tylko skórę idzie, ale o tych co ją ocaili, król pan nasz miłościwy, jak łaskaw jest, i szczodry dla tych co mu służą wiernie, tak nieubłagany dla nieposłusznych. A na Jaksów był mocno zażalonym i gniewnym, więcby też i tym, co mu zemstę jego wychwycili, łaskaw nie był.

Tak wydobywszy z Jaśka co się tylko dało, rad niezmiernie układał się ks. Petrek, osobliwszą modlitwą dziękując świętym pańskim, których relikwie wiozł z sobą — iż mu tak ważną odkryli tajemnicę.

Zaledwie usypiać poczęli, gdy od granicy wysłany człek nadbiegł zwiastując, że lutyce stali nad rzeką, i nazajutrz się dodnia przeprawiać myśleli. — Nie zważali oni na to, iż lada chwilę łody musiały prysnąć i odwrot im przeciąć, a chcieli korzystać z tego, że w tém miejscu osłonioum,

jeszcze się kry nie ruszyły. Musiał Jaśko niedospawszy natychmiast ruszać przeciwko lutykom, tak aby ich u brzegu pochwycić, i pobić nimby wtargnęli.

Ks. Petrek też wstał, bo i jemu pilno było, i tak rana nie doczekawszy, rozjechali się. Jaśko prosił dla siebie i oddziału o błogosławieństwo, którego ks. protonotaryusz odmówić nie mógł.

Gdy paucernicy odciągali ochoczo i śpiesznie z obozowiska, ksiądz ze swoją garstką ruszył do Poznania, z sercem rozradowanem, przemyślając tylko nad tem, jak z tajemnicy skorzysta.

Zdało mu się, iż królowi zaskarżyć ani opata, ani tych co mu pomagali nie było bezpiecznie, pierwsza próba go o tem przekonała, postanowił więc na inny sposób spożytkować wiadomość, okazując opatowi Aronowi, jak niesprawiedliwie krył się przed nim, zamiast ufać mu całkowicie i na pomoc przyzywać. Tajemnica ta mogła być bronią w ręku jego, dla otrzymania od Arona — co najniżej jakiego darn królewskiego. Chociaż ks. Petrek sam dla siebie potrzebował mało, cenił jednak nabytek, bo umiał go na cel, do którego dążył używać.

Z temi myślami, po ciężkiej podróży, która, choć w znajomym kraju, laeno nie poszła, dla roztopów okrutnych — dojechał naostatek ks. pisarz do Poznania, a stanawszy u drzwi swęj celi

gdzie go zaraz Harno przyszedł powitać... Bogu podziękował, że go szczęśliwie doprowadził.

Spytał natychmiast o opata, i oznajmiono mu, iż na dworze się znajdował. Wnet też ktoś pobiegł z wieścią o powrocie.

Ks. Petrek nie miał jeszcze czasu sukni zrzuć podróżnej, gdy opat Aron we drzwiach się ukazał.

Podbiegł ku niemu, z przyklęknięciem witając go, jakby nadzwyczaj przejęty i poruszony ks. pisarz.

— Śpieszcie się przedziać — bo król czekać nie lubi, a już wie o powrocie waszym, i wnet się przed nim stawić musicie. Ja nie pytam was o nic — posłyszę co przyniesiecie przed króla.

Westchnął ks. Petrek...

— Czcinajgodniejszy panie — rzekł — nie-szczęśliwe to było owo poselstwo moje — zawczasu wiedziałem o tem, iż nie sprawię nic — przecie posłuszny jechać musiałem, wypić ten kielich goryczy...

— Z niczem was odprawiono? — odezwał się opat...

Ks. Petrek ręce rozwarł szeroko.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparł — półgębkiem mi obietnice czyniono, bom nalegał moeno — a czy onym przyrzeczeniom ufać można — cóż ja wiem?

Jeszcze stał opat, gdy drugi posłaniec nadbiegł od króla, ks. Petrka wzywający natychmiast przed niego...

Opat wyprzedził posła.

Król siedział sam za stołem w izbie, którą radną zwano. Była ona przeznaczoną na zwoływane narady dwunastu wojewodów pańskich.

Na ścianach jęj wisiały dwanaście malowanych tarczy, i dwanaście siedzeń rzezanych z drzewa misternie stały do koła stołu. Największe purpurą okryte dla króla było przeznaczone, nad którym też i tarcza złocista i dwa wielkie miecze zawieszzone były.

Gdy się otwały drzwi i wszedł opat, podniósł król głowę, badając go oczyma. Aron przystąpił aż do ucha pańskiego i po cichu szybko mówić coś począł, jakby chciał ostrzedz i przypomnieć. Skinął Bolesław nań, że go zrozumiał.

Gdy wszedł ks. Petrek, opat stał już opodal i patrzył przez roztworzoną okiennicę...

Król pobożnie z uszanowaniem ks. Petrka przywitał...

— Mówcie bez ogródki, co wieciecie z sobą — zawołał król — miodu dla osłodzenia piolunu nie potrzebuję... Cóż Geron?

— Najmiłościwszy panie — odczywał się Petrek. — Zrazu i mnie i miłości waszój prośbę przyjęto nie łaskawie. Pracowałem nad tém, aby wielkie ztąd dla kościoła i cesarstwa korzy-

ści okazać, jeżeli nie przekonał i nie nawrócił, wina w tém nie moja. Wymogłem tyle, iż mi przyrzeczono wstawienie się do cesarza, uroczyscie... lecz arcybiskup za skutek jego nie poręcza...

— Byleby uczynił co przyrzekł — odezwał się król...

Tu począł dopytywać o cesarza i pobożną Kunegundę małżonkę jego, o innych powinowatych cesarza i dnków a markgrafów, których ks. Petrek mógł widzieć w Magdeburgu, o Guncelina przyrodniego brata swego, wręście o wiadomości z włoch i zwycięztwa nad saracenami i t. p.

Ks. Petrek rad, że rozmowa się na ten tor zwróciła, obszernie rozciągając się począł, szczególnie nad potęgą cesarza, i świętobliwośćią czystego jego żywota, która go zawczasu w poczet błogosławionych zaliczać dozwalała... Nie zapomniał o tém, iż owo jabłko, którém papież Benedykt go obdarzył, Henryk złożył Bogu na ofiarę, do kościoła w Klunjaku.

Trwało opowiadanie dosyć długo, poczem Bolesław łaskę swą ks. Petrkowi za jego trudy przyrzekając, dla spoczynku go odprowadził.

Ks. pisarz jednak, acz znużony, nie pomyślał o nim tak rychło... Wnet pozwać kazał do siebie Harna, i badał długo, aby niebytność nagrodzić, a wieści ze dworu pochwycić. Najpilniej dopy-

tywał o Bezpryma, jakby się on teraz znajdował i co czynił.

Zaświadczył Harno, iż rad ze swobody, Bezprym najwięcej myślał o łowach, o niewiastach też — zresztą Mieszka miakał, pokornym wcale był, i nie zdawał się niczego więcej pragnąć, nad to, by młodości w zamknięciu nie zmarnować.

— I nie dumnym jest jak Mieszko — dodał Harno — przystęp do niego łatwy, rozmowa ludzka... Ludzie tylko mówią, że rozumu niewiele. Rzadko na zamku gości, byle z łowów powrócić, wnet się znown w lasy wybiera. Szczególniej ze ptaki jeździć lubi.

Takim się w istocie Bezprym wszystkim wydawał.

Nazajurz ks. Petrek do tunu poszedł rano, pozdrowić znajomych, przy tej zręczności npatrując, ażali tam i opata w celi, którą często dla nabożeństwa zajmował, nie zastanie. Chciał się dowiedzieć, ażali pod jego niebytność, ten, który go z Trzemeszna miał zastępować, sporządzał pismo jakie.

Kodeks też ów, dla opata przysłany niósł z sobą. Aron, owego zastępcę pisarza, choć był pewien, iż z niczém się, ostrzeżonym będąc, nie wymówi — tegoż rana, pod pozorem potrzeby klasztoru, nazad odprawił. Z kodeksem, który przyniósł, w rękn ks. Petrek wsunął się do celi. Zobaczywszy go, uradowany Aron, natychmiast

pochwycił skarb drogi. Wiedział dobrze, co on powinien był zawierać. Dziękował ks. pisarzowi, iż mu w całości dowiózł tak pożądaną nabytek.

— To podobno — odczwał się ks. Petrek — najpiękniejszy owoc mojej podróży... niewiele mam nadziei, aby u Gerona prośby nasze skutkowały...

I okiem bystrém rzuciwszy na Arona, badając go dodał.

— Zamiast pomocy nżywać cesarskiej, tajemnieby cesarza pominąć i wprost do Rzymu trafić należało. Któż wie, czyby się ku temu drogi i środki nie znalazły... Walka z saraecznami wypróżniła skarbiec Ojca świętego, zdałoby się złoto...

Aron spojrzał i potrząsł głową.

— Nie, mój ojciec — rzekł — wyminąć cesarza nam niepodobna, ani czynność jego uspić... tego się ani spodziewam, ani ludziębym się tém nie radził.

Jeszcze kilka słów wtrąciwszy, ks. Petrek, jakby sobie coś przypomniał, zbliżył się do opata i uniżenie w rękę go pocałowawszy, szepnął.

— Czeimajgodniejszy panie, żał mam do was...

— Do mnie?

— Tak jest, żał w tej sprawie Jaksów, z którą dla mnie uczyniliście tajemnicę, jak gdybym ja, stary, wierny, pokorny wasz sługa, na żadne nie zasługiwał zaufanie.

Opat chciał przerwać, ks. Petrek podchwycił żywo.

— Przecież wiem o wszystkim dobrze, tak jak o tём i innych wielu wie, iż do Tyńca wysłani zostali przez przewielebność waszą...

Opat Aron mimo obawy, jaka go ogarnęła, nie okazał nic po sobie. Wzrokiem zimnym przeszył mówiącego.

— Mój ojcze — odparł spokojnie — ja własne tajemnice zwierzam wam chętnie, ale c u d z y c h nikomu.

To mówiąc cofnął się nieco opat i dodał po cichu.

— Rozumiecie mnie? i na tём koniecu niech będzie.

Ks. Petrek, którego znowu nadzieja zawiodła, zmleczal. Opat wziął w rękę przywieziony kodeks, zdawał mu się przypatrywać chwilę, od niechcienia po chwili wtrącając.

— Nieszczęście to jest ta grzeszna ciekawość ludzka, która wszędzie się wcisnąć pragnie, oprócz zakątków własnego sumienia... nieszczęście to jest ten nienspokojuący język ludzki, który się ntrzymać w mierze nie umie, oprócz gdy własne grzechy wyznaje... Więc ta wiadomość o Jaksach tak jest już rozpowszechniona?

— Niestety — odezwał się ks. Petrek.

— Zkądże do was ona doszła? — hadał opat, ciągle się kodeksowi przypatrując.

— Waszój przewielebności taie tego nie będę... W podróży spotkałem oddział paucerników królewskich — mówił protonotaryusz — jednym z jego oddziałów dowódcą był Jąsko z Tęczyna, a ten na własne ich widział oczy. Znać się weale nie wystrzegają, bo się z nim kędyś na lowach spotkali.

Oburzony opat wzdrygnął się i nie rzekł już ani słowa. Ks. Petrek wyczekawszy miał odejść, gdy mu szepnął.

— Proszę was, nie powtarzajcie tego przed czasem. Wszystko się to da Bóg inaczéj skończy, niż ludzie sądzą... ale chwila jeszcze nie przyszła...

Więcej nie dodał opat i odprawił pisarza, zaraz po jego wyjściu ryglując celę ze środka. Wiadomo mu było, że nadesłany kodeks w okładce zawierał wiadomość o postępowaniu, mowach i po-bycie ks. Petrka w Magdeburgu. Rozciął więc wewnątrz okładziny i wydobył z nich ów kawałek „greckiego pargaminu“, na którym drobném piśmem stała relacya pożądana i natychmiast od-czytywać ją zaczął.

Chociaż znał dobrze ks. protonotaryusza, nie spodziewał się, aby on tak jawnie przeciw królowi śmiał występować i do narad przeciwko niemu należeć. Oburzył się czytając, westchnął — lecz cel był osiągnięty. Arcybiskup mógł się ludzi, iż innemi drogami o koronę Bolesław się starać nie będzie.

Do myślenia téż dawała wieść przywicziona

o rozgłoszoném ocaleniu Jaksów, które spokojności królowej zagrażać mogło. Z tego stanu niepewności wyjść było potrzeba.

Pobożny opat westchnął, szukając w myśli środka, jakimby mógł przyspieszyć rozwiązanie, wypraszając łaskę dla Jaksów a przebaczenie dla świątobliwej pani, co im ocaliła życie. Zdawało się to możliwém, gdyż król Bolesław nie jeden już raz zwierzał się opatowi, iż mu odstąpienie od dworu tylu rodzin i tylu mężów do rady i oręża potrzebnych srodze ciążyło. To uchylene się wszystkich, choćby najdalej spokrewnionych z Jaksami, codzień się zwiększało i zaraźliwém stawało, nawet ci, którzy zrazu królowi pozostali wiernymi, pociągnięci później przez blizkich i powinowatych, znikli i przestali przybywać do Poznania. Król w czasie uroczystości, świąt i niemal ciągle lubił gromadne otoczenie, dwór tłumny i świetny. Wprawiało go to w najgorsze nsposobienie, gdy dnia którego puścić było na grodzie, gdy nowych ciągle nie widział twarzy, nie miał kogo obdarzać i z kim rozprawiać o wojnach i zwycięztwach.

Napływ do Pozuania zawsze był znaczny, lecz brakło mu właśnie tych twarzy znajomych, do których był nawykł, co mu przypominały wyprawy ruskie, boje z niemcami, Kijów i Budziżyn, a choćby nawet Pragę. Około stołu radnego miejsce kilka było opróżnionych, bo ci co je zaj-

mowali, nie przybywali tłumacząc się na różne sposoby. Król nie chciał naznaczać im zastępców, bo się zawsze tém łudził, że starzy do niego powrócą.

Do trosk opata przybyła nowa, gdy się tegoż dnia dowiedział, iż grecka niewolnica, którą Jaksą był wywiózł z Kijowa, wzięta na dwór królowej, nagle znikła. Ucieczka jej była prawie niewytłumaczona, gdyż z pytań i śledzeń się okazało, że przebrana sama jedna uszła. Sieciechówna, do której się w ostatnich czasach zbliżyła i pokochała ją, ojen wyznać miała, jakoby Antonia dowiedziała się od kogoś o ocaleniu Jakśów i poszła przebrana po mężku szukać nieszczęśliwego Andruszki, aby mu służyć teraz, gdy był nieszczęśliwym i nikogo do usług swych nie miał. Dowiedziawszy się o tém od starego Sieciecha, tém więcej strwożył się opat, widząc jak tajemnica była już rozgłoszoną i powszechnie znaną.

Zdało mu się koniecznem naradzić z królową Emmildą, nie wyjawiając jej wszakże obawy swojej. Ucieczka Antonii była dostatecznym pozorem.

Dnie królowej upływały całe niemal na modlitwie i dobrych uczynkach. Zmuszona pokazywać się na dworze, trwała tylko na nim tak długo, jak mąż wymagał, spiesząc do swojej kaplicy, do tuman, lub do ubogich, których karmiła i okrywała. U drzwi jej przez cały niemal dzień

cisnęły się gromady najbiedniejszych, dla których zastawiano stoły, rozdawano im odzież, darzono wszelaką jałmużną. Korzystali z tego i ci, co nie bardzo byli godni pomocy, lecz byle się kto miał przeżegnać, miał prawo do miłosierdzia. Zwykle kapłan przy tém lub sama królowa nauczali modlitwy pańskiej, dziesięciorga przykazań i najważniejszych wiary artykułów. Nietylko w Polsce, ale w Niemczech, długo po przyjęciu wiary chrześcijańskiej lud zaledwie zewnątrz niej znał cechy, powoli musiała ona wnikać w oddalone zakątki, tam zwłaszcza, gdzie kościołów i klasztorów brakło. Królowa więc też nieustannie apostołować musiała, a dobroczynność połączona z apostołstwem była najlepszym środkiem nawracania.

Nadchodzący opat znalazł królowę Ennildę, jak zwykle otoczoną ubogimi i odmawiającą dla nich modlitwy, które oni za nią powtarzali. Poprzedzało to zawsze rozdawanie pokarmów, napojów, krzyżyków i szat jako widomych znaków przyjęcia do chrześcijańskiego społeczeństwa. Ujrzawszy opata Arona, zwierzyła starszłej niewieście rozdzielenie jałmużny, a sama weszła z nim do swęj komnaty.

— Miłościwa pani — rzekł opat wchodząc — dowiedziałem się o nieczecie greczynki Antonii. Ludzie mówią, że poszła szukać Jaksy przez przywiązanie do niego, zatém że się o jego oca-

lenin dowiedziała... Tajemnica się nie daje utrzymać...

— Posadzam Teodorę — szepnęła królowa — że ona pocieszając ją, mogła nieostrożnem słowem się zdradzić.

— Toby jeszcze było najmniejszemu złem — rzekł opat Aron — lękam się, by i więcej ludzi nie domyślało się.

— Mój ojeze, a gdyby się domyślali?..

— Królby się mógł dowiedzieć...

— A gdyby się dowiedział? — powtórzyła królowa z rezygnacją — niech się dzieje wola Boża... Nie ma tu nikogo winnego prócz mnie, a ja na karę wszelką jestem gotową i w sumiecin spokojną...

Sklonił głowę opat.

— Miłościwa pani... miłościwa pani — odezwał się — inaczéj radzić trzeba... tak, by król wdzięczności był a nie gniewny, ażeby za dobry czynek dziękował a nie karał!.. Do tego, zda mi się, przyprowadzimy go, gdyż codziennie mu Jaksów żał więcej...

— Cóż czynić radzicie? — spytała Emmilda.

— To co i ja sam codziennie czynię i czynić nie przestanę — mówił opat Aron — wspominać nam Jaksów, budzić po nich ból i żal, dziełność ich i wierność chwalić, utyskiwać, żeśmy tak pożyteczną dla pana naszego stracili siłę...

— Nie śniem... drzę, gdy ich imię wspomni kto... — przebaknęła królowa — spuszczam oczy, aby mojego kłamstwa nie wydały...

— Król sam — dokończył opat — często teraz ich wspomina, więc tylko mu potakiwać...

Zmilkła pobożna pani.

Tymczasem, jak się to często zdarza, że złym szyki miesza niewidzialna ręka... tego, czego uczynić nie chciała królowa, podjęła się Oda, z zamiarem szkodenia tej, której miejsce tak jej zająć było pilno.

Usłyszawszy o ucieczce Antonii i o donniemanych jej powodach, tegoż dnia, przy biesiedzie głośno poczęła przy królu mówić o Jaksach, z oczów nie spuszcżając królowej.

Wzdrygnęła się i zarumieniła Emmilda. Opat podchwycił zaraz występując z żalem i pochwałami dla rycerzy. Królowa ośmielona rzuciła słówko.

Przy stole pańskim nie było nikogo z obcych. Sieciech stał tylko, siedział Mieszek i Ryksa. Reszta dworu przy osobnych stołach głośno się zabawiała. Gdy się mowa rozpoczęła o Jaksach, nachmurzona twarz króla zasepiła się zrazu, okiem potoczył dokoła. Słuchał nie mówiąc nie długo. Gdy się już prawie nie spodziewano, by się o nich miał odezwać, potrząsł głową, począł półgłosem.

— Nie ma dnia, ażebym ja sam nad losem Jaksów nie bolał... żebym nie przypominał, jacy byli rycerze dziełni a mnie wierni słudzy... Stra-

cilem ich... niedosyc na tém, tracę codzień wszystkich co należą do rodziny... Uciekają mi, a ci co zostali, serca do mnie nie mają... Gniew jest złym doradczą!..

Westchnął król, milczała Emmilda, jakby siły w sobie szukając.

— Miłościwy panie mój — rzekła — święci czynią cuda... módlmy się, może który z nich dla nas też cud uczyni i z martwych ich wskrzesi.

Bolesław smutnie głową potrząsł.

— Nie wiem ja, ażalim godzien cudu takiego — odezwał się. — Jeżeli kto to wy, świątobliwa niewiasto, moglibyście go wyprosić... Zaprawdę, z duszybym wam za to był wdzięczen. Spadłby mi z sumienia ciężar wielki, poweselałoby koło mnie... A no... po co mówić o tém, co się nigdy stać nie może?..

W tém opat przerwał.

— Bóg jest wszechmogącym — rzekł — jestże niepodobieństwem temu, co świat stworzył z niczego, wskrzesić człowieka, choćby był umarłym?

Bolesław popatrzał nań zdumiony.

— A cóżbyś uczynił? — dodała ośmielając się Emmilda, której twarz rumieńcem pałała — cobyś uczynił, panie mój, gdyby się stał cud taki? cobyś zrobił ze zmartwychwstałymi?

Królowi dziwna ta rozmowa przykrą się być zdawała, lecz w miarę jak się przeciągała, budziło się w nim podejrzenie czy ciekawość. Osta-

tnie słowa królowej przyjął zadumany, wzrokiem pilnie badając żonę i opata.

— Cobym uczynił? — rzekł zwołna rozmyślając. — Możeszże wątpić, iżbym im przebaczył jak ojciec i do łaski przywrócił, aby zapomnieli co przecierpeli?.. Bogdajbym ich mógł z sobą wziąć do łaźni i sam na sam dać im naukę, aby więcej nie broili... a potem u stołu posadzić poczestnie...

Opat spojrzał na królowę, która oczy spuściła, nie mówiąc nic więcej. Sieciech, który stał nieopodal, słuchał cały drżący, sądził, że Emmilda więcej powie po tak dobrém poczęciu, lecz królowa zamilkła, a król sparty na rękę ciągnął sam dalej.

— Z nimi powróciliby mi wszyscy ich powinowaci, do rady i do boju... wszyscy starzy druhowie moje, co przy mnie i za mnie krew leli... O! jakażby to była uroczystość wielka i święto!.. Ale... przewielebny ojcze — zwrócił się do opata Arona — Bóg takich cudów nie czyni dziś...

— Dlaczegożby dziś nie mógł uczynić, co wczoraj czynił? A jestli kto godniejszy takiego cudu, nad miłościwą panią naszą... Nicch ona się modli... ja w end wierzę.

Królowi dziwnie wesoło zaświeciły oczy.

— Emmildo moja! — zawołał — twoim modlitwom się polecam! Módl się...

To mówiąc i nie czekając odpowiedzi król powstał od stołu, widocznie weselszy i jakby ożywiony. Zyg mu zabiegł drogę patrząc w oczy.

— Miłościwy panie — zawołał — nigdy jeszcze w takim strachu nie był Zyg. Uchowaj Boże jaki święty wskrzesi Jaksów, to Zyga ktoś zabije na próbę, czy i on z martwych nie wstanie... Ja wolę tak sobie żyć, nie wstając z mokrej ziemi...

Za żart król zamierzył się go uderzyć, ale Zyg w porę uniknął i odskoczył.

Oda, która w milczeniu słuchała całej rozmowy, rozgorączkowana i gniewna, bo król na nią nie rzucił już nawet okiem, odstąpiła natychmiast, do siebie żal mając, iż niepotrzebnie o Jaksach tych napomknęła. Inni też zdala pochwytawszy słowa króla i Emmildy, rozmaicie je tłumaczyli. Stojący nieopodal Harno starał się zapamiętać i natychmiast z doniesieniem pobiegł do ks. Petrika.

Siedział ks. pisarz u pulpitu i bawił się około pargaminu jakiegoś, gdy zdyszany wpadł komornik.

— Ojcie! — zawołał — na moje uszy słyszałem... mówiono za stołem królewskim o Jaksach. Opat utrzymywał, iż Bóg cud uczynić może i wskrzesi ich, za wstawieniem się jakiego świętego! Możeż to być!.. To wybyście też mogli mojego brata wskrzesić, a mnieby z sumienia spadł ciężar... i nieboszczyk przestałby mnie przesładować...

Ofuknął go ks. Petrek, iż nie do rzeczy prawil. Zaklął się Harno, iż własne opata słyszał wyrazy, dodając, iż król samą myślą, jakoby z grobu powstać mogli, tak był rozradowany, jakby już ich żywymi widział.

Szeroko o tém mówiąc, powtarzając się, Harno nie zbyt zrozumiałym się stał i zarobił tylko na polajanie n ks. Petrka, którego jednak rozmowa ta trochę zaniepokoiła.

Skorzystał z wieczornego obchodu niewieścieli konnat, aby się dostać do Ody. Był pewien, że od niej się o tém więcej dowie. Zastał ją rwącą z gniewu nici, któremi szyła i rzucającą kłębkami. Gdy się zjawił ks. Petrek, cisnęła ostatni i zerwała się od krosien.

— Zbiera się na dziwne sprawy! — zawołała żywo — królowa wskrzeszać myśli tych, co nie pomarli... króla jak dziecko wodzą i balanną, a on się im daje oszukiwać!.. Jacyś święci Jakśów z grobu wyprowadzą!.. zrobią cnd!.. Słyszeliście? Opat zaręczył, iż się takie cnda dzieją! Tylko co nie widać, jak ich tu sprowadzą...

Ruszyła ramionami.

— Królowa, której należała kara, otrzyma za to podziękowanie i cześć!.. któżby się tego mógł spodziewać!.. — mówiła Oda gwałtownie. — Król zesłabł...

— Jestże to prawda, o czém mówią, jakoby się gotowało? — zapytał pisarz. — Możeż to być?

— Zdaje się... kiedy króla próbowali... -- rzekła Oda. — A! mnie już i ten dwór i to wszystko dojadło. Wrócę do ojca... nie mam tu siedzieć czego, ani na co czekać...

Zamyślił się ks. Petrek.

— To rzeczy ślizkie... — szepnął — trzeba czekać... a z drogi nie schodzić... Tak żyć... Zobaczymy, kto króla zna?... Dziś on łagodny, a jutro może być wściekły, gdy sobie lekceważenie swych rozkazów przypomni...

Zamilkła Oda. Cichy szept jakiś zakończył rozmowę i ks. Petrek posnął się dalej.

Gdy się to działo u markgrafówniej, królowa się gorąco modliła oczekując na opata. Wstała najszybciej go wchodzącego i upadła na kolana przed nim. Promieniała twarz jej radością niezmierną.

Opat Aron choć wzruszony, twarz miał niezmienną, na której zawsze jeden spokój niezakłócony nigdy niczem się malował. Radość go nie rozjaśniała więcej, smutek nie gnębił widomie.

— Mów ojcie, co teraz czynić mamy? — zapytała królowa.

— Wysyłam natychmiast, dziś jeszcze do Tyńca — odczytywał się Aron — aby Jaksowie przybywali... Gdy tu staną, ty, miłościwa pani sama, ty jedna możesz rzucić się z nimi razem do nóg

króla pana naszego... nie ma wątpliwości, że im przebaczy, że wieczną wdzięczność zachowa dla was... Ja pilno będę stać na straży, aby jaki wpływ obcy nie popsuł tego, co się tak szczęśliwie uczynić dało. Bogu cześć i chwała!..

Koniec tomu 2go.



BRACIA
ZMARTWYCHWSTAŃCY.

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

III.

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

Powieść z czasów Chrobrego.

Tom III.

W. KŁACZANIECKIEGO.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende

1876.

W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki

I.

Po pierwszej swój wycieczce tak nieszczęśliwej do lasu, Jaksowie nie śmieli już wypraszać się więcej za furkę klasztorną. Nie tyle się lękali Domosła, który nie widywał nikogo, jak nieco lekkomyślnego Jaśka z Tęczyna, i nie bez przyczyny. Nie przeczuwali jednak, że to co mogło być niebezpieczeństwem, szczęśliwym obrotem do przyspieszenia ich wyzwolenia przyczynić się miało. Życie też klasztorne, zrazu tak straszne, znośniej-
szem się z każdym dniem stawało. Wszyscy ojcowie, z którymi się choć trochę rozmówić mogli, tak dla nich byli uprzejmi, tak weseli, tak dobrej myśli, że obcując z nimi, mimowoli smutku się pozbywało. Młody Odo był im tłumaczem i przewodnikiem, kilku też innych zakonników potroszę się już rozmówić umiało.

Nie zbywało na przedmiotach obudzających ciekawość.

Klasztor był ich pełnym. Każdy niemal z braci św. Benedykta miał jakieś zajęcie. Chodząc po celach mogli się przypatrywać ze zdumieniem, jak się w rękach wprawnych kruszce w żądane kształty wyginały posłuszne, jak się w ogniu topiły bezbarwne miedzaniny, żywem kraszając kolory. Andruszka mniéj był może ciekaw tych rzemiosł, które za poślednie majsterstwa uważał, niegodne, by się nimi wojak zajmował; Jurgę zajmowały te tajemnice i bawiło przypatrywanie się mnichów zajęciom rozlicznym.

Szczególny jednak urok miało dlań pismo, te znaki nieme, tajemnicze, które myśl w sobie spowiniętą mogły nieść na drugi koniec świata i w wieki odległe.

Nie przystało mu uczyć się go, lecz patrzeć lubił w wielkiej izbie, gdy wszysey ojcowie zajęci byli wielką robotą, jak to tam szła praca podziałem, rażnie i pięknie. Niekiedy do pośledniejszych zajęć z ochotą się braciszkom ofiarował, a oni śmieli się wesoło z tego niezgrabnego nowicyusza.

W klasztorach benedyktynów, w których przepisywanie rękopismów było niemal główném zajęciem, dzieliła się praca na wiele rąk i głów, poczynawszy od najpośledniejszej do najważniejszej i najzawikłańszej.

Jurga mógł się tu przypatrzeć, jak o. Arnolf, starszek niezbyt już silny i przygarbiony, nie więcej nie robił, tylko atrament i kolory przygotowywał. Cały dzień czuwał nad niemi, odświeżał, rozrzedzał, dosypywał, dolewał. Znano go nawet lepiej pod nazwą ojca Atramentaryusa, niż pod jego imieniem zakonnem.

Drugi braciszek siedząc u okna strugał trzciny i zaciął pióra. Ten miał młodsze oczy i pewniejszą rękę. Jak każdy inny i on od piór każdej godziny mógł być oderwanym do noszenia wody, albo nawet rąbania drew, i szedł z takim pośpiechem a ochotą, jakby do najmilszej sprawy.

Osobny stół miał ojciec Teodoryk, który pargamin czyścił i wygladzał. Tu i siły było potrzeba i zręczności.

Nad niejedną buntowniczą skórką dobrze się musiał namęczyć, lecz pociechę też miał, gdy szorstka i twarda w rękach jego stała się śnieżystą i połyskującą.

Z nię dopiero inny brat wycinał pod miarę równe kartki, przeznaczone do złożenia kodeksu. Z jednego kawałka szły często i ogromne karty do Chorałów i Graduałów, i małe krzynki na pośledniejsze użytki.

Ze stołu tego przechodził pargamin do ojca Rubryki. Ojciec Rubryka siedział wygodnie i czerwonymi liniami kreślił na białych kartach przyszłe wiersze rękopismu. Dowodził on, jak zresztą

każdy z ojców, iż najważniejszą ze wszystkich spełniał czynność. Śmiejąc się jedni po drugich dopominali się uznania, iż gdyby nie oni, nie byłoby rękopismów... a w istocie wszyscy się na nie składali.

Kilku młodszych braci pisało, i nad niemi Jurga stawiał najdłużej, przypatrując się z podziwieniem, jak pod ich palecami rodziły się te znaki dziwnie powyginane, niektóre rozrósł, wystrojone w purpurę i złoto, otoczone floresami, jak dworem jakim, poczwarkami, stworzeńkami, dziwaczniemi wzory.

Czasem jeden z piszących miejsce zostawił próżne na tego magnata drugiemu bratu, który najzręczniejsz miał wypieścić naczelnika liter i wystroić go odświętnie. Jurga te wielkie głoski nazywał królami i książętą, resztę wojskiem, co szło za niemi.

Cóż dopiero było mówić, gdy wypadła cała karta zamalowana figurami, których znaczenie tłumaczyli mu ojcowie. Tu trzeba było misterstwa wielkiego i barw rozlicznych a świetnych. Nie jeden raz zmęczył się biedny kunsztmistrz na to, aby w końcu westelnał boleśnie, znajdując dzieło swe innem, niż je w dalszy nosił. Boleść Chrystusowa nie dość mu była bolesną, piękność Matki Boskiej nie dosyć piękną, anioly nie dosyć powietrzne... Więc smucił się on, drudzy go po-

cieszali, a Jurga podziwiał, jak ręka ludzka w tak drobnych rozmiarach tyle pomieścić mogła.

Szło potem dzieło pracy rąk tyłu do tego, co je czytał po głosce i poprawiał, mozoląc się więcej może niż ten, co je przepisywał.

Naostatek w rogu pod oknem siedzący z pomocnikami starszek wiązał rozpierzchłe karty, zbijał je w całość i okrywał okładzinami, do wartości kodeksu zastosowanymi. I było się tu czemu napatrzeć, bo choć często prosta deska drewniana służyła dla ochrony, obciążano ją kosztowną materią jedwabną, obijano klamrami srebrnymi i mosiężnymi. Rękopisma przeznaczone dla książących i pańskich kaplic ubierano w kość słoniową, blachy srebrne i kamienie drogie.

A gdy w pocie czola wywiedziona na świat księga skończoną była i odnieść ją miano do przeora, co za radość. Jak się każdy cieszył, co się do tego choć w częstej jakiejś przyłożył!.. Pysnił się ojciec Atramentarius, i braciszek Rubryka, i ten co gładził skórę, i ten co pióra zaciinał...

Nikt powiedzieć nie mógł, ażeby skarb ten drogi był jego dziełem, składali się nań wszyscy. Może też zwyczaj tego podziału pracy u ojców benedyktynów miał na celu właśnie, by niażaden dumnym być nie miał prawa. Wiadomo z reguły zakonnej, iż ilekroć postrzegał przełożony, że braciszek zręcznością w kunszcie jakim mógł

się wbić w pychę, odejmował mu pracę tę, a dawał inną, aby pokorę przypomniiał i nauczył jej.

Jurga bawił się z braćmi i zabawiał ich razem. Nie wzbraniano mu przesiadywać w tej izbie, którą był sobie upodobał. Znajdował go tu często przeor i uśmiechał mu się zapytując, czy się też czegoś nie nauczył.

— Nie, przewielebny ojcze — śmiał się wojak sam z siebie — jedno co mnim, to krew czerwienią od najpiękniejszej z tych farb przelewać...

— A żebyś to wiedział, jak śliczne rzeczy, jak ciekawe, nawet dla rycerza znajdują się w tych skórkach — mówił przeor — jakie się tu opisują przygody osobliwe, czyny wielkie, boje sławne...

Odo, który był przytomny, dodał pociech.

— Żeby nasz gość mógł przeczytać lub usłyszeć tę śliczną historię Walthera, którą mnich w San Gallen tak pięknie wierszem opisał.

— Tém ciekawsząby ona dla niego była — dodał przeor — iż tu pono na Tyńcu ów Walther życie swe miał zakończyć...

— O historyi Walgierza Wdalego — przerwał Jurga — już mi Jaśko z Tęczyna wspominał, ale jej nie znam...

— Tak, mówią, że ów Walther i Walgierz jedną są osobą... — dodał przeor — baśnie o nim prawią. Najpiękniejsza jednak ta, którą nasz brat z San Gallen ułożył wierszem godnym dawnych poetów...

Tego dnia skończyło się na pobieżnej wzmiance o Walgierzu, lecz Jurga wyszedłszy z biblioteki, zaniósł znudzonemu Andruszce wiadomość o historii, o której mu wspomniano, a ten mocno się nią zajął, jako czyny rycerskie i nadzwyczajne przygody opiewać mającą.

Nieszczęściem trudno tu było kogo nprosić, coby płynniej mógł zrozumiałym językiem wytłumaczyć braciom poemat o Walgierzu. Odo, choć dobrej woli, źle mówił po polsku, inni ani czasu, ani języka potemu nie mieli.

Jurga chodząc do księży ciągle się o tego Walgierza dopytywał. Ten i ów coś mu więcéj o nim przebaknął, lecz tylko ciekawość podrażnił a nie zaspokoił. Przeor aż się śmiejąc litował nad Jurgą, iż tak piękućj baśni nie będzie mógł poznać, gdy przypadek nastrećzył niespodzianego i ochotnego pośrednika między spragnionemi a niedostępném dla nich źródłem.

Jednego dnia Odo wbiegł z oznajmieniem o księdzu z Krakowa, który się ofiarował wieczorem, w izbie gościnnéj opowiedzieć im szeroko dzieje owego pana na Tyńcu, tak sławnego w świecie całym.

Andruszka szczególniej się tém ucieszył, lubił on bardzo słuchać nawet baśni starych dziadów i opowiadań bab starych, cóż dopiero gdy mu tu rycerskie dzieje obiecywano. Oczekiwano spełnienia, a gdy godzina wieczorna nadeszła, Jakso-

wie pospieszyli do gospody, gdzie i przeor się znalazł, a temu nie o znaną baśń chodziło, ale o przysłuchanie się językowi, którego pilno wyuczyć się starał. *)

Ów ksiądz z Krakowa w odwiedzinę przybyły, niemłody już człowiek, a bywały na świecie i po dworach, wesoło i ochoczo powitał swoich słuchaczy i zasiadł u komina przy kufelku, zapewniając przeora, iż mu opowiadanie, choćby nie jeden wieczór potrwać miało, samemu uczyni przyjemność.

— A! zaprawdę — rzekł — godna rzecz posłuchać historyi tej, w której niejedna pożyteczna dla ludzi światowych nanka się mieści, szczególniej co do obejścia się z niewiastami, i jako losy człowieka zmieniają się, a szczęściu własnemu nigdy zawierzać zbyt, ani go na płochęj miłości niewieściej opierać się nie godzi.

Ten tedy Walgierz możny pan a komes na

*) Historia Waltharius'a i Hiltgundy wierszem łacińskim opisana przez mnicha z Sanctgallen, prawdopodobnie Eckeharda w X wieku, którą wydał J. Grimm i A. Schmeidler (1438), a później Edelstand du Ménil (1443) przypomina wprawdzie nazwiskiem bohatera i bohaterki nasze podanie o Walerze (Walgierzu), ale analogia jest tylko w założeniu powieści, której rozwinięcie Grimm nawet nazywa czysto i charakterystycznie słowiańskim. Idziemy tu za dochowaną nam starą legendą, taką jaką spisał Paprocki, mało co (w początku) posługując się Walthariusem.

Tyńcu, gdy do nas już światło wiary zaglądać zaczęło, a same wojny uczyły, iż na Zachodzie rycerstwo i wszelka mnićjność zakwitała, którą my jeszcze doma nie mieliśmy, wyprawił się był dla nauki wojennego rzemiosła i dobrego obyczaju, na dwór króla francuzkiego.

A był mężem urodziwym, roztropnym, odważnym i wszelkiego dobra chciwym. Tam przybywszy na dwór królewski naprzód jął się przypatrywać, jako drudzy z orężem, koźmi i w obyczaju sobie poczynali, a łatwo to wszystko pojąwszy i przyswoiwszy, w krótkim czasie innych niemal wyprzedził, tak że go wszysecy wysoko szacować zaczęli. A jako był w latach młodości i krewkości, nie mógł też widzieć codziennie córki królewskiej Heligundy, nie powziawszy dla niej miłości gwałtownej. I ta mu też na nią wzajemnością zdawała się odpowiadać, ale zdala tylko widywać się i oczyma z sobą rozmawiać mogli.

Piękna królewna innym też na dworze pozawracała głowy, między którymi szczególnieś niejaki Arinald się odznaczał, który u niej cale łaski nie miał, chociaż pilno starał się o nią.

Walgierz widząc, że mu dziewczka przeciwną nie była, u króla też jej ojca o wzięcie się starał i tego sobie zyskać potrafił.

Przyjęty na dwór, otrzymał nawet urząd podczaszego i u stołu posługując tém łatwiej mógł do królewnej się zbliżyć, która przypatrując mu

się więcej, coraz serdeczniej skłonną dlań być zaczynała, i okazywała mu to jawnie; mając sobie od ojca nadaną swobodę wielką.

Walgierz, chcąc ją sobie bardziej pozyskać, ponieważ z domu wyniósł umiłowanie pieśni i głos wdzięczny, a wiedział iż się w śpiewie niewiasty lubują, który lepij od słowa do serea ich przemawia, nocą się podkradał pod okna królownej, śpiewał i grał na gęśli jak mógł najwdzięczniej, a Helignuda rada się temu przysłuchiwała. Wstawała jak skoro usłyszała głos jego i dopóki nie odszedł, nie ustępowała na chwilę, chociaż z pieśni poznać go nie mogła, a noc dojrzyć nie dozwalała, kto był onym śpiewakiem. Stróżów, którzy pod oknami wartowali kupiwszy sobie Walgierz, mówił ich, aby nikomu nie wyjawiali, kto pod oknami królownej pieśni zawodził.

Trwało to noce kilka, królowna pieśniami miłosnemi coraz więcej ujęta, gwałtownie zapragnęła wiedzieć, kto je nucił. Przywołano stróżów z jej rozkazu, dopytując koniecznie, a ci odpowiadzieli, że nie wiedzą i nie znają śpiewaka, który z zakrytą twarzą przybywał i odchodził. Gdy nalegania aby go wydali próżne były, królowna do więzienia stróżów kazala wtącić i zagroziła im, iż na gardle będą ukarani, jeżeli nazwiska człowieka tego nie wydadzą. Ci ulękłszy się wyznali, iż Walgierz śpiewakiem był.

Uradowała się tём wielce Helignuda, której

serce rozdwojone było, bo Walgierza już miłowała wprzód, a pieśniami ją ujął tamten... więc podwójną miłością przystała ku niemu. A gdy się zbliżyli ku sobie i porozmnieli, królewna potajemnie zaczęła go do siebie wzywać na rozmowę, co w obojgu poczętą już miłość jeszcze więcej wzmocniło. Postanowili tedy i umówili się napewno do ucieczki, gdyż zezwolenia królewskiego na małżeństwo spodziewać się nie mogli.

Arinald zaś odepchnięty przez pannę, inaczej posiąść jej nie mogąc, gdy wyszedł i podpatrzył schadzki i umowy, podsłuchał, że się uciekać sposobili; jako człowiek chytry i przewrotny, nie zdradzając ich przed królem ojcem, wołał korzystać z tego na inny sposób.

Ponieważ droga uchodzącym nieodmiennie przez kraj jego prowadzić musiała, którędy rzeka znaczna płynęła i przewóz na nią był do niego należący, Arinald pożegnawszy króla jechał do domu, zasadzkę na uchodzących uczynić postanowiwszy.

Rozkaz tedy surowy dany był przewoźnikom, ażeby gdy ujrzą z Francyi przybywającego rycerza z panną, któremu zapewne spieszo będzie od pogoni, inaczej go nie przeprawili przez rzekę, jak żądając za to grzywnę złota. Pewien był, iż Walgierz posłyszawszy cenę w spór się miał wdać i kłótnię z ludźmi u przewozu, a tymczasem da-

noby znać Arinaldowi, który nadbiegłszy, przyparty do rzeki Walgierzowi pannę miał wydrzeć.

Stało się tak jak przewidział, wszakże nie po myśli jego.

W istocie w kilka dni potem spieszenie uchodzące przypadł Walgierz do rzeki owój Renn, zdala głosem pańskim i rozkazującym o przewóz co rychłej wołając. Przewoźnicy ludzie prości, nakłysz się rycerza groźnie występującego, zapomnieli o rozkazie i niezwłocznie przewieźli go na brzeg drugi. Zażądali grzywny złota, lecz Walgierz się nie wadząc, rzucił ją im, aby dalej pośpieszać.

Odbiegł był już od brzegów dosyć, gdy Arinaldowi znać dano, grzywnę odnosząc, iż rycerz z panną już przejechał. Wpadł tedy w gniew niezmierny niemiec i, zebrawszy ludzi czempredzję, w cwał konie puścił, aby dognać uchodzących, którzy już dla ciężaru jaki z sobą wieźli, już ze zmęczenia zbytniego pofolgowali nieco, i tylko co się byli w miejscu pewnym, bezpiecznym, na spoczynek układli, gdy Arinald nadbiegł ze swojemi.

Walgierz, jako był rycerz ostrożny, choć się już bezpiecznym sądził, nie domyślając napaści żadnej — dla wypoczynku wybrał wzgórek, z którego daleko widać było do koła, aby z nienacka go nie zaskoczono. Nie zrzucił też z siebie pancerza, ani odpasywał miecza, a jeśli zasypiał na

tarczy swój ległszy, Heligarda czuwała — tak na przemiany odprowadzali warty oboje...

Gdy więc Arinalda ujrzał zdaleka Walgierz, wnet go poznał po helmie, domyślając się co mu tu gotuje, i Heligardę wraz z koźmi za sobą postawiwszy, sam spokojnie przybycia jego oczekiwał... Chociaż sam był jeden przeciwko kilkunastu niemiecom, nie stracił serca bynajmniej.

Nadbiegł Arinald ze swojemi powołując zdala.

— Mam cię zdrajco! Córkę królewską ukradłeś, a przez ziemie moje jedziesz i przewoźnisz nie zapłacił, głowę mi za to dasz!!

— Złes rzekł — odparł Walgierz — królownej nie ukradłem, ani ją siłą porwał, gdyż dobrowolnie zemną ujechała, za przewóz zapłaciłem, a głowy ci nie dam, póki jej nie weźmiesz.

Słyszając to i widząc silnego a mężnego rycerza, ludzie Arinaldowi odradzać poczęli, aby raczej okup wziął i dał im jechać, nie stawiając życia na grę niebezpieczną.

Lecz Niemiec słuchać ich niechciał, tchurzami ich obmierzłemi bezczesząc. Wystąpił tedy pierwszy przeciwko Walgierzowi z orszaku Arinalda Gamelo, i tarczę skórą troistą okrytą na rękę wzięwszy, włócznię rzucił. Wczas się opatrzywszy Walgierz nachylił się tak, że na ziemię padła bezsilna, on zaś swoją, w chwili gdy Gamelo miecza miał dobywać, rękę mu przebił i do konia przygwoździł... Chcąc wyrwać pocisk, raniony

tarczę cisnął i lewicą chwycił zań, gdy Walgierz padł na niego i mieczem przebił, tak że on i koń razem runęli.

Gdy się to działo, stojący najbliżej siostrzan Gamela, Gimo z boleści nad losem zabitego, oburącz dzidę na Walgierza rzucił, który stał nieustraszony i nietknięty.

Oba pociski nie mu nie czyniły, chybił jeden, z drugiego się otrząsnął Walgierz, gdy Gimo z mieczem nań natarł, lecz ciał na próżno, bo żelazo się oparło, a włócznia Walgierza pod brodę wbiwszy się napastnikowi z siodła go wysadziła... Umierającemu Walgierz, wnet głowę nciał, która się na ziemię potoczyła.

Arinaldowi ludzie stali trwogą zdjęci, lecz on tém mocniej się wściekał, a gwałtowniej zemsty domagał. Wystąpił tedy Werinhord z łukiem i strzałami, które od twardej tarczy, ledwie ją drasnąwszy odpadały.

— Umiesz się zakrywać od strzał — zawołał — nie njdziesz miecza mojego.

— Czekam właśnie abyś go dobył — rzekł Walgierz. — I zarazem konia jego w piersi uderzył. Spiał się koń, Werinhorda obalił na ziemię, biorąc pod siebie. — Tuż poskoczył rycerz, helmu mu zdarł, za jasne włosy pochwycił, głowę podniósł i od karku odrąbał...

Trzy trupy pobitych — gniewem okrutnym zapaliły Arinalda, który wołać począł i zaklinać

swoich, aby ukarali zuchwaleca... Wyszedł tedy po innych Ekefried, sas, który możnego pana w swym kraju zamordowawszy, schronienia u Arinalda szukał i na dworze jego przebywał. Począł się sas odgrażać i łajać, na co mu w tąż Walgierz odplacił, wyzywając go, aby lepiej mieczem niż językiem poczynął.

Ekefried, który dźbę miał całą żelazem okutą, cisnął nią na Walgierza, lecz od tarczy się odbiwszy zawisła mu na ramieniu, a włócznia Walgierzowa skruszywszy tarczę jego, rozlaną w dwoje, w piersi mu się wbiła.

Padł sas zalany krwią. a konia jego rycerz ująwszy odwiódł zaraz na stronę.

Za nim pośpieszył Hadawart, piąty z kolei, a że przez trupy, które zawałowały drogę przystępu nie było i koń się skakać wzdragał, ruszył pieszo przeciwko Walgierzowi. A nim szedł, wyprosił u Arinalda, jeżeli zwycięży, aby mu się dostała malowana pięknie tarcza, którą Walgierz się zasłaniał.

— Śmiały jesteś i żal mi cię! — zawołał do niego Walgierz.

— A! ty węźn chytry — krzyknął Hadawart — pociski i strzały cię nie biorą. jak żmija opasałeś się walem... ale cięcia mojej ręki nie ujdiesz. Cheesz dobrą radę? Arinald mi tarczę twą podarował, odłóż ją na bok, abym jej nie popsuł. A podobala mi się bardzo... Nie zwycięzę cię

ja, stoją jeszcze insi za mną, którzy w końcu za wszystkich się pomiszczą...

Walgierz jednak tarczy się pozbyć niechcąc, na męznego przeciwnika czekał — słowa z nim mieniając, któremi wzajem w sobie gniew coraz większy budzili; aż Hladawart przypadł z mieczem, Walgierz włócznią się bronił, i silnym pchnięciem z dłoni mu go wytrącił, padł w trawę, schylił się po niego Hladawart, gdy Walgierz pochylonemu kark przygniótł nogą do ziemi i przebił leżącego...

Ledwie odetchnąć miał czas rycerz, gdy ujrzał przeciwko sobie lecącego Putafryda z włócznią w ręku wymierzoną... Pocisk gwałtownie rzucony poleciał daleko i padł aż u nóg królownej Heligardy, która ze strachu krzyknęła.

— Życzę ci ustąpić! — zawołał Walgierz — nie uczynisz mi nic.

W gniew wielki wprowadzony Putafryd nieopatrznie mieczem począł wywijać, od którego tarcza zasłaniała Walgierza. Sam prawie, zajażdży na włócznię mu się uaknął i padł zabity.

Na dzielnym koniu siedzący Gerwig, zmusił go przez trupy przeskoczyć i zaledwie Walgierz czas miał głowę poległemu uciąć, gdy z obosiecznym toporem frankijskim runął na niego zajażdży. Szczęściem wyprobowana tarcz ciosy odbijała...

Walgierz skrwawiony swój miecz uskoczywszy wetknął w trawę, aby osychał, a z włócznią znownu szedł na zapaśnika. W chwili gdy Gerwig tarczę swą do góry unioś, pchnął go i przebił.

Wnet, wedle obyczaju, głowę odrąbawszy — stanął...

Ariualdowi po tylu trupach, już szczęścia i sił nie mieli ochoty probować, ale on, choć sam do walki nie śpieszył, począł wołać o srom, i pozostałych do boju pędzić... Mamyż tak powracać straciwszy tylu ludzi ze wstydem? z rękami próżnemi? Żadnegoż już nie ma męża, coby się z tym zmęczonym i okrwawionym zbrojem osmiał probować?

Walgierz słuchając spoczywał.

Helmu mu głowę palił, zdjął go, aby pot z czoła otrzeć i powiesił na gałęzi drzewa, gdy nagle na szybkim koniu nadbiegł nań Randolf, i ciężką żelazną sztabą uderzył go w piersi, ale pancerz nie dał jej głębiej przeniknąć, Walgierz pochwycił tarczę, helmu wdziwać nie miał już czasu... i niemiec w głowę odkrytą godząc, dwa długich włosów uciął mu kosmyki. Drugi cios odbił Walgierz tarczą, a żelazo wbiło się w nią tak głęboko, iż Randolf wyrwać go nie miał siły. Ujrzawszy to rycerz pociągnął gwałtownie, i nagle potem padłszy nań na ziemię obalił.— Za moje włosy musisz głową przeplacić, abys się przed narzeczoną z tém nie chwalił. I łeb mu urąbał.

Dziewiąty jeszcze wystąpił Helmnot, który miał trójzębny pocisk w ręku. Sądził, że cisnąwszy nim, gdy się w tarczę wbije, łącno z nią pociągną Walgierza i na ziemię rzuca... Świsnął trójzębny pocisk, a Arinaldowi z radości w dłonie klaskać zaczęli, ale Walgierz stał nieporuszony jak dąb, chociaż trzech ludzi sznur od trójzęba z całych sił, wyprężony—ciągnęli... sam Helmnot, Trog dziesiąty, Tanast i Arinald dwunasty. Walgierz się ogromnym gniewem zapalił w końcu, i z odkrytą głową, wpadł na Helmnota naprzód mieczem ciąższy go przez łeb i kark, i hełm rozłupawszy na dwoje. Trog oplątał się był sznurem od pocisku, i nie mógł pochwycić wczas za oręż, był więc bezbronny, Walgierz podciął mu nogi i jego tarczę porwał nim on po nią mógł sięgnąć... Ramiony podiósł z ziemi ogromny kamień i rzucił nim z taką siłą, że własną swą tarczę rozbił. Włokącego się po trawie, aby wyrwać miecz w nią wetknięty, Walgierz dobiegł i rękę mu odrąbał. A tóż oręż swój złożony na uboczu, spieszenie wzięwszy, biegł Tanastus, lecz nim się walka rozpoczęła, Walgierz już mu bok rozplątał...

Trog z odciętą ręką żyw jeszcze łajał i sromocił zwycięzcę, czego wytrzymać nie mogąc dłużej, dobił go, aby milczał.

Zostal jeden Arinald.

-- Spróbujemyż się miły towarzyszu — krzy-

knał ku niemu Walgierz... Bywaliśmy na jednym dworze, biesiadowali razem nieraz, znamy się dobrze, aleśmy się z sobą nie mierzyli, chodź więc, poprobujmy się.

Arinaldowi z wściekłości i żalu po towarzyszach, których utracił, mowy zabrakło; konia więc zmuszał, aby po trupach szedł, i skoczywszy z nim nieszczęśliwie, pod nogi niemal Walgierzowi się obalil.

Mógł naówczas rycerz leżącego jednym ciosem łatwo się pozbyć — lecz śmiechem tylko przyjąwszy ostatniego zapaśnika, dał mu się czas podnieść do walki.

— Łatwego nie chcę zwycięztwa — odczwał się — miecza dobywaj.

Gdy tych słów domawiał Walgierz, już Arinald siekł co siły po puklerzu, napróżno starając się nieokrytego schwycić przeciwnika. Dał mu czas zniżyc się spokojnie stojący Walgierz, aż wreście tarczą go napierając następować nań zaczął i pchał tak, aż na stos trupów, o który oparłszy się Arinald, zachwiał i padł na ucie. Naówczas schylił się rycerz i łańcuchem, który miał na szyi ndusił go — poczem jak inny tak jemu głowę od karku odciął, a tarczę rzuciwszy, obrócił się ku Heligardzie prosząc jej, aby mu dla ochłody wina podała.

— To była — rzekł opowiadający ksiądz, pierwsza przygoda zwycięzka Walgierza...

— Zaprawdę — przerwał Andruszka — my cośmy też w bojach bywali, i na niejedno patrzeli, a nigdyśmy nie podobnego na oczy nie widzieli. Człowiek ten musiał mieć siłę nadludzką, oręż nadzwyczajny.

— I miłość dla królewnej wielką! — dodał Jurga — bo dla ocalenia jej, tak bohatersko walczył.

Uśmiechnął się starszek.

— W pieśni i bajce lacono się cnda dzieją — rzekł — chociaż są ludzie, jak to wiemy z podań starych, nadzwyczajną obdarzeni mocą, którym nikt podoleć nie potrafi.

Leez, zważajcie tylko, ażali człowiek co się na takie ważył niebezpieczeństwa dla onęj królewnej, nie wart był, aby ona mu miłą a wierną pozostała małżonką?

Niewieście serca są zmienne, jak to zaraz ujrzycie.

Zabrawszy tedy łup znaczny z zabitych, po wypoczynku jechał Walgierz na Tyniec z królowną, i szczęśliwie tu przybył.

Pod czas bytności na dworze króla francuzkiego, szerokie majątności jego trzymał we władaniu swém, niejaki Wiślinir, z rodu Popielowego, który sam na Wiślicy siedział. Gdy Walgierz powrócił, witając go nadbiegli ludzie ze wszech włości z żalami i skargami, jak okrutnie przez niego uciemiężeni byli...

Zatrulo to zrazu powrót szczęśliwy do domu rycerzowi, a niechcąc sądzić nie wysłuchawszy, szła naprzód z dobrém słowem do Wiślinira, wzywając go, aby się tłumaczył i opowiadał jak ta sprawa stała. Na to jednak otrzymał dumną i gniewną odpowiedź, iż się mu tłumaczyć nie myśli, ani jechać do niego, niech się stanie jako chce.

Walgierz też nie był skłomny połknąć gorzkie słowo nie pozywając do rachunku, o nie.

— Niechce on do mnie, pójdę ja do niego — ozwał się na to. — I zebrawszy ludzi swych, gdy tamten bezpiecznie sobie tuszył, że się nań nie waży — naszedł Walgierz Wiślicę, wpadł na gród i Wiślinira związać kazawszy, powiózł go z sobą na Tyniec, gdzie go na wieży zamkniętego osadził.

Niechciał mu życia brać, gdyż byli dawniej przyjaciółmi, tylko go wolności pozbawiwszy, skarał więzieniem. Czas jakiś upłynął — aż na wojnę zawołano...

Musiiał Walgierz z pocztą iść na rozkaz pański. Gdy nadeszło rozstanie, a Heligardę miał żegnać, ta z boleści wielkiej i żalu niezmiernego, prawie odchodziła od zmysłów, narzekając na wojnę, na króla i na własny los, który ją w obcym kraju na samotność skazywał, tak, że Walgierz zaledwie ją uspokoiwszy — mógł odjechać z tą pewnością w sercu, iż miał w niej najprzy-

chylniejszą małżonkę, pocieszając się tём, iż go nad życie miłowała.

Alieści od króla Salomona czasów wiadomo światu całemu, iż na wielkiej miłości szczęście budować trudno, gdyż częstokroć im gwałtowniejszą jest, tём prędzej uchodzi. Stało się tedy, gdy wojna się pociągnęła, a Walgierz nie powracał, że we łzach tonąca Heligarda, srodze tęsknić sobie poczęła i samotnością na zamku mndzić. Co widząc sługa jej, rada pani się przypodobać — wspomniała o więźniu, który na wieży siedział zamknięty, a był człek urodziwy i młody, iżby go dla rozmowy i rozerwania w tęsknicy, gdy się ludzie pośpią, puszczać można, na dzień go znowu zamykając.

Opierała się zrazu królewna, ale namowom slugi wreszcie oprzeć nie mogąc i nie myśląc aby rozmowa do złego doprowadzić mogła — zezwoliła. Z czego korzystając Wiślimierz, począł się jej zalceać, co nie trudnóm było, gdyż niewiasta była piękności wielkiej i dowcipu. Nieznacznie tedy z owój rozmowy niewinnój, doszli do poufności coraz większej, tak, że Heligarda zapomniawszy na przysięgę pierwszemu uczynioną, dała się gachowi namówić, i z więzienia go uwolniwszy, ujechała z nim do Wiślicy.

Po skończonej wojnie wrócił Walgierz z łupem i czeią do domu, a gdy w podwórzu stanął, zdziwił się mocno, widząc, że wedle obyczaju,

żona przeciwko niemu nie wyszła. Spytał sług dla czego się to stało — ci odpowiedzieli mu zaraz, iż pani nie było, gdyż z Wiślimierzem na Wiślicę ujechała.

Wpadł tedy w gniew nieczmierny Walgierz, i prawie z konia nie zsiadłszy, natychmiast do Wiślicy za wiarołomną jechał. Tu, że się go wcale niespodziewano, wrota stały otworem i na zamek wpadł tём łatwiej, że na nim pod ten czas gospodarza nie było — gdyż na łowy w puszcę wyjechał. Ujrzawszy go Heligarda, ze strachu do nóg mu padła, prosząc łaski i miłosierdzia, tłumacząc się, iż służa ją na szwank naraziła, że była niewinną i zdradzie tylko uległa. Wielkiego serca ujął, dał się ująć łzom i prośbom niewieściem. Heligarda zaś, wrzekomo do zemsty mu chcąc dopomódz namówiła go, aby się sam ukrył w komorze i ludziom swoim pochować kazał, aż by Wiślimierz wrócił, że mu go wydać miała.

Stało się tak jak chytra chciała niewiasta, Walgierz zamknąć się dał w komorze. Tuż i Wiślimierz nadjechał z łowów, a ona przeciwko niemu wybiegłszy, natychmiast mu opowiedziała, kiedy Walgierz był ukryty. Wpadł nań Wiślimierz ze sługami swojemi, przemocą opanowawszy, związać kazał, i do więzienia wrzucić. Życia mu odbierać niechcąc, ciężkimi tylko okowy go obarczył, przykutemi do ściany. Na większą boleść i męczarnię, klatkę, w której go posadzono

z oknem ku sypialni swój wychodzącem uczynić kazał, tak iż Walgierz nieustannie na oczach miał pieszezoty Wiślimierza z Heligardą, i mógł słyszeć, jak się z jego niedoli urągali oboje.

Lękając się sług własnych i umięd im ufając, Wiślimierz straż nad więźniem zlecił rodzonej siostrze swój Ryndze, która klucze miała od klatki i oków, a gdy więźnia pod strażą wywodzono, pilnowała. A była Rynga ta niewiasta z twarzy i postawy tak brzydka i odrażająca, że ją nikt za żonę wziąć nie chciał, chociaż od dawna lata miała po temu.

Ta ustawicznie patrząc na pięknego Walgierza, w końcu litość uczuła nad nim, i dnia jednego, gdy nikogo na zamku nie było, odczuwała się doń, iż radaby wolność mu dać, gdyby ją chciał wziąć sobie za żonę.

— Wziąłem był dla piękności jedną, która mię z ogubą przyprawiła — rzekł Walgierz — dla czegożbym drugiej nie miał brać dla sereca? Niech się stanie jako chcesz, bylebym wolnym był?

I nie dziw, że jakimkolwiekby kosztem chciał być wolnym Walgierz, srom i niewolę bowiem cierpiał wielką. Nie dość, że żelazem okuty był i w klatce jako zwierz zamknięty, ale na żelaznym wole siedzieć musiał, a przez okno patrzeć i słuchać niewiernej, która wraz gachem z niego niełitośnie szydziła.

Rynga w umówioną chwilę, pootwierala zam-

ki w okowach i klatce, a Walgierz uprosił też miecz, który mu potajemnie przyniosła... Siedział jednak czekając, ażby oboje do sąsiedniej izby przyszli, jak to bywało codziennie... a gdy się do snu zabierali, Walgierz przez okno głowę wynurzywszy — zawołał.

— Wiślimierz — a gdybym też ja potargawszy okowy, sromu mojego i krzywdy przyszedł się na was pomścić?

Krzyknęła przerażona Heligarda, lecz Wiślimierz, pewien będąc oków i żelaza, śmiać się z tego począł.

— Mścij się — zawołał — mścij jako możesz, już ci odpuszczę, choćbyś mnie i zabił!

Pewnym był bowiem wierności siostry swój, i na niewieściem przywiązaniu się grunтоваł. Gdy ich już bezpiecznie spoczywających ujrzał Walgierz, skoczył prędko z mieczem do izby i oboje przebił... tak, iż krzyknąć nawet czasu nie mieli, a w zamku nikt się nie domyślał co się stało. Rynga, która w bliskości oczekiwała, pomogła narzeczonemu do zabrania skarbów wszystkich i wywiezienia do Tyńca potajemnie, gdzie razem z nim wyjechawszy, mieszkali.

Tak się skończyła historia Walgierza, o którym drudzy powiadają, iż gdy ta żona zmarła, a życie mu ciążyło i obrzydło, majątności wszelkie oddawszy ludziom rodu swojego, sam szedł

na starość Bogu służyć w klasztorze w sukni mniszej...

Gdy Ksiądz dokończył, chwilę panowało milczenie — wszelako, jak nigdy się powieść bez dziwnu lub pochwały nie obchodzi. Andruszka rzekł, iż cudowne były przygody rycerza, a no go to w podziw wprawiało, że ten, który dwunastu walecznym zapaśnikom mógł sprostać, jedną kobiecie dał się tak haniebnie oszukać.

Zatém dziękowali księdzu za historję, którą zapamiętać obiecywali, a oba szczególnież opisem boju z dwunastu rycerzami zajęci, niemal noc całą spędzili na powtarzaniu sobie, jak mieczem włócznią i tarczą dokazywał ów rycerz, jak nań pociskami, kutnami dzidami, trójzębami, obosieczną siekierą i wszelkim orężem nacierano.

— Wierzyć potrzeba temu — rzekł Andruszka — gdy ksiądz opowiada jako rzecz, która się w istocie stać miała — przecież Jurgo, mój miły, przypomnij wojny, a zenną będziesz zgodnym, iż Walgierz osobliwą siłą musiał być obdarzony, która nie każdemu jest dana...

II

Po wczorajszej rozmowie długiej, zaspali Jakowie na pierwszą mszę świętą, czego im wstyd było, a gdy obudziwszy się ujrzeli w oknie dzień wielki i słońce, poczęli się co prędzej odziewać, aby choć na drugie nabożeństwo stawić się mogli.

U ołtarzów i w chórze na niém nie zbywało. Wiadomo, iż wedle reguły benedyktyńskiej siedem razy w dzień zakonnicy zbierali się na modlitwę, a do południa msze jedne po drugich wychodziły. Tęsknica dojmowała wygnanym większa niż kiedykolwiek, bo wiosna się poczyniała właśnie i pora do ciągnięcia w pole i lasy. Gdy wróciwszy z kościoła, stanęli w oknie izby, a spojrzeli ku Wiśle, na łąki zieleniejące, na lasy pączkami napęczniałemi czerwieniejące i lśniące, niemal na łyżę się im zbierało, myśląc, jak długo może potrwać jeszcze

niewola i od wszelkiego świata odłączenie bolesne. Dmali tak rozprawiając po słowie, gdy Odo wszedł, pozdrowił ich obu, i do Andruszki się odezwał, że w gospodzie nieznajomy jakiś młody podróżny, domagał się usilnie widzenia z nim...

Odo zaręczał, iż w początku nazwiska i osoby żądanej zaparł się, wiedzieć o nich nie chcąc, ale mu podróżny, całując go po rękach i płacząc niemal zaprzysiągł, iż żadnego złego zamiaru nie miał, a o bytności w klasztorze Jaksów na pewno byławiadomionym.

Oba bracia nękli się mocno, domysławiając zdrady jakiejś — strwożył się, widząc ich pomięszanie Odo i zapewnił, że do ostatka bytności ich zaprzeczał. — Radzili więc i poradzić nie umieli, ktoby był ów młodzieniec z opisu się domysleć nie mogąc, a to właśnie podejrzenia zwiększało.

Po długich wahaniach ciekawość przemogła wręście i choć Jurga go powstrzymywał i zaklinał aby nie szedł, wyrwał się Andruszka do izby gościnnej.

Tu wszedłszy, ujrzał na ławie siedzącego, zmęczonego drogą widocznie młodzieńca, którego lico mu się zupełnie wydało nieznanem.

Na widok Andruszki podróżny ów krzyknąwszy na głos, wstał, podbiegł i do nóg mu padł, — nie mogąc się podnieść, gdyż omdlał ze wzruszenia. Gdy Andruszka usiłował go dźwignąć z ziemi,

dopiero ze zdziwieniem niezmierném acz wybladła i schudzoną poznał w przebranym Antonię, niewolnicę swą grecką.

A że do klasztoru wchodzić uie było wolno niewiastom, wnet ujawszy ją pod rękę, wywiódł za obręb jego i tu dopiero na ławie u ślurty posadziwszy, rozpytywać począł, jak się to stać mogło, iż się tu znalazła. Niewolnica zaś, niewiele mówić mogąc płakała, nogi pana ściskając i powtarzała tylko, iż mu ogolocomu ze wszystkiego służby nie mającemu, chciała być pacholkiem, niewolnikiem, posługaczem, byle jój od siebie nie odganiał.

Z trudnością mógł jój to wytłumaczyć Andruszka, iż oni oba skazani byli na siedzenie w klasztorze, którego progu niewieście nie wolno było przestąpić. Tknięty jednak tém przywiązaniem Jaksa, obmyślił, aby we wsi pod klasztorem Antonia pozostać mogła, dopóki by się losy ich nie rozstrzygnęły.

Tu, gdy do rozpytywania o dwór królewski przyszło, i o to, co się na nim działo, Antonia niewiele powiedzieć umiała. Jedno wiedziała tylko, że Teodora córka Sieciechowa wierną zawsze była Jurdze i nieustannie wspominała o nim, że Jaksowie przyjaciół wielu mieli, którzy nad przyszłością czuwali i pewno im zginąć nie dadzą.

Zabawił się Andruszka na téj rozmowie dłużej niż sądził, a Jurga coraz niespokojniejszym nań

oczekiwał, tak, że gdy powracając ukazał się w progu, rzucił się nań brat nalegając żwawo o wythmaczenie co się stało, z oczów mu już pragnąc wyczytać tajemnicę.

Oczy jednak nie mówiły tak jak nie, ani radości ni bólu nie zdradzając.

— Uspokój się — rzekł po cichu starszy — zgadnąć zaprawdę trudno było, kto za mną tu przyszedł. — Nie kto inny to jest, tylko Antonia.

Jurga krzyknął zdziwiony.

— Po mężku przebrana uszła ze dworu i z trudem wielkim a niebezpieczeństwem, aż tu się dowlekła. Wyznała mi, iż Siciechowna przed nią miejsce w którym schronieni byliśmy, zdradziła. Mówiła i o tem, że lepiej niżeli Heligarda o tobie stale pamięta, a na ciebie oczekuje.

Usłyszawszy to Jurga, nradował się wiele, bratu na szyję rzucając. Późem oba umówili się, by Antonii nie wydając kto była, opatrzyć dla niej pewne schronienie — zdala się jednak trzymając, dopóki by o losie ich nie rozstrzygnięto.

Gdy do jadalni zwołano po tem braci, musiał Andruszka, rumieniąc się i bełkocząc, nieforemną jakąś historję wiernego sługi zmyśleć, aby przybycie podróżnego tłumaczyć. Przecor go do klasztoru chciał wziąć, lecz Andruszka oświadczył, iż tego sobie nie życzył i miał mu tymczasowo schronienie sam opatrzyć. Jakoż z Jurgą oba wyszedłszy zaraz po stole, chatę wynaleźli w osadzie

klasztorniej, gdzie bezpiecznie przebywać mogła. Przy czém Andruszka surowo zakazał jej, ażeby się u furty pokazywać nie śmiała.

Jurga rozpytawszy o Sieciechównę swą, z najlepszą myślą wrócił razem z bratem, a obu się dnia tego usta nie zamykały, przeszłość wspominając i o przyszłości sobie wróżąc różnie.

Już wieczór późny nadszedł, gdy u furty usłyszeli wrzawę i postrzegli dwu jeźdźców przybywających. Odo, który im był przychylny, nadbiegł natychmiast z przestrogą, aby się nie ukazywali, gdyż posłańcy jaeyś przybyli, jakby ze dworu królewskiego, którzy natychmiast się do przeora zgłosili z ważną sprawą.

W niepewności więc, wyczekując co by to być mogło, siedzieli u ognia milezający, gdy po kilku chwilach, kroki usłyszeli w korytarzu i przeor wszedł do nich.

Wstali nierzawszy go o niezwyklej godzinie, mimowolną trwogą przejęci. Przeor twarz miał zaszępiłą a smutną, zdawał się wyrok jakiś przynosić z sobą, z którego objawieniem nie było mu pilno.

— Mężom zwiastować mając nowinę złą czy dobrą — nie będę jej słodził ni łagodził — rzekł. — Nadbiegł od opata naszego najprzewielebniejszego posel umyślny, który mi rozkaz przyniósł, abyście z nim razem nie zwlekając nazad do Poznania powracali. Napróżno starałem się go badać,

coby to znaczyć miało. Poseł sam nie więcéj nie wie nad to, iż pośpiech nakazano i ostrożność wielką, abyście na drodze widzianemi nie byli.

Niech więc Bóg was prowadzi — dodał — Jedźcie ufni w to, że opat, który do ocalenia was się przyczynił, do ostatka nie opuści. — Zresztą ponieważ poseł uwiadomionym jest o was i towarzyszyć ma wam w podróży, przyślę go tu, byście sami z nim mówili o jutrzejszój podróży.

Zaniemieli słuchając tych słów Jaksowie, poglądając na siebie, a przeor kilka słów pociechy dodawszy, wyszedł i wkrótce potém Odo dwu podróжных wprowadził.

Oba byli komornikami ze dworu i posług królowej Emnildy, zaledwie z widzenia Jaksom znani. Starszy z nich, człek wielce wytrawny, małomówny, ostrożny, zwał się Samek, młodszy Odrzyn pod jego był rozkazami i śmiałością tylko wojaczą się odznaczał.

Pozdrowiwszy Jaksów, gdy pytać go niespokojuie zaczęli, Samek długo milczał zbierając się z odpowiedzią.

— W przededniu wyjazdu — rzekł — wezwwała mnie miłościwa pani, nakazując ażebym sobie pewnego dobrał towarzysza i z nim się zgłosił do opata, który co mi powie, ma to być spehioném, jak gdyby sama królowa jejność dała od siebie przykazanie.

Wziąłem tedy Odrzyna, który oto tu jest

(wskazał nań) bo go znam za dobrego towarzysza na którym poledz można i szedłem do opata Arona. Ten mi rzekł: konie weźmijcie dobre, zapas wszelki na drogę, jedźcie do Tyńca, nie nieszukając, znajdziecie tam dwu Jaksów, którzy na śmierć byli skazani ale żyją. Zgłoście się do przeora, aby was do nich doprowadził i powiedzcie, iż żądam by tu do Poznania wracali natychmiast, po drodze nigdzie twarzy nie okazując i nie wydając się z niemi.

Usłyszawszy to z ust Samka, Jaksowie nie odpowiedzieli nic. Na śmierć czy życie powracać było ich powinnością. Ci co ich ocalili, rozporządzać niemi mieli prawo. Niepozostawało nic nad ślepe posłuszeństwo.

Wnet Andruszka i Jurga zajęli się wyborem na dzień jutrzejszy. Na myśl im to zrazu nie przyszło, iż Antonji téż los jakiś zapewnić należało. Wziąć ją z sobą czy zostawić — sami nie wiedzieli, a otwarcie o niej mówić się wstydzieli.

Przybyli posłowie opata w téj samej izbie pomieszczenie znaleźli do jutra, a wieczór zszedł na rozpytywanin o to, co się działo nad Cybiną. Samek jednak czy mało wiedział, czy nie bardzo chciał rozpowiadać, składał się nieświadomością, a Odrzyn do wojaczki tylko czując upodobanie, nad nią nic innego nie znał. Mógł więc o zapasach, o rycerskich próbach i zabawach w podwornu rozpowiedzieć obszernie, więcej o niczem.

Jak świt Andruszka wysunął się z izby, bo nie chciał mieć na sumieniu opuszczenia niewolnicy, która chcąc mu służyć tak ciężką drogę odbyła. Ani zostawić jej, ani wziąć z sobą zrazu nie miał odwagi, lecz gdy go błagać a prosić i zaklinać poczęła, by jej nie rzucił, pieszko się ofiarując iść za koniami, zdjęty litością Jaksą, musiał dla niej o koniu myśleć, na którym by jako sługa w drodze im towarzyszyć mogła. Ściągnęło się z tego powodu niemal do południa, choć Samek o pośpiech naglił. Antonia za wrotami klasztoru czekała. Szli tymczasem Jaksowie żegnać przeora i braci, którzy gdy się o wyjeździe gości dowiedzieli, zehrali się niemal wszyscy, aby ich na podróż pobłogosławić. Umieci bowiem sobie oni zaskarbić miłość wielką, a pocziwy braciшек Odo tak się do nich przywiązał, iż w zakonie sam znajdując szczęście, ich też zaklinał by świat rzuciwszy, wracali tu używać spokoju jakiego on dać nie może.

Przeprowadzeni do furty, wyjechali Jaksowie z posłami, wynosząc z tego gniazda wspomnienie, którego sami sobie wytłumaczyć nie umieli. Ludzie rycerskiego rzemiosła, nawykli do ruchu i wrzawy z razu męczyli się w tém zamknięciu, po tém widok zakonników zwolna działał tak na nich, iż niemal się przywiązali i do nich i do trybu ich życia. Wynosili z tąd wiele zapożyczonego,

minowolnie zmienieni w duszach, choć sami odmiany tej nie czuli.

Tęsknotę i niepokój wprędce podróż rozproszyła i widok tego wiosennego świata, który im dawne swobodne przypominał życie. Samek i Odrzyn ludzie byli myśliwi, a na dworze służbą niewolniczą zmudzeni, i im się ta wędrówka manowcami po nocach, rankami, przez lasy rozwijające się uśmiechała. Jechało się więc rażno, niemal zapominając co w końcu drogi czekać mogło. Antonia milcząca z tyłu za nimi podążała.

Chociaż Samek lepiej jeszcze dróg był świadomy, bo w długim życiu szczególnież za młodu wiele się włóczył, zmuszeni będąc unikać głównych gościńców, zbłądzili nieraz i podróż się zwlekła nad miarę.

Gdy się już ku Poznaniowi zbliżali, Andruszka dopiero spytał przewodnika, co przybywszy miał uczynić z nimi i jakie było przykazanie.

Stary odpowiedział, iż nocą wjechać mieli przez furtę w tunn, tak aby ich na dworze nikt nie widział, a tymczasowo pozostać w izbie, która na tunie dla nich była wyznaczoną. Chociaż chwilami strach ich ogarniał, ufali jednak, iż opat i królowa nie sprowadzali by ich dla wydania i srogiej kary, jeden drugiego usiłował orzeźwić otuchą. Nie mogli uzyskać zupełnego przebaczenia może, spodziewali się przynajmniej życie ocalić,

a w każdym razie lepszy był jakikolwiek koniec jawny, niż przeciągnięta losu niepewność.

Ostatniego dnia, ażeby za widna nie przybywać, przestali kilka godzin w lesie i tu — o włos jeden nie spotkało ich nieszczęście wielkie. Właśnie w ostępie, w którym się rozłożyli, król polował dnia tego. Nie rychło zasłyszeli psów gony i myśliwską wrzawę tak, że ledwie czas mieli koni z paszy dopaść i w czwał się oddalić aby ich nie pochwyciono. Łowcy królewscy tentent koni schwyciwszy, sądząc, iż ktoś królewskiej zabawie przeszkadzał, puścili się w pogoń za uchodzącymi, i byliby ich pojмали może, gdyby Samek przytomniejszy niż inni, nie wprowadził ich na moczary i gąszcze. Lecz w ucieczce tej Antonia mniej zręczna w obejściu się z koniem i trwożliwsza, pozostała gdzieś tak, że później nawołując i szukając po lesie znaleźć jej nie mogli.

Pocieszali się tém tylko, iż nie daleko będąc Poznania, mogła później ochłonawszy, sama do niego znaleźć drogę.

Zamiast przybyć wieczorem, ledwie po tém, ostrożniej się już przekradając, w nocy zdążyli do grodu i furty u tunu. Stojąca w niej straż na rozkaz Samka puściła jeźdźców, a choć około tunu spali już wszyscy, dobudzono się stróża i izba do spoczynku się znalazła. Samek i Odrzyn spełniwszy co im przykazaném było, pożegnali

się czule z Jaksami do których w ciągu podróży się przywiązali i powrócili na dwór królowej.

Ległszy na garści słomy, którą na posłanie dostali — znużeni podróżą, zasnęli bracia zapominając o wszystkiem, a choć we snach wracała im trwoga, nie obudzili się rychło, aż dzwony i ruch około kościoła sen im przerwały. Nie zjawił się nikt, musieli czekać długo, na przybycie stróża, który o pożywieniu pomyślał, zalecając im aby nie wychodzili, gdyż pobożnych w podwórcach było pełno.

Dzień cały upłynął na oczekiwaniu nadaremniem. Opat nie przybył. Nazajutrz z południa dopiero, ujrzeni go wchodzącego. Rzucili się oba do ucałowania jego ręki, czekając co im będzie zwiastować.

— Bóg łaskaw — odezwał się Aron — król miłościwie jest usposobiony. Godzinę tylko wybrać chce królowa w którąj wraz z wami, stawić się będzie przed nim, błagając o przebaczenie. Nie trwożcie się więc, a czekajcie i bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy opat oznajmił im zarazem, iż z rozkazu królowej dostać mają szaty nowe, przystojne, w których by się królowi stawić mogli. Dnia ani godziny oznaczyć nie umiał opat. Radość wielka wstąpiła w serca Jaksów.

Innego ucznia doznawała pobożna pani Emnilda, mimo odwagi którejj opat jej dodawał,

trwożyła się chwilami. Mógł król na widok winowajców unieść się gniewem, mógł wybuchnąć, mógł nareszeie przebaczyć Jaksom, cały swój gniew wywierając na żonę, która dała przykład nieposłuszeństwa i ośmieliła się pójść wbrew jego rozkazom. W tym razie na wszystko będąc gotową, królowa modliła się tylko, aby przynajmniej ofiary na śmierć przeznaczone, ocalone zostały...

Gdy nazajutrz po przybyciu Samka i Odrzyna, ujrzała ich Emmilda znownu pełniących służbę swoją, domyśliła się, iż Jaksowie na grodzie już być musieli — a zbliżająca się chwila stanowcza strwożyła ją bardziej jeszcze.

Nie potrzebowała aby opat przyszedł ozuajnić, iż należało króla przygotować do przyobiecanego endu. A właśnie troska o koronę, zachmurzyła czoło Bolesława i dni tych z obawą przystępowano do niego. Opat też nie przyszedł do królowej, zdala tylko oczyma dając znać, iż wszystko było pogotowin.

Pomimo niestalości króla, który się dopuszczał często uczynków ściągających strofowanie i upominanie od duchowieństwa, miał on poszanowanie wielkie dla Emmildy. Sama pobożność jej i łagodość rozbrajały go ilekroć gniew um owdł, sam widok tej pokornej służebnicy, zawsze spokojnej, uśmiechającej się, cierpliwiej — kazał mu się miarkować i zawstydział roznamietnionego.

Wahała się jednak Emmilda, acz wiedzieć mogła o sile, jaką jej dawał żywot cały świętobliwością i pobożnymi uczynkami zabezpieczony. Wzywała na pomoc opatrzość, aby jej do dzieła miłosiernego dopomogła i tym razem nie zawiodła się ufając jej.

Wiosennego wieczora, król był samotny, brakło mu jego wladków, tęsknił za rodzinami, które się od dworu oddaliły — w radzie zbywało mu na mężach do których się dawniej zwykł był odwoływać; miał służebnych podostatkiem, przyjaciele i towarzysze opuścili go. Napróżno król sam i przez opata starał się skłonić ich do powrotu, wierni mu byli na posługach, słuchali rozkazów, ale nie szli jak dawniej z ufnością ku niemu...

Na chwilę takiego rozdrażnienia trafiła właśnie nadchodząca królowa. Ujrawszy ją Bolesław podniósł oczy ku niej.

— Mówią, że modlitwy ludzi świętobliwych są skuteczne, rzekł do niej, winna byś się pomodlić aby mi Bóg przyjaciół powrócił. Pusto koło mnie, nie mam ludzi. Na starość odbiegło mnie wszystko.

— Miłościwy panie — odczwała się królowa — dajcie mi moc, zabezpieczcie od gniewu waszego, a ufam Bogu, iż się to wszystko odmieni.

Zdumiał się Bolesław.

— Jakićże chcecie mocy? jakić poręki? — zawołał.

— Abym łaski i serca waszego nie straciła — odpowiedziała królowa. Oto tylko was proszę.

— Czyńcie jako wicie, że dobrém będzie — rzekł król poważnie, — tak świątobliwa jak wy niewiasta, zaprawdę złego nie uczynić nie może, a gdybym się zagniewał na was, jabym był winnym.

Królowa przypadła do ręki męża chcąc ją ucałować, a Bolesław czoła jęj ustami dotknął z poszanowaniem.

— Czyńcie — rzekł — czyńcie, nie pytam jak i co, co zrobicie dobrém być mnsi.

Na tę rozmowę, jakby umyślném zrządzeniem nadszedł opat Aron.

— W porę przybywacie — odezwał się król — oto Emmilda, żąda odemnie bezpieczeństwa tylko, a obiecuję mi powrót moich przyjaciół utraconych. Bądź świadkiem, miły ojcie mój, iż przyrzekam gniew wszelki hamować i co królowa zechce spełnić.

— Ufam, że modlitwy świątobliwój pani naszój dokazą cudu! zawołał opat.

Wstała natychmiast królowa, dziękując jeszcze i chcąc się oddalić. Król opata Arona zatrzymał. Nienstaną troską była mu korona, którój tak pragnął.

— Cóżście obmyślili? — zapytał opata.

— Jedno jest do uczynienia — począł Aron — potrzeba pominąwszy cesarza, słać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli.

Z Niemiec dochodzą wieści, iż na gościach poczyniono wszędzie zasadzki, na jadących z Polski ku stolicy Ojca św. Arcybiskup magdeburgski nieufając temu, iż się do niego udawano, podejrzewa nas o to, co istotnie uczynić zamierzamy.

Nie jednego więc posła, ale odmiennemi drogami dwu przynajmniej wyprawić potrzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzie gdy obu z darami słać musimy, nie wiedząc który z nich dojedzie bezpiecznie, obu też należy wyposażyć i na stracenie skarb jeden poświęcić.

Król ruchem ręki i uśmiechem pogardliwym okazał, jak mało mu szło o straty.

— Mój ojciec — zawołał — o złoto nie idzie, korona poświęcona droższa jest nad wszystko dla potomków moich. Gdybym wszelkie naczynie miał dać stopić, i z ostatniego niecza zdjąć złote skówki, niech idzie do grzywny pośledniej, do pruszy...

Ale gdzież ludzie, którym by poselstwo powierzyć można?

— Znajdą się ludzie — odparł opat. — Dwu kapłanów wiernych wam i pamiętnych dobrodziejstw waszych dla kościoła dostarczy zakon nasz, rozsypany po świecie całym. Od klasztoru

do klasztoru przejdą oni Niemcy, Włochy, wszystkie ziemie i kraiki pośrednie. W obronie dodamy im dzielnych rycerzy, co dla was miłościwy królu gotowi są życie poświęcić.

— Mnichów wy wybierzecie — odparł Bolesław — ale zkaż wźmiemy tych, których mi na dworze codziennie więcej braknie?

— Jutro miłościwy panie, mieć ich będziecie przed sobą — rzekł opat.

— A imiona ich? — spytał król.

— Jutro i twarze ich i imiona mieć będziecie, powtórzył opat.

Król patrzył nań zdziwiony trochę, lecz nawykł był taką mieć ufność w swym doradcy, iż pytać więcej zaniechał.

— Jutro? — powtórzył.

— Tak — jutro! potwierdził Aron.

Nadechodzący z pokłonami obcy goście, wkrótce zakończyli rozmowę. — Bolesław zwrócił się ku nim, wypytując o Ruś i o kraje które przebywali w drodze. Opat pod pozorem modlitwy, sklonił się i oddalił. Szedł do królowej, która czując przybycie jego, oczekiwała nań.

— Niech Bóg wźmie w ręce sprawę naszą, rzekła składając dłonie — do opata. Jak skoro zmierzchnie, każeć Jaksów przywieść do mnie, by słowa prawdy usłyszeli z ust moich. Jutro stawić się będą wraz ze mną przed panem i mężem

moim. Jutro! dodała z trwogą. Jutro! ale cóż to jutro przyniesie?..

— Zaprawdę radość wielką! — dodał Opat. — Idę natychmiast zamieść im rozkazy.

Szedł tedy zaraz do tumanu, a gdy stanął przed Jaksami, rzekł im poprośn.

— Przyodziejcie się przystojnie w suknie, które wam dano, jak skoro zmierzchnie, pójdzicie ze mną do królowej. Jutro ona sama stanie wiodąc was przed króla... i otrzymacie łaskę. Ufam w to, pewien jestem... Lecz myślicieź, iż koniec na tém?..

Andruszka odezwał się, że na wszystko, co ich mogło spotkać i wszelaką karę byli gotowi.

— Za każde przestępstwo zapłacić potrzeba pokutą jakąś — odezwał się opat — a kto jej nie odbędzie, to mu zaległa na sumieniu zacięży. Dlatego wyznaczyłem ja was do niebezpiecznego przedsięwzięcia, którym króla łaskę w zupełności odzyskać będziecie mogli... Musicie się udać w podróż długą i groźną utratą swobody, a nawet życia... a jeżeli choć jednemu z was uda się to pozyskać, za czem oba wysłani będziecie drogami różnemi, zjednocie serce królewskie, zatrzecie pamięć lekkomyślności i przewinienia...

— Gotowiśmy na wszystko! — powtórzył Jurga — gotowi!..

Wielka była radość i pośpiech w przygotowaniach do stawienia się przed królową. Zaledwo

zmierzchać zaczęło, już u drzwi oczekiwali na znak, który im opat miał dać. Osłonięci opończami długimi, czapki ponasuwawszy na oczy, szli za nim. Chociaż ludzi było dosyć wszędzie i podwórce się roiły, wśród tłumu obcych przesnęli się jakoś niepostrzeżeni i niepoznani. Jeden Haruo, który w dworcu stojąc pod ścianą szpiegował, co się gdzie działo, spostrzegł opata i za nim idących dwu zakrytych twarzy ludzi, i z ciekawością zabiegł im drogę. Acz Jaksowie potrafili go uniknąć oko w oko, Haruo poznał ich. Był pewien, że nie kto inny tylko Jaksowie mu się zjawili. Opanowany myślą o widnie brata, wziął ich też niemal za cienie umarłych i przerażony popędził do ks. Piarza. Wpadł do izdebki jego z takim pędem, blady, przelękły, iż ks. Petrek zerwał się do niego, sądząc, że na dworze coś nadzwyczajnego stać się musiało.

Zapytany wodził jakby obłąkanemi oczyma, nie mogąc przyjść długo do słowa.

— Haruo! co się stało?.. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — żegnając go zawołał ks. Petrek. — Mów, co ci jest?

— Upiory! widziałem upiory! na oczy moje... Zmarli mi się ukazują ciągle...

— Boś grzesznik niepoprawny! — ofuknął go ks. Petrek.

— Jak i gdzie widziałeś te upiory? mów...

— Przed chwilą, ojcze mój, w dziedzińcu...

ukazali mi się dwaj święci Jaksowie... Szli z zakrytymi twarzami, ale im oczy błyskały straszliwie. Przysiądź mogę, że ich widma mi się ukazały...

— Gdzie? na którym podwórku?.. — zapytał chłodno ks. Petrek.

— Na tém, które do mieszkania królowej prowadzi! — mówił przestraszony Harno. — Zdawali się iść w ślad za opatem.

Ks. Pisarz nie odpowiedział mu nic i odprawił go ruchem ręki.

— Idź — rzekł pomódł się, pośë, to ci się duchy zmarłe ukazywać nie będą, grzeszny jesteś...

Harno coś jeszcze chciał mówić, lecz Petrek pilno, niecierpliwie na drzwi wskazywał, powtarzając: — Idź... idź...

I Harno ucałowawszy jego rękę, zmuszonym był wyjść natychmiast.

Ks. Petrek, przenikliwy, wiedział już, domyślał się, co się święciło. Odgadł, że sprowadzono Jaksów, że ich królowej przedstawić miano, aby wyprosiła łaskę pańską.

— A! — zawołał — szanowny opat radby się obejść bezemnie!.. Zobaczymy, czy się to uda... Natychmiast biegnę do markgrafówniej, niech ona uprzedzi ten spisek i królowi powie wszystko, a gniew jego rozżarzy...

I ks. pisarz pospiesznym krokiem gonił już do komnat pięknej Ody. Niepostrzeżony weisnął

się do niej, niewidziany wysliznął, dopiero w drugim końcu dziedzińca za suknię go Zyg pochwycił szepcąc szydersko.

— Wyście dla markgrafównęj zastarzy... co się próżno koło niej bawicie... Tam młodszych potrzeba...

I pogroził mu na nosie, a pisarz oburzywszy się na pozór i ofuknąwszy, suknię mu wyrwał gwałtownie z rąk i uszedł.

Wieczorem król dziewczętom dworskim płasć kazał. Siecicchówna rada nierada korowodowi przewodziła. Oda wyglądała chwili, by się do Bolesława przybliżyć i stanęła za jego siedzeniem. Gdy piosenka dziewcząt dozwalała jej niepodśłuchiwanęj mówić, przysunęła się do ucha pańskiego.

— Miłościwy królu — rzekła — jużbyście wy czy Bezprymowi czy Mieszkowi powinni oddać królestwo wasze, wyście zesłabli i postarzeli...

Król się odwrócił.

— Tak myślisz? — rzekł szydersko.

— A cóż? — rozśmiała się Oda. — Ludzie sobie z was żarty stroją, kto chce oszukuje... Słowo wasze nie waży, z gniewu się waszego śmieją. Oczy króla zapalały ogniem.

— Dziewko! — zawołał — urodziwą ty jesteś, ale ci do kądzieli iść i do... płasów, nie tam, gdzie królewskie sprawy.

— Tak, tak... — nie zważając na daną od-

prawę poczęła Oda — tak, miłościwy panie... ja do kądzieli, a wy do klasztoru chyba... Co wy tu znaczyćcie? Chcieliście ukarać Jaksów? Uszli z życiem, bo królowa się litowała ich młodości... Kto tam wie dlaczego?..

Uśmiecchnęła się złośliwie.

— Chłopaki urodziwe!.. — dodała. — Teraz wam każą im przebaczyć, a królowej waszjej jeszcze za jej zdradę dziękować!

Poczęła się coraz mocniej śmiać i wzięła w boki, a patrząc z góry na króla śmiała się tak długo, szydersko, jątrząc go.

Król nie podnosił głowy, chociaż widać było, jak drżał cały, ręką sięgnął po złoty kubek i wychylił go do dna.

Oda czekała tylko, rychłoli wybuchnie, gdy król wytrawiwszy w sobie gniew, głowę podniósł do niej, popatrzał i rzekł.

— Urodziwa z was dziewczka! ale kto cię weźmie, chyba na łańcuchu przykuje!..

Oda, która się weale inną spodziewała odpowiedzi, pobiadła. Król, jakby mszcząc się, mówił powoli.

— O! tobie to urodziwe chłopcy smakują!.. Jakby ci się pod czepiec chciało prędnąć, aby skosztować korowaja! Dziewko ty niemiecka... człowiekby za tobą szalał, gdyby nie wiedział, że w tobie siedzi siła nieczysta... wszystko co święte i pobożne, tobie solą w oku... Idź w płasy,

to ci przejdzie ów żar co cię pali!.. Miło patrzeć gdy się zwijasz, ale słuchać cię... tylko gniew...

I ręką wskazał jej koło dziewcząt, ale Oda obrażona z rękami na piersi zaciśniętymi cofnęła się, pioruny oczyma rzucając.

— Pojadę ztąd! → szepnęła — nie wytrwam!..

III.

Śliczny był, ciepły, jasny dzień wiosenny. Pierwszy raz niebo się odkryło całe i przywdziało lazurową szatę, po której jak białe rąbki przejrzyste snuły się obłoczki miękkie, zjawiające na chwilę i roztapiające w błękitach.

Tego poranka po raz pierwszy do niebios jasnych ziemia się przystroiła zielono. Gdzie wczoraj jeszcze czarna była, dziś strzelały majowe trawy, na wierzbach pękły liście, brzozy niektóre poroztwierały pączki, w dolinach zakwitły złociste łotocie. Dzień był jakby świąteczny i ktośkolwiek ujrzał go, weselał. Wracało życie... Stały otworem drzwi, odsuwano okiennice puszczając ciepłe powietrze jak gością milego do wnętrzów. Twarze mówić się zdawały: — Witaj wiosenko!!

W królewskich też podwórcach wyglądało świą-

teczo. Ludzie, konie, psy, ptaki łowcze na berłach kręciły się niespokojne.

I gości dnia tego napłynęło więcej niż zwykle, gości do sądu i łaski pańskiej.

Do dnia Bezprym wyciągał w pole z sokołami i psem sokolniczym, z Ghezą i małym dworem swoim.

Mieszko także przechadzał się z komornikami swymi, jakby jakąś zamyslał wyprawę, gdy od królowej matki przybiegł doń posłany, zwiastując mu, aby się do pół dnia nie oddalał z grodu.

— Przecz? — spytał Mieszko.

— Takie jest rozkazanie królowej, — rzekło pacholę.

Na to nie było odpowiedzi, Mieszko popatrzał na niebo i wrócił do izby swojej. Przez okna otwarte w komnacie Ryksy widać było ją z synkiem, którego uczyła modlitwy. Dziecię się do niej uśmiechało, matka niemal smutnie nań patrzała.

Przed dworcem a pałacem króla stał mnogi lud wszelakiego stanu. Byli tu i władcy możni przybyli ze stron dalekich, i wojaacy, i nbodzy kniecie, i najnboższy lud, który stał na nboczni.

Wśród obcych od granie przybyłych kręcił się ks. Petrek, dostając języka, patrząc może, czy między niemi kogo nie było wysłanego od Magdeburga, aby się rozpatrzeć, co się tu działo.

Dalęj stali na nboczni poganie Lutyce i Wilki,

miecznik niósł obnażony miecz, godło sprawiedliwości i siły, naostatek Siecicch z łaską wysoką złocistą poprzedał pana.

Strojnym był pan jakby do najdosłojniejszych gości wychodził. Na głowie miał kołpak z przepaską złocistą, szczerbczyk u pasa złotego sadzonego kamieniem drogiem, suknię spodnią purpurową jedwabną, a na niej lekki kożuch soboli czarną okryty tkaniną, która połyskiwała na słońcu. Szedł spierając się na lasce, jedną ręką w bok się njawszy, z góry spoglądając na ludzi wzrokiem władcy, który czuje się panem, a chce być ojcem... Jasne to było oblicze jak w dniach zwycięstwa po walec, jak bywało pod namiotem na pobojuwisku, gdy mu oręż zabrany z niego pod nogi znoszono. Usta się uśmiechały nieco, a włos, co się srebrzyć zaczynał, dnia tego świecił czarniejszy — jak za owych lat młodości, gdy spływał na ramiona w kędziorach krucznych.

Za panem jak pies biegł Zyg, uśmiechając się, w oczy mu podglądając, z wesołością do pańskich się strojąc.

Reszta dworu ciągnęła za królem, trochę zbita i zmieszana.

Gdy Bolesław ukazał się i zatrzymał nieco u progu, jak kłosa od wiatru pochyliły się wszystkie głowy w pokorze. Niektórzy poklekali ręce wyciągając ku niemu, lud ubogi na twarze padał. Lutyki i Wilki cisnęli się w kupkę zbity,

jakby się nękli i do obrony gotowali. Popatrzał Bolesław i zwolna postąpił dalej. Oczy potem podniósł na jasne niebo, przypomniało mu może jaki dzieńek weselny, bojowy, któremu przyświecało podobnie.

Z powagą, w milczeniu przesnął się orszak wśród tłumów i poczał we drzwiach jadalni ni knąć, aż ostatni komornik i pacholę wtoczyli się ze psami pańskimi. Naówczas i goście też ruszyli, gdzie komu było przeznaczono.

W jadalni królewskiej pusto było, królowa jeszcze nie przyszła, stał jeden opat Aron w milczeniu. Z panów rady dwunastu — dwu załedwie król znalazł oczekujących, reszty mu brakło od dawna.

Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie, oczy króla często się na drzwi, któremi Emmilda wchodzić była zwykła, obracały. A gdy zdala szelest szat usłyszał Bolesław, twarz mu nieco pobladła. Opat nie spuszczał oka z niego.

Z miejsca, w którym stał Bolesław, nie widać było głębiej nad drzwi rozwarte, któremi wnijść miała królowa. Z sali stolów czterdziestu, wprost nich, sięgał wzrok daleko. Gdy szelest dał się słyszeć, zarazem ci co stali w jadalni, poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwn jakiegoś dał się słyszeć. Wnet poszanowanie dla króla nsta zamknęło.

Tuż szła królowa na ten dzień uroczyste

strojna, na włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowej ze złotem. Błada twarz jej, jakby jasnością jakąś była otoczona. Szła nie sama, z prawej i lewej strony, trzymając ich, za ręce wiodła Jaksów dwu, odzianych czarno i jakby pokutniczo, zbladłych, z oczyma spuszczone mi.

Król ujrzawszy ich drgnął cały — po twarzy jego przebiegły z kolci, jakby gniewu płomień, łaskawości blaski, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią radość wielka.

W milezeniu szła Emmilda przed pana i ukłękła. Oba Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochylili ku nogom królewskim i ziemi... Chwilę trwało milezenie, królowej w piersi zabrakło tchu... Podniosła oczy w górę...

— Panie mój i królu — zawołała — przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla tych dwu winowajców, których przed gniewem twym niechowałam. Przeszedł gniew... stawię ich przed tobą, błagając cię, bądź miłosiernym, wzorem Chrystusa... ulituj się im.

Król widocznie stał wzruszony, nagle ręce mu się rozpostarły i wyciągnął je ku królowej.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć ja sam oplakałem... I tobie, Emmildo, nie przebaczyć, ale mi winien wdzięcznym być... Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi moi

wierni wracają do boku... Podnieście się — dodał do Jurgi i Andruszki, rękę ku nim wyciągając — niech idzie w zapomnienie przeszłość... Spodziewam się, że ją zmażecie...

— Krwią naszą! — zawołali zgodnie Jaksowie całując ręce wyciągnięte.

Na widok tego dziwnego pochodni ludzi, których wszyscy za umarłych mieli, tłum cały ogarzał był przestach zrazu. Cudem się zdawało ocalenie, oczom nie wierzono. Potem gdy przemówiła królowa, gdy odpowiedział król, podniosły się okrzyki nieskończone. Podrzucano kołpaki, podnoszono ręce, radość się malowała na licach, ludzie poruszeni cisnęli się bliżej ku panu.

Śmiała się twarz pańska weselem, jakie dawno nie gościło na niej. Radość ogólna odbijała się na niej.

Spojrzał na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Siciecha.

— Nie przystały im te szaty!.. — zawołał — idźcie i przybierzeie ich w odświętną odzież ze skarben, zawieś im na szyi łańcuchy, na pasach przypasz im miecze... Idźcie i wracajcie tu, abyśmy się weselili wspólnie...

Siciech, którego twarz z trupiobładęj w początku coraz żywszym oblewała się rumieńcem, ze łzami w oczach ruszył wnet zabierając z sobą młodzianów obu, a wzrok wszystkich poszedł za nimi.

Królowa osłabła i rozplakana musiała usiąść, aby przyjsć do sił znowu. W orszakn jěj, tak mnogim jak zwykle, jedněj tylko brakło twarzy — Ody nie było...

Markgrafówna opowiedziała się chorą, nie chciała być świadkiem przewidywanego zwycięstwa królowej, nie mogła w sobie ntaić gniewu, który nią miotał. Za to twarzyczka Teodory córki Sieciecha promieniała jak gwiazda, a ktoby był tajemnicy jěj nie wiedział, domyśliłby się łatwo.

Bolesław siadł z wypogodzoném obliczem i zwracając się do opata, rzekł żartobliwie.

— Wasza przewielebność takżeście pono do spisku należeli!.. za co niech wam będą dzięki, jak również wszystkim tym, co mi krwi przelanej oszczędzili!.. Do Tyńca dodam wam lasów przestrzeń nową i łąk, aby się pamiątka została dobrego uczynku!..

W tém w podwórcu zatętniało ogromnie, jak gdyby wojsko całe wylało się na gród... słychać było rzenie koni i wrzawę. Naprzeciw stołu królewskiego poodsuwane okna dozwalały widzieć orszaki jakieś, napływające w podwórze. Byli to wszyscy Jaksowie i ich powinowaci, którym z rozkazu królowej znać dano, aby przybywali i oczekiwali, rychło się miłosierdzia dzieło dokona. Zdawna niewidziani ci wszyscy, co dwór króla opuścili, wracali mu z dziękczynieniem... Gdy w progu ujrzał ten tłum, na którego prze-

dzie szli starcy, twarze znane mu a miłe, porąbane, bliznami zorane, dalej młodź rycerska, niewiasty, a nawet dzieci, bo jadący zabrali z sobą rodziny całe, aby padły do nóg królowi i królowej... Bolesław uniósł się na siedzeniu z nietajoną radością.

Wszyscy szli schyleni ku niemu.

— Nie mnie! na kolana przed królową! Ona to uczyniła cud... ona! jej dziękujcie!..

Królowa osłabła w tej chwili i niewiasty podtrzymać ją musiały, twarz jej okryła bladłość niemal śmiertelna... i nierychło otwarły się znowu oczy łez pełne...

W tém na przedsicim trąby się słyszeć dały, Sieciech wiódł braci, przyodzianych rycersko i strojnych, którzy powtórnie Bolesławowi i Emnildzie do nóg padli.

Tuż stryjowie, bracia, wujowie, stryjeczni i dalsi powinowaci wstawszy objęli ich kołem i zapomniawszy na przytomność króla, jęli płacząc niemal z radości z kolei ścisnąć, podając sobie z rąk do rąk. Nigdy na dworze pańskim takiej nie było wrzawy, nawet gdy Bolesław pod dobrą myśl gości poić kazał, a ci o poszanowaniu dłań zapominali. Już cichło, gdy ktoś nagle wybuchnął okrzykiem, a za nim przez wszystkie izby rozchodziły się głosy i wybiegały na podwórze, a tam stojące tłumy powtarzały je po całym grodzie, na podzamczu nawet... choć

nie wiedziano czemu, weselono się... Co żyło biegło, pytało, a dzieliło wielką tę radość pańską...

Ks. Petrek, który stał przed swoją izbą z zaciśniętymi ustami, blady, z głową spuszczoną, słuchał tych okrzyków i uśmiechał się gorzko.

Ten i ów postrzegłszy go na boczni, przybiegł z oznajmieniem o wesołej nowinie.

— Jaksowie zuartwychwstali!

Byli i tacy, co end przypisywali świętemu jakimś, twierdząc, iż ścięci byli w istocie i przez modlitwy królowej z grobu zostali wyrwani.

Z rozkazu króla gromadom i dworowi całemu ucztę przysposobiono, wytoczono beczki piwa... Kazano się weselić.

W izbie markgrafówułej piękna uienka leżała na pościeli, z rękami pod głową i z kwiatkiem w ustach, z oczyma wlepionymi w belki, uśmiechała się szydersko... tym samym niemal uśmiechem, jak sługa jej ks. pisarz. Przez otwarte okna dochodziły tu odgłosy z podwórzów, a za każdym z nich purpurą gniewu okrywały się lica Ody. Rzneła się gniewna po łożu.

— Odesłał mnie do kądzieli!.. na łaieniehu kazał mnie trzymać!.. Czekaj! ja jeszcze obręcza nie mam na szyi, a kto komu go włoży? Nie wiem...

Pomaluśku otwarły się drzwi ostrożnie, oko jakieś ukazało się w szparze, szerzej nieco rozwinęły podwoje, głowa Paniechy wcisnęła się

przez nie. Zobaczywszy leżącą, nderzyła stara w pomarszczone dłonie i weszła.

— Królowo ty moja złota! co tobie? — zawołała — co tobie? Tu dwór cały się raduje... a ty chora?.. chora? miłościwa liljo moja biała! Co tobie?.. Ja ziola znam, sposoby mam... co boli? powiedz co boli?..

Zmarszczyła się markgrafówna.

— Boli? — wskazała na serce — na to ty nie masz leku...

— Oj! oj! czemu nie? czemu nie? — poczęła Panicha — nie ma takiej rzeczy i nie ma bólu takiego, na któryby leku nie było...

Markgrafówna zmilezała oczy zwracając ku górze.

— Mnie ztąd trzeba precz! — rzekła — mnie tu już nie ma co robić!.. Znajdę sobie męża w domu! Co mi tam!..

Stara kręciła głową rozglądając się dookoła dziwnie, skradła się zwolna aż do łóżka, zdawała się chcieć coś mówić i wahała.

— Królowo ty moja! — rzekła — tobie tu królową być... ale jak ty będziesz nią, nie zapomnisz o Panisie? nie zapomnisz... Nasza pani... ona słaba... (tu głos się w szept zmienił), ona bardzo wątła, jej życia nie wiele zostało... Lada dzień zaśnie...

Chrzaknęła znacząco; w oczach jej coś się zwijało niby więcej mówiąc niż usta.

Oda poczęła się w nią wpatrywać.

Niedosłyszany prawie szept wyszedł z ust Panichy, i twarz markgrafównęj szkarlatem się oblała — kiwnęła głową nie odpowiadając ani słowa. Rozpuszczonemi włosami poczęła twarz osłaniać, jakby się zawstydzila... i — dłońmi białemi ją pokryła.

Stojąca nad nią Panicha głową potrząsała.

— Nie zapomnijcie wówczas o Panisie — dacie jej tu izby i ucho swe, a będzie wam wierniejszą od psa sługą. Posłuży we wszystkim tak potajemnie, że na świecie nikt a nikt wiedzieć nie będzie...

Szeptała długo po cichu, potem głośnieję poczęła...

— Lada dzień... zobaczycie! Ot tak, zaśnie. Już ja wiem, życia jej nie wiele zostało... nieciekajcie ztąd...

Oda twarz odsłoniła...

— Żle mówisz, dla tego mi jechać trzeba — jutro pojedę... aby za mną gnali, aby o mnie prosili... rozumiesz.

Panicha ręce złożywszy, głową potrząsała.

— Królowo moja! róbcie rozumnie! wy wiecie co robić — a ja też wiem... o! wiem.

Wstała z ziemi stara, pokłoniła się i wyszła pędkiem, ze drzwi jeszcze śląc uśmiech pięknej Odzie.

Po wyjściu jej natychmiast markgrafówna się

podniosła i zerwała z łóżka, klaszcząc na służki...

Kazała się odziewać prędko...

— Do ojca — jntro — do domu! — zawołała. — Jedziemy! musimy!!

Niemieckie dziewczęta jej uradowane wnet zaczęły się krząć około wyborn. Ona sama wzięła się pomagać niecierpliwie. Niekiedy rzucała robotę i stawiała zamyśloną...

— Powrócę! tak lepij! mruczała...

I służkę posłała po ks. Petrka...

Znaleźć go łatwo było, stał zdala przysłuchując się wybuchom radości, jakby czekał co z niej wyrośnie. Gdy nań skinęła niemka, obejrzał się tylko i krokiem żywym pośpieszał na zawołanie. Ledwie się ukazał, niecierpliwa dziewczyna poczęła don mówić.

— Idźcie odemnie prosić — ja do ojca odjechać muszę... tak — muszę. Ani pytajcie, ani radźcie. To musi być — rozumiecie mnie! musi!

Jntro — dziś — pójdziecie do króla, do królowej, wszystko mi jedno... Już mi się do domu stęskniło... Od króla wczoraj gorzkie słyszała słowa. Trzeba jechać, aby mnie żalował. Na oczach stać najgorsza rzecz.

Ks. Petrek słuchał, chciał coś rzec, ale mu nie dała.

— Już ja wiem co czynię — nie mówcie... Powiedzieć królowej, że jej się proszę do domu.

Ręką skinęła rozkazując, ks. pisarz zamyślo-

ny wyszedł... Z oznajmieniem tém, które mu zlecono, nie pora iść było. W izbie ucztowano... wesolość, śmiechy, wykrzykiwania słyszał tylko. Musiał stać i czekać, aż się królowa oddaliła z niewiastami. W ślad zaraz poszedł za nią.

Duchownemu wstęp był zawsze wolny, więc choć potrzebowała spoczynku królowa, puszczonego... Przebiegły księżyna ręce podniosłszy do góry, głowę zniżywszy z czecią wielką, od uwielbień rozpoczął.

— Święta pani nasza enda czyni! — rzekł wzdychając.

— Nie mówcie — przerwała Emmilda.

— Przyszedłem z nowiną może też nie wstrętliwą, miłościwa pani — odezwał się — ażali to dla dworn nie lepiej, gdy z niego to nastąpi, co się z nim miłością połączyć nie może??

Markgrafówna Oda przennie oświadcza miłościwemu panu i pani, iż za gościnę, im dziękuje i do ojca powrócić pragnie.

Wzdrygnęła się królowa, nie umiejąc pokryć radości. Ks. Petrek dodał z kłamanym uśmiechem.

— Wstrzymywać jej nie potrzeba... Niech jedzie. Niebezpiecznych to wdzięków niewiasta, do których lgnęli wszyscy.

Emmilda wstrzymała się od odpowiedzi długo.

— Królowi o tém oznajmie — rzekła.

Widząc, że rozmowa nie może się przeciągnąć, ks. Petrek z pokorą wielką i pokłonami, wysu-

nał się natychmiast. Sam już nie chciał pośredniczyć w tém do króla, sądził, że ta wiadomość nie będzie mu miłą, wolął ją więc zdać na opata, rachując że, jak przed królową tak przed nim, będzie miał zrzeczność ze swą gorliwością o dobro pańskie wystąpić. U sług okolo dworu rozpytał zaraz o Aroua, który się w tunie znajdował, a że wiadomość pilną była, pośpieszył do jego celi.

Braciszek, który był na rozkazach u opata nie wpuścił go zaraz, dając mu wiedzieć, że się ktoś u niego znajdował. Ks. Petrkowi było na rękę podpatrzeć, kto miał tajemne narady z nim i ustawił się tak, aby po drodze wychodzącemu spojrzeć w oczy.

Nadzieja go jednak zawiodła — gdyż zaledwie na ławie w sienі przysiadł, dwu zakapturzonych mnichów wyszło z celi i przesunęli się tak żywo mimo niego, iż choć pozdrowił ich, aby zatrzymać, otrzymał tylko mruczenie w odpowiedzi... Zdalo mu się, iż widocznie unikali zbliżenia się do niego.

Ponieważ wyszli od opata — gotów był to przypisać rozkazom jego. Zachmurzony tą myślą stał jeszcze, gdy drzwi celi się otworzyły i sam opat ukazał się w progu, wzywając go do siebie.

Dotąd ks. Petrek prawie był pewnym, iż miał całe jego zaufanie, sprawa Jaksów coraz mocniej-

sze budziła w nim podejrzenie, iż mógł je postradać.

Mileząco pozdrowił swojego zwierzchnika i smutnie spojrzął ku niemu.

— Co mi ks. protonotaryusz przynosi? — zapytał Aron.

— Zda mi się, że dosyć pożądaną wieść — rzekł zwolna ks. Petrek — któremu dwaj mnisi nieznanymi stali ciągle na myśli — ale może przerwałem jaką ważniejszą sprawę? Widziałem wychodzących, zapewne...

— To są moi bracia, benedyktyni, których do Sieciechowskiego sprowadziłem klasztoru — odezwał się opat spokojnie — nowych sił potrzebujemy... tyle jest do czynienia nim się światło wprowadzi, nim pole zasieje...

Ks. Petrek, choć tłumaczeniu nie bardzo ufał, przyjął je za dobre i oczy pobożnie podniósł do góry.

— Wasza przewielebność — odezwał się — lepiej wicie zapewne, z kąd ludzi ściagać... i jakich wybierać. Powążyłbym się jednak odezwać za niemieckimi księżmi, którzy bliżej kraju naszego siedząc, lepiej go znają i łatwiej sobie przyswajają język i obyczaje polan.

Aron nie odpowiedział.

— O jakieżże to sprawie mówić mi chcecie? — spytał po krótkim milczeniu.

— Jestem posłem markgrafównej Ody, która chce do ojca powracać — odezwał się podnosząc oczy, aby wrażenie nowiny pochwycić, ks. Petrek. — Zdaje mi się, że nie pożądańszém być nie może, gdyż markgrafówna... nie wszystkim tu jest miłą... nie dla wszystkich pożądaną. Może się mylę, ale oczy jój i chęci wysoko sięgają. Pozbyć się więc niebezpiecznej niewiasty...

Opat patrzył w okno, nie przeczył ani potwierdzał.

— Wasza przewielebność zechcecie może o tém powiedzieć panu miłościwemu... Mnie to poselstwo nie przysłało...

— Jestli to jak sądzicie stałe postanowienie, czy niewieścia tylko próba? — rzekł opat.

— Nie potrafię osądzić o tém — odezwał się pokornie ks. Petrek. — Zdawałoby mi się jednak, że w istocie chce się ztąd oddalić.

Ks. pisarz miał wielką ochotę przeciągnąć rozmowę, lecz opat zamyślony był dziwnie i milczący; nigdy zimniejszym się nie okazał dla niego. Ks. Petrek stał wywołując jakieś słowo, zwierzenie się, poufalego coś, coby poświadczało, że łask nie stracił. Opat milczał zadumany.

— Zaprawdę — dodał nieśmiało — byliśmy dziś świadkami rozrzewniającego widoku... Cudn dokazała świątobliwość pani naszej... Co za radość powszechna!!.

Opat milczał jeszcze.

— Boli mnie tylko jedno — kończył pisarz — że mi nie było dopuszczono do dzieła miłosierdzia ręki przyłożyć... że nie zasłużyłem na zaufanie i wierne moje usługi zyskać mi go nie mogły... Budzi się we mnie wątpliwość, czy ja przewielebności waszej jestem nżytecznym... gdy do niezego używać mnie nie raczysz?

— Jakto do niezego, mój bracie? — przerwał opat — król powierzył wam przecie poselstwo najtrudniejsze, najważniejsze, najbliższą serea swojego sprawę? Wasza podróż do Magdeburga przekonałby was powinna, jak wielkie posiadacie u pana naszego zaufanie. Ale też takiego jak wy człowieka do posiednich posług używałby się nie godziło...

Sklonił się ks. Petrek.

— To pewna — rzekł — iż nikt gorliwiej dla dobra kościoła i króla nie pracuje nademnie, nieudolność tylko moja skutku nie dozwala osiągnąć... Robilem com mógł.

— Wiemy to — dokończył opat i natychmiast, jakby odwracając rozmowę, począł żegnać pisarza, który, rad nierad, wysunął się mocno rozżalony i gniewny.

Nazajntz rano poczet, który miał w podróży towarzyszyć markgrafównie, sposobił się już. Oda mileżąca, ale zarumieniona i podrażniona wybierała się niecierpliwie. Kobiety jej wiązały swe przybory i sposobiły juki na konie. Wozy oprócz

tego zatoczono pod izbę, i już je ładować zaczęto. Markgrafówna napróżno usiłowała się dowiedzieć, jak król przyjął wiadomość o jej postanowieniu, dziwniąc się i złościąc, że ją tak łatwo wypuszczano. W istocie nikt na dworze nie okazywał najmniejszego żalu i ochoty powstrzymania jej.

Jeden tylko Bezprym, który był późno powrócił wczoraj z łowów, dowiedziawszy się o wyborze Ody, pospieszył do niej z dobrą wiadomością. Na widok jego twarz się jej rozjaśniła, a nawyknięcie do załotności, nieszczęśliwie wymuszony śmiech na usta.

Bezprym więc jej oczyma mówił do pięknej dziewczyny, niż potrafił ustami. Oboje wejrzeń nie szczędzili. Słowa nie szły długo osamotnionemu królewiczowi, zwłaszcza gdy się znalazł wobec niewiasty. Dopiero w końcu rzekł.

— Żal nam będzie was, bo takiego hoźego licha nieprędko dwór doczeka!..

— Macie tu ich dość! — odparła Oda — a mnie do swoich czas...

I znowu oczy mówiły tak wyraziście, że się markgrafówna zasmuceniła, a Bezprym jak krwią stał oblany i wyrwał się z tego pożegnania, przyznając Ghez, że Oda prawie mu się tak wydała piękną jak Ryksa.

W istocie wszystkie niewiasty młode piękne

dłań były, a szczególniej te, które na niego spoglądały mile.

Pożegnanie z królową było ze strony Ody zimne; prawie czułe od Emmildy, która wdzięczną jej była, że dwór opuszczała i tłumaczyła to sobie dobrą wolą. Obdarzyła więc odjeżdżającą i uścisnęła błogosławiąc. Ryksa także okazała się przy pożegnaniu czulszą, niż była zwykle dla Ody.

Od króla przyniesiono podarki wspaniałe, na których widok zarumieniło się radością lice niemki. Bolesław też sam wyszedł w podwórcę ku odjeżdżającej.

— Szkoda nam pięknej dziewczoi — rzekł uśmiechając się do niej — ale kiedy ojciec woła, słuchać trzeba. Jużci też może kiedy do nas powrócicie?

Oda spojrzała na króla jakby z wyrzutem, coś szepnęła niewyraźnego, zwykła jej śmiałość opuściła ją w tej chwili, spodziewała się coś więcej nad podarki i obojętne słowo. W duchu sądziła może, iż jej Bolesław nie puści. Król popatrzywszy na nią wzrokiem pożądlivym, mruknął powiekami, uśmiechnął się, ale wnet zeszedł nazad do dworu i nie ukazał się więcej.

W progu izby Paniela i inne niewiasty dworskie kłaniały się odjeżdżającej, okazując niby żal wielki; w ogóle jednak więcej się spodziewała piękna pani. Wprawdzie poczet dodany jej okazały był, dobrany i odpowiedni dostojęństwu, nie

zbywało na niczém, wracała z orszakim godnym niemal królowej, lecz czci jęj nie oddano, której duma pragnęła. Widocznie pozbywano się prawie radośnie. Oda wyjechała otoczona rycerstwem, sama jedna z swym małym dworem, w sereu żywiące mściwe uczucie.

Ostatnie wejrzenie Panichy mówiło jęj coś, co ona jedna rozumiała i co w przyszłości obiecywało wiele.

Ks. Petrek, za którym gonila oczyma, weale się nie zjawił. Wyjechali już za okopy i podzamcze, gdy na gościńcu ukazał się z kijem w ręku ks. pisarz, jak gdyby z pieszęj jakiśś powracał wycieczki.

Ujrawszy jadącą zatrzymał się niby zdziwiony, pozdrowił ją i rzuciwszy okiem po orszaku, który się składał z ludzi oswojonych z pograniczem, a rozumiejących niemców mowę, zawałał się zrazu z przystąpieniem do markgrafównęj, która się, zobaczywszy go, zatrzymała.

Widząc że nań oczekuje, zbliżył się pisarz, a że poczet nieco dalej stał, mógł się więc po cichu rozmówić, czego sobie życzył zapewne.

— Żleście uczynili — rzekł prędko — iż ztąd następujecie... Czasem gdy sprawa zdaje się przegrałą, jest najbliższą końca... Cóż król?

— Nie szczędził podarków... ale mi słowa dobrego nie powiedział — szepnęła Oda. — Królowi! wszystkie niewiasty równe...

Ks. Petrek się szydersko uśmiechnął.

— Ja nie żegnam — dodał — pięknej markgrafówny... dali Bóg życie spodziewam się ją tu widzieć jeszcze... i w świetniejszym orszaku...

To mówiąc przybliżył się ku niej.

— Jedziecie do Niemiec — rzekł żywo — zawieźcie ten zwitek odemnie do magdeburgskiego arcybiskupa. Dostojny ojciec wasz niech mu go prześle... Zda mi się, że opat chytry chce oszukać wszystkich, ale i ja mam wzrok bystry i słuch czuły...

Niech Bóg szczęśliwie prowadzi! — dodał głośno, żegnając ją krzyżem na drogę i odstąpił wnet, puszczać się ku zamkowi.

Orszak markgrafówny ruszył się wnet i dalej gościnnie pociągnął.

Ks. Petrek już był od wczoraj zabiegając, podsluchując, łapiąc poszlaki pewnie doszedł do tego, iż poselstwa do Rzymu się domyślił. Wiedział, że jeden z Jaksów jest do boku posła przeznaczony. Choć opat tał przed nim i przed wszystkimi co przedsiębrał, miał on swoich donosicieli, a niemcy ze dworu Ryksy i niektórzy z posługi króla tak samo jak on ułemieckim panom służyli.

Niewidzialną siecią opasanym był ten pan, który sam też starał się przebiegłością i złotem mieć zawsze wieści z nieprzyjacielskiego obozu.

W ks. pisarzu oprócz przywiązania do kościoła, którego sprawie służyć pragnął, prócz miłości dla

cesarstwa, które za połączone nierozzerwanym węzłem z Rzymem uważał, chcąc pomśzczenia się za rodzaj chłodnej wzgardy i nienności, jaką mu okazywano, budziła się żywa. Zdało mu się, że opat ma go za poślednie stworzenie, niegodne i niezdolne by mu coś ważniejszego zwierzoło. Obrażona miłość własna pragnęła zemsty.

Zaraz po wyjściu wezorajszem od opata, ks. Petrek pobiegł się dowiadywać zrzecznie o owych dwu mnichów przybyłych, którzy być mieli do Siciechowa przeznaczeni. Znano go jako podręcznego pomocnika opata Arona, nie wszyscy więc usta przy nim trzymali zamknięte. Tegoż wieczora wiedział już, że dwaj benedyktyni nie przyjechali z zagranicy i do Siciechowa nie zostali naznaczeni. Oba ściągnięci zostali z Tyńca, a jak mówiono, podróż jakąś mieli przed sobą. Nie wpadł na myśl dwu poselstw ks. Petrek, ale się jednego domyślił. Był go już prawie pewien, jak również, że jego do Magdeburga wysyłano dla zmylenia Niemców i zbijania ich z tropu.

Szczęście się dosyć przebiegłemu przyjacielowi cesarstwa, a umiał też każdą, najmniejszą zrzeczność wyzyskać. Tegoż rana Andruszka miał polecony wybór koni i przysposabianie się do podróży. Spotkał się z nim w podwórcach ks. pisarz i wnet z czułością wielką, począł mu szczęścia, jakie go spotkało, wieszować, unosząc się nad królową.

Andruszka przejęty jeszcze dobrocią królewską, szanując duchownego, wiedząc iż do dworu należał i opatowi służył, niebardzo miał się na ostrożności. Wiedział już, dokąd go wysyłano i nakazaną miał tajemnicę, ale zachowywać jej tak ściśle względem ks. pisarza nie czuł się obowiązany.

— Konie rozpatrujcie — rzekł mu uśmiechając się porozumiewająco ks. Petrek. — Potrzeba je dobrać tak, aby długą, ciężką, niebezpieczną wyprawę mogły wytrzymać.

Oczyma dawał mu do zrozumienia, że on o wszystkiém był uwiadomiony. Andruszka też nie wątpił o tém.

— Życiebym dać gotów, aby miłościwemu panu jak najłepiej służyć — odezwał się.

— Niebezpieczna, trudna wyprawa... gorzej, niż przeciw jawnemu nieprzyjacielowi... — rzekł ksiądz wzdykając — na baczności się mieć będzie potrzeba od niespodzianych zasadzek!..

Andruszka potwierdził to ruchem głowy.

— Kraj nieznany, ludzie obcy, a wielce przebiegli... Daj Boże podolać temu...

— To już nie moja rzecz — odezwał się Andruszka — ale tego, co lepiej znając wszystko, prowadzić będzie... Ja w obronie tylko i na posłudze mu stawać muszę.

— Mamli dać radę? — szepnął ks. Petrek dla lepszego zbadania. — Nie szukajcie manowców,

nie schodźcie na małe dróżyny, wielkim gościńcem najmniej się was będą spodziewać... i jechać najbezpieczniej. Powiedzcie to, ale od siebie, przewodnikowi... Nie domyślą się ludzie kto jesteście, widząc że się nie kryjecie z sobą.

— Rozumna rada! — potwierdził Andruszka.

— Kn południowi i w cieplejsze dążycie kraje — z uśmiechem dodał w końcu Petrek — koźuchów i opończy nie nabierajcie... ciężar to daremny...

Andruszka potwierdzająco się uśmiechnął, a ks. pisarz pewnym już będąc swojego, zbiegł natychmiast do celi, na zrzynku ostrzeżenie napisał, wskazując je pieczęcią i sznurem opatrzył, wyszedł na miasto i oddał markgrafównie, aby je do arcybiskupa wysłano.

Na gościńcach więc większych, któremi jechać doradzał, pewnym był rozstawienia pilnych straży i pochwylenia królewskiego posła. Szczęściem jednego tylko odgadywał, gdy w istocie dwu ich być miało.

Rad z siebie, że kościołowi oddał i cesarstwu posługę, przejęty radością, pobożny ks. pisarz wprost potem udał się do tumanu i pokłękawszy przed ołtarzem, gorąco modlić się zaczął. Zdradzał on w dobrej wierze, pewien że na swe zbawienie pracuje.

VI.

Coraz cieplejsze szły po sobie dni wiosenne. Królowa też często wychodziła z dworem swoim, odbywając pobożne pielgrzymki do wystawionych w okolicy krzyżów, które teraz zastępowały dawne bożyszcza i słupy pogańskie.

Jeden z księży z tumanu poprzedzał zwykle pobożną niewiast gromadkę, śpiewając pieśni, które duchowni czescy pierwsi na swój język przekładali, a te się łatwo spolszczyć dawały. Śpiewano i po czesku nie czując zbytniej dwu pokrewnych mów różnicy.

W kilka dni po wyjeździe Ody, tak samo wyszły niewiasty wszystkie na pobożną przechadzkę. Królowa przodowała. W dworcu jej, jak zwykle wszystko stało otworem, okna poodslaniane były, drzwi odemknięte, choć żywa dusza w izbach

się nie znajdowała. Straży też w wewnętrznych dziedzińcach nie stawiono.

W chwilę po wyjściu królowej, na jednym z podworców zjawila się rozglądając ostrożnie Paniela. Nie widząc nikogo, po cichu drzwi otworła i zamknęła je za sobą. Oczywiście śledziła wszystkie kąty, krokiem wolnym, jakby bez celu posunęła się ku oknom izb Emmildy, a gdy i tu nikt się nie pokazywał, podeszła do nich blisko. Nie rychło ośmieliła się głowę włożyć w otwór i wpatrzeć w pańskie komnaty. Ciekawość czy inna jaka myśl ją prowadziła? zajęta się być zdala silnie i jakby przestraszona tem co czyniła a szła jednak.

We wnętrzu było pusto. Od okna odstąpiwszy powlokła się, obejrawszy kilka razy ku drzwiom, te stały otworem. Mogła więc wuiść, nikt jej nie widział. Wsunęła się po cichu i znikła. Dobra chwila upłynęła a z powrotem jej widać nie było...

Gdy nareszcie wyszła, blada, jakby pijana i wystraszona, mnsiała się o ścianę oprzecz na czas jakiś, by nie upaść, bo nogi trzęsły się pod nią. Oczywiście wodząc obląkanemi, ręką wychudłą tarła czoło oblane potem, jakby z niego myśl jakąś natrętną zetrzeć chciała.

Po tem z przestachem nagłym odbiegła prędko ku furcie którą weszła. wysliznęła się nią i nie odetchnęła aż na drugiem podwórku, gdzie pod

ścianą upadła, na pół ondlona. Widocznie coś się z nią stało niezwykajnego, bo twarz i postawa jęj cała zmieniły się strasznie. Targała się jakby chcąc i niemogąc powstać, wreszcie płachtę zasłonięła na oczy, niby nie chcąc by jęj kto z twarzy wyczytał myśli i tak pozostała skulona, nęspiona, póki ją głos Zyga nie zbudził.

Karzeł stał nad nią i wykrzywił się dziwacznie.

— Stara ty czarownico — wołał — co ty tu ścianę królewską walasz, ocierając się o nią... Jeżeli ci czas przyszedł zdychać, idź do psiarni...

Tym głosem obudzona Panięha podniosła nieco głowę, zasyczało jęj coś w ustach, ale głosu rozeznać nie było można.

— Upiłeś się gdzieś na podzameczu, śmiał się karzeł, a przyszedł tu piwo wydychać. Że cię też psy nie zjedzą.

Panięha ręką go odganiała, ale karzeł był złośliwy i sprawiało mu przyjemność dręczyć tych co mu się bronić nie mogli, jak osa opadł babę i brzęczał jęj nad uchem.

— Żał ci znać twojęj pani, do której chodziłaś czary dla nięj sposobić. Pojechała — nie wróci. Trzeba się było zabrać z jęj dworem, tamby ci lepiej było.

Zyg przechylił się, zęby wyszczerzając i począł cichym głosem.

— Ty co umiesz czarować — zawołał szy-

dersko — toćbyś i mnie powinna jaką dziewczkę przyciągnąć, a to, od ilu lat jestem na dworze, żadna nawet niewolnica i chłopka, królewskiemu służyć się nie nśmiechmęła.

Panicha poczęła wstawać, aby się od zjadliwego karła uwolnić, lecz siły ją opuściły i opierając się oburącz na ziemi, zaledwie podnieść się potrafiła, gdy Zyg popchnął ją śmiejąc się i znowu padła przeklinając go, odgrazając się, nareszcie kij schwycawszy, by mu się obronić. Zygowi tego tylko było potrzeba, i on też kij miał pod ręką, stanął z nim jak z mieczem do walki.

Gawiedź w drugim końcu dziedzińca stojąca, zbiegła się ze śmiechem, patrzeć na to osobliwe widowisko. Panicha nareszcie rzuciwszy kij, dzwignęła się z ziemi i klnąc Zygą, rzuciła do ucieczki. Karzeł i gawiedź gnali za nią i tak ze wrzawą wypędzili ją z dziedzińca, wśród powszechnego śmiechu. Psy obudzone hałasem, pognały za nią szarpiąc odzież i przyprowadzając niemal do szaleństwa.

Temu wypadkowi przypisywano, że nazajutrz Panicha była obłąkaną i w knechcie kościelnej śpiewała, skakała, plotła tak od rzeczy, iż ją z zamku przez wygnąć kazano.

Miała ona przyjaciół na podzamczu i do nich się schroniła. Oddawna zwykła była u dalekich jakichś krewnych w ubogiej chacie Drapaczów nocować i składać swe łachmany. Tu, gdy teraz

wpadła z rozezochranym włosom, płachtami rozrzuconemi, jakby pijana, Drapacz o mało nie zamknął drzwi przed nią, tak się nastraszył. Wparła się siłą do lepianki wołając.

— Co to wy mnie nie znacie, ja królowej pani sługa? ja chodzić będę we złocie i szkartach. Niewiecie nic. Będziemy mieli nową panią. Tę już nie długie panowanie. Co ja wiem — nie powiem. Wszłam do komnaty, nikogo nie było, com robiła? co komu do tego? co? — Ze ściany mi jakaś twarz okropnemi oczyma zaświeciła... grożąc, albo ja się boję? Nie boję się. Mówiła przerywanemi słowami, a Drapacz ręce łamał, milezcę jej każąc i spać ją chcąc położyć. Nie o nie pomogło. Paniela po swojem bredziła do nocy, a nazajutrz rano wstała z tym samym śmiechem i szalem.

Chciała się wyrwać z podzamecza i wniknąć na zamek znown, lecz od wrót ją odpędzono i Drapaczowi nakazano snrowo, aby zamknął ją i pilnował. Trzeciego dnia uspokoiła się nieco, nie wychodziła już ku grodowi obawiając się chłosty, lecz bredziła zawsze jedno, o królowej nowej — o swęj przyszłości, o oczach które na nią ze ściany patrzyły.

We dworze mało kto postrzegł nawet, że Panieli nie stało. Trzeciego dnia właśnie, gdy miano jednego z Jaksów wyprawiać, zrana rozeszła się wieść, że królowa Emmilla zachorowała

Na całym zamku, w mieście, gdziekolwiek się o tém dowiedziało, żal, boleść wielka i przestрах ogarnął ludzi; królowa bowiem była matką ubogich, orędowniczką wszystkich u króla, opiekunką biednych, co się do niej czasem z kończyn kraju ścigali. Nie odmawiała nigdy opieki nikomu, a król rzadko prośbę jej odrzucił.

Zdawna już na zunżonej twarzy świętej niewiasty widać było jak jej życie ciążyło wielkiem brzemieniem — często mówiła, iż się czuła słabą i nieobiecowała sobie długiego wieku — nie spoczywała jednak i nie zamykała się u siebie. Codziennie przychodziła zająć swe miejsce przy panu, trwała na nabożeństwie, karmiła swoich ubogich.

Dopiero dnia tego po raz pierwszy strwożyli się wszyscy dowiadując, iż królowa leży i wyniść nie może. W przededniu wróciwszy z kościoła, Emmilda zażądała napoju, złoty jej kubek stał na stole, kazała sobie weń nalać wody, wypila ją i stawiając go, szepnęła, że woda dnia tego dziwny jakiś smak miała.

W godzinę po tém ciemni zaczęły jej zachodzić oczy, uczuła ból w głowie i musiała usiąść naprzód, po tém się położyć. W nocy stan ten się pogorszył. Z cierpliwością wielką, boleści znosiła królowa, Bogu za nie dziękując.

Nazajutrz, gdy nie wyszła do jadalni i Bolesław nawykły od lat wielu widzieć ją u boku

swojego, nie zobaczył tej twarzy co mu pokój i pociechę przynosiła — posłał zaraz niespokojny, a wnet i sam szedł do komnaty żony.

Zastał ją leżącą, bladą, z oczyma straszliwie jaśniejącemi jakimś życiem potężnem, w gorączce, z usty spalonemi, lecz przytomną i modlącą się. Rozmaite rady niewieście, któremi ją leczyć chciano — niepomagały. Z każdą godziną stan się pogorszał.

Nie było naówczas lekarzy. Jedynym co słyszał szeroko, był biskup pragski, starzec sparaliżowany sam, którego rady zdala zasięgnąć nie było podobna, a jego przywieść — nie możliwa... Rzucono się więc o pomoc do lekarza jedynego w niebiesiech, który mógł skinieniem życie przywrócić i uleczyć chorobę. Po kościołach wszystkich nakazano nabożeństwa. Z tnu przyniesiono relikwie świętych, rozesłano do klasztorów, aby nroczytami modłami błagano Boga o zachowanie życia królowej.

Na królu widać było smutek tak wielki, jakiego od utraty Pragi niepamiętano. Milezacy siedział posyłając się dowiadywać co chwila, obiecując ofiary szczerze duchowienstwu, jeśliby królowej zdrowie modlitwy jego przywróciły.

Dzień też i noc nie ustawały ofiary i pieśni w kościołach.

Królowa Emmilda, przy której łożu Ryksa zajęła miejsce, otoczona całym swym niewieścim

dworem przywiązanym do niej jak do matki — leżała cierpiąca, choć nie nie zdawało się zwiastować pogorszenia. Oslabłą była, skarżyła się na boleści, lecz uśmiechała do otaczających.

Dzień i dwa całe przeszły bez żadnej zmiany prawie — wstępowała więc nadzieja we wszystkich, iż się choroba sama przesili i królowa ocaloną zostanie.

Ona sama nie okazywała ani trwogi, ni zbytniej o życie troski.

Trzeciego dnia zażądała duchownego, spowiedzi i przygotowania na podróż wielką... Po tém zdała się już spokojniejszą i mniej cierpiącą, sen łagodny przymknął jęj powieki. Na dworze dziękowano już Bogu za ocalenie, które się pewuém zdawało.

Król ślubował złoty krzyż do Gniczna...

Lecz gdy się obudziła Emnilda, zażądawszy widzieć syna i wnuka, ledwie miała siłę pochylić się ku nim, aby ich ucałować.

— Nie trwóście się — uowała — nie płaczcie. Godzina moja przychodzi, idę na lepszy świat, do najdobrotliwszego z ojców, pełnego laski. Tu jestem już niepotrzebna, tam spoczynek mnie czeka i szczęśliwość.

We śnie widziałam anioła pańskiego, który mi zwiastował, że powołuje mnie ku sobie Ojciec niebieski.

I sługom nakazała się przybrać w białe szaty a po tém po cichu modlić się zaczęła.

Plakali wszyscy... strach ogarnął znowu dwór. Przebyła jednak królowa i tę noc i dzień następny. Zaczęto się pocieszać nadzieją.— Zwolna uchodziło jakby wyczerpujące się życie, siły ubywały, nikły, ale nśmiecch spokojny z ust jēj nie znikał. Jak w jednėj części wiernych choroba ta przestrach obudzała i obawę o przyszłość, tak w drugich dziwne z nią rosły nadzieje. Bezprym, choć królowa Eumilda była dlań zawsze łaskawą i wielokroć ojca starała się dlań serce ukoić — nśmiecchał się dziko na wiadomość o chorobie. Gheza musiał chodzić nieustannie na zwiady i przynosić mu wieści, które w podworcach mógł pochwycić.

Tak samo niespokojnie wyglądał ks. Petrek końca choroby, którą zawczasu osądził śmiertelną. Było mu równie jak wszystkim przyjaciolom cesarstwa na rękę, doczekać zgonu królowej. Zнали oni Bolesława i spodziewali się albo Odę, lub inną niemkę na dwór wprowadzić, a z nią tajemny wpływ niemców ustalić, który miał przyszłość podkopać.

Ks. Petrek posługiwał się Harnem i innymi; powierchownie smętnego wielec ndawał, przed opatem z uwielbieniem mówił o świątobliwėj pani, lecz z niecierpliwością wyglądał jēj zgonu.

Naprzemiany to radując się w duszy, to tro-

skając, gdy wieści lepsze przychodziły, spędzał znacniejszą część dnia na czatach około dworn królówój, nie zwracając na siebie uwagi wśród tłumu który go otaczał ciągle. Dzień i noc niemal całą stali ubodzy ludzie u ścian, spoglądając na wrota, cisnąc się, gdy komornika zobaczyli.

Ks. pisarz z innemi chodził na nabożeństwa błagalne i pokazywał się na nich jawnie, aby go tam wszysej widzieli.

Dnie te w trwodze przebyte, wydały się wiekami...

Królowa gasła widocznie, a otaczający jej łoże ludzili się jeszcze nadzieją. Czasem orzeźwiona zdawała się silniejszą, przemówiła słów kilka, uśmiechnęła do Teodory Sieciechównój, przemówiła do Ryksy, zbłądłą ręką pogłaskała wnuka, po tém opadała senna, zmęczona i powieki jej zamykały się zsiniałe. Dzień jeden nie przyjmowała już pokarmu, zaledwie mogąc do ust spiekłych wziąć kroplę wody.

W nocy przebudzona, ujrzawszy u stóp łoża Sieciechównę, skinęła na nią. Noc to była ostatnia...

— Teodoro moja — rzekła — czas się zbliża, nie łudźcie się i modlitwami nie wstrzymujcie duszy mojej. Jej się tak pragnie nlecieć na łono ojcowskie. Któż wie, czy doczekam rana. Idź — proszę, powiedz ojcu swojemu, że raz jeszcze

chcę króla i pana pożegnać mego, niech przyjdzie ku mnie.

Zaplakana pobiegła Sieciechówna, zbindzono Bolesława, który natychmiast wieść się kazał do królowej. Zobaczywszy go, wysiłkiem ostatnim podniosła się Emmilda, ręce wyciągając ku niemu. Kazano się wszystkim oddalić, król padł na siedzenie.

— Panie mój — odezwała się silniejszym niż wprzód głosem królowa — panie mój, mnie Bóg powołuje, chciałam cię pożegnać i za lata strawione z tobą dziękować. Przed oczyma moimi widną jest przyszłość — niech ci Bóg da siły do dźwignięcia jej, bądź szczęśliwym! Nie zapominajcie o duszy mojej.

— Przyszłość widzisz? — zapytał król — powiedz mi ją?

— Nie wolno mi jej odkryć tobie, i ty — widzieć ją będziesz gdy przyjdzie godzina. Mężnym bądź. Pomnij tylko, że ta którą weźmiesz po mnie ciebie pana mego winna być godną. Nie patrz na młodość, nie daj się uwieść wdziękowi, abyś nieprzyjaciela nie posadził w domu twym, u stołu twego.

Umilkła królowa, nie rzekł też słowa Bolesław. Przyszły mu na myśl lata przeżyte z córką Dobromira, nie zamacane nieczem, pogodne — czyste, w ciągu których stokroć on potrzebował przebaczenia, a nigdy nie miał przebaczać powodu. Żal

niezmierny ścisnął męzkie serce jego — zdało mu się, że z tą niewiastą odchodzi szczęście, które mu jej modlitwy u Boga wyjednywały. Zbliżył się ku niej, usta szeptały jeszcze modlitwę, lecz gdy całował raz ostatni, uczuł je jak lód zimnemi i rysy okryły się białością śmiertelną. Z rękami na piersiach złożonemi, w których ścisnęła krzyż, z tą na ustach modlitwą, przy pożegnaniu męża, ciego i spokojnie królowa Emmilda skonała.

Na krzyk dziki który się wyrwał z ust króla, nadbiegł dwór cały i padł rozłzawiony u łóża widząc martwą królowę.

Siećciech natychmiast zbliżył się do pana, aby go od smutnego oderwać widoku. Wyprowadzano króla, a z drugiej strony drzwiami wszystkiemi biegli ludzie z płaczem i jękiem do ciała. W mgnieniu oka rozeszła się po dworcu i dziedzińcach wieść straszna — królowa umarła! Emmilda nie żyje...

Była to chwila, gdy dzień się robić począł, ubodzy ludzie budzili się do pracy, gdy żalobny dzwon ozwał się na tumie i ks. Petrek porwał się ze snu. Zrozumiał on głos ten poranny i drgnął. W chwili już był odziany, na nogach i wybiegł ze swój izdebki. Ludzie zawodząc i płacząc, snuli się w dziedzińcach, tłum czarny widać było około dworca. — W powietrzu latały słowa „królowa umarła!“

Dziwny uśmiech skrzywił mu usta i w mgnieniu oka twarz przyobłókl żalobą.

Naprzeciwko niemu biegł Harno, nie od pałatinnu pańskiego, ale z podzamecza; przestraszony jakby i nad miarę pomieszany. Księżdz zobaczywszy nie mówiąc doń nie — poczał go ciągnąć nazad do jego mieszkania. Ks. Petrek mógł się łatwo domyśleć, iż coś innego mu niósł, niż wiadomość o zgonie, o którym już wszysey wiedzieli.

— Ojczc mój — zawołał w prog. — Byłem posłany na podzameczc przez Sicciccha, (pochwycił się za głowc) ojczc mój — com słyszał, co widziałem. Z chaty Drapaczcz wystawiwszy głowc rozczoehraną krzyczala Paniccha, ta straszna baba co się do markgrafównój włóczyła, krzyczala, że ona będzie nową królową... Oda... i że nie kto tylko ona, Paniccha, wszystko to zrobiła.

Ks. Petrek rzucił się usta mu gniotąc ręką.

— Milcz przeklęty ghupezc! — krzyknał — to obłąkana... sama nie wie co prawi. — Milcz! chcechli być pewien głowy na karku. Nie śmiej mówić o tém nikomu. Idź, rozkaż Drapaczowi, by zabił okno, aby jej nie wypuszczał, by nikt nie śmiał tego powtarzać.

Chociaż wolą było zmarłcj, ażeby pogrzech jej odhыл się tak, jakby w zakonie życie skóńczyła, choć kazala się pogrzebać w sukni mniszcj, jako pokorna służebnica Chrystusowa, Król o tém słuchać nie chciał... Bolesław nakazał, aby oddano

część zwłokom królowej największą, ze wspaniałością je grzebiąc obok Mieszka, tam gdzie on sam też chciał spoczywać. Rycerstwo, panowie, duchowieństwo natychmiast zwolani zostali. — Z Gniezna i Trzemeszna mieli przybyć kapłani, a mnogi lud i tak już gród oblegał.

Trzeciego dnia po zgonie odbył się więc z przepychem owych czasów niezmiernym, z jałmużnami i darami, z nabożeństwem uroczystem, pogrzeb pobożnej pani, za którym szło co żyło w mieście i okolicy.

Gdy nazajutrz po tém rozplynęły się tłumy i powszednie życie wróciło w zamku nad Cybina, choć jak zwykle nie brakło ludu na nim i gwaru, pustka którą po sobie zostawiła Emmilda, dała się czuć wszystkim. Młoda Ryksa równie pobożna, zajęta dziećmi i mężem, żyjąca w zamknięciu, mniej dostępna, nie mogła jej zastąpić. Królowi brakło tej towarzyszkii wierniej, której siedzenie pokryte czarnem sukniem stało próżne.

Opat widząc go chmurnym i niepokojonym, starał się naprzód skłonić do zgodzenia się z wolą Bożą, potem odwrócić myśl jego od tej żałoby, przypominając mu dwa poselstwa, które wyprawione być miały. Oba one powstrzymane zostały z powodu choroby królowej.

Na wzmiankę o tém, król w istocie odżywać się zdawał.

— Jaksowie oczekują i moi dwaj księża na pańskie rozkazy — odezwał się opat.

— Niech jadą — odparł król.

Naówczas opat obszernie począł kreślić plan podróży i opowiadać, jakimi listy do Rzymu miał ich opatrzyć.

Listy te, przeciw zwyczajowi, nie ks. pisarz Petrek przysposabiał, ale benedyktyn, którego umyślnie dla sporządzenia ich sprowadzono do tumu, zkaąd wcale nie wychodził.

Szło następnie o oznaczenie wagi złota, jakie z sobą dwa poselstwa zabrać miały. Bolesław oznaczył ją bardzo wysoką, lecz zabranie takiego skarbu dla wagi jego w podróży było prawie niepodobieństwem.

Wszystkie te szczegóły, o których musiał król mówić, myśl jego nieco oderwały od wspomnienia królowej. Dla tém pewniejszego omamienia ks. Petrka, którego się opat obawiał, kazał mu wygotować list do arcybiskupa nowy, polecający modlitwom jego duszę królowej, przy czém dar dla duchowieństwa u grobu św. Maurycego miał być dołączony, a razem prośba nagląca o pośrednictwo u cesarza w sprawie korony.

Tym listem jakby mocno zajęty opat spędził kilka godzin razem z ks. Petrkim. Pisano go i przerabiano, przyczém i o wielkim żalu króla a smutku jego mowa była.

— Przewielebny ojcze — odezwał się ks. Pe-

trek w końcu — wszystkim nam wiernym sługom miłościwego, wielkiego pana naszego idzie o utrzymanie go w najdłuższe lata!.. Niech mi więc będzie przebaczonem, jeśli się odezwę w téj rzeczy.

Opat spojrział ciekawie.

— Na smutek miłościwego pana nie ma ratunku innego, tylko tę światobliwą panią, nieodżałowaną pamięci królowę, zastąpić inną u boku jego niewiastą. Lepiej stokroć jest, aby świętym związkiem małżeńskim został z inną połączony, niżby miał pokątniej szukać pociechy w ladajakiach miłostkach...

Opat Arou słuchać się zdawał z uwagą, nie przecząc wcale, czém ośmielony nieco ks. Petrek mówił dalej.

— Myśmy do poskramiaiania naszych namiętności nawykli... lecz królowie a rycerze hamować ich nie umieją... Caro infirma... królowej potrzeba...

— Nie rychło o tém mówić się będzie godziło — przerwał opat.

— Lecz potem zapóźno być może, gdy król zakosztuje swobody, do której czasu swych wojen był nawykły — mówił pisarz. — Im krótsze będzie wdowieństwo jego, tém dla duszy jego zbawienniej.

Tu zatrzymał się nieco i zawaławszy ciągnął dalej.

— Pomiędzy ludźmi we dworze mowa jest,

iż za pobytu markgrafównęj Ody, rzucił na nią miłościwy pan pożądliwém okiem... Niewiasta nieco płocha, dla dostojęństwa królewskiego młodocęby swą poświęciła chętnie... Ludzie mówią, że wcale nie patrzała krzywo na miłościwego pana...

— Samiście rzekli, że niewiasta płocha... — wtrącił opat.

— Lecz ustalaby płochość w stadle małżeńskim — mówił ks. Petrek — a zkadże miłościwemu panu żonę weźmiemy, jeżeli nie z pomiędzy chrześcijańskich rodów... niemieckich, z którymi połączenie wojnom téż zapobiedz może...

— Rada wasza — odparł opat Aron — może być pożyteczną, chociaż wybór zdaje mi się niedobry... Król towarzyszeki nowęj zapragnie, a nikt mu jej nie może odnowić... bodaj jednak wybrał inną...

Uśmiechnął się ks. Petrek.

— Z tego co po dworze chodziło wnosząc — dodał — zda mi się, że innęj nie zechce... a nie byłoby lepiej dla tego, kogo wezwie do swęj rady, by mu to przyniósł właśnie, co ma na myśli?..

Rzuciwszy tak od niechcenia to, co chciał zdać na opata, ks. pisarz przez czas jakiś zajął się mocno aktem, który miał przysposabiać, potem, niby sobie coś przypomniawszy, rzucił trzecinę, którą pisał.

— Zaponniałem też donieść waszój przewielebności, jak to powinienem był z obowiązku — odezwał się — jakie tu niedorzeczne chodzą plotki... Wiem przecie z ust waszych i z własnego poselstwa, iż innych starań o koronę nie ma, tylko przez cesarza i arcybiskupa... a są plosi ludzie, co utrzymują, że wprost do Ojca świętego do Rzymu ma być posel ztąd wyprawiony... Jużciż, gdyby tak być miało, jabym coś o tém wiedział. Baśń jest skłębiona licho...

Opat posłyszawszy to poruszył się niezmiernie, wino moey jaką miał nad sobą, zbladło mu lice i wybuchnął gniewem.

— Że ludzie plotą takie baśnie, nie dziwię się, ale dziwuo mi, że mi je wy ojce powtarzacie...

— Z obowiązku — rzekł zniżając głowę ks. Petrek. — Wasza przewielebność o wszystkiém musi być zawiadomioną. Niedorzeczność plotki ja wiem najlepiej, com nieco po świecie bywał i znam moc cesarską a czujność tych, co mi służą... Do Rzymu się dostać ztąd... gdyby nawet stokroć się przebrał ktoś, nie potrafi... ani ja, co znam drogi i ludzi, ważyłbym się sam, ani bym radził komu... Szedłby na zgubę pewną...

W oczy spojrzał opatowi mówiąc ks. Petrek, lecz już Aron uspokojony przybrał szyderski wyraz twarzy.

— Zaprawdę — odezwał się — baśń godna

tych próżniaków, co na dworze nie mając się czém zabawiać, z palca sobie wykręcają niebywale rzeczy... Mój ojcze, ani słuchać tego, ani na to zwracać uwagę... I ja nieraz słyszę, czemu gdybym chciał dać ucha, przyszłoby zwątpić o ludziach i co gorzej, o stanie naszym kapłańskim. Alboż myślicie, że mnie nie usiłowano wmówić, iż wy, którzy jesteście prawą ręką moją, służyście arcybiskupowi magdeburgskiemu i cesarzowi, a na dwór ich donosicie, co się u nas mówi i dzieje?

Ks. Petrek siedzący nad pulpitem zatrząsł się cały; głowa jego spuszczone nad parganinem nierychło się podniosła i głos nie dobył się z ust, aż gdy ochłonął.

— Niepoczeziwa to potwarz — rzekł cicho i drżąc — niegodna, by mówić o niej...

Opat się podniósł z siedzenia.

— To też — odparł spokojnie — widzicie, że o niej nigdy wam nie wspomniałem, choć oddawna mnie nią karminono, ani się zniejszyła dla was ufność moja...

W milezeniu posunął się pisarz szybko do ucałowania ręki opata, który z postawą pewną siebie i dumną niemal, wyszedł z izby.

Pisarz odprowadziwszy go do progu z pokorą, wrócił chwiejącym się krokiem. Za progiem zaraz stanął nieruchomy, ośmięty, jak wryty i z oczyma w ziemię wlepionymi długo, długo,

zapominając o wszystkiem, co go otaczało, pozostał.

Słowa opata Arona jak rozpalone iskry latały mu po głowie. Był więc zdradzonym, odgadniętym, on co sądził, że schwytanym być nie może i jest bezpiecznym.

Co miał radzić na to, nie wiedział sam. Z głową w dłonie ujętą poszedł do stołu, zapatrzył się w pargamin, odepchnął pulpit i padł na swe siedzenie.

— Kto mnie mógł zdradzić?.. — pytał ciągle. — Więc chytry ten wąż i tam może ma swoich, co mu donoszą, co szli za mną, co podsłuchiwali?..

Strwożony trząść się zaczął jak w febrze.

— Jeżeli opat słyszał o tem .. król wie... a król... rzucić może do ciemnicy... zesłać do benedyktynów, którzy mnie zamkną jak więźnia na wieki!.. Uciekać!.. jak i dokąd?.. Niepodobieństwo!..

Męczeństwo, na które mógł być skazanym, pomimo gorliwości dla sprawy kościoła, przerażało go. Nie był na nie przygotowanym. W myślach powstał zamęt niewysłowiony i wreszcie ks. Petrek, nie umiejąc go pokonać, padł na kolana do modlitwy, szukając w niej ratunku.

Ale i modlić się nie umiał. Usta powtarzały wyrazy, myśl biegła gdzieindziej. Przypominał sobie, iż pisma arcybiskupie miał w izbie, że je

u niego znaleźć było łatwo, teraz, gdy go już miano w podejrzeniu. Skończywszy więc krótką i roztargnioną modlitewkę, wstał, drzwi zarygłował i zajął się wyszukiwaniem kartek, które natychmiast chciał zniszczyć.

I w tém trudność była wielka, bo spalenie ich mogło być dostrzeżoném, a skóra niełatwo się pali. Postanowił je więc zakopać gdzieś w miejscu bezpiecznem. Coprędzój zebrawszy zwitki, wysunął się ostrożnie na podwórze i wyszedł krokiem szybkim za okopy. Tu wszędzie było ludu tak wiele, iż w pobliżu miasta nie mógł zrobić nic, musiał wniknąć w las, gdzie, jak mu się zdawało, nikt go już postrzedz nie mógł. Pod starego dębu korzeniami naprędce wykopawszy dołek ks. Petrek, wrzucił co przyniósł z sobą, zasypał ziemią, zakrył liśćmi, deptał nogami i lżej odetchnął, gdy się ta czynność szczęśliwie dokonała. Objeżdżał się jeszcze dokoła, nie było nikogo, żadna gałązka się nie poruszała, las i okolica milczały.

Spokojniejszy wziął za kij wracając ku miastu powoli, zaczawszy się modlić nanowo. Zbierał myśli, aby coś postanowić na przyszłość. Co miał czynić? Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, której żadnego dowodu nie miano. Ktoś go zapewne z pogłosek na dworze magdeburgskim pochwyconych mógł oskarżyć, ale gołe słowa lano było odeprzeć. Opat Aron prawdopodobnie może im nawet nie wierzył. Ks. Petrek

chciałby był móżdż zajrzeć w jego duszę? lecz czuł, że to jest niepodobieństwem. Ze wszystkiego jednak wypadło mu pozostać na dawnym stanowisku, starać się nanowo obudzić zaufanie i — służyć jak dawniej sprawie kościoła i cesarstwa. Postanowił być ostrożniejszym, ale niemniej gorliwym. Cierpliwość i pokora były jeszcze najlepszym lekarstwem na podejrzenia.

W tych myślach zbliżył się ks. Petrek do miasta.

Uszło baczne oko jego w chwili przestachu, jaki zrazu go ogarał, iż przy zakopywaniu zwitków pergamiuowych miał świadków.

Traf chciał, że się dwaj Jaksowie przed rozstaniem swym chcieli na osobności rozmówić po bratersku. Wyszli więc godziną wprzód do lasu i położyli się na ledwie oschłej ziemi nicopodal od miejsca, w którym stał dąb stary... Szelest nadchodzącego spiesźnie pisarza zwrócił ich uwagę, zamilkli i byli mimowolnymi świadkami zakopywania jakiegoś, jak się im zdawało, skarbu. Zaraz po odejściu ks. Petrka, którego mało co znali, Andruszka zaczął się śmiać z nieostrożności księdza i wniosł, żeby go nauczyć większej baczności w ważnej sprawie. Śmiejąc się poszli na **miejsce**, które dobrze widzieli i począwszy **grzebać**, dobyli z łatwością ukryte zwitki. Zdziwiło ich **to**, dlaczego ksiądz potrzebował tać się z nimi.

— Nieczysta to rzecz — rzekł Andruszka —

a może właśnie pan Bóg chciał, byśmy jaką zdradę niebezpieczną odkryli. Czytać z nas nikt nie umie... idźmy do opata...

Opat Aron znajdował się w tunie; gdy ich zobaczył nadchodzących, sądząc, że coś o podróży mówić mu mają, począł od tego aby spokojni byli i oczekiwali na rozkazy.

— My tu nie z tem przychodzimy — odezwał się Andruszka — ale ze śmieszną sprawą, która może ma jaką wagę.

I począł opowiadać jak się rzecz miała. Na twarzy Arona odmalowała się radość i zdziwienie, sięgnął po zwitki cheiwie i pocałował w głowę Andruszkę.

— Istotnie — rzekł rzucając oczyma na kartki — oddaliście królowi przysługę... choć wypadkiem. Proszę was, milezcie o tem.

Skłonili się Jaksowie.

— Ks. Petrka mimo że oddawna wiem, iż nas zdradza, dlatego trzymam właśnie, aby go innym nie zastąpiono. Żleby było, gdyby się czegoś domyślał. Nie mówcie nie... i nikomu...

Gdy opat z pomocą z drugieij celi przywołanego mnicha zabierał się do czytania, Jaksowie wyszli uradowani.

Ks. Petrek wróciwszy do swéj celi, choć znacznie w duchu ukojony, niemniej jeszcze z myślami gorączkowemi całą noc przepędził. We śnie zdało mu się, że zakopane nieostroźnie zwitki

ktoś dobył z ziemi. Obudził się w potach zimnych, ogarnęła go trwoga, bo naówczas i długo potem jeszcze w sny wierzono. Jak świt więc pędzony niepokojem pobiegł w las w zamiarze wydobywania pargaminów i ukrycia ich bezpieczniejszego gdzieś indziej.

Jakiż go przestraszył ogarnął, gdy ujrzał już zdała rozrzuconą ziemię i próżny dołek. Błądy upadł u stóp dębu, prawie utraciwszy przytomność. Ktoś musiał więc go podpatrzeć, dobyć i — zanieść do grodu te świadectwa zdrady, które były dlań wyrokiem potępienia.

Nie mogąc długo przyjść do siebie, siedział ks. pisarz na ziemi, z oczyma osłupiałemi, sam już nie wiedząc co poczynać. To co dla bezpieczeństwa uczynił, zgubiło go, albo zgubić mogło co chwila. Na zwitkach stało jego nazwisko... wyprzeć się ich było niepodobieństwem.

Prawie do południa przesiedziawszy tu, w ostatku uciekł się ks. Petrek do modlitwy i drżący, odmawiając eo za najskuteczniejsze uważał, machinalnie się powlókł na zamek, gdyż niecierpka była niepodobieństwem bez przygotowania. Gotów już był na nienchronne męczeństwo. Jednakże wróciwszy do drzwi swjej celi, znalazł u nich wiadomość tylko, że go do opata wzywano. Poszedł do niego natychmiast. Ani z twarzy ni z mowy nie mógł się wcale domyśleć, aby tajemnica jego odkrytą została. Opat Aron żądał spisania jakie-

goś nadania nowego, które król czynił dla Sieciechowa. Gorliwie się wziął do niego ks. pisarz i nieco uspokojony wrócił do celi, aby tam wykalfografować akt, który mu spisać polecono.

Podróż do Magdeburga, od dnia do dnia odkładana, zaniechaną została, ks. Petrek został ze swą trwogą na dawném stanowisku.

V.

Dni kilka upłynęło bez żadnej na królewskim dworze zmiany. Większe tu jednak teraz pannało życie, ruch dawny powrócił z Jaksami i ich powinowatemi, którzy się znowu do króla garnęli. Starzy towarzysze bojowi dopomagali Bolesławowi do znoszenia smutku i odżywiali nieco pustkę, którą po sobie zostawiła zmarła Emmilda.

Ks. Petrek widząc, że się w obejściu z nim nie zmieniło nic, nabrał jakiegś otuchy.

Uchwalono pierwszego wysłać Andruszkę z ojcem Rommaldem benedyktynem i kilku czeladzi dobranęj między wiernymi królowi Niemcami. Poza-rem ich wyprawy być miało poselstwo do cesarza. O. Rommald mający prowadzić tę gromadkę znał dobrze kraje, które miał przebywać, i o ile się to skutecznie dało, zamierzał jechać od klasztoru

do klasztoru, spoczywając u swęj hraci i u nięj zasięgając wiadomości o bezpieczeństwie gościńców. Andruszka powierzona miał straż i ohronę, zwierzechnią władzę nad czeładzią i pilnowanie złota, które wieziono w podarku dla papieża.

Chociaż wszystkie środki bezpieczeństwa obmyślane były jak najbacznięj, a opat Aron bystrym umysłem przewidywał, co i gdzie się stać mogło, nie tajono przed sobą, że tęg wyprawie groziło pojmanie, niewola, przeprawa ciężka... Z rezygnacyą zakonnika i spokojem podwładnego, spełniającego rozkazy przełożonych, jechał o. Romuald, Andruszka gotował się, choćby na śmierć. Ostrożność w grodzie była tak wielka, iż dla niezwrócenia uwagi pojedynczo wyprawiono Indzi należących do pocztu i kazano im się zebrać na oddaloném stanowisku. Aż do granicy niewidzialna straż prowadzić miała jadących i dopiero przebywszy Łużyce, opuścić ich za Łabą. Tu grozić mogło niebezpieczeństwo od włóczących się gromad wendów, dotąd niezupełnie poskromionych. Przejazd jednak do sąsiednięj Marchii, bez żadnego wypadku, napełnił ks. Romualda otuchą. Na ostatnim noclegu wszyscy przywdzielili suknie i wzięli oręż taki, jaki był między Niemcami najpowszechnięj używany. A że z języka rozpoznać było trudno różne plemiona słowian, dalej opowiadać się mieli jako czesi w poselstwie do cesarza wyprawieni. O. Romualdowi przykrém było,

iż został zmuszony do fałszywego o sobie świadectwa, lecz położony go rozgrzeszył i rozkazów jego słuchać musiał. Od granicy do pierwszego opactwa, w którémby bezpiecznie stanąć mogli, dosyć było daleko. Kołowano więc tak, aby jak najmniej z ludźmi się spotykać, a nocie spędzać w zaroślach i miejscach pustych.

Nie był ten kraj jeszcze tak zamieszkanym ani tak ludnym, jak się stał później, zawsze jednak uderzała podróżnych odmienna cała postać jego, zdala widne gródki, wieże, osady i kościoły liczne. Starano się omijać najzupełniejsze miasta.

Podróżni już się byli dostali szczęśliwie za Magdeburg i posuwali spiesźnie dalej, gdzie się coraz bezpieczniejszymi być sądzili, gdy jednego wieczora znaleźli się nad sporą rzeczulką jeszcze wiosennemi wody wezbraną.

Dla podróżnych był tu przygotowany prom, stojący u drugiego właśnie brzegu. Niedaleko tego przewozu widać było na wzgórzu, oblaném wodą, znaczny zameczek z wieżą okrągłą i mnogimi budynkami. Gościniec szedł pod samą górą.

Andrzej zdawało się, mimo nadchodzącego mroku, iż na brzegu przeciwnym dojrzał kłpkę jezdnych ludzi. Wskazał ją zaraz o. Romakdowi, ale ten uspokojony już, nie widział w niej nic, cohy ich zastraszać mogło. Gdy na zawołanie ruszył prom aby ich przewieźć, uderzyło i to Jakę, iż jezdni się nań nie zabrali, a więc jakby

na czatach tam stać musieli. Benedyktyn zaś utrzymywał, iż właśnie spoczywali może po przewozie.

Dosyć długo dla rozlanych wód czekać musieli na przewoźników, którzy wpatrując się pilnie w gromadkę, przybili i milcząc zabrali ich na pokład lichu zbity, a zaledwie mogący pomieścić ludzi i konie.

Andruszka, który na wszystko miał oko, nie spokojnym był widząc, jak bacznie się im przypatrywano, owa kupka ludzi na przeciwnym brzegu wcale nie ustępowała. Na pół rzeki już mogli dojrzyć, że to byli uzbrojeni pacholkowicie, którym na przedzie stojący, pokazniejszy wąsal, zarosły czarno, dowodził.

Stał on twarzą zwrócony ku promowi i bacznie się zbliżającym przypatrywał. Nie już nie mówiąc o. Romualdowi, Jaksza sposobił się do obrony i ludziom oczyma dał znak, aby się na baczności mieli.

Gdy prom już się zbliżał do lądu, pacholkowicie stojący u brzegu, na skinienie dowodzącego, kołem obstąpili miejsce, do którego przybić miano.

O. Romuald zarządził, iż to nie innego nie znaczyło, nad okup od przewozu i przejazdu, który wszyscy naówczas właściciele zamków na swoich ziemiach, często z największą nieiażliwością podróżnych, lub i z napaścią na nich rozbójniczą, pobierali. Puszczonego księdza naprzód, którego suknia duchowna najlepszą była obroną.

W chwili gdy koń jego na ląd stąpił, dowódzca gromadki kazał się jadącym zatrzymać. Dosyć hałaśliwie i butno pytać począł wpatrując się w ludzi, co byli za jedni, zkad i dokad jechali. Naówczas o. Romuald spokojnie odpowiedział mu, iż od czeskiego króla jechali z listami do cesarza, a za prawo przewozu i przejazdu zapłacą co potrzeba.

Dowódzca pokręcił głową.

— Dużo się — zawołał — włóczy takich ludzi po świecie, co się opowiadają od królów, a jeżdżą, aby kupezyć, ludzi oszukiwać, a drugim chleb odbierać... Mnie wy nie oszukacie... Okażać trzeba listy i pieczęcie... Na burg pojedziecie...

Oparł się benedyktyn okazując suknię swą duchowną.

— Albo to łotry i sukni cudzej nie mogą włożyć! — zawołał krzykliwie dowódzca. — Na burg! tam się rozprawimy...

Tuż po nad głowami ich prawie wznosiła się góra, na której stał zameczek. Zdala we wrotach jego widać było wypatrującą skinienia ludzi gromadę; więc choćby Andruszka ze swojemi przebił się przez tych co mu drogę zastępowali, niepopobieżstwem było zbiedz od licznój pogoni. Musiano się więc zgodzić na zwrócenie do burgu, a tuż i pacholkowie dokoła ich obstąpili. Ładowne jukami konie zwracały lakome ich oczy, dowódzca się uśmiechał i pędził, ludzie szydersko

patrzali na schwytanych. Benedyktyn jednak nie stracił nadziei, że się na burgu rozmówić, okupić i uwolnić potrafi.

W mileczeniu jechali ku górze kamienną drogą. Widać było na niej unoga kupę ludu zbrojnego, która we wrotach pierwszych oczekiwała. Andruszka, który nawet miecza w obronie dobyć nie mógł, zżymał się jadąc z przeczcniem smutnem.

Zwlekli się tak do pierwszój bramy, a dowodzący kazał im jechać wprost na drugi podwórzec. Ten otoczony był dokola murami i obszerny bardzo. Zameczek wyglądał pusto i miał na sobie znaki niedawnój pogorzeli, po którój go połatano. Zaledwie się tu znaleźli, gdy we drzwiach ukazał się silnój budowy mężczyzna w kaftanie skórzanym, który wprost podszedł do księdza. Ze śmiałego jego obejścia się i postawy poznać w nim było można pana domu.

Nie mówiąc nic, naprzód koniom, ludziom, jukom, księdzu bacznie się przypatrywać począł, obchodząc dokola. Szczególną uwagę zwracać się zdawał na konie, ludzi jakby na później zostawując.

O. Romuald po razy kilka zaczynał doń mówić napróżno, zdawał się nie słuchać czy nie słyszeć; z największą bacznością rozpatrzywszy się w całym orszaku, graf podszedł do benedyktyna z brwią namarszczoną i spojrzał mu w oczy.

Mnich począł mówić, tłumacząc mu zkąd i za czém jechali.

Nie przerywając wysłuchiwał go śmiechając się tylko pan domu. Na twarzy jego malowała się radość coraz wzrastająca. Gdy o. Romuald skończył, rozśmiał się głośno i uderzył go po ręce.

— Co to za mowa!.. — zakrzyknął. — Mni-chowi, jeżeli istotnie nim jesteście, kłamać się nie godzi... Jam was poznał po koniach! My tu na was już czekamy dawno... Wiem ja lepiej zkąd jedziecie i dokąd... Posłani jesteście od Bolka polańskiego, aby mu mimo cesarza koronę knię w Rzymie... O was już na wszystkich wiedzą drogach i czatnią!.. A mnie się szczęśliwie udało łakomą tę zdobycz zagarnąć...

Ksiądz chciał mówić.

— Z koni! — krzyknął graf. — Wiązać ich... loszek mam już przysposobiony! Spodziewam się, że z próżnemi nie jechaliście rękami, a mnie właśnie tego potrzeba... po spaleniznie na odbudowanie...

Andrnszka chciał się bronić, czterech go ludzi chwyciło i ściągnęło z konia, miecz wyrwano z ręki. Toż stało się z innymi w mgnieniu oka. Nie uszedł od zniewagi i ksiądz. Ogromna knpa wtoczyła się w podwórce i już pochwyconych odzierali jedni, drudzy z koni odwiązywali juki. Graf stojąc śmiał się uradowany.

Listy przeznaczone do Rzymu miał o. Romuald

wszyte w kapturze, a że mn, jako duchownem, suknię zostawiono, te więc ocalaly. Choć dowodu innego nie było nad poznanie koni i w jukach pochowane szaty i uzbrojenie, starezyło to grafowi. Ciężar worów skórzanych, w których było bryłami poczęści umieszczone złoto, naprzód na nie zwrócił oczy, znalezione skarby, powitane radosnym okrzykiem, dowiodły grafowi, iż się nie omylił.

Bądź co bądź, gdyby nawet niewinnych napadł i ograbił, łup tak znaczny wart był, aby się ważyć na wszystko. Na widok złota zawrzało w całym zamku niesłychaną radością. Z górnych okien wyglądające niewiasty w białych czepcach i obcisłych sukniach długich zaczęły zbiegać na dół zaciekawione, lecz graf je groźnym słowem przez odpędził i znikły.

Więźniów ani słuchając, ani patrząc kazano wiązać i do lochu prowadzić. Pędzono ich popychając i bijąc, a dziedzińce po za nimi rozlegały się szyderskimi krzykami.

Andrzej krwawe niemal łzy gniewu z oczu się sączyły. Gdyby nie zbyt nfiny benedyktyn, byłby prom ze środka rzeki zawrócił, rozbił go i przy mroku wieczornym uszedł może. Tak mówił sobie w duchu. Lecz narzekanie było próżnem...

Rozdzielonych na dwie kępki wpędzono ich szyją do głębokiego podziemia i zaryglowawszy je bezpiecznie, łudzie do łupów wrócili.

O. Romuald ukląkł się modlić. Andruszka włosy rwał z głowy.

Graf Zeno siedzący na burgu był areybiskupa magdeburgskiego lennikiem; po krótkiej więc naradzie ze swemi przyboczniemi, natychmiast ubezpieczywszy zabrane złoto, siadł na koń, aby panu swemu wesolą zawieźć nowinę.

Gdy nazajutrz rano dowiedziano się u areybiskupa o pochwyceniu polskich postów, radość była wielka... Zrodził się jednak spór wkrótce o zabrane złoto, do którego całej ilości chciwy graf się nie przyznał, a wszystko za własność swą uważał. Arcybiskup, co najmniej, połowy żądał i posłał z groźbą do grafia.

Zatarg się z tego wywiązał tak żywy, z obu stron tak uparty, iż końca nie było można przewidzieć.

Zagrożony uwięzieniem graf, którego ostrzeżono zawczasu, nie widząc się z areybiskupem, natychmiast uszedł do swojego burgu, na którym w ostatnim razie bronić się nawet był gotów.

Arcybiskup i doradcy jego nie bez przyczyny domyślali się, iż znany z hojności Bolesław znaczne bardzo dary wysłać musiał do Rzymu. Dopominano się ich od wassala, jako własności areybiskupa, który strażę te i czaty kazał postawić. Radość z wypadku zmieniła się w gniew i niepokój.

Graf Zeno poprzysięgał, że nie da pruszynty

pochwyconego złota, które mu za przysługę cesarstwu wyświadczoną należało. Gniewny i rozsierdzony powrócił do zamku, kazał na wszelki wypadek postawić strażę i do obrony się gotować.

W radzie zaś arcybiskupiej, posadzając grafa o łup znaczny, postanowiono naprzód dojść, ile to grzywien złota wieźli posłowie. Zadanie było trudne dosyć, lecz wysłańców zręcznych miano zawsze pod ręką. Uradzono wyprawić do ks. Petrka z zapytaniem o objaśnienie, i to nie zwlekając chwili. Suknia duchowna była najlepszym do Polski listem bezpieczeństwa. Braciszek Makary, z ustnćm poleceniem wyruszył do Poznania. Celem podróży miał być pokłon u grobu męczennika w Gnieźnie.

W kilkanaście dni po wysłaniu Andruszki, gdy opat Aron właśnie się zbierał innemi drogami drugie poselstwo wyprawić, do celi ks. Petrka o mroku zapukał brat Makary.

Ciągle ścigany myślą niebezpieczeństwa własnego, przestraszył się ujrzawszy go przed sobą ks. pisarz. Oniemiał prawie w pierwszej chwili. Nierychło rozpoczęły się szepty potajemne. W godzinę potem poseł arcybiskupi przeprowadzony przez Harnę na podzamecze szedł nocować, a ks. Petrek namysliwszy się długo i bacznie, pomodliwszy, przeżegnawszy, krokiem śmiałym zmierzzał do tunu, gdzie się spodziewał zastać opata.

Zdało mu się, iż nastęczyła się zrzeczność pozyskania zaufania, jeżeli ono było zachwiane.

Widząc go wchodzącego, z twarzą wesolą jak nigdy i niemal tryumfującą, opat Aron, który miał u siebie dwu ojców świeżo przybyłych z Francyi i przygotowywał ich do wielkiego posłannictwa, jakie w tym kraju spełniać mieli, zobaczywszy ks. Petrka, natychmiast ich pożegnał. Z twarzy jego widział już, że darmo nie przychodzi.

— Wasza przewielebność — odezwał się pisarz osłaniając się pokorą — rzuciłeś raz słowo, które mi serce przebiło... Mam tu nieprzyjaciół, co mnie czernią. Bóg łaskaw, że mi daje zrzeczność dowieść, jak szczerze służę panu mojemu... Złą wiadomość przynoszę, ale zła lepsza niż żadna, gdy o takiej wagi rzecz idzie...

Opat zmilezał.

— Mnich wędrowny z za Magdeburga był dziś u mnie — mówił dalej ks. Petrek. — Starałem się go wybadać. Utrzymuje on, iż graf Zeno mnicha i kupkę ludzi pochwycił wysłanych jakoby z Poznania do Rzymu...

Spojrzał na opata Arona, który pobladł i drgnął widocznie.

— Zrodził się, jak on powiada, spór pomiędzy wassałem a panem o znaczny łup przy posłach pochwycony, którego ceny nie chce powieścić graf Zeno...

Aron się nauczyłał co powiedzieć i westchnąwszy, spokojnie już rzekł.

— Byłem przeciwnym wyprawianiu wszelkich posłów, znając i wiedząc, jak tam na nich czatować będą, lecz woli króla oprzeć się nie mogłem. Nie moja to było sprawa... król pan nasz miłościwy raz chociażby, próbę chciał uczynić... Stało się co Bóg przeznaczył... niech będzie pochwalone imię jego...

A po małym przestanku dodał opat.

— Gdzież jest młoch ten?..

— Spieszańie powędrował do Guiezną, zatrzymać go nie było podobieństwa...

Nastąpiło milczenie, ks. Petrek stał domagając się choć słowa.

Opat mu chłodno podziękował.

Powtórzywszy zapewnienie o swęj wierności i gorliwości, pisarz zabierał się już niży do odejścia, ale wprzódę spróbowal jeszcze, ażali mu się nie nda dowiedzić, jak znaczną była zdobycz schwytana. Wtrącił więc nbolewanie nad poniesioną przez króla stratą, pytając, jak była wielką.

— Stało się to — odpowiedział opat — bez woli mojęj i prawie bez wiedzy... Król sam wyznaczył co wieżę mieli... Zapewne podarek przeznaczony dla Ojca świętego znaczym być musiał, gdy u stóp jego miał być złożony...

Dwoma westchnieniami zakończyła się rozmowa. Zaledwie drzwi za ks. Petrkim się zamknęły,

gdy opat zwołał braciszka, który przy nim był zawsze, i po Jurgę go wyprawil. Chwila ta zdala mu się najsposobniejszą do wysłania wnet drugiego poselstwa, którego się ani w Magdeburgu, ni gdziekolwiekbydz spodziewano.

Przygotowanym był Bolesław i doradzca jego do straty i niepowodzenia, a gdyby i trzech posłów mieli po drodze niemcy obedrzeć, król postanowil slać ich póty, dopóki ktoś szczęśliwy do Rzymu się nie dostanie i korony poświęconej mu nie przywiezie.

Jurga z towarzyszem swym duchownym czekał tylko na rozkazy. Jak brat tak on gotowym był na to, co go spotkać miało, chociaż do życia wiązała go piękna Teodora i przyrzeczenie jej ojca, że za powrotem do ślubu stanąć mają. Zbudzono go nocą, nie dając mu ani się żegnać, ani dać znać o sobie, i w godzin kilka po doniesieniu ks. Petrka, już orszak drngi wyruszał furką od tnuu, na niebezpieczną wyprawę.

Następnego poranku, gdy w jadalni pełnej jak zawsze gości i panów, Bolesława oko nie dojrzało młodszego Jaksy, domyślił się łatwo, iż opat musiał go wysłać za bratem.

Sicciechówna także, nawykła do pozdrowienia zdaleka, zadrżała nie widząc go, lecz pytać nawet nie śmiała. Szepnęła tylko ojcu, że Jurgi nie było.

Ku końcowi uczyty, przy której król siedział

posępny, pijąc tylko, aby utopić swój smutek, zbliżył się opat do niego.

— Wyprawiliście Jakse? — zapytał Bolesław cicho.

Skinieniem głowy potwierdził Aron.

— Nie ma wieści o pierwszym?

Nie doczekawszy się odpowiedzi król spojrzał. Opat oczy miał spuszczone, stał dziwnie zachmurniony. Łatwo było odgadnąć, że mówić nie chciał, bo dobrego nie nie przynosił. Bolesław nie spytał więcej.

Tego dnia gościł na dworze niezwykle przybysz. Był to powinowaty jakiś króla, a raczej do połączenia z nim przyznający się Niemiec, zrodzony z drugiego Ody Mieczysławowej małżeństwa. Stosunek ten z Bolesławem czasem go zbliżał do niego, niekiedy jednak nie przeszkadzał do zatargów i napaści. Chwilowo zgoda panowała pomiędzy Guncelinem a królem.

Z małym orszakiem przybył graf w gościnę, wysłany na zwiady, choć się tylko do przyjaźni przyznawał i z drużbą przechwalał. Bolesław go przyjmował pańsko, obdarzał po cesarsku, lecz w przyjaźni i szczeroci nie wierzył...

Samo przybycie Guncelina dawało się domyślać, iż Niemcy knuły coś mniemieli. Tak było w istocie, lecz tym razem nie szło im o wojnę, której prowadzić nie myśleli, doświadczywszy oręża Bolesławowskiego. Dowiedziano się o zgonie Emmildy,

wchodziło w rachubę sąsiadów, aby królowi z niemiecc wyswatać małżonkę i wpływ swój zwiększyć na dworze. Na rękę im było, aby dwojakie potomstwo jeszcze się trzeciém zwiększyło, by po zgonie ojca, więcej się dzieci o spadek waśniło. Szczęśliwe narzucenie Ody, pierwszój, danój Mieszkowi, kazalo drugą podobną Bolesława obdarzyć. Guncelin nie mówiąc nic, jechał tu potajemnym swatem. Oda markgrafówna gotową była zająć opróżnione miejsce Emmildy.

Na ten związek czyhali nieprzyjaciele Bolesławowi; był im koniecznym a łatwym się zdawał. Oda była piękną, zalotną, śmiałą, król bohater starzał, przewidywano, że na słabnącym miała łatwą nyskać przewagę.

Znając króla, nie wątpiono, iż za nową żoną wkrótce tęsknić będzie.

Chociaż się i na polach bitwy spotykali z Guncelinem, pod dachem króla był to gość, którego przyjmowano z wystawą i ochoezo, starając go się uczeić i rozerwać.

Król też zarazem trochę smutku zbywał się, zmuszonym będąc do wesela zachęcać.

Czas schodził wedle obyczaju, na ucztach, na łowach, gonitwach w podworeu i przy dzbanach, które ciągle pełne stały. Guncelin, wojak w polu, z miodem też prowadził walkę zwyciężką, i nicodpychał kubka o żadnej dnia porze. Baczny był, pomimo to, na wszystko co się kolo niego działo,

na słowo każde, ruch i zmarszczenie brwi tego, którego poufale bratem nazywał.

Rad mu był król, jak wszystkim gościom swym, a szczególnie niemiecom, przed którymi lubił okazywać i możność swą i siłę. Kazał wyjeżdżać strojnym pocztom swoim, każdy w inną barwę przyodzianym, pancernikom, których żelazne laski na słońcu błyszczały, tarczownikom biegającym zręcznie z oszczepami i toporami. dworowi występować w szatach bogatych, niewiastom odzianym w złoto i drogie tkaniny. Guncelin spoglądał na to okiem zazdrosnym, ale się od podziwu wstrzymać nie mógł.

— Cesarz Otto — rzekł mu raz Bolesław — gdy siedzieli sami, cesarz Otto błogosławionej pamięci uznał mnie godnym królewskiej korony, włożył własną cesarską na skroń moją, dostali z Rzymu korony węgier dziki, Duńczyk ledwie ochrzczony, bratobójca Bolko czeski, a mnie com szerokie ziemie zawojował, mnie jęj dotąd ojciec rzymski odnawia? Sprawiedliwie to Guncelinie?

Niemiec zmilczał długo, węża zakreślił.

— Bracie — rzekł szydersko — Węgrów potęgą złamaną została nad Lechą, Duńczyków się nigdy nie lękało cesarstwo, ani Czechów, tyś straszonym dla nas. Rzym nie da ci korony, bo Rzym idzie z cesarzem ręką w rękę.

Bolesław z kolei milczał też i spuścił oczy na ziemię.

— Nie da mi jej Rzym — odezwał się ponuro — to weźmę ją sam, poświęcę mi ją i namaszcę biskupi moi, tegoż Chrystusa śladzy, co najwyższy biskup rzymski.

Ręką, jakby w miecz zbrojną, powietrze przeszył król i zamilkł.

Guncelin spoglądał na niego.

— Mocen jesteś w domu uczynić co ci się zda — odparł — ale cię nie uzna cesarstwo!

— Mieczem sobie wyjednam uznanie, śmiejąc się odezwał król.

— A potomkowie twoi? — spytał Guncelin.

Na to wspomnienie chmurą zaszła skroń Bolesławowa, lecz opamiętał się rychło.

— Mieszko dał się wam przecie we znaki, wojakiem jest nie pośledniejszym odemnie.

— Nie przeczę — zawołał Guncelin — ale Bolesławem on nie będzie.

Pochlebstwem tём, nie rozbroił króla, który się wstrząsł i posunął od niego na siedzeniu.

— Wszystko w mocy Bożej — dokończył — Bogu Chrystusowi służę wiernie, i tuszę żem u niego na łaskę zasłużył.

Nieodpowiedział na to niemiec, lecz wkrótce rozmowę na weselszy tor prowadzić zaczął.

— Tobie we wdowieństwie nie żyć bracie — odezwał się — żony ci potrzeba.

— Edmildy drugiej nie znajdę — rzekł król.

— Ani jej szukać nawet — począł żywo Gun-

celin. Na dojrzalsze lata inniej ci trzeba. Same z siebie smutne to dni, gdy przychodzi siwizna, odmładzać się musisz młodością cudzą. Ja ci swatem chęć być?

Pytającem okiem rzucił na króla, lecz Bolesław z siedzenia wstał i jakby rozmowa nie miłą mu była, począł inną.

— Jak ci się zda, obosieczny miecz lepszy, czy nasz?

Pomyślał Guncelin...

— Obojgiem nie gardzę — rzekł — jeden u prawego, drugi u lewego wieszam boku... zdadzą się oba.

— Cóż o toporze powiesz? który frankowie noszą? — wtrącił król.

— Chwałę go równie, jak okutą żelazem całą dzidę — mówił Guncelin. — Wszelki mi oręż dobry, ale żaden nie wart nie, gdy człek słaby.

I poszła rozmowa na wojenne sprawy, a niewiele ze swatami umilknąć musiał. Rzekł w duchu że źle dobrał porę.

Po wieczerzy siedzieli u dzbanów, nalewano miód stary i wino i pili oba milezący, gdy w końcu napój serca począł zagrzewać. Guncelin okiem rzucił po izbie, w której sami wojacy i dwór męzki widać było.

— Bracie — rzekł — smutno u ciebie, niewieścięj twarzy nie widać?

— Tęskno ci? idź do dworca gdzie siedzą białogłowy, nie bronie.

Rozśmiał się Guncelin.

— Mnie was żal, ciągnął dalej. Zonę przecie weźmiecie, juści się niewolnicami nie będziecie obchodzić, aby was księża lajali? Po cóż ściągacie z tém? Ja wam mówiłem, swatem będę.

Bolesław spojrział nań ciekawie.

— Dziewka pańskiego rodu, młoda, krew z mlekiem, płasza jak lania, śpiewa jak słowik, śmieje się, że zmarły by do niej wstał, ogień dziewczyna.

— A jam prnehno! — odparł król — ale któż ona! mów.

— Znaście ją dobrze! — zaczął — oczu z niego nie zdejmując Guncelin. — Markgrafa córka, co na waszym bawiła dworze... Oda...

Mimowolnie królowi wzrok zajaśniał.

— O! znam ją — zawołał — bo mnie kuśiła okrntnie, płocha i zalotua niewiasta, kuśiła i innych, a zdała się ludzi wołać do siebie. Dobrzeście rzekli, czarownica jest — ale dla mnie straszna, spokojn bym z nią nie miał godziny.

Rozśmiał się Guncelin...

— E! krzyknął wesoło... Kipiątek prędko stygnie. Niechby tylko czepiec włożyła, zaraz by jej głowa oziębla, a byłaby tak dobrą żoną, jeśli nie lepszą jak druga co oczy spuszcza, a o złem myśli...

Zadumał się Bolko, a wkrótce szepnął.

— Pletli o niej dużo...— wianek pono postradała...

Guncelin ręką dziwnie pokręcił i cynicznego coś szepnął do ucha bratu. Bolesław się rozśmiał, i, jakby zapominając się począł wnet.

— Dziewka hoża, na królowę wyrosła, w koronie by jej pięknie było i na białych ramionach płaszcz purpurowy zawiesić nie żał. Gdy się nśmiechnie, prawdę rzekłś, jakby napój lała z ust co upaja, gdy spojrzy, zimno się robi, ale bojąc się by w niej siły nieczystej nie było.

— Toć ją u ołtarza księża wygnają — rzekł Guncelin — i dzika łania rzuci się swobodnie po lesie, póki wolną jest, gdy ją złapią i obłaskawią za ręką idzie.

Król znowu rozmowę odwrócił, nie nalegał Guncelin, prawił o innych dziejach, które się po niemiezech działy, a Bolesław słuchał go bacznie. Przyszło do pogańskich krajów nienawróconych i niepodbitych, do których sobie prawa rościli Niemcy, namarszczył się Bolesław.

— Ci moi być muszą — rzekł — nie będę pytał, czy mi ich da Rzym, podbiję ich i nawrócę. Mowę mają naszą, z ciałem moich się zrosli, nie dam ich!!

— Idą przecie z nami na was! — odczywał się Guncelin.

— Pójdą ze mną przeciw wam! — rzekł Bo-

lesław. — Adalbertów mi tylko trzeba, coby krwią tę ziemię ochrzcił dla mnie.

Niemcowi rozmowa była niemiłą — począł pić i do kubka nucić piosenkę. I tak dosiedzieli do nocy, patrząc sobie w oczy, a do ładu przyjsię nie mogąc. Co król zagail, Guncelin odpierał, co ów począł, tego niechciał Bolesław.

Gościna się przeciągała. Na dworze pańskim zawsze ona długą była, teraz w sumtku swym i niepokoju, choć takiemu gościowi rad był król. Guncelin się wybierał i przysiadł, o podróży mówił a nie wyjeżdżał.

Codzień na ustach miał Odcę — a rzadko mu się powiodło dłużej nią zająć króla. Uważał jednak, że wstręt do tej rozmowy coraz mniejszy okazywał, a raz już nawet sam o nią zagadnął, mówiąc, że w płasach piękniejszej dziewczki nie widział nigdy.

Potwierdził mu to Guncelin chętnie, lecz wnet o czém inném zagadano.

W ostatku dzień już do odjazdu był przeznaczony. Nikt ze dworu nie jechał bez podarków i Guncelinowi więc król wspaniale wydzielił, futrami, sznkami sukna i złotogłównu i naczyniem go obdarzywszy drogiem, przeciw zwyczajowi tylko, ani oręża ani zbroi nie dał żadnej.

— Żelaza ci nie dam — rzekł klepiąc go po ramieniu — wolę złoto, bo pewny nie jestem, czy

byś miecza znówu kiedy przeciw mnie nie użył...
Głupi kto sam na siebie broń daje.

Z pod brwi spojrzał Guncelin na niego dziękując.

— Bracie mój — odezwał się — ja cesarstwu służę i wiernym być muszę, a nim winien gdy na ciebie oręż podniosę.

— Ani ja winien będę, gdy z cesarstwem wojując głowę ci utnę! — odparł Bolesław — a dziś rozstańmy się w pokoju. Niech mnie Henryk nie wyzywa, ja go też napadać nie myślę, a gdy broń się trzeba będzie...

Na wyjeździe spytał jeszcze Guncelin żartobliwie — czy swatem mu być ma do Ody?

— Czas no mi dajcie — mrknął Bolesław — a mąż tęsknica doje? Nie wiem.

— Ja i bez waszój woli — odparł Niemiec — zawiążę targ o uie, bo lepij niż wy wiem, co wam potrzeba.

Na tém się skończyło i Guncelin wybrał się w drogę. Król tegoż wieczora przywołał do siebie opata.

— Kusił mnie ten człowiek — rzekł mu, abym żony szukał.

Aron zwłókł z odpowiedzią. — Miłościwy panie odezwał się — komu Bóg dał raz taką niewiastę jaką była święta zmarła pani nasza, nie lano mu inną dobrać po niej.

— W grzechu żyć nie chcę — odezwał się król — a w powściągliwości nie mniem.

Napróżno, długo czekał Bolesław słowa.—Aron w okno się swoim obyczajem zapatrzył, i nie mówił już nic. Nie śmiał król nalegać. Każdego dnia niemal, coś musiał wspomnieć o koronie. Kazał sobie liczyć dni podróży do Rzymu, i opowiadać drogi, domyślał się jak posły będą przyjęte i kiedy przywieźć mogą odpowiedź. Naówczas opat cierpliwość wnawiał, malował trudności podróży i niebezpieczeństwa, osładzał przypuszczeniami, że oba posłani, mimo ostrożności w ręce czujnego nieprzyjaciela dostać się mogą. Jednego dnia przerwana rozmowa, nazajutrz znowu się rozpoczynała niemal taż sama, a opat z wytrwałością zawsze ją w tenże sposób rozwiązywał.

W istocie nie tylko przez Niemcy całe, sięgała władza cesarska, obejmowała włosy, podlegały jej wszystkie kraje sąsiednie. Doradzca pański niemal był pewien, że i drugi poseł wpaść może w ręce nieprzyjaciół lub tylko złota cheiwych rabusiów, któremi wszystkie gościńce były pozastawiane. O losie Andruszki nie spieszo uwiadomić Bolesława, nie upominali się benedyktyni o uwięzionego o. Romualda, ale po kilku dniach z wielkiem podziwieniem swém, gdy raz wieczorem wracał do celi swój przy tymie opat, ujrzał kupkę ludzi zebraną około dwóch pieszo przybyłych pielgrzymów, których ani z sukni, ani z postawy zrazu poznać nie mógł.

Zbliżywszy się dopiero, zdziwiony wielce Aron

ujrzał swojego benedyktyna w odartej sukni, a obok niego nędznie odzianego Andruszkę. Właśnie przygody swe opowiadać zaczęli byli zgromadzonemu, gdy Aron nadszedł przyspieszając krokn. O. Romuald rzucił się do jego ręki, przystąpił do niej i wymizerowany Andruszka, na którego twarzy więzienie daleko dobitniej malowało się niż na licu benedyktyna.

— Bóg miłosierny! — zawołał opat — uwolniono więc was?

Mnich się odwrócił ku Andruszce i na niego wskazał, jako na zbawcę. Jemni winienem, że wolny, rzekł.

I opowiadać zaczął, jako do lochu rzuceni zostali zrazu, jak po tem przez litość córki więzennego stróża, która młodości Jaksy się nżała, — zawdzięczali przeniesienie do izby po nad ziemią. Z tej Andruszka siłą i zręcznością kratę żelazną wytamawszy, nocą się spuścił w podwórze, wyjsza na wal wyszukał skrytego i mnicha za sobą wyciągnawszy, przez bagnisty przekop otaczający zamek na plecach go przeniósł i ocalił. Nim zaświtało i nieczkę odkryto, zbiegi już byli w lesie, i lowieckim instynktem się w nim kierując, potrafili o głodzie i chłodzie dobieć się do Łaby, gdzie pomoc już jakąkolwiek za obietnicą nagrody znaleźli.

Uradował się opat ściskając brata o którego losie zważył, dano odpoczywać obu. Lecz naza-

już Andrzejka, któremu wstyd było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzce, a straty wielkiej byli przyczyną, do nóg przyszedł paść opatowi, aby go raz jeszcze wysłano.

Tego jednak bez wiedzy króla uczynić nie było można. O. Romuald także oświadczył się z gotowością, całą winę pierwszego nieszczęścia biorąc na siebie.

VI.

Jednego dnia polując z sokołem Bezprym, gdy czekał stojąc na koniu, aby pies sokolniczy ptastwo wytropił, a noszony dobrze ptak na rękę mu siedząc niecierpliwie trzepotał skrzydłami, zamiast inną zwierzyny, ujrzał obok siebie z kijem w rękę stojącego księżynę, którego na dworze widywał acz zdala.

Duchowny go pozdrawiał uprzejmie życząc łowów pomyślnych, lecz że naówczas już spotkania księdza, równie jak baby z wiadrami próżnemi za złą uważano przepowiednię, skrzywił się Bezprym, gotów będąc na gród powracać, pewien iż i tak łowy nie przyniosą.

Ksiądz uparcie przy nim stał; czy ciekaw był tych łowów, czy go tam co innego trzymało. Uśmiechał się ku Bezprymowi zwracając oczy.

— Rozrywka to pańska — odczwał się głosem schrypłym i bojaźliwym — ale synowi królewskiemu wojnaby i władza lepij przystała...

Bezprym choć się poddawał woli ojca, o sobie mówił nie kryjąc bólu.

— Albo to wy nie wiecie — odczwał się — jakim ja jestem synem królewskim? Mieszkowi mnie na służbę przeznaczono... toć wolę z ptakiem jechać, niż za panem bratem nosić mieczyk lub tarczę...

Pokręcił głową ksiądz.

— Wszystko się to — rzekł — zmienić może!..

— A jak? — wtrącił Bezprym, który psa już z oka tracił.

— Byłe wola i odwaga — szepnął ksiądz cicho — prawa przecie nie straciliście, pierworodnym jesteście... Dziś czy jutro możecie się o nie upomnieć...

Był to może pierwszy człowiek na dworze, który w ten sposób mówił do Bezpryma. Duchownego suknia wyrazom dodawała znaczenia. Królewicz słudze ptaka na rękę przesadził i sam zsiadł z konia.

— Mnie zawsze patrząc na was zdaleka — odczwał się duchowny — żał było miłości waszój.

— Bóg zapłać — rzekł Bezprym.

— Nie rozpaczałem ja nigdy o przyszłych waszych losach — dodał. — Jeżeli chcecie pomówić

ze mną, może wam posłużę dobrą radą... ale...
wszak mnie nie zdradzicie?

Bezprymowi wzrok się zaognił.

— Mnie zdradzano — odparł — ja nikogo...

Odeszli nieco na stronę; stała ołcha stara nad
błotem, Bezprym rzucił się na zieloną murawę,
miejscę przy sobie wskazując księdzu, który przy-
siadł się skromnie.

— Tak — powtórzył — prawdaście się nie wy-
rzekali... możecie się upomnieć o nie...

Bezprym dwie szerokie nagie dłonie otworzył.

— Z czém, golemi rękami dwoma? — zawo-
łał śmiejąc się. — Choćbym w nie wziął miecz,
co jedno żelazo poradzi?..

— Alboż sprzymierzeńców i opiekunów zna-
leźć nie możecie?.. — podszepnął ksiądz.

— W kim? gdzie?.. — spytał Bezprym.

Nastąpiło milczenie. Ks. Petrek, gdyż on to
był, ujął rękę Bezpryma i ucałował ją, choć się
wrywała.

— Miłościwy panie, litość mnie do was pro-
wadzi... Posłuchajcie mnie — mówił — o sprzy-
mierzeńca wam łatwo będzie...

Królewicz z namiętną uwagą słuchał, widać
było, że serce żywiej w piersiach mu uderzało
i twarz blada oblewała się rumieńcem.

— Mówcie, gdyście poczuli! — zawołał — tu
nas nie posłyszysz nikt...

— Król Bolesław — ciągnął dalej ks. Petrek —

myśli się oderwać od cesarstwa i być sam panem. Mogłoby to lat parę trwać, ale na wieki trwać nie może... Synowi Mieszkowi zostawi przykazanie, aby tak czynił jak on... To go zgubi... Wy się powinniście udać pod opiekę i łaskę potężnego pana, co całym światem włada, poprzyśiądź mu przymierze wieczne, jak inni królowie, a otrzymacie tę koronę, o którą Mieszko napróżno się będzie kusił.

Skończył, a Bezprym ważyć się zdawał jego słowa.

— Cesarz, co nas ma w nienawiści — odezwał się — zechceż losem moim się zająć? wziąć mnie w opiekę? a wzięwszy czy nie wygna mnie, aby sobie kraj przywłaszczyć?..

— Dlaczegożby to miał czynić? — począł ks. Petrek — dlaczego? Dosyć mu hołdu! Sam rządzić nie chce, ale władzę swą z Rzymu dauą ma nad światem, musi rozciągać ją na wszystkie kraje.

I pomilezawszy trochę dodał ciszej eoraz.

— Jam mały człeczek... ale małeńka mrówka sypie kopce wielkie... Cóżbyście rzekli, gdybym ja zapewnił wam opiekę cesarską... w zamian za przysięgę z waszój strony?..

Bezprym zerwał się jak oszalały z ziemi, aże ksiądz wstał za nim, uchwycił go i w ramiona zaczął całować.

— Jak to! — zawołał — jabym tego nienawistnego Mieszka mógł precz wygnać? żonę mu

wydrzeć... panować?.. koronę wdziać?.. pomścić się?.. ja? ja?..

— Możecie uczynić z pomocą cesarza wszystko, bez niej nie — rzekł zimno ks. Petrek — Oni są nieprzyjaciółmi jego... wy bądźcie mu wiernym, a wy panowanie otrzymacie...

— I wy zdołacie mi to zapewnić? — zapytał chwytając go Bezprym.

— Ja?.. jam człowieczek mały... — powtórzył Petrek — lecz litość zawsze czułem wielką nad wami. Pragnąłem się zbliżyć, szukałem miłości waszej... i uczynię co przyrzekam, jeżeli poprzysiężecie wierność cesarstwu...

— A cesarz mi da koronę... i wypędzi Mieszka... i pomści krzywdę moją!

Głowy skinieniem potwierdził to ks. Petrek. Bezprym chodząc począł pod olehą, na miejscu stać nie mogąc. Chwila rozmowy uczyniła go innym człowiekiem, wstąpiło wń życie, krew krążyła gorętsza, w oczach ogień pałał... Ks. Petrek schwył go, gdy tak krążył zamysłony.

— Gdybyście wydali tajemnicę — szepnął przestraszony zmianą, którą widział w Bezprymie — życie mnie to kosztować może...

— A mnie królestwo — zawołał Bezprym — i zemstę! zemstę!.. O! nie bój się... nikt się nie dowie, nie pozna po mnie nikt, z jakim skarbem chodząc będę... Idź, jedź, posyłaj, daj znać cesarzowi, że ja mu się poddaję, że jego będę... wier-

nym... korony tylko chcę... i zemsty... zemsty...
Mieszko zginie...

Ledwie zalecając mu spokój potrafił uśmierzyć
ks. Petrek.

— Uczynię co przyrzekłem — odczuwał się. —
We dworze ściany słyszą, ludzie zdradzają... zej-
dziemy się tu... lub na podzamczu gdy będzie
potrzeba... Teraz siadajcie na koni, łowy końciecie...
ja iść muszę. Wasza miłość nie znacie mnie... ni
ja was...

I skloniwszy się ks. pisarz szybko pnął się
zarośłami ku Cybinie. Bezprym stał jeszcze jak
upojony, rozśmiał się do siebie sam, skoczył do
konia, odebrał sokola i popędził dalej.

Tak sobie cesarstwo miało za życia wiel-
kiego króla gotować już przyszłość. Bezprym miał
przyobiecana koronę, Ryksę ujmowano z ręcznie
i powoli, stręczono Odę, która z sobą Niemców
przyprować miała. Podkopywano to państwo
cudem wyrosłe i rozwielnione, ze wszech
stron gotując mu upadek.

Nie był na to ślepym Bolesław, trapiły go
przecznia i mimo miłości wielkiej dla syna Mie-
szka, mimo dzielności jego, wątpił w godziny
rozwagi, by wielkie dzieło utrzymać się mogło.
Naówczas bolała dusza jego i szedł pociechy szu-
kać u grobu Wojciecha w Gnieźnie, jemu pole-
cając to królestwo i ufając już tylko w opiekę
niebios, gdy siły ziemskie przeciw niemu staną.

Pobożny ks. Petrek w złym i dobrym razie zwykł był się modlić, teraz, uczyniwszy krok tak stanowczy i śmiały, wprost się udał do kościoła, a z natury swój będąc do obłudy skłonny, im bardziej się cieszył z postępu swego, tém umyślnie smutniejszą przybrał i wielce zbiedzoną postać. Patrzący zdala rychlójby odgadł z jego twarzy, że mu się jakieś przytrafić musiało nieszczęście.

Potrzeba było obmyśleć środki oznajmienia o tém przez arcybiskupa cesarzowi. Pisać nie śmiał, jechać nie mógł, posłać nie miał kogo... Nim z kościoła doszedł do izby swojej, wpadł na myśl, iż opataby należało skłonić znowu do wysłania go raz jeszcze w sprawie korony do Magdeburga, wedle pierwszój myśli.

Obawy jakie miał po odkopaniu zwitków, zupełnie były ustały, pewien był, że zwierz jakiś czując świeżo poruszoną ziemię, mógł ją odrzucić i poszarpać zrynki skóry, skłonny był nawet przypuścić end, za wstawieniem się świętych uczyniony dla ocalenia go i zniknięcie tych świadectw zdrady nadziemskimi siły zniszczonych. Nie mógł tylko odgadnąć, że się dostały w ręce opata, który obchodził się z nim tak jak był zwykł, nie okazując mu ani nieufności ni gniewu.

Przy pierwszój więc zręczności postanowił... rzucić słowo... Ta się wkrótce trafiła. Oprócz spisywania aktów, których naówczas niewiele potrzebowano, ks. Petrek, który był znakomitym

kaligrafem, dla opata Arona przepisywał Rabana Manra komentarz o Jeremiaszu. Szła praca bardzo powoli, a opat często się o to wielce pożądane dowiadywał dzieło. Brakło mu nietylko kopii, ale tęsknił za oryginałem, z którego była robiona.

Jednego dnia przyszedł się dowiedzieć, o ile postąpiła robota.

Ks. Petrek skarżył się na oczy. Nie miał, jak mówił, nikogo, coby mu trzeiny zaciął, farby dostarczał, sam musiał gładzić pargamin, sam ciągnąć rubryki, dlatego tak szło opieszale. Mówił o tém szeroko i bardzo przekonywająco.

Wtrącił na swe uniewinnienie, że i droga do Magdeburga dosyć czasu zabrała, choć mimo gorliwości największej żadnego owocu nie przyniosła.

— I nie dziw — dodał — tam nie raz jeden, ale nieustannie kołatać potrzeba i darami nie jednego Gerona, ale wszystkich njmować. Miłościwy pan nasz hojnym jest wielce, tam tylko zaniedbuje dary stać, gdzie one najpotrzebniejsze...

Mowy téj słuchał opat pilnie, nie uszło to jego uwagi, iż ks. Petrek musiał mieć potrzebę jechania inną i dlatego znowu do podróży nakłaniał. Dowiedzieć się o tém co było pobudką nie mógł opat inaczej, jak wysyłając go i zamtąd zasięgając wieści. Myślał więc, czy nie należało w istocie wyprawić pisarza, aby dójść tajemnicy; lecz, na razie nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi.

— Mój ojeze — rzekł — być to może, iż tam kołatać potrzeba, ale ja ani tam ani w Rzymie się nie spodziewam dobrego dla nas nie... Król koronowanym był przez Ottoua III bez uamasczenia. Chcieli go i zażąda, ażali areybiskup nasz guieźniński dać mu go nie może?..

Po raz pierwszy usłyszawszy tę myśl tak zuchwałą ks. Petrek, nie mógł się powstrzymać i wykrzyknął.

— Anathema ściągnęlibyśmy na głowę pańską!.. Zamiast błogosławieństwa, Rzym cisnąłby klątwę... W prawa jego wdzierać się...

Opat Aron zlekka ramionami poruszył.

— Ja też — dodał — nie jestem za tēm... chociaż areybiskup mógłby myśl tę popierać... Słowo to jest dziś a nie czyn jeszcze...

Ks. Petrek widocznie się uspokoić nie mógł, usta jego powtarzały ciągle — Anathema!..

Wyszedł opat Aron nie ciągnąc dłużej rozmowy. Pisarz zamiast tego o co się kusił, przestachu tylko i niepokoju zażył, z którego długo ochłonać nie mógł.

Doniesienie o tēm wszystkiem do Magdeburga stawało się niemal koniecznością.

Opat nie bez myśli groźbę tę rzucił w uszy niewiernemu słudze, wiedział dobrze, iż o niej doniesie, a trzeba mu było może nastraszyć, aby z dwojga wybierając złego cesarz lub Rzym nie odmawiał korony. Złą czy dobrą była rachuba,

zdało się i królowi i jego doradzey, iż środka tego użyć mogli.

Gdy ks. Petrek dręczył się szukając sposobu porozumienia z areybiskupem; swatanie Ody szło nieprzerwanie rozmaitemi drogami. Stara ochmi-strzyni niemka, którą Ryksa sprowadziła, zjednana była przez markgrafa, a że często z wnuczęciem chodziła do króla, który rad z nią żartował, ona też na swój sposób stręczyła piękną Ode.

Stara ta Adelheida nie lękała się żartów pańskich, często mogących rumieniec wywołać, którego już na żółklęj twarzy nie miała. Bolesław wnuka pieszcząc, dawał jej prawie sobie co chciała. Obyczaj naówczas i na królewskich dworach więcej do panów i ponań zbliział prostych ludzi, niż późniejszymi czasy. Tak jak na Wschodzie, człowiek podlegał ślepo temu co miał władzę, lecz czuł się mu równym i nie tracił wobec niego odwagi.

Adelheida chwaliła królowi piękną markgrafównę, rozpowiadając o jej wdziękach, które oku męzkiemu dostępne nie były, dodawała przy tém.

— Biedna dziewczyna, dla miłości waszjej miała wielką cześć i rozluhowała się w niej. Co za dziw!.. któraż niewiasta takiego panaby nie koehala...

— Stary dla niej jestem — odparł król.

— Stary? tego oczy ludzkie nie widzą — mówiła Adelheida — niewiasty najlepiej sądzą męz-

czyżn... Przecie Oda odjechała płacząc a mówiąc, że chyba umrze z tęsknoty za królem naszym.

— Mówiła to?

— Sto razy! — potwierdziła Adelheida — słyszeli wszyscy, nie tała się z tém weale. A co się tam lez wylało i leje... Miłościwy pan jużby litość nad nią mieć powinien...

Mówiła tak długo, i więcej niż swaty Gnceelina, niż namowy innych pochlebeów ostrożne, wzruszyło króla to, że Oda piękna i młoda seree doń miała.

Począł myśleć — zagadnął opata, ten zmilczał znowu. Nie w smak mu były królewskie swaty, wybór mnićj jeszcze; lecz Bolesław wolę miał we wszystkiem npartą, a walczyć z nim mógł — on sam tylko. Każda inna walka próżną z nim była. Opat Aron modlił się o odwrócenie téj plagi, która domowi królewskiemu groziła. Oko jego widziało już sieci, które smuto dokola, do rozerwania trudne, przybywało nowe ich pasmo z Odą, która niemiecki wpływ miała powiększyć. Bolesław nie chciał widzieć tego, a raczej gardził niewiasty znaczeniem; namiętność go zaślepiała.

Sam powtórnie zagadnął Adelheidę o markgrafównę, łajac ją, że go kłamstwem karmiła, ale kobieta zaklęła się na wszystkie świętości, iż mówiła prawdę i że Oda z wielką była dla króla miłością.

Gdy w kilka dni potém opat się znalazł u króla znown, oświadczył mu wprost Bolesław, że postanowił pojąć żonę i wybrał markgrafównę Ode.

— Miłościwy panie — odparł spokojnie duchowny — woli waszój nikt nie śmie się sprzeciwić... lecz wierni słudzy twoi boleć będą nad nią.

— Boleć? dlaczego?.. — zawołał król porywając się z siedzenia.

— Nie mówię o młodości markgrafówny — kończył Aron, ani o jej zalotności... lecz z nią razem przybywają niemcy i stosunki z temi, którzy miłości waszój dobrze żyć i szczerymi druhami być nigdy nie mogą.

Bolesław pogardliwie się uśmiechnął.

— Niewieści wpływ strachu mi nie czyni — rzekł — pójdzie ona za mężem i zapomni swoich. Stanie się królową i pokocha kraj, który ją przysposobi.

Opat skłonił głowę. Król mówił wiele, nie wolując już odpowiedzi; chciał przekonać i na swą stronę przeciągnąć opata, ale czuł, że tego dokazać nie potrafi.

Nazajutrz powołał Bolesław syna Mieszka, który już ze slychm wiedział o zamiarze ojca.

Rykza zżywała się na samą myśl macochy Ody, z którą nigdy nie były w zgodzie. Mieszko też obawiał się niewiasty dumnej, chciwój władzy, mogącej ovladnąć królem. Gdy stanął przed

ojcem, odgadując już po co został wezwany, znać było z twarzy, iż się gotował na niemłą nowinę.

— Tęskno mi samemu — odezwał się Bolesław — postanowilem swaty posłać do markgraфа i Odeę zaślubić. Nie masz się czego obawiać, bym cię dla młodszych dzieci, jeżeli je Bóg da, z praw twoich wyznął. Dostaną działa, ciebiem przeznaczył do panowania... Oda być musi żoną moją, wyznaczyłem ciebie w poselstwie po nią.

Spojrzał na syna, który stał z głową spuszczoną, milczący.

— Wybierzesz orszak świetny i niezwłocznie wyruszysz w drogę z podarkami...

Mieszko milczał.

— Miłościwy królu — odezwał się widząc brew jego zmarszczoną — do uóg waszych upadnę prosząc, byś mnie uwolnił od tego... Jechać nie mogę...

Zwrócił się popędliwie Bolesław ku niemu z twarzą zaognioną.

— Kiedy ja rozkazuję?..

— Błagam cię...

— Śmiesz mi się opierać?..

— Nie mogę jechać — odezwał się Mieszko — czyż co chcesz ze mną, nie pojadę...

— Mów, dlaczego?

— Łatwo to pojąć, macochy nie chcą, abym na Bezpryma nie wyszedł...

Straszne milczenie poprzedziło wybuch straszliwszy jeszcze. W pierwszej chwili Bolesław

rzucić się był uciemal gotów na syua, ale się powstrzymał.

— Idź — rzekł — uchodź odemnie!.. jestem w gniewie... krwi własnej mogę nie oszczędzić... Z oczów mi idź...

Nie mówiące słowa Mieszko wyszedł, Bolesław pozostawszy sam, czasu potrzebował by ochłonać.

Od dnia gdy Bezpryma do łaski przypuścił i codziem mu się nakazał pokazywać na dworze, dając mu poczet świetniejszy, mało z nim jednak obcował Bolesław. Widywał go zdala, zawsze z twarzą pomurą i wejrzeniem kosm, stroniącego od siebie. W gniewie na Mieszka Bezpryma przypomniał. Zawolał na komorników i kazał mu natychmiast się stawić przed sobą.

Było to tak nadzwyczajnem, iż całe otoczenie króla przerażone zostało, ujrzawszy jak blady odszedł Mieszko i natychmiast po ustąpieniu jego kazano wołać zapomnianego.

Choć znaczniejszą część dnia Bezprym spędzał na łowach i włóczędze po okolicach, tego wieczora znajdował się w domu, gdy Gheza z twarzą rozjaśnioną nadbiegł dać mu znać, żeby natychmiast do króla spieszył, który nań czekał. Komornik z tém przybyły, który pode drzwiami królewskimi podśledzał z Mieszkim rozmowy, szepnął staremu węgrowi, iż Mieszko naraził się ojen i dlatego Bezpryma wzywano. Wiadomość tę na ucho udzielił mu wieruy sługa i królewic

odziawszy się prędko pobiegł z postanowieniem mocnym korzystania z wypadku.

Gdy podjąwszy zasłonę we drzwiach stanął przed Bolesławem, znalazł go z gniewem i niecierpliwością na twarzy wyrytą. Zmierzył go okiem król.

— Słuchaj — rzekł wprost i nie tłumacząc mu się wcale — wyznaczyłem cię, abyś jechał w poselstwo i przywiózł mi markgrafównę Ode... Biorę ją za żonę. Dam rozkazy, aby ci poczet i podarki ze skarbu wydzielono. Jedź jak syn królewski i ojcowskiego mienia nie żałuj... Nie wracaj bez dziewczki... chcę ją mieć... Rozumiesz?..

Bezprymowi twarz się rozjaśniła.

— Co rozkazujesz, spełnić — odezwał się — kiedy mam ruszyć w drogę?

— Jutro — rzekł król. — Jedź spiesźnie, wracaj prędko... Zapomnij, żeś był u mnie w nielase, zyskasz tym serce moje.

— Miłościwy królu i ojcze — rzekł Bezprym żywo i wesoło — zrobię jako potrafię najlepiej... Przywiozę markgrafównę...

— Wybieraj się w drogę! — przerwał Bolesław — w drogę!..

Wskazał mu drzwi i Bezprym uradowany wyszedł.

Od pierwszej rozmowy z ks. Petrkiem widywali się i naradzali często; rozumiał Bezprym, że poselstwo to dawało mu najlepszą zrzeczność

zetknięcia się z niemiecami i zawarcia umowy. Pisarz bolał ciągle, że pewnego nie mógł znaleźć człowieka, coby przewiózł listy jego. Bezprym sam teraz mógł je wziąć z sobą.

Skoczył więc do Głezy, by mu wydać rozkazy, a sam niepostrzeżony poszedł szukać swojego współnika. Nierychło jednak wynaleźć mu się go udało wśród dworzan, między którymi chodził na połów jakichś wiadomości, wedle codziennego swojego zwyczaju.

— Ojciec mój — chwytając go odezwał się Bezprym. — Spotkało mnie raz w życiu szczęście. Zdaje się, że Mieszko odmówił ojcu jechać po markgrafównę Ode. Ja jestem w poselstwie wyznaczony. Jutro jadę.

Ręce z radości załamał Petrek, aż mu kości w stawach chrząsnęły.

— Możeż to być?

— Tak jest.

Wnet oddalili się od ludzi.

— Pisz listy — rzekł Bezprym — ja je powiozę i odprawię.

— Lepszym nad listy wszelkie ty sam jesteś miły panie — wołał ks. pisarz. — Nie mów im wszystkiego, ale daj do zrozumienia wiele, zaskarb sobie przyjaciół, zjednuj ludzi... Moje listy ukryj pilno... o wasz los chodzi... dziś jeszcze mieć je będziecie...

Ledwie tych słów domówił, gdy stary Sie-

ciech i podskarbi króla Domorad Żeleziec przyszli szukając Bezpryma. Niespodziana łaska króla dla niego zdumiewała wszystkich, lecz posłuszni byli. Z nimi miał poseł królewski umówić się o wybór dworzan, konie i przygotowania niezwłoczne do drogi.

Zbliżyli się doń z ciekawością ludzi, co po raz pierwszy stykają się z odepchniętym, onieniałym i pogardzonym, którego łaska pana nagle podniosła. Ponury i stroniący dotąd od wszystkich Bezprym nagle stał się nowym człowiekiem. Czuł się silnym i dumą długo tłumioną odrazu objawiła się w wydanych śmiało rozkazach... Spojrzeli po sobie. Nie następował Mieszkowi i stanął przed nimi jak prawy syn królewski, który krew czuje w sobie. Tak łatwo mu przychodziło wydawać rozkazy, jak gdyby nigdy nie przestał rozkazywać. Posepna twarz niemal była groźną, rysy przybrały podobieństwo do Bolesława, z jakąś barwą dzikości, której król nie miał nigdy. Gniewliwy był i zapamiętały, lecz coś szlachetnego i rycerskiego czuć w nim było nawet w chwilach roznamiętnienia; Bezprym miał w oku chęć panowania i krwi razem... żądcę zemsty i okrucieństwo. Szczęście czyniło go strasznym.

Stary Siciech w dalszy nakłkł się go, ujrawszy po raz pierwszy rozpowitym z niewoli i przymusowego upokorzenia.

We dworze całym wiadomość o postanowieniu

króla najrozmaitsze obudzała uczucia, niepomier- nie cieszyli się jedni, rozpaczali niemal drudzy.

Ryksa żona Mieszkowa chodziła blada i mil- cząca. Przyszłość przewidywała groźną, lecz miała siłę spojrzeć jej w oczy. Mieszko był przygnę- biony, gniewny, a nie wiedział co czynić wię- ciej. Ufał że ojca przeblaga, i lękał się o siebie.

Niemiecki dwór i słudzy radowali się wielce, Adelheida przyznawała sobie część zasługi i obie- cywała wiele od młodej królowej. Ks. Petrek pi- sał zamknięty i cieszył się powodzeniem podzie- mniej roboty swojej. Zdawało mu się teraz, że sprawa Bezpryma już napół jest wygraną. Opat chodził zasmucony. Starzy słudzy króla i rycerstwo nie- wesołe mieli twarze. Młodzież cieszyła się młodej królowej, która wesele wnieść na dwór miała. Zaali ją tu śmielsi z wejrzeń i szeptów, którym była rada do zbytku, a niejeden wiele sobie po laskach jej obiecywał.

Wieczora tego nigdzie nie było spoczynku, szepcano, chodzono, rozumawiano, wybierali się je- dni do drogi. drudzy im pomagali.

Na podwórzu Bezpryma, zwykle spokojnem, gdzie tylko psy i sokoły gospodarowały a odar- tych garstka służalców, teraz ruch był i wrzawa jak nigdy, kręcili się komornicy i urzędnicy kró- lewscy, znoszono juki i wory, szaty i oręż. Cała wiosenna noc upłynęła bez snu, na przygotowa- niach. Bezprym kazał się stawić ludziom, co mu

towarzyszyć mieli, sam ich opatrzył, aby wstydu nie miał, zbrakował kilku, rozporządził pochodem i okazał, że rozkazywać potrafi. Głecha chodził a raczej biegał jak upojony, dumny, uszczęśliwiony, a ile razy wrócił do królewica, ścisnął go za nogi, szeptał mu do ucha.

— Ty, sokole mój złoty, panować będziesz... nie on... nie ten... ty, tobie przeznaczono królować... a mnie tego doczekać... i umrzeć...

Nie tyle gniew króla co wybór Bezpryma zasmucił Ryksę i królewica. Był to już drugi znak łaski dla niego, obudzający obawę. Żalował niedłwie Mieszko, iż przemódz się nie zdołał, lecz teraz już było zapóźno. Sam on do tego zwycięstwa syna Judyty się przyczynił.

O świecie wszystko było gotowém. Bezpryma nie poznawali ludzie, tak go nowe zmieniły losy.

Ociągał się jeszcze z wyjazdem, bo nocą nadbiegłszy doń ks. pisarz objawił mu myśl, którą pisząc dopiero był uderzony. Dlaczegożby go Bezprym jako tłumacza i pomocnika nie miał z sobą wziąć i u króla prosić o to?..

Posłuszny Bezprym zgodził się i czekał z Bolesławem rozmowy.

W podwórzu czekała już na koniach ustawiona drużyna, doborna, świetna, z ludzi najokazalszych złożona; rżały konie, śmiali się wojacy. Wstał i król chcąc widzieć poczet jadący po narzeczoną,

a w przedsieni znalazł opata, który niespokojem jakimś gnany, spieszył do niego.

Zbliżył się właśnie Bezprym do ucałowania ręki ojcowskiej.

— Gotówem, miłościwy panie — odezwał się — lecz schowany byłem od ludzi daleko, na posła sam niebardzo przydatny, gdybyście mi ks. Petrika raczyli w pomoc dodać, śmielszybym był.

Jeszcze się król nie miał czasu odezwać z odpowiedzią, gdy opat Aron wtrącił.

— Właśnie mi jak prawa ręka jest potrzebny ks. protonotaryusz... Anibyhm go umiał kim zastąpić. Lecz jeżeli miłościwy pan innego duchownego, równie mu pomocnym być mogącego, życzysz, znajdziemy go łatwo.

Król nie miał nie przeciwko temu. Bezprym pochwycony zniemacka, nie wiedział jak postąpić.

— Z nieznanym mi trudniej będzie — rzekł cicho.

— Każdy usłuży wedle sumienia i obowiązku i będzie na wasze rozkazy — dodał opat.

Tak zamiast tego, który mu miał być pomocą, Bezprym niespodzianie otrzymał stróża i dozorcę, w osobie benedyktyna, którego natychmiast przywołano.

Zdała stojący i wyczekujący już skutku ks. Petrek znięszczał się, gdy mu po chwili znać dał nasadzony Haruo, iż zamiast niego inny duchowny towarzyszyć miał Bezprymowi.

Oprócz niego dwu poważnych mężów, zaufanych z rady swój, Leliwę i Sreniawę, dołączył król do orszaku dla dodania mu okazałości. Ci z sobą osobno brali orszaki. Bezprym zaledwie już miał czas pod jakimś pozorem zbiedz dla zabrania pisma ks. Petrika, który go zaklął, aby daniem duchownemu nie zwierzał się i nie zwierzał, i przed swoim orszakiem z niczem się nie wydawał.

Słońce już było podeszło na niebie, gdy wszyscy na konie siadłszy, przeciągnęli przed królem, pokłon mu składając. Orszak był prawdziwie dla panny młodej dohrany, młódź najpiękniejsza, zbroje najświetniejsze, szaty od złota i barw jasnych, pióropusze n helmów, błyszczące miecze, tarcze malowane, włócznie kute żelazem. Wodzowie w złotych łańcuchach, pasami sadzonymi przewiązani, czeladź nawet i służba królewska...

Gdy ruszyli z podwórców, gromady stały patrząc, okna pełne głów były i po nad drogą stały ciekawych kupy. Wiedziano już, dokąd i po co jechał Bezprym, który na czele po raz pierwszy jako królewic i wódz występował z powagą i dumą, jakiej w nim nikt nigdy nie widział.

Stary Gheza wmodlił się do orszaku, trzymając na ręku ulubionego sokoła zakapturzonego.

Szły też i psy, bo bez tych się w podróży nawet obejść Bezprymowi było trudno i konie powodne i ładowne wozy okryte suknem czerw-

ném. Dwóch trębaczy towarzyszyło pochodowi. W środku w czarnej sukni jechał ojciec Wolfram, który miał czas od opata wziąć instrukcyę, aby na każdy krok królewicza był uważnym. Samo żądanie zabrania z sobą ks. Petrka podejrzenie w nim obudziło.

VII.

Nie będziemy iść w ślad za dwoma poselstwami, które zdążały do Rzymu po koronę. Jurga wyprawiony z o. Gerbertem był szczęśliwszym. Udało im się przebyć całe Niemcy bez wypadku, chociaż kilkakroć zatrzymywani byli. W początku podróży garstka ta przeodziała się tak i przybrała, aby jak najmniej zwracać oczu na siebie. Zamiast szerokich gościńców, wybierano drożyny niewygodne, puste, lecz od straży i czatów bezpieczniejsze. Klasztory do których zajeżdżali, dostarczały o. Gerbertowi dokładnych skazówek i co lepiej dawały mu braciszków, znanych w okolicy, którzy się opowiadali jako prowadzący własność klasztorną od opatów miejscowych. Tak od jednego do drugiego, przeprowadzali ich mnisi, a gdy wypadkiem spotkali łakomego a głodnego

zdobyczy rycerza czatującego na gościńcu, co naówczas było zwyczajnym, bronili się tem, że kościelne prowadzili mienie.

Podróż po Enropie w tym wieku w którym na małych oddziałach siedzący wasale świeccy i do duchownych należący, nieustannie z sobą wiedli spory i orężnie występowali w obronę praw i uroszezeń, nie była ani łatwą, ani przyjemną. Nieustannie trzeba się było mieć na pieczy, dzień i noc czuwać i bronić, często opłacać jeszcze aby ujsć cało.

Mimo uznawanych praw innych, silniejszego prawo było niemal jedynem; szanowano duchowieństwo ale i ono od przemocy nie było wolnem. Cesarstwo miało zwierzchnią władzę, a i tę prawie ciągle popierać siłą było zmuszone. Buntowali się wassale nie tylko przeciwko sobie podnosząc, lecz i przeciw najwyższej potędze. — Wojna była niemal stanem naturalnym, a pokój wyjątkowym. Synowie walczyli przeciw ojcom, bracia z braćmi, księstwa i królestwa z sobą. — Wyłamywali się podwładni. zagarniali ziemie silniejsi, a w podróży nie nie bronilo, chyba szczególne szczęście i nadzwyczajna zręczność. Równie jak Niemcy Włochy też podzielone były, a tu Saracenskie napady, które energia papieża Benedykta odeprzeć potrafiła ciągłym nabawiały niepokojem...

Zwohna więc i pod ciągłym strachem szła po-

droż Jurgi z ks. Gerbertem aż do samych wrót wiekuistego grodu. Gdy tu nareście dotarła gromadka owa, skwarne go dnia, wśród wycia wiehru, który kurzawą napelniał powietrze, wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą, czując, że tylko cudem się dostać mogli do celu podróży.

Była to połowa dopiero wielkiego i trudnego dzieła. W Rzymie papiezkim miał cesarz swoich zwolenników i stróżów, wpływ jego był potężnym. Należało z oględnością wielką przedsiębrać kroki i niewydawać się z sobą i z celem poselstwa, dopóki by drogi przygotowane nie były. Przybyć do Rzymu trudnością było wielką, dopięcie celu niemniejszą, naostatek gdyby się to udało, odwieść poświęconą koronę, o której wieść musiała dojść cesarza, stawało się zadaniem ze wszystkich najcięższem.

Czuł to o. Gerbert, lecz wybór jego dowodził jak epat Aron znał ludzi i umiał posługiwać się niemi. W średnim wieku wypróbowany życiem, mnich benedyktyn był żelaznym mężem, na pozór chłodnym jak żelazo, jak ono twardym; ostrym gdy przecinać trzeba było węzły, milezącym i przebiegłym. Przez całą drogę modlił się o. Gerbert, mówił mało, zaspiony jechał, nie uskarżył się nigdy, chociaż i głodn i niewygód nadzwyczajnych doznawać było potrzeba. Jurga wpatrując się w niego, starał się naśladować. Kierował gro-

madką i w karności ją trzymał. Sam widok nowych zupełnie krajów i ludzi starczył mu, aby opłacić wszystkie podróży ciężary i niebezpieczeństwa.

Z krajów, w których człowiek był stosunkowo młodym przybyszem, wjeżdżając w świat na każdym kroku ruin i obalonej przeszłości pełny, zdumiewającej olbrzymiemi dzieły swemi, Jurga się czuł upokorzony dzikością i pustynnością swych pól i lasów.

Mury te, kolumny, obalone sklepienia, sterczące resztki świątyń pozmienianych na kościoły zdaly mu się dziełami nie ludzkiej ręki i ducha, ale zgasłego jakiegoś plemienia istot nadziemskich.

Wszystko tu świadczyło o przeszłości skończonej, o narodzie wielkim, umarłym, pogrzebionym, który długie musiał żyć wieki, by tyle dokonać.

Rzym w ruinach na poły, na pół w stojących jeszcze budowach wieków chwały i potęgi, przybylcowi z kraju drzewa i szalasów, snem się wydał jakimś niezrozumiałym, niepojętym.

O. Gerbert pomodliwszy się u wjazdu do bramy miejskiej, opowiedział się tu, jako mnich benedyktyn przybývający w sprawach zakonu. Nie zwracając oczów na siebie przesunęli się za Tybr do benedyktyńskiego klasztoru. Tu byli bezpieczni. Listy i świadectwa dawały im opiekę. Gdy furta otwarła się dla nich i zawarła za nimi

o. Gerbert odetchnął raz pierwszy swobodniój i wprost poszedł do otwartego kościoła, powtórnie dzięki złożyć Bogu. Orszak jego umieszczono zaraz w gospodzie dla obcych przeznaczonój, która osobno od klanzury u wrót była urządzoną. Jurga tak ciekaw był, zdumiony i przejęty, tak rad, że straszna podróż skończoną została szczęśliwie, iż spoczynku nie potrzebował. Ulice które przebywali rojące się świetnemi orszakami, wśród których piękne niewiasty, bogato poprzyhierane, otoczone dworami strojami przesuwały się z dziwną swobodą i zalotnością spoglądając na tłumy; duchowni z pocztami zbrojami, sami też nie bez oręża; panowie w jasnych szatach i świecących na piersiach pancerzach, sam lud tak odmienny od tego, do jakiego był nawykł Jurga uciliły ciekawość podróżnego.

Na zatybrzu, około klasztoru wprowadzić do-
syć było cicho, a mury do kola nie widzieć nie
dozwalaly, lecz to, co przejazdem dostrzegli, twier-
dza owa okrągła basztami otoczona, wysokie gro-
du mury okólne najeżone wieżami, sterczące jak
olbrzymich drzew puie, marmurowe kolumny, gma-
chy rozległe, przesuwały się jeszcze przed oczyma
zdumionego.

Pan tego grodu, ojciec całego chrześcijaństwa,
wydał mu się najpotężniejszém świata mocarzem.
Rozdawał korony, obdarzał królestwy — słal roz-
kazy gdziekolwiek dolatywało ludzkie słowo. —

Wszystko co dotąd widział Jurga w życiu swém i podróży, ohok tego wydało mu się drobném i małym. Sam cesarz w oczach jego muiejszym się okazał, gdy nań ztąd spoglądał.

O. Gerbert zniknął mu zupełnie dnia pierwszego. Nazajutrz znaleziono słowiańskiego rodu braciszka, który z Jurgą mógł się rozmówić, kazano mu się odziać tak, aby oczów na siebie nie ściagał i dozwolono mu pójść po mieście, którego widoku był ciekawym.

O. Gerbert chodził tymczasem około wielkiego dzieła, które przygotować było potrzeba. Dary we zlocie jakie przywieźli z sobą ułatwiały nieco zadanie, bo skarb wojną z Saracenami był wyczerpany, lecz wkrótce dowiedział się wysłaniec opata, iż o żądaniu Bolesława wcześniej dano znać do Rzymu, a cesarz się sprzeciwił posłannin korony. Oprócz tego rościł papież prawa do kraju Polan, szczególniej Guieczna, które z sąsiedniemi ziemiami, Oda żona Mieszkowa zapisała darem apostołskiej stolicy. Bolesław trzymał więc tę własność prawem oręża tylko, dziedzictwa i rozporządzania polany dopominano się tutaj.

Przewidując to Bolesław król, polecił zapewnić w Rzymie, iż będzie się uznawał lennikiem i chętnie grosz do świętego Piotra skarbowy składał rocznie, chociaż Oda ofiarowała to, czego nie miała i czém rozporządzać nie mogła.

Sam nie waząc się na wyjednywanie u papieża

Benedykta żądanej korony, o. Gerbert, posłał innych na zwiady. Powoli toczyły się same rozprawy o środkach jakich użyć było potrzeba, aby dostąpić celu.

Jurga tymczasem patrzył, uczył się, dziwował, modlił, a braciszek dodany mu, karmił go owym tysiącem legend, które tu do murów przyrosły, powsiąkały w ziemię, w powietrzu unosić się zdają. Kilkanaście dni spłynęło, a nie jeszcze nie uczyniono.

O. Gerbert milczał i nie tłumaczył się nawet ze zwłoki.

Jednego dnia, gdy dla niecznośnego skwaru, w ciemnej izbie na matach we dnie spoczywał Jurga i zdrzemnął się znużony, szelest jakiś posłyszawszy nad sobą otworzył oczy, a zdało mu się, że śpi jeszcze, gdy ujrzał tuż stojącego Andruszkę, który otworzywszy ręce, czekał na uścisk braterski. Jurga się porwał i dwaj bracia, nim słowo do siebie wyrzec mogli, powitali się pocałunkiem. Młodszy oczom swym nie wierzył prawie, bo się takiego szczęścia nie spodziewał.

W istocie było to nadzwyczajnym trafem, iż drugiemu wysłańcowi, przebrać się udało temi samemi tory i drogami, w ślad za pierwszym... O. Gerbert i Bernard nabrali oba otuchy, gdyż podwójne dary dawały im możność tém skuteczniejszego działania. Z Andruszką przybyła więc

niż nadzieja, niemal pewność pozyskania korony dla króla.

Zaraz nazajtrz wiedzieli o tém bracia, a opowiadając sobie o podróży i jej niebezpieczeństwach naradzali się weześnie o powrocie.

Na ów czas Jurga, który był umysłu żywszego, wpadł na tę myśl szczęśliwą, ażeby z powrotem rozdzielić się i oprócz namaszczonej korony, drugą wieść podobną fałszywą, aby nią niemieów czatujących na tę zdobycz oszukać. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem tak, ażeby wpadła w ręce cesarskiej straży, która zadowolniona zdobyczą, jużby na przewiezienie prawdziwej nie zwracała tak pilnej baczości.

Nazajtrz opowiedziano o tém o. Gerbertowi, który uśmiechnął się i zdumiał, a że miał obok siebie drugiego brata, odezwał się doń po łacinie.

— Zważcie jaka u narodów dzikich wrodzona jest przebiegłość. Oto żaden z nas nie wpadł na tak wyborny środek zabezpieczenia namaszczonego daru Ojca świętego.

Pochwaliwszy wielce Jurgi pomysł szczęśliwy, o. Gerbert, który już przed przybyciem Bernarda rozpoczął umowy, ciągnął je dalej teraz, podwójwszy ofiarę. Nalegał on na to, że Bolesław był w rzeczywistém posiadaniu państwa tak rozległego i potężnego, że je w jedności z kościołem koniecznie należało utrzymać, a to najłatwiej można było utwierdzić ofiarą namaszczonej korony,

która wierną i kościołowi i cesarstwu zostać miała.

Przeciągały się jednak owe umowy, którym na drodze stawali Henrykowi cesarzowi posłuszni w otoczeniu papieżkiem. Naostatek ujęty wymowami prośby i zaręczeniami o. Gerberta. Papież Benedykt przyrzekł koronę, którą sam miał u grobu księcia apostołów pobłogosławić. Nie trzeba było wytworniej sprawować, której robota wiele by czasu zabrała. Złoty obręcz, kilka kamieniami oszlifowanemi nasadzony, wystarczał.

Błogosławieństwo dawało mu wartość całą, a im łatwiejszą była do ukrycia korona, tem mniej na niebezpieczeństwo narażoną. Imą podobną na prędce uknie kazano, którą przodem i nie zbyt się wystrzegając, wieże się ofiarował męzny Andrzej. Wiedział on i towarzyszący mu Benedykt, że zatrzymani i do więzienia może wtrąceni zostaną, lecz oba dobrowolnie chcieli tą ofiarą okupić bezpieczne przybycie poświęconego wieńca do Poznania.

Wielki to był dzień dla gromadki polskich wyśłańców, gdy im oznajmiono, że się mogą znajdować w krypcie u grobu Piotrowego, aby być świadkami obrzędu. Tu oni mieli po raz pierwszy oglądać poważne, męskie a rycerskie niemal oblicze Benedykta, który pod skromną suknią duchowną, zachował w sobie coś z charakterem rodu wojowniczego i pańskiego hrabiów tuskulańskich.

Widać w nim było władzę a króla razem i głowę kościoła, surowego sędziego i stróża obyczajów duchowieństwa, które poprawy i karności potrzebowało.

Dostatki w jakie opływały klasztory i biskupstwa, ziemskie ich posiadłości rozległe, stosunki bliskie z rycerstwem rozwiązałem, nadwerczyły obyczaje. Papież je do nanki chrystusowej i pierwotnej czystości zwrócić usiłował.

Przy mszy świętej leżała korona na oltarzu, dotykając relikwii apostołów, poświęcił ją sam Ojciec święty i po uroczystym obrzędzie, wraz z listem oddał posłom, którzy w imieniu króla podległość stolicy apostolskiej zaręczyli. Tegoż dnia, nim się ruszyli posłowie z Rzymu, już gonieć potajemny wyprzedzał ich na apijskim gościńcu, biegnąc zapowiedzieć podróżnych, których wraz z koroną pochwycić miano nieochybnie.

W klasztorze naradzano się dnia tego i nazajutrz jawnie, w oczach mnogich świadków ruszył ze znaczniejszym poczetem Andruszka z ojcem Romualdem, wioząc fałszywą koronę.

Dopiero w dni kilka potém potajemnie wyjechać miał o. Gerbert z Jurgą, ukryty wioząc ów obręcz poświęcony, który przeznaczonym był do uwieńczenia skroni królewskich. Wszystko się stało jak obmyślano.

Pierwszy poczet przebył Włochy bezpiecznie, lecz śledzony i miany na oku. Jechali w tropy

za nim wysłańcy, którzy go u granicy niemiec wskazać mieli i dać pochwycić. O. Romuald umyślnie prawie nieostrożnym był i stawał w miejscach, gdzie mógł być postrzeżonym, nie tając się z tém, że z Polski jechał od króla w poselstwie, choć niby zamilezał, co ono miało na celu.

Na drugim noclegu niemieckim znaleźli się posłowie otoczeni w gospodzie przez tak liczną gromadę zbrojnych, iż o oporze ani myśleć było można.

Z nrąganiem i przechwałkami pochwycono ich, niby usiłujących tłumaczyć, zaprowadzono do najbliższego zameczku i gdy zaczęto przetrząsać juki, z radością nadzwyczajną znaleziono koronę. Natychmiast wysłano gońców z oznajmieniem, iż zdobyte się w ręce cesarskie dostała. Radość była niezmierna i tryumf wielki. Szukano listów papieżkich, rozparając suknie, trzęsąc wszystko na próżno, nie umiano ich znaleźć, a nagłony o. Romuald przyznał, że w ohawie pochwycenia zniszczone zostały w pierwszój chwili.

Gdy się to działo na głównym gościńcu, z bacnością nadzwyczajną od klasztoru do klasztoru przemykali się o. Gerbert i Jurga. Wioząc tak drogi klejnot musieli nadzwyczajnie otaczać się ostrożnościami. Najgorsze dni do podróży, słoty i wichry były im najpożądanejsze, przekradali się nocami i rankami po niedostępnych ścieżynach i mauowcach. Podróż też trwała długo. Jurga czuwał prawie, nie kładąc się na spoczynek, chyba

gdą do którego z klasztorów przybyli, gdzie zupełnego pewni byli bezpieczeństwa.

Przez niemieckie kraje jadąc, podwajano czujność, choć pochwycenie pierwszej korony uspokoiło zupełnie cesarskich, a wieść o tém już się była wszędzie rozeszła. Gdy na ostatek po tylu napróżnych krążeniach, dnia jednego ujrzeli rzekę, którą im jako Łabę ukazano, radość niezmierna odmalowała się na twarzach wszystkich. Przeprawili się przez nią pochmurnego ranka jesieni a czeladź towarzysząca im, już tu była jak w domu. Przyspieszono więc koniom biegu.

Jurga chcąc królowi przedsię sprawić radość, najrzeczniejszego z pacholków wyprawił przodem nocą i dniem do Poznania. Tu niepokój był wielki. Wprawdzie opat Aron przez benedyktynów miał wiadomość o przybyciu Jurgi do Rzymu, lecz po tém nie już o obu wyprawach słychać nie było. Król ucieierpliwił się i narzekał, były dwie zwątpienia i gniewu.

Gdy Andruszkę z o. Romualdem pochwyceno, rozgłos był tak wielki i radość taka, że się wnet wiadomość rozeszła daleko i doszła do Trzemeszua naprzód, nareszcie do Poznania.

Tu nie wiadano wcale o podstępie, którego Jurga był sprawcą. Opat był w smutku wielkim. Nie ośmielił się natychmiast o tém Bolesławowi zwiastować. Zwlekał. Nie można jednak było długo ukryć nieszczęśliwój wieści. Ks. Petrek, który

ją miał pierwszy, chodził z nią, pozornie zasmucony, dzieląc się ze wszystkimi, aby doszła do uszu króla.

Już naówczas piękna Oda, którą Bezprymowi z chęcią wydano, przybyła do Poznania i niezwłocznie małżeństwo pobłogosławione zostało. Zjechało się na wesele tłumnie rycerstwo domowe i niemieckie, król hojnie przyjmował i zdawał się wesół a szczęśliwy.

Od pierwszego dnia, nowa pani nowe tętnęła w dwór życie, nową weselością ożywiła trochę spoważniałych towarzyszy króla. On sam musiał się powodować niewieście, która z zuchwalstwem nadzwyczajnem, nie obawiając się groźnego pana, rządziła nim samowładnie. O dziwo! Król dawał się prowadzić posłuszny, wpatrując się w piękne oczy i zdał zapominać o wszystkich swych troskach, gdy mu Oda szezebiotała.

Mieszko i Ryksa nie mogąc się ani oddalić, ni wyłączyć, stali na uboczu.

Oda lekceważyła mężowską synowę, nie dbając, że jątrzy cesarskiej krwi panią, a Bezprymowi nad Mieszkiem dawała w łaskach swych pierwszeństwo. On był jej najmilszym sługą. Król też nabrał trochę serca do Bezpryma i więcej teraz upatrując w nim zdolności, obiecywał mu też na przyszłość świetniejsze stanowisko.

Na pozor nie było nie odnienionego gwałtownie, przecież jednej niewiasty przyhycie zmieściło

dawny porządek, wwiiodło jakiś zamęt, napełniło niemal strachem dawne sługi.

Pytano się siebie cicho, co będzie z tego panowania mienki zalotnej, nad królem chwilowo zaślepionym. Nikt się jednak nie ośmielał rzec słowa. Opat milczał i stronił nieco od dworu. — I na to Bolesław uważać się nie zdawał.

Były to pierwsze dni roznamiętnienia krewkiego pana, całe oddane niewieście, która umiała oderwać go od wszystkiego i zawojować dla siebie.

Z tego czaru i upojenia nie wyszedł król Bolesław, aż gdy jednego wieczora, Zyg nie przyniósł mu korony skreconej ze słomy i nie położył jej u nóg jego. Karzeł był głupawy, iż się na żart taki ważył.

— Miłościwy panie — rzekł śmiejąc się — trzeba będzie słomianą się kontentować, bo złotą cesarsey porwali.

Bolesław nie rychło go zrozumiał, a znaczenie słów pojawiaszy chciał go kazać wyrzucić precz i osmagać. Zyg do nóg mu upadł, wyznając, że w całym dworze mówiono o tém.

Burza powstała sroga. Chciała Oda króla uśmierzć, odepchnął ją po raz pierwszy wejrzawszy na nią tak, że pobladła i cofnęła się przelękła.

Na wołanie pańskie, które grzmiało jak burza rozłukana, zadrżało co żyło, biegło wołane co za-

słyszało tylko. Skupili się wszyscy, król patrzył po twarzach i mówić nie mógł z gniewu.

Sieciechowi wskazał Zyga, aby go wnet pochwyceno, pytał głosem drżącym i zachodzącym się, kto mówił o pochwycenėj koronie, kto i z kąd słyszał o niėj. Zyga strwożony ks. Petrka imię wybelkotał. Kazano natychmiast go przywieść.

Dwóch komorników wnet go niemal gwałtem przyciągnęło przed króla, wystraszonego, bez dnszy. Zagrzmiął nad nim głos, z kąd i od kogo słyszał o tém...

Pisarz umiał powiedzieć tylko, że w całym dworze było to wiadomem, że koronę wiezioną cesarsey na granicy schwycili.

Słano wnet po opata, który idąc, dowiedział się o królewskim gniewie, lecz nie ulękłszy się go, spokojnie i bez najmniejszego przybył pośpiechu, król miał czas nieco ochłonąć, a nierzawszy wypogodzone, zimne, poważne, surowe oblicze idącego naprzeciw sobie, zawstydził się téj gorącości z jaką wybuchnął.

Czekał aż się Aron przybliżył.

— Ojcie, prawda li to? — zawołał — wszyscy aż do najnudniejszego błazna wiedzą tu o tém o czém ja niewiem nic?

— Wieści chodzą o tém, lecz pewności nie ma, dla tego płochych pogłosek do uszu twych podawać nie było potrzeby.

Ks. Petrek, któremu szło o to, aby się dobrze

nwiadomionym okazał i nie został zatarty, prze-
rwał kłaniając się opatowi, iż z cesarstwa przy-
bywający od Marchyi pogranicznych, jednozgodnie
to poświadczali, iż w górach, poblizu włoskich
granic koronę i posłów schwycono, a radość ztąd
była wielka.

Pisarz, który potajemnie miał posłanie, a do
niego przyznawać się nie chciał, mógł zaręczyć
iż wieść fałszywą nie była. Wiedział nawet w któ-
rém hrabstwie i miasteczku posłowie schwyceni
zostali. Opat wołał króla w niepewności trzymać.

Napróżno po tém obrażona Oda tem, że po-
ślednie zajęła miejsce na chwilę, starała się Bo-
lesława pociągnąć i rozerwać. Król nie spojrzaw-
szy nawet na nią, z opatem poszedł na osobność.
Zmieniony był i gniewny, chciał natychmiast trze-
cie już poselstwo wysyłać.

Dał mu wszystko wypowiedzieć Aron, słuchał
cierpliwie i znowu wielkim swym spokojem nieco
rozgorączkowanego upamiętał. Gniew gdy nie za-
razi sobą tych, wśród których wybucha, musi za-
wsze przygasnąć i w sobie zawarty trawić się
powoli.

Ochłódł Bolesław nieco.

Opata zdaniem było, aby nie poczynąć nic,
dopóki by wieści nie nadeszły pewne i ostateczne.
Wszak ci jedne posły pochwycone być mogły,
a drugie wrócić szczęśliwie.

Jakkolwiek mała była nadzieja, Bolesław dał

się t \acute{e} m nkołysa \acute{c} . W sprawach nie wojennych nawykl by \acute{l} nfa \acute{c} opatowi, kt \acute{o} rego rozumn i baczno \acute{s} \acute{c} nie zawiodly go nigdy.

Pozosta \acute{l} jednak kr \acute{o} l posepnym i zachmurnionym i Oda postrzegła po raz pierwszy, i \acute{z} wladza j \acute{e} j nad nim nie byla tak pot \acute{e} zn \acute{a} , by wszystko inne stłumila.

Szła dot \acute{a} d przebojem i zachwalstwem, z kt \acute{o} rym si \acute{e} j \acute{e} j szcze \acute{s} cilo, teraz musiała n \acute{y} żyć innych niewie \acute{s} cich szt \acute{n} ek, lz \acute{o} w, smutku i przypochlebiania, pokory i czulo \acute{s} ci. Nic kosztowało j \acute{a} zmienia \acute{c} si \acute{e} , cho \acute{c} nawykła by \acute{c} \acute{s} mial \acute{a} , pokonywa \acute{c} si \acute{e} musiała staj \acute{a} c pokorn \acute{a} . Dla kr \acute{o} la te kameleonskie zmiany coraz nowy wdzi \acute{e} k j \acute{e} j nadawały.

Milo \acute{s} \acute{c} w m \acute{o} do \acute{s} ci m $\acute{o$ wi \acute{a} , opauownje i za \acute{s} lepia cz \acute{l} owieka, lecz w latach p $\acute{o$ źniejszych, gdy si \acute{e} \acute{z} ycie wymyka, gdy ostatkami goni, niebezpieczniejsz \acute{a} jest jeszcze, bo z ni \acute{e} j ostygna \acute{c} nie mo \acute{z} na.

Oda traciła moc sw \acute{a} i odzyskiwała j \acute{a} wpr \acute{e} deca z tych walk wychodziła coraz silniejsz \acute{a} . W sercu j \acute{e} j nie bylo nic, opr \acute{o} cz \acute{z} adzy panowania i pragnienia \acute{z} ycia. Uczyna rzuciła po dworze ca \acute{l} ym, jakby wszystkich zakn \acute{e} c potrzebowała w te wi \acute{e} zy, w kt $\acute{o$ rych kr \acute{o} l chodził. Ks. Petrek by \acute{l} j \acute{e} j powiernikiem i ulubie \acute{n} cem, dodało mu to si $\acute{l$ y i pewno \acute{s} ci siebie. Opat widział wszystko i cierpiał, niespuszczaj \acute{a} c go z oka. Uszły tylko baczno \acute{s} ci jego stosunki z Bezprymem i m $\acute{o$ wy, kt $\acute{o$ re w cicho \acute{s} ci ju \acute{z} a \acute{z}

do cesarskiego ucha sięgnęły. Cesarz zgodził się na żądania królewicza — obiecywał mu królestwo, pomoc orężną, poparcie przeciw Mieszkowi z warunkiem poddania się cesarstwu.

Na Bezpryma twarzy czytać było można zmianę, lecz przypisywano ją przypuszczeniu do łask ojca i odepchnięciu Mieszka.

Ryksa z dumą rodowi swemu właściwą znosiła upokorzenie swoje i męża, nie narzeczając się i nie chcąc zebrać przejednania. Ona także może w duszy rachowała na to cesarstwo, z którego pamiątkami łączyła ją krew. Nie trwożył ją Bezprym, nie obawiała się Ody nawet, czując się tu niejako ogłoszoną następcy Bolesława żoną.

Mieszko był nim uznanym. Dumma pani nie przypuszczała zmiany i trzymała się na uboczn. Oczy wszystkich zwrócone były na króla i jego rodzinę, radował się w duszy jeden ks. Petrek widząc zamęt, nienawiść, walkę, która groziła przyszłości.

Wszystko co gotowało ruinę, pożądaniem dlań było, co ją przyspieszyć mogło, do tego ręki przykładał.

Posłuszny opatowi, król pozostał w oczekiwaniu niecierpliwem, rozjątrzonem, do gniewu skłonnym. Oda teraz napróżno usiłowała pierwszych dni zapomnienie na wszystko powrócić. Niekiedy Bolesław odprawiał ją do krosien i kądzieli. Szła z ustami zagryzionemi, zamiast do swojej izby,

po między młodź rycerską, i drażniła króla strojąc śmiechy, które uszu jego dolatywały.

Dnie płynęły chmurami i jasnymi promieniami przeplatane. U stołu król się ożywiał, ale noc przynosiła z sobą troskę i sny rodziły niepokoje.

Jednego dnia opat, który oko miał baczne na wszystko, a pamięć niezmierną, idąc z tłumem na dworzec, spostrzegł na koniu zmęczonym wbiegającego w podwórze pacholka, którego twarz zdawała mu się podobną do jednego z tych, co z Jurgą wyprawieni zostali. Wstrzymał się i skinął. Skoczył jezdny z konia i podbiegł ku niemu.

Opat go poznał.

— Co wiesz? — spytał.

— Wiesz dobrą, ojeze przewielebny. O dwa dni lub półtora za mną ciągną o. Gerbert z Jaksą i koronę wiozą.

Zdumiał się radośnie Aron.

— Bogu niech będą dzięki, lecz tu wieść się rozeszła.

Chłopak się rozśmiał.

— A! tak — zawolał — Andruszka Jaksa z księdzem wieźli umyślnie fałszywą koronę i dali ją w ręce cesarskim. Poświęcona jest już na naszą ziemi.

Opat się nieco zamyślił. — Nie mów o tém, aż ci ja usta rozwiążę. Gdy cię pytają, powiedz że wracacie próżno.

Skłonił się posłany i wszedł ku stajniom a Aron do króla podążył.

Topiąc niepokój w kłębku i rozimowie, Bolesław siedział otoczony radą swoją i rycerstwem. Dnia tego miał zrana do odsądzenia spraw wiele, do pogodzenia spory zajadłe — zmęczony był karaniem winnych i jednaniem zwaśnionych. Niektórzy z nich stali jeszcze, bo Bolesław wyrok myślnie odroczył, aby ich przywieść do upamiętania i zgody. Starzy wodzowie przypominali wyprawy swoje. Król słuchał rad i uśmiechał się czasem. Gdy opat wszedł z tą twarzą na którą nigdy nie można było odgadnąć, zawsze jedną i poważną, król się obrócił ku niemu.

Przyjście jego zwiastowało zawsze ważną sprawę. Powstali wodzowie witając go, uchylił król głowę, pierwsze mu uczyniono miejsce. Aron stał.

— Przynosicie mi co, mój przewielebny — odezwał się Bolesław — lub macie żądanie jakie do mnie? Wam zawsze i przedewszystkiemi należy pierwszeństwo.

— Dziś mi ono należy w istocie — rzekł Aron — bo przynoszę wam, miłościwy panie to, czegoście najmocniej pożąдали — koronę!

Oczy Bolesława zajaśniały — powstał poruszonny cały, wszyscy się skupili ciekawi.

— Objawienie mieliście? — spytał.

— Przybył posłaniec od o. Gerberta, są o półtora dnia drogi.

— Więc niegodziwem kłamstwem było, na utrapienie moje zmyśloném, że ją pochwycono! Ukarać należy winnych.

— Nie winien nikt — odezwał się opat — koronę pochwycono i korona stanie tu jutro. Dano cesarskint tę, która poświęconą nie była, na łup, aby się uspokoili — namaszczona przybywa.

Na wszystkich twarzach odmalowała się radość. król podniósł ręce do góry. — Nie ma — zawołał przejęty, czego bym nie uczynił dla tego, co tak przebiegle i rozumnie postąpić umiał!

Gwar się stal taki w izbie, a za nim poszły okrzyki tak głośne, iż po całym dworze rozeszła się ta radość, której przyczyny nie wiedziano jeszcze. Zbiegali się ludzie, podpatrując i podśledniając. Król po namyśle wprost kroki skierował ku kościołowi.

Szedł za nim Aron, szli panowie radni, ciągnął dwór, wlokła się ciżba. Kazano w dzwon uderzyć. Na grodzie mało kto wiedział, za co dziękczynne odprawiać miano modły, lecz biegli kto żył i cisnęli się do tunu.

Przed wielkim ołtarzem u grobu ojca stanął Bolesław, jakby z duchem jego dzielić się chciał radością swoją.

Aron pospieszył do zakrystyi, aby z poczetem całego katedralnego duchowieństwa wynieść zaraz przed oświecony ołtarz i zaintonować hymn dziękczynny.

Ks. Petrek siedział w celi nad pargaminem, gdy Harno wpadł doń wołając, że korona z Rzymu przybywała i że król z całym dworem w tunie już za nią Bogu dziękował.

Upewniony o pochwyceniu jęj ks. Petrek — osłupiał. Niepojętęm to było dla niego. Tryumf którym się pocieszał, obracał się niepojętęm sposobem w upokorzenie.

— Kłamiesz niezdaro! — krzyknął. — Jak zawsze nierozummem jesteś stworzeniem chwytającęm na opak słowa.

W tem dzwon coraz wyraźniej posłyszał bijący na tunie, chwycił na siebie płaszc i wybiegł. Dokąd? nie wiedział sam.

Niewiasty i królowa nie wiedziały o niczem jeszcze, Mieszko, Ryksa, Bezprym i ich dwory, posłyszawszy okrzyki, słysząc bijący dzwon, wybiegli we drzwi, stali ludzi. Nie wszyscy wythumaczyć umieli co się stało, rozmaite obiegały wieści, wiedzieli tylko wszyscy, iż król z dworem na radosne jakieś do tunu pospieszył podziękowanie Bogu.

Ks. Petrek z twarzą wybladłą i zmienioną, pierwszy przyniósł wiadomość, którą nie wierzył, i chciał jęj zaprzeczać.

Lecz tuż nadeszli od tunu inni, co ją potwierdzali. Ks. pisarz gniewał się i burzył, kłamstwem zowiąc i zwodnictwem co głoszone. Nieśmiał się z tęm wydawać, iż miał najpewniejsze doniesienia,

burzyło go to, iż im zaprzeczać śmiano. Zbiegł więc wprost do zakrystyi tunu i tam stanął oczekując na opata. Musiał przybrać twarz wesołą, choć się w nim zbierały gniewy i kipiała nienawiść.

Gdy po skończonym hymnie, opat się ukazał w progu i ujrzał ks. Petrkę, podszedł jak stał w kapie i infule ku niemu.

— Ciesz się mój ojeze — rzekł — król dostał wreszcie czego pragnął, poświęconej przez papieża korony. Wielkiego rozumu posłowie nasi, umyślnie koronę nie poświęconą dali w ręce cesarskim, którzy ją zabrali, aby bezpieczniej panu namaszczoną przywieźli.

Ks. Petrek któryby był klął, gdyby mógł, zbłądł i skłonił głowę.

— Chwała ludziom rozumnym i przebiegłym! odparł cicho. — Radość mamy wielką!

Rzekłszy to a lękając się, aby po nim niepoznano, iż utrapionym był wielce, natychmiast wymknął się z pośrodku duchownych.

Nigdy może nie czuł się tak przybitym, tak upokorzonym jak w tej chwili.

— O lisy chytre! o węże złośliwe — mówił powracając zwolna do celi — o złodzieje zręczni... symonjacy przekłeci!.. Potrafiliście więc papieża opłatać, cesarza oszukać, strażę uspić — i postawiliście na swoim... Cieszcie się i śpiewajcie, radujcie i wynoście rozumy wasze! nie ujdziecie

mściwój ręki cesarskiej i kary Bożej. Rnnie, rozsypie się, zniszczeje, w pył i proch obróci się dzieło wasze! Tryumfujcie! krótkie będą tryumfy!

I śmiał się sam do siebie gorzko, dziko, złośliwie, a rzucając oczyma po podworecu, wśród którego rozlegały się okrzyki witające króla, co rychlój pośpieszył zamknąć się w swojej celi, gdzie go ta nienawistna wrzawa niedochodziła.

VIII.

Radość przepelniająca serce królewskie płynęła z niego na wszystkich; powołał do siebie Mieszka, który się trzymał na ubożu, kazał przyjść Bezprymowi i obdarzył go, aby na dzień uroczysty wspaniale mógł wystąpić, uśmiechnął się synowój, Odzie ogłosił, że będzie królową na równi z imeni, nadał opatowi ziemię i lasy, Jaksonowi majątności kazał wykupić... sypał wkoło siebie dobrodziejstwa. Był szczęśliwym.

To błogosławieństwo, którego potrzebował dla dzieła życia całego, miało je utwierdzić na wieki.

W dniu gdy korona upragniona nadejść miała, wysłano poczty naprzeciw posłom co ją wieźli, aby z wspaniałością należną wprowadzoną została i złożoną na ołtarzu, dopóki do Guiezna nie była przewieziona, gdzie koronaacya odbyć

się miała z uroczystością wielką, przy napływie wszystkich panów, wodzów, władyków i rycerstwa, których gońcy powołać mieli z kraju całego i najdalszych jego granic.

Rozesłano ich weześnie naznaczając dzień dosyć odległy, aby wszyscy czas przybyć mieli.

Gdy w Poznaniu taka panowała radość, w Magdeburgu i na dworze cesarskim dowiedziano się z zeznań o. Romualda, iż korona oddana w ręce czatujących na nią weale nie była tą, jaką papież Benedykt poświęcił.

Wyczekawszy nieco, posłany benedyktyn oznajmił to i oświadczył, iż gotów jest stwierdzić przysięgą. Sama obojętność jego a szyderskie przesmiewanie się Andruszki dowodziły zresztą, iż tak być musiało. Od granic też wysłani na zwiady przybyli z oznajmieniem, że poświęcona korona, mimo wszystkich zabiegów, była w Poznaniu, a nroczyta koronacya odbyć się miała w Gnieźnie.

Niepodobieństwem jest opisać wściekłość, jaką opanowała arcybiskupa i nieprzyjaciół Bolesława, gdy się o tem przekonali, iż mimo nich osiągnął czego pragnął.

Nie szczedzono Bolesławowi tych nazwisk, jakich mówiąc o nim żyli kronikarze niemieccy. Teraz więcej niż kiedykolwiek był on dla nich lisem chytrym, wężem wykrętnym, oszustem zło-

śliwym... Wzrosła złość i chęć zemsty przeciwko niemu, jak niegdyś opat Aron przepowiadał.

Tém się pocieszali cesarsey, iż mieli na samym dworze wroga, tych na których rachować mogli. U boku Henryka i pod jego opieką byli synowie Mieszka i Ody starszój; Ryksa niemka, Oda markgrafówna, Bezprym, który szukał zawczasu opieki cesarza; były to narzędzia, których sobie w dogodnej porze użyć obiecywano. Bolesław jeszcze im był strasznym, ale potomstwo jego mieli w ręku.

Czekali i czyhali.

Tymczasem mszczono się na niewinnych, trzymając w srogiém więzieniu Andruszkę i o. Romualda. Dano ich do odludnego zameczku w górach, pod klucz stróża, który już niejednego cesarzowi nienawistnego winowajcę zamorzył w lochu. Napróżno opat Aron usiłował przez zakonników św. Benedykta wstawiać się za nimi. Król też obstawał przy tém mocno, aby jakimkolwiekbyś środkiem tych, co dla niego cierpieli, oswobodzić. Naznaczono okup wielki. Teuby też może nie został przyjęty, lub w ostatku trupyby zań tylko wydano, gdyby nie znaleziono w sąsiedztwie na lichym burgu siedzącego barona, który ofiarował się za opłatą na gródek wpaść, gdzie załoga była słabą i więźniów dobyć siłą.

Stało się jak przyrzekł. Nocą naszedł z kupą ludzi niespodzianie cheiwy okupu obrońca na

gródek, którego nie pilnowano weale, schwytał dozorców, zagroził im śmiercią, do więzienia wprowadzić się kazał i odbił nie tylko tych dwu, ale i innych, którzy w lochach gnili.

Ci rozpierzehli się w górach, a rycerz wprowadził Andruszkę i benedyktyna, którym bezpiecznie wskazano drogę i opatrzone na nią.

Nim w Gnieźnie nastąpiła koronacya króla, już i tych dwu straconych wróciło do Poznania. Lecz obu ich trudno prawie poznać było, tak straszliwie niewola się zużyła nad nimi. Wyblekli, schorziali, zgłodnieli, zmęczeni, wyschli, potrzebowali dłuższego spoczynku, by odzyskać siły. Jurga od chwili przybycia nie odstępował brata, a król obu ich obsypawszy łaskami, ojcowską troskliwością otaczał. Oba naówczas pokłonili się panu prosząc, aby im dozwolił spocząć na ojcowiznie.

Choć niechętnie puszczał ich Bolesław od swojego boku, choć ociągał zrazu zezwolenie, w ostatku zgodził się, aby jechali do domu.

Dowiedziawszy się o tém pozdrowiał Andruszka wnet i uczuł, że na konń sięć może. Jurga, któremu z Sieciechówną król sam obiecał sprawić wesele, szczęśliwy jechał gniazdo wyściełać.

Wiedzieli już, iż Bolesław majętności im wykupił, ale z cudzych rąk wyrwane, w jakim stanie odebrać mieli! Nadeszła była zima, przypominająca ową smutną, która dla nich tyłu nie-

szezęść była przyczyną... Tak samo znówu ziemia była eahnem okryta, ogołocoue z liści drzewa, lodem zaslane rzeki i jeziora; wracali drogą tą pamiętną, którą ich królewski wysłaniec pod strażą na sąd prowadził. Wszystkie te wspomnienia, choć się niemi truć nie chcąc, nie o nich nie mówili, przychodziły im na myśl mimowolnie, a w miarę jak się do pustki zbliżali, smutnieli oba i jakaś ogarniała ich obawa.

Rycerskie ich serea miękkły pod wrażeniem, które jako niemęzkie wyrzucali sobie, chociaż mu ulegali.

Jechali w małym orszaku czeladzi, choć opatrzeni we wszystko, lecz nie tak świetnie i butno, jak niegdyś tu z kijowskiej powracali wyprawy.

Andruszee na myśl téż przychodziła nieszczęśliwa owa niewolnica grecka, którą ostatniego dnia przed przybyciem do Poznania w lesie zbłąkaną stracili i słyhać o niej nie było. Po powrocie z Rzymu mówiono im wprawdzie na dworze, iż się tam Antonia ukazała była, ale wkrótce potem znikła. Andruszka litował się nad jej losem.

Ostatniego dnia podróży, gdy się już do Jaksowych horów zbliżali, gołoledź się wzięła wielka, która jazdę utrudniała. Konie się ślizgały tak i padały, iż wpośród drogi musieli stanąć szukając kowala, cohy im zaostrzył podkowry. Rzecz to pod owe czasy nie była tak łatwa. We dworach tylko i miasteczkach znajdowali się ci, wy-

soko naówczas cenieni kunszt mistrze, którzy z żelazem rady sobie dawać umieli. Znając dobrze drogę wiedzieli gdzie się udać, dla okucia koni na ostro, ale zmarudzili wiele czasu i co mieli stanąć przed wieczorem w starym dworze, ściągnęli do nocy.

Słońce już dawno było zaszło i gwiazdy się pokazały na niebie czystym, które ostro uróż obiecowało, gdy z lasów wymurzywszy się na szeroką polanę gródek otaczającą, z bijącym sercem ujrzeni go zdaleka. Zdumieni się mocno, zamiast ciemnej pustki widząc światło we dworze i dymy buchające po nad dachy. Andruszka i Jurga mimowolnie i razem popędzili konie żywiej. Wrota stały otworem, podwórzec pelen był ludzi i koni. U podszienia roilo się jakby gośćmi. Postrzegli, że na nich tu oczekiwano. Pacholowie trzymali pochodnie smolne, przy których świetle poznali swoich stryjecznych, starego Tomka Jakcę, którego dwoje pacholąt pod rękę trzymało i wszystkich swych krewnych i powinowatych. Na przedzie stał dziedzic Komory, ten co króla u siebie krwi półmisią chciał przyjmować.

Zsiedli z koni uradowani gospodarze, naprzód do najstarszej głowy rodu, do Tomka Jaksy z pokłonem.

— Niech Bóg błogosławi zmartwychwstałym!
— zawołał głosem drżącym starzec — niech Bóg

blogosławi, a pomnijcie, coście to przeszli za młodości bujność i że cudem ocaleni jesteście...

Wszyscy zatem ścisnąć się zaczęli i okrzyki zabrzniały w podwórzu. Dawni słudzy i dwornia cisnęła się do panów, padając im do nóg i całując po rękach. Niektórych brakło, ci już spoczywali na „Bożej roli“. Zdała, pod słupy drewnianemi w czarnej sukni Andruszka ujrzał Antonią, która zdawna tu widzieć czekała na niego, klasnęła tylko w ręce i zawstydzona uciekła.

Dom, który się pustym i ogolonym zastać spodziewali, z rozkazu króla obficie był zaopatrzony we wszystko. W wielkiej izbie zastawione stoły czekały na gości. Gdzie zajrzeć pełno było szat, oręża i dostatku...

Snem i cudem wydało im się to odrodzenie do nowego żywota po tylu przebytych przygodach.

Wnet też służba z misami, dzbanami, ręcznikami, jadłem i napojem ciągnąć zaczęła i wszyscy u stołu mieścić się wesoło. A że był i duchowny zesłany przez króla i opata dla poświęcenia domu na nowe życie, uroczystem błogosławieństwem rozpoczęła się uczta. Trwała ona do dnia białego, bo każdy z dawnych i nowych dziejów miał co opowiadać, a szczególnie Jaksowie oba o swój podróży, w której tyle cudów oczyma swojemi oglądali, a o tylu się nasłuchać mieli zrzeczność. Tym co się nigdy po za granicę zachodnią kraju

swego nie ruszyli, zdaly się nie do wiary opisy krajów, jakie Jaksowie przebywać musieli i powieść o stolicy wielkiej, której na pół zniszczone wspaniałości oglądali.

Cały dzień następny owi goście pozostali jeszcze, przesiedzieli i dzień trzeci, a Jaksowie się przekonali obejrzawszy po domu, iż zapasów na przyjęcie starczyło. Było wszystkiego podstatkiem.

Czwartego dnia dopiero zostali sami, a że Jurga do wesela musiał się sposobić, a Andruszka szeptal coś, iż gotów też poślubić greczynkę, bracia radzi nieradzi o rozłączeniu się pomyśleć musieli. Na obszernych ziemiach, które w ich posiadanie wróciły, była druga stara, opuszczona siedziba, zwana Gródkiem zielonym. Andruszka chciał tam osiąść. Jurga gotów mu był ustąpić z Jaksowych borów, lecz starym obyczajem słowian ojcowskie gniazdo należało młodszemu i starszy zmusił brata, aby w nim pozostał.

Podzielono równo ziemię i dary królewskie, a Andruszka nie zwlekając pojechał zaraz na Gródek zielony, aby się w nim zagospodarować. Jurga tymczasem w dawnym dworze krzątał się przyprowadzając go do porządku, ściągając służbę i gotując się na przyjęcie młodej pani. Niewiele naówczas wymagano, życie nawet po królewskich i pańskich dworach było bardzo proste i niewytworne. Kraj na wojny narażony, cały był niemal

wieknistém obozowiskiem. Nawykły były i niewiasty, w razie wieści o napadzie, dosiąść konia, niehodzić w lasy i koczować w nich pod namiotami, często potém, gdy niebezpieczeństwo przeszło, wracając na zgłiszczą.

Parę izb starezyło dla gospodyni i jej pracowitego dworu, spędzającego dni całe u kądzieli i ogniska; a choć w uroczystości obwieszano się łańcuchami i odziewano złotogłowem, nie wstydzily się królowne prząść a księżniczki gotować.

Oba Jaksowie pozostali pracując około domów, gdzie wiele do czynienia mieli, aż do dnia naznaczonego na koronację królewską.

Bolesław chciał ją mieć tak świetną, tak wspaniałą, ażeby odgłos jej niemieców utrapił i rozszedł się po całym świecie. Szczególne mając nabożeństwo do świętego męczennika Wojciecha, naznaczył król dzień jemu poświęcony w kwietniu na obchód ten, na który zwołano ze wszystkich ziem podległych wojewodów, żupanów, starszyznę i co było najznaczniejszego.

Na grodach tylko w obawie, aby nieprzyjaciel nie korzystał z оголоczenia ich, pozostawiono dowódców i załogi. Wszyscy jechali z pocztami świetnymi pod znakami ziem, prowadząc lud przyodziany wspaniale. Ze wszystkich kościołów i klasztorów zwołano duchowieństwo, aby liczbę jego pomnożyć. Zaprosił król i Guncelina, i markgrałę Ekarda ojea Ody, i niemieców kilku, aby świad-

kami byli uroczystości, która wspaniałością królewską dorównać miała pamiętnemu przyjęciu w Poznaniu i Gnieźnie cesarza Ottona III.

Zamek gnieźnieński nie mógł starczyć na pomieszczenie ani połowy gości, jacy tu przybyć mieli, chociaż do starych dworców kilka wielkich izb stołowych przybudowano. Reszta ludu i panów pod namiotami i szałasami nad jeziorem, na Jeleniu, na podzamczu obozować miała. Już w polowie kwietnia z Poznania nieustannie szły tu wozy ładowne, a ostatnie miesiące zimy wszyscy łowcy królewscy polowali w lasach, aby mięso na te gody przysposobić dla pospolitego ludu.

Na tysiące liczyć było można spodziewanych gości, którzy wszyscy na kosze i żywności króla utrzymać być musieli. Nie było to już pierwszą dla Bolesława, bo dwór cesarski także licznym był i zjazd ogromny. I teraz dla dodania okazałości, co najpiękniejsze poczty pancerników barwianych, co najzwaśni tarczownicy, stawać mieli w otoczeniu królewskim.

Siedział jeszcze na arcybiskupiej stolicy gnieźnieńskiej brat Wojciechów Radzym, mąż świętobliwości wielkiej i ducha tego, co męczennika ożywia, starzec już w latach podeszły, przez króla na równi niemal czezony z tym, którego ciało na wagę złota wykupił. Jemu dano było, jakby w imieniu Wojciechowem namaścić skroni królew-

ską... i od nikogo innego poświęconego wieńca nie chciał Bolesław przyjąć, tylko z rąk jego.

Na wzór obrzędu, z jakim koronowano cesarzy w Akwisgranie, duchowieństwo ułożyło ceremoniał przysły. Korona z Rzymu przysłana, włócznia św. Maurycego dar cesarza Ottona, w berło oprawna, miecz błogosławiony, który Bolesław zawsze u boku nosił, służyć miał do koronacyi. Jabłko dano ukuć z bryły złota niewielkim kumstem, ale go tylko silna dłoń króla podźwignąć mogła, tak było ciężkie. Ciężkie jak władanie krajem, ciężkie jak odpowiedzialność zań przed Bogiem.

Na kilka dni przed św. Wojciechem na gościńcu z Poznania do Gniezna lud płynął tak gęsto, jechało wojsko, szło wozów tyle, iż się przećcisnąć było trudno. Z gości zagranicznych ojciec markgrafówny odmówił przybycia, składając się chorobą, Guncelina przyprowadziła ciekawość. Był tu posłańcem, co miał wypatrzyć wszystko i donieść dalej...

W Niemczech gniewy były srogie, zaciętość niesłychana, potwarze też rodziły się z niej najczarniejsze, nie wierzono w koronę z Rzymu ani w błogosławieństwo, zarzucano Bolesławowi samowolę i zuchwalstwo, bunt przeciwko władzy cesarskiej.

Bolesława mało się to zdawało obchodzić, wie-

dział ze raz włożona korona, siłą poparta, uznana być musi i poszanowana.

Dzień naznaczony, choć kwietniowy, wstał z jasną pogodą i słońcem. Podwórcę, wały, cały obwód zamkowy i łąki dokola tysiącem ludu były pokryte. Świątynia gorzała światłami, które grób i ołtarz wielki otaczały, cały blachami złotemi obity, z krzyżem olbrzymim ze szczerego złota, który Bolesław ofiarował. Droga od zamku do tnu wysłana była suknem purpurowém. W kościele naówczas szczupłym, zaledwie dostojnicy i starszyzna pomieścić się mogła, reszta otaczała go zajmując obszerne podwórcę.

Gdy Bolesław cały złotistą szatą odziany, w płaszczu purpurowym, ukazał się w drzwiach dworca, rozległy się tysiączne okrzyki dokola. Poprzedzał go, otaczał, szedł za nim orszak ogromny, w sobolich koźnach, w łańcuchach, pasach sadzonych, z mieczami u boku, z łaskami w ręku dostojnicy... Za królem szło jego radnych dwunastu, za nimi królowa z niewiastami swemi w blasku młodości, dumna, wesola, szczęśliwa... We drzwiach dwu biskupów, Radzym i poznański powitali pana błogosławieństwem i wodą święconą i ujawszy go pod ręce wiedli ku ołtarzowi. Wstrzymał się jednak Bolesław u grobu Wojciechowego, bo opiece męczennika przypisywał całe powodzenie swoje. Tuż niesiono na podnóżkach

oznaki władzy, poświęconą koronę, jabłko, berło i miecz, które na ołtarzu złożono...

Rozpoczęły się wśród ciszy modlitwy i śpiewy, a Radzym drżącym głosem przemówił do króla, opowiadając mu o władzy obowiązkach i ciężarach...

Szły za tém owe nroczyście zapytania i odpowiedzi, ważące jak przysięgi, i sama przysięga na ewangelii i przejęte modlitwy, psalmy, aż narreszcie namaszczenie, włożenie korony, oddanie berła, przypasanie miecza, który dobywszy król, na cztery świata strony przeszył nim powietrze, i śpiewy rozległy się wesole, zwyczajkie, głośnie, Bolesław siedział już na tronie, spoglądając dumnie dokoła. U wielkiego ołtarza Radzym niekrwawą składał ofiarę.

W czasie mszy jeszcze ciągnęły się modlitwy dziękczynne. Już nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy nagle dzień jasny zmienił się w noc prawie. Czarnemi chmury okryło się słońce, wicher zawył wściekły, sypnęło gradem i ulewą...

Zbladł król siedzący na majestacie, zadrżeli wszyscy, kapłani tylko nie przerwali śpiewu, a Radzym ostatnią odnawiał spokojnie modlitwę... Słychać było w okna i blony kościoła bijącą burzę, parę błyskawie białych przeszło powietrze, daleki grom rozległ się długo odbijając i jakby tocząc po okolicy. Na chwilę ziemia, dachy, kielkująca zieloność wiosenna, wszystko okryło się

szatą białą zimową. Na obliczu ukoronowanego, mimo męztwa widać było wrażenie téj przestrogi czy groźby niebieskiej. Czas jakiś nie ustawał wieher, zdając się wysilać na dach świątyni i jéj ściany, które smagał i oblewał mroźnemi falami. Ostatnia modlitwa była skończoną, gdy burza gwałtowna zwolna uchodzić zaczęła. Niekiedy jeszcze ostatni szturm przypuszczała do świątyni i bezsilna, omdlała, zmieniała się w wiatr słaby, który zdarł z niebios opony. Z za oszarpanych obłoków poczynal błękit przeglądać, ulatujące chmury zmieniły barwę i zbieleły, złocąc się promieniami słońca. Coraz szerzej ukazywał się lazur pogodny, coraz bardziej rozrywały się chmury i słońce w całym majestacie swoim ukazało się zwycięzkie, w mgnieniu oka roztopiając białe krupy, któremi okryta była ziemia, susząc zmokłe pola i przynosząc ciepło wiosenne.

Tym słońca promieniem zdała się nanowo jaśnieć i twarz królewska, na którą wróciła pogoda i zwycięzki wyraz spokoju.

Bolesław podniósł ukoronowaną głowę, aby natychmiast wstawszy uniżyć ją jeszcze przed ołtarzem i u trumny męczennika.

Gdy król przeprowadzany przez duchowieństwo ruszył nazad do drzwi kościoła, w podwórceach ozwały się trąby, rogi i wołanie wielkie radosne. Całe zastępy pancerników miecze dobywszy stały jakby w obronie ukoronowanego.

Dzień to był wielkiego zwycięstwa po upokorzeniu wielkiem i przeciągnioném długo, zwycięstwa odniesionego nad cesarstwem, wyzwania jakby i wypowiedzenia mu wojny. W tych tłumach co było niemcom przyjaznego, przez nich wyslanego, gryzło wargi i bladło gniewem tłumionym. Gmucelin we zbroi wspaniałej, cały świecący od złota i klejnotów, szedł posępny w orszaku, nie umiając ukryć srogiego rozżalenia. Przepych ten niezmierny, setiny wojska, zbrojny lud, potęga nowego króla jadły mu serce. Pomiedzy duchowieństwem, nieznaczne miejsce zajmując, jakby się od oczu ukrywał, sunął się ks. Petrek z pokorą udaną i przejęciem klamaném. I jego pierś ścisnęła się pod wrażeniem tego dnia uroczystego, zdającego się zwiastować dalszy szereg dni wielkości i potęgi. Niekiedy okiem i wejrzeniem bojaźliwém rzucił po tych tłumach, sięgnął daleko i wnet, jak oślepiony, wzrok na ziemię upuszczał. Czuł się zwyciężonym, gorycz mu zalewała usta i paliła wargi.

Twarz opata Arona, który był też w orszaku duchownych, otoczony mnichami swojego zakonu, nie zmieniła się wcale, nie widać było na niej ani uczucia tryumfu, ani obawy. Zawsze jeden, nieporuszony, spoglądał tylko na króla jakby czytać chciał w twarzy jego. Ani burza nie czyniła go trwożnym, ni słońce mu dało weselsze oblicze. Nie można było w nim poznać ni domysleć się

tego, którego sprawą i prawie wyłącznym owocem trudu był dzień dzisiejszy. Modlił się ze spokojem człowieka, dla którego wszystko co świat dać i odjąć może, obojętném się stało, spodziewaném i zwyczajném. Wzrok ks. Petrka ilekroć padł nań zaogniał się, białka zdawały krwią zachodzić, oddychał ciężej, piersi miał zemsty i niewawiści pełne.

Na dworcu wnet otoczyli króla wszysey, niosąc mu dary i życzenia. Tu poznać było można, jak ten surowy i gwałtowny często król umiłowany był przez wszystkich. Wojacy szczególnie, którym w obozie był starszym bratem, zbliżali się doń jak do towarzysza broni, przejęci i poruszeni. Bolesław miał dla każdego uśmiech i wesołe słowo.

Dnia tego królowa jedna była nieco zapomniana, lecz twarzą wesołą kłamała uszczęśliwienie wielkie, czekając swój chwili. Jakoż król w ostatku do niej się zwrócił, a była dnia tego taką krasą przyobleczoną, że oczy wszystkich oderwać się od niej nie mogły. Siedzenie jej zgotowaném było przy królewskiém. U tegóż stołu cała zasiadała rodzina, dumna Ryksa, której piękność poważna o lepszą szła z zalotną Odą, Mieszko, Berprym nawet, i w sukni duchownej skromny i pokorny Dobromir, syn Bolesława, który w Trzemesznie po dobrej woli z mnichami razem przemieszkował, a był tak szczęśliwy, że innego

życia nie pragnął. Wziął on po matce i rysy twarzy i przynioty duszy, pokorę, pobożność a łagodność.

Kochał go król, ale sercem litościwem tylko. Cóż mu było po synu, który orężem władać ani chciał ani umiał?..

Bezprym i Mieszko, których stół rozdzielał, siedzieli niekiedy spoglądając ku sobie groźnemi oczyma; braterską w nich widać było nienawiść, od miłości braterskiej trwalszą.

Bezprym mierzył czasem oczyma Ryksę, czasem uśmiechał się do Ody. U tegoż stołu dano miejsce starszynie duchownej i Guncelinowi, który napróżno usiłował nadać weselość. Król też nie patrzył na niego. Dnia tego zamknięty był w sobie.

Przepowiednia niebios ciężyla nad nim, słońce co przyświecało pochodowi, burza i ciemność, która obrzęd zakończyła, powrót światłości i pogody...

Duchowieństwo nawet skłonne było w zjawiskach takich upatrywać, jak we wszystkiem, znaki i przestrogi Boże. Wierzyli w nieustanne mieszanie się potęg niebieskich w sprawy człowieka najpobożniejsi ludzie. Żadna czynność ważniejsza nie spełniła się bez zwiastowania jej znaczenia, bez upomnienia, bez groźby lub pociechy z góry. Burza też ta na umysłach pobożnych zostawiła wrażenie głębokie i pocieszano się tem tylko, że po niej znówu wróciło jasne słońce.

Gwarna biesiada przeciągała się bardzo długo, nie tylko na dworcu, lecz w przybudowanych izbach stołowych pod namiotami, a dla pospoliczego ludu pod gołym niebem. Ktokolwiek przyszedł dnia tego, został nakarmiony i napojony, nie odpychano nikogo, nawet najnędzniejszego żebraka.

W jedynj tylko oddalonej izbie na grodzie, której drzwi stały niezamknięte otworem, radości ani biesiady, ni życia nie było. Zajmował ją od lat wielu ośleply Odylon. W przededniu przybycia króla Stoigniew obawiając się, aby zuchwaństwem swém uroczystego nie zamieszał obrzędu, zmuszonym był zamknąć go i straż postawić. Starzec zagniewany, oszalały, który wiedział co się na grodzie gotuje, z gniewu i boleści miotając się zamknięty i bijąc o drzwi i ściany napróżno, padł nareszcie dobity rozpaczą i konał...

Rankiem Stoigniew, któremu znać dano, przyszedł opatrzyć trupa; znalazł go skostniałym.

Leżał na wznak z piersią obnażoną, z brodą rozwianą, z usty otwartemi. Jakby w szyderskim ostatni raz rozdarły się uśmiechn, z pięściami zacisniętymi, a u nóg jego chłopię co go wodziło, skulone płakało rzewnie.

W pustej izbie nie było więcej nikogo, na progu szebiotały wróble zbierając rozsypane chleba pruszynty. Niedaleko ztąd rozlegało się wesele, tu była cisza śmierci i pustka niedoli...

Z tych gromad, które zamek przepelniały, niekiedy zbłąkał się człowiek jaki przypadkiem pod drzwi półotwarte, zajrzał w głąb, stanął przestraszony, popatrzał na starca, którego ciało zsiniałe czekało pogrzebu, na zachodzące się z płaczem chłopię — i uszedł.

Gdy od stołów ruszać się poczęto, a wstawał kto chciał, aby się zbliżyć do innych, podniósł się też Guncelin, bo mu tu ciężko było oddychać. Pil wiele, aby zalać gniew i jakby oliwy do ognia dolewał, palił go on coraz mocniej.

Sam nie wiedział prawie jak się znalazł we drzwiach otwartych, aby powietrzem chłodniejszym odetchnąć, szedł tak rozmarzony, że psów płaczących mu się pod nogami nie widział i kilka razy skowyceniem ich dopiero ostrzeżony, opędząć się im musiał.

Już wychodził, gdy na progu nastęczyła mu się twarz znajoma. Stał przed nim ze skrzywionemi usty, sfaldowanemi dziwacznie ks. Petrek. Znali się z sobą dobrze. Porozumieli się oczyma i wyszli w podwórze, ale i tu wrzawa mówić nie dawała, a ludu kręciły się gromadki wesole. Posunęli się dalej milczący, a idąc tak coraz spoglądali na siebie, mówiąc oczyma, bo nie śmieli nstami... Guncelin pogardliwą twarz przybrał. Petrek szyderską.

— Cesarski przepych! niewidziana wspaniałość! Wielki pan nasz! — odezwał się tak, iż rozpoznać

było trudno, czy uragał się, czy podziwiał, czy szczerem był czy obłudnym.

— Dzień nroczysty! dzień wesela i zwycięstwa... Żał tylko, że Bóg go napiętnował groźbą i przestrogą... Słyszeliście tę burzę, co nasze pieśni zagłuszyła?..

Guncelin głową tylko dał znak.

— Takie zjawiska nie przychodzą nadaremnie! palec Boży! palec Boży!.. — mówił ks. Petrek wdychając. — Żał mi naszego miłościwego pana... Patrzałem nań, gdy grom się dał słyszeć, zbłądł i zadrżał... Był to głos Boży!.. tak... wszyscy nieczuli, iż to było wołanie z niebios do upamiętania...

— Ale po tej grozie — odparł Guncelin półgłosem — wróciło słońce i pogoda...

— Burza była straszna... — przerwał ks. Petrek, jakby w burzę wierzył tylko.

Szli tak unikając tłumów coraz dalej, jakby przejść się chcieli tylko. Za ścianą dworu dopiero Guncelin stanął, ręką wskazał w stronę komnat królewskich i rzekł cicho.

— Kruche to wszystko budowanie!.. nie potrwa!..

Uśmiechnął się Petrek.

— Co najdlużej do końca żywota umiemanego króla... Siedzieliście miłościwy grafie u jednego stołu z Mieszkim i Bezprymem... musicie wi-

dzieć, jak się jedli oczyma... Tak się jeść oni będą o pierworodztwo i koronę... Patrzaliście na śliczną królową Odę, i téj pan Bóg da potomstwo... Cesarstwo ma tu sprzymierzeńców, a nie ma nikogo, co by miał moc walczenia z niemi... Temu jednemu dana była potęga, aby skruszoną została... i w proch się rozsypała...

Mówił ks. Petrek, gdy właśnie u drzwi półotwartych stanęli, za którymi leżał trup Odylona. Płacząc chłopię widzieć było.

Ksiądz zajrzał i cofnął się ręce łamiąc. Bładością twarz mu się i tak żółkła okryła.

— A toż nie jest znak prawicy Bożej, która śmierć zsyla na przestrożę wśród wesela?

Guncelin zajrzał.

— Żebrak jakiś! — rzekł.

— Bratanek pański, któremu on wylupić kazał oczy — porywczo począł Petrek. — Znałem go, Odylon się nazywał. Ile razy król miał przybyć do Gniezna, czuł swego wroga i wychodził przeciw niemu z przekleństwem. Dziś go ono zadławiło!..

Milezący zatrzymali się czas jakiś patrząc na leżącego trupa. Widok to był nadto przykry, by długo ścierpieć go mogli, odeszli wracając ku pełnym podwórcom.

— Wszystko to nie na długo — przebaknął Guncelin. — Młoda niewiasta dla zmęczonego żywotem człowieka -- trucizną. Słodki jad z ust

jój śmierć zaszezepi... Oczy mu się do niej palą...

Potwierdził Petrek.

— I ja tak mniemam... Kruche i wątle to budowanie... Trzeba stać na straży, aby w chwili potrzebnej być na stanowisku... Zawre tu walką, zawre wojną, ledwie mu się zamkną oczy...

Oszukano Ojca św. papieża, uwiedziono go — mówił dalej — zapewniły go przewrotne mnichy, że cesarz dał swe zezwolenie. Inaczejby Benedykt nie posłał tej korony... Kraść ją musieli złościcy!.. Opat Aron był duszą wszystkiego... Powiedzieć o tem. Cesarz Henryk szanuje tych przewrotnych zakonników, w Kluniaku na ołtarzu złożył jabłko, które mu papież ofiarował, obsypuje ich darami... Tak mu się wywdzięczają... Oni tu wszystkiem... krajem zawładli, zakładają codzień klasztory, mnoży się ich liczba... zapadają. Biskupów objęli, otoczyli... u króla pierwsi, a cesarstwu nieprzyjaźni.

Sluchał Guncelin z uwagą.

— Pobożny pan nasz cesarz Henryk i małżonka jego Kunigunda nie dają sobie na nich rzec słowa... Oni też dwoje żyją z sobą obyczajem niemal zakonnym — rzekł uśmiechając się Guncelin. — Świątobliwy to pan, ale nie do nieczysa cesarskiego stworzony... dlatego lada słowiański panek pod nosem mu przywdziewa koronę bezkarnie...

Głową potakiwał Petrek, nie śmiejąc ustami, gdyż cześć miał zbyt wielką dla dostojęństwa cesarskiego, by rzec co śmiał przeciwko niemu.

Westchnienie tylko z ust mu się wyrwało.

Z tysiąca takich obrazów składał się jeden wieki dnia tego. Obok wesela i tryumfu snuła się troska i warzyły bezsilne gniewy, ale te ukrywać się i tać musiały. U stołu pańskiego dwaj powołani Jaksowie sprawiali służbę podczaszych, a ile razy który z nich kubek panna podawał, uśmiechał mu się Bolesław. Drożsi mu teraz byli niż przedtém, jako te owieczki zbłąkane, które do stada wróciły.

I nie jeden dzień, ale całe siedem ucztowano tak w Gniewie, przy zawsze pełnych stołach, a coraz weselszej myśli. Skarbiec pański stał otworem, bo każdy odjeżdżający co przybywał pożegnać, obdarzonym być musiał wedle stanu i dostojęństwa.

Już się miały ku końcowi uczyty, a król do Poznania zabierał się powracać, gdy jednego wieczora wezwano ks. Petrkę do opata. Ani wątpił, iż gdy wszystkich za wierne służby i dla pamięci dnia tego obdarzano, on także miał otrzymać dowód szczerobliwości króla.

Wiadomo było wszystkim, że przez ręce opata Arona szły ofiary dla duchownych, nadania klasztorom i podarki.

Zastał przełożonego swojego w obszernej izbie

na tumie, której stoly⁴ założone były kosztownemi sprzętami, złotemi i srebrnemi naczyniami i sztabami złota, przeznaczonemi do kościołów, kilka kart, na których spisane były nadania dla duchowieństwa ziem i osad leżały też przygotowane. Opat przywitał go twarzą jaką miał zawsze.

— Wezwałem was, ojeze — odezwał się — abym wam w imieniu króla podziękował za usługi, jakieście mu oddali. Przeznaczono wam tę ilość złota w nagrodę i — wszystkie koszta podróży...

Ostatnie wyrazy zdawały się tak niezrozumiale ks. pisarzowi, iż zapytał.

— Podróży?.. jakiej podróży?

Opat chwilę pomlezał.

— Miły ojeze — rzekł w końcu — sądzę, że wam będzie przyjemniej powrócić do Magdeburga, do przyjaciół waszych, niżeli tu dłużej zostawać...

Ks. Petrek pobladał.

— Nie przeczę — odezwał się głosem drżącym — iż mam przyjaznych w Magdeburgu duchownych... lecz... sąż już moje usługi tu niepotrzebne, lub miałaby wierność moja dla króla być podejrzaną?

Uśmiechnął się opat.

— Ojeze mój — odezwał się spokojnie — nie podejrzewaliśmy was nigdy, wiedzieliśmy od początku, komu służycie i wiarę trzymacie. Zostawiliśmy was na urzędzie tylko dlatego, iż woleliśmy mieć na nim osobę, której wiedzieliśmy,

że się strzedz mamy, niżeli się obawiać nieznajomego... Dziś, gdy król koronę otrzymał, gdy wszystko odkryte... po cóżbyście dłużej pozostawać mieli? Cobyście im donosili?..

W miarę jak Aron mówił, stojący Petrek bladł coraz bardziej, drżał i o ścianę oprzeć się musiał, by nie paść.

— Potwarze to są wrogów moich!.. — zawołał — ale Bogu ofiaruję niesprawiedliwe posądzenie... On niech nas sędzi...

To mówiąc w piersi się nderzył.

Opat Aron, jak gdyby na stole szukał co dla ks. Petrka było przeznaczone, karty usuwał i przedstawiał nagromadzone dary, nie słuchając odpowiedzi. Z głębi wyjął woreczek, rozwiązał go i wyjąwszy zeń zwitki, które pod drzewem Jaksowie odkopali, nie mówiąc na dłoni je podał protonotaryuszowi.

Oczy jego padły tylko na nie, ciężki oddech dobył się z piersi — odpowiedzi nie było. Dowód zdrady był nieodparty.

Nieruchło począł pisarz belkotać.

— W sumieniu czysty jestem... służyłem kościołowi i cesarstwu, którym wierność winienem. Jeśli kto zdrajeą, to ci, których pobożny pan łaskami obsypuje, a ci przeciw niemu się zmiawiają.

Opat wzgardził odpowiedzią.

— Konie i służba gotowe dla was — rzekł — zabierzcie złoto... Choćście chcieli nie mogliście

nam zła uczynić, a praca była pożyteczną... Więc płaca wam należy...

To mówiąc opat posunął złota bryłę i głowę skinął na pożegnanie, ks. Petrek zagarnął w poleń datkę i oddalił się w milczeniu...

IX.

EPILOG.

Lat kilka upłynęło od koronacyi króla, w ci-
szy niemal i pokoju. Rzadko na granicach ucierać
się było potrzeba. Bolesław mógł owocu trudów
swoich używać spokojny, lecz z każdym rokiem
siwiał włos na skroni, więcej marszczkami orało
się czoło — wielki król posępniał i smutniał.

Proroczym wzrokiem znać przyszłość gotującą
się przeglądał.

Małżeństwo z Odą, które ożywiło i opromie-
niło dni jego na czas krótki, zaczynało ciężyc
i niepokoic. Młoda niewiasta płochą była i niło-
wała rozrywki, król poważniał i śmiech mu nie
był do twarzy.

Szczyćcie owo wyczerpywało siły, rodziło tę-
sknotę; przypominały się szczęśliwsze dni pożycia

z nieboszczką królową Emmildą, do której Oda weale nie była podobną.

Proźna, dumna, rozmiłowana w piękności swój dla której szukała wielbicieli, myślała tylko o tém, by występować z przepychem i otoczyć się wrzawą. Z koki ulubieńców na dworze wybierała i odpychała, a gdy król marszczył się i zżymał ją trzymała go, okazując tém większą wesołość i lekceważenie.

Miedzy nią a poważną i surową Ryksą, choć nie wybuchały spory, walka była ciągłą. Siostrzenica cesarska nie dawała ani niehybić sobie, ani się zepchnąć z należnego stanowiska. Oda usiłowała codziem jęj dać niezuć, że ona tu była królową. Dwie niewiasty nie mówiły prawie do siebie, nie spotykały się tylko publicznie, a gdy wzrok ich się skrzyżował, zdawały wyzywać wzajemnie. Tak samo Mieszka nienawidziła Oda, gotowa przeciwko niemu stawić Bezpryma. Królowi, znając słabości jego, nienastannie poddawała dowody przeciwko Mieszkowi, jako był niendolnym i bezwolnym, sławiąc drngiego z mocy i odwagi. Lecz król milczał i na niewieście szczebiotanie nie obracał uwagi. Gniewało to królowę, a starań nie porzuciała, pewną będąc, że słowa jęj powoli Bolesława zmieniać i nawrócać.

Król przeciwnie, z wielkiej owęj namiętności dla markgrafównęj, coraz bardzićj ostygiał i obo-

jętniał dla niej. Oddalał się od niej i nie zwierzał z myśli swych.

Gniewała się Oda wyrzucając mu, że ją wziął jak niewolnicę do łóża, nie jako królowę do boku, a Bolesław niemal potakując się nśmiewał.

Tak pływały dni coraz cięższe.

Król też więcéj teraz niż kiedykolwiek zajmował się jakby zabezpieczeniem przyszłości. Ustanawiał strażę po zamkach na granicach, Mieszka wysyłał na oglądanie ich, troskał się o rzecz najmniejszą, ogłaszał rozkazy, wpajał miłość sprawiedliwości. Za młodszych dni bohater na polu wojny, chciał być prawodawcą i gospodarzem w podeszłym wieku.

Najuboższy lud pierwszy u niego miał posłuchanie, najmniejsza krzywda mu wyrządzona więcéj go obchodziła, niż spory o szerokie ziemie i lasy pomiędzy rycerstwem.

Okazując miłość dla Bezpryma i o los jego troskliwość, nie spuszczał król z oka Mieszka, przy każdej zręczności powołując go do boku i głosząc następcą swoim, tak aby wola jego najmniejszój nie ulegała wątpliwości.

Bezprym na oko posłuszny, zatajał myśli swe i — czekał.

To nieustanne zajęcie, podróże po granicach, sądy, łowy, gościna i przyjęcia trzymały króla na pozór w dawnéj sile, ale ci co go otaczali widzieli jawnie, iż nie tym już był co niegdyś.

Na konia ciężko mu siadać było, myśl wesółą przy biesiedzie przysła rzadko, stary Zyg próżno się go starał rozehmurzyć. Królowa strojna i jaśniejąca wdziękami nie ściągała wejrzenia...

Czasem ktoś ze starych towarzyszków gdy przybył z pokłonem i powieścią o wyprawach dawnych, trochę mu rozjaśnił czoło. Żył tylko przeszłością, a o przyszłości myślał jednęj.

Gdy z opatem był sam, pytał go codziennie: — Ostoiż się dzieło moje?.. Mali Mieszko siłę?.. Rycerz jest mężny, lecz czy królem być potrafi?..

Pocieszał go Aron, ale często bardzo, gdy król się przed nim otworzył, ze zdumieniem widział w nim zwątpienie wielkie i jakby widzenie przyszłości groźnej.

Od koronacyi niemal poczęło się to powolne dożywanie żywota i gotowanie się do zgonu, którego sama myśl wszystkich przerażała.

Bolesław widział, jaką duchowieństwo było siłą naówczas i jaką spójnią dla nowego państwa, więc im Mieszek słabszym nim się wydawał, tém silniejszymi chciał mieć tych stróżów i obrońców kraju. Nadania mnożyły się, rosła klasztorów liczba i biskupstw, wiązał się z Zachodem i kościołem powszechnym, by opierając na nim od cesarstwa być swobodnym.

Zarazem jednak bystry wzrok jego widział na własnym dworze dosięgające go wpływy tej

władzy, której uznawać nie chciał, na równi się z nią stawiając. Dwór Ryksy cały był z Niemców złożony, Mieszko też do nich nawykał i w nich się Inbował, niektórzy się kręcili około Bezpryma, inni otaczali Odę. Mimo starani wszelkich wszystko co się działo w Poznaniu, odbijało się za Łabą i tętniało po cesarskich pałacach.

Polańscy żupanowie i rycerstwo, których Bolesław pociągał ku sobie i miłował, łaski u Mieszka nie mieli. Naprawiać to chciał król, dając synowi ludzi sobie miłych, lecz z tymi on zimno się obchodził. Pasowany niegdyś rycerzem przez cesarza Mieszko Ignął do obyczajni niemieckiego i Zachód mu się uśmiechał tak jak Ryksie.

W końcu drugiego roku zasłabł król. Nie była to choroba — sił mu brakło, życie niehodziło, wy-czerpywało się, sam czuł że gasnął powoli. Nie ogarniał go strach o siebie, lecz o państwo tylko... Śmierć jako spoczynek była dlań upragnioną, nękała go troska wielka o przyszłość. I pytał opata ciągle zadumany: — Ostoi się dzieło moje?..

Cznąc się już słabym król przypomniał, jako po śmierci Mieszka sam się został, zmuszony dobijać zwierzchnictwa, które mu należało; chciał by wszyscy wiedzieli wolę jego ostatnią.

Była znów wiosna i świat stał w majowych szatach, gdy na niebiosach jednej nocy zdumiony lud, przerażone dnehowieństwo ujrzalo wscho-

dzącą wielką gwiazdę nieznana, od której ognista jakby miotła sterczała...

Zjawisko to zwiastowało naówczas klęskę... a duchowni pocichu opowiadali, iż zwykło się było okazywać jako oznajmienie o zgonie mocarzy. Chrześcianie biegli do kościołów, reszta pogan na uroczyskach składała ofiary błagając Bogów o odwrócenie klęski.

Gdy król ujrzał tę gwiazdę na niebiosach, drugiego dnia rozesłał gońców do władyków i prędniejszych panów, do rady i wodzów, ażeby się do Gniezna zbierali.

Jednemu opatowi Aronowi wiadomém było, co ów wielki wiec miał znaczyć, za jego bowiem radą i przyłożeniem się król zjazd zwoływał. Czuł się już codziennie słabszym, oczy mu wpadały, jakby je siła jakaś do wnętrza wciągała, policzki wychudły, ręka drżała gdy był spokojnym. W gniewie tylko odzyskiwał moc dawną, lecz gdy ten ułinał, opadał więcej niż zwykle.

Nie było innego lekarza nad włocho benedyktyna, który coś chwycił z salernitańskiej mądrości, tego sprowadzono aby radził i dawał królowi leki z ziół, które sam przyrządzał; te chwilowo zaledwie nieco go pokrzepiały. I jak po gniewie, tak po nich słabł Bolesław więcej.

Gdy na dzień zjazdu udać się miał do Gniezna, przywiedziono mu wierne konia, zaśmiało się do niego oko pańskie i z pomocą dwu ko-

morników dosiadł go rażno, lecz trzy zaledwie mile ujechawszy, spoczywać musiał.

Obok króla, który jechał dworem wielkim, znajdował się Mieszko; nie było przykazania dla Bezpryma, który się zżymał.

Ze wspaniałością ruszono do starego grodu, gdzie już zgromadzonych gości Stoigniew od dwu dni przyjmował.

Spodziewano się uroczystości wielkiej, o której zawczasu różne wieści chodziły. Mówiono nawet, że za żywota rządu chciał zdać na Mieszka i kazać go koronować, aby mógł się przypatrzeć, jak rządzić będzie.

Pierwszego wieczora, choć podróżą zmęczony, odżył Bolesław wśród swoich i zasiadł do wieczornej uczy, jak za lepszych czasów, ciesząc się, śmiejąc, a kubki kazać napełniać, ale gdy legł, czuł się ciężkim. Na następny dzień wstał słabszym, dopóki mnich, będący u jego boku, napoju z ziołami wzmacniającemi mu nie dał.

Wszysey tedy i król sam w poczeie wspaniałym, koronę wdziawszy, z berlem w rękę, miecz wielki kazać nieść przed sobą, udał się do katedry, u której drzwi duchowieństwo nań czekało. Arcybiskup mszę świętą odprawiał, której Bolesław u grobu męczennika klęcząc słuchał.

Gdy się nabożeństwo ukończyło, poprowadzono króla do tronu, stanął na stopniach jego Mie-

szko, niżej dostojnicy i dwunastu panów rady... cisza wielka się stała, aż przemówił pan.

Mówił jako namaszczony władzca, iż czując się zgonu bliskim, chce aby królestwo zamieszanem nie było i aby pod jednym zostawało panem... którym Mieszko był wyznaczony. Prosił o wierność synowi a posłuszeństwo należne, zalecając mu, aby sprawiedliwie i pobożnie rządził, ubogi lud otaczał opieką, krzywd jego nie cierpiał, czujnie granic bronił, nieprzyjaciela odganiał — i co krwią swoją i ludu on zjednoczył trudem wielkim, w całości utrzymał.

Słyszac te słabnącym głosem wymawiane wyrazy, starsi niemal płakać zaczęli, a gdy król prosił ich, by stali przy synu jego, okrzyknęli jako jeden mąż, przyrzekając wierność i poszanowanie. Mieszko pokłękawszy ucałował rękę ojcowską, a duchowni do ołtarza szli i hymn dziękczynny zanucili.

Tak się skończył dzień uroczysty, uztępną smutną niemal, bo król pod wieczór zasłabł i oswadnął nim strach jakiś nagłego zgonu, a chciał w Poznaniu jak ojciec umierać i leżeć obok niego.

I gdy zebrani uztępnawali, odszedł król zawczasu, Mieszka im jako pana w swoim miejscu zostawując, który posępnie i nieochoczo z gośćmi się zabawiał.

Pan był męztwa wielkiego i obyczajów gładkich, lecz serca nie miał do rycerstwa swojego,

ani ono do niego i starzy w nim rubasznego ojca, jak w Bolesławie nie znajdowali. Niektórzy nań zdala już wówczas patrząc, niemcem go przezywali.

Nie było więc wczorajszej u stołu ochoty, a stary król legł na posłanin.

Gdy nazajutrz rano konia Bolesławowi przywiedziono, a siadać nań miał, ledwie się dźwignął, uśmiechem swoich pozdrowił i jakby pożegnał. Patrzali nań wszyscy niemal ze łzami i wiedli go okrzykami za okopy, niektórzy u konia idąc, nogi mu i kraj szaty całując.

Trzeciego dnia dopiero, wolno jadąc stanął król nad Cybiną. Tu zsiadłszy u dworca, wprost na łożo poszedł, znużonym się czując nad miarę.

Stał u wezglowia opat i Siecich stary, Bolesław spojrzał na nich.

— Gdzie to te czasy, mili moi, gdym ja trzy dni i nocy z konia nie zsiadając, nie zrzucając zbroi, ledwie kawałem mięsa i kubkiem kwaśnego piwa grzeszne ciało pokrzepił, a czułem się siłny i ręka mi nie zadrżała...

Zamilczeli wierni towarzysze.

Weszła królowa z wesołością na twarzy, ale ją odprawił nazad mówiąc, że spoczywać miał. Od tego dnia nie wstał król, i mimo rad a leków mnicha gorzej się czuł coraz, wiedząc, że śmierć nadchodzi.

Trwoga ogarnęła jednych, niepokój drugich,

niecierpliwość innych, zawrzało na grodzie. Gromadka wiernych już łoża królewskiego nie opuszczała. Przybył z Gniezna Stoigniew, siedział opat nieodstępnie, służył Siecicem... Kiedy niekiedy wsunął się i Bezprym, popatrział, a nie otrzymawszy słowa odchodził. Królowę też Ode przyjmował Bolesław milczeniem obojętnem, co ją nie mała do gniewu pobudzało, bo smutną być nie umiała. Smutek jej w złość się obracał.

Dnia 15 czerwca król chwilami przytomnym był, a niekiedy tak mówił dziwnie, jak gdyby snem jakimś i marzeniem był napastowany. Słuchali przytomni z trwogą i podziwieniem. Nie mówił bowiem o niczem tylko o wojnie, obronie, kraju, o sprawiedliwości i tém, co w życiu dawańiej go zaprzątało. I mowa ta chorego zdawała się silniejszą a piękniejszą, niż gdy całe był zdrowym. Szeptem się ona kończyła i snem głębokim, w czasie którego stali wszyscy nieporuszeni, niemi, nie śmiejąc tchnąć, a nie mogąc go opuścić.

I w dniu następnym, choć słabszy Bolesław, poznawał wszystkich, mówił przytomnie, z duchownymi o sumieniu swém radził, wziął ostatnie błogosławieństwo, a potem znowu półseny mruzczał zaledwie zrozumiałemi wyrazy...

Nikt już nie miał najmniejszej nadziei. We dworze panował niepokój większy coraz, Oda, której król słusznie opisał wiano, poeciem skarby

swe zbierać i ściagać nakazała. Oczyma suchemi patrzała na małżonka, nie żałowała go wielce, ale gniewała się nań że umierał, zawód jej czyniąc.

Trzeciego dnia zbudził się król rzeświejszym. Był to niemal cud; zażądał napoju, mnich mu podał lek ów wzmacniający, lecz ten mu już obrzydł, frankońskiego wina zapragnął, bez żadnej przymieszki i zaprawy. Dano mu go, napił się cheiwie i orzeźwił. Podano mięso, wziął je do ust, pożuł i wyrzucił. Radowali się niektórzy, mówiąc mu, iż zdrowie powraca, on im odpowiedział, że śmierć nadchodzi... Jakoż ku wieczorowi dnia 17 czerwca znova przyszły sny i widzenia.

Strwożyli się ci co słuchali.

Drzwi sypialni były zamknięte, nakazał król słabym głosem, ażeby je otwarto i żeby wszyscy, ktokolwiek zapragnie pożegnać pana swojego, był przypuszczonym. Biegła więc służba dając znać po grodzie i kto chciał cisnął się do królewskiego łóża. Stali już około niego Oda królowa, Mieszko z Ryksą i małym Kazimierzem, Dobromir i Bezprym, dwumastu panów rady i wojewodów okalało go. Sieciechowi kazał pytać, czyliby kto nie miał doń żalu i prośby. Przystępowali niektórzy, ale tylko z bolem i płaczem. Przypominając innych powoływał sam i jeszcze ich obdarzał.

Widząc zgon nadchodzący z płaczem się odezwał Sieciech, aby wydał król rozkazanie, jak

cheiał i gdzieby go pochować miano, ile dni obrzęd miał trwać i jaką żałobę wdziać polecał... — Nie troszczę się jak i gdzie mnie położyćcie, zdaję to na miłość waszą. Z ojcem spocząć chcę... Uczcijcie mnie lepiej niż pogrzebem, spełnieniem myśli i pragnienia mojego około tego państwa, którem życiem mojem budował, krwią lepił... niech nie odejdzie od potomstwa korona, niech kwitnie i rośnie co zasiałem!..

Zawołali wszyscy, iż życie też dla rodu jego państwa dać są gotowi, a wołanie powstało wielkie, wśród którego: Ojciec i pan nasz — brzmiało.

Gdy się uciszyło, król oczy miał zamknięte; wśród ciszy ci co bliżej stali słyszeli tylko, jak mówił jeszcze.

— Widzę... widzę przyszłą kraju tego dolę... Stoi ona przed oczyma mojemu... Duch mój przegląda przyszłość... Kwitnącym go zostawiam i spokojnym, niezgoda i waśń rozerwą go i zakłóca... Krwi wiele, drogiej krwi wytoczy się w wojnach bratnich... przyjdą klęski srogie, wrogowie najdą i spustoszą. Ród mój i potomstwo widzę wygnane, z pokorą przytułku żebrzące u obcych, u nieprzyjaciół, którychem miał pod nogami mojemu... Rozszarpią oni państwo... upadną krzyże, opustoszeją świątynie pańskie, swawolne kupy rozpustują na gruzach... krew i mord! płomień i zgłiszczają!..

Ręką król oczy zasłonił.

— Gdybym nie miał umierać — jęknął — widzenie toby mnie dobiło...

Umilkł na chwilę i uśmiech mu wszedł na usta.

— Wschodzi nowa jutrzienka!.. słyszę śpiew radosny i witanie! Ród mój powraca, pokój z nim i Boże błogosławieństwo... Spokojny umieram...

To mówiąc westchnął, ręka opadła, otworzył oczy wzywając duchownych co go otaczali i o modlitwy prosił, klękli wszyscy u łóża... Usta mu się poruszały jeszcze chwilę, potem zwolna przymknęły powieki, twarz blednąć zaczęła, otworzy wargi, uleciała dusza z oddechem ostatnim.

Krzyk przerażający, którym zamek, gród i miasto rozległo się całe, dał się słyszeć. — Król nie żył...

Z wielką wspaniałością, jaka przystała królewskim zwłokom, złożono ciało Bolesławowe obok króla na tumie w Poznaniu. Zbiegł się kraj cały na pogrzeb tego, który dwadzieścia pięć lat ciężkiego trudu poświęcił stworzeniu państwa, wprzód duchem ujętego, niżeli ciałem jednem się stało.

Ze starych kronik, których karty zachowały podania owych czasów, wiemy, jak powszechny żał był po Bolesławie.

„Przez cały rok — pisze Gallus — nikt w Polsce biesiady nie sprawiał, nikt ze szlachty, mężczyzna ani białogłowa, strojnęj nie przywdział

szaty, żadnych okrzyków, ani dźwięku gęśli w gospodach, ani piosnek dziewczęcych i weselości na ulicach słyhać nie było. Wszysey przez rok tak się zachowywali — ale płacz po Bolesławie, mężów szlachejnych i kobiet nie skończył się aż z ich życiem. Ze zgonem jego pokój, wesele, obfitość na długo z Polski ustąpiły.“

O losach dwu braci Jaksów niewiele dopowiedzieć nam pozostaje.

Z ciężkiej próby życia w młodości wyszli oni gorzkim doświadczeniem zahartowani, zbrojni męstwem i męstwem stałością. Wyrśli na mężów godnych zacnych przodków swoich. Andrzejka, który płacąc przywiązanie greckini wkrótce ją zaślubił, niedługo domowego pilnował ogniska, w drugim roku zachorowała i zmarła mu żona, a owdowiawszy nie chciał już w powtórne wchodzić ślubu. Życie mu też spokojne na wsi nie smakowało, puścił Jurdze Gródek zielony, a sam powrócił do pancernych, do życia wojkowego, do którego był nawyknięt. W kraju zewsząd zagrożonym wojną, ręk dzielnych było potrzeba.

Jurga ożeniony wkrótce z Teodorą córką Sieciecha, osiadł w Jaksowych borach, ale i ten, choć szczęśliwy doma, ziemianinem spokojnym długo być nie umiał. Obu rycerski chleb był jedynym, którym żyć mogli. Dopóki w kraju ci-

szęj było, siedział przy żonie, zaledwie znać dano o nieprzyjaciela, ruszał w pole, wytrwać nie umiejac na ławie, gdy inni szli do boju. Zaraz też po śmierci tego, którego imienia postrach trzymał nieprzyjaciół zdala, i po zgonie pobożnego cesarza Henryka, który rokiem wprzód zmarł jeszcze, nowy cesarz Konrad wypowiedział wojnę sąsiednim plemionom słowiańskim i Polsce, a smutne przepowiednie umierającego aż nadto prędko się sprawdziły.

Otto Bezprym zbiegł naprzód do wuja na Węgry, potem u cesarza poszedł szukać poparcia praw swoich pierworodztwa. Słabe znalazłszy poparcie na Węgrach, które dla siebie wojować i zawojowywać chciały, w cesarzu zyskał opiekuna, Polska została zewsząd napastowaną, zdobycze Bolesławowe wydzierano jęj od granic dalekich. Mieszek z całym męstwem swém napadom obronić się nie miał.

Niemcy, z któremi walezyć był zmuszony, opasywali go, wdzierali mu się wpływem i zabiegami w dom jego własny.

Zaraz po zgonie króla, opat Aron, który już dawnego zachowania i łaski nie miał u Mieszka, może dlatego że Bolesław nazbyt mu ufał i umiłowiał go, ustąpił z dworu, powracając do Tyńca. Wprędce potem zjawił się ks. Petrek na dworze królowej, będąc jęj mocno zaleconym, ofiarował swe pisarskie usługi. Na pozór skromne bardzo

pełniąc obowiązki, choć czynności jego jawnemi nie były, krzątał się pilnie, służąc tym, którym był duszą i ciałem zaprzędanym. Z jego namowy królowa, jeszcze za życia męża, z obawy i wzgardy dla polaków, otaczać się zaczęła Niemcami, których dwór codziennie liczył więcej, tak że w końcu sami niemal na nim zostali.

Trudną dla Mieszka była walka z temi, co w jego radzie i domu mieli najgorętszych zwolenników i pokątnych donosicieli.

Smutne nastały czasy, których brzemienia spadkobierca króla Bolesława podźwignąć nie mógł. W zamęcie codziennego się zwiększającym, wśród klęsk, które każdy dzień przynosił, jasnej myśli do wyjścia zabrakło, troska i boleść resztę przytomności odjęła.

Niesłusznie gunśnym Mieszka nazwano, lecz nieudolnym był w istocie do utrzymania nawet tego, co ojciec stworzył i zdobył. W gruzy rozsypywało się to dzieło wielkie, a nawet nawrócenie Polski, dwu panowaniami utwierdzone, zachwiało się rozpręčeniem ogólnem. Królowa chcąc mieć lnd za sobą, gdy możnych odepchnęła, wyprawiała mu igrzyska, wśród których stare pogańskie pieśni i igrzyska wracały.

Przyszła chwila, gdy po śmierci nieszczęśliwego Mieszka, po ujściu Kazimierza, nadziei zwycięstwa i środków nie było, kraj cały został przez pogan wybiegłych z lasów zalany. Kościoły bu-

rzono, wywracano zamki, chrześcian mordowano. Oba Jaksowie wrócić musieli na swój gródek, bronić micnia ostatka, życia swego i rodziny.

Z garstką wierniej czeladzi i resztką wojska swojego zamknęli się w Jaksowych borach, gotując do rozpaczliwej obrony. Dnie i noce czuwać musiano nieustannie, w niepewności kiedy te tłumy, co się po całej Polsce na łup i zdobycze puściły rozpasane, przyjdą pod gródek, ażeby go zrównać z ziemią.

Niemal cały ród Jaksów zgromadził się tu do nich, aby sił rozproszonych nie wystawiać na niebezpieczeństwo. Inne zamki opuszczone stały na łasce bożej, tylko Jaksowych borów, w których znaczne skarby zgromadzono, bronić postanowili. Do mocniejszego też niż gdzieindziej oporu gotowali się zrozpaczeni, tak że niewiasty nawet sposobiły się do walki i gotowe były przywdziać zbroje.

Jurga i Andruszka mieli czas wysypać okopy, wystawić ostrokoły i zaborole, zaopatrzyć gródek w żywność dla dosyć licznej załogi i obmyśleć dobrze co czynić mieli, aby rodzinę swą obronić.

Niczyhło też gromady owe rozwścieczone przeciw chrześcianom ważyły się uapaść na gród pilno strzeżony. Opatrywano go zewsząd, podsyłano ludzi, aby załogę ku sobie przeciągnąć, lecz Jurga i Andruszka oko mieli na wszystko. Nie ważył się ów tłum bezładny rozpocząć daremną

z rycerstwem walkę. Sądzone, że w końcu głodem i niedostatkiem ich zmogą. Tak upłynęło kilka miesięcy w życiu nienstannęj trwogi. Kiedy niekiedy śmielszy ktoś w kilkadziesiąt koni wypadał w lasy za zwierzyną, w pola, z których zabierano wyrwane naprędce zboża. Choć gęb do karmienia było wiele, starczyło jednak od głodu.

Czasem przyciągały gromady i szły niemal pod sam gród, przypatrując mu się; odpędzano je strzałami i nie ważyły się kusić o zdobycie. Wieści zaś od Poznania, od Krakowa nie mieli Jaksowie, bo tam czesi pustoszyli ogniem i mieczem i ludność wypędzali nawet tysiącami, przedsadzając na swoją ziemię.

Nie było pana, nie było Boga, nie było życia.. pustynia jedna i zgłiszcza, a wśród nich wałęsające się tłumy upojone.

Łakomstwo na zdobycz, której się u Jaksów spodziewano, wreszcie rozproszonych napastników w jedną zbiło gromadę. Kilka tysięcy czerni, najrozmaicięj zbrojnej, bez wodzów prawie, bez ładu, strasznej liczbą tylko, wylało się jednego wieczora jesieni pod gród Jaksów i całą dolinę, wśród której leżał, obozowiskiem zajęło. Niewiasty patrząc z wietrzników domostw płakały licząc i nie mogąc przeliczyć tych tłumów, których wrzaski śmierć się zapowiadać zdawały. Niektórzy bliżej podbiegając usiłowali przerazić groźbami i łajaniem. Nie strwożyli się Jurga i Andruszka,

a ludowi swojemu za okopami siedzieć cicho nakazawszy, czekali.

Nazajutrz o świcie rzuciła się tłuszcza chmurną wielką na ostrokoły, usiłując je podpalić lub wyrócić, ale taka chmura strzał i oszczepów posypała się, gdy się zbliżyli, tyle trupów padło, że napastnicy cofnąć się musieli.

Więc leżeć postanowili obozem i wytrwawszy dni kilka, gdy żywności zasposobionej hraknąć zaczęło, po naradzie w połowie się rozeszli, zostawiając część tylko, aby gródka pilnowała.

Téjże nocy na śpiących wyskoczywszy Jurga z Andruszką niespodzianie i okrutną w nich rzeź sprawili, a gdy się gromady chwyciły do obrony, mieli czas na gród się schronić. Zwiększyło to zajądlność daremną. Ze dniem rzucili się oblegający na wał znowu i walka u ostrokołów zawrzała wściekła. Lano ukrop, walono kamienie i kłody, trupem usłano dokoła okopy, a z południa cofnęli się napastnicy i położyli w dolinie spoczywać. Nie dali im Jaksowie nawet ran obwijać, znowu z gródka czyniąc w biały dzień wycieczkę. Choć liczbę znacznie mniejszą, lecz ludzi mieli do boju nawykłych, dobrze zbrojnych, z których każdy szedł na dziesięć, ufając żelazu jakim był odziany.

Spędzono przez tłumy owe w lasy i słychać o nich ani nazajutrz, ni dni następnych nie było. Nie ufali jednak temu oblężeni, pewni będąc, że

z nowemi siłami powrócą. Zyrun, dowódzca tych gromad, opodal je nanowo ściągawszy w lasach, pocichu z niemi przypelził nocą pod gródek, pewien będąc, że go bezbronnym zastanie. Tu ich czekali w cichości, i gdy się do ostrokołów skradali i pełznąć poczęli jak mrowie, wnet sypnęły się kamienie, rzucono kłody, tak że znowno odbiedz było trzeba.

Bronili się szczęśliwie bracia nie tygodni, ale miesięcy kilka, jakiegoś końca, jakiegoś miłosierdzia oczekując Bożego. Gdy się to zbyt już długo przeciągnęło, a głucha zawsze otaczała ich cisza, radzili w końcu, by żony i dzieci na wozy zabrawszy, dostatek i mienie, opasać dokoła swoim ludem i tak z zamku wyciągnąć, obroną ręką przeryniając się za Wisłę, gdzie spokój miał panować. Już niemal postanowionem to było i dnia tylko wyczekiwano pogodnego, a Andruszka i Jurga srodze bolejąc nad swoją ojcowizną, jeszcze się ociągali, gdy nadbiegł mały oddział synów władyków i żupanów, który im zwiastował, że Kazimierz z posiłkami cesarskiemi szedł znnowu ład i pokój w Polsce przywracać.

Na to więc zeszło to potężne Chrobrego państwo, że niemcy zbawcami jego być mieli, że w niem nanowo wiarę szczepić, prawo stanowić, kościoły stawiać i uszczuplone granice umacniać było potrzeba.

Skarby wszystkie do Czech nrowadzono niezbożnym łupem, inne Ryksa uchodząc powiozła z sobą, rozerwali je swoi i endzy, nie pozostało nic nad pamięć wielkiego króla, który się w potomku nie odrodził.

Jaksowie byli pierwszymi, co stanęli przy wnuku jego, pomagając do odbudowania w grzy rozsypanego królestwa. Stał złupiony i zburzony Poznań, pustką i popieliskiem leżało Gniezno, w Gdyczu żywy mieszkaniec nie został, w łykach ich do Czech nrowadzono.

Andruszka i Jurga musieli o domowych sprawach zapomnieć, aby młodemu królowi służyć, któremu sług brakło, gdy wszystko z nowa poczynąć musiał.

Oba też doszli do dostojęstw znacznych, do majątności wielkich i ród ich później się rozmógł a rozmnożył na liczne gałęzie.

Majątności ich we wszystkich prawie ziemiach rzeczypospolitój, i potomstwo, które od włóści różne nazwiska poprzybierało, znaleźć można w wiekach późniejszych. Wszyscy byli niemal ludzie rycersey, lub w kościele wysokie piastujący dostojęstwa, mało który spokojnie na zagonie usiedział i kolo roli się zabawiał.

W radzie i w polu miejsce ich było, a wszyscy się znaczyli, jak przodkowie ich, krwią gorącą i umysłem żywym, dwojgiem przymiotów,

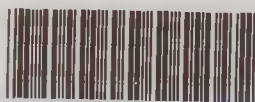
które sprawiają, że z niemi łącno nieszczęśliwi na głowę padają, a szczęśliwi wysoko idą do góry. Urósł téż ród, aż póki rzeczy ziemskich kolej nań nie przysła, by z innemi razem na stronę ustąpił.

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

JK 42



JK0042